



MICHAŁ  
GOŁĘ  
BOWSKI  
OBSYDIANOWY  
MOTYL

# Spis treści

Karta tytułowa

Cykl Świat we krwi

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Michał Gołkowski

Karta redakcyjna

Okładka

*MICHAŁ  
GOŁKOWSKI*  
*OBSYDIANOWY  
MOTYL*

Ilustracje  
Paweł Zaręba

**fabryka słów**<sup>®</sup>

Lublin – Warszawa

# Cykl Świat we krwi



Pierzasty Wąż  
Obsydianowy Motyl  
Jadeitowy Pająk

*Zali nikt nie wie, dokąd zmierzamy?  
Czy odejdziemy do domu Dawcy Życia, czy też żyć nam przyszło  
wyłącznie na tym świecie?  
Niech dowiedzą się serca wasze, o Książęta, Orły i wy, Jaguary –  
nie zawsze będziemy przyjaciółmi.  
Pisana nam tylko chwila tutaj, a potem idziemy do domu Dawcy  
Życia.*

*Nezahualcoyotl, król Texcoco,  
Nie mamy szat poza kwiatami*



# Rozdział 1

*8 listopada 1519*

**T**ak, to ja jestem Montezumą.

Na długą chwilę zapadła cisza.

Mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy, wojownicy i prości mieszkańcy, Kastyljczycy i Mexikowie – wszyscy wstrzymali oddech, czując, jak napięcie tej chwili niemalże namacalnie przesącza się po ziemi, łaskocząc skórę stóp i stawiając włosy dęba.

Tylko ptaki krzyczały gdzieś wysoko ponad lazurową tonię jeziora, z którego za plecami władcy wyrastał potężny, lśniący śnieżną bielą masyw Tenochtitlán.

Montezuma skłonił się przed gościem.

Pióropusz na głowie władcy zafalował, pióra quetzala załśniły w blasku późnego popołudnia, gdy sam Huēi Tlahtoāni, najwyższy król, Koliber Wschodu, Gwiazda w Piersi Bogów i Najjaśniejszy Kwiat Imperium Słońca, przyklęknął, przeciągnął dłonią po pyle drogi i na znak szacunku dotknął palcami ust.

Jednak nawet w takiej chwili jego oczy, które wedle protokołu powinny być utkwione w ziemię, znów skoczyły w bok.

Tam, gdzie za plecami Cortésa stał ubrany na czarno człowiek z wytatuowanymi rękami.

Zahred nawet nie mrugnął. Ani jeden mięsień w jego twarzy nie drgnął. Niczym nie dał poznać po sobie, że zauważył to spojrzenie... ani jak bardzo go poruszyło.

Nic z tego nie widział, niczego nie zauważył jednak caudillo Hernán Cortés, samozwańczy dowódca armii Jego Królewskiej Mości i zarządca nowych ziem Korony w krainie zwanej Indiami Zachodnimi. Pożerał teraz wzrokiem korzącego się przed nim Montezumę, bogato przystrojonych dostojników za plecami władcy, a przede wszystkim trzymane przez niewolników i służących dary.

Słońce zagrało na złotych misach, naszyjnikach, talerzach i sztandarach. Prześliznęło się po zausznicach i kolczykach. Przejrzało w wypolerowanych jak lustro płytkach z wizerunkami bogów.

Odbity refleks światła przesunął się po twarzy Cortésa; oczy caudilla błysnęły, usta zadrgały od z trudem powstrzymanego uśmiechu.

Skinął klęczącemu Montezumie głową, a potem rzucił przez ramię:

– Ognia.

– Ognia! – krzyknął kapitan de Orozco do swoich ludzi.

Tuzin arkebuzów poderwało się lufami ku górze, plunęło ogniem i dymem. Chwilę po nich głucho fuknęła i zadudniła armata, zasnuwając dymem najbliższą grobli połąć jeziora.

Ludzie na najbliższych łódkach krzyknęli, zasłaniając uszy i kuląc się na dnie; jakieś czółno bujnęło się i przewróciło do góry dnem, gdy siedzący w nim pasażerowie, śmiertelnie przerażeni, zaczęli się miotać i powpadali do wody.

Rodrigo podłubał w uchu palcem, próbując pozbyć się natarczywego dzwonięcia. Spojrzał ze złością na stojącego obok towarzysza:

– Mówiłem ci, żebyś lufę bardziej do góry trzymał, a nie mi prosto w łeb celujesz!

– Jakie prosto w łeb znowu? Pionowo trzymałem, jak pan ogniomistrz de Usagre kazał. – Jiménez wzruszył ramionami, sięgając po wycior, żeby wyczyścić gardziel wciąż dymiącej rusznicy. – Wy się, panie Rodrigo, za mocno wszystkim przejmujecie. Za bardzo przez swój własny pryzmat na świat patrzycie!

– A jak mam patrzeć, jak to mnie może w końcu prochu i kul zbraknąć?! Na wiwat nam każą strzelać, jakbyśmy nie mieli na co ich marnować! Myślałby kto, że jest na czyją cześć salwy honorowe oddawać... – zawarczał Rodrigo, patrząc z nieskrywaną nienawiścią na otaczających ich zewsząd Indian. – Cholerne dzikusy.

– Nawet do nich strzelać nie trzeba, a już sami z siebie padają! – zarżał radośnie któryś z arkebuzów.

Faktycznie, przerażeni nagłą salwą Mexikowie podnosili się dopiero z ziemi, patrząc z zabobonnym przestraczem na stojących w rozwiewającej się chmurze siwego dymu przybyszów w lśniących pancerzach. Słyszeli już o przedziwnym orężu ludzi zza Wielkiej Wody, doszły ich słuchy o tym, że biały wódz potrafi przywoływać gromy



z jasnego nieba... A teraz na własne oczy i uszy doświadczyli, że to wszystko prawda!

Dostojnicy w orszaku trzymali się zdecydowanie lepiej, chociaż po ich pobladłych twarzach i wielkich z przestachu oczach widać było, że pokaz odniósł zamierzony skutek. Patrzyli teraz, próbując ukryć zaciekawienie, jak Kastylijczycy nabijają arkebuzy, a załoga działa czyści lufy ogromnym wyciorem.

Żaden z nich nie znał się na broni palnej. Nie wiedzieli więc, że o ile poprzedni strzał oddany był na pusto, to teraz cała broń – zgodnie z rozkazami caudilla – miała być załadowana ostrą amunicją.

Kłęczący wciąż naprzeciwko Cortésa, ubrany w odświętne szaty i pióropusz z piór quetzala Montezuma przełknął ślinę i powoli, wystudiowanym ruchem podniósł się, wyprostował. Władca wiedział, jak zachować kamienną twarz i nie okazać emocji.

A było ich w nim doprawdy niemało.

Po pierwsze stał w końcu przed nim ten na poły mityczny, równie wyczekiwany, co budzący niepokój i przestach biały wódz, sam Cortés.

Po wtóre, błysk i huk broni przybyszów zrobiły też wrażenie na najwyższym królu. Wiedział, domyślał się, że tak właśnie miało się stać: caudillo chciał oszołomić ich, wytrącić z rytmu myśli i czynów. To wyłącznie pokazywało Montezumie, że miał do czynienia z zaiste przebiegłym, doskonale znającym zasady wielkiej gry o władzę oponentem.

No i w końcu kawałek za Cortésem stał ubrany na czarno człowiek o wymalowanych rękach. Ten sam, z którym spojrzenia Montezumy skrzyżowały się wcześniej, podczas wizyty w pałacu, gdy najwyższy król ukrywał się jako jeden z urzędników w orszaku.

Montezuma odetchnął głęboko, przywołał na twarz uśmiech.

Niech poprowadzi go obyczaj.

Myśleć będzie potem.

– Nogi wędrowca są zmęczone. Zaznał wielu trudów i znoju – odezwał się do Cortésa, robiąc zapraszający gest ręką.  
– Montezuma całuje kurz jego stóp, zgina przed nim kark. Niech gość wstąpi do domu Montezumy, niech Tenochtitlán stanie się jego domem.

Żołnierze obydwu stron patrzyli, jak ich wodzowie wymieniają gesty powitalne, dary i grzeczności.

Cortés założył gospodarzowi zdjęty z własnej szyi naszyjnik z pereł i pięknie ciętych szklanych paciorków.

Montezuma z kolei podał mu odebrane od służącego dwa naszyjniki wykonane z nawleczonych na nić czerwonych muszli ślimaków, z których zwieszało się osiem pięknej roboty złotych wisiorów w kształcie krewetek.

Kastylijczycy słuchali caudilla, łowili uchem to, co odpowiadała tłumaczka słowa Montezumy, nieodłączna przy boku Cortésa doña Marina. Ci z przodu powtarzali ciekawskim towarzyszom stojącym dalej za nimi. Cała kolumna, rozciągnięta na przecinającej jezioro grobli, szumiała poszeptem tych samych słów.

W końcu ceremonia powitania dopełniła się. Obaj wodzowie chyba ruszyli dalej piechotą, obok siebie... A może raczej wsiedli do lektyki, którą przybył na miejsce Montezuma? Jakkolwiek Gutiérrez wyciągał szyję i kręcił głową, tego już nie dał rady zobaczyć.

– No i co? – Juanito puknął go w bok, spoglądając z nadzieją na wyższego towarzysza, wspinającego się teraz na palce, żeby dostrzec cokolwiek ponad głowami stojących z przodu.

– Cholera wie... Nie no, poszli przecież dalej, teraz już nie zobaczą! – sapnął Gutiérrez, opadając znów na pięty. – Dobra, tamci z kompanii pana de Leóna się ruszyli, więc mamy jeszcze chwilę... Ale już nasz kapitan do nas idzie, może on coś powie więcej!

– Więcej nie powie, niż sami widzimy. – De Monroy, zapatrzony w widoczne przed nimi miasto, pokręcił głową.

Tenochtitlán.

Wyrastająca wprost z wody, widoczna na tle otaczających jezioro gór metropolia była naprawdę ogromna.

Większa niż jakiegokolwiek miasto, jakie widział którykolwiek z nich. Wymykająca się wręcz postrzeganiu... Niczym obraz wyjęty z jakiejś baśni o dawnych krainach! Jak zaczarowany kasztel, do którego przypadkiem trafiał błędny rycerz z opowieści.

A teraz mieli wkroczyć do niego oni sami.

Kompania przed nimi właśnie ruszała, gdy pomiędzy żołnierzami a brzegiem grobli przecisnął się Zahred.

– I co tam, panie kapitanie? – zagadnął go Gutiérrez z nadzieją w głosie.

Czarny Kapitan jednak albo nie usłyszał, albo po prostu zignorował żołnierza, pogrążony we własnych myślach.

Otaksował spojrzeniem czekających na niego ludzi, schylił się, żeby podrapać pomiędzy uszami truchtającego mu przy nodze psa, po czym spojrzął na trzymającego chorągiew Valdésa i pokazał gestem ręki:

– Naprzód.

Posuwali się powoli, noga za nogą pokonując ciągnącą się pozornie bez końca groblę.

Brama, przed którą odbywało się powitanie, była coraz bliższa, rosła w oczach... Przed nią, na niej i wokół niej,

stłoczeni na łódkach i łódeczkach, czekali miejscowi, ciekawi nieznanym gości.

Kobiety uśmiechały się, machały i spoglądały zalotnie na Kastylijczyków.

Dzieci pokazywały palcami na konnych, tuliły się do matek, gdy prowadzone przez przybyszów psy zanosły się ujadaniem. Mężczyźni z ciekawością przypatrywali się pancerzom i mieczom...

...a oni szli, szli i szli.

Domy ustępowały miejsca pałacom i rezydencjom.

Proste niczym sierpem rzucił ulice krzyżowały się ze sobą, tworząc przestronne place.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się zabudowania, pomiędzy których na ulice wylewała się gęsta, soczysta zieleń ogrodów.

Tenochtitlán!

Kastylijczycy obracali się na lewo i prawo, pokazywali sobie palcami: popatrz, zobacz! A widziałeś tamto? Przecież to się w głowie nie mieści...! O, o! Patrz, patrz tam! To jest naprawdę...

– ...nie do wiary! – sapnął Juanito, patrząc na kolejny z mijanych pałaców. – Przecież tutaj jest piękniej niż u nas w domu! Widzieliście kiedyś takie miasto?!

– Ja nic nie zobaczę, jak będziesz się tak kręcić, bo mi oczy wykłujesz – warknął wiecznie niezadowolony Rodrigo, ręką odsuwając kołyszące się niebezpiecznie blisko jego twarzy żeleźce halabardy.

– No ale popatrzcie sami! Życia nie starczy, żeby to wszystko obejrzeć!

– W rzyć to mi już nogi wchodzą – poźalił się Valverde. – I w gębie zaschło... Myślicie, że dadzą jakieś porządne kwatery?

– Co nam nie dadzą, to caudillo sam weźmie! – zaśmiał się de Monroy.

Caudillo tymczasem kroczył na czele całego pochodu, trzymając brodę wysoko uniesioną i spod półprzymkniętych powiek obserwując, ba! chłonąc mijane widoki.

Obok niego szedł spokojnym, niespiesznym tempem sam Montezuma, pokazując gościowi miasto.

– Gdy dostojny Cortés spojrzy ku prawej stronie, dostrzeże tam już dachy pałacu Axayacatla – tłumaczyła doña Marina. – Tam zarówno dostojny Cortés, jak i jego dzielni wojownicy zaznają wypoczynku.

– Marina, zapytaj go: ile jest pałaców w Tenochtitlán?

– Montezuma mówi, że ich liczba jest równa gwiazdom na niebie, jednak pałac Axayacatla świeci najjaśniejszą z nich. Sam ojciec wielkiego Montezumy mieszkał w jego salach, zaś teraz jego miejsce zajmie dostojny Cortés: zarówno w sercu Montezumy, jak i ponad jego ramieniem. Cortés będzie jako ojciec, zaś Montezuma niczym we wszystkim mu posłuszny syn i sługa...

– Tak powiedział? – zainteresował się caudillo, zerkając na idącego obok najwyższego króla.

– Właśnie tak, panie. Czy mam zapytać go już teraz o poddanie się władzy naszego króla?

– Zaczekaj jeszcze, Marina. Nie teraz... Ale powiedz mu coś, co będzie pasować do nastroju chwili.

Malintzin uśmiechnęła się czarująco, skłoniła głowę i przyłożyła dłoń do serca, patrząc to na Montezumę, to na idącego obok niego brata władcy, możnego i szlachetnego Cuitláhuaca.

– Dostojny Cortés mówi, że gościnność Montezumy jest niczym chłodny źródło obmywający stopy strudzonego wędrowca. Zaznaliśmy fatygi, nasze członki są zmęczone, ale

teraz Montezuma da nam wytchnienie. Nasze serca łączą się z nim, nasza gwiazda świeci jaśniej u jego boku.

Montezuma uśmiechnął się, słysząc tak ciepłe słowa.

Już nabierał tchu, żeby odpowiedzieć, wyrazy wdzięczności i serdeczności niemalże zaczęły opuszczać jego usta...

...a wtedy dostrzegł, że spojrzenie mówiącej to kobiety było puste i zimne niczym wnętrze domu wypalonego pożarem.

Gdy zorientowała się, że zwrócił na nią uwagę, jej twarz od razu przybrała wyraz życzliwego, dobrego spokoju. Uśmiechnęła się do króla promiennie, skłoniła głowę.

Nie opuściła jednak wzroku, pomyślał Montezuma.

Obejrzał się jeszcze raz przez ramię, w kierunku podążających za nimi żołnierzy i dowódców.

Ubrani w kolorowe szaty, obłóczeni w lśniące pancerze, maszerujący pod powiewającymi sztandarami, przypominali wielkiego, wijącego się na ulicach Tenochtitlán węża, najeżonego błyszczącymi grotami włóczni.

Setki, może nawet tysiące twarzy.

Istne mrowie.

Jednak on szukał wśród nich wzrokiem tego jednego człowieka, który zaprzętał jego myśli.

Idący ze swymi ludźmi Zahred widział, jak czoło pochodu skręca i potem zatrzymuje się na placu przed tonącym w soczystej zieleni, pięknie zdobionym gmachem pałacu. Montezuma i Cortés, z tej odległości będący tylko dwiema malutkimi figurkami, wspinali się właśnie po głównych schodach, witani już darami przez oczekujących nadzorców i opiekunów posiadłości.

Ze wszystkich stron otaczali go ludzie.

Przed nim i za nim ciągnęła się kolumna wojska, podzielona na regimenty pod dowództwem poszczególnych

kapitanów. Ulice pełne były gapiów. Wokół rozciągała się tętniąca życiem metropolia.

Ale on w tej chwili czuł, że jest zupełnie sam.

Patrzył i widział, słuchał i słyszał. Jakaś część jego umysłu rejestrowała to, jak zachowywali się poszczególni żołnierze. Zupełnie odruchowo zapamiętywał układ ulic i położenie placów. Konotował sobie i karbował w pamięci drobne fakty, na które zapewne żaden z jego towarzyszy nie zwracał nawet uwagi.

Mijane na każdym skrzyżowaniu publiczne ustępy, przystosowane do wybierania z nich nawozu, potem zapewne używanego do użyźniania upraw.

Studnie i ujęcia wody, do których prowadziły biegnące ponad domami wodociągi.

Przysadziste budynki łaźni publicznych.

Pogrupowane na ulicach warsztaty rzemieślników.

Równo wytyczone przestrzenie placów o jasno wyrażonym przeznaczeniu.

Natomiast to wszystko było na dobrą sprawę nieistotne.

Dotarli tam, gdzie nie powinni byli dotrzeć. Byli w miejscu, w którym nie powinni się być znaleźć. Dwie zupełnie różne cywilizacje, dwa odmienne sposoby myślenia i postrzegania świata. Niekompatybilne, biegunowo wręcz przeciwstawne... Mimo że nie było w używanym ani przez jednych, ani drugich języku właściwych słów, aby wyrazić to pojęcie.

Niemalże czuł, jak w powietrzu wisi wręcz namacalne napięcie.

Jak wtedy, gdy w gorącym, parnym powietrzu lata nagle pojawia się na horyzoncie ciężka, niosąca w sobie obietnicę grzmotu i błysku chmura burzowa.

To właśnie Kastyljczycy, ciężcy stalą i prochem, byli tą chmurą, która nadciągała nad Tenochtitlán.

Widział, znał i przerabiał takich scenariuszy dziesiątki, setki. Może nawet tysiące.

Uczta, na którą Har-Namib zaprosił władców Qanan.

Otwarcie bram Uruk przed armią Sargona.

Inki-Enlil przybywający z poselstwem do władców Srebrnych Wód.

Posłowie z Ilionu dobijający okrętami do nabrzeża portu w Sparcie.

Aleksander wkraczający do Babilonu.

Cezar prowadzący swój Trzynasty Legion brodem przez Rubikon...

Wiedział, jak to się skończy. Nie było innej możliwości. Wystarczyło spojrzeć na twarze Kastylijczyków, żeby móc już teraz odgadnąć myśli, z których oni sami jeszcze nie zaczęli zdawać sobie sprawy.

Jednak tym razem, w tym mieście, pośród tych ludzi, coś było... inaczej.

Zahred potrząsnął głową, odganiając mroczne myśli z przeszłości: dość. Jego życie było tu i teraz, a on musiał skoncentrować się na tym, co mogło go oczekiwać.

– Jedno życie, jedna śmierć – mruknął do siebie, stawiając pierwszy krok na stopniach prowadzących do pałacu.

Wchodzący do gmachu Kastylijczycy rozglądali się, zadzierając głowy ku malowidłom na sklepieniu i ścianach.

Co za przepych!

Kolorowe kwiaty i rośliny, twarze i postacie, geometryczne wzory – wszystko to przeplatało się na freskach, układało w niesamowity korowód barw, odcieni i kształtów.

Kamienna podłoga ciągnęła się idealnie równą powierzchnią, w ścianach otwierały się szerokie przejścia, w których delikatnie kołysały się w powiewach zefirku cienkie niczym pajęczyny zasłony.



Wewnętrzne dziedzińce tonęły w zieleni, szemrały cicho wodotryski.

Stojąca pod ścianami służba gięła się w pokłonach, trzymając misy pełne owoców, mięsiwa i chleba.

– Ej, myślicie, że to... A zresztą co mi tam! – zaśmiał się Valdés.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, chorąży wcisnął drzewce sztandaru idącemu obok towarzyszowi, wyłamał się z szyku i podskoczył do jednego z czekających w przejściu chłopaczków. Chwytał najczerwieńszy, najdojrzały owoc, drugą ręką złapał tyle placków, ile tylko dał radę wziąć, i zanurkował z powrotem pomiędzy towarzyszami.

Przez chwilę patrzyli na niego zdumieni.

On jednak zaśmiał się głośno i zatopił zęby w zdobyczy; po brodzie pociekł mu strużką sok, mężczyzna oderwał szarpnięciem kęs soczystego mięszu.

Niczym nagle spuszczone ze smyczy psy, jak odczarowani z kamienia dotknięciem magicznej różdżki, Kastylijczycy rzucili się ku ludziom z misami. Każdy brał, co tylko mógł, cokolwiek wpadło mu w ręce! Całymi garściami zaczerpywali orzechy, chwyтали naręcza placków, wyrywali służącym dzbany z *pulque*... Któryś wyszarpnął dziewczynie całą złotą misę pełną kawałków pieczonego mięsiwa, przytulił do piersi: moje...!

Cortés obejrzał się przelotnie, słysząc wrzawę, ale nie zwolnił nawet kroku, upojony chwilą.

Wkraczali właśnie, Montezuma i on, do przestronnej sali, otwartej na jeden z niezliczonych podwórców. Sali niemalże całkowicie pustej – jeśli nie liczyć stojącego pośrodku niej szczerozłotego tronu.

– Montezuma mówi: oto miejsce, do którego przybyłeś – odezwała się doña Marina, zaś w jej drżącym głosie Cortés usłyszał najdelikatniejsze nutki poruszenia. – Musiałeś

doświadczyć wielkiej fatygi, ale teraz zaznasz odpoczynku. Ojciec Montezumy mówił mu zawsze, że jesteśmy tu, na tym świecie, zaledwie przechodniami, którzy pilnują rzeczy powierzonych nam przez przodków...

– Powiedz mu, Marina, że jego słowa są bliskie mojemu sercu – wtrącił się Cortés. – I podobnie nasza wiara uczy nas, że doczesność przemija, a wieczność trwa.

Kobieta zająknęła się, przetłumaczyła słowa. Król pokiwał głową, przyłożył dłoń do serca.

– ...jako że dawni władcy odeszli, a pośród nich mój ojciec, to ich tron stoi teraz pusty. Zasiądź więc na nim i bądź tym, kim uczynili cię los i bogowie. My zaś będziemy twoimi przyjaciółmi, braćmi, sługami i poddanymi twojego króla, jeśli tylko to przyczyni mu radości.

Cortés spojrzał dziko na Malintzin, ale ta tylko pokiwała głową, otwierając szeroko oczy: tak właśnie powiedział!

– Niech zatem... – Cortés nabrał głęboko tchu, czując, jak w piersi wali mu serce. Ta chwila, ta parada przez miasto, te słowa! To było wprost nie do wiary! – Niech tak się stanie, a my obejmujemy ten pałac, te ziemie, to królestwo w nasze władanie w imię naszego miłościwie panującego, z Bożej łaski króla i suwerena Karola!

Montezuma drgnął, słysząc tłumaczone przez kobietę słowa.

Uśmiechnął się, zawstydzony ewidentnym nieporozumieniem, i już, już otwierał usta, żeby wyprowadzić białego wodza z błędu... Lecz nim zdążył wyjaśnić oczywistą pomyłkę w komunikacji, biały wódz Cortés już zasiadł na tronie ojca Montezumy, potoczył dumnym wzrokiem po oniemiałych z wrażenia, tłoczących się w sali ludziach.

Niech tak będzie, pomyślał Montezuma.

Gościnność i uprzejmość były najważniejszą cnotą powierzoną Mexikom przez bogów.

To, co zostanie powiedziane i uczynione w gościnie, pokazuje oddanie gospodarza gościom i przyczynia mu chwały w życiu ziemskim, a potem u boku przodków.

Jego goście zza Wielkiej Wody na pewno mieli swoje własne formułki i słowa wygłaszane w takich okolicznościach.

Jednakże Montezumę obowiązywała jego własna gościnność, jego tradycje, więc on podejmie ich wedle swojego obyczaju.

– Goście są teraz w swoim kraju ojczystym, są we własnym domu – powiedział, kończąc zwyczajową zrytualizowaną formułkę powitania równych sobie władców. – Niech wszyscy będą im posłuszni, niech uznają Cortésa za pana, namiestnika wielkiego władcy. Nie ma w tym błędu, nie zaznasz w tym podstępu. Niech biały wódz rozkazuje, a jego słowa staną się czynem. Niech goście cieszą się i odpoczywają, znużeni podróżą i bitwami.

Cortés nie powiedział nic, czując, jak serce bije mu w piersi niczym dzwon.

Był tutaj, na nieznanym terytorium nieodkrytych do tej pory ziem.

Znalazł imperium, poprowadził swoich ludzi do zwycięstwa.

Zdobył łupy, o jakich żadnemu z nich się nie śniło.

A teraz siedział na szczytym tronie, zaś Montezuma giął się przed nim w ukłonie.

Ten sam Montezuma, którego tak się obawiali. O którym mówili wszyscy po drodze, wychwalając go pod niebiosa i drżąc z trwogi, wspominając jego przewagi wojenne. Ten, który miał być postrachem, ucieleśnieniem władzy, istną nemezis...

...mówił teraz, że jest jego sługą!

Widząc, że biały wódz nie odpowiada i nie zaprzecza tak, jak wymagała tego sformalizowana tradycja podobnej rangi spotkań, Montezuma odchrząknął i wyprostował się.

No cóż, rolą gospodarza było łatanie dziur w obyczajach tam, gdzie dwa sposoby postępowania rozchodziły się w przeciwne strony.

– Niech goście odpoczną teraz, zaznają spokoju – powiedział raz jeszcze. – Montezuma pożegna Cortésa i jego wojowników, aby doglądać należytego zakwaterowania innych gości. Wszyscy, nawet wiarołomni Cholultekowie i niepokorni Tlaxcaltekowie, otrzymają należytą gościnę. Cortés jest we własnym domu, zaś Montezuma odwiedzi go ponownie po wieczerzy. Niech kurz drogi opadnie z jego stóp.

Caudillo spojrział tylko na niego i kiwnął głową, nie do końca nawet rozumiejąc słowa szeptane mu do ucha gorącym, rwanym oddechem doña Mariny.

Patrzył, jak Montezuma skłania się przed nim jeszcze raz, potem odwraca się i odchodzi, a wraz z nim opuszcza salę orszak mexickich dostojników.



– Mówię wam, że nam się zhołdował! Na własne uszy słyszałem, co doña Marina mówiła!

– Co wy opowiadacie, panie! Witali nas po prostu! – odezwał się de Guzmán, plując okruszkami kukurydzianego placka. – Prawda, że nasz caudillo na tym tronie usiadł, ale...

– Widzicie?! Sami widzieliście, wszyscy widzieli! – nie odpuszczał pan Vázquez de Tapia. – A ja jeszcze słyszałem, bo najbliżej stałem!

– P-p-przede mnie żeście się wci-ci-cisnęli – pożalił się z wyrzutem de León, sięgając po kolejny kawałek pieczeni.

– Było swojego miejsca pilnować, a nie się za babami oglądać! Zobaczyłem, że miejsce zwolnione, to stanąłem! I mówię wam, że słyszałem tak, jak was słyszę: Montezuma naszemu caudillowi wierność przysięgał!

Siedzący na matach kapitanowie zamruczeli, nie bardzo wiedząc, co by tu powiedzieć.

Każdy z nich otrzymał kwaterę, w której bez najmniejszego trudu pomieścili się ze swoimi żołnierzami. Ludzie dostali chleb, mięso i owoce. Konie zaopatrzone w wodę i świeżą trawę. Ponadto Montezuma przysłał im jeszcze więcej darów, służbę, zapasy i kobiety mające na miejscu rozcierać ziarno na mąkę i piec świeże kukurydziane placki.

Wszyscy mieli to samo wrażenie: byli tutaj podejmowani jak zdobywcy. Fetowani jak zwycięzcy, mimo że nie musieli stoczyć o to nawet walnej bitwy.

I rzeczywiście można było odnieść wrażenie, że tak samo traktował ich Montezuma.

Przecież tamten wyraźnie dał do zrozumienia Cortésowi, żeby zasiadł na jego tronie! Wszyscy to widzieli!

– Te dzikusy jedno mówią, a co innego robią – warknął Alonso de Ávila. – Dziś się będą w pas kłaniać, a jutro poderzną nam gardła na swoich pogańskich ołtarzach...

– Warto będzie – uśmiechnęła się d’Estrada.

– Tfu, pani! Wyplujcie te słowa...!

– Warto, mówię! Może wam nie przeszkadza, panie, jak wam towarzysze przez sen pierdzą, śmierdzą i bekają... A ja wreszcie mam tu odrobinę spokoju, za którą po drodze nie raz dałabym się pokroić. I teraz powtarzam, że nawet jeśli chcą nas wymordować, to jest warto.

No cóż, słyszeli przecież, że pani Maria d'Estrada zajęła dla siebie całą jedną salę, z której wygoniła już rozkładających tam posłania towarzyszy. Ponoć nawet zawiesiła w drzwiach zasłonę i od razu kazała sobie przynieść wodę w złotej misie, żeby się porządnie umyć... Ot, jak to kobiety do luksusów lgnęły!

Ale ona mogła być zadowolona z tego, co miała – zaś oni bali się, co można im było zabrać.

– Mówię wam, że nas wymordują! – powtórzył de Ávila. – W ofierze złożą! Widzieliście czaszki przy tamtej piramidzie, którą żeśmy mijali?!

– A ja wam mówię, co słyszałem! Nie tkną nas, bo Montezuma się naszemu królowi zhołdował! – zaperzył się de Tapia.

– Może doña Marina podkoloryzowała to i owo!... – zaśmiał się pan de Barrameda. – A przecież to, co z nią caudillo w zaciszu alkowy wyprawia, nie wymaga słów... Nieprawdaż, drodzy panowie?

– Zważcie na słowa, dobry panie, bo nie o byle kim tutaj mówicie – zareagował nieoczekiwanie zimno i ostro de Sandoval.

– Ależ o co te nerwy od razu? Ja tylko...

– *Pax, pax*, dobrzy panowie. – Ojciec de Olmedo podniósł rękę. – Prawda taka, że słowa słowami, dobrzy panowie, a gesty były jasne. I ja też skłaniałbym się ku tej samej interpretacji, że Montezuma na siebie zwierzchność przyjął.

– Ba, ale czyją? Naszego caudilla? Czy raczej króla? – zapytał pan de Tapia.

– Chrześcijańską zwierzchność, dobry panie. Władza świecka ustępuje pierwszeństwa duchowej, a ja nie wątpię, że damy radę krzewić tutaj również jedyną słuszną wiarę chrześcijańską.

– Wy już, ojcze, katedry tutaj wznosić jesteście gotowi! – zaśmiał się Juan de Cuéllar.

– Każdy z nas tutaj obecnych, dobrzy panowie, przykładać powinien rękę do zbożnego trudu...

– A co z nieobecnymi? – rzucił w przestrzeń de Sandoval.

Rozmowy umilkły, spojrzeli na niego zdumieni. Ojciec de Olmedo odchrząknął, wzruszył ramionami.

– Dobry panie, doprawdy? Nasz caudillo jest teraz na rozmowie z Montezumą, który...

– Nie o nim mówię, ojcze.

Kastylijczycy popatrzyli po sobie nawzajem, zastanawiając się: kogo jeszcze miałoby brakować...? Przecież byli tutaj wszyscy!

Nie wszyscy jednak, bo jednego brakowało.

I to kogoś, kto nawet nie kwalifikował się do kategorii „jednego z nich”.

Tego, który i tak nie pasował do reszty tak bardzo, że jego nieobecność podczas wieczornej posiadówki przeszła praktycznie niezauważona.

Tego, który od początku wyprawy trzymał się na uboczu... A im dalej zapuszczali się w terytorium Mexików, tym dziwniej się zachowywał.

De Sandoval uśmiechnął się wrednie i wgrzył w trzymane w dłoni udko.



– Zahred? To wy, panie?

– Ja, nikt inny. Spokojnie, żołnierzu, nic się nie dzieje. Wszystko u was w porządku, del Salto? Noc mija bez przygód?

Postać wyłoniła się z mroku, przybierając kształt kapitana idącego z nieodłącznym psem u boku. Wartownik sapnął uspokoiony i postawił przy nodze już nastawioną rohatynę.

Pozwolił sobie na przelotny uśmiech zadowolenia: no proszę, bliski towarzysz samego caudilla znał go z nazwiska! Odetchnął głęboko i potrząsnął głową.

– Wszystko dobrze, panie! Cholulteki i Tlaxcalteki już wszystkie ściągęli, jeszcze z godzinę temu hałasowali, ale teraz już dzikusy cicho siedzą. Każdy znalazł coś dla siebie, kobiety, te, co je nam Montezuma przysłał, też po kwaterach rozdzielone... Tylko się pobili o jedną.

– Kto tym razem? – Zahred pokręcił głową. Sam też rozsądzał już kilka podobnych sporów.

– Ano pani d'Estrada się ścięła z jednym z naszych o taką małą, co ją dla siebie chciała. Tfu, bezceństwo nienaturalne, sodomia i gomoria! – zaśmiał się żołdak. – A wy co, panie? Po nocy chodzicie, spać nie możecie?

Zahred poklepał go po ramieniu, odwzajemnił uśmiech. Potem jednak jego twarz stężała; zacisnął dłoń położoną na barku tamtego.

– Piękna noc, chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza... Tylko nie nazywajcie ich tak, żołnierzu.

– Że niby kogo...?

– Tych, o których mówiliście przed chwilą.

– Że niby pani d'Estrada? Panie kapitanie, ale ja bym nie śmiał... Przecież nic o niej złego nie powiedziałem!

– Miejscowych, żołnierzu. Mexików. Nie mówcie o nich tak.

– A, że ich... Dobrze, panie. Jak powiecie, panie. – Trochę zdziwiony del Salto wzruszył ramionami.

– I nie śpijcie aby na posterunku, bo caudillo będzie zły. Kefren, chodź! – Zahred cmoknął na psa, wyminął wartownika i przeszedł dalej, w kierunku wschodniego skrzydła pałacu.



Kroczył niespiesznie, wsłuchując się w odgłosy nocy wiszącej nad wielkim miastem.

Był już listopad.

Siąpił lekki deszczyk, przenikliwy chłód tutejszej jesieni powoli ustępował miejsca zwykłemu zimnu, jeszcze dotkliwшему tutaj ze względu na bliskość wody, więc cykady milczały.

Od czasu do czasu słyhać było, jak gdzieś odbywa się nocny ptak albo gdzieś na wzgórzach nawołują się poszczekiwaniami dzikie zwierzęta.

Ze szczytu największej świątyni odezwały się przeciągłym, niskim buczeniem konchowe trąby: to kapłani obwieszczali, że stary dzień odchodził, zaś na jego miejsce miał wkrótce narodzić się nowy świt.

Po chwili zawtórowały im podobne sygnały z pozostałych piramid, zaś po nich nadpłynęły dalekim echem sygnały z pomniejszych świątyni, rozrzuconych po okolicznych górach.

Natomiast poza tym miasto było zaskakująco ciche, milczące. Jak gdyby oniemiało po tym, jak przebrzmiały w nich kroki ciężkich butów Kastylijczyków, a teraz bało się nawet zaczerpnąć głębiej tchu.

Znał ten szczególny rodzaj ciszy, która teraz przepełniała go niewypowiedzianą obawą.

– Xahuatl! – ucieszył się jeden z siedzących przy ognisku tlaxcalteckich wartowników. – Xahuatl przyszedł do swoich braci, aby razem z nimi patrzeć, jak gwiazdy wędrują po niebie?

Zahred przyłożył dłoń do serca, potem dotknął ziemi i ucałował palce na znak szacunku.

– Xahuatl przychodzi, aby upewnić się, że wojownicy Tlaxcali mają wszystko, czego im potrzeba.

– Tlaxcaltekwie ledwie się pokazali, a Meksykowie już oddali im pół pałacu! – zaśmiał się wartownik. – Przynieśli im świeże placki i soczyste owoce, a kiedy wstanie słońce, przyniosą jeszcze więcej!

Zahred skinął głową wojownikowi i jego towarzyszom. Zostawił ich zawiniętych w opończe przy tłym się ognisku, a sam ruszył w głąb pałacu.

Tak, Meksykowie naprawdę podjęli ich po królewsku.

Przedsionki, dziedzińce i niezliczone pomieszczenia, pięknie zdobione ściany i plecione maty, wiszące w przejściach kotary, malowidła i płaskorzeźby... Stojący przy samym wielkim placu kompleks pałacu Axayacatla był imponujący.

Jeśli tylko jednej rezydencji – a na pewno Montezuma posiadał ich więcej! – wystarczyło, aby pomieścić w niej wszystkich członków ekspedycji, to ile dziesiątek, setek tysięcy ludzi musiało zamieszkiwać samo Tenochtitlán?!

Jak ogromne musiało być więc Imperium Słońca, jak potężna strzegła go armia?

A jednak nie trzeba było armii, aby dotrzeć do samego jego serca.



Xicotencatl potoczył wzrokiem po zgromadzonych w kręgu wokół ognia.

– Co wiedzą bracia Xicotencatla o kobiecie, która towarzyszy Cortésowi? – zapytał krótko.

Popatrzyli po sobie, czekając, który pierwszy się odezwie, odpowiadając na tak nietypowe pytanie młodego wodza.

W końcu, widząc, że milczenie przedłuża się ponad miarę, z kręgu wystąpił sędziwy już Mecatli.

– Xicotencatl pyta braci o to, co wiedzą wszyscy? Czy o to, czego nie wie nikt? – zaskrzypiał, z trudem przeciskając dźwięki przez gardło, niegdyś przebite totonacką strzałą. – Która kobieta? Niech jego pytania nie będą jak kłęb dymu nocą!

Xicotencatl zamruczał z niezadowoleniem, cmoknął i poskubał palcami wpuszczony w dolną wargę krąg obsydianu. Och, jakże trudno było mu ująć w słowa nawet część tych myśli, które ostatnio kłębiły mu się w głowie!

– Xicotencatl pyta braci o to, skąd pochodzi ta, którą nazywają Wysoką Piękną Trawą – zaczął od tego końca supła, który już wcześniej pewnie namacał we własnej głowie.

– Malintzin zatem – rzekł Mecatli, po czym cofnął się pomiędzy pozostałych. – Niech mówią inni. Mecatli tego nie wie.

– Yochichuitl słyszał, że urodziła się w Olutli. Jej matka sprzedała ją w niewolę – odezwał się jeden z wojowników.

– Tak, Xicotencatl też słyszał podobnie o tym, że ojciec Malintzin umarł, a matka znalazła sobie nowego męża. I do kogo trafiła?

– Jej matka? – nie zrozumiał Tihuatzin.

– Malintzin...! – warknął Xicotencatl.

Odkąd Xicotencatl zaczął rozmawiać z Xahuatlem, miał wrażenie, że do tej pory zupełnie wystarczający mu do wszystkiego szlachetny język *nahuatl* stał się nagle ciasny. Jak gdyby pewne rzeczy, pewne... kawałki rzeczy... odbłaski barw... inne odcienie tego samego koloru...

Sapnął, czując, jak narasta w nim frustracja z powodu czegoś, czego nawet nie potrafił wyrazić myślą, a co dopiero słowami.

Jak gdyby jego własne myśli krępowwała niewidzialna granica! I nie to, że nie był w stanie jej przekroczyć. Byłby, z całą pewnością. Gdyby tylko potrafił ją nazwać i opisać. A nie mógł, bo go ograniczała.

Niczym zarzucony na głowę worek z kolorowym wzorem: jak tu opisać jego barwy, gdy człowiek nic nie widzi?

I najbardziej irytowała młodego wodza ta właśnie niemoc, na którą nie mógł nic poradzić.

Clamecahua wzruszył ramionami, wyduł policzki i rozłożył ręce.

– To czemu Xicotencatl nie zapyta samej Malintzin? Po co domaga się wiedzy od tych, których przy tym nie było?

– Ponieważ Xicotencatl jest ciekawy, a nie głupi! – odgryzł się młody wódz.

– Ach. Xicotencatl pyta zatem o to za plecami Malintzin... – rzekł domyślniejszy od reszty Maxixcatzin.

– Może Xicotencatl szuka sobie żony? – rzucił zaczepnie stojący przy ojcu Chichimecatecle.

Xicotencatl zacisnął pięść, ale zdecydował się zignorować uwagę bezczelnego młodzika. Tym bardziej że nawet gdyby chciał wyzwać go na pojedynek, nie przysporzyłoby mu to chwały, bo tamten wciąż był słaby po ciosie otrzymanym podczas bitwy z białymi.

Potrząsnął głową, próbując poukładać myśli.

– Xicotencatl pyta braci z Tlaxcali... Niech powiedzą mu: po której stronie stała Malintzin, kiedy skrzyżowaliśmy miecze z białymi? – spróbował inaczej podejść do tematu.

– Po stronie białych! – odpowiedzieli jak jeden mąż wodzowie.

– A gdzie była, gdy zawarliśmy z nimi przymierze?

– U boku Cortésa – odpowiedział Maxixcatzin.

– Z kim zatem najpierw walczyli, a potem pogodzili się i zawarli przymierze wojownicy Tlaxcali?

– Z wojownikami Cortésa. Do czego dąży Xicotencatl?

– Do tego, że Malintzin nie jest wojownikiem Cortésa i nie jest godna tego, żeby Xicotencatl z nią rozmawiał. Zamiast tego rozmawia z tymi, których uważa za swoich braci i którym ufa.

Wodzowie i wojownicy popatrzyli po sobie ponownie, zmarszczyli brwi, w końcu pokiwali głowami: no prawda, prawda. Czyli Malintzin nie należało ufać. A więc... a więc Xicotencatl miał słuszność, chcąc się o nią jak najwięcej rozpytać.

– A czego konkretnie chce się dowiedzieć Xicotencatl i po co? – zaciekawiał się Tonahuac. – Może Xicotencatl chce sprawdzić, czy Malintzin nie jest zimno w łóżu Cortésa...?

Xicotencatl przewrócił oczami na znak tego, że uważał słowa Tonahuaca za nedorzeczne.

Jednak głęboko w sobie czuł, że musi podejść do tej kwestii jakoś inaczej. Jeśli zapyta ich wprost, to nie tylko gotowi go wyśmiać... Ale któryś z nich może wręcz wynieść wiedzę na zewnątrz, poza zgromadzenie.

Na przykład taki Chichimecatecle.

Zaś na to Xicotencatl nie mógł sobie pozwolić. Owszem, był wojownikiem. Jego myślenie było proste... Ale na pewno nie należał do głupców.

– Xicotencatl wolałby położyć się spać w gnieździe skalnych żmij – odparł z godnością. – Jeśli Tonahuac nie boi się wsuwać tam nie tylko ręki czy nogi, ale też innych wystających części swego ciała, to jest nierozsądny niczym trzyletnie dziecko Otomi.

– Dzieci Otomi są rozsądne – odezwał się stojący wśród wodzów Maxcatl.

Tlaxcaltekwie poruszyli się zdumieni. Duża część z nich dopiero teraz spostrzegła, że Maxcatl jest obecny pomiędzy nimi, tylko milczy... Zresztą na tyle przywykli już do tego, że małomówny wódz Otomi śpi, je, pije i chodzi z nimi wszędzie, że czasami wręcz zapominali o jego istnieniu.

– Tak, Maxcatl ma rację. – Xicotencatl pospieszył z załagodzeniem potencjalnego sporu. – A więc? Co wiedzą bracia Xicotencatla? Gdzie Malintzin była w niewoli?

Popatrzyli znów po sobie.

Czuli, że rozmowa ma jakieś drugie dno... Jednak tak samo jak Xicotencatl nie potrafił dość dobrze ubrać w słowa tego, co go niepokoiło, tak oni nie do końca czuli, co jest nie tak z tymi pytaniami.

– Mówią, że sprzedawali ją i oddawali jedni drugim, aż trafiła do Potonchán. Kiedy biały wódz pobił tamtejszych wojowników, oni oddali mu dwanaście kobiet, między którymi była też Malintzin – odezwał się Chemicimacatl.

– Potonchán. Dobrze. – Xicotencatl oblizwał nerwowo usta. – I wtedy zaczęła przekładać słowa Cortésa na język *nahuatl*?

– O co właściwie pyta Xicotencatl? – zaskrzypiał zniecierpliwiony Mecatli.

Młody wódz otworzył usta.

Już, już miał na końcu języka tę myśl.

Już miał ubrać w słowa to, co ledwie dawał radę sformułować w myślach, kiedy od wejścia rozległ się głos:

– Xahuatl całuje ziemię u stóp wodzów walecznej Tlaxcali!



Zahred stanął na progu sali, w której nocowali co znaczniejsi z wojowników ich sprzymierzeńców.

– Xahuatl całuje ziemię u stóp wodzów walecznej Tlaxcali!  
– odezwał się głośno.

Tlaxcaltekwie nie spali jeszcze, zamiast tego stojąc w ciasnym kręgu wokół ognia. Teraz odwrócili się ku wejściu, cokolwiek spłoszeni – zupełnie jak ludzie rozmawiający o czymś tylko we własnym gronie, których nagle najdzie ktoś obcy... Ale zaraz uspokoili się i rozluźnili.

– Xahuatl! – Stojący pośród wojowników Xicotencatl ucieszył się i podszedł, aby czym prędzej uścisnąć Zahreda. Inni wodzowie, możni i wojownicy też powitali go czy to oszczędnym kiwnięciem głową, czy przyjacielskim ruchem ręki.  
– Oczy Xicotencatla radują się, gdy jego przyjaciel staje przed nim w dobrym zdrowiu!

– Xahuatl zaś czuje się dobrze, gdy otaczają go bliscy jego sercu. Porozmawiajmy na osobności.

Xicotencatl skinął głową pozostałym. Ci zamruczeli, lekko speszeni: dopiero co poproszono ich tutaj na rozmowę, a teraz sam inicjator narady idzie mówić z kim innym? Jednak Xahuatl miał wśród nich dobrze wyrobione i ugruntowane poważanie, więc nikt nie odważył się otwarcie wyrazić niezadowolenia.

Zaczęli rozchodzić się każdy ku swoim ludziom; tymczasem Zahred wraz z Xicotencatlem wyszli ze wspólnego pomieszczenia, zagłębili się pomiędzy rosnące na jednym z dziedzińców drzewa i krzewy.

– Xahuatl jest zaniepokojony, skoro zamiast snu towarzyszy mu jego pies – stwierdził bez ogródek Xicotencatl, patrząc na Kefrena, truchtającego u nogi przyjaciela.

– Tak, to prawda... Ale i Xicotencatl też. O czym rozmawiał z wojownikami?

– Próbował znaleźć coś, o czym sam nie wie, czym jest – sapnął tamten bezradnie.

Zahred poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Xahuatl ma podobny problem w swoim życiu. Niech zatem Xicotencatl powie mu coś, co łatwiej ubrać w słowa: co widział, gdy wchodził z wojownikami do miasta?

– Ulice. Domy. Ludzi. Drogę przez wodę. Łodzie. Dużo kobiet.

– Ale nie widział wojowników Montezumy.

– Ani jednego Orła, żadnych wojowników Jaguara. Tylko dowódców, generałów i urzędników... Xahuatl obawia się, że armie są gdzie indziej. – Xicotencatl zmrużył oczy.

– Tak. Co mówią inni wojownicy z naszego orszaku? Co mówią Tlaxcaltekwie, Otomi i synowie Choluli?

Xicotencatl skrzywił się, potarł palce o siebie i przyjrzał się wnętrzu dłoni. Potem spojrzał wprost na Zahreda.

– Cieszą się, że weszliśmy do Tenochtitlán. Radują się darami i tym, jak są podejmowani. Nie rozumieją jednak, dlaczego Cortés stał się teraz przyjacielem Montezumy.

– Mhmm... To samo zastanawia Xahuatla.

– Xahuatl nie ufa białemu wodzowi.

– Nie.

– Dlaczego więc Xahuatl nie wyzwie go do walki, aby wyjąć z jego piersi Czerwoną Gwiazdę, którą potem ofiaruje na ołtarzu bogów?

Zahred uśmiechnął się, pokiwał głową.

– Tak, to byłoby dość proste... Ale niestety, nie rozwiąże większego problemu. Nie da się po prostu zabić wszystkich, którzy myślą inaczej od ciebie...

– Xicotencatl kocha Xahuatla jak brata, ale Xahuatl się myli: da się.



– No dobrze, da się. Racja. Tylko że to... – Zahred westchnął, przewrócił oczami. – Nie chcę tego znów robić. Na pewno nie rozpatrywać tego jako pierwszego rozwiązania.

– Co więc trapi Xahuatla?

– Nie wiem. Boję się tego, że tu jesteśmy. Że weszliśmy tu bez walki, że traktują nas tutaj jak przyjaciół. Że dopiero co mieliśmy nieść tu ogień i miecz, a teraz narracja się zmienia. Boję się tej ciszy, która wisi nad miastem... I tego, że któryś z nich dwóch popełni błąd.

– „Narracja”? – przechylił głowę Xicotencatl. – To słowo z języka Xahuatla? Co znaczy?

– Narracja to... zresztą nieważne. Czy Xicotencatl ruszy jutro z Xahuatlem na zwiedzanie miasta?

– Gdzie mój brat Xahuatl, tam i ja! – rozpromienił się młody wódz.

Zahred pozwolił sobie na uśmiech i podniósł twarz ku księżycowi.

Noc była naprawdę piękna.



Noc była naprawdę piękna.

Montezuma siedział ze skrzyżowanymi nogami na dachu swego pałacu, jak co noc spoglądając ku wschodowi, gdzie miał narodzić się kolejny, nowy, zesłany przez bogów dzień.

Władca czuł zmęczenie, wlewające się w jego członki ciężarem po tym wszystkim, co wydarzyło się od tego poranka.

W głowie króla wciąż kotłowały się myśli, przelewające się i wijące śliskimi splotami, splatające się jedna z drugą

i wymykające tym skuteczniej, im bardziej próbował je chwycić.

Zaczerpnął głęboko zimnego powietrza, wraz z nim wciągając w płuca gęsty obłok gryzącego dymu z płonących wokół kadzideł.

Jakaś część jego umysłu była świadoma tego, że wokół niego klęczą na słomianych matach kapłani. Przy każdym z nich czuwało dwóch akolitów, pilnujących, żeby węgle paliły się równo, i dorzucających na żar grudki aromatycznej żywicy ze świętych drzew.

Jednak w tamtym momencie Montezuma był sam. Sam wewnątrz swojej własnej głowy, rozpatrując wydarzenia dnia minionego.

Do jego miasta, do stolicy jego imperium, w końcu dotarli tak długo wyczekiwani biali przybysze zza Wielkiej Wody.

To, co mogło jawić się jako ustępstwo i oznaka słabości, dla niego było wielkim tryumfem. Zwycięstwem nad samym sobą: oto nareszcie stawiał czoła swoim strachom.

Zdołał stanąć twarzą w twarz z koszmarami, które prześladowały go od tygodni.

Spotkał się z białym wodzem, z tym, którego nazywali Cortés.

Przywitał go, jak nakazywał obyczaj.

Podjął gościna, oddając do dyspozycji pałac ojca.

Zapewnił o swej najwyższej przyjaźni. Dał do zrozumienia, że pragnie z królem Cortésa pokoju i przyjaźni, a nie wojny i gniewu.

Jednak nadal nie był pewien: czy przybysze byli bogami?

Czy może posłańcami bogów?

A może...

...może po prostu ludźmi?

Zadrzał, wspominając moment, kiedy żelazne rury niesione przez gości plunęły burzowymi obłokami, z których uleciał grzmot i błysk. Wtedy serce Montezumy też zatrzepotało przerażone...

Ale wbrew temu, co wielokrotnie powtarzali posłańcy i na co przysięgał ten nieudolny pies ambasador i namiestnik Teudile, zakłute w metalu gromy nikogo nie zabiły!

Poza tym wysłannicy Montezumy, jego urzędnicy, przesłuchana służba, nawet specjalnie wysłane do przybyszów prostytutki, wszyscy mówili to samo: biali ludzie jedli, wydalali, spali, uprawiali miłość i opadali po niej z sił tak samo jak wszyscy inni śmiertelnicy!

Ich wielkie jelenie też potrzebowały trawy i wody. Miały języki i zęby z jednej strony, a otwory do nieczystości z drugiej. Ich żołądki burczały i bulgotały, a w żyłach płynęła krew.

Nawet wielkie, groźne i szczekające psy były właśnie tym – psami. Niczym więcej.

Tak, pomyślał Montezuma, być może jego strach i rozterki były przedwczesne. Biali ludzie z pewnością nie byli tym, za co w pierwszej chwili ich uznano... I być może zarówno stwarzane przez nich zagrożenie, jak i powiązania ze światem nadprzyrodzonym były zwyczajnie przesadzone.

Natomiast był pomiędzy nimi ten jeden człowiek, którego widoku nie mógł zapomnieć.

Nie był ani największy, ani najsilniejszy spośród przybyszów. Nie był ubrany dostatej. Wcale nie wyglądał na wielkiego wojownika.

Montezuma wiedział, że wygląd potrafi być zwodniczy. Doskonale wiedział, że...

Wzdrygnął się, gdy coś zatrzepotało mu przed twarzą, a potem załaskotało w sam czubek nosa. Czując, jak jego umysł

wciąż błądzi po bezdrożach pod lśnjącymi gwiazdami, powoli podniósł ociężałe powieki.

Zamrugął.

Zrobił zeza, próbując zrozumieć, na co takiego patrzy.

Na samym grzbiecie nosa wielkiego króla Montezumy, niczym przyklejony do skały kielich kwiatu, siedział Obsydianowy Motyl.

Władca z sykiem wciągnął powietrze, a potem zamarł w bezruchu.

Motyl powoli poruszył skrzydłami.

Obsydianowy Motyl.

Kamień, Który Tnie Noc.

Ucieleśnienie mocy bogini Ītzpāpālōtl.

Ītzpāpālōtl – Władająca Mglistym Niebem, w którym ze zmielonych kości bogów wymieszanych z krwią ofiar ulepiono niegdyś pierwszą parę ludzi.

Władczyni królestwa, w którym mądrzy Tlaltecuin i Xuchicahuaca pokazali swoim braciom i siostrom, jak pisać święte księgi, zliczać lata, przewidywać przeznaczenie i interpretować sny.

Ta, Co Panuje Ponad Nienazwanym i Nieprzeniknionym.

Ogromna, wielka niczym rozłożona dłoń ćma poruszyła skrzydłami z delikatnym, zaskakująco wyrazistym wzorem łupanych kamieni. Złożyła je, rozłożyła ponownie...

...po czym bez najmniejszego ostrzeżenia zerwała się do lotu, zatrzepotała i odleciała w noc, zostawiając władcę na dachu jego pałacu.

Montezuma z sykiem wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze, popatrzył na modlących się dokoła niego kapłanów.

Żaden nawet się nie poruszył.

Ani jeden z akolitów, pogrążonych bez reszty w swoich obowiązkach, nie zauważył tego, co właśnie się wydarzyło.

Znak.

To był niechybnie ten właśnie znak, o który modlił się od tak dawna.

Dany nie kapłanom, nie mędrcom i nie czarownikom, tylko właśnie jemu.

A zatem skoro Ta, od Której Wszystko Pochodzi, nawiedziła Montezumę właśnie teraz – co chciała mu przekazać? Co takiego pragnęła powiedzieć mu bogini?

Myśli znów napłynęły do głowy Montezumy, niosąc ze sobą wzburzony chaos fal, kłębiącą się bąblami nieczystości pianę, zalewając całą jego czaszkę i wypełniając ją tak, że nie zostawało tam już miejsca dla niego samego – a potem nagle zniknęły.

Władca wyprostował się, rozluźnił i odetchnął głęboko.

Bogini nie chciała mu przekazać nic.

Nie powiedziała mu nic.

Jej pojawienie się tutaj było właśnie tym, czym było: pokazaniem mu, że wszystko będzie tak, jak być powinno.

Montezuma zrozumiał: kluczem był ubrany na czarno człowiek o wytatuowanych rękach.

Ani on sam, ani to, czego pragnął dla swego króla Cortés, ani tak bardzo ukochane przez niego złoto nie miało znaczenia.

Nikt inny nie podejmował decyzji, a już na pewno nie był to Montezuma.

To, co powiedział wtedy, w wielkiej sali, gdy Cortés nie wiedzieć czemu zasiadł na tronie jego ojca, było prawdą.

Montezuma wiedział przecież, że władca, który dawno, dawno temu przywiódł Mexików do Tenochtitlán, odszedł potem od nich i zamieszkał daleko stąd, w innym świecie.

Tak samo wiedział jednak, że ten, kto przybył niegdyś, w końcu przyjdzie znów. Co się stało raz, będzie dziać się

znowu. Wydarzenia powrócą, a wraz z nimi przodkowie, którzy żyli na tej ziemi wcześniej.

Cokolwiek się zdarzy, potoczy się zatem tak, jak zaplanowano na długo przed tym, gdy narodzili się ojciec, dziad i pradziad Montezumy.

On już odnalazł swoją drogę.

Teraz pozostawało czekać, aż przez niego, dzięki niemu i za jego sprawą tak samo odnajdzie swoją drogę ten, którego przyprowadzili na ziemię Mexików nieprzeniknieni w swoich zamiarach bogowie.

Montezuma sięgnął ręką i podniósł leżące na słomianej macie przed nim pismo, dostarczone wcześniej tego dnia z odległego wybrzeża Wielkiej Wody na wschodzie. Poślaniec, który je przyniósł, dźwigał też ze sobą pleciony z wikliny kosz, a w nim nietypowy ładunek.

Huēi Tlahtoāni po raz kolejny przebiegł oczami znaki raportu.

*Niech więc wiadomym będzie najwyższemu, najjaśniejszemu Montezumie to, o czym donosi jego przedstawiciel w mieście Nauhtla, pokorny jego sługa i namiestnik, niegodny Qualpopoka. Otóż stało się tak, jako działo się dwa razy w każdym roku słonecznym, że Qualpopoka wysłał do miast Cempoali swoich poborców, żądając trybutu, jaki te od lat płacą Tenochtitlán i Montezumie. Totonakowie jednakże, zbłądziwszy w swoich obowiązkach, odmówili, mówiąc, że zabronił im tego biały wódz. Qualpopoka nie uczynił nic przeciwko przybyszom, nie obraził ich słowem ani czynem. Jednak przybysze wyszli ze swego miasta na brzegu Wielkiej Wody i podeszli pod miasto Qualpopoki wraz z Totonakami, żądając od niego, aby to on zapłacił im trybut w złocie. Qualpopoka nie pragnął walki, lecz wtedy biali uderzyli na niego pierwsi. Totonakowie tchórzliwie uciekli, zaś biali przybysze, nie mogąc przemóc walecznych synów Nauhtli*

*w walce, podali tyły. Jeden z nich został na polu boju martwy, a drugiego wzięli do niewoli dzielni wojownicy, aby wypuścić z jego piersi Czerwoną Gwiazdę ku chwale bogów.*

Montezuma odłożył pismo na bok i sięgnął do kosza.

Zacisnął palce w gęstych kędzierzawych włosach i trzymając mocno, wyciągnął z pojemnika odrąbaną od ciała głowę.

Obrócił upiorne trofeum w jedną stronę, w drugą. Przyjrzał się szeroko rozwartym ustom. Zajrzał w zaciągnięte już mleczną mgiełką, półotwarte oczy.

Posłańcy z wybrzeża biegli szybko, więc przesyłka dotarła do niego w pięć dni. Pięć dni... I dokładnie na tyle wyglądała ta głowa. Błada, pozbawiona koloru, który wyciekł z niej razem z krwią. Płatki uszu, nos i powieki przybrały już niezdrowy, fioletowo-zielonkawy kolor rozkładu, zaś usta zaczynały się kurczyć niczym wyschnięte na słońcu robaki.

Przysunął głowę ku sobie, powąchał. Śmierdziała rozkładem, starą krwią i... strachem.

Strachem człowieka, który zamiast z godnością przyjąć szlachetną i zaszczytną Kwietną Śmierć od obsydianowego noża, rzucał się i wierzgał na płycie ołtarza, bezskutecznie próbując wyrwać się z rąk kapłanów.

Tak nie umierali bohaterowie, lecz tchórze i niewolnicy.

Montezuma wrzucił głowę z powrotem do kosza.

– Niech zabiorą to i zakopią przy świątyni bogów w Tuli, obok innych rzeczy, które pochodzą od białych przybyszów – polecił.

Któryś z akolitów przysunął się do króla, zabrał pismo i kosz.

Tak, Montezuma był po tym dniu więcej niż pewien: przybysze z dalekiej Kastylii byli tylko ludźmi.

A to diametralnie zmieniało wszystko.

Wszystko.





## Rozdział 2

*13 listopada 1519*

Tylko spójrzcie, jak to wszystko wygląda! Przecież to jest jak z bajki!

Zdyszani, zgrzani i nie na żarty już zmęczeni konkwistadorzy przystanęli w pół kroku wspinaczki i obejrzelili się, aby spojrzeć na rozpościerającą się wokół panoramę.

U ich stóp leżało całe Tenochtitlán.

Metropolia była aż nieznośnie uporządkowana, podzielona idealnie równą siatką ulic na pomniejsze prostokąty.

Domy, place, ogrody, manufaktury, wszystko to, co stanowi tkankę miasta, układało się w doskonale zorganizowaną siatkę głęboko przemyślanej infrastruktury.

Na niej, niczym mrówki na ogromnym mrowisku, poruszały się malusieńkie z tej odległości punkciki ludzi, podążających z miejsca na miejsce w kołowrocie codziennych spraw.

Z wysokości piramidy, na którą wspinali się już dłuższy czas, doskonale widzieli też jezioro omywające swoimi wodami stolicę. Na jego brzegach skrzyły się kroplami rosy pomniejsze miasta i poszczególne kompleksy pałaców, zaś w sercu, niczym perła w muszli, bielilo się Tenochtitlán.

W pewnym oddaleniu od siebie, wciąż w obrębie miasta, widzieli ogromną, barwną plamę targu w Tlatelolco, który zwiedzali wcześniej tego dnia. Przez trzy dni, które odpoczywali po podróży, większość szeregowych żołnierzy zdążyła już obejrzeć go, zbadać, poznać i wypróbować... Zaś oni, kapitanowie i dowódcy, trafili tam dopiero dziś, eskortowani przez urzędników i nadzorców Montezумы.

Och, ten targ! Jakże ogromny, jak cudownie bogaty, bajecznie kolorowy – i jak niesamowicie był poukładany.

Aż trudno było uwierzyć w to, co mówili ustami doñi Mariny miejscowi urzędnicy delegowani do dbania o właściwy przebieg transakcji handlowych, pomagający w razie wątpliwości ustalać właściwą cenę towarów i na miejscu rozsądający wszelkie spory, aby nikt nie został nie tylko oszukany, ale nawet niegrzecznie potraktowany!

Chodzili po nim cały poranek.

Zachwycali się pięknymi tkaninami.

Dziwili się wspaniałej roboty naszyjnikom oraz bransoletom.

Oglądali porównywalne do najdelikatniejszych aksamitów i muślinów, lekkie i przewiewne tuniki.

Śmiali się, zażenowani i poruszeni zarazem, gdy zaczepiały ich miejscowe prostytutki, mocno wymalowane i wyzywająco

obnażone.

A teraz wrócili znów do Tenochtitlán, gdzie już czekał na nich sam Montezuma. Gospodarz zaprosił Cortésa i jego kapitanów, aby towarzyszyli mu we wspinaczce na najwyższą, największą piramidę miasta, na której szczycie wznosiła się podwójna świątynia.

– Faktycznie, panie de Medellín, robi to wrażenie – przyznał caudillo, ukradkiem ocierając pot z czoła. – Ale nie zatrzymujmy się za długo, by nie pomyśleli, że się zmęczyliśmy... Marina, powiedz im, że już idziemy!

– Cortés mówi: podziwiamy uroki miasta Montezumy! – zawołała Malintzin, składając ręce przy ustach.

Montezuma zatrzymał się, obrócił ku nim i skinął głową: dobrze, poczeka na swojego gościa, białego wodza Cortésa.

Owszem, przybysze i jego goście oglądali miasto. Cieszyli się nim. Zachwycali budynkami.

Ku zaskoczeniu Montezumy okazało się, że dziwią ich rzeczy zupełnie oczywiste... Takie jak chociażby publiczne łaźnie czy regularnie opróżnianie doły na odpadki w każdej z dzielnic miasta. Nie mogli nadziwić się platformom przybrzeżnych pływających ogrodów. Ze zdumieniem oglądali akwedukt doprowadzający wodę pitną do miasta.

Byli niczym dzieci ciekawe życia i chcące wszystkiego się nauczyć.

Ale on uczył się też ich.

Spojrzał na idącego obok Itzlego, władcę Domu Szeptów.

Ten ledwie dostrzegalnie kiwnął głową: z całą pewnością zakonotował sobie, na którym z licznych stopni Kastylijczycy zaczęli się męczyć.

Tak samo zresztą, jak i przez ostatnie dwa dni i trzy noce zbierał wszelką informację o gościach: jak długo śpią, ile jedzą i piją, jak często chadzają za potrzebą. Jakie lubią kobiety...

Natomiast w tej akurat grupie, prowadzonej przez Montezumę osobiście, szczególnie interesował go jeden człowiek.

Ubrany na czarno, trzymający się ciągle na uboczu. Małomówny, ale uważny i ostrożny. Jedyńy, co do którego władca miał już pewność: nie potrzebował pomocy towarzyszącej Cortésowi kobiety, aby rozumieć słowa przewodników.

Jedyńy, który do tej pory niczemu się nie zdziwił, niczym nie pozwolił się zaskoczyć. Nie zadał ani jednego pytania... A tylko obserwował.

I nawet teraz, gdy Montezuma spoglądał na Kastylijczyków z wysokości kilku stopni świątyni więcej, on nie zajmował się podziwianiem panoramy miasta – ale patrzył wprost na władcę.

Montezuma zadrżał, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

Te oczy, martwe i wypalone, jak przysypane popiołem... Ale zarazem niosące w sobie coś tak pojemnego, tak głębokiego, że władca gotów byłby uwierzyć: gdyby miał poznać ich tajemnicę, niechybnie utonąłby bez reszty w tym szarym bezkresie.

Kastylijczycy musieli być ślepi i głupi, że uważali go za jednego ze swoich! Wyróżniał się przecież na pierwszy rzut oka.

A jednak Montezuma widział, że tamten doskonale się maskuje. Zapytany przez kogoś, odpowiadał gładko w języku Cortésa, zapewne używając najwłaściwszych słów. Miał takie same jak inni Kastylijczycy ruchy, zachowania i maniery. Mówił jak oni, nosił się jak oni.

Jednak nie był jednym z nich – a oni tego nie widzieli.

Cortés potoczył spojrzeniem po ludziach, uśmiechnął się, aby dać do zrozumienia, że docenił właśnie rzuconą przez pana de Ávilę krotochwilę. Podniósł rękę i machnął ku szczytowi piramidy.

– Naprzód, panowie i moja pani, w imię Boże! Zdobądźmy ten pogański szczyt, a tam, jeśli nam Bóg pozwoli, to...

Urwał, gdy słowa uwięzły mu w gardle.

Przełknął ślinę, zapatrzył się gdzieś w dal.

Ludzie nie zauważyli tego, podjęli wspinaczkę, zostawiając go z tyłu. Prowadzący ich kapłan znów rozświergotał się w lokalnym języku, doña Marina podjęła tłumaczenie.

Zahred też już ruszył, ale zawahał się, cofnął o stopień. Przysunął bliżej do Cortésa:

– Co się stało, Hernán?

– Ja... Nic, nic takiego, przyjacielu. Ruszajmy. – Caudillo uśmiechnął się nieszczercze, wyminął go i zaczął wdrapywać się na kolejne stopnie.

Jednak Zahred już widział to, na co przed chwilą patrzył Cortés.

Dostrzegł to wcześniej, gdy dopiero zaczęli drogę ku szczytowi.

Miał nadzieję, że nikt inny tego nie zauważy.

Z kilku prowadzących ku miastu grobli, widocznych jak na dłoni z wysokości piramidy, zniknęły drewniane przęsła pomostów.

Strzelił oczami ku Montezumie, ale ten już odwrócił się tyłem, pnąc się coraz wyżej i wyżej.

– Och, głupcze... – Zahred zazgrzytał zębami, a potem ruszył za nim.

Kiedy dotarł na górę, reszta stała już na płaskiej platformie na szczycie piramidy. Zdyszani, zasapani, starali się teraz za wszelką cenę nie dać po sobie poznać, jak bardzo się zmęczyli – i pod jakim wrażeniem wspinaczki byli.

– No, panowie... To musi wyższe być niż katedra w Sewilli!  
– zaśmiał się de Grado.

– M-m-musi co t-tak! – zgodził się pan de León.

– Tylko że tam gołębie mieszkają, a tutaj kruki. Patrzcie sami!

Ubrani na czarno ponurzy kapłani o uszach postrzępionych od puszczenia krwi, z włosami splątanymi w długie strąki rzeczywiście przypominali stado czekających już na nich ptaków. Skłonili się teraz przed Montezumą, najstarszy z nich zaczął mówić coś po swojemu. Doña Marina wysłuchiwała go i nawet nie czekając, aż skończy, zaczęła tłumaczyć:

– Dwie świątynie należą do dwóch największych bogów. Ta jest przybytkiem Tlaloca, pana deszczu i urodzaju, który daje siłę ziarnu w ziemi. W tamtej z kolei mieszka Huitzilopochtli, władca słonecznego blasku, tego, który sprawia, że zielona kukurydza dojrzewa na polu...

– Brednie! – prychnął Cortés. – Nie tłumacz nawet tych pogańskich zabobonów, Marina. Szkoda, żeby usta chrześcijanki miały kalać się takimi plugawymi kłamstwami.

– Mój pan, caudillo Cortés, mówi: bogowie Mexików są potężni, a on chce oddać im należną cześć – skłamała gładko Malintzin.

Zahred stał z boku, słuchając tego wszystkiego.

Nie było sensu zwracać uwagi na przemilczenia, pominięcia i przeinaczenia, bo wtedy musiałyby nie robić nic innego.

Każda ze stron była tutaj zainteresowana wyłącznie tym, co sama miała do powiedzenia, wychodząc z założenia, że ci drudzy na pewno się mylą.

Montezuma jednak skłonił głowę, przyłożył dłoń do serca i ust na znak szacunku.

– Zatem niech Cortés i jego towarzysze dołączą do Montezumy w świątyni bogów. Niech ich oczy ujrzą, jak piękne

są ich oblicza. Niech Cortés wie, jak ufa mu i jak szanuje jego króla Montezuma.

– Chcą pokazać nam posągi, panie. – Malintzin zwróciła się do Cortésa.

– Hm? Ach, posągi. Dobrze, niech prowadzą – mruknął z roztargnieniem caudillo, który znów zapatrzył się w dal, ku panoramie miasta.

Wspięli się jeszcze na kilka schodków prowadzących do świątyni. Montezumie symbolicznie pomogło w ich pokonaniu kilku kapłanów, którzy potem ruszyli ku Cortésowi, aby dopełnić podobnego ceremoniału z honorowym gościem króla.

Ten jednak, gdy ubrana na czarno kapłanka o popielato bladej twarzy chciała ująć go pod ramię, zdecydowanym ruchem wyszarpnął jej rękę.

– Nie potrzebuję waszych czarownic, żeby nam pomagały! – fuknął, nawet nie kryjąc odrazy.

– Stos by dla takich ułożyć... – rzucił de Sandoval ze złowieszczym uśmieszkiem.

Montezuma czekał na nich przed wejściem, rozmawiając o czymś z kapłanem. Gdy podeszli, król skłonił głowę przed Cortésem.

– Oto przyjaciel Montezumy jest u szczytu. Jego nogi zapewne zmęczyły się wchodzeniem...

– Ani ja, ani moi towarzysze nie zmęczyliśmy się ani trochę – burknął Cortés, nie wiedząc czemu coraz bardziej rozdrażniony.

– Czy mam...?

– Nie, Marina, nie tłumacz tego! Cholerne barbarzyńskie świątynie... Marnujemy tutaj tylko czas, miejmy to wreszcie za sobą.

Zahred szedł na samym końcu, chłonąc każdy szczegół.

Jego oczy błędziły po kamiennych rzeźbieniach, wzrok pochłaniał węzowe sploty ozdób, z których wyrastały groteskowo wykrzywione zębate twarze i dziwaczne kształty zwierząt.

Pachniało tutaj krwią, spalonymi ludzkimi włosami i śmiercią.

Potrafił bez trudu rozpoznać rudobrązowy osad w miejscach, gdzie kapłani smarowali fragmenty kamieni świeżą posoką. Widział po śladach na wyslizganych płytach, któredy biegły ich ścieżki. Niemalże czuł wciąż zawieszony w powietrzu urywki modlitw i hymnów, których nie znał.

Stojący w podcieniu kapłani i kapłanki obserwowali go spod postrzępionych czarnych kapturów. Oni odziani w czerń, on ubrany na czarno...

Podszedł, stanął na progu świątyni.

Miał już wejść, ale zawahał się, mimo że pozostali już byli w środku, a on słyszał echo ich głosów.

Przymknął oczy, wciągnął głęboko w płuca tutejsze powietrze. Dłoń sama powędrowała ku wsadzonemu za pas wysłużonemu, zaostrzonemu niczym brzytwa nożowi... Ale potem zsunęła się z rękojeści o stalowym trzpieniu.

Wyciągnął z drugiej, niedawno uszytej pochewki nóż o ostrzu z krzemienia. Ten sam, który nad rzeką wyrwał z dłoni Xicotencatlowi, aby po chwili zatopić we własnej piersi.

Podniósł nóż ku twarzy, nie spuszczać wzroku z kapłanów, zjechał nim w bok. Palcami lewej dłoni ujął płatek ucha, naciągnął. Przyłożył kamienne ostrze... Jeden zdecydowany, szybki ruch – pręga rozcięcia zapiekła bólem, po szyi pociekła mu ciepłymi kroplami krew.

– Wchodzę do domu bogów – powiedział przez nagle ściśnięte gardło w języku, który ledwie pamiętał – przynosząc w darze to, co sam posiadam.



Przecięgnął dłonią po uchu, zebrał krew i maznął po kamieniu framugi.

Kapłani zaszemrali, wymieniając się spojrzeniami.

W końcu jeden z nich wysunął się z tłumu. Stanął przed Zahredem, wzniosł nad nim ręce... Trzymał tak przez chwilę, potem opuścił, odsunął się na bok.

– Bogowie mówią: niech wejdzie – powiedział.

Zahred zrobił krok i otulił go chłodny, wilgotny półmrok.

Gdzieś z zewnątrz niósł się niski, dudniący odgłos wielkiego bębna, w który uderzali kapłani. W nozdrza wwiercał się słodko-ostry zapach, od którego aż jeżyły się włosy na karku.

Nie było tutaj żadnego źródła światła poza wpadającym przez korytarz blaskiem.

Widać było tylko zarysy grupki konkwistadorów, wokół których zgromadziły się ledwie dostrzegalne sylwetki kapłanów, bardziej podobnych do utkanych z mroku upiorów.

Przed nimi zaś stały dwa kamienne ołtarze, nad którymi wznosiły się dwie rzeźby. Nie dało się dostrzec wiele więcej ponad wykładane złotymi płytkami podstawy posągów, fragmenty zdobionych jaszczurkami rąk i pazurzastych dłoni... A nad nimi gorejące w półmroku oczy ze szlachetnych kamieni.

Dalej zaś, tam, gdzie ledwie sięgał wzrok, nad wszystkim tym górowała trzecia postać.

Dziwaczny, połowicznie ludzki i połowicznie jaszczurczy kształt zdawał się wić i przelewać, przyodziany w bogato tkane opończe i szaty, przyozdobiony sznurami kolorowych muszli i złotych naszyjników... Drogocenne kamienie lśniły i pobłyskiwały w ledwie widocznym poblasku żarowni, na których syczały i skwierczały dymiące, obkurczone już kształty serc wyrwanych z piersi złożonych w ofierze jeńców.

– Ten zaś, o panie, to wielce łaskawy Tezcatlipoca, oby jego imię było pochwalone. – Doña Marina tłumaczyła słowa

Montezumy. Słysząc było, że nawet ona musiała być pod wrażeniem, nie potrafiąc do końca opanować drżenia głosu. – Ten, który jest łaskawy, wielce dobry, wyrozumiały. Ten, który przebacza nam przewiny nasze.

Zapadła cisza.

Gęsta, napięta, niezręczna cisza.

Po raz kolejny odezwał się z podwórca bęben.

– Ten, który przebacza? – odezwał się Cortés. – Doprawdy kpina! Jest tylko jeden Bóg, który przebacza...

– Panie, to może nie być najważniejsza chwila – rozległ się bardzo spokojny głos ojca de Olmeda.

– Jeden jest Bóg, co przebacza, mówię! Jakim prawem...?! Marina, powiedz Montezumie: nie rozumiem, doprawdy w głowie mi się nie mieści to, co słyszę! Jak to może być, że władca tak pozornie rozumny i mądry może nie rozumieć, czym jest ta ohyda, którą tu trzymają?

– Panie... – spróbował wtrącić się po raz drugi ojciec de Olmedo.

Cortés jednak rozkręcał się coraz bardziej, mówiąc podniesionym, zrywającym się z braku tchu głosem:

– Jak może nie rozumieć, doprawdy! Że te... ohydztwa... to nie są ani bogowie, ani nic do nich podobnego, tylko wizerunek zła, którego imię jest Diabeł i Szatan?! Na Boga! Powinniśmy ustawić tutaj krzyż, zawiesić wizerunek Najświętszej Panienki i patrzeć, jak te wasze pogańskie bożki pierzchają w niesławie...!

Doña Marina nabrała tchu, zaczęła tłumaczyć.

Zahred widział, jak ledwie oświetlona słabym poblaskiem twarz Montezumy zmienia się, w miarę jak powoli spełza z niej uśmiech grzeczności, a potem jego miejsce zajmuje zimny, kamienny, wyniosły spokój.

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa, znów zawisła cisza.

Montezuma odetchnął i zaczął mówić.

Mówił, potrząsając głową i pokazując rękami.

Podniósł dłoń ku górze, opuścił.

Słysząc było, jak coś wymienia, mówi z coraz większą emfazą, potem pasją... Aż w końcu przyłożył dłoń do serca, powiedział jeszcze kilka słów.

Opuścił ręce wzdłuż ciała, wyprostował się dumnie.

Spojrzał na Malintzin, zrobił ruch podbródkiem: no, kobieto, teraz ty.

– Montezuma mówi... – Doña Marina zająknęła się. – Powiedział, że to jednak są ich bogowie, a oni w nich wierzą. I że Cortés musi to uszanować.

– „Muszę”?! Ha! Panowie, biorę was na świadków, że...

– Nie takie były słowa Montezumy – odezwał się Zahred, wyłaniając się z cienia. – Nie to powiedział król. Doña Marina myli się, przekazując jego słowa.

Twarz doñi Mariny pociemniała. Kobieta zacisnęła pięści, jej oczy błysnęły w półmroku niczym dwa obsydianowe dyski.

– Cooo? – wysyczała. – Ja się mylę? Jak śmiesz...!

– Montezuma... – Zahred spojrzał na króla, skłonił głowę i położył dłoń na sercu. – Montezuma powiedział: gdybym wiedział był, że Cortés znieważać będzie naszych bogów, to nie byłbym zaprowadził go przed ich oblicze. Takimi są nasi bogowie, w takich wierzymy. Oni dają nam dobre plony, udzielają nam błogosławieństwa deszczu i podnoszą słońce zza horyzontu o świcie. Oni prowadzą nas ku zwycięstwu w boju i do zaszczytnej śmierci, jeśli tego zażądamy. Dlatego też winniśmy im szacunek, posłuszeństwo i ofiary. Cortésa zaś proszę, jako przybysza z innych krajów oraz naszego gościa, aby ten nie znieważał ich więcej.

Po raz trzeci w świątyni zapadła cisza.

Cortés zacisnął pięści tak, że aż chrupnęły mu kostki. Mięśnie szczęki zagrały mu gniewnie, grdyka przeskoczyła w górę i w dół... A potem caudillo nagle rozluźnił się, też położył dłoń na sercu i skłonił się przed Montezumą:

– W słowach Montezумы jest prawda. Jeśli poczuł się zatem urażony, niech wie, że nie to było moim zamiarem.



– Jak on śmie...!

Cięnięty z wściekłością gliniany kubek prasnął o ścianę, roztrzaskał się na sto kawałków. Cortés machnął ręką nad stołem, zrzucając z niego zastawę; półmisek z brzękiem huknął o podłogę, posypały się na wszystkie strony ziarna i suszone owoce.

– Wielmożny panie, mówiłem wam, że to nie była po temu pora... – Ojciec de Olmedo pokręcił głową, międląc w palcach paciorki różańca.

– Pies bez czci i wiary! Nieokrzesany dzikus, prostak...! Ma czelność pouczać mnie przy moich ludziach! On będzie prawil mi morały o tym, co słuszne i nie...!

Dyszący ciężko, purpurowy z wściekłości Cortés wsparł się na blacie, zgrzytając zębami i tocząc wokół wściekłym wzrokiem. Strzelił złym spojrzeniem ku Zahredowi, stojącemu pod ścianą, ale tamten nawet nie drgnął.

– Każdy ma swoją wiarę i swoje przekonania, panie. Jeden słuszne, inny mylne – orzekł sentencjonalnie de Olmedo. – Przestrzegałem was przed nadmiernym pośpiechem w nawracaniu tutejszych pogan.

– I co, niby że to ja mam te mylne przekonania?! Że wy, ojczye wielebny, macie rację, a ja się mylę?! – warknął caudillo, nadal patrząc ze złością na Zahreda.

– Każdemu pisane jest błędzić, panie. Domeną mądrych jest uznać swój błąd, zaś trwa w nim wyłącznie...

– Ojczye, na dziś wystarczy kazań. – Zahred uśmiechnął się nieszczerze. – Dajcie mi porozmawiać z caudillem... Proszę.

De Olmedo przewrócił oczami, zrobił tylko w powietrzu znak krzyża i wyszedł, odsuwając wiszącą w drzwiach zasłonę.

Zostali sami, we dwóch.

Zahred flegmatycznie, niespiesznie schylił się po półmisek, pozbierał rozsypaną żywność.

Postawił na stole.

Przyniósł dwa cynowe kubki, postawił jeden przed Cortésem.

Drugi powąchał, przetarł rękawem.

Napełnił oba rozwodnionym winem.

– Nie pomogłeś mi tam, Zahred – warknął Cortés, mimo to biorąc kubek.

– Nie taki był mój zamiar, Hernán. To, co powiedział Montezuma...

– Nie musiało trafić do uszu reszty. Do diaska! – Caudillo walnął pięścią w stół, aż zabrzęczała zastawa. – To ani czas, ani miejsce, żebyś miał prześcigać się z doñą Mariną jako tłumacz! Musisz dokładać mi problemów?! Nawet ty?!

– To, co powiedział Montezuma, powinno być przekazywane tak, jak to powiedział – dokończył cierpliwie Zahred. – Mexikowie...

– Mexikowie, Mexikowie... – przedrzeźnił go Cortés. – To nie żadni Mexikowie, tylko Indianie!

– Mexikowie wypowiadają się bardzo, bardzo precyzyjnie, Hernán. Tak jak wtedy, gdy przyjmowano nas w pałacu podczas

ceremonii powitalnej.

Cortés spojrzał na niego bystro, jednym haustem opróżnił i z hukiem odstawił kubek.

– Montezuma uznał zwierzchność naszego króla. Złożył hołd lenny, przysiągł mu na wierność. Jest teraz jego wasalem.

– Wiesz, że to nieprawda, Hernán.

– Prawdą jest to, czego dowie się król! – Cortés w złości uderzył dłonią o udo, ale zaraz pomiarkował się, powściągnął gniew.

Za późno jednak, bo Zahred już zmrużył oczy i spojrzał na niego bystro:

– Jednak wysłałeś te pisma, Hernán? Wbrew mojej radzie?

– Nie potrzebuję do wszystkiego twojej rady, Zahred. I owszem, żebyś wiedział! Wysłałem pisma do Kastylii, na dwór królewski. Nasze trzy statki i tak stały bez sensu na kotwicy, a teraz...

– A teraz do miłościwie nam panującego mknie wieść o naszym pełnym zwycięstwie. – Zahred pokiwał głową. – Trochę na wyrost, jak rozumiem.

– Na wyrost czy nie, tak się stanie. Zresztą te ziemie należą teraz do nas, Zahred. Montezuma zaś jest wasalem naszego króla.

– On nie ma pojęcia, czym jest lenno ani wasal! – prychnął Zahred. – Tak jak ma o tym w najlepszym razie mgliste wyobrażenie tłumacząca jego słowa Malintzin.

– Nie mieszaj jej do tego. – Cortés podniósł ostrzegawczo palec.

Sam jednak też nalał sobie wina, usiadł. Zahred podsunął mu swój kubek. Caudillo zmierzył go niechętnym wzrokiem, cmoknął z niezadowoleniem, ale nalał wina również jemu.

Burza powoli odchodziła, konflikt zaczynał przycichać.

– Nie mieszam jej do niczego, Hernán. Nie ja w każdym razie.

– To tylko kobieta, Zahred.

– Nie, Hernán: to AŻ kobieta. I nie dziwię ci się, że trzymasz ją blisko przy sobie.

– Ale?

– Ale wolałbym, żebyś sam podejmował swoje decyzje i słyszał to, co mówią twoi rozmówcy. Niekoniecznie to, co komuś innemu się wydaje, że sprawi ci przyjemność. Swoją drogą, gdzie ona jest? – Zahred rozejrzał się. – Nie stoi gdzieś za kotarą, słuchając naszej rozmowy, prawda?

– Posłałem ją do Cholulteków – warknął Cortés.

– Żeby wywiedziała się, co myślą? Sam mogę ci to powiedzieć, jeśli tylko zapytasz.

Cortés prychnął, upił kolejny łyk. Pokręcił głową.

– No więc oświeć mnie, skoro tak blisko z nimi przebywasz. Wiesz, swoją drogą, że ludzie zaczynają...

– Ludzie zawsze coś zaczynają, Hernán. Nie takie rzeczy o mnie opowiadano, nie z takimi pomówieniami sobie radziłem.

– Ach, to tym jest twoje bratanie się z dzikusami? Właśnie pomówieniami, niczym więcej? – rzucił Cortés zaczepnie.

Zahred jednak puścił uwagę mimo uszu.

– Cholultekowie i reszta tutejszych, podobnie zresztą jak Tlaxcaltekowie, mówią to samo: ruszając tutaj, rzuciliśmy Montezumie rękawicę. Teraz, zanim on ją podniósł z ziemi, zamieniła się w gałązkę oliwną...

– Na Boga, Zahred! Zostałeś teraz poetą, będziesz układał wiersze?

– Nieumiejętną drwiną ze mnie nie przykryjesz problemu, Hernán.

Caudillo umilkł, przygryzł swoim zwyczajem kostkę kciuka. Zabębnił palcami po stole. Zerknął na przyjaciela spode łba.

– Więc... co? Indianie czują się zdradzeni, dobrze cię rozumiem?

– Jeszcze nie, ale mogą dojść do takiego wniosku. Hernán...

– Zahred nachylił się przez stół. – Nic nie zyskujemy na tym, że siedzimy tutaj, w mieście. Zobacz sam: jesteśmy tu raptem trzeci dzień, a problemy mnożą się jak wszy w kocu!

– Hm, hmm... Co sugerujesz?

– Wrócić na wybrzeże, bezpiecznie odnieść łupy. Skonsolidować uzyskane wpływy. Napisać w końcu porządną, pełny raport, a nie litanię pobożnych życzeń na wyrost. Wysłać go królowi, tak jak o tym rozmawialiśmy... Hernán, boję się, że urwaliśmy kęs większy, niż możemy dać radę przełknąć!

– Więc doradzasz to samo, co mówiłeś, zanim doszliśmy tutaj, do Tenochtitlán. – Cortés uśmiechnął się kwaśno.

– ...tak, bo i ryzyko pozostaje dla nas takie samo. Ba, nawet większe! Hernán, tutaj się nie obronimy, choćbyśmy nawet zamienili pałac w twierdzę. To miasto to nie Cholula.

Przez twarz caudilla przebiegł bolesny grymas, Cortés odchylił się w tył na ławie.

Zahred zrozumiał, że przedobrzył: nie było sensu ciągnąć swoich argumentów dalej, trzeba było poczekać.

– Za wcześnie, żeby odchodzić – zawyrokował ponuro Cortés. – Nadal nie zostawiliśmy tutaj śladu swojej bytności. Czegóż, o czym można będzie napisać królowi...

– Słyszałem, że próbowałeś przekonać ojca de Olmeda, żeby postawić na szczycie piramidy świątynnej kościół! – zaśmiał się Zahred.

– A tak! Żebyś wiedział! – Caudillo rozpromienił się nagle. – Skoro mają tam dwie świątynie, to i trzecia by się zmieściła! I to



by było coś, to by pięknie wyglądało... Zbożnym dziełem chociaż częściowo zmyć krew.

– Zaczynij od czegoś mniejszego zatem. Krzyże już wiszą. – Zahred pokazał ku drzwiom.

– Tak, ale to mało nadal. Hmmm... Ojczy!

Minęła dłuższa chwila, zanim de Olmedo wsunął się do pomieszczenia. Nie było słycać człapania jego sandałów, więc zapewne siedział niedaleko od nich w sąsiedniej komnacie, łowiąc wyćwiczonym spowiedniczym uchem co bardziej cenne fragmenty rozmowy.

– Wasza miłość? – Duchowny skłonił się.

– Jutro z samego rana weźmiecie dońę Marinę, ojczy. Udacie się do Montezumy, a kiedy tylko was przyjmie, powiecie mu, że pragnę zbudować tutaj, w naszym pałacu, kaplicę.

– Jak rozumiem, wasza miłość, kaplicę ku czci...? – De Olmedo uniósł brew.

– Domyślcie się, ojczy! Doprawdy nie posądzacie mnie chyba...

– Nie sądzę, aby samemu nie być sądzonym. Dobrze, wasza miłość, tak się właśnie stanie... Godna pochwały decyzja.

Oczy Cortésa błysnęły, widać było, że ma już na końcu języka jakąś ciętą ripostę. Klecha jednak skłonił się, obrócił na pięcie i wyszedł.

Tym razem wyraźnie słycać było, jak jego kroki oddalają się i cichną w korytarzu.



Malintzin siedziała na tarasie swych apartamentów i pozwalała, aby dwie służące powoli, metodycznie nakładały

odżywiająca maść na sploty jej długich czarnych włosów.

Nie musiała spieszyć się nigdzie, nie miała żadnych obowiązków.

Hernán poszedł gdzieś ze swoimi towarzyszami, zapewne żeby po raz kolejny wyprawić się na eskapadę po mieście, którego ogrom i przepych nadal zadziwiały przybyszów z odległego Królestwa Kastylii.

Zanim wróca po południu, ona mogła w końcu odpocząć.

A potrzebowała tego odpoczynku. Potrzebowała spokoju, możliwości nierobienia niczego konkretnego, braku jakichkolwiek obowiązków... Tego, żeby wreszcie to nią się zajmowano, wokół niej się krzątano. Aby usługiwano jej, spełniano wszelkie zachcianki.

Do takiego życia kiedyś przywykła.

To życie jej brutalnie odebrano.

I teraz, tutaj, w Tenochtitlán, znów miała jego namiastkę, którą zamierzała się cieszyć.

Przynajmniej tak długo, jak...

– O Wysoka! Do Wysokiej przybyła gościni – odezwała się od wejścia do komnaty starsza wśród służby. – Mówi, że pragnie pomówić z Wysoką. Czy Wysoka życzy sobie ją widzieć?

Malintzin otworzyła leniwie oczy, przekręciła głowę. Zmarszczyła brwi.

– Gościni? Niech wejdzie. Mówiła, czego...

Jednak nie dokończyła, bo obok stojącej w drzwiach kobiety precisnęła się Tecuelhuatzin. Wparowała do komnaty, ubrana w wyjściową opończę i obwieszona złotem, stanęła naprzeciwko Malintzin, biorąc się pod boki.

– Wysoka Trawo! – syknęła.

Malintzin zmierzyła ją wzrokiem, skinęła na służące:

– Precz.

Sama zaś uśmiechnęła się do stojącej nad nią kobiety.

– Czemu to zawdzięcza Malintzin odwiedziny szlachetnej Tecuelhuatzin? Czyżby jej mąż zaniedbywał ją, przytłoczony obowiązkami?

– Malintzin dobrze wie, po co i dlaczego przyszła do niej Tecuelhuatzin! – wyrzuciła z siebie tamta, nadal świdrując siedzącą wzrokiem.

– Doprawdy? Malintzin nie przypomina sobie. Niech może Tecuelhuatzin zasiądzie, uspokoi się trochę, wyrówna oddech. Może wtedy...

– Obiecałaś mi, że don de Alvarado, mój mąż, będzie drugim po Cortézie!

Malintzin przewróciła oczami, wskazała tamtej słomianą matę.

– Siadaj. No siadaj, powiedziałam!

Tecuelhuatzin zaczerpnęła powietrza, chciała jeszcze coś powiedzieć – podkasła jednak opończę, usiadła.

Nie spuszczać z Malintzin wzroku, sięgnęła po stojącą obok, do połowy pełną napoju czarzę, upiła łyk.

Widać było, że całym swoim zachowaniem prowokuje tamtą, stara się jak najdalej przesunąć granicę.

Przez długą chwilę obie kobiety milczały, jak gdyby sprawdzając, która z nich nie wytrzyma pierwsza.

Wreszcie Malintzin westchnęła ciężko, pokiwała głową:

– To prawda, to ci obiecałam. I słowa dotrzymam.

– Brat Tecuelhuatzin Xicotencatl chciał ją zabić! – Tamta dosłownie jakby tylko czekała, żeby móc dalej wylewać z siebie wstrzymywane myśli i emocje. – Nawet teraz patrzy na nią wilkiem, nie odzywa się ani słowem! Poza tym Tecuelhuatzin nie miała brać udziału w niczym takim...!

– Uspokój się. Powiedziałam, że coś dostaniesz, i tak właśnie będzie. Musimy poczekać tylko, aż...

– Tecuelhuatzin nie miała pojęcia, że ktoś zginie! Miała tylko źle mówić o Xiconchitlim, nic więcej! Niech więc Malintzin ma na względzie, że jeśli miałyby spróbować oszukać Tecuelhuatzin, to pożałuje! Tecuelhuatzin nie puszcza takich rzeczy płazem, Tecuelhuatzin nie...

Malintzin zamachnęła się i uderzyła tamtą otwartą dłonią w twarz.

Kobieta urwała gwałtownie, westchnęła spazmatycznie – a wtedy ona uderzyła ją z drugiej strony.

– Niech Tecuelhuatzin się uspokoi – powiedziała, jak gdyby nigdy nic sięgając po tę samą czarę. – I posłucha uważnie tego, co Malintzin ma jej do powiedzenia... Niech posłucha, mówię!

Tamta skuliła się, niemalże odruchowo pokiwała głową.

Malintzin sięgnęła ku tacy, podała jej drugą czarę i sama naląła czerpakiem czerwonego napoju *iztac ātōle* z większej misy. Napełniła też swoje naczynie, delikatnie upiła łyk.

– Malintzin obiecała... – szepnęła Tecuelhuatzin łamiącym się głosem.

– Tak, kochanie. Malintzin obiecała i Malintzin dotrzyma słowa... Ale na to jeszcze przyjdzie czas. A co do Xicotencatla i jego towarzysza, wymalowanego Xahuatla... – Oczy Malintzin zwęziły się w dwie szparki. – To na nich też przyjdzie jeszcze czas. I wtedy każdy dostanie to, na co zasłużył.



Montezuma schylił się nisko, dotknął głową słomianej maty. Odetchnął na tyle głęboko, na ile pozwalała mu na to pozycja, po czym zaszeptał:

– O panie nasz, władco nasz, władco nocy, rzeczy bliskich i dalekich. Niech oczy moje otworzą się, niech serce moje przyjmie to, co niesie mu wiatr. Prowadź mnie, ustaw mnie, doradź mi w drodze. Wspomóż, ożyw, nakarm i napój, albowiem ja jestem naczyniem twoim. Nie pozwól, abym stał się siedliskiem pychy, gniewu i złego osądu. Nie daj mi szydzić z prostego ludu, daj mi mądrość, siłę, daj mi...

– Najwyższy posłał po swojego sługę. Oto Itzli przybywa – rozległo się od drzwi.

Montezuma przerwał modlitwę, podniósł dłonie na znak, że skończył. Dwaj kapłani obmyli jego palce z krwi, zasmarowali świeże nacięcia leczniczą maścią i przykryli ramiona władcy świeżo utkaną, nigdy wcześniej nienoszoną opończą z włókien agawy.

Dopiero wtedy podniósł się od ołtarza i odwrócił się ku wejściu. Władca Domu Szeptów zgiął się w jeszcze niższym ukłonie, niemalże dotykając czołem ziemi.

– Niech Itzli wstanie.

– O Najwyższy, niech imię twoje będzie sławione! Itzli przynosi wieści dla Kolibra o Świcie.

– Niech zatem mówi. A gdy będzie mówić... Niech napije się z nami wywaru z nasion *xocolatl*.

Itzli pochylił się po raz kolejny, nie mając nawet śmiałości odpowiedzieć na tak hojną, stanowiącą zaszczyt sam w sobie propozycję władcy.

Swoją drogą, pomyślał sobie, najwyraźniej dobry nastrój znów zawitał do serca Montezumy, skoro ten wrócił do swojego ukochanego porannego napoju.

Tenochtitlán budziło się dopiero ze snu.

W promieniach porannego słońca, wznoszącego się ledwie ponad grzbietami gór, widać było snujące się nad wodami potężnego jeziora Texcoco pasma mgły.

Łodzie sunęły już w tę i we w tę, wioząc ludzi, towary i listy.

Ulice i place miasta powoli zaczynały odzywać się codziennym gwarem.

Montezuma zajął swoje miejsce na stercie ułożonych jedna na drugiej mat w rogu tarasu, siadając bokiem do ogrodów i wystawiając twarz do słońca.

Itzli skromnie zasiadł dwa miejsca od niego.

Doskonale wyuczona służba zakręciła się wokół nich bezszelestnie, rozstawiając pięknie zdobione naczynia.

Gdy w końcu urodziwa, specjalnie do tej roli dobrana dziewczyna naląła do dwóch naczynek czarny, opalizujący płyn, zaś w nozdrza Itzlego uderzył niebiański zapach wywaru *xocolatl*, władca Domu Szeptów nie mógł powstrzymać uśmiechu... Ani nagle wypełniającej usta śliny.

– Niech bogowie sprzyjają – powiedział Montezuma, unosząc swoją czarękę, i ostrożnie, aby nie poparzyć ust, upił pierwszy łyk.

– Niech obdarzą Montezumę wieloma latami szczęścia. Najwyższy, oto Itzli przynosi...

– Niech mówi, słuchamy go.

Itzli pospiesznie siorbnął wywar i odstawił czarękę, już teraz czując, jak pieką go wargi. Najwyraźniej Montezuma zamierzał po śniadaniu nawiedzić jedną ze swoich nałożnic, skoro kazał wzbogacić wywar aż taką ilością ziaren czerwonego ognia.

– Zgodnie z tym, na co pozwolił białym przybyszom Montezuma, budują oni świątynię dla swoich bogów w pałacu Axayacatla. Ich rzemieślnicy pracują tam z wielkim zapałem, zużywając znacznie więcej drewna, niż powinno to być konieczne...

– Dobrze. Skoro będą mieli gdzie zanosić do nich modły, może przestaną w końcu obrażać niebo i ziemię. Gdzie wreszcie zdecydował się ustawić posągi i składać ofiary biały wódz Cortés?

– O przewielki, przełaskawy i wyrozumiały ponad miarę! Biali przybysze wybrali Niebieską Salę przy komnatach Xochicueyetl...

Montezuma skrzywił się, a Itzli natychmiast spuścił wzrok, aby nie widzieć emocji na twarzy władcy.

Mimo że odkąd Montezuma, skończywszy piątą wiosnę, wstąpił w progi Domu Łez *calmecac*, akademii wychowania dla synów wysokiego rodu, a jego noga nie postąpiła w komnatach Xochicueyetl, to wciąż musiał pamiętać swoje wczesne dzieciństwo spędzone właśnie tam, w pięknie zdobionej malowidłami i rzeźbami zwierząt, ptaków i roślin Niebieskiej Sali.

– Jak przebiegają prace? Czy rzemieślnicy, o których prosił Cortés, pracują dobrze? – zapytał Montezuma.

– Tak, o Najwyższy! Wygladzili już całe ściany tynkiem, a kiedy Itzli był tam wczoraj...

– Niech Itzli mówi.

– ...kończyli właśnie bielić sklepienie.

Montezuma westchnął ciężko, zakołysał wywarem w swojej czarce. Służąca od razu dołała mu kolejną porcję, uśmiechając się czarująco.

Jakkolwiek Itzli nadal trzymał wzrok wbity w posadzkę, to kątem oka zauważył, jak spojrział na służącą władca. No cóż, może rzeczywiście warto będzie przemyśleć kwestię jej relokacji do innych, bardziej osobistych potrzeb Montezumy? Widać było, że w jej obecności nawet tak ciężkie wieści nie raniły serca króla tak bardzo, jak obawiał się tego Itzli.

– Co z białymi przybyszami chodzącymi po mieście? Co z Tlaxcaltekami, którzy obrabowali handlarza piórami?

– Biali przybysze z kraju zwanego Kastylią są niczym upojone *pulque* dzieci – skonstatował z niesmakiem władca Domu Szeptów. – Cokolwiek zjedzą, tyle samo wylatuje z nich drugim końcem tam, gdzie akurat stoją.

– Nadal nie nauczyli się korzystać z dołów kloacznych? – zapytał z widocznym obrzydzeniem Montezuma.

– Niestety nie, o Najwyższy. Mimo że napaliliśmy też w łaźniach i kazaliśmy, aby obsługiwały je najładniejsze z dziewcząt, to nadal nie zaczęli się w nich myć...

– Nawet mimo obecności kobiet? – zdumiał się władca.

– Tak, o Najwyższy! Z wyjątkiem tej jednej dziwnej kobiety, która walczy ramię w ramię z białymi. Ona przychodzi do łaźni, bierze sobie jedną ze służek, a potem myje się i każe jej czesać swoje włosy. Pozostali zaś... Pozostali tylko biorą sobie kobiety, spółkują z nimi, a potem... potem...

– Niech Itzli mówi!

– ...potem ubierają się i idą dalej – przyznał dostojnik z zażenowaniem.

Montezuma odstawił czarękę z wywarem i potrząsnął głową, wyraźnie wstrząśnięty.

– Nie myjąc się nawet pomiędzy nogami?! – zapytał.

– Itzli nie wie, jak to wytłumaczyć. Co do złodziei Tlaxcalteków zaś... Tutaj wytłumaczyć to o wiele łatwiej, o Najwyższy: pływające ogrody Texcoco wydadzą następnej jesieni obfitsze plony, bo i ziemia będzie w nich żyźniejsza.

Montezuma pokiwał głową i sięgnął na powrót po czarękę: niektóre sprawy rzeczywiście było łatwiej rozwiązać.

Skrzywił się jednak, gdy przypomniał sobie Niebieską Salę, ale po chwili się uśmiechnął.



No cóż, pomyślał sobie: nie poświęcał pokoiów swego dzieciństwa na darmo.



– Panie... panie! Tam coś jest!

Cortés podniósł głowę, gdy do komnaty wpadł niczym burza pokryty trocinami i pyłem Alonso Yáñez, jeden z zabranych na wyprawę stolarzy, teraz nadzorujący budowę kaplicy. Mimo że rzemieślnik prawdopodobnie nie umiał czytać, to zapobiegliwy caudillo pospiesznie zakrył ręką pisany właśnie fragment listu.

Tym bardziej że zaraz za Yáñezem dreptał już majordomus, pan de Cáceres, a za nimi ciągnęła grupka kilku innych rzemieślników i żołnierzy.

– Co się dzieje...? Panie Yáñez, uspokójcie się, na Boga! Co się znów stało? – Cortés zwrócił się do majordomusa.

De Cáceres, cierpiący od czasu wejścia w górskie rejony na zadyszkę, pomachał ręką na znak, że zaraz złapie dech i powie, o co chodzi. Yáñez obliznął nerwowo usta, przestąpił z nogi na nogę... Obejrzał się na tłoczących się za jego plecami ludzi.

W końcu stolarz nie wytrzymał i wybuchnął:

– Tam jest ukryta komnata!

Cortés poczuł, jak robi mu się gorąco. Potrząsnął głową, usiłując zachować spokój.

– Gdzie? Panie Yáñez, proszę się opanować...

– Panie... – wysapał wreszcie de Cáceres. – Panie, podczas prac w kaplicy... Pan Yáñez pracował przy północnej ścianie... Okazało się, że za jednym z drewnianych paneli...

– Musicie to zobaczyć! – wpadł mu w słowo stolarz.

Cortés popatrzył po ludziach. Ściągało ich do jego gabinetu coraz więcej, widział, jak bardzo są poruszeni. Oczy błyszczące ekscytacją, niezdrowe rumieńce na policzkach, rozgorączkowane szept, szuranie nogami.

Od dobrych kilku dni nie wydarzyło się nic, co byłoby godne uwagi.

Członkowie ekspedycji, tak samo zresztą jak on, zdążyli przywyknąć, wręcz uzależnić się od ciągłej huśtawki ekstremalnych emocji. Walka, przemarsze, zmęczenie, cudowne widoki, zasadzki, niespodzianki, niedospanie, skarby, kobiety... I znów walka, jedzenie, złoto, walka, kobiety, złoto i jeszcze więcej walki.

Teraz, siedząc spokojnie w bezpieczeństwie i dostatku, nie zaczynali gnuśnieć – ale robili się niesforni. O byle co wybuchały sprzeczki, żołnierze sami szukali zwady.

Nie tylko oni potrzebowali nowych bodźców, nowej ekscytacji.

Cortés poczuł, jak uśmiech sam wypelza na jego twarz.

– Prowadźcie! – zarządził, wstając od stołu.



– Spójrzcie, panie! Jak tylko oderwaliśmy od ściany ten tutaj, o, panel... – Yáñez pokazał na odsuniętą na bok ozdobę – to od razu było widać, że coś jest nie tak! Widzicie, panie? Inna zaprawa, kamienie inaczej są ułożone!

Cortés odstąpił o krok, popatrzył uważnie na mur. Prawdę mówiąc, być może sam by tego nawet nie dostrzegł. Ale teraz, kiedy ktoś zwrócił mu na to uwagę... Faktycznie! Widać było prostokąt ułożony z nieco jaśniejszej cegły, u samej góry

poupychanej mniejszymi kawałkami gruzu i grubo zaklajstrowanej zaprawą.

Poczuł, jak serce żywiej uderza mu w piersi.

Ileż to słyszało się opowieści o tajemnych przejściach, ukrytych komnatach i pochowanych w dawnych zamkach i pałacach nieprzebranych skarbach!

Sam przecież za młodu myszkował razem z innymi chłopcami po rozgrzanych słońcem kamieniach pochodzącego jeszcze z czasów Rzymu półokrągłego teatru w swoim rodzimym Medellín, zaglądając tam do każdej dziury, każdej szczeliny w poszukiwaniu ukrytego skarbu!

Tak samo przecież zakradali się do piwnic starego zamku na wzgórzu, próbując znaleźć tam kamień, za którym wyklęty i ekskomunikowany przez samego papieża król Pedro Okrutnik schował złoto, dostarczone mu z głębin morskich przez samego diabła...

No i wszyscy pamiętali gliniany dzban pełny srebrnych monet, który pewnego dnia znalazł stary Juan, rozbierając komórkę przy swojej winnicy!

Tak, to wszystko były dziecinne mrzonki i bajania.

Opowieści starców snute nad kubkiem kwaśnego wina.

Legendy, wymysły i zwykłe bajdurzenia.

Bo przecież nikt nie znajdował skarbów, nie odkrywał nowych lądów i krain, nie odnajdywał i nie podbijał królestw...

...prawda?

Nie spuszczać oczu ze ściany, Cortés wyciągnął w bok rękę:

– Łom.

Tylko czekający na to kamieniarz podał mu narzędzie, dłuższy czas już ściskane w spoczonej dłoni.

Caudillo nabrał tchu, zamachnął się szeroko i uderzył ostrym końcem, celując pomiędzy cegły.

Głuchy huk odbił się od świeżo pobielonych ścian, rozszedł się echem po korytarzach pałacu Axayacatla.

Nie dalej jak tego ranka zawieszony na krzyżu, wciąż nie do końca wypolerowany Chrystus patrzył smutnym, udręczonym wzrokiem, jak Hernán Cortés raz za razem wali stalowym prętem w ścianę, odłupując kawałek po kawałku fragmenty cegieł.

Caudillo odsunął się, z wściekłością rozwiązał i zdarł z szyi przeszkadzającą kryzę. Rozpiął dublet, podwinął rękawy. Otarł pot z czoła.

Ludzie patrzyli na niego, nie śmiejąc nawet drgnąć.

Niczym arcykapłan, to on sprawował tu misterium. Do niego należał przywilej czynienia cudów. Jego, niczyj inny, był obowiązek prowadzenia świętej kompanii ku wciąż nowym zwycięstwom.

Uderzył z pasją, mocniej.

Widział już, jak jedna z cegieł pęka.

Jeszcze raz! I znów!

Wbił łom w powstałą szczelinę, napał na niego całym ciężarem, obluzował kawałek.

Trzasnęło i chrupnęło. Cegła pękła na pół, spory jej fragment wpadł do środka i zadudnił, upadając na posadzkę.

Cortés z niedowierzaniem popatrzył na ziejącą w ścianie dziurę – a potem wrzasnął dziko, tryumfalnie.

Jak gdyby tylko czekając na to, ludzie rzucili się ku zamurowanemu przejściu.

Czym kto tylko miał – młotkami, łomami, siekierami, ba! nawet gołymi rękami zaczęli rąbać, szarpać i rwać zaprawę, kruszyć cegły, wyrywać i odrzucać kamienie.

Caudillo stał tam, dysząc ciężko i nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie się działo.



Brzęknęła rzucona na misę ciężka, szczerozłota kolia. Siedzący przy stole kapitanowie otworzyli oczy ze zdumienia i nachylili się, aby bliżej przyjrzeć się wartemu niemałą fortunę znalezisku.

– Skarb! Najprawdziwszy, autentyczny skarb, dobrzy panowie! – oznajmił Cortés. – A jest tam tego... Boże dobry! Nie macie pojęcia nawet ile!

De Sandoval ujął naszyjnik i aż sapnął z wrażenia: ależ to było ciężkie! Obejrzał, podał siedzącemu obok panu Bernitezowi.

Wieść o tym, że za kaplicą odkryto schowane w zamurowanych komnatach złoto, rozeszła się lotem błyskawicy po całym pałacu.

Cortés od razu kazał pozamykać drzwi, wystawić zdwojone straże i pod żadnym pozorem nie wpuszczać ani nie wypuszczać nikogo.

Nastrój ekscytacji udzielił się wszystkim bez wyjątku.

Ludzie trzymali broń na podorędziu, część pozakładała pancerze... Tak jakby w każdej chwili mieli spodziewać się ataku.

Niczym złodzieje z nożem za pasem przychodzący kraść jabłka z ogrodu pod nieobecność właściciela.

– Ile tego tam jest, panie? – zagadnął Vázquez de Tapia, nawet nieskrywający swego bardzo wymiernego zainteresowania tym właśnie aspektem wyprawy.

– A nie mam bladego pojęcia! – zaśmiał się caudillo, rozkładając ręce. – Ale to jest... Panowie, to jest co najmniej drugie tyle, ile do tej pory dostaliśmy i zdobyliśmy!

Siedzący obok Cortésa marszałek jego nieoficjalnego dworu Cristóbal de Guzmán pokiwał tylko głową, patrząc na sporządzoną naprędce listę. Spis zajmował trzy karty pergaminu, a robiono go naprawdę na kolanie: złoto, srebro, klejnoty, figurki z jadeitu, ozdoby, posągi, tkaniny, kubki, talerze, kolorowe pióra, naszyjniki, bransolety, kolczyki... Niewiarygodne, trudne wręcz do wyobrażenia bogactwo!

Ludzie oglądali koleję przyniesioną przez caudilla na zwołaną w trybie nadzwyczajnym naradę. Podawali ją sobie z rąk do rąk, wazyli. Pan de Morla nawet przymierzył i zaśmiał się głupkowato. Szum głosów narastał, wzbierając niczym fala...

...zaś Cortés stał, patrząc na tych ludzi i czując, jak w piersi wali mu młotem kowalskim serce, a nogi odrywają się od ziemi.

Jeszcze wczoraj był przekonany, że ich przygoda ma się ku końcowi.

Że lada dzień będą musieli pożegnać się, zawrócić i ruszyć w drogę powrotną. Do wybrzeża, do Vera Cruz, na cholerną Hiszpanię.

Tam wytłumaczyć się przed tym grubym bałwanem, gubernatorem Velázquezem, z samowolnego wyruszenia. Przekupić go, ubłagać, ugadać... Złożyć pełnomocnictwa i mieć nadzieję, że król przeczyta jego list.

W końcu zdjąć pancerz, odpasać szpadę i wrócić do miejsca, które niedawno uważał za dom, do żony i syna...

Drgnął, kiedy poczuł na karku ciepły, niosący ze sobą woń aromatycznych korzeni oddech doñi Mariny... A w zasadzie to raczej Malintzin, bo tak właśnie o niej w tej chwili pomyślał. Dłoń kobiety musnęła jego plecy, poczuł przesuwające się pomiędzy łopatkami paznokcie.

– Gratuluję wam, mój panie – szepnęła mu na ucho gorącymi słowami, a potem odpłynęła w bok, usiadła niemalże

skromnie na przeznaczonym dla niej stołeczku przy jego krześle.

Tak, w tym momencie czuł, jak głosy ludzi wzbierają wraz z falą radości w jego sercu.

A on gotów był rzucić się w ten żywioł na głowę, pozwolić, aby poniósł go ze sobą, zabrał ku kolejnym krainom, kolejnym przygodom...!

– Co zamierzamy z tym zrobić? – Czyjś głos wybił się ponad narastający gwar.

Ludzie otrząsnęli się niczym ze snu.

Spojrzeli na siedzącego u końca stołu kapitana Zahreda, do którego jako ostatniego dotarła kolia. On jednak nie wziął jej w ręce, nie zaczął cieszyć się, oglądać – złoto po prostu leżało przed nim na drewnianym blacie stołu.

Zahred podrapał Kefrena za uszami, potoczył wzrokiem po zgromadzonych.

– Pytałem: co zamierzamy z tym zrobić? – powtórzył.

– Jak to co! Zabrać, rzecz jasna! – parsknął de Sandoval. – No chyba że chcecie to, panie, oddać Montezumie? Albo wręcz rozdać jego dzikusom, skoro tacy są wam bliscy?

Zahred spojrzał na niego badawczo, de Sandoval wysunął prowokacyjnie żuchwę w przód.

– Czy wy, panie de Sandoval, szukacie ze mną zwady? – zapytał bardzo spokojnie Zahred.

– Innych mierzycie swoją miarą? Ja z wami zwady szukać nie muszę, bo sami powód dajecie! Ja już nie wiem czasami, po czyjej wy stronie stoicie, panie! – prychnął de Sandoval, patrząc po towarzyszach. – Jeśli myślicie, że możecie równać się ze mną na szpady, to Bóg mi świadkiem, że...

– Dość! – charknął Cortés. – Nie będzie tu żadnych burd, zrozumiano?! Gonzalo, do diaska, co w ciebie wstąpiło?! Nie tak cię chyba uczyłem!

De Sandoval pokraśniał ze złości, gdy wypomniano mu jego początki jako giermka. Strzelił tylko oczami ku siedzącej za caudillem doñi Marinie, zacisnął usta i usiadł bez słowa.

Zahred pokiwał głową, po czym spojrzał na Cortésa.

– Dziękuję ci, Hernán. Wróćmy do meritum sprawy zatem... Jaka jest wasza decyzja, admirale? Co zrobimy ze skarbem?

Caudillo odchrząknął.

– Montezuma powiedział wyraźnie, że pałac i całe jego wyposażenie należą do nas. Zatem zaliczam znalezisko do tej kategorii – powiedział, ostrożnie ważąc słowa. – I tutaj, o dziwo, zgadzam się z panem de Sandoval: zabierzemy to ze sobą...

Zahred kiwnął głową z pewnym ociąganiem, uśmiechnął się.

– Doskonale. W jaki sposób, powiedz mi?

– Skoro nieśliśmy wcześniej złoto tutaj, to... – De Tapia zawiesił głos.

– To teraz uniesiemy go dwa razy tyle? – Zahred uniósł brwi.

– Kurwa, no chyba możemy zostawić to, co nie będzie nam potrzebne! – burknął Portocarrero.

– Wspaniały pomysł, panie. – Zahred uśmiechnął się. – Światły wręcz, nowatorski. Co zostawicie zatem? Miecz? Hełm? Czy może wolicie iść przez góry bez butów?

– Nie no, bez żartów! Do jasnej cholery...! – zaśmiał się Portocarrero. – Co ja, tragarzem jakimś pierdolonym jestem?! Niech te dzikusy zasrane to targają, skoro...

– Obawiam się, że kapitan Zahred ma częściowo rację – odezwał się milczący do tej pory Rodrigo Rangel. – Cholultekowie i Tlaxcaltekowie są i tak dość mocno obciążeni. Poza tym powierzenie całości takiego skarbu Indianom...



– To niech niosą go ci, no... Cempoalańczycy! – wybuchnął de Grado.

– Cempoalańczycy, panie, zawrócili do siebie jeszcze pod Cholulą.

– Ano faktycznie... – bąknął zbity z tropu de Grado, spuścił wzrok.

– O tym właśnie mówię. Już w tej chwili mamy tyle wszystkiego, że powrót staje się problematyczny – rzekł Zahred.

– Nie mówię, że niemożliwy. Bynajmniej. Natomiast to może być, dobry panowie, ostatni dzwonek, żeby wykonać go w sposób zorganizowany...

Cortés przygryzł wargę, wbił spojrzenie w Zahreda.

– Zatem... Mówicie, panie, że powinniśmy wracać? – wycedził.

– Gdybyście zapytali mnie dziś rano, być może miałbym jeszcze wątpliwości. Teraz? Tak, jestem pewien.

Caudillo popatrzył po zgromadzonych.

Wiedział aż nadto dobrze, że ich indiańscy sojusznicy nie są zadowoleni z obrotu spraw. Mówił mu to Zahred, potwierdziła później doña Marina.

Żołnierze byli niespokojni.

Miejscowych było całe mrowie.

Już teraz mówiło się, że taka czy inna grupa Cholulteków nie wróciła z wycieczki na targ. Tylko patrzeć, jak to samo zacnie się dziać z Kastylijczykami.

Wybiorą ich pojedynczo jak raki z saka.

Miasto, jakkolwiek piękne i bogate, zdawało się jedną wielką pułapką... A on czuł, gdzieś głęboko w sobie czuł, że im dłużej tutaj pozostają, tym bardziej zaczynają w niej więznąć.

Jego matka, święć Panie nad jej duszą, zawsze powtarzała mu: Hernán, pamiętaj, musisz wiedzieć, kiedy wycofać się ze złej gry.

Zaś Cortés, na nieszczęście, uwielbiał hazard.

Westchnął ciężko.

– Niech będzie. Poślijcie do Montezumy, powiedzcie mu, że chcę jutro odwiedzić go raz jeszcze wieczorem... A tymczasem zaczniście się pakować. I ani słowa nikomu o tym, cośmy znaleźli!



– O Najwyższy, Itzli przynosi smutne wieści dla uszu swego władcy!

Montezuma podniósł wzrok znad planszy pełnej stojących w skomplikowanym układzie białych i czarnych kamieni.

Partia ciągnęła się już dłuższą część poranka. Po początkowej niepewności co do swojej pozycji i utracie kilku ważnych, już dość dobrze zbudowanych przyczółków władca bliski był przegranej... Ale teraz, po tym, jak udało mu się skonsolidować swoje pionki i umocnić obronę środka, szala zwycięstwa zaczynała przechylać się na jego korzyść.

Jakkolwiek może Axatlanolli nie należała ani do najpiękniejszych, ani do najmłodszych z nałożnic króla, to Montezuma wielce cenił ją właśnie za to, jak dobrze pomagała mu spędzać czas. Oczytana, inteligentna, niebojąca się mówić, co myśli... I w końcu niezrównana we wszelkich grach, zabawach i konkurencjach.

Spojrzał teraz na kobietę, uśmiechnął się. Ona odwzajemniła gest, przewróciła oczami i prychnęła, udając irytację: znów im ktoś przeszkadzał!

– Itzli staje się już niemal codziennym towarzyszem dnia Montezumy – powiedział władca z pewnym rozbawieniem. –

Cóż tym razem się wydarzyło, że przychodzi do niego w takim wzburzeniu?

– O panie! – Itzli podszedł dwa kroki, uklęknął i uderzył czołem o ziemię. – Biali przybysze znaleźli złoto schowane w zamkniętych komnatach pałacu Axayacatla!

Montezuma uniósł brew.

Sięgnął ku planszy, zawahał się... przesunął jeden z czarnych kamieni w bok.

– To doprawdy straszne, co mówi Itzli. Niech Itzli powie nam: całe?

– O Najwyższy! Nawet teraz, gdy Itzli mówi to Montezumie, przybysze... Co? – zająknął się władca Domu Szeptów.

– Montezuma pytał się Itzlego, czy całe. Czy przybysze znaleźli CAŁE złoto ukryte w pałacu Axayacatla?

– Tak, o Najwyższy! Wyłamali rzeźbę ku czci Omenoxicatli, a potem przebili zamurowane drzwi w Niebieskiej Sali. Wynieśli wszystko z komnat, nie zostawili nawet słomianych mat, które... Och.

Itzli urwał, widząc, jakim wzrokiem patrzy na niego władca.

Otworzył usta z niedowierzaniem.

Zamknął je.

Skłonił się bardzo, bardzo nisko, kładąc na sercu nie tylko jedną, ale obydwie ręce na znak najwyższego szacunku.

Montezuma skinął.

– Itzli może odejść.

Kiedy władca Domu Szeptów wycofał się tyłem z komnaty, Montezuma westchnął, potrząsając głową. Och, jak trudno było czasami kierować ludźmi. Jak mało domyślni potrafili być, jak mało widzieli. Nie wystarczyło im czegoś dać – czasami trzeba było jeszcze pokazać palcem!

A oni i tak cieszyli się wtedy jak zabrane na polowanie dzieci, które dadzą radę podejść i ustrzelić z łuku pięknego kolorowego ptaka na gałęzi.

Dzieci, które nawet nie zastanowią się, dlaczego ptak trzepotał skrzydłami, ale nie odlatywał... I skąd wziął się ten sznurek zawiązany na jego nodze.

Nie wszystko można było zrobić otwarcie. Nie zawsze oczywiste ruchy dawały najlepsze rezultaty. Ludzie o wiele bardziej potrafili cenić nie to, co dostaną z hojności, ale to, co wydawało im się, że sami zdobyli.

Montezuma uśmiechnął się do Axatlanolli, wskazał planszę: twój ruch.

Choć on już wiedział, że ta partia będzie należeć do niego.



– N-n-no i co, pa-pa-panowie? Os-s-s-statnia wizy-zy-zyta, zjemy, wypijemy i mówi-wi-wimy do w-w-wi-widzenia? – zaśmiał się de León.

Stojący obok niego de Lugo wzruszył ramionami, przyglądził zaczesane do tyłu włosy.

– Ja bym mógł zostać. Źle tu nie jest... Gdzie będzie lepiej?

– Prawda, podejmują nas tutaj jak udzielne księżęta – zgodził się de Alvarado. – No ale może i prawda, że trzeba się zbierać... Ja tym miejscowym nie ufam ani trochę.

– Jeszcze tego by brakowało, żebyśmy ufać im mieli – warknął Gonzalo de Sandoval.

Zahred stał na dziedzińcu wraz z grupą kilku innych kapitanów zaproszonych na wczesnowieczorną audiencję u Montezumy. Ubrani w czyste, odświeżone szaty, ogoleni,

uczesani... Po raz pierwszy od długiego czasu przypominali szlachciców albo w ogóle ludzi cywilizowanych, a nie brnących w nieznane żołdaków.

Czekali jeszcze tylko na samego Cortésa, który nadal nie wyszedł ze swoich kwater.

Mieli już ruszać dobre pół godziny temu, ale akurat przybył długo wyczekiwany, mocno spóźniony posłaniec, wiozący pisma z wybrzeża.

Było zupełnie naturalne, że caudillo chciał zapoznać się z nimi jak najszybciej. Natomiast zastanawiające było to, że robił to tak długo.

– No c-c-co on tam ty-ty-tyle cz-cz-czasu... – zawarczał de León, jak zwykle niecierpliwy. – O, o-tóż-tóż j-jest!

Rzeczywiście, po schodach wiodących do pałacu zbiegał teraz Cortés. Obok szła szybkim krokiem, z rozwianymi włosami doña Marina, przy niej truchtał ojciec de Aguilar... A za nimi zaczęły wysypywać się z drzwi dobre dwa tuziny arkebuzerów.

– Gwardia honorowa! – zaśmiał się caudillo, widząc pytające spojrzenia. – Trzeba się pokazać, kiedy do wielkiego pana idziemy. Naprzód, panowie, nie ma co zwlekać!

– Formuj szyk... uwaga... naprzód! – zakomenderował de Sandoval.

Ruszyli zwartą grupą, eskortowani przez idących po obu stronach ludzi.

Czekający już na nich przy bramie przewodnicy i heroldzi wysłani przez Montezumę, aby przyprowadzili gości, zawołali wielkim głosem: odsuńcie się, zróbcie miejsce! Oto idą ci, których wezwał przed swoje oblicze Pan Słońca, Ten, Którego Oblicze Jaśnieje Szlachetnym Gniewem! Zejdźcie z drogi, uczyńcie przejście! Zróbcie miejsce...!

Szli równo, noga w nogę, zachowując krok marszowy.

Mexikowie przystawali, patrząc na konkwistadorów i pokazując na przybyszów palcami.

Na dachach domów stojących wzdłuż ulicy pokazali się ciekawscy, zawsze chętni, żeby pogapić się na niecodzienne widowisko.

Cortés szedł szybko.

Niemalże co chwila wysforowywał się do przodu, prawie wysuwając się przed szyk; mitygował się, zwalniał i pozwalał, aby ludzie go dogonili. Jednak potem znów zapominał się i przyspieszał kroku.

Zahred zerkał na niego z ukosa.

Caudillo uśmiechał się, zagadywał do ludzi, nawet zaśmiał się raz i drugi z żartu rzuconego przez pana de Leóna... Ale było w tej wesołości coś sztucznego, napiętego aż do granic.

O ile krocząca obok swego pana Malintzin doskonale kryła emocje, to sam ojciec de Aguilar był ewidentnie wzburzony. Było chłodno, a duchowny raz po raz ocierał czoło dłonią, pocąc się, jakby był środek lata.

Zahred wiedział zaś, że komu jak komu, ale duchownemu upał raczej nie doskwierał, bo jego rodzinna Écija, położona pomiędzy Sewillą a Kordobą, była nawet przez Kastylijczyków żartobliwie zwana „diabelskim kotłem”.

Poza tym kilka lat, które de Aguilarowi zdarzyło się przeżyć w niewoli u Indian, po tym jak wiozący go statek rozbił się na skałach przy wybrzeżu Nowego Świata, oprócz pewnej rudymentarnej znajomości jednego z narzeczy tutejszego języka dało mu również odporność nie tylko na upały, ale na większość przeciwności tego świata.

Mimo to teraz ojciec de Aguilar był podenerwowany ponad miarę!

– Hernán, co się stało? – Zahred nachylił się do Cortésa.

Ten spojrział na niego oczami, których źrenice były tak wielkie, że niemal zakrywały tęczę.

– Nic. Co miałyby się stać?

– Widzę, że jesteś wzburzony. Co było w tych pismach, Hernán?

– Nic takiego.

– Hernááán... – przeciągnął Zahred.

– Dowiesz się w swoim czasie! Mam je ze sobą, chcę pokazać Montezumie. Niech spojrzy mi w oczy i powie, ile jest w nich prawdy.

– Hernán, proszę cię. Nie zrobimy teraz nic głupiego...

– „My”? – Cortés potrząsnął głową. – Och, zapewniam cię, przyjacielu: MY nie zrobimy nic głupiego. Zresztą co ja będę język strzępił? Masz, przeczytaj sam, co pisze do mnie z wybrzeża Pedro de Ircio!

Sięgnął za pazuchę, wyciągnął i podał Zahredowi złożony pergamin. Malintzin syknęła z niezadowoleniem, kilku kapitanów z ciekawością wyciągnęło szyje... Zahred nawet nie zwrócił na to uwagi.

Rozłożył pismo. Przebiegł oczami. Złożył, oddał Cortésowi.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Pobrzękiwały pancerze, skrzypiała skóra pendentów przy mieczach.

– No i co? – nie wytrzymał Cortés. – Nic nie powiesz?

– Nie wymaga to komentarza ani mojego, ani twojego – mruknął Zahred oszczędnie.

– Doprawdy?! Nawet słowem nie skomentujesz?

– Takie rzeczy się zdarzają, Hernán.

– „Zdarzają się”?! Na litość boską, Vera Cruz zaatakowane...!

– Hernán, nie... – warknął Zahred, ale było już za późno.

– Co?! – sapnął de Sandoval.

– ...mój wierny gubernator, pan Juan de Escalante, śmiertelnie ranny w boju! Dobry rycerz Juan Argüello ściągnięty z konia, wzięty do niewoli przez tych dzikusów i zapewne już złożony w ofierze na ich diabelskich ołtarzach!

– Co? – jęknął de Lugo.

– ...miasto podpalone, ludzie poranieni! A ja, ja mam na to nie reagować?! Udawać, że nic się nie stało?!

– Ż-ż-że c-cooo?! – wykrztusił pan de León.

– To, co mówię, dobrzy panowie! Wieści z wybrzeża dotarły... Zostaliśmy zdradziecko zaatakowani, ot co! – Cortés potrząsnął trzymanymi w ręku pismami.

Zahred zgrzytnął zębami.

Tymczasem ludzie już się nakręcali, rozbrzmiały okrzyki: zdrada, zdrada! Jednak chcą nas wymordować! To psy, to judasze niewierni! Nie wolno było im ufać...!

– Bij w nich! Bij kto w Boga wierzy! – Ávila złapał się za głowę.

De Sandoval tymczasem doskoczył do Cortésa, zaczął mówić gorączkowo:

– Panie! Nie możemy iść do Montezumy, to może być zasadzka! Gotowi nas napaść... Mało tego, może już teraz coś knują!

– Zdrada! – powtarzali jeden drugiemu arkebuzerzy. – Zaatakowali, pobili naszych! Vera Cruz spalone, gubernator zamordowany!

Któryś w gorącej wodzie kąpany sięgnął już do sakwy, wyciągnął hubkę i krzesiwko, skrzesał iskrę i zaczął rozdmuchiwać niewielką żagiew do odpalania lontu. Drugi wziął ogień od niego, podał dalej... Kolejni zaczęli czym prędzej, nie zatrzymując się nawet, zasypywać panewki prochem.

– Spokój! – huknął nagle Cortés, stając w miejscu. – Spokój, mówię...! Nie będzie żadnych samosądów! Nie idziemy do



Montezumy po to, żeby go zamordować...!

– A m-m-może i by trze-trze-trzeba! – De León zaśmiał się chrapliwie.

Caudillo jednak spiorunował go wzrokiem.

– Żadnych burd, mówię! Idziemy spokojnie, jak na szlachciców przystało! Na rozmowę, a nie zbrojną rozprawę... Spokój! Żadnych głupot, tak jak powiedział kapitan Zahred!

Strzelił spojrzeniem z ukosa na Zahreda, jak gdyby chcąc sprawdzić jego reakcję.

Ten zagryzł tylko usta, zacisnął pięści: wszystko, co właśnie zrobił Cortés, było dokładnym zaprzeczeniem tego, o co go poprosił!

Co gorsza, był więcej niż pewien, że o ile zdążył poznać Hernána, ten zrobił to celowo.

Mało tego: z rozmysłem i premedytacją.

Natomiast teraz było już za późno, żeby cokolwiek na to zaradzić, bo dotarli do pałacu Montezumy.

Herold zapowiedział ich szambelanowi, ten skłonił się nisko i poprowadził kapitanów przez sale i korytarze pałacu. Och, gdyby tylko znał język, którego używali obcy! Widział i słyszał, owszem, że przybysze są wyraźnie podekscytowani, wręcz pobudzeni – ale kto by nie był, zostawszy wezwanym na audiencję do samego Montezumy?

Najwyższy król czekał już na nich, siedząc na przybranym kolorowymi piórami i złotem tronie z trzciny. Przy Montezumie było raptem kilkunastu strażników, paru służących, dwie masujące mu stopy posługaczki i kilku pomniejszych urzędników, stojących pod ścianami.

Widać było, że zdziwił się nieco, widząc rozmiar orszaku, który Cortés wziął ze sobą na spotkanie. Caudillo jednak odwrócił się do arkebuzerów, warknął krótko:

– Czekać tutaj, broń w pogotowiu. A wy za mną!

Kapitanowie ruszyli za nim, trzymając się zwartą grupą zaraz za dowódcą i idącą u jego boku doña Mariną.

Ojciec de Aguilar, którego wzburzenie ustąpiło chyba miejsca przerażeniu, modlił się żarliwie, poruszając bezgłośnie ustami i obracając w palcach różaniec.

Stanęli pośrodku sali audiencyjnej.

Cortés jako pierwszy wykonał przepisowy dworski ukłon, jak gdyby stał przed obliczem dowolnego kastylijskiego dostojnika albo i księcia... Montezuma sięgnął do podanej mu przez niewolnika misy, dotknął leżącej w niej ziemi i przyłożył palce do ust.

– Montezuma wita Cortésa, swojego przyjaciela i brata – przełożyła półszeptem słowa króla doña Marina. – Mówi, że jego nogi zapewne strudziły się wędrówką. Niech Cortés zasiądzie z nim, pożywi się i ugasi pragnienie.

Caudillo skłonił się jeszcze raz, uśmiechnął.

– Dziękuję wielkiemu Montezumie za jego łaskawe zaproszenie. To dla nas zaszczyt, że możemy przebywać z nim pod jednym dachem.

De León zawarczał z niezadowoleniem, ale caudillo nie zwrócił na to uwagi.

Zasiedli na rozłożonych słomianych matach, służące podały im miski z jedzeniem.

– Montezuma cieszy się, że wielki Cortés odwiedził go w jego domu. Ufa, że świątynia jego bogów jest już ukończona?

– Świątynia mojego Boga... JEDYNEGO Boga, jaki jest, została dziś rano wyświęcona. Odprawiliśmy już w niej mszę, więc dziękuję Montezumie za jego troskę. Dziękuję mu też, że w swojej łaskawości zezwolił nam na ten czyn. Gdy Montezuma przyjmie do swojego serca prawdziwego, w Trójcy JedyneGO Boga, ten niechybnie poczyta mu to za zasługę.

– Montezuma cieszy się radością Cortésa. Montezuma pragnie, aby Cortés był szczęśliwy i zadowolony, dlatego też chce dzielić się z nim wszystkim, co ma najlepszego. Niech więc Cortés przyjmie te skromne dary.

Do sali weszło jeszcze kilka kobiet, niosących misy pełne złota, srebra i ozdób. Każda z nich uklęknęła przed jednym z konkwistadorów, zaczęła po kolei wyklądać przed nim drogocenne podarki.

Wcześniej, nawet jeszcze tego dnia, ucieszyliby się niechybnie.

Teraz? Teraz patrzyli ponuro i na podarki, i na demonstrujące je, pięknie przybrane kwiatami kobiety.

– Cortés dziękuje Montezumie za te dary – powiedział caudillo sucho.

– Montezuma mówi: wszystko jest darem, wszystko płynie z serca. Niech Cortés i jego ludzie wezmą podarki, a wraz z nimi niech wezmą i te kobiety. Każda z nich jest córką szlchetnego rodu, rodzice każdej z nich to najlepsza szlchetna krew Tenochtitlán. Niech wezmą je i uczynią swoimi.

– O, no wreszcie coś... – odezwała się gdzieś z tyłu wyraźnie zaintrygowana ofertą pani d’Estrada.

Zahred popatrzył na klęczącą przed nim, może piętnastoletnią dziewczynę: była niezaprzeczalnie piękna. Byłaby piękna gdziekolwiek na świecie, w dowolnej krainie, w dowolnych czasach. Uśmiechnęła się do niego i opuściła powieki, zasłaniając wielkie orzechowe oczy.

Do Cortésa podeszła najdostatniej ubrana, najbardziej wyraziście umalowana ze wszystkich dziewcząt. Musiała mieć nie więcej jak dwanaście lat, ale widać było w jej ruchach, w jej samym zachowaniu, że to nie była zwykła dziewczyna. Zaś linia nosa i kształt oczu sprawiały, że była uderzająco podobna do zasiadającego na tronie władcy.

– Montezuma mówi: oto Tecuichpotzin, życie z jego lędźwi, jego pierworodna z ukochanej małżonki. Niech Cortés uczyni ją swoją żoną, przez co będzie rodziną i na zawsze przyjacielem dla Montezumy.

Caudillo nawet nie zaszczycił dziewczyny spojrzeniem.

– Zgodnie z chrześcijańskim prawem Cortés nie może poślubić córki Montezumy, ponieważ... – Tłumacząca odpowiedź Malintzin zająknęła się i urwała.

– Mów! – warknął Cortés, nie spuszczać oczu z Montezumy i nadal się uśmiechając.

– ...ponieważ mówi, że jest... Cortés jest już żonaty.

Montezuma przez chwilę rozważał odpowiedź. Potem powoli, z zastanowieniem skinął głową.

– Cortés sam zna swoje serce i wie, co jest dla niego najlepsze. Oby bogowie Meksyków i bóg jego króla sprzyjali jemu i jego ludziom. Montezuma boleje nad tym, że mówiono mu o zamiarze Cortésa opuszczenia jego królestwa.

Caudillo z sykiem wciągnął powietrze, uśmiechnął się nieszczercze.

– Nie bolał jakoś, gdy wysyłał dowódców z Nauhtli przeciwko należącemu do mnie miastu Vera Cruz – zasyczał jadownicie. – Nie bolało go, gdy jego dzikusy podpaliły domy Kastylijczyków ani kiedy ich miecze spadały na głowy moich ludzi.

Montezuma drgnął, wyprostował się na swoim siedzisku. Ruchem ręki pokazał, żeby kobiety odeszły. Zmrużył oczy.

– Montezuma boleje też nad tą sprawą – powiedział.

– Hernán... – mruknął Zahred.

– A ja tak myślę, że boleje nie nad tym, co zaszło, a wyłącznie nad tym, że wyszło to na jaw. I to po wszystkim, co dla niego zrobiłem! – Cortés z pasją uderzył dłonią o kolano.

– Hernááán... – powtórzył Zahred, przyjmując na macie taką pozycję, żeby opierać się na lewej ręce, i jednocześnie przesuwając prawą tak, aby leżała bliżej styliska wsadzonej za pas siekiery.

– Montezuma mówi, że słyszał o tej sprawie wcześniej. Jednak zataił ją przed Cortésem... – Doña Marina zaryzykowała szybkie spojrzenie na Zahreda. – Nie mówił o niej Cortésowi, żeby go nie zasmucać.

– Żeby go nie zasmucać! – powtórzył caudillo z przekąsem. – Słyszeliście to, dobrzy panowie? Nie zasmucać mnie tym, że kazał napaść na moich ludzi! Zaatakować nasze miasto! Otwarcie, bezczelnie uderzyć na nas zdradą, gdy się tego nie spodziewaliśmy, gdy już gotowi byliśmy uznać go za przyjaciela...

– Montezuma nie kazał atakować Cortésa.

– Dokładnie tak, jak miało to miejsce w Choluli!

Po tych słowach w sali audiencyjnej zapadła lodowata, dzwoniąca cisza.

Oczy Montezumy otwały się szerzej, władca wciągnął powietrze nosem.

Siedząca obok Cortésa doña Marina uśmiechnęła się złowieszczo, delikatnie musnęła palcem dłoń caudilla.

Słysząc było, jak w sąsiednim pomieszczeniu szurają i pobrzękują bronią arkebuzerzy. Któryś z nich dmuchał na żagiewkę, która trzeszczała, strzelając iskrami.

Montezuma schylił głowę.

Przez chwilę trwał tak nieruchomo, jak gdyby śpiąc... W końcu wyprostował się, spojrzał wprost na Cortésa:

– Montezuma pyta: jak może zadośćuczynić Cortésowi?

Caudillo parsknął, zrobił w powietrzu pogardliwy gest ręką. Spojrzał w bok, jak gdyby szukając tam odpowiedzi na

niełatwe pytanie. Westchnął. Znow zawiesił wzrok na Montezumie i odezwał się:

– Jestem gotów wybaczyć Montezumie wszystkie jego przewiny, puścić w niepamięć zaznane od niego krzywdy, jeśli... jeśli on... – Cortés nabrał tchu. – Jeśli Montezuma bez oporu uda się z nami do naszej kwatery i zostanie tam tak długo, jak będzie wymagała tego sytuacja.

Montezuma popatrzył uważnie na białego wodza, potem powoli pokręcił głową.

– Montezuma nie opuści tego miejsca. On jest najwyższym królem. Jest słońcem i księżycem Tenochtitlán. Jest tym, co sprawia, że serce Imperium Słońca bije. Nie da się zdjąć z nieba słońca ani księżyca, nie można wyjąć z ciała serca tak, aby ciało nie umarło.

– To jedyny wybór, jaki daję Montezumie. Może albo udać się z nami, abyśmy na spokojnie wyjaśnili tę sprawę... Albo wymierzmy mu sprawiedliwość tu i teraz.

Juan Velázquez de León zawarczał gardłowo, położył dłoń na rękojeści miecza i wysunął go z pochwy na trzy palce, obnażając błyszczące zimną stalą ostrze.

Siedzący po lewej stronie od niego Zahred ujął stylisko siekiery i ledwie dostrzegalnym ruchem zaczął wyciągać ją zza pasa.

Montezuma widział i jednego, i drugiego.

Był pewien, że wielki, zwalisty, kędzierzawy i brodaty de León gotów będzie rzucić się na niego w każdej chwili, gdy tylko rozkaże mu to Cortés.

Czuł jednak, że nim de León zdąży go dopaść, człowiek o wymalowanych rękach zerwie się ze swego miejsca i uderzy go na odlew.

Nie mógł wiedzieć, jaką drogą będzie lecieć przez powietrze żeleźce siekiery spoczywającej w jego rękach.

Nie chciał nawet myśleć o tym, co wydarzy się dalej.  
Natomiast niezależnie od tego nie mógł na to pozwolić.  
Po prostu nie mógł.

– Cortés żąda czegoś, czego Montezuma nie może uczynić – powiedział łamiącym się głosem król.

– Może. I uczyni. A ja i tak robię wielekroć mniej, niż oczekują tego ode mnie moi ludzie... Na Boga, jeśli Montezuma nie przystanie na moją prośbę, to moi kapitanowie gotowi się rozgniewać!

– Montezuma jest Huēi Tlahtoāni. Nie można po prostu go uwięzić.

– Nie zamierzam go uwięzić, ale zaprosić w gościnę. – Cortés skrzywił się.

– Montezuma może nazwać noc dniem, ale to nie znaczy, że jej ciemności rozjaśni słońce. Montezuma nie jest tu bezbronny, też ma swoich ludzi gotowych bronić jego honoru. Nawet jeśli przystanie na prośbę Cortésa, to jego wojownicy tego nie zniosą.

– Mart-t-t-wemu nie zro-zro-zrobi mu to róż-róż-ni-ni-nicy – zadudnił de León, podnosząc się powoli i dobywając miecza do końca.

Pozostali kapitanowie też zaczęli wstawać, rozglądając się po strażach.

– Ten jest mój...! – De Sandoval wskazał wojownika w największym pióropuszu, doczepionym do nałożonej na głowę skóry jaguara.

Dowódca straży spojrział na króla, czekając tylko na rozkaz. Montezuma jednak podniósł rękę: czekać.

– Montezuma jest przyjacielem Cortésa – powtórzył z naciskiem.

– Niech zatem pozostanie nim, udając się wraz z nami w gościnę. Nalegam na to... i proszę po dobroci.

– Montezuma boi się, że Cortés i jego ludzie nie wyjdą z pałacu żywi, jeśli spróbują uprowadzić Montezumę, bo jego doradcy nie zniosą widoku hańby swojego króla zabieranego niczym więzień z własnego domu.

– Moi ludzie nie zniosą hańby swojego admirała traktowanego jak byle parch! – parsknął Cortés. – To naprawdę prosty wybór: wóz albo przewóz!

– Montezuma nie boi się o swoje życie, bo jest w rękach bogów. Niech zatem Cortés weźmie to, co jest Montezumie najdroższe... – Głos Montezumy zadrgał. – Niech ugości w pałacu Axayacatla mojego syna i dwie córki.

Jeden z wojowników Jaguara postąpił krok naprzód. Stojący naprzeciwko niego biały od razu wyciągnął miecz. Jak gdyby tylko czekając na to, pozostali też dobyli broni.

– Odpalaj lonty! – rozległo się z sąsiedniego pomieszczenia. – Odpalaj, mówię...! I gotowość do strzału!

– Stać! Stać! – zawołał Zahred, podnosząc siekiere i wychodząc z grupy w kierunku tronu Montezumy. Stał w pół drogi, obejrzał się na Cortésa. – Hernán, proszę cię... Pozwól mi. To nie musi się tak skończyć.

– Nie musi, jeśli ten pies przystanie na nasze żądania! Jeśli nie, to...!

– Nie musi. Daj mi szansę. Pozwól... proszę.

– Nie wyglądasz, jakbyś... No dobrze, niech ci będzie. – Cortés machnął ręką.

– Hernán, nie musisz... – szepnęła doña Marina, ale on tylko potrząsnął głową: nie teraz!

Zahred odetchnął głęboko, odwrócił się w kierunku tronu.

Postąpił krok, drugi.

Uklęknął na oba kolana, odłożył siekiere i oparł dłonie o posadzkę.

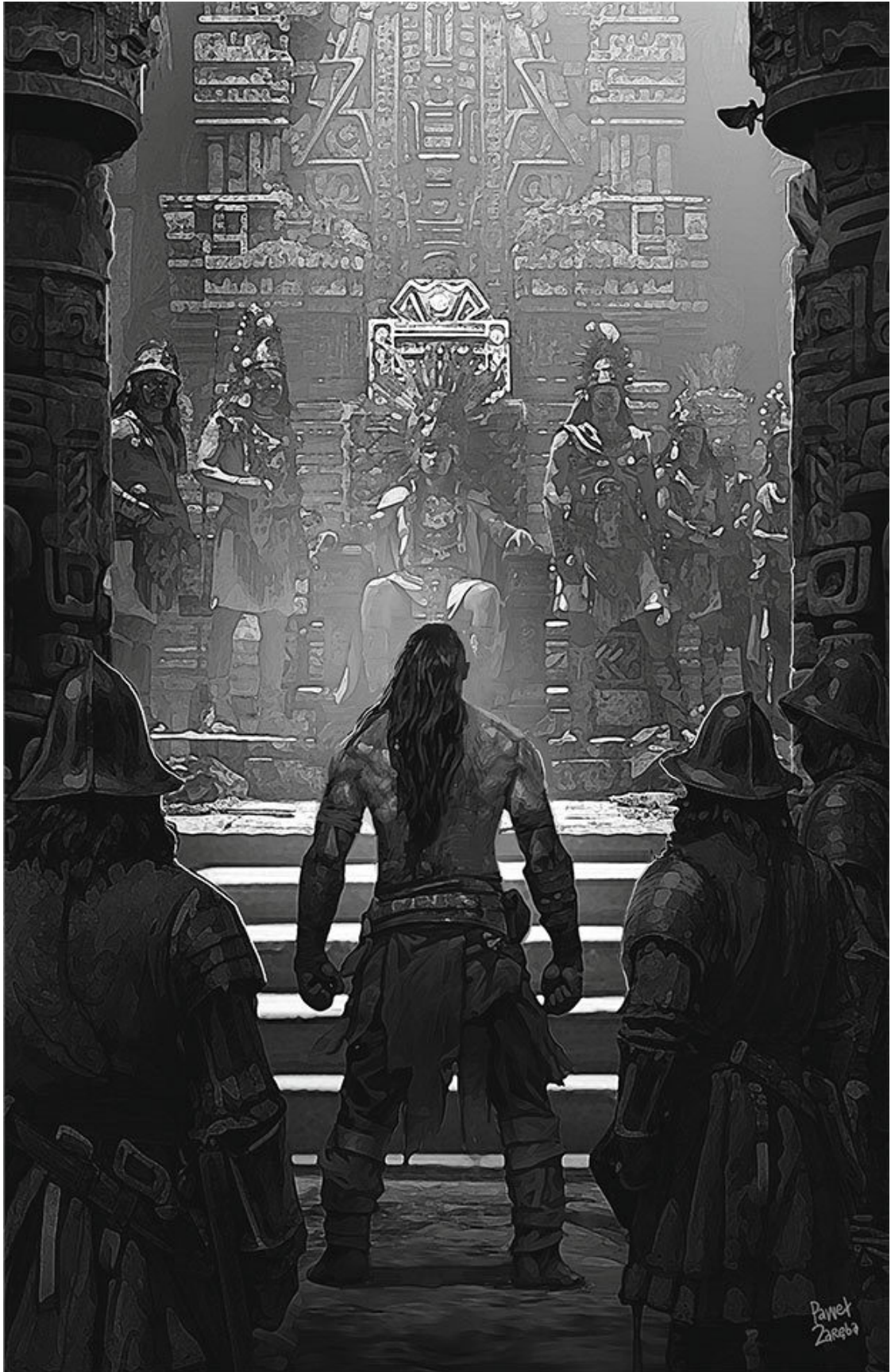
Dotknął kamieni czołem.



Wyprostował się, klęcząc, po czym czubkiem języka przejechał po palcach prawej dłoni.

Zasiadający na złotym tronie, ubrany w biało-złotą szatę Huēi Tlahtoāni Mocetuhsoma Xocoyotzin, władca wszystkich krain od gór aż ku Wielkiej Wodzie, pan Imperium Słońca, Ten, Którego Gniew Jest Szlachetny, patrzył na to w zdumieniu.

Zahred wstał i powoli, rozkładając ręce, aby pokazać, że nie ma przy sobie broni, wszedł na dwa stopnie podwyższenia tronowego.



Znów przyklęknął na kolano, spojrział wprost na Montezumę.

Niemalże czuł na plecach palące, nienawistne spojrzenie Malintzin. Był w stanie sobie wyobrazić, jak kobieta nadstawia uszu i wyciąga szyję, aby złapać chociaż fragment tego, co chciał powiedzieć.

– Cortés gotów jest to zrobić – zaszeptał tak cicho, by na pewno go nie usłyszała. – Jeśli wielki Montezuma uda się z Cortésem, nie spotka go krzywda. Jeśli zostanie tutaj, nawet Xahuatl nie może ręczyć za jego bezpieczeństwo.

Władca zadrżał.

Jak dotąd nie dowiedział się o wymalowanym człowieku prawie nic.

Traktował go jako coś będącego poza obrazem wydarzeń. Niczym cień na ścianie – coś, co się widzi, ale czego nie da się dotknąć. Zawsze obecny, zawsze nieosiągalny.

I właśnie teraz, w takiej chwili, to wymalowany człowiek przychodził do niego.

– Montezuma jest Huēi Tlahtoāni – odpowiedział. – Jeśli król opuści swoje miejsce, zapanuje śmierć. Z nieba spuści się na utkanej ze smutku jadeitowej sieci pająk Tzitzimitl, a wtedy...

Urwał, widząc, jak od strony wyjścia na taras zbliża się ku niemu trzepoczący ciemnobrązowy kształt.

Zdawało się, że nikt inny z obecnych w pomieszczeniu nie zauważał, nie dostrzegał tego, co on.

Przepiękna, niczym utkana z jaśniejszych i ciemniejszych fragmentów błyszczącego kamienia ćma przefrunęła pomiędzy Kastylijczykami, musnęła skrzydłem miecz w rękę pana de Leóna i usiadła na żelźcu leżącej na podłodze siekiery.

Rozłożyła skrzydła, zakrywając je niemalże w całości, poruszyła nimi jeszcze raz i drugi – po czym poderwała się do

lotu, przeleciała ku oknu i zniknęła w ciemności.

– Najwyższy? – Zahred zajrzał Montezumie w twarz.

Wielki król drgnął, niczym budząc się ze snu. Wyprostował się.

– Montezuma zgodzi się pójść z Cortésem – powiedział głośno, dobitnie.

– Panie, Montezuma powiedział, że... – westchnęła głośno Malintzin.

– Zrozumiałem i bez tego. Dobrze. Cortés cieszy się, że jego przyjaciel poszedł po rozum do głowy – rzekł caudillo.

– Montezuma każe też jak najszybciej wysłać do Nauhtli posłów, aby ci sprowadzili jego namiestnika Qualpopokę. Ten wyjaśni Cortésowi to, co się stało, i potwierdzi, że nie było to zamiarem Montezумы.

– Zgoda – odparł caudillo. – Niech będzie. Trzech moich ludzi ruszy razem z posłami Montezумы. Do czasu, gdy tamci wrócą, Montezuma pozostanie moim... gościem.

Potoczył wzrokiem po stojących w gotowości strażach wojowników Jaguara, po przerażonych sytuacją dostojnikach i członkach dworu, którzy przecież byli tutaj, widzieli i słyszeli całość sytuacji!

– Gościem... – powtórzył z goryczą Montezuma, podnosząc się ze swego tronu.

Zdjął z głowy ciężki pióropusz.

Odłożył na siedzisko tronu naszyjnik z kłów jaguara i zielonych piór. Ściągnął z ramienia bransoletę, podał jednemu z urzędników. Ten tylko skłonił się: słyszał rozmowę. Wiedział, kogo ma sprowadzić i skąd.

– Montezuma rusza ze swoim przyjacielem i bratem, białym wodzem Cortésem, z własnej woli! – zawołał, unosząc ręce. – Nikt mu nie groził, nikt nie zmusił do niczego wielkiego

króla! Montezuma czyni to, co uczynił, z woli bogów, bo rozmawiał z Tą, Która Grzechocze Kośćmi Nocą...!

– Ītzpāpālōtl! – wyrwało się któremuś z dostojników.

– I powiedziała mu ona: niech idzie, bo tam będzie bezpieczny! Niech uda się z nimi, bo tam dowie się wielu rzeczy. Niech Montezuma idzie, bo tam prowadzi go droga przeznaczenia...

Spojrzał na Zahreda, który tymczasem cofnął się i podniósł swoją siekierę. Wchodząc znów pomiędzy szyk Kastylijczyków, przelotnie spojrzał na stojącą przy Cortésie kobietę... Ale ta patrzyła wprost na Montezumę, uśmiechając się tryumfalnie.

– Niech idzie, bo tak każe mu Obsydianowy Motyl – dokończył łamiącym się głosem.

Po czym zwiesił głowę, zszedł z podwyższenia i ruszył ku Kastylijczykom.



## Rozdział 3

*19 listopada 1519*

O władco najwyższy, o źrenico słonecznego oka! Serce Itzquauhtzina łka, jego siwa głowa pełna jest zawodzenia wiatru! Jego oczy wypełniają się łzami, a usta wołają: biada, biada, po trzykroć biada! Że też Itzquauhtzin dożył tego dnia...!

Montezuma uśmiechnął się dobrotliwie, podszedł ku leżącemu w progu komnaty mężczyźnie. Przyklęknął, ujął sędziwego już gubernatora Tlatelolco pod ramię i delikatnie pomógł mu wstać z posadzki.

– Niech Itzquauhtzin nie rozpacza, niech jego serce nie trwoży się bez potrzeby. Oto jego władca jest przy nim cały i zdrowy. Czyż Itzquauhtzin zapomniał już, jak ojciec

Montezuma podejmował go w pałacu Axayacatla? Teraz niech będzie on gościem syna ojca Montezumy.

– Najwyższy, nie! – Itzquauhtzin potrząsnął głową. – Jak może gościć ten, który nie jest gospodarzem?! Jakże radować się wspólnie z tym, którego umysł zasnuwać musi mgła troski?

– Montezuma przybył w gościnę Cortésa z własnej woli. Z własnej woli posłał po Itzquauhtzina, aby ten dotrzymał mu towarzysztwa. Montezuma nie jest tutaj jeńcem.

Dawny gubernator Tlatelolco, niegdysiejszy poseł Montezumy, wielokrotny ambasador i wysłannik najwyższego króla obejrzał się ku drzwiom, przez które dopiero co wprowadziła go służba.

Jego wzrok nie był już tak dobry jak kiedyś. Wraz z upływem lat oczy zaciągnęła mu mleczna mgła. Nierzadko, gdy słońce zaszło i zaczynał zapadać zmrok, nie był w stanie dostrzec człowieka stojącego raptem dziesięć kroków od niego.

Natomiast nawet czas nie przytępił zmysłów sędziwego dostojnika na tyle, żeby nie potrafił odróżnić dumnego wojownika Mexików od jednego z białych, którzy przybyli zza Wielkiej Wody na wschodzie!

A to właśnie tacy żołnierze stali pod drzwiami, przez które wpuszczono go do komnat Montezumy.

To uderzająco podobni do siebie, śmierdzący potem i brudem ludzie prowadzili go przez pomieszczenia.

I to oni pełnili wartę przy głównej bramie pałacu!

– Najwyższy! Itzquauhtzin mówi teraz słowami wielu innych. Jego usta mówią za tych, którzy nie mieliby odwagi sami stanąć przed obliczem Huēi Tlahtoāni...

Montezuma podprowadził ambasadora ku rozłożonym na tarasie słomianym matom, na których stały już rozstawione naczynia i dymił w dzbanku *xocolatl*.

Młoda, urodziwa niewolnica – ta sama, która usługiwała królowi w jego pałacu – poczekała, aż obaj rozsiądą się wygodnie, po czym nalała świętego napoju do dwóch czarek z pięknej roboty ceramiki z Choluli.

– Niech Itzquauhtzin mówi zatem śmiało.

– Już trzecie słońce wstaje, trzeci dzień się rozpoczyna, gdy Huēi Tlahtoāni nie zasiada na swoim tronie! – wyrzucił z siebie gubernator. – Dwór Montezumy drży i trzęsie się od plotek! Jego urzędnicy nie wiedzą, co mają robić. Jego zarządcy nie mają właściwych rozkazów. Kapłani zastanawiają się, czy władca dołączy do nich podczas Tygodnia Zbierania Włosów...

– Dlatego właśnie Montezuma wezwał przed swoje oblicze Itzquauhtzina. Niech Itzquauhtzin pozostanie z nami tego ranka i ujrzy, że przebywa tutaj w gościnie, a nie w niewoli.

Gubernator aż zadrżał: to sam władca, a nie on, po raz drugi już użył tego właśnie słowa.

– Najwyższy, jednakże dwór Tenochtitlán...

– Huēi Tlahtoāni nie opuścił Tenochtitlán. Jest tutaj i nadal sprawuje władzę – przerwał mu gładko Montezuma. – Czyż państwo Montezumy upadało za każdym razem, gdy zamiast w swoim pałacu nocował na wzgórzu Chapultepec? Czy panował w nim chaos, czy dzikie zwierzęta schodziły z gór, gdy szukał wypoczynku w ogrodach Texcoco? Czy nadchodziła wieczna noc, kiedy Montezuma udawał się co roku na składanie ofiar u wejścia do Kolebki Bogów? Czy w końcu Tenochtitlán płonęło i zapadało się w odmęty jeziora, gdy odwiedzał swego siostrzeńca w Tlacateco?

– Nie, o Najwyższy...!

– Więc nie upadnie i teraz, gdy gości tutaj, u naszego przyjaciela i brata, białego wodza Cortésa. Jednakże aby uspokoić umysły urzędników, Montezuma pragnie, żeby Itzquauhtzin wrócił do nich dziś i przekazał im: oto wołają



najwyższego króla jest, aby od jutra przychodzili na audiencje właśnie tutaj.

– Tutaj? – zapytał z pełnym niedowierzania zdumieniem były gubernator.

– Tutaj, do pałacu Axayacatla. Stąd Montezuma będzie rządzić tak długo, jak długo zdecyduje się pozostać w gościnie u Cortésa. Niech powie teraz Itzquauhtzin: co mówią ludzie?

– Najwyższy... – Gubernator skrzywił się, jak gdyby rozgryzł śmierdzącego żuka *itzlipochuatli*.

– Mów!

– Najwyższy, niech oblicze twoje opromienia słońce! Ludzie mówią, że biały wódz Cortés to czarownik i złodziej, który podobnie do tych, co rodzą się w miesiącu Jeden-Wiatr, niczym jadowity wąż swoim spojrzeniem usidlił zmysły Montezumy! Boją się, że teraz, gdy Montezuma śni na jawie z otwartymi oczami, które nie widzą, biali ludzie zaczną rabować dom Montezumy, którym jest całe Tenochtitlán...!

– Ludzie gadają zatem głupoty, niczym stare kobiety, które wypily za dużo nieświeżego *pulque*! – roześmiał się Montezuma.

– A teraz niech Itzquauhtzin nie frasuje się już więcej. Skoro jego król gości właśnie tu, w pałacu Axayacatla, niech on opowie raz jeszcze o czasach młodości ojca Montezumy!

Stary gubernator przyłożył dłoń do serca i spuścił głowę, aby nie pokazać, że w jego oczach wezbrały gorzkie łzy.



– Xicotencatl ma do Xahuatla prośbę: niech ten pomoże mu zabić złego ducha.

Zahred oderwał się od wyczesywania Kefrena, podniósł zdumiony wzrok na stojącego nad nim Xicotencatla.

– Że co? – Potrząsnął głową.

– Niech Xahuatl pomoże Xicotencatlowi zabić złego ducha – uparcie powtórzył Tlaxcaltek, patrząc mu wprost w oczy.

Zahred zamrugał, pokazał Xicotencatlowi, żeby przykucnął naprzeciwko niego. Przeciągnął zabranym ze stajni zgrzebłem po coraz gęstszej, skołtunionej sierści psa, który leżał teraz na ziemi i wiercił się jak nieszczęście przy każdym jego ruchu.

– Niech Xicotencatl wyjaśni: o co mu chodzi?

– Nie o co, tylko o kogo: o złą Malintzin, towarzyszącą Cortésowi! – wypalił tamten.

– Ach... No cóż, Xicotencatl nie jest odosobniony w tej myśli.

– Zatem Xahuatl też odkrył, że ta kobieta jest zesłanym przez złośliwego Tezcatlipocę duchem, utkanym z dymu i zwierciadeł? – ucieszył się Tlaxcaltek.

– Nie, nie odkryłem tego, przyznaję. Natomiast gdybym mógł, też bym jej łeb ukręcił, nie przeczę.

– Niech więc Xahuatl pomoże Xicotencatlowi!

Zahred westchnął ciężko, pstryknął palcami i pokazał: na miejsce! Kefren zerwał się, potruchtął pod ścianę, oglądając się tylko na pana: a nuż zmieni zdanie...? Zakręcił się na posłaniu, klapnął ciężko, złożył łeb na łapach i wbił w Zahreda smutno-wyczekujące spojrzenie psich ślepi.

Zahred wyciągnął kłaki ze zgrzebła, utoczył z nich kulkę i schował do sakwy. Spojrzał na Xicotencatla spode łba.

– Xahuatl i Xicotencatl nie mogą zabić kobiety Cortésa.

– Dlaczego nie? Jest przecież kobietą, słabą i nieumiejącą walczyć. Zły duch jest głupi, że wybrał sobie takie ciało!

– Nie, Xicotencatl nie rozumie: Xahuatl i Xicotencatl nie mogą jej zabić tak po prostu.

– Xahuatl myśli, że potrzebują broni, którą najpierw poświęcą kapłani?

– Nie, też nie. Myśli o tym, że nie wolno im tego zrobić. Że Cortés na pewno by na to nie pozwolił.

– Co też Xahuatl opowiada? – zdumiał się Tlaxcaltek. – Ona jest przecież złym duchem! Biały wódz po wszystkim jeszcze im podziękuje!

– Xahuatl wątpi w to. Zresztą skąd Xicotencatl wziął ten pomysł?

– Xicotencatl nadal nie pomścił swojego brata, który zginął przez złe podszepty Malintzin! – Młody wódz zgrzytnął zębami.

– Tak, ale jego brat zginął z ręki Xahuatla, na którym on już wywarł swoją pomstę. A może Xicotencatl chce zabić Xahuatla po raz drugi?

– Xicotencatl nie zabił Xahuatla. Poza tym chce, żeby jego brat Xahuatl żył długo i szczęśliwie. Ale dlatego zła Malintzin musi zginąć – powtórzył tamten niczym mantrę. – To zła Malintzin rzuciła urok na siostrę Xicotencatla, a potem ten urok przeszedł na Xahuatla.

– Nie, nie rzuciła na mnie uroku. – Zahred pokręcił głową z rozbawieniem.

– Ha! Ofiary uroku zawsze tak mówią! – Xicotencatl tryumfalnie klasnął w ręce.

– Xahuatl też nie lubi Malintzin. Jednak nie zamierza jej zabijać. W każdym razie nie dziś, nie bez dobrego powodu. Albo sprzyjającej okazji... – spróbował zażartować Zahred.

Jednak Xicotencatl podniósł się, wyraźnie rozzłoszczony.

– Nie zrobi tego nawet dla swojego brata?! – wybuchnął.

– Powiedziałem już: Xahuatl i Xicotencatl nie będą zabijać Malintzin.

– Samo to, że Xicotencatl musi przekonywać do tego swojego brata, świadczy o tym, że ma rację! – rzucił Tlaxcaltek

na odchodne, obrócił się na pięcie i odmaszerował precz.

Zahred popatrzył mu w ślad, pokręcił głową.

Zerknął na Kefrena, cmoknął; czworonóg od razu zerwał się i podbiegł radośnie, uwalnął się na grzbiecie, gotów na kolejną rundę psich pieszczot.

– Gdyby tylko to było takie proste... – mruknął Zahred, przeciągając mu po brzuchu zgrzebłem.



– Hernán...?

Cortés drgnął i rozchylił powieki, czując, jak paznokieć przesuwają się po jego nagim torsie.

Przez chwilę nie był pewien, gdzie jest. Dopiero potem świadomość rzeczywistości wróciła do niego: posłanie... komnata... pałac... miasto.

Kobieta.

– Mhmm? – mruknął, spoglądając na leżącą obok doinę Marinę.

– Po co on ci w ogóle jest potrzebny?

Zamrugnął, próbując zrozumieć, czego mogło dotyczyć pytanie.

Zaczęli ten poranek razem, doña Marina i on.

Zjedli lekkie śniadanie. Potem urządził codzienną odprawę kapitanów, podczas której już nawet nie zwracał uwagi na to, że ona siedziała tuż obok niego. Następnie miał dalej uczyć ją jeździć konno, zaczęli się przebierać, no i...

...no i jakoś tak się stało, że nie pojeździli.

W każdym razie nie oboje.

A potem chyba przymknęło mu się oko.

A teraz, teraz ona pytała o...

Boże, jaka ona piękna, pomyślał.

Po prostu absolutnie, oszałamiająco idealna. To ciało, ten kolor skóry, rozsypujące się kaskadą kruczoczarne włosy... Doskonale wyrzeźbiona linia pleców. Silne ramiona, mocne uda.

Może nieco nazbyt, jak na jego gust, wydatne, bardzo mocno zarysowane łydki – no ale cóż, czego wymagać od kogoś, kto całe życie chodził piechotą?

No i była naga.

Absolutnie, zupełnie, całkowicie, bezapelacyjnie naga.

Bezpruderyjnie naturalna w tym, jak wyglądała i jak się zachowywała, nawet wtedy, gdy zrzucała z siebie najbliższą ciału warstwę ubrania.

Inne kobiety, kobiety, które Hernán miewał, zanim poznał ją, nie były... TAKIE.

Tamte, pochodzące ze Starego Świata, zupełnie nie radziły sobie ze swoją cielesnością. Zakrywały się, chowały. Szukały ucieczki w ciemności nocy albo też, jeśli trafiało się do łóżka za dnia, kazały zamykać okiennice.

„Panie, to przecież bezceństwo”, usłyszał podczas nocy poślubnej od własnej żony, gdy zaproponował nieśmiało, aby ta zdjęła koszulę nocną.

Tymczasem tutaj, w Nowym Świecie – ona była diametralnie odmienna.

Ani wtedy, gdy zbliżyli się do siebie po raz pierwszy, ani też teraz, gdy leżeli na skotłowanym posłaniu po swoich najnowszych wyczynach, nigdy nie pozwoliła mu się rozebrać.

Nigdy.

Gdy tylko dochodziło co do czego, doña Marina odsuwała się od Cortésa na parę kroków i patrząc mu w oczy, zaczynała rozbierać się sama.

Nie, nie „doña Marina”. W takich chwilach Hernán czuł, że to była Malintzin.

Jego Malintzin.

– Hernán...?

Drgnął ponownie, kiedy paznokcie wbiły mu się w podbrzusze. Tym razem usłyszał w jej głosie wyrzut. Ewidentnie domagała się nie tylko odpowiedzi, ale też – albo przede wszystkim – jego uwagi.

Cortés odchrząknął.

– No więc po co mi on? Hm, hmm... Jeśli próbujesz jeździć bez mundsztuka, to ryzykujesz, że wierzchowiec może cię nie posłuchać w ferworze walki. Co gorsza, jeśli przywykł do niego, to może zdarzyć się tak, że...

Doña Marina podniosła się na łokciu. Spojrzała na Cortésa w ten charakterystyczny sposób.

– Hernán!

– No co?

– Pytam o Montezumę.

– A ja właśnie o nim mówię – wykręcił się gładko caudillo. – Jeśli Montezuma zapomni o naszej obecności, to może się zdarzyć, że poczuje się nazbyt silny. Dlatego też przetrzymanie go tutaj jest niczym mundsztuk włożony w pysk rumaka. Trzeba czasem go szarpnąć, żeby poczuł, kto tu rządzi.

– Kłamiesz, Hernán. Nie o tym mówiłeś. – Malintzin przesunęła się tak, żeby zaglądać mu w oczy.

– Jak śmiesz mnie o to posądzać? Nie kłamię. Zapytałaś mnie o Montezumę, a ja...

– Kłamiesz – powtórzyła z rozbawieniem kobieta. – Wy, biali ludzie, jesteście niczym rysunki na skale: nic się nie ukryje. Kiedy Cortés kłamie, czerwienią mu się uszy...

– Wcale nie! – zaperzył się caudillo, czując, jak krew uderza mu do twarzy.

– ...a kiedy zostanie przyłapany na kłamstwie, porusza dolną wargą, o tak. – Zademontrowała.

Cortés sapnął ze złością, przesunął się na bok i sięgnął po kubek z winem. Upił łyk, potem drugi... Obejrzał się przez ramię: ona nadal na niego patrzyła.

– Nienawidzę cię, Marina! – warknął.

– Wiem, Hernán. Ale chyba właśnie dlatego ze mną jesteś. No więc? Po co ci Montezuma?

– Marina, mówiłem ci: on jest gwarantem naszego bezpieczeństwa. Dopóki nie będziemy wiedzieli, jak się stąd bezpiecznie wydostać...

– Statki – powiedziała.

Cortés potrząsnął głową, odstawił kubek. Poprawił się na łóżku.

– Co?

– Statki. Jeśli boisz się, że nie damy rady stąd wyjść, to nie wychodźmy. Nie idźmy groblą. Popłynijmy wodą.

– Marina, ale to przecież... – zaczął Cortés i zaraz urwał.

Statki.

Statki na jeziorze, którymi będzie można dobić do brzegu tu, w Tenochtitlán.

Stopniowo, po kawałku, nie zwracając na siebie niepotrzebnej uwagi, przenieść na pokład wszystko, co chcieli stąd zabrać.

I jeszcze trochę.

I cokolwiek innego się zmieści.

Przemaszerować ku nabrzeżu, załadować się – i po prostu odpłynąć, aby dobić do przeciwległego brzegu zbiornika wodnego bez konieczności maszerowania tymi przekłętymi wąskimi groblami.

– „To przecież” co, Hernán? – Przekrzywiła głowę, zmrużyła oczy.

- Nie mamy ich tutaj – rzucił pierwszy z brzegu argument. Malintzin tylko wzruszyła kształnymi ramionami.
- Każ je zbudować. Twoi ludzie potrafią robić w drewnie szybciej i lepiej niż ktokolwiek inny. Mają narzędzia z żelaza i stali. Potrafią mierzyć, ważyć i... projekcić?
- Projektować – poprawił ją odruchowo.
- A dlaczego wtedy nie mierzować i wagować? – zainteresowała się od razu.
- Marina, nieważne! Czekaj, czekaj... Mamy przecież cieśli, jest kilku byłych szkutników. Na Boga, to może się udać!
- Zatem zrób to, Hernán. Tylko... czemu chcesz uciekać z miasta? Kogo i czego się boisz?
- Cortés zamarł.
- Nie boję się nikogo ani niczego! Jestem tutaj panem sytuacji...
- Więc po co on ci w ogóle jest potrzebny?
- Dopiero teraz zrozumiał, o co tak naprawdę pytała.
- Nie mogę go zabić, Marina. Jest dla nas cenniejszy żywy niż martwy.
- Napisałeś królowi, że przywieziesz go żywego... lub martwego właśnie. Co za różnica?
- Powtarzam ci: żywy przyda nam się bardziej. Dlatego kazałem go pilnować, strzec jak oka w głowie...
- I powierzyłeś to właśnie JEMU, tak? – Marina wyduła policzki z niezadowoleniem.
- Tak, właśnie kapitanowi Zahredowi, owszem. Marina, rozmawialiśmy o tym już chyba dwa dni temu, pamiętasz? Nie mam pojęcia, dlaczego ubzdurałaś sobie, że Zahredowi nie można ufać...
- Dlatego, że przestaje z Tlaxcaltekami! Dlatego, że chciał bronić Cholulteków, kiedy ci zaatakowali nas zdradziecko! I tylko patrzeć, jak stanie po stronie Mexików!



– Marina, po jakiej, do cholery, „stronie”?! – Cortés uniósł ręce z irytacją. – Tu nie ma stron! Nie chcemy z nimi walczyć, nie będziemy ich atakować! A ja na pewno nie zamierzam z zimną krwią zamordować Montezumy! I tak, właśnie dlatego kazałem, żeby to kompania Zahreda go pilnowała: żeby przypadkiem nie przyszło to do głowy komuś innemu! A jeśli ty uważasz, że...

– Dobrze.

– ...jeśli uważasz naprawdę, że jest coś, co powinno się...

– Dobrze – powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy. – Masz rację, Hernán. Słusznie myślisz, dobrze zrobiłeś. A ja przyznaję ci rację.

Przychyliła się ku niemu, pocałowała go namiętnie, głęboko – a potem ześliznęła się z łóżka i kołysząc biodrami, wyszła na taras, otwierający się na pokryte bujną zielenią ogrody.

Cortés sapnął, pokręcił głową z niedowierzaniem: czasami nie potrafił tej kobiety rozgryźć!

Raz obstawała murem za swoimi pomysłami, a kiedy indziej znów była niczym woda: widząc, że nic nie wskóra siłą, po prostu omywała jego umocnione stanowisko dokoła i toczyła swój nurt dalej.

A przecież podobno kropla miała drążyć skałę.

No cóż, ta kropla drążyła na pewno. Uległa przy ludziach, dzika i nieugięta, gdy byli na osobności, doña Marina nadal go zaskakiwała.

Owszem, czasami bywała irytująca albo wręcz drażniąca – nadal nie mógł przywyknąć do tego, że próbowała go gryźć w łóżku! – natomiast jej intelekt, jej pomysły były niezrównane.

– Statki... – mruknął do siebie caudillo, w zamyśleniu bawiąc się złotym wisiorkiem na szyi.



– Pozwólcie mi się tym zająć.

Obecni w sali obrad poruszyli się zaskoczeni.

Spojrzeni na siedzącego nieco na uboczu, jak to ostatnio miał zwyczaj, od kilku już narad mocno milczącego i wycofanego kapitana Zahreda.

Cortés zamrugął zdumiony.

– Budową łodzi? Jesteście pewni, panie?

Zahred wstał, skinął głową.

– Tak.

– Nie wiedzieliśmy, że szkutnictwo jest waszym głęboko skrywanym talentem! – prychnął de Sandoval. Kilku siedzących obok uśmiechnęło się półgębkiem.

Cortés odchrząknął, przeciągnął dłonią po wąsach.

– Wasi ludzie, kapitanie, i tak strzegą już Montezumy. Wzięliście na siebie kwestię kontaktów z miejscowymi dostawcami żywności... – zawiesił głos. – A teraz chcecie zająć się jeszcze tym?

– Moi ludzie radzą sobie sami, a raczej nie z nich będę korzystał. Moi Tlaxcaltekwie nie mają problemów z wykonywaniem powierzonych i dobrze wytłumaczonych im zadań, więc nadzorowanie ich nie jest trudne. Z prawdziwą przyjemnością zajmę się łodziami osobiście.

– „Wasi” Tlaxcaltekwie, panie? – De Saucedo rozejrzał po towarzyszach. – Od kiedy niby oni są „wasi”? No chyba że coś mi umknęło?

Zahred wbił w niego spojrzenie zimnych szarych oczu.

– Zawołajcie, panie, mojego psa – powiedział.

– Co?

– Zawołajcie mojego psa, mówię.

De Saucedo znów popatrzył po ludziach, całym sobą dając do zrozumienia, że sytuacja jest co najmniej kuriozalna. Potrząsnął głową, spojrzął na Kefrena, leżącego u stóp Zahreda, i cmoknął:

– Chodź tu!

Pies nastawił uszu, patrząc na niego z zainteresowaniem.

– No chodź, mówię! Do nogi... Chodź! – De Saucedo zagwizdał krótko, ale pies ani drgnął. Wziął kawałek mięsa z miski na stole, wystawił na rękę: – No chodźże... Nie słucha się, bydlę.

– Suka by się posłuchała... – mruknął ktoś.

– Oj, nie każdego, uwierzcie mi – rzuciła pozornie w przestrzeń pani d’Estrada.

– Kefren, siad – powiedział Zahred półgłosem.

Pies od razu strzelił na niego wzrokiem, momentalnie podniósł się i przysiadł na zadzie, patrząc na pana z wywieszonym jęzorem.

– Weź.

Ludzie zaszumieli, gdy pies wstał, otrząsnął się i podtruchtał do pana de Saucedo. Ostrożnie, dwoma zębami wziął z jego ręki kawałek pieczonego indyka. Spojrzął na Zahreda spode łba.

– Przynieś.

De Saucedo prychnął z niedowierzaniem, kiedy pies odwrócił się do niego tyłem, wrócił do swego pana i wypuścił trzymany w pysku kawałek mięsa prosto na jego nadstawioną rękę.

Zahred swoim zwyczajem powąchał mięso, odgryzł połowę, zaś resztkę podał na otwartej dłoni Kefrenowi. Ten mlasnął tylko, połykając dosłownie w całości zasłużony smakołyk.

– Będziecie nas zabawiać sztuczkami, panie? – zainteresował się grzecznie marszałek de Guzmán.

Zahred spojrzał ciężko na de Saucedo.

– Potrafię się z Tlaxcaltekami porozumieć. Mówię, a oni słuchają. Nie muszę ich trzymać na sznurze, zaś oni nie muszą być wymalowani w moje barwy, żebym uważał ich za moich...

De Saucedo, którego cała kompania nosiła jego własne barwy herbowe, będąc przy tym jedną z bardziej niezdyscyplinowanych części armii Cortésa, aż pokraśniał na szyi z tłumionej złości, ale nie powiedział nic.

Caudillo przykrył usta dłonią, żeby skryć uśmiech rozbawienia, po czym skinął głową.

– Niech będzie, kapitanie Zahred, zajmijcie się też budową statków. Wybierzcie kogo trzeba do tej roboty, sporządźcie kosztorys. Mamy jeszcze coś, panowie? Nie...? W takim razie dziękuję wszystkim, z Panem Bogiem i dobrego dnia wam życzę. Zahred, zostań na chwilę.

Kiedy pozostali kapitanowie opuścili salę narad, Cortés skinął też głową siedzącej pod ścianą doñi Marinie.

Ta zmrużyła oczy, wyraźnie niezadowolona, ale też wstała, skłoniła się caudillowi. Nie zaszczyciwszy Zahreda nawet spojrzeniem, wyszła, zamiatając podłogę sukienką.

– Napijesz się wina? – zaproponował caudillo. – To już końcówka, przyjacielu, a nowych dostaw nie wiadomo kiedy się spodziewać.

Nalał do kubków, podał jeden Zahredowi. Ten powąchał, upił niewielki łyk i powiedział:

– W ten sposób nie będzie opóźnień. Tak, nadal na to nalegam.

Cortés parsknął, zakrztusił się winem. Kaszlnął, zginając się wół, odstawił kubek. Popatrzył na Zahreda załzawionymi oczami.

– Skąd...? – wycharczał przez odmawiające posłuszeństwa, podrażnione gardło.

– To przecież oczywiste, że o tym chciałeś porozmawiać, Hernán: dlaczego chcę zająć się łodziami i czy w ten sposób próbuję upewnić się, że opuścimy miasto. Planowałeś zapytać, co u mnie słychać, potem przejść gładko do tego, że od kilku dni unikam rozmowy z tobą. Zasugerować, że prawdopodobnie nie pochwalam tego, co zrobiłeś... Co MY zrobiliśmy z Montezumą. Zapytać mnie, jak widzę rozwój sytuacji.

– Czy wy... – Cortés raz jeszcze odchrząknął głośno, otarł oczy. – Czy wy naprawdę musicie to oboje robić?! Czy ja nie mogę mieć w głowie chociaż jednej myśli, która będzie tylko moja?

– „Oboje”...? Ach, rozumiem. – Zahred spojrzał ku wyjściu, w którym zniknęła Malintzin.

Cortés popatrzył na niego bezradnie, rozłożył ręce. Podszedł bliżej i niespodziewanym gestem ujął towarzysza za ramiona.

– Zahred, przyjacielu: weź ją sobie, jeśli chcesz. Po prostu ci ją oddam albo znów zagramy w karty, nie wiem. Może wy naprawdę jesteście dla siebie stworzeni, jeśli to tak wygląda?

– Hernán, o czym ty...?

– Nie udawaj, że nie wiesz. Od samego początku, odkąd tylko wyruszyliśmy, toczy się pomiędzy wami jakaś dziwaczna gra. Przyznaj się, tylko szczerze: spałeś z nią?

– Nie – odparł krótko Zahred.

Widać było, że odpowiedź zaskoczyła caudilla.

Mruknął jeszcze coś pod nosem, poklepał Zahreda po ramieniu. Znów sięgnął po wino, przepłukał usta.

– No cóż, to... No tak. Nie powiem, że się nie cieszę.

– Zakładałeś, że jest inaczej.

– Byłem niemalże pewien. Doña Marina i ja nie obiecywaliśmy sobie nic, więc... – Caudillo zamyślił się na chwilę, potrząsnął głową. – Nieważne. Zahred, do diaska! Czy ty nie umiesz po prostu powiedzieć czegoś otwarcie? Przecież widzę, że od tamtego wieczora patrzysz na mnie wilkiem.

– Umiem. Mówiłem wielokrotnie, Hernán: nie powinniśmy tu zostawać, bo to się źle skończy. Szczególnie teraz, w tej sytuacji.

Cortés westchnął ciężko, podszedł do okna. Popatrzył na rozciągającą się za nim panoramę Tenochtitlán.

– Rozmawiałeś z nim? – zapytał w końcu.

Zahred drgnął, zmrużył oczy.

– Z kim, Hernán?

– Z Montezumą, to chyba jasne. Jest u nas już trzeci dzień...

– I chcesz, żebym zrobił to zamiast ciebie. – Zahred pokiwał głową, uśmiechając się kwaśno. – Pośrednik, aby nie musieć konfrontować się z własnym poczuciem winy.

– Nie czuję się niczemu winny! – Caudillo uderzył pięścią o parapet, odwrócił się gwałtownie. – Zrobiłem tylko to, czego wymagała sytuacja. Byłeś tam przecież sam, widziałeś, jakie były nastroje ludzi. Gdybym postąpił inaczej, gotowi byliby rozsiekać go na miejscu!

– Sam tę sytuację sprowokowałeś, Hernán.

– Jak możesz coś takiego...! Niby jak miałbym...?!

– Najpierw nakręciłeś sprężynę, a potem wycofałeś się w cień tylko po to, żeby przed Montezumą zasłonić się wyższą koniecznością i powołać na to, czego rzekomo chcą twoi ludzie. To samo zrobiliśmy z wyborami do rady miejskiej w Vera Cruz, dokładnie tak postąpiłeś potem w Choluli z dostojnikami...

– Na Boga, chyba nie oskarżasz mnie o to, co tam się stało? To oni nas zaatakowali, musieliśmy się bronić!

– W obronie własnej mordując starców, kobiety i dzieci? Podpalając świątynię, rabując domy? Niech ci będzie, Hernán. Nie chcę się z tobą o to kłócić. W ogóle nie chcę się kłócić...

Nagle caudillowi wydało się, że jego przyjaciel jest o wiele, wiele starszy.

Zahred dosłownie zmalął w sobie, jak gdyby zapadł się do środka. Jego oczy straciły blask. Zgarbił się niczym nagle odczuwający brzemię lat starzec, zwiesił głowę i wbił spojrzenie w podłogę.

Cortés miał już na końcu języka ciętą ripostę, ale przełknął ją niczym gorzkie lekarstwo.

Czując, jak wyparowuje z niego złość, postąpił krok ku Zahredowi.

– To czego ty w ogóle chcesz? – zapytał miękko.

– Chcę się pomylić, Hernán – szepnął tamten.

– Pomylić...?

– Pomylić co do tego, jak widzę sytuację. Co do Montezумы, co do Mexików, do Tenochtitlán... Częściowo i do ciebie, a przede wszystkim co do siebie samego. – Zahred spojrzał na niego, uśmiechnął się smutno. – Chcę wiedzieć, że chociaż raz to wszystko nie musi skończyć się krwią i ogniem.

– Daj spokój, Zahred! O czym ty w ogóle mówisz? Nie wszystko zależy od nas. Tak krawiec kraje, jak mu materii staje! Przecież takie jest życie, przyjacielu!

– Życie jest tym, czym sami je uczynimy, Hernán. Czy dasz mi słowo, że Montezumie nie stanie się krzywda? – Zahred nagle wyprostował się, jego oczy błysnęły.

Cortés aż się wzdrygnął.

Ta przemiana... było w niej coś niepokojącego. Jak gdyby jego towarzysz nagle podjął jakąś decyzję.

– Zahred, nie mogę ręczyć za zdrowie innego człowieka... – zaczął.

– Wiesz doskonale, o co pytam i proszę, Hernán. Jesteś człowiekiem honoru, a ja proszę w tej chwili o twoje słowo. Czy możesz mi je dać?

Cortés obliznął usta, przygryzł wargę.

– A czy ty możesz dać mi takie samo, że mogę wtedy na tobie polegać? – odpowiedział pytaniem.

Zahred bez słowa wyciągnął do caudilla prawą rękę, na której węzowymi splotami wiły się wytatuowane niebieską farbą dzikie zwierzęta.



– Okręty, panie? Tutaj? W środku miasta?!

– Jakiego znów miasta, człowieku? – Gutiérrez rozłożył rękę. – Przecież na wodzie się je postawi. To znaczy zbudujemy na ładzie, ale normalnie na nabrzeżu przecież. A potem się je, no, jak to się...

– Zwoduje – dopowiedział zupełnie odruchowo López.

– No właśnie to miałem powiedzieć. To co, jak będzie? Wchodzisz w to?

Będący wziętym skutnikiem oraz człowiekiem szanowanym, żeby nie rzec: zamożnym, pan Martín López podrapał się po głowie. Kiedy przyszedł do niego bliski kapitanowi Zahredowi pan Gutiérrez, mówiąc, że chce mu coś zaproponować, wysłuchał go... A potem już tylko się dziwił.

Oferta pracy była, co tu dużo mówić, bardzo nieoczekiwana, ale zarazem i mocno kusząca.

López przekalkulował wszystko na szybko w głowie, potem dla pewności sięgnął po podręczny abakus, z którym nie



rozstawał się nawet tutaj, w Nowym Świecie. Poprzerzuczał koraliki, pomruczał coś pod nosem.

W końcu kiwnął głową.

– Nie widzę powodu, żeby nie, panie! Dajcie mi tylko trochę czasu, zbiorę moją ekipę... A co do stawek, jaśnie panie...?

– Wszystko z kiesy samego caudilla będzie zapłacone, nie masz się co martwić! – zapewnił wielkodusznie Gutiérrez, mile połączony tym, z jakim szacunkiem zwraca się do niego López.

Kiedy wcześniej tego dnia zagadał do niego sam Zahred, mówiąc, że będą budować statki, Gutiérrezowi aż żywiej zabiło serce.

Kiedy zaś w trakcie rozmowy kapitan rzucił niezobowiązująco, że trzeba będzie zebrać ekipę, on od razu podłapał: no oczywiście, panie kapitanie! Ja znajdę ludzi, pozbieram, zgromadzę i w ogóle! Wy się niczym nie przejmujcie...!

Oczywiście, o statkach Gutiérrez wiedział – no cóż, sporo.

Wiedział, że na stępkę używano solidnego materiału – dobrej, twardej dębiny. Zakładał, że można było też sięgnąć po jesion albo i modrzew, ale ten ostatni o wiele lepiej nadawał się na maszty.

Deski pokładów najczęściej robiono z sośniny, a łatano miękko olchą.

Do elementów elastycznych i wytrzymałych nie było drewna ponad wiąz i buk, zaś zdobienia wykonywało się z miękkiej, elastycznej lipy.

Tak, Gutiérrez potrafił rozpoznać drewno oczami, dotykiem, węchem i smakiem.

Za to, owszem, na samym budowaniu statków jako takich nie znał się ni cholery.

Znał natomiast Lópeza.

Zwąchali się jeszcze podczas rejsu przez morze.

Kiedy wypływali, podróżujący z okazałym bagażem i własnymi zapasami López był na pokładzie nie byle kim. Zarówno on, jak i jego dwaj bracia, Pedro i Miguel de Mafla, z nieskrywaną dumą opowiadali, że ich przodkiem był nikt inny jak sam sławetny rycerz Pedro Álvarez Osoria.

Nie raz i nie dwa zdarzyło się, że czy to podejmowali będącego w Starym Świecie pospolitym cieślą Gutiérreza kolacją, czy wręcz poratowali groszem, gdy nie starczyło mu żołądka do pierwszego...

...no a teraz, po kilku miesiącach w Nowym Świecie, role się odwróciły.

Teraz to Gutiérrez miał u pasa wypchany mexickim złotem mieszek i nagle okazało się, że to nie oni jego, ale on ich traktuje z tą typowo wielkopańską, wyrozumiałą wyższością.

– Ile ich mamy zbudować, panie? I przede wszystkim: jakich?

– Cztery brygantyny – odpowiedział przytomnie Gutiérrez, powtarzający sobie tę nazwę w myślach, odkąd tylko wyszedł z kwatery kapitana Zahreda. – Tak żeby się dało załadować na każdą po stu ludzi z wyposażeniem. Na krótkie i długie wiosła.

– E, to niczego sobie robota! – López rozpromienił się. – Zaraz skrzyknę swoich ludzi, weźmie się do zespołu Rodrigueza i Hernándeza, okucia i gwoździe może nam zrobić Martín...

– Nuñez też już zakontraktowany. – Gutiérrez dorzucił nazwisko towarzysza winnego mu niemalą sumkę w kości i mającego teraz szansę spłacić dług.

– Nie znam...?

– Cieśla.

– Cieśla... – skrzywił się López. – No cóż, pewnie i tacy będą nam potrzebni.

Gutiérrez uśmiechnął się do niego ciepło, myśląc sobie, że wynagrodzenie pana Lópezza właśnie uległo znaczącej korekcie.



Zahred odetchnął głęboko, nabrał powietrza w płuca i zanurkował w wąski otwór wejścia.

Lepka, gorąca i gęsta ciemność otuliła go od razu, uderzyła w twarz falą wiszącej w atramentowym mroku wilgoci.

Nawet nie otwierając oczu, wyciągnął rękę w bok i dotknął ściany, a potem po omacku przeszedł kawałek dalej, ostrożnie przestawiając nogi na mokrej posadzce.

W końcu usiadł na kamiennej ławeczce i powoli wypuścił wstrzymywany oddech. Odczekał chwilę, po czym nabrał przez nos pierwszy, ostrożny haust gorącego powietrza.

– Gorąca łaźnia *temazcal* to najpiękniejszy dar bogów dla człowieka – doniosło się od strony przeciwległej ściany rozleniwione mamrotanie Xicotencatla. – I nie wiedzieć czemu, ale bogowie musieli szczególnie ukochać sobie w tym względzie Tenochtitlán...

Krótkie, zadowolone mruknięcie z ciemności najwyraźniej oznaczało, że siedzący gdzieś z boku Maxixcatzin w pełnej rozciągłości zgadzał się z młodym wodzem.

Przez długą, długą chwilę żaden z nich nie mówił nic, koncentrując się na własnych doznaniach.

Słysząc było tylko, jak skapuje kroplami kondensująca się na chłodniejszym sklepieniu woda i huczy ogień w znajdującym się za ścianą piecu. Z zewnątrz doniósł się szmer rozmowy, potem dźwięczny kobiecy śmiech; zaszurały poprawiane w palenisku gałęzie.

Było ciemno, gorąco, mokro i dobrze.

Rozpalone powietrze parzyło w nozdrza, skóra na podszwach stóp aż mrowiła od nagrzanego kamieni posadzki.

Kamienie muru, za którym szalał ogień, zdawały się aż jaśnieć żarem.

Zahred bez słowa nachylił się, zaczerpnął dłonią wodę z kamiennej stągwi i chlapnął na ścianę. Zasyczało, strzeliły pękające głązy. Powietrze natychmiast nasyciło się parą, z nową siłą uderzając w twarz, wciskając się do uszu i nosów.

– Uhhh... – mruknął któryś z wodzów, poprawiając się na swoim miejscu.

Powolny wdech przez nos, przytrzymać, wypuścić przez usta.

Wdech, przytrzymać, wypuścić.

Wdech, wydech.

Serce uderzało mocno i równo, odzywając się w skroniach z każdym kolejnym rozkurczem.

Takie miejsca istniały od zawsze, pomyślał Zahred. Niezależnie od miejsca, kultury bądź jej braku, poziomu rozwoju cywilizacji, religii, czasów... To się akurat nie zmieniło.

– Xahuatl niech chlapnie jeszcze – rozległo się z ciemności.

– Xicotencatl nie boi się o swoje życie?

– Łażnia to bezpieczeństwo. Gorąca, ciemna i wilgotna niczym łono matki – odezwał się Maxixcatzin. – Dzieci chlapią raz, kobiety dwa, zaś wojownicy trzy razy.

– Woda to życie – zawtórował mu do tej pory milczący Maxcatl z Otomi.

Zahred pokręcił głową, nabrał wody w obie dłonie i obficie chlusnął na ścianę. Odczekał chwilę, aby odparowała, po czym chlapnął jeszcze raz.

– Uhhh... – zamruczał ten sam wódz, tym razem już w innej tonacji.

Czuć było, jak obłok pary zagęszcza się, powoli opuszcza na ich głowy, osiada piekącą chmurą na barkach i ramionach.

Zahred machnął rękami kilka razy, przeganiając gorąco niżej, ku ziemi.

Znów zapadła ciężka, przerywana tylko rwanymi oddechami cisza.

– Łaźnia to życie, ale i śmierć – odezwał się w ciemności Zahred. – Xahuatl widział kiedyś, jak wodzowie wchodzą do łaźni, śmiejąc się i rozmawiając. Palenisko było gorące, woda ciepła, ich serca wesołe... A kiedy weszli wszyscy, służba zamknęła za nimi wejście i przywaliła kamieniami.

– Bogowie... – mruknął Maxixcatzin.

– Tamci zaczęli wołać, protestować. Chcieli wyważyć drzwi. A tymczasem ogień płonął i płonął, coraz mocniej i mocniej. Zamknięci wodzowie uderzali w ściany, drapali kamienie. Krzyczeli, aż pozdzierali gardła, a wraz z nimi palce... Aż w końcu przestali krzyczeć.

– Xahuatl... Xahuatl widział to? – zapytał wstrząśnięty Xicotencatl.

– Tak.

– Xahuatl zatem stał i patrzył! – warknął Maxixcatzin. – Nie godzi się patrzeć, jak ktoś tak morduje wojownika. Nawet wroga.

– Nie, Xahuatl nie stał wtedy i nie patrzył.

– Jak mógł zatem...?

Jednak pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo w tym właśnie momencie zasłony w wejściu rozsunęły się, wpuszczając do wnętrza rażące światło.

Dwie młode dziewczyny zbrojne w pęki świeżych witek wsunęły się do łaźni, gotowe wysmagać plecy, ramiona i nogi odpowiednio już wygrzanych i wypoconych mężczyzn.

Zahred przeciągnął się, ułożył na ławeczce i przekręcił na brzuch, wystawiając grzbiet ku górze. Zapluskały moczone

w zimnej wodzie gałązki, a potem świsnęło powietrze, gdy któraś z łaźiebnych wzięła zamach do pierwszego uderzenia.

Owszem, sytuacja tutaj, w Tenochtitlán, ciążyła mu bardzo.

Obawiał się wielu rzeczy.

Wielu nie był pewien.

Natomiast tu i teraz, w łaźni parowej, te sprawy były jakby mniej istotne.



– Nie rozumiem, po co te przebieranki – warknął de Sandoval, poprawiając uwierającą go pod szyją, byle jak zarzuconą na półpancerz kolorową opończę. – Że wy, pani, to jeszcze... Ale po co ja mam się jak mała ubierać?

Malintzin uśmiechnęła się absolutnie czarująco, położyła mu dłoń na piersi i delikatnie popchnęła w tył, w zaułek pomiędzy domami.

Zaskoczony cofnął się o krok i drugi – zaś ona przyłgnęła do niego całym ciałem, podniosła twarz i zajrzała wprost w oczy.

– Jesteście teraz, panie, moim mężczyzną na tej ulicy – zamruczała, delikatnie wbijając mu paznokcie w ciało przez materiał koszuli. – Kobieta nie powinna pokazywać się sama. Ale jeśli wychodzi ze swoim panem, ze swoim właścicielem, z tym, do którego należy... to nikt nie zwróci na nią niepotrzebnej uwagi. Nikt, bo każdy wiedzieć będzie, że ona jest tylko jego...

Chciał objąć ją w pasie, ale ona wykręciła mu się i odsunęła o krok, ujmując jednocześnie za dłoń i pociągając ku sobie.

De Sandoval jednak wyszarpnął jej rękę, skrzyżował ramiona na piersi gestem niezadowolenia.

– Znów sobie ze mną pogrywasz. Nie idę ani kroku dalej, zanim nie wytłumaczysz mi, dokąd i po co idziemy.

– Nie, panie. Nie powiem ci nic, czego ode mnie zażadasz. – Malintzin przekrzywiła filuternie głowę.

– W takim razie...

De Sandoval splunął na ziemię i ruszył z miejsca, nawet na nią nie patrząc.

Był gotów błędzić po tym cholernym mieście i pół dnia, nawet do jutra... Do wieczora nawet! Ale wrócić do pałacowych koszar samemu, nie prosząc o nic tę bezczelną wiedźmę.

Bo ona była wiedźmą, tego był pewien.

Potęzną pogańską wiedźmą, która rzuciła na niego jakiś cholerny urok, spod którego nie zdołały wyzwolić go nawet sakramenty spowiedzi i komunii, do których przystępował przecież regularnie podczas mszy odprawianych przez ojca de Olmeda w pałacowej kaplicy.

On sam miał ciche przypuszczenie, że sakramenty nie działały, bo nie przystępował do nich z czystym sercem i sumieniem.

Bo i niby jak, jakimi słowami miał powiedzieć spowiednikowi, co śniło mu się po nocach?

Nie był nawet w stanie zdobyć się na to, żeby powiedzieć, że budził się z tych majaków z ogniem w lędźwiach, że myślał i mową grzeszył z tą kobietą w każdej wolnej chwili... I byłby zgrzeszył też uczynkiem, gdyby tylko nadarzyła się po temu okazja!

Idąc od dołu wedle listy dziesięciu przykazań, wspinał się coraz wyżej po tej drabinie, z której szczytu skakało się na łeb prosto do piekła. Pożądał przecież złota, którym ohydnie bogaci Mexikowie kusili go na każdym kroku.

Patrzył chutliwie na ich bezwstydną kobiety, paradyjące z gołymi piersiami po ulicach.

Kłamał i oszukiwał jak najęty, zaniżając wartość zdobytych przez jego ludzi łupów.

Kradł... och, jakże on kradł! Rabował, łupił, grabił i szabrował, zawłaszczając sobie mienie cudze i bezpańskie, łupił, plądrował i zwyczajnie brał to, co do niego nie należało.

Pożądał żony bliźniego swego. Żony, kobiety, kochanki, nie miało to znaczenia – bo pożądał jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety na świecie.

A teraz gotów był dla niej stać się współnikiem w zbrodni.

– Poproś, a dostaniesz – doleciał odchodzącego de Sandovala głos Malintzin.

Zatrzymał się jak wryty. Obrócił na pięcie. Zamrugnął, czując, jak wali mu w piersi serce.

– Co?

– Nie żądaj. Poproś – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Zawarczał, ale wrócił. Stał, górując nad nią o głowę, niemalże dwukrotnie szerszy w barach.

– Proszę – wydusił z siebie w końcu.

– Pełnym zdaniem, panie. Powiedz, o co mnie prosisz.

– Powiedz mi, dokąd i po co idziemy... proszę.

Malintzin ujęła jego twarz w dłonie, przyciągnęła ku sobie i pocałowała.

Pocałowała tak, jak do tej pory nigdy nie całowała Gonzala de Sandovala żadna kobieta.

Nie on ją, ale właśnie ona jego.

Głęboko, namiętnie i łapczywie.

W sposób tak przemyślnie wyuzdany, że ilekroć próbował sobie ten pocałunek przypomnieć, wyobrazić, zrozumieć – nie był w stanie.



Po prostu nie potrafił rozpoznać, co było jej wargami, co językiem, a co dłońmi, gdzie kończyła się ona, a zaczynał on, gdzie były w tym momencie jego dłonie, jakim cudem jej udo nagle znalazło się aż na jego talii, zaś jej szyja...

– Ach! – wydał zdławiony okrzyk, kiedy poczuł, jak jej zęby wbijają mu się w wargę.

Chciał ją odepchnąć od siebie, zamachnął się, gotów odruchowo uderzyć – jednak ona pierwsza oderwała się od niego, dosłownie wywinęła z objęć niczym kotka albo jakaś zmija! Odskoczyła w tył.

Chciał sięgnąć ku niej i złapać, ale ona zaśmiała się dźwięcznie.

– Nie teraz, panie. Jeszcze nie teraz.

– Pójdź tu, kobieto! – Skoczył ku niej, natomiast ona znów zręcznie usunęła mu się z drogi.

– Nie.

– Cooo?

– Nie. – Stała naprzeciwko niego. – Nie teraz, powiedziałam. Dostałeś, panie, coś, o co nie prosiłeś... Teraz podziękuj, jak szlachcicowi wypada.

– Posłuchaj mnie, bezczelna dzikusko... – zaczął.

Zaczął, lecz nie skończył.

Słowa po prostu uwięzły mu w gardle, które nagle ścisnęło się skurczem, jak gdyby chwyczone przez wielką żelazną rękawicę. W uszach zaszumiała mu krew, oczy nagle zapulsowały w oczodołach, poczuł tętniące w skroniach żyły.

A ona po prostu patrzyła na niego, mrużąc te wielkie, czarne niczym obsydian oczy.

Jak gdyby naszyjnik, ten cholerny naszyjnik, który mu nie wiedzieć po co podarowała, zacisnął mu się na szyi niczym pętla z konopnego powrozu!

Trwało to dosłownie chwilę, ułamek sekundy, a potem ustąpiło.

De Sandoval zachrypiał, rozkasłał się... Odcharknął i wypluł gęstą, zieloną flegmę, która nie wiedzieć skąd zebrała mu się w gardle.

– Tfu...! – splunął, otrząsnął się.

– Cóż to, panie? Nie smakowałam ci? – zatroskała się Malintzin. – A ty mnie owszem...

– Ugryzłaś mnie, suko... – zachrypiał de Sandoval, dotykając wargi i patrząc na poplamione krwią palce.

– Suki gryzą, panie. A co pies robi ze swoją suką, to już pewnie sami wiecie. Co do waszego pytania zaś... Idziemy spotkać się z ludźmi, którzy zrobią to, czego wy najwyraźniej nie potraficie: zabiją kapitana Zahreda.

Jeszcze chwilę temu rozpalony niczym hutniczy piec pan de Sandoval poczuł, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz. Jak gdyby ktoś wylał mu na głowę kubeł lodowatej wody!

– Tyle sam wiem – wymamrotał, nagle speszony powiedzianą na głos prawdą. Jednak szybko zebrał się w sobie, podniósł hardo głowę. – I nieprawda, że nie potrafię! Gdyby tylko on ze mną na miecze stanął, to...!

– Ale nie staje. Nie do was to zarzut, panie, o was się w tym zakresie nie martwię...

– Co? – De Sandoval znów poczuł, jak krew uderza mu do twarzy i nie tylko.

– ...jednak gdzie okazji nie ma, tam trzeba ją znaleźć, a nie przystoi urodzonemu szlachcicowi kłaść się walką z byle plebejuszem.

Aż potrząsnął głową.

Skąd ta kobieta знаła takie słowa, kiedy zdążyła się ich nauczyć?! Prawda, sam jej coś takiego powiedział, ale jej ton,

słownictwo... Jeszcze trochę i będzie władała mową Kastylii nie gorzej od samego caudilla!

– Nadal nie wiem, po co ja wam jestem tutaj potrzebny – warknął.

– Mówiłam wam, panie: kobiecie nie przystoi samej po ulicach chadzać. A poza tym... – Rozłożyła ręce. – Takie rzeczy kosztują, a wam przecież złota nie braknie.

– Zaraz, zaraz... To ja mam jeszcze tym opryszkom spod ciemnej gwiazdy z własnej kiesy zapłacić? – zdumiał się de Sandoval.

Nie wiedzieć czemu, ale zawsze, kiedy zostawał z doñą Mariną sam na sam, miał wrażenie, że rozmowa jest ciągłą walką o życie. Jak gdyby próbował zmagać się z huraganem, nigdy nie wiedząc, co przyniesie kolejny poryw wichru.

Spojrzała na niego, wykrzywiła usta w podkówkę.

– Zrozumiem, panie, jeśli was nie stać... – zaczęła.

– Jak to nie stać! Bo to mało się złota nazbierało?! – zachnął się de Sandoval. – Jednak skoro wspólnie w tym jesteśmy, to czemu i wy się nie dołożycie, pani? Przecież komu jak komu, ale wam caudillo złota nie poskąpi!

– Po pierwsze, panie: co mu powiem? Że potrzebuję drobnych, żeby nasłać zbirów na jednego z jego własnych kapitanów? – prychnęła Malintzin. – Wolne żarty. A po drugie... Naprawdę chcecie, żeby to caudillo płacił za moje zachcianki? Bo przecież wiecie chyba, panie, że kto płaci...

Ten wymaga, dokończył de Sandoval w myśli. Skinął tylko głową.

– Niech będzie, z mojej kiesy pójdzie. Długo jeszcze mamy tutaj na nich czekać?

– Lada chwila. Cierpliwości, panie: takie sprawy wymagają jej tyle samo co dyskrecji. Nie było mi łatwo znaleźć do nich dojdzie, więc... Oto już są zresztą.

Z uliczki wyłoniło się kilku ludzi.

Rosłych, solidnych, o przedramionach i twarzach pokrytych bliznami. Ubranych raczej praktycznie, wręcz skromnie i nijako – gdyby nie liczyć grubych złotych bransolet i wpuszczonych w dolną wargę labretów z jadeitu, zdecydowanie nieelicujących ani z ich statusem społecznym, ani pochodzeniem.

– Biały wódz de Sandoval pozdrawia was, dobrzy i szlachetni – zaświergotała Malintzin w języku *nahuatl*, podnosząc rękę w powitaniu. – Zaznaliście wielu trudów.

– Usta Xochipetla dotykają ziemi u stóp białego wodza – odwarknął jeden z przybyszów.

Stanęli naprzeciwko, mierząc wzrokiem białego człowieka i stojącą przy nim kobietę. De Sandoval odruchowo położył dłoń na rękojeści miecza: z samego wyglądu i zachowania tych ludzi był w stanie wywnioskować, że mogliby napaść go, obrabować i zabić po prostu odruchowo, przez nawyk.

– Biały wódz de Sandoval dziękuje Xochipetlowi za jego czas. Cieszy się też, że Xochipetl zareagował na prośbę wspólnych przyjaciół...

– Do rzeczy. Jakie życzenie białego wodza de Sandovala może spełnić Xochipetl?

– Biały wódz de Sandoval mówi: niech Xochipetl odbierze życie jednemu z białych, którego darzy wielką nienawiścią.

Jeden ze zbirów uśmiechnął się ponuro, drugi pociągnął nosem i splunął na ziemię. Ich prowodyr przekrzywił głowę, zmrużył oczy.

– Biały wódz de Sandoval mówi, Xochipetl czyni. Którego? Biali wszyscy wyglądają tak samo.

– Tego, którego wołają Xahuatl, człowieka z malunkami na rękach.

– Biały wódz de Sandoval nie może go zabić sam? – Xochipetl spojrział na kapitana wzgardliwie.

– Biały wódz de Sandoval...

– Dlaczego oni cały czas mówią o mnie? – wtrącił się wspomniany, przysłuchujący się dźwiękom rozmowy. – Co drugie słowo normalnie! Miałaś sama z nimi rozmawiać, a oni sobie mną gęby tutaj wycierają.

– Nie przejmujcie się, panie. To taka forma grzecznościowa tylko, a wy słyszycie wyłącznie swoje imię. – Malintzin uśmiechnęła się. – Tak jak mówiłam, jesteście dla mnie tylko ochroną i oparciem... no i fundatorem.

– Sponsorem – burknął de Sandoval.

– Co mówi biały wódz? – zainteresował się Xochipetl.

– Biały wódz powiedział, że Xochipetl nie powinien interesować się jego sprawkami, jeśli ceni własne życie. Rolnik nie pyta, co wojownik zrobi z kupioną od niego kukurydzą.

– Niech może biały wódz pójdzie zatem na rynek kupować kukurydzę! – zaśmiał się szyderczo jeden z towarzyszy Xochipetla.

Ten jednak zamachnął się krótko pięścią, nawet nie patrząc, dzielił tamtego prosto w pysk. Uderzony złapał się za twarz i zatoczył, zalany krwią.

– Niech biały wódz wybaczy Cozahtlemu – powiedział Xochipetl. – Ojciec Cozahtlego robił go palcem w niewłaściwej dziurze jego matki. Biały wódz de Sandoval ma rację: kto płaci, ten wymaga. Jednak ten, którego zwą Xahuatl... Xochipetl widział go i wie, o kim mowa. Jego ramiona są silne, łydki i uda ma niczym u dzikiego jaguara. To będzie trudne. To będzie białego wodza de Sandovala dużo kosztować.

– Ile? – łagodnie zapytała Malintzin.

– Tyle *quachtli*, ile palców u rąk i nóg.

– Aż tyle zwojów dobrego białego płótna... To dużo. Ale biały wódz de Sandoval zapłaci.

– Znow o mnie gadają! – poirytował się de Sandoval.

– Co powiedział biały wódz? – zaciekawiał się ponownie Xochipetl, potem spojrzał na Malintzin badawczo: – Biały wódz mówi niewiele, a jego kobieta dużo. Z kim naprawdę rozmawia Xochipetl?

– Kobieta swojego pana nie zna się na sprawach mężczyzn. Mówi wyłącznie słowami kapitana de Sandovala, które ten przekazał jej przed spotkaniem.

– Zatem biały wódz pragnie śmierci innego białego... Tak się stanie.

Malintzin obdarzyła najemnego zabójcę uśmiechem, po czym przysunęła się de Sandovala i położyła głowę na jego ramieniu.



Itzli stał i patrzył, jak biali przybysze kłócą się ze sprzedawcą glinianych figurek.

Normalni, kulturalni, cywilizowani mieszkańcy Imperium Słońca, nie mówiąc już nawet o tych szczęśliwcach, którzy mieli zaszczyt żyć w jego stolicy, potrafili się targować.

Ba, było to nawet wskazane, mile widziane! Jak to mówiło przysłowie: „niewiele warte ziarna, nad którymi nie wypowiedziano słów”. Dlatego też sztuka negocjowania wartości była jedną z ulubionych rozrywek każdego szanującego się obywatela.

Oczywiście, wszystko odbywało się w pewnych nieprzekraczalnych granicach.

Jeśli ktoś uparcie odmawiał sprzedaży towaru, żądając za niego zawyżonej ceny i nie wykazując dobrej woli w rozmowie, sprawa trafiała do jednego z sędziów, który rozstrzygał spór zgodnie z literą prawa.

Tak, tak – w imperium Mexików wszystko miało swój tryb, formę i odpowiedni układ.

Biali natomiast targować się najwyraźniej nie umieli.

Zamiast rozmawiać, krzyczeli. Machali rękami przed twarzą kupca. Wygrazali mu pięściami. Robili dziwne miny. Udawali, że odchodzą i potem wracają, żeby po raz kolejny dać handlarzowi rzekomo ostatnią szansę.

Na wielkim placu w Tlatelolco odbywał się akurat targ, więc wszyscy z okolicy bliższej i dalszej ściągnęli tu, aby kupować, sprzedawać, wymieniać i po prostu oglądać.

Kramy i stoiska, przenośne warsztaty rzemieślników, zagrody ze zwierzętami, klatki pełne ptactwa, rozstawiane paleniska do wypieku *tlatelo* wypełniały każdy dostępny fragment przestrzeni kolorową, rozkrzyczaną głosami, szumiącą masą.

Itzli znał tę masę. Potrafił od jednego spojrzenia na nią rozpoznać, w jakim nastroju byli ludzie. Z jej ruchów, drżenia powierzchni i tonacji pomruków wyczytywał emocje, wylapywał nitki rozmów i tkął z nich kolorową opończę swojej wiedzy.

Teraz przebywający na targu byli przestraszeni, spięci i niepewni tego, co będzie dalej.

Widział, jak chodzą od stoiska do stoiska, wymieniając się zasłyszonymi wcześniej plotkami, krążącymi po Tenochtitlán niczym muchy robacznicę w poszukiwaniu gnijącego mięsa.

Nastawiali chciwie uszu, nachylając się do opowiadających to, co wcześniej powiedzieli im inni.

Odsuwali się gwałtownie, patrząc na rozmówcę z niepokojem i niedowierzaniem.

Potem kiwali głowami, odchodzili... I znajdowali kolejną osobę, z którą wstępowali w krótką, nerwową wymianę zdań.

Jednak w tym wszystkim widać też było, jak bardzo uważnie obserwują kręcących się po targowisku, wyróżniających się strojem, kolorem skóry i dziwaczną mową przybyszów od białego wodza Cortésa.

Wcześniej, zaraz po ich przybyciu do Tenochtitlán, biali wzbudzali żywe zainteresowanie.

Przekupnie sami podchodzili do nich, próbowali zagadywać. Pytali na migi o niesione przez tamtych rzeczy. Ochoczo proponowali wymianę. Co bardziej zapobiegliwi ofiarowali im towary nawet za darmo, byleby przybysze podeszli do stoiska: zaraz po nich zawsze ściągał ciekawski tłumek, a dobra opowieść warta była kupienia jakiejś drobnostki...!

Teraz ludzie omijali przybyszów szerokim łukiem.

Nie patrzyli na nich nawet, a przeszedłszy obok, od razu komentowali półgłosem. Co odważniejsi – albo mniej rozsądni – oglądali się przez ramię z bezpiecznej odległości. Nawet rzemieślnik, z którym chandryczyli się już jakiś czas, w końcu machnął ręką: bierzcie, bierzcie! Wezmę tyle, ile chcieliście, tylko dajcie mi już spokój!

Natomiast Itzli przyszedł tutaj też po coś o wiele ważniejszego.

On i jego ludzie o zamkniętych ustach i otwartych uszach, jego Towarzysze Szeptów, od momentu przybycia nie odstępowali przybyszów nawet na krok. Znali ich nawyki. Wiedzieli, jak często wychodzą większymi i mniejszymi grupami. Kiedy tamci korzystali z ustępów – albo, co zdarzało się częściej, po prostu załatwiali swoje potrzeby w zaułkach jak



zwierzęta! – oglądali ich odchody, aby sprawdzić, czy przybyszów nie nękają jakieś choroby.

Itzli wiedział, że obecna sytuacja nie mogła ciągnąć się w nieskończoność.

Lada dzień z wybrzeża mieli powrócić posłowie, prowadząc ze sobą niesfornego Qualpopokę, który najwyraźniej faktycznie był na tyle nierozsądny, że bez konsultacji ze stolicą pozwolił sobie na samowolne zaatakowanie przybyszów.

A wtedy, gdy Montezuma w końcu będzie znów bezpieczny w zaciszu swego pałacu, sprawy potoczą się zupełnie inaczej.



Zahred odetchnął głęboko i wyszedł z za rogu korytarza, kierując się ku odciętemu skrzydłu pałacu. Skinął głową dwóm wartownikom:

– Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym, kapitanie! – Valverde wyszczerzył się w uśmiechu. – Mam tutaj tę listę, o... Wszystko spisywałem, jak pan kapitan kazał. A jak nie umieli po naszymu, to rysunki są. Nieszczerólnie piękne, ale ten, no... Bozia talentu poskąpiła.

Zahred zerknął na zabazgraną odręcznym pismem kartę. Uśmiechnął się, widząc głowy w pióropuszech, przesadnie wielkie, zakrzywione nosy i wzorzyste kolie na szyjach.

– Dobra robota. A u was jak, Rodrigo?

Arkebuzer drgnął.

– Wszystko dobrze, panie.

– Coś do zameldowania?

– Nic, panie.

– Jak wasz ząb, żołnierzu? Nadal doskwiera?

Rodrigo wciągnął ze świstem powietrze, zamrugał. Widać było, jak policzki nabiegły mu rumieńcem, rozlewającym się w dół po szyi.

– Nieco lepiej, panie. Daję radę.

– Trzeba będzie wam go wyleczyć albo wyrwać. Zajmiemy się tym. Ktoś jest u niego teraz? – Zahred pokazał na zamknięte drzwi.

– Nikt, panie. Pod wieczór już spokój, on teraz na tarasie siedzi i w gwiazdy patrzy.

– Otwórzcie – polecił Zahred.

Valverde podskoczył do wprawionych w wejście drzwi, przekręcił klucz w naprędcie zrobionym przez kowala prymitywnym zamku; dla tutejszych i tak była to przeszkoda nie do sforsowania, bo oni przecież zawieszali przejścia matami. Popchnął ciężkie drewniane skrzydło, puszczając kapitana przodem, a potem zamknął za nim.

– No co się tak gapisz? – Potrząsnął głową, widząc, że Rodrigo spogląda na niego wytrzeszczonymi oczami.

– Zęb... – mruknął arkebuzer.

– Co, zaczął boleć?

– Nie...

– Przestał? Od samej obecności naszego kapitana się wyleczył? – zaśmiał się Valverde.

Jednak Rodrigo nie powiedział nic, potrząsnął tylko głową.

Był więcej niż pewien, że nigdy, przenigdy przy kapitanie nawet nie wspomniał o swoim bolącym zębie.



Szczęknęły drzwi, zgrzytnął obracany w zamku klucz. Zahred zatrzymał się i przymknął oczy, czując, jak wali mu serce.

Przez wszystkie lata swojego istnienia, przez niezliczone żywoty w tak wielu światach i czasach, że rachubę zgubił dawno temu, spotykał przecież niejednego króla. Króla, cesarza, imperatora, samozwańczego boga, księcia, gubernatora, chana, wodza, jarła, bazyleusa, kalifa.

Przychodził na audiencje, aby złożyć hołd.

Wkraczał do sal, żeby samemu zasiąść na tronie.

Zakradał się potajemnie do sypialni z długim, ostrym nożem.

Jako dworak i żebrak, żołnierz i doradca, władca i sługa...

...a jednak teraz, właśnie teraz poczuł w ustach tę lepłą suchość i znajomy, jakkolwiek dawno nieodczuwany, ucisk w gardle.

Wyciągnął przed siebie rękę i popatrzył, jak drżą mu palce.

Pokręcił głową, uśmiechnął się z rozbawionym niedowierzaniem: wyglądało na to, że się denerwował!

Jeszcze tego poranka, gdy zażywał kąpieli parowej z innymi wodzami, dotarło do niego: celowo unikał spotkania z Montezumą. Odkładał je, spychał na później w swoim planie rzeczy do zrobienia. Celowo zajął się dziś zbieraniem ludzi do budowy statków, tłumaczeniem, jakiego drewna będą potrzebować. Skoro mieli w krótkim czasie zbudować cztery brygantyny, to...

...uświadomił sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze znów pozwolił myślom zabrać się w bezpieczne miejsce, ku konieczności planowania i organizacji. Zamiast stawić czoła czemuś, co najwyraźniej go niepokoiło, wolał tego unikać. Stłumić, zepchnąć, zracjonalizować. Uzasadnić. Tak jak robił to od wieków, tysiącleci.

Zaś po drugie pomyślał o sobie przecież właśnie tak: „on wraz z INNYMI wodzami”.

Wyprawa do Nowego Świata u boku Cortésa pełna była zaskoczeń i zwrotów akcji. Płynęli tutaj jako awanturnicy, pchani ciekawością i żądzą przygód. Wylądowali jako odkrywcy. Poszli w głąb lądu jako wyzwoliciele i misjonarze. Wkroczyli do Tenochtitlán niemalże jako zdobywcy.

Natomiast równoległe do tego wszystkiego działo się w nim coś jeszcze, coś o wiele większego i poważniejszego.

Widział i czuł, jak ta kraina, jak ci ludzie, jak ten świat zaczyna go wciągać.

On sam zaś zaczynał się zmieniać.

Nie, właściwie nie zmieniać – a raczej odrzucać te zmiany, na które sobie niegdyś pozwolił. To, co działo się z nim teraz, nie było zmianą, ale właśnie powrotem do korzeni.

Niczym igła kompasu zawsze pokazująca północ, jego wewnętrzna busola zwracała się ku czemuś nienazwanemu, pierwotnemu. Czemuś, o czym nie myślał już od bardzo, bardzo dawna. Co był przekonany, że utracił, zabił w sobie, pogrzebał.

Tak, to zdecydowanie była rozmowa, którą odkładał nazbyt już długo.

Odetchnął raz jeszcze, dotknął styliska tkwiącej za pasem siekiery i ruszył przez spowite półmrokiem zapadającego wieczora korytarze pałacu Axayacatla.



Montezuma siedział jak co wieczór na dachu pałacu i patrzył, jak jedna po drugiej zapalają się na firmamencie nieba gwiazdy.

„Dla bogacza i biednego, wojownika i rolnika, władcy i niewolnika, niebo dla każdego jest to samo”, zwykł mawiać ojciec Montezumy. I taka była prawda: niezależnie od tego, czy obserwować je z tarasów jego ukochanego pałacu, czy ze szczytu Wielkiej Świątyni, czy ze wzgórz za miastem, nie zmieniało się.

Niebo pozostawało takie samo.

Tylko świat pod nim był inny, bo Montezuma nie miał teraz możliwości wyboru miejsca, z którego będzie podziwiał misterium nadchodzącej nocy.

Niby miał tu wszystko: jego dwór zbierał się co rano, służba usługiwała mu z tym samym oddaniem, obydwie posiłki dnia były nie mniej obfite i wyszukane niż wcześniej.

Nawet nie dalej jak wczoraj sprawował przeciw sądy i wydawał wyroki.

Urzednicy przynosili mu raporty, dostojnicy czekali na jego słowo.

Co wieczór obok jego posłania czekała jedna z nałożnic, gotowa służyć swemu panu tak, jak uznał to za stosowne.

Przecież pozwalano mu nawet wychodzić. Bywał w menażerii, gdzie oglądał świeżo powite przez matkę szczenięta wielkiego górskiego lwa. Karmił drapieżne koty, patrzył na sprowadzone do ptaszarni kolorowe ptaki z dalekiego południa.

Odprawiał nawet, jak wymagał tego odwieczny cykl zachodów i wschodów słońca, ceremonie ofiarne. Wspiął się wraz z kapłanami na piramidę, gdzie wspólnie zanieśli modły przebłagalne przed obliczem bogów, po czym uradowali ich dwiema Czerwonymi Gwiazdami, wyjętymi z piersi młodzieńca i dziewczyny.

Jednakże co wieczór wracał tu, do pałacu swego ojca.

Niczym dziecko biegające i dokazujące cały długi dzień – ale wieczorem karnie zmierzające do domu kogoś, kto z niewiadomych, trudnych do zrozumienia przyczyn był większy i ważniejszy od niego.

Montezuma rozmyślał nad tym wielokrotnie.

Pozbawiony dobrodziejstw swego Czarnego Domu – wzniesionej bez okien, z niewielkimi drzwiami, wymalowanej na czarno sali o podłodze z płyt bazaltu, gdzie zamykał się, aby pozostać sam na sam z własnymi myślami – nierzadko zamykał oczy i wyrównywał oddech, próbując odpowiedzieć samemu sobie na pytanie:

Jak do tego doszło?

Znał odpowiedź, ale nie był w stanie ubrać jej w słowa.

Umykała mu, chowając się w zakamarkach umysłu.

Przybierała dziwaczne formy, próbując dopasować się do kształtu znanych mu postaci.

Jednak zawsze, zawsze podczas jego medytacji wypływała spośród nich jedna, która...

– O Najwyższy, oby Montezuma raczył wybaczyć swojemu słudze! – rozległ się głos. Montezuma drgnął, obrócił się i spojrzał na szambelana dworu, skulonego teraz w wyjściu na taras. – Przybył petent do najwyższego króla, jeden z białych... Ten, którego wołają Xahuatl.

Montezuma ze świstem wciągnął wieczorne powietrze przez szeroko rozdęte nozdrza.

– Niech dołączy do Montezumy.

Wyprostował się, poprawił spoczywające na kolanach dłonie i uniósł głowę, patrząc na wznoszącą się ponad gasnącym w ciemności Tenochtitlán sylwetkę utkanego z gwiazd Wojownika.

Zaszeleściło, gdy służący rozesłał obok jeszcze jedną słomianą matę.

Potem brzęknęły rozstawiane na ziemi naczynia, zabulgotało nalewane do miski *pulque*.

Zapadła cisza, w której Montezuma słyszał tylko własny oddech – i czuł na tarasie obecność kogoś jeszcze.

Kątem oka zarejestrował ruch, gdy przybysz o wymalowanych rękach stanął obok niego, a potem uklęknął na swojej macie. Nie było jednak ani jednego dźwięku, nawet najłżejszego szmeru. Nic.

Montezuma przymknął oczy, odetchnął głęboko.

– Zznałeś wielu trudów, twoje nogi zmęczyły się wieloma ścieżkami – rzucił w przestrzeń słowa powitania. – Czekałem długo, ale oto już przybyłeś. Twój sługa, Montezuma, jest gotów do podróży.

Po raz kolejny poczuł na sobie spojrzenie przybysza. Uśmiechnął się lekko, rozchylił powieki i spojrzał na niego z ukosa.

Tak, teraz był tego pewien: było w tym człowieku coś, co sprawiało, że nie pasował do otaczającego świata. O ile w dzień, w otoczeniu innych ludzi, różnica nie była aż tak wyraźna... To tutaj, pod nocnym niebem, stawała się więcej niż oczywista.

– Nie przyszedłem cię zabić – zamruczał w języku *nahuatl* wymalowany człowiek.

Montezuma uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– A więc i do tego byłby zdolny mój przyjaciel i brat, biały wódz Cortés?

– Mówię: nie po to przyszedłem...

– Ale wiesz, że taka możliwość byłaby prawdopodobna. Po co zatem przybyłeś? Dlaczego zakłócasz mój spokój?

– Xahuatl przybył, aby powiedzieć Montezumie, że ten nie musi obawiać się o swoje życie.

– To nie jest odpowiedź na którekolwiek z pytań Montezumy. Montezuma nie obawia się o swoje życie. To nie

Cortés mu je dał, nie Cortés też mu je odbierze. Moje życie, podobnie jak i twoje, jest w rękach bogów, którzy w tej chwili widzą nas ze swego domu w niebiosach. Po co przybyłeś, pytam ponownie?

– Montezuma nie powinien ustępować Cortésowi. Ten człowiek nie zatrzyma się przed niczym, a jeśli dać mu palec, weźmie całą rękę. Montezuma winien jak najszybciej sprawić, aby Kastylijczycy opuścili Tenochtitlán...

Montezuma westchnął ciężko, powoli pokręcił głową.

– Montezuma pyta Xahuatla o sprawy wielkie, a ten mówi mu o rzeczach błahych. Montezuma pyta o zamysły bogów, a dostaje odpowiedzi o przyziemnych knowaniach ludzi. Po co przybyłeś, pytam po raz trzeci?

Zahred zmrużył oczy, przyglądając się badawczo Montezumie.

Szukał w jego twarzy jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Buzujących pod powierzchnią emocji. Skrywanych zamiarów. Drugiego dna motywacji.

Jednak władca był zupełnie rozluźniony, spokojny. Pogodzony ze sobą, ze światem... Zahred widywał już wcześniej takich ludzi, jednak nie w tym świecie, nie tym czasie. To był stan właściwy mędrcom i pustelnikom spędzającym całe dnie na poście, umartwieniu i medytacji.

Tymczasem ten człowiek...

– Przybyłem, aby odnaleźć bogów – powiedział po prostu.

Nietrudno było dostrzec, jak bardzo odpowiedź poruszyła Montezumę, którego oczy rozszerzyły się.

– A więc miałem rację, że ojciec Quetzalcoatl i matka Ītzpāpālōtl wspólnie zsyłają znaki swoim dzieciom. – Władca pokiwał głową powoli, z rozmysłem, ale w jego oczach błysnęła smutek. – Wypełnia się zatem czas, jaki powierzono Meksykom na tej ziemi. Oto ze wschodu przybył w imieniu Tych, Co Byli



przed Nami ich posłaniec. I teraz cała władza, jaka pozostała Montezumie, przejdzie w jego ręce...

– Co? Nie, to nie tak – zaprzeczył Zahred. – To bzdury! Cortés nie jest bogiem, jego żołnierze to tylko ludzie! Niech Montezuma nie wierzy w te pogłoski, które próbują podsycać sami Kastyljczycy ustami niemądrych Mexików. Cortés nie jest posłańcem bogów...!

– Montezuma nawet słowem nie wspomniał o Cortésie.

Zapadła cisza.

Zahred nabrał głęboko powietrza, wypuścił je powoli przez nos.

Nie oczekiwał niczego, idąc na tę rozmowę – ale też na pewno nie spodziewał się czegoś takiego.

– Nie mam pojęcia o waszych bogach – zawarczał. – I nie wiem, czy chcę je mieć. Wiem tyle, że twoja krótkowzroczność, Montezumo, prowadzi twoich ludzi wprost ku nieszczęściu...

– Posłaniec nie musi wiedzieć, co napisano w niesionym przez niego liście – odpowiedział Montezuma, znów wznosząc oczy ku czarnemu niebu. – Nie musi nawet znać tego, kto nakreślił jego znaki, ani umieć czytać języka. Xahuatl jest posłańcem, na którego czekał Montezuma, ojciec Montezumy przed nim i jego ojciec przed nim.

Zahred prychnął, zaczął wstawać z maty.

– Bredzisz, królu! – rzucił gniewnie. – Sam pozwoliłeś najeźdźcom wejść na swoje ziemie. Zamiast bronią, przywitałeś ich uległością. Dziękowałeś złotem za zniewagi, przepraszałeś za wyrządzone ci krzywdy... I teraz, kiedy sam oddałeś się do niewoli, chcesz zrzucić odpowiedzialność na bogów?!

– Montezuma nie szuka odkupienia. Jego wady i słabości są jego wyłącznym brzemieniem... Jednakże to, co się stało i nadal dzieje, nie jest jego winą.

– Wyparcie to nieszczególnie skuteczna strategia, Montezumo. Lepiej przyznaj się sam przed sobą do tego, w jakiej jesteś sytuacji – rzucił Zahred, schodząc z tarasu.

Był już w otwartej na ogrody sali, gdy dobiegły go jeszcze słowa:

– Jestem w niewoli we własnej stolicy. Na moje ziemie wkroczyli najeźdźcy, których nie jestem zdolny powstrzymać. Tamci nie zawahają się przed niczym, a ja nie pogwałcę świętych praw...

– „Świętych praw”?! – Zahred zatrzymał się gwałtownie, obrócił na pięcie i niczym wściekły byk ruszył z powrotem ku siedzącemu tyłem do niego najwyższemu królowi. – Nieszczęsny głupcze! Zgubisz nie tylko siebie, ale i swoich ludzi, całą tę krainę! Ci ludzie, tacy ludzie... Dlaczego nie walczysz?!

Zawisł nad Montezumą ze wzniesionymi pięściami, z twarzą wykrzywioną wściekłym grymasem i pierśią wznoszącą się gwałtownym oddechem.

Montezuma powoli obrócił ku niemu głowę, spojrział z absolutnym, niemalże nieobecnym spokojem.

– Gość jest rzeczą świętą, zaś przelać jego krew to jak zabić własnego ojca. Król Cortésa nie wypowiedział wojny Montezumie, zaś Montezumie nie godzi się atakować tego, kto przedstawia się jako jego ambasador...

– Król nie ma nawet pojęcia o tym, że tu jesteśmy! – wybuchnął Zahred. – To wszystko, ta cała awantura... To jedno wielkie oszustwo! Tańczenie na ostrzu noża przepisów prawnych!

– Niemniej Cortés i jego ludzie są moimi gośćmi, a ja jestem winien im ochronę na moich ziemiach. Zaś co do tego, dlaczego Montezuma nie chwytą za miecz w obronie Mexików... – Na twarzy króla zadrgał drwiący uśmiezek. – Mówią, że człowiek

zadaje innym takie pytania, których obawia się sam. Dlaczego więc nie czyni tego sam Xahuatl?

Zahred zbladł, cofnął się o krok.

Potrząsnął głową, uciekł spojrzeniem w bok.

– Nie próbuj mi tego robić, królu – wymamrotał.

– Montezuma nie robi nic Xahuatlowi. Nie jest w stanie uczynić mu nic, czego Xahuatl nie zrobi sobie sam.

– Nie szukaj więc we mnie winy za to, co spoczywa na tobie.

– Ja znam odpowiedzi na swoje pytania, bo jestem pogodzony z tym, kim i czym jestem... Czy jednak to samo może powiedzieć o sobie Xahuatl?

– Nie chcesz bronić się sam, Montezumo, więc liczysz na to, że zrobię to za ciebie. Upatrujesz we mnie czegoś, czym nie jestem. Nie jestem posłańcem bogów. Nie jestem obrońcą Mexików. Nie jestem jednym z was...

Montezuma uśmiechnął się ponownie, tym razem jednak jego oczy były pełne smutku.

– Xahuatl musiał przepłynąć Wielką Wodę, dotrzeć do Tenochtitlán i przyjść aż do samego Montezumy, aby odbyć tę rozmowę. Czy jednak wie, z kim naprawdę teraz rozmawia? Kogo próbuje przekonać?

– Rozmawiam z tobą, królu...

– Nie. – Montezuma pokręcił głową. – Nie ze mną.

Zahred chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zacisnął tylko pięść, obrócił się i wyszedł bez słowa, zostawiając króla sam na sam z rozgwieżdżonym niebem i bezbrzeżnym spokojem jesiennej nocy.



Siekiera spadała raz za razem, odciosując krótkie, doskonale równe strużyny. Wszystkie leciutko zawinięte, spadające jedne obok drugich na ziemię, układające się w skomplikowany, zupełnie niepowtarzalny wzór rzemieślniczego kobierca.

Cak, cak, cak – ostrze kawałek po kawałku wgryzało się w pień spokojnym, niespiesznym rytmem, zamieniając bezkształtny kawałek drewna we fragment większej całości.

Zahred pracował powoli, metodycznie, z namaszczeniem.

Był świadom tego, że nie jest w tym odosobniony: wokół niego w zaimprovizowanej stoczni na nabrzeżu Tenochtitlán uwijała się też w pocie czoła cała załoga cieśłów, którym powierzono budowę statków dla ekspedycji. Słyszał ich pokrzykiwania i nawoływania, rozmowy, śmiechy... Gdzieś tam w tle dzwoniły o przenośne kowadła młoty kowalskie w urządzonej nad samą wodą kuźni.

Natomiast w tym konkretnym momencie w swojej własnej głowie Zahred był sam.

Widział tylko drewniany bal i rozstawione okraciem własne bosc nogi.

Pierwszego dnia patrzyli na niego ze zdziwieniem, gdy przystępując do pracy, rozbierał się do samej bielizny; drugiego też byli zaskoczeni; trzeciego już mało kto zwrócił na to uwagę.

A on nie umiał inaczej.

Nauczył się tylu rzeczy, posiadał tyle umiejętności, dźwigał ze sobą tak ogromny bagaż wiedzy. Był zdolny przystosować się do wszystkiego, wszędzie...

...jednak nie potrafił budować łodzi, mając na sobie cokolwiek więcej niż przepaskę biodrową.

Może dlatego, że było to jedno z nielicznych wspomnień z dalekiej przeszłości, których był pewien?

Wszystko inne z TAMTEJ wyprawy było już dawno rozmyte, wyblakłe. Twarze ludzi, droga ku wielkiej górze...

Przedzieranie się przez śniegi. Wnętrze rozstawionego pośrodku pustkowia szłaś ze skór i kości. Walki z ogromnymi włochatymi tygrysami o zębach niczym miecze. Potem wspinaczka, a po niej szczyt, na którym znalazł to, czego szukał – to wszystko mogło równie dobrze być jego wymysłem. Fałszywym majakiem, urojonym przez jego własną wyobraźnię.

Jednak tego był pewien.

Tego jednego jedynego obrazu: jak bosy stoi okrakiem nad pniem drewna, cierpliwie ciosając go siekierką o kamiennym ostrzu. Ręce tak samo trzymające stylisko... I tylko jedna rzecz, której teraz brakowało.

Uderzył jeszcze raz, a potem wyprostował się, dysząc ciężko chłodnym powietrzem, i rozejrzał.

Tak, praca wrzała, aż miło.

Szkielet pierwszej łodzi już stał w suchym doku, powoli obudowywany teraz deskami poszycia.

Wręgi na drugą już leżały przygotowane, czekając tylko, aż pan López weźmie się do ich ustawiania.

Tam dalej kręcili się ludzie, rozpalając już ognisko do rozgrzania dostarczonej tego ranka smoły.

Jednak jemu czegoś brakowało.

Zahred podszedł do warsztatu, przegrzebał ręką leżące tam resztki i kawałki. W końcu znalazł to, czego szukał: kawałek rzemienia. Mocny, solidny, ledwie wyprawiony, odcięty z większej całości.

Nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi, zawiązał na nim dwa węzły: jeden duży, drugi mniejszy zaraz obok niego i jeszcze trzeci po drugiej stronie. Zawinął całość trzy razy wokół lewego nadgarstka, zaciągnął supeł zębami.

Nie wiedział, co to oznaczało, czym były te trzy węzłki.

Nie miał pojęcia.

Zwyczajnie już nie pamiętał... Jednak miał pewność, że były czymś istotnym. Że ten kawałek skóry z jego wspomnienia to coś bardzo, ale to bardzo ważnego.

Ostatnim, co jeszcze pamiętał na temat dawnego, pierwotnego siebie.

– Leż, leż – mruknął, schylając się, aby podrapać za uszami Kefrena, który podniósł się ze swojego miejsca i obserwował, dokąd to poszedł jego pan.

Stanął znów nad pniem, podniósł odłożoną siekierę. Wzniósł już ostrze, kiedy...

– Panie kapitanie, panie kapitanie! – rozległo się wołanie.

Od strony miasta biegł ku niemu jeden z ludzi pełniących przy dworze Cortésa funkcję posłańca.

Pracujący w stoczni też go zauważyli, odrywając się teraz od zajęć i ocierając pot z czoła; każdy pretekst był dobry, aby odpocząć chwilę od roboty.

Zahred przestąpił nad ciosanym pniem drewna. Podniósł rękę, dając znać, gdzie stoi.

– Co się stało, Hernándo?! – zakrzyknął.

Posłaniec podbiegł ku niemu, zwolnił i w końcu zahamował, oparł się ciężko rękami o sąg drewna. Wysapał w końcu:

– Panie kapitanie...! Caudillo wzywa do siebie panów kapitanów...!

– Co się dzieje?!

– Przyprawdzili tego zdrajcę gubernatora Qualpopokę z wybrzeża!



Kiedy Zahred dotarł w pobliże wejścia do pałacu Axayacatla, zgromadził się tam już niemały tłum. Ludzie ściągali z całego Tenochtitlán, stali wzdłuż ulic, którymi dopiero co musiał przededefilować prowadzący gubernatora orszak.

Słysząc było, jak z ust do ust podróżują najdziwniejsze przypuszczenia, zaś niesione wiatrem urywki zdań niczym ziarna perzu padają na podatną glebę żądnych wrażeń umysłów ludzkich.

– Huitztecól widział to na własne oczy! Prowadzili gubernatora Qualpopokę z pętlą na szyi, niczym pospolitego przestępcę! – emocjonował się stojący u zbiegu dwóch ulic mężczyzna, który przed chwilą zlął z niewielkiego drzewa.

– Bogowie, bogowie! Nieszczęście przyszło na Tenochtitlán, na całe władztwo Mexików! – biadała kobieta siedząca na dachu swego domu.

Stojąca nad nią staruszka, zapewne matka lub teściowa, głaskała ją po głowie, próbując uspokoić:

– No już, niechże Nenetli się uspokoi... Władcy toczą swoje wojny, ale przecież prostych ludzi to nie dotyka. Niech otrze łzy, niech nie płacze: syn Nenetli jeszcze nie ma trzech lat, nieprędko zawołają go w szeregi wojowników...

Na schodach jednego z pałaców stały, niczym wielobarwne egzotyczne ptaki, bogato ubrane, obwieszane złotem kobiety, które zwiedzione wrzawą i poruszeniem, na chwilę zdecydowały się opuścić bezpieczne pielesze swych rezydencji. Jedna z nich, najmocniej umalowana, zaśmiała się głośno i machnęła ręką, zwracając się do koleżanek:

– Ha! A przecież mówiła wam Ihuicamina, drogie siostry, że tak się to skończy... Tak, tak! Kto zbyt wysoko się nosił, ten najboleśniej spada ze swojej grzedy! Już po Qualpopoce, skoro najwyższy Montezuma kazał go w powrozach do miasta sprowadzić...!

Z kolei stojący pod samą bramą mężczyźni, wśród których dało się zauważyć dwóch wojowników, rozprawiali żywo, gestykułując i łapiąc się za głowy.

– Biada, biada! Teraz biały wódz wezwie do siebie wszystkich szlachciców i uwięzi, jak zrobił to z Montezumą...!

– Montezuma nie jest więźniem Cortésa!

– Jest! Jest, chodzi z więzami na rękach i nogach! Siostra Tezozmochitla usługuje w pałacowej kuchni, widziała go na własne oczy!

– Montezuma nie żyje! Zabili naszego króla, zgasili nasze słońce...! – krzyczał jakiś starzec, wznosząc ręce do nieba. – Teraz wszyscy zginiemy...!

Zahred zaczął przepychać się przez ciżbę, usiłując dotrzeć do bramy.

Był już niemal pod samymi wrotami, kiedy jego wzrok zupełnie przypadkiem skrzyżował się ze spojrzeniem jednego z ludzi w tłumie.

Kefren zawarczał i zjeżył się, w lot wyczuwając nastrój swego pana.

Zahred widział już tego człowieka wcześniej.

Stał pośród innych, pozornie niewidoczny, gdy Cortés spotykał się z Montezumą na grobli.

I jeszcze wcześniej, w szatach pomniejszego urzędnika, gdy przybyli na pierwszą audiencję z fałszywym władcą do pustego pałacu na brzegu jeziora.

Oraz potem, gdy przebrany za służącego podawał do stołu przy wieczerzy, kiedy wprowadzali się do pałacu Axayacatla.

I nie dalej jak wczoraj, kiedy wychodził z podwórca pałacu.

Oczy tamtego rozszerzyły się; mężczyzna zrobił krok w tył i odwrócił się, żeby dać nura w tłum.

Zahred skoczył za nim, chwycił go za połą opończy i pociągnął ku sobie.



Tamten nawet nie próbował się opierać; poleciał na Zahreda całą masą swego ciała, wystawiając w przód zaciśniętą dłoń.

Zahred przechwycił jego nadgarstek, szarpnął w bok i wykręcił, wyłuskał z wykrzywionej dłoni nóż o krzemiennym ostrzu. Mężczyzna uderzył kolanem, ale cios trafił w pustkę; chciał się rzucić...

...ale nagle zamarł, czując, jak ostry koniec żeleźca siekiery wbija mu się w szyję dokładnie tam, gdzie po lewej stronie karku tętniła życiodajną krwią żyła.

Zahred przyciągnął go ku sobie, zaszeptał do ucha:

– Powiadom swojego pana, kimkolwiek ten jest, że Xahuatl chce się z nim spotkać. Dziś, jutro, pojutrze... Kiedy tylko znajdzie czas w natłoku spraw. I niech do tej pory nie robi nic głupiego!

Odepchnął tamtego od siebie, rzucił mu nóż pod nogi.

Mężczyzna zatoczył się, obrócił... Iście wężowym ruchem schylił się, podniósł broń i zniknął w tłumie, rzuciwszy Zahredowi tylko jeszcze jedno, pełne po równo zaskoczenia i wściekłości, złe spojrzenie.

Zahred przepchnął się pomiędzy ludźmi, wcisnął między zagradzających wejście na dziedziniec strażników i szybkim krokiem ruszył dalej.

Rzeczywiście, już stąd widział, że pod ścianą budowli stoi spora kolumna tragarzy i wojowników, którzy zapewne eskortowali gubernatora z wybrzeża.

– Panie kapitanie! – zawołał do niego de Barrameda, wychodzący z bocznego skrzydła pałacu. – Słyszeliście już? Przyprowadzili go!

– Kogo takiego niby? Ledwie mnie wieść doleciała, od razu tu jestem...

– Qualpopokę, a kogo! Tego psa, co naszych kazał zaatakować! Jest teraz u caudilla, ten go sądzi... Pospieszmy się, może zdążymy, zanim go skażą!

Zahred zgrzytnął tylko zębami, nie komentując nawet założonej a priori winy gubernatora.

Ludzie ściągali już do pałacu, sale i korytarze napełniały się podekscytowanymi głosami. Konkwistadorzy stali grupkami, dyskutując zawzięcie, wymachując rękami... Obraz był niemalże lustrzanym odbiciem tego, co działo się na zewnątrz, lecz nastroje diametralnie odmienne.

– Mówią, że zdradziecko na nich napadli, w nocy! Bez powodu, bez żadnej zapowiedzi! Z zasadzki uderzyli na śpiących!

– Pan Escalante walczył jak lew! Tuzin dzikusów położył, zanim go samą liczbą zmogli!

– Barbarzyńcy, zwierzęta! Dobrego pana Juana Argüella do niewoli wzięli, żeby w ofierze złożyć! Głowę mu potem odcięli, wysłali tutaj, do Montezумы, jako trofeum...!

– Nie może być!

– Może! Może, bo sam pan de Sandoval mi dopiero co mówił! Był przy tym, jak caudillo tego psa niewiernego Montezumę na rozmowę wziął, gdy Qualpopokę sprowadzili! Tamten przyznał mu się do wszystkiego...!

– Zdrada! Zdrada, dobrzy panowie!

– Zdrada...!

W skrzydle pałacu przekształconym w areszt domowy dla Montezумы tłok był taki, że nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki.

Tymczasowa sala audiencyjna zdawała się w tym wszystkim okiem cyklonu – przestrzenią, gdzie pustka wokół tronu, na którym usadzono teraz marionetkowego króla, była niemalże bolesna.

Wszędzie indziej było aż gęsto od ludzi. Każdy chciał być blisko tego miejsca, ale nikt nie pragnąłby być teraz na miejscu Montezумы.

– ...niech więc sam porozmawia z Qualpopoką! – Zahred wyłowił z hałasu końcówkę zdania Montezумы, po którym zaraz odezwała się tłumacząca jego słowa doña Marina. – Oto jest tutaj sam szlachetny Qualpopoka, nasz zarządca i władca w Nauhtli. Przy nim jest jego syn, szlachetny Tlacetlel, oraz piętnastu dowódców, którzy widzieli, słyszeli i wiedzą to, co i sam Qualpopoka. Niech więc...

Montezuma urwał, gdy Zahred przecisnął się przez tłum, wysunął na przód i przeszedł przez pustą przestrzeń, aby stanąć wraz z innymi kapitanami.

Król przełknął ślinę, oblizwał suche wargi.

– ...niech więc teraz nasz przyjaciel i brat, wielki wódz Cortés, sam zapyta ich, co i dlaczego uczynili. A jeśli uzna, że wystąpili przeciw niemu... – Głos Montezумы zadrgał. – Niech osądzi winnych tak, jak na to zasługują.

Po sali poniosły się nerwowy szmer i szepty.

Zarówno już zgromadzeni tam, jak i dopiero ściągający na miejsce dostojnicy, ojcowie i synowie szlachetnych rodów, urzędnicy, dowódcy wojskowi i członkowie dworu Montezумы potrzęsali z niedowierzaniem głowami, chowając twarze w dłoniach: ale jak to? Czemu? Dlaczego słońce i księżyc Tenochtitlán, ten, który rządzi, serce miasta, drogocenne pióro quetzala, sam najwyższy Montezuma zrzeka się swych praw, przywilejów i obowiązków jako sędziego swoich poddanych?!

Stojący u stóp podwyższenia tronowego ludzie słuchali wszystkiego, co się działo, z kamiennymi twarzami. Ubrani w pokryte kurzem drogi szaty, z malującym się na poszarzałych twarzach zmęczeniem, tkwili tam niczym posągi przystrojone wymiętymi pióropuszcami.

Sam gubernator Qualpopoka do tej pory stał, jak i pozostali, ze związanymi rękami i spojrzeniem kornie wbitym w ziemię u stóp Montezumy.

Kiedy jednak usłyszał te słowa, drgnął i podniósł wzrok na władcę.

Zahred nie dostrzegł w jego oczach zdziwienia ani nawet zaskoczenia – a tylko milczące, gorzkie rozczarowanie.

Caudillo uśmiechnął się, podkręcił wąsa i wyszedł spomiędzy swoich ludzi.

Wspiął się na podwyższenie tronowe, stanął po prawej stronie Montezumy i położył władcy dłoń na ramieniu.

Ludzie znów zafalowali, widząc, że ktoś ośmielił się skalać dotykiem tego, który był nietykalny... Lecz nie stało się nic: Montezuma nie wpadł w gniew. Wojownicy Orła i Jaguara nie rzucili się, aby kamiennymi mieczami rozsiekać bezczelnego na kawałki. Niebiosa nie otworzyły się, bogowie nie zesłali pioruna, aby poraził bluźniercę.

– Marina... – Caudillo zwrócił się do swojej tłumaczki. – Zapytaj tego człowieka, czy to prawda, że on i jego ludzie napadli na nasze miasto. Czy podpalili Vera Cruz, raniąc wielu dobrych poddanych naszego króla, zabijając gubernatora Escalante i pół tuzina moich ludzi oraz niezliczonych Totonaków, w dodatku biorąc w niewolę dobrego pana Juana Argüella?

Doña Marina przetłumaczyła słowa Cortésa.

Qualpopoka wysłuchał, nie spuszczać wzroku z Montezumy... Po czym odpowiedział, nadal patrząc wprost na króla:

– Qualpopoka staje przed obliczem najwyższego króla Montezumy, zaś jego warg nie splami kłamstwo. Qualpopoka wykonywał swoje święte obowiązki, przychodząc do miast Cempoali po półroczny trybut dla najwyższego Montezumy.

Miasta krnąbrnych Totonaków jednak odmówiły zapłaty, więc Qualpopoka wysłał do nich ludzi, mówiąc: jeśli sprzeniewierzycie się woli najwyższego Montezumy, armie Mexików przyjdą do was, niosąc ogień i miecz. W odpowiedzi Qualpopoka usłyszał od gubernatora z miasta białych ludzi, że miasta Montezumy nie są miastami Montezumy, zaś jego ludzie nie są jego ludźmi...

– Mówi, szlachetny panie, że przyszedł do Totonaków po podatki – pospiesznie przetłumaczyła doña Marina. – Totonakowie odmówili zapłacenia haraczu, a wtedy on zagroził im wojną.

– ...kiedy Qualpopoka wyśmiał słowa posłańca, gubernator z miasta białych ludzi przyszedł do Nauhtli z wieloma wojownikami. Jego słowa były słowami dziecka pijanego *pulque*, a jego twarz czerwona niczym rozzłoszczonego indora! – zaśmiał się Qualpopoka, ale zaraz spoważniał. – Biały gubernator zażądał, aby to Qualpopoka zapłacił tyle złota, ile sam waży, i po jednej złotej bransolecie dla każdego z białych ludzi. Kiedy Qualpopoka odmówił, biali ludzie podstępnie, bez ogłoszenia bitwy, uderzyli na jego wojowników...!

– Mówi, że gubernator Juan de Escalante interweniował, biorąc w obronę Totonaków. Gubernator de Escalante udał się do niego z poselstwem. Jednak rozmowy spełzły na niczym, doszło do walki – wyrzuciła z siebie tłumaczka.

– ...tchórzliwi Totonakowie, gdy tylko starli się z armiami Mexików, zaczęli pierzchać niczym spłoszone ptaki! Zamiast bić się z wojownikami Qualpopoki, jęli zabijać kobiety i starców, podobnie jak i biali wojownicy. Kiedy jednak biali zostali bez pomocy, nie mieli sił, aby przeciwstawić się męstwu i sile Mexików! Zamiast walczyć, podpalili wiele domów w Nauhtli, a potem sami uciekli, zostawiając wielu rannych. Wśród nich był jeden, którego Mexikowie wzięli żywcem bez walki, bo

widząc naszych wojowników... – Qualpopoka skrzywił się z obrzydzeniem – rzucił broń, a po jego nogach pociekł mocz przemieszany z kałem! Złożyliśmy go na kamieniu ofiarnym, jego Czerwoną Gwiazdę wysłaliśmy ku bogom jako przebłaganie za tchórzostwo w walce, a głowę podarowaliśmy najwyższemu Montezumie, aby wiedział, że jego wojownicy bronią honoru Tenochtitlán!

– Podczas bitwy Totonakowie zostali rozbici, panie – zrelacjonowała Marina. – W mieście wybuchł pożar, zaś gubernator Escalante nakazał odwrót. Rzeczywiście, pan Juan Argüello został wzięty do niewoli i złożony w ofierze. Jego głowę...

– Wiem, Marina, to już słyszałem od samego Montezumy – rzekł caudillo. – Zapytaj go: czy to Montezuma kazał mu zaatakować Vera Cruz?

Qualpopoka wysłuchał pytania, prychnął z pogardą.

– Gdyby najwyższy Montezuma kazał Qualpopoce zaatakować morze, Qualpopoka i jego wojownicy uderzyliby na fale! Gdyby powiedział, aby szturmować góry, ani jeden szczyt nie ostałby się niezdojty! Nie ma rozkazu, którego nie wykonają dla najwyższego króla jego wierni Mexikowie...!

– Powiedział, że... W sumie nie odpowiedział. – Marina rozłożyła ręce.

– ...jednak najwyższy Montezuma nie każe Qualpopoce atakować kałuż po deszczu ani przydrożnych kamieni! Jeśli ktoś obraża chwałę Tenochtitlán, to Qualpopoka sam wie, jak wymierzyć mu karę!

– Miałeś taki rozkaz czy nie?

– Najwyższy Montezuma nie dawał Qualpopoce rozkazu atakowania białych, zaś Qualpopoka nikogo nie zaatakował! To biali uderzyli na Nauhtlę, podpalili nasze miasto!

– Mówi, że Montezuma nie kazał mu atakować Vera Cruz. – Doña Marina spojrzała na Cortésa.

Caudillo pokiwał głową, poklepał Montezumę po ramieniu i zajrzał mu w twarz.

– Przetłumacz to, Marina: ja i tak wiem, że było inaczej. Mam pewność, że to Montezuma wydał rozkaz do rozpoczęcia walki... Jednak nawet teraz, mimo że wiem, że to od niego wyszło polecenie, nie uczynię mu nic złego. Nie zrobię tego, bo jestem zadowolony z postępowania Montezumy i tego, że zdecydował się przyznać do swojej winy i wydać w moje ręce sprawców nieszczęścia.

Doña Marina przekazała słowa caudilla.

Ludzie znów zaszumieli: ale jak to? Przecież Qualpopoka dopiero co zeznał pod przysięgą, przed obliczem władcy zupełnie co innego...!

Montezuma jednak tylko uśmiechnął się niepewnie, zerkając na Cortésa spode łba. Niczym dziecko widzące, że ojciec zdejmuje pas, ale jeszcze nie do końca pewne: odwiesi go na oparcie krzesła? Czy raczej złoży na pół...?

– Co zaś do samego Qualpopoki... – Caudillo przeniósł spojrzenie na stojącego w powrozach gubernatora. – To jego wina jest wielka! Dopuścił się sprzeniewierzenia wobec nas, ale co gorsza, zdrady wobec naszego z Bożej łaski króla, któremu sam Montezuma przysiągł wierność, uznając się za jego wasala wraz ze wszystkimi swoimi ziemiami i ludźmi!

Qualpopoka spojrzał na Montezumę z niedowierzaniem, a potem parsknął śmiechem.

Władca zbladł, widać było, jak zacisnął boleśnie pobielające wargi... Ale nie powiedział nic, nie odezwał się ani słowem.

– Na śmierć go! – zawołał któryś z Kastylijczyków. – Zdrada!

– Zdrada...!

Cortés uniósł ręce, pokazując, że jeszcze nie skończył.

W tej chwili zdawał się górować nad Montezumą, niewspółmiernie małym do zajmowanego tronu i ledwie widocznym spod zielonego pióropusza.

– Qualpopoka wraz z jego synem winni są zdrady! – zawołał caudillo. – A za tak haniebną, plugawą, otwartą zdradę kara może być tylko jedna...!

Gdy doña Marina przetłumaczyła werdykt, stojący za ojcem Tlacetlel tylko westchnął spazmatycznie i złapał Qualpopokę za rękę.

Jednakże sam gubernator Nauhtli nawet nie drgnął.

Patrzył tylko na Montezumę z mieszaniną głębokiego, serdecznego smutku i bezbrzeżnej wręcz pogardy.





## Rozdział 4

Poryw wiatru wpadł na plac, zakręcił i docisnął do ziemi nisko ścielącą się chmurę siwego, cuchnącego dymu. Snop iskier poderwanych z dopalających się bierwion zatańczył spiralą, poleciał wraz z drobinkami popiołu prosto w twarze stłoczonych wokół ludzi.

Zgrzytnął klucz w kłódce, brzęknęły o ziemię opadające kajdany.

– Jesteś wolny, Montezumo. Możesz udać się, dokąd chcesz – powiedziała słowami Cortésa doña Marina.

Mocetuhsuma Xocoyotzin, władca wszystkich krain od gór aż ku Wielkiej Wodzie, pan Imperium Słońca, Ten, Którego Gniew Jest Szlachetny, pomasował obolałe od żelaznych

obręczy nadgarstki. Spojrzał na Cortésa, po czym potoczył wzrokiem po zgromadzonych na głównym placu Tenochtitlán ludziach.

Tłum stał w absolutnym milczeniu.

Od rana przychodzili tutaj bez słowa, zasiadali na ziemi, zajmowali co lepsze miejsca, aby patrzeć na egzekucję.

Nikt się nie odezwał, kiedy wysłani przez Cortésa biali ludzie siłą otworzyli drzwi do zbrojowni, skąd wyciągnęli drewniane stojaki na pancerze, włócznie i miecze, następnie porąbali je i ułożyli w wielki stos, pośrodku którego ustawili wkopany w ziemię słupek.

Tak samo nie było okrzyków, gwizdów ani złorzeczeń, kiedy z pałacu Axayacatla wyprowadzono związanych, ubranych w same przepaski biodrowe Qualpopokę i jego syna, niespełna piętnastoletniego Tlacetlela.

Młodzian szedł ze zwieszoną głową, łykając łzy i rozglądając się z przerażeniem.

Gubernator natomiast kroczył z dumnie wzniesionym czołem, patrząc bez cienia lęku przed siebie, ku przyszykowanemu już miejscu kaźni.

Gdy wprowadzono ich na stos, przywiązano plecami do siebie do słupa, a spomiędzy białych wyłonił się człowiek z płonącą żagwią, młody Tlacetlel zajęczał rozdzierająco, rzucił się w pętach. Ani jemu, ani ojcu nie dano nawet łaski skosztowania przed śmiercią halucynogennych grzybów, więc musieli w pełni świadomi doświadczać koszmarnej ognistej śmierci.

Jednakże Qualpopoka zacisnął tylko usta i wyprostował się jeszcze bardziej, całym sobą pokazując, że niestraszna mu śmierć.

Kiedy zatrzeszczał ogień, a pomarańczowe języki zaczęły wspinać się po suchym drewnie, z piersi Tlacetlela wyrwał się

głośny wrzask przerażenia i bólu. Płomienie strzeliły ku górze i zahuczały, kłęb dymu uderzył w niebo... Lecz nim zasnuł i bez reszty pochłonął ojca i syna, dał się jeszcze słyszeć przenikliwy okrzyk Qualpopoki:

– Nie przeminie chwała Tenochtitlán, bo słońce jest z nami! Śmierć białym najeźdźcom...!

Nikt z przyglądających się kaźni ludzi Cortésa nie zrozumiał tych słów, bo nie przetłumaczyła ich też doña Marina... Jednakże dla wszystkich oczywisty był ich ton i wydźwięk.

I tylko stojący nieco z boku od wszystkich Zahred wzdrygnął się, jak gdyby budząc się z głębokiego zamyślenia.

Jednak najwyższy Montezuma nie zauważył tego, patrząc na płonący stos, przez którego szalejący żar widać było dwie ciemne, zgięte wpół sylwetki.

Teraz ogień dawno już zgasł, został tylko żar, rozgarniany na boki przez pomagierów... I widoczne w nim osmalone kości.

Ludzie nadal milczeli.

Od czasu do czasu zapłakało tylko dziecko albo gdzieś daleko odezwał się przeciągłym wołaniem ptak. Milczało też ciemne niebo, zasnuwane jednolitą szarą opończą ciężkich chmur.

Montezuma odetchnął ciężko, spojrzął znów na Cortésa.

– Jeśli Montezuma odejdzie teraz, to jego wodzowie nigdy nie puszcza Cortésowi płazem tego, co mu uczynił – odparł. – Dlatego właśnie Montezuma pozostanie przy Cortésie.

Caudillo zmrużył oczy, postąpił krok ku królowi.

– Grozisz mi? – zapytał.

– Montezuma nie grozi, lecz przestrzega. Pozostanie przy Cortésie nie z własnej woli, lecz z własnego wyboru. Dla dobra tych, którzy nadal są, i tak długo, jak nie odejdą, pozostaną jego gośćmi.

Caudillo prychnął, potrząsnął głową.

– Jak sobie chcesz, królu. Zbierajmy się, bo lada chwila będzie padać... Nie wiem, jak wy, ale ja zgłodniałem.

– Nic nie zaostrza apetytu tak jak publiczna egzekucja! – zarechotał de Sandoval.

Kastylijczycy zaczęli ruszać grupami ku pałacowi albo chować się w przejścia tarasów, z których oglądali widowisko.

Cholultekowie i część oddziałów z Tlaxcali zostali na placu jeszcze trochę dłużej, wyraźnie delektując się chwilą: oto okazało się, że wódz ich wodzów, biały zdobywca Cortés upokorzył samego Montezumę! Jeśli tak śmiało poczynił sobie z jego gubernatorami, to najwyraźniej faktycznie zarówno jego, jak i ich pozycja tu, w Tenochtitlán, była więcej niż pewna!

Potem jednak i oni znudzili się pustymi przechwałkami i wrócili do swoich kwater, przegonieni dodatkowo przez pierwsze krople zaczynającego padać deszczu.

Ludzie rozchodzili się w takim samym ponurym milczeniu, w jakim obserwowali kaźń.

Wkrótce plac opustoszał niemal zupełnie.

Na jego środku została tylko czarna, dymiąca i parująca plama rozgarniętych popiołów, na które leciały teraz ciężkie krople wody z ołowianego nieba.

Powoli, niczym zdążające ku padlinie kruki, na placu zaczęli pojawiać się ubrani w czerń kapłani. Najpierw jeden wychynął spomiędzy domów, podszedł kawałek ku pogorzeli i zawrócił... Potem z zaułka wyłonił się drugi. Stał na widoku, jak gdyby dając pozostałym sygnał, że jest bezpiecznie, że nic im nie przeszkodzi.

Ci z ludzi, którzy z takich czy innych powodów zamarudzili aż tak długo, teraz zbierali się do domów albo ruszali ku własnym sprawom. Ich domeną było życie; to, co następowało po jego zakończeniu, zostawiali znającym drogi zaświatów.

Czarne, zakapturzone postacie zaczęły powoli, po zwężającej się spirali brnąć przez pogorzelnisko, wybierając z niego wciąż dymiące, zwęglone kawałki kości. Od czasu do czasu podchodzili ku najstarszej kapłance, wrzucając na podolek jej szaty uzbierane fragmenty tego, co jeszcze niedawno było ojcem i synem.

Jednak w pewnej chwili ktoś jeszcze ruszył ku nim przez otwartą przestrzeń placu.

Jedyny człowiek, który został tak długo po egzekucji... Podobnie jak i oni ubrany na czarno, lecz w zupełnie inny strój o odmiennym kroju. Zdecydowanie roślejszy, ze wsuniętą za pas siekierą i psem truchtającym u jego boku.

Kapłani przerwali swój trud, patrząc na zbliżającego się obcego. Nikt nie powinien zakłócać ich obrządku, przerywać spiralnego tańca śmierci – lecz czuwanie nad spokojem ceremonii było przywilejem i obowiązkiem starej kapłanki.

Zahred podszedł ku kobiecie, przyklęknął i ucałował dłoń, którą chwilę wcześniej dotknął ziemi.

– Matko – odezwał się do niej w języku *nahuatl*.

Widział ją już wcześniej, zaś ona widziała jego. Tam, wysoko, na samym szczycie Wielkiej Piramidy... To ona chowała się w ciemności za kapłanami, kiedy on stanął na progu przybytku.

– Czego chce ten, który przybył? – zaskrzeczała starucha. – Co sprowadza go tam, gdzie zaczyna się domena Tej, Która Strzeże Przejścia Dalej, bogini Mictēcacihuātl?

– Nie chcę niczego, matko. Nie czekam na nic. Nic mnie nie sprowadza.

Kobieta wyciągnęła dłoń, przesunęła palcami po jego twarzy.

Zasnute bielmem oczy spojrzały wprost na niego, kiedy dotykała jego czoła, łuków brwiowych, wodziła palcami po

uszech, jak gdyby próbując poznać jego wygląd, którego nie mogła zobaczyć.

W końcu odstąpiła od Zahreda, pokazała za siebie ręką.

– Jeśli pragniesz niczego, to nic czeka na ciebie.

Podniósł się z klęczek, obejrzał jeszcze na psa:

– Waruj – rzucił krótko.

Po czym naciągnął na głowę połę czarnego płaszcza i ruszył, aby dołączyć do kapłanów.



– Oto ten, który żył, żyje nadal! Niech przyjmą go przodkowie, niech bogowie będą mu łaskawi!

– Oto ci, co byli razem od zawsze, są razem na zawsze!

– Oto jest kres i początek, początek i kres!

Dwa słoje z prochami – jeden dla ojca, jeden dla syna – spoczęły w dwóch jamach wykopanych na samym środku głównego pomieszczenia rezydencji pośród pysznej zieleni ogrodów Tlatelolco.

Kapłani gołymi rękami zaczęli zsuwać na nie ziemię i kamienie, szepcząc cały czas modlitwy i co rusz wrzucając pomiędzy świeże grudki ziemi czerwone paciorki przemieszane z nasionami kakaowca.

W końcu do ceremonii dopuszczono członków rodziny zmarłych: dwie żony gubernatora Qualpopoki, jego sędziwą matkę i pozostałe dzieci. Każdy wrzucił do jamy grzebalnej po garści ziemi wraz z płatkami kwiatów i okruchami jedzenia.

Potem kamieniarze ubili grunt, ułożyli z powrotem płyty posadzki.

Służba uprzątnęła resztki gruzu, zamiotła brud.

Dom wyglądał tak, jak gdyby nie stało się nic.

I tylko stojący w kręgu ludzie o ściągniętych smutkiem twarzach, wpatrzeni ponuro w podłogę, pod którą spoczął ich mąż i ojciec, a obok niego syn i brat, całymi sobą mówili: nic już nie będzie takie samo.

– Dokonało się – zaskrzeczała przewodząca ceremonii stara kobieta. – Niech życie toczy się dalej.

Ubrani na czarno kapłani i kapłanki zaczęli pojedynczo, bez słowa opuszczać domostwo rodziny gubernatora.

Wraz z nimi ruszył ku wyjściu obcy o wymalowanych rękach – ten, który przybył wraz z białym wodzem Cortésem, a teraz był tutaj, sprawując obrządek pogrzebowy... Nie wiadomo, jaka była jego rola i co robił wraz z kapłanami, jednak podczas ceremonii nikt się nie odzywał, nie zadawał pytań: śmierć była czasem milczenia.

Zahred miał już przestąpić próg i wyjść na siąpiący deszcz, ale zawahał się w progu i cofnął.

Podszedł do najdostatniej ubranej, najlepiej ze wszystkich zachowującej spokój kobiety – bez wątpienia pani tego domu, niegdyś żony, a teraz wdowy.

– Xahuatl... Niech ona mu wybaczy, Xahuatl nie umie rozmawiać z możnymi. – Położył dłoń na sercu gestem szacunku i przeprosin. – Nie umie też pytać o imiona.

Kobieta spojrzała na niego zaskoczona, ale po chwili zdobyła się na smutny uśmiech.

– Olcayotli nie czuje się urażona jego słowami. Xahuatl jest kapłanem wśród ludzi białego wodza?

– Xahuatl był też kapłanem... Ale nie jest człowiekiem białego wodza, mimo że przybył wraz z nim. Xahuatl chce zapytać o coś. Coś, co może zabołec.

– Dziś wydarto serce Olcayotli, odebrano jej radość życia. Nic nie zaboli bardziej niż to, że Qualpopoka ucztuje już

z bogami... A wraz z nim jest tam też jej piękny kwiat, młody Tlacetlel. Niech więc Xahuatl pyta.

– Zanim Qualpopoka... – Zahred zająknął się, szukając słów.

– Ostatnimi słowami męznego Qualpopoki było „nie przeminie chwała Tenochtitlán, bo słońce jest z nami”. Xahuatl chciał zapytać o te słowa.

– „Słońce jest z nami”. – Olcayotli uśmiechnęła się. – Tak zawsze mówił, gdy smutek spowijał jego serce: słońce jest z nami.

– Ale... Czy to cytat? Czy to jakieś ważne słowa? Zawołanie, fragment mitu?

Kobieta potrząsnęła głową, w jej oczach zalśniły łzy.

– Nie. To tylko słowa mojego męża... Który był, a już go nie ma. Bo słońce zgasło, słońce nie jest z nami...

Zahred zacisnął zęby, skinął jej głową i ruszył ku wyjściu.

Po raz drugi zatrzymał się jednak w drzwiach, obejrzał się przez ramię.

– Słońce zawsze jest z nami – warknął w języku, którego kobieta nie mogła znać.

A potem wyszedł w ulewny deszcz.



Woda lała się z ołowianego nieba.

Strugi ściekały po dachach i ciurkały rurami z kamionki, wlewając się do przygotowanych stągwi i napełniając podziemne cysterny.

Ulicami płynęły niewielkie strumyki, które łączyły się w potoki, spływające potem przygotowanymi rynsztokami do sieci przecinających ogromną metropolię kanałów.



Świat zapadał się, dosłownie tonął i rozpływał się w jednostajnym, kojącym zmysły szumie – Zahred zaś maszerował przez spowite szarą mgłą wilgoci Tenochtitlán, czując, jak w głowie buzuje mu pożar myśli.

Drepczący obok niego Kefren nie odczuwał podobnych rozterek ducha, całym swoim psim jestestwem radując się lecącą z nieba wodą. Podbiegał co rusz naprzód, skakał po kałużach i otrząsał się, rozchlapując wokół długie bryzgi – tylko po to, żeby za chwilę znów wlecieć w kolejne bajoro i położyć się w nim z radośnie wywieszonym jęzorem.

Jednak jego pan nie zważał na te psie zaproszenia do zabawy, prąc wprost przed siebie.

Od czasu do czasu przystawał, a wtedy Kefren podsuwał się bliżej, radośnie merdając ogonem. Jednak człowiek tylko zakrywał twarz dłońmi, wydając z siebie przeciągłe, żalosne jęki. Wtedy pies trącał go nosem, wciskał łeb pod opuszczoną dłoń i lizał go po odsłoniętych fragmentach nóg, próbując na miarę swoich możliwości pocieszyć, uspokoić, pokazać, że jest tu, gotów do pomocy, zawsze bliski, oddany, wierny, ciepły i ufny.

Raz jego pan zatrzymał się gwałtownie, oparł się o zimną, mokrą ścianę. Kefren myślał, że to jakaś zabawa, zamerdął ogonem... Ale kiedy człowiek z całej siły gwałtownie uderzył w mur ręką, on wystraszył się: coś złego się działo! Zaczął szczekać i ujadać, skakać przy tym fragmente ściany, który najwyraźniej zrobił coś złego jego panu, skoro ten bił go z taką zawziętością.

A potem, kiedy znów szli obok siebie ulicą, lizał szorstkim, różowym językiem ściekającą po palcach tamtego krew z rozbitych kostek. To nic, dawał do zrozumienia całym sobą, zerkając spode łba na człowieka. Zagoi się, zobaczysz. Ja będę cię pilnował.

I może dlatego nieco zbyt późno wyczuł innych ludzi, stojących w zaułku.



Kiedy Kefren zawarczał ostrzegawczo, obnażając kły, Zahred od razu stanął w miejscu.

Dostrzegł tamtych może razem z psem, może chwilę później... Na szczęście jeszcze na tyle wcześnie i z daleka, aby żaden z nich nie był w odległości odpowiedniej do natarcia.

– Zostań... – Dał psu znak ręką, jednocześnie dobywając tkwiącej za pasem siekiery.

Nie wyciągnęli broni, ale był pewien, że ją mają.

Przestronne szare opończe, twarze pozbawione wyrazu. Ręce wiszące luźno wzdłuż ciała, minimalnie ugięte kolana. Jak zwierzęta, w każdej chwili mogące rzucić się do ataku albo też ucieczki.

Gotowe na wszystko.

Stali naprzeciwko siebie w strugach wody, pośród pustej ulicy – on i ludzie, których zamiarów nie znał.

Chowający się do tej pory w zaułku czwarty mężczyzna wyszedł ku niemu spod słomianego daszku, gdzie krył się przed deszczem.

Zahred zmierzył go wzrokiem, skinął zdawkowo głową.

– Ty jesteś Itzli, władca Domu Szeptów. Ten, który donosi do uszu Montezumy słowa, które nie były dla niego przeznaczone – powiedział krótko.

Itzli – bo był to właśnie on – zdołał powstrzymać grymas, który już niemal wypełzł na jego twarz.

Jeszcze poprzedniego dnia, kiedy na poły podekscytowany i przerażony Miyahutzi zdawał mu swój raport ze spotkania przed pałacem Axayacatla, Itzlemu zaświtała w głowie myśl, że biały o wymalowanych rękach może być o wiele bardziej niebezpieczny, niż na to wyglądał. Skąd wiedział, jakim cudem udało mu się rozpoznać jednego z ludzi Itzlego?

A teraz okazało się jeszcze, że doskonale zna nie tylko imię Itzlego, ale też jego funkcję i faktyczne zajęcie!

Następną myślą, jaka mignęła Itzlemu w głowie, było chwilowe zwątpienie: a może powinien był kazać zlikwidować tego dziwnego przybysza, zamiast próbować się z nim spotykać?

Jednak potem przywołał sam siebie do porządku.

Po pierwsze sam najwyższy Montezuma zdawał się poświęcać temu człowiekowi szczególną, jakkolwiek niezrozumiałą dla Itzlego uwagę, bo pytał o niego kilkakrotnie już wcześniej.

Po drugie zaś Itzli doskonale pamiętał opowieści Totonaków, Otomi i Tlaxcalteków, którzy widzieli ubranego na czarno przybysza w boju. Otwarta konfrontacja byłaby co najmniej nierozsądna.

Poza tym szczerą i otwartą rozmową nigdy jeszcze nie przeszkodziła Itzlemu w późniejszym podjęciu jakiejkolwiek decyzji, którą uznał za zasadną.

– Xahuatl chciał się ze mną widzieć – odezwał się bardzo niezadowolony, że odebrano mu przywilej przedstawienia się i obserwowania reakcji rozmówcy.

Kiedy biały o wymalowanych rękach nie zareagował w żaden sposób, Itzli po prostu pokazał ręką kierunek.

Tamten ruszył bez słowa, cmoknął tylko na psa, który warknął raz jeszcze na stojących pod ścianą i ustawił się obok nogi swego pana.

Idąc obok Xahuatla, Itzli już teraz myślał, że to będzie nie tylko ważna, ale zdecydowanie wymagająca rozmowa.



Dom, do którego zaprowadził Zahreda jego przewodnik, wyróżniał się spośród wszystkich innych dokładnie niczym. Schowany gdzieś głęboko w plątaninie uliczek Tenochtitlán, zasłonięty od widoku pałaców i świątyń, nie był jakoś szczególnie odpychający – ale też niezbyt zachęcał do wejścia. Przypadkowy przechodzień zapewne minąłby go, nawet nie rejestrując faktu jego istnienia.

Eskortujący ich całą drogę trzej ludzie zostali na zewnątrz, przycupnąwszy w jednej z komórek na podwórku. Oni zaś zrzucili mokre płaszcze i zasiedli na matach rozłożonych przy wygasłym palenisku.

Zahred odgarnął pozlepiane strąki włosów do tyłu, patrząc wyczekująco na władcę Domu Szeptów.

Ten człowiek jest... dziwny, pomyślał Itzli.

Na pierwszy rzut oka niepozorny, jakkolwiek inny od reszty białych. Czasami niezauważalny w tłumie, ale gdy zostać z nim sam na sam...

Dawno, dawno temu Itzli zabłądził w górach i szukając schronienia przed burzą, wczołgał się do jaskini. Niestety, jaskinia była zamieszкана – a teraz Itzli zaczynał czuć się teraz dokładnie tak jak wtedy.

– O czym więc Xahuatl chciał rozmawiać z Itzlim? – odezwał się, czując, że jeśli nie przejmie inicjatywy teraz, to może utracić ją bezpowrotnie.

– Cortés i jego ludzie muszą jak najszybciej opuścić Tenochtitlán – powiedział człowiek z wymalowanymi rękami.

Itzli pozwolił sobie na uniesienie brwi.

– Czy Xahuatl zamierza odejść wraz z nimi? – zapytał, aby zyskać na czasie.

– Aby upewnić się, że na pewno wrócą tam, skąd przybyli? Owszem. Albo żeby sprawić, by odeszli w miejsce, skąd na pewno już nie wrócą.

– Rzeczywiście, zawsze mogą ponownie przepłynąć Wielką Wodę. – Itzli sprytnie udał niezrozumienie.

– Rzekę omywającą brzegi krainy zmarłych przepływa się tylko raz.

Władca Domu Szeptów uśmiechnął się zdawkowo. No cóż, skoro jego rozmówca chciał mówić otwarcie, to niech i tak będzie.

– Xahuatl mówi o... zdradzie? – upewnił się.

– Nie. Nie zdradza się swoich ludzi. Swoich ludzi się broni.

– Cortés jest wodzem Xahuatla...

– Xahuatl nie ma nad sobą ani wodza, ani bogów.

– Xahuatl bluźni.

– Itzli zaś próbuje mówić o rzeczach, o których nie ma pojęcia, i lepiej, żeby nadal o nich nie wiedział. Powtarzam: ci, którzy uważają się za ludzi Cortésa, muszą opuścić Tenochtitlán, póki nie jest jeszcze za późno.

– „Za późno”... – Itzli mlasnął z niesmakiem. – Władca Itzlego, najwyższy Montezuma, jest w tej chwili jeńcem białych. Zaprowadził go w tę niewolę nikt inny jak sam Xahuatl...

– Xahuatl najpewniej uratował Montezumie życie. Teraz chce uratować życie Itzlego, mieszkańców Tenochtitlán i wszystkich innych.

Władca Domu Szeptów zmrużył oczy, wpatrując się uważnie w człowieka siedzącego po drugiej stronie martwego

paleniska.

– Xahuatl mówi tak, jakby wiedział rzeczy, które pozostają skryte nawet przed Itzlim. Czy biały wódz Cortés planuje coś, o czym powinien wiedzieć Itzli? Czy źle życzy najwyższemu Montezumie? Czy pragnie zabrać dla siebie władztwo nad imperium Mexików? – zasypał tamtego pytaniami.

Zahred jednak pokręcił tylko głową.

– Cortés nie życzy źle nikomu.

– Dziwne słowa. Niech Xahuatl wyjaśni.

– Cortés nikomu nie życzy źle, bo o nikim nie myśli. O nikim innym poza samym sobą. Nie planuje niczego, z wyjątkiem tego, co daje mu w danej chwili największą korzyść. Nie pragnie władztwa, tylko... – Zahred zawiesił na chwilę głos i przewrócił oczami, szukając odpowiednich słów w języku *nahuatl*. – Cortés pragnie tego, co sprawi, że stanie się kimś więcej, niż sam uważa, że jest.

– Człowiek nie może stać się nikim więcej niż sobą.

– Jednak Cortés tego nie rozumie i nie cofnie się przed niczym, aby dojść do tego urojonego celu. Czy Itzli był w Choluli? Widział, co tam się stało?

– Itzli widział Cholulę, tak. Jednak biały wódz Cortés nie wymordował i nie spalił miasta sam. Pomagali mu w tym inni... Pomagał mu w tym Xahuatl.

Zahred westchnął, zupełnie niezobowiązującym gestem położył dłoń na żeleźcu siekiery. Spojrzał Itzlemu prosto w oczy.

– Xahuatl jest gotów zostać sojusznikiem Itzlego – powiedział powoli, dobitnie. – Albo może zabić go tu i teraz. To jest wybór, jaki ma Itzli. Wypominanie tego, czego Xahuatl nie jest władny już zmienić, bo się dokonało, nie jest częścią tego wyboru. Co wybiera Itzli?

– Itzli widzi, że Xahuatl też jest człowiekiem kultury. – Władca Domu Szeptów przyłożył dłoń do serca i skłonił głowę.

Uczył tak częściowo na znak szacunku, a po części po to, aby ukryć mimowolny grymas niepokoju. Naprawdę, ale to naprawdę dziwnie było przebywać z tym człowiekiem sam na sam. – Itzli ceni ludzi, którzy nie próbują niepotrzebnie używać miecza w rozmowie ani słów podczas walki. Itzli wybiera przyjaźń Xahuatla.

– Dobrze. Jeśli jednak Itzli zawiedzie zaufanie Xahuatla... – Oczy człowieka o wymalowanych rękach pozostały tak samo szare, obojętne i puste jak zawsze. – To Xahuatl znajdzie Itzlego i zabije go. Szybko i bezboleśnie, bez niepotrzebnego strachu, ale skutecznie.

– Xahuatl grozi sojusznikowi? – zdziwił się Itzli.

– Xahuatl ostrzega sojusznika. Gdyby Itzli nim nie był, nie dowiedziałby się o tym, co może się stać.

– Wiedza to potęga – zgodził się Itzli.

– Wiedza to narzędzie. Potęgą jest umiejętność używania wiedzy wtedy i w taki sposób, który pomaga osiągnąć zamierzony efekt.

– Zatem co proponuje Xahuatl?

– Najpierw warunki, potem propozycje.

– Zatem...?

– Cokolwiek się stanie, wojownicy z Tlaxcali i ludu Otomi nie zostaną skrzywdzeni. Podobnie jak żołnierze z chorągwi Xahuatla.

– Xahuatl mówi, jakby już planował walną bitwę! – zaśmiał się Itzli, ale zaraz spoważniał, widząc, że jego rozmówcy nie jest do śmiechu.

– Xahuatl mówi otwarcie, z głębi serca – warknął Zahred.

– Dobrze. Czemu zatem Meksykowicze mają oszczędzać tych, którzy są teraz ich – Itzli poruszył ręką w powietrzu – gośćmi wbrew woli gospodarzy?

– Ponieważ jeśli nadejdzie czas miecza, to oni staną za Xahuatlem.

– Co zatem z ich wodzami?

– Nikomu nie może stać się krzywda. Xicotencatl jest dla Xahuatla jak brat, łączy ich więź krwi.

– Dobrze, na takie warunki Itzli może przystać. Czego Xahuatl chce w zamian?

– Niczego.

Władca Domu Szeptów uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Każdy czegoś chce.

– A jednak ja nie chcę niczego, co Itzli może mi dać. Cokolwiek jest mi potrzebne, mogę wziąć sobie sam. Nic, co mogę wziąć sam, nie daje mi już szczęścia.

– Zatem... co takiego da Xahuatlowi przejście na stronę Itzlego?

Zahred westchnął ciężko, potrząsnął głową.

– Xahuatl nie przechodzi na niczyją stronę. Nie ma stron. Mam dość... dość wybierania stron, rozumiesz? – Rozłożył ręce.

– Tego, że zysk jednego zawsze musi być stratą drugiego! Tego, że w kółko, bez końca powtarzacie wokół mnie ten sam zapętłony scenariusz, niszcząc się nawzajem... A potem po prostu odchodzicie w nicość, zostawiając po sobie tylko pustkę i smutek! Tego, że każdy z was tak bardzo pożąda tego, czego nie może zabrać ze sobą nigdzie dalej...!

Uśmiech na twarzy Itzlego nie zmienił się ani na jotę. Władca Domu Szeptów zatrzepotał powiekami, nachylił się ku rozmówcy.

– Itzli nie zrozumiał większej części tego, co Xahuatl powiedział w swoim języku – szepnął. – Wydaje mu się jednak, że zrozumiał intencję.

– To nie był nawet mój język, tylko... To nie był język Xahuatla – poprawił się Zahred. – Xahuatl nie przechodzi na



stronę Itzlego ani Montezumy.

– Więc na czyją...?

– Na stronę tego, co uważa za słuszne.

– Jeśli więc Itzli miałyby zrobić coś, co Xahuatl w swoim sercu uzna za niesłuszne, to...

– Tak.

– Hm, hmm... Itzli widział, że Xahuatl przestaje z kapłanami, ale nie miał pojęcia, że stał się jednym z nich. Pyta więc ponownie: co Xahuatl proponuje?

– Xahuatl skłoni białego wodza i jego żołnierzy, żeby ci jak najszybciej opuścili Tenochtitlán. Itzli zaś nie będzie im w tym przeszkadzać. Xahuatl zagwarantuje Itzlemu, że Montezumie nie stanie się krzywda. Czy Itzli ma kontakt z Montezumą?

– Może go mieć – odparł wymijająco władca Domu Szeptów. Widząc jednak wzrok Zahreda, poprawił się od razu: – Itzli wystrzega się nazbyt wielu oczu i uszu w ścianach pałacu Axayacatla. Najwyższy Montezuma wie, że wierny sługa Itzli czuwa nawet wtedy, gdy nie widać czynów jego rąk.

– Zatem Itzli nie wiedział o tym, że Montezuma wcześniej otrzymał wieści o zatargu z Qualpopoką.

– Nie. – Itzli potrząsnął głową. – Itzli nie czyta pism przeznaczonych dla najwyższego Montezumy...

– Może zatem powinien się nad tym poważnie zastanowić albo chociaż mieć na wybrzeżu więcej szpiegów, niż już ma. Och, nie udawajmy, że jest inaczej. – Zahred przewrócił oczami.

– Zarówno Xahuatl, jak i Itzli wiedzą doskonale, jak to działa.

– Jak zatem Xahuatl skłoni białego wodza do odejścia?

– Cortés musi być przekonany, że doszedł do tego pomysłu sam. Tak długo jednak, jak u jego boku przebywa ta, którą zwą Wysoką Piękną Trawą...

Itzli pokiwał głową, w lot łapiąc niedopowiedzianą myśl.

– Nieszczęśliwy wypadek? – zapytał niezobowiązująco.

– To zdaniem Xahuatla przesada, bo...

– Przyczyny naturalne zatem. Na zboczach Azcapotzalco rośnie wiele grzybów do złudzenia przypominających jadalne, które jednakże...

– Mówię, że to przesada! Cortés gotów jest zacząć mścić się za jej śmierć, słusznie przypuszczając, że nie była dziełem przypadku. Nie, tu potrzeba czegoś, co wyjdzie od niego samego.

– Innej kobiety. – Itzli uśmiechnął się samymi ustami.

– Albo wręcz „kobiet” w liczbie mnogiej, gwoli pewności, owszem. Im wyżej postawionych i trudniejszych do zdobycia dla innych, tym lepiej. Czy oprócz przedstawionej już Cortésowi córki najwyższy Montezuma posiada może siostrę? Albo kogoś równie bliskiego i cennego?

– Xahuatl żąda wiele...

– Xahuatl nie żąda niczego, a tylko pokazuje Itzlemu, jak można jeszcze uratować to, co Montezuma niemalże zaprzepaścił! – Zahred z pasją uderzył się dłonią o udo, tak że drzemiący obok niego Kefren ocknął się i uniósł łeb. – Odsuńcie od niego Malintzin, powtarza Xahuatl. Niech ta druga albo i trzecia czy czwarta nawet z nim nie sypia. Byleby tylko była obok, niech stanowi dla niego wyzwanie!

– Nic nie rozdziela kochanków tak jak podejrzania, których nie da się sprawdzić – rzekł Itzli.

– Otóż to. Niech to będzie plotka, domysł, supozycja... – Zahred zająknął się, poprawił: – Tymczasowe założenie czegoś, czego się nie wie. I jeśli Itzli chce wiedzieć, jak zmusić Cortésa do odejścia...

– Tak?

– Niech po prostu da mu to, czego tamten chce – warknął Zahred, a jego oczy błysnęły złowrogo. – Niech pozwoli mu na wszystko, czegokolwiek zapagnie. Niech Cortés nasyci się

swoim sukcesem, nazre tego upragnionego złota! Napełni nim ręce, sakiewkę, usta, niech się nim wręcz zachłyśnie... Aż w końcu się zadławi.

– Złoto. – Itzli pokręcił głową z niezrozumieniem. – Co takiego widzą w nim biali ludzie? Jest ładne, owszem, ale o jego pięknie decyduje nie sam kruszec, lecz kunszt rzemieślnika, który tworzy z niego swoje dzieło. Ozdoby z jadeitu albo piór quetzala są przecież o wiele piękniejsze. Wartość nasion kakaowca jest nieporównanie wyższa. Czemu więc Cortés nie pożąda ich, tylko wyłącznie złota?

Zahred wzruszył jedynie ramionami, prychnął:

– Bo jest pospolitym, ograniczonym głupcem.



– Wygrałem!

De Monroy popatrzył ze zdumieniem na leżące przed nim karty.

Raz jeszcze zajrzał w swoje, wciąż zapobiegliwie trzymane na rękę tak blisko piersi.

Przeniósł niedowierzające spojrzenie na siedzącego naprzeciwko, wyszczerzonego tryumfującym uśmiechem Valverdego.

– No nie wierzę... – mruknął, rzucając na blat swoją niedoszłą wygraną talię. – Po prostu w to nie wierzę. Przecież to nie może być.

Valverde przechylił się przez stół, zgarnął leżące na nim monety i z namaszczeniem przesypał do sakiewki.

– A może, bo jest. Tak to bywa, dobry panie, że fortuna kołem się toczy – zatrajkotał radośnie, sięgając po dzban

z winem.

– No moja to raczej plackiem leży, a reszta jej wozu osiami do góry w rowie! Nie no, grać z wami to głupiego robota...

– To co, jeszcze jedną? Ostatnią?

– Naprawdę ostatnią – zastrzegł po raz kolejny de Monroy, biorąc porządny łyk ze swojego kubka.

Ciężko wsparty na drzewcu piki Enriquez, który już dłuższy czas przyglądał się uprawiającym hazard towarzyszom, cmoknął z niezadowoleniem i pokręcił głową:

– Że też nie szkoda wam czasu, zdrowia i pieniędzy...

– Pieniądzy wszyscy mają pod dostatkiem – odparował od razu Valverde, z wprawą tasując wymalowane na skórze karty.

– Zdrowia od tego nie ubywa, bo chociaż zajęcie jest. No a czas... Co byście zamiast tego proponowali robić, hę?

– Spać.

– Na warcie spać? Odważnie, nie ma co. – De Monroy uśmiechnął się. – Szczególnie jeszcze jak sam caudillo z Montezumą za drzwiami siedzą. Poza tym co innego robić mamy? Oni grają i gadają, to i my gramy i gadamy.

– Fakt, nasz caudillo to ma gadane. Całymi dniami tam u niego potrafi siedzieć – zgodził się Valverde. – Ciekawe, czy znów na temat religii mu będzie głowę suszyć? Bo jak żeśmy ostatnio tam z nimi siedzieli, to mi aż uszy spuchły... No, zobaczmy, co nam los zgotował.

– Jak na kazaniu wielkopostnym go dręczył. – De Monroy skrzywił się, patrząc na rozdane mu karty.

– No to mówię przecież! A to łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, a to znów obietnica odkupienia, a to wyrzeczenie się grzechów... No, ja z wiarą problemu nie mam, powiem wam, panowie, ale co za dużo, to i świnia przecież nie zeżre.

– I znów ostatnio mu o te ich ofiary z ludzi dziurę w brzuchu wiercił. Fakt, robi się człowiekowi nieswojo jakoś, że

oni tych świąt tyle mają, a Montezuma na co drugim ołtarzu osobiście komuś to gardło poderżnie, to serce z piersi wyjmie... Brr! – De Monroy wzdrygnął się. – Barbarzyństwo jakich mało.

– No tak, ale taki już chyba ichni obyczaj. Zresztą popatrzcie tak, panie: czy taki Indianin to rozum swój ma? – zagadnął Valverde, przystępując do rozdawania kart.

– Ograniczony pewnie, ale ma – odpowiedział ostrożnie de Monroy.

– Ale zabić go nie grzech?

– No... nie, bo to przecież nie tacy sami ludzie jak my. – Łzęszlachcic wzruszył ramionami.

– A ból czuje? Jak go dźgnąć, to kwiknie?

– No jako żywo!

– Czyli Indianin jest stworzeniem Bożym, ale nie człowiekiem? Zwierzęciu bliższy będzie? – uśmiechnął się Valverde, zgarniając ze stołu swoje karty.

– Na to by wychodziło, tak! – zgodził się de Monroy.

– Zatem widzicie sami, panie: u nas się na Wielkanoc wieprzka bije, a oni na własne święta swoich zarzynają i zjadają. Kiedyś się ich ucywilizuje, kiedyś się to jakoś ogarnie, a na razie... Na razie to może tak zaczniemy, o! – Valverde wyłożył na stół trzy karty, po czym od razu dobrał kolejne z talii.

– Aha. No pięknie. I jak ja mam wam na to odpowiedzieć, co? Przecież z wami to nie idzie grać!

– Możecie partię poddać od razu, panie... – Valverde uśmiechnął się przebiegle.

Przyglądający się rozgrywce bez szczególnych emocji, bo zupełnie nieumiejący grać w karty Enriquez ziewnął, przeciągnął się.

– No fakt, dręczy nasz caudillo tego Montezumę niemiłosiernie – mruknął. – Ale jak tam stałem ostatnio, to i on

go słuchał nawet z zaciekawieniem. I dopytywał o śmierć na krzyżu i o odkupienie grzechów. Widać, że z całą resztą mu nie po drodze było, ale to go zainteresowało.

– Bo to dzikusy okrutne są, więc i kaźń śmiertelna mu bliska była – rzucił Valverde, próbując ukradkiem zajrzeć w karty de Monroya, który akurat spoglądał na Enriqueza.

– No wiecie co...! – oburzył się ten ostatni. – Jakbym Rodriga słyszał normalnie. Prawda, są od nas inni, ale wybaczcie, panie, do tych małych z Hispanioli im daleko, oj, daleko.

De Monroy znów skupił się na grze, po dłuższym namyśle wyciągnął i położył dwie karty na stole. Mina Valverdego zdecydowanie zrzędła.

– Zgodzić się muszę, że dzikusami bym ich nie nazwał – przyznał łaskawie samozwańczy szlachcic. – Nie są może arystokracją Estremadury i księżętami Granady, to fakt, ale... Panowie, poprawcie mnie: ile my już tutaj siedzimy? Miesiąc? Bo jakoś na początku listopada dotarliśmy...

– Tak będzie, zaraz grudzień już przecież. Boże Narodzenie za pasem.

– No więc właśnie. Miesiąc już mija, a powiedzcie szczerze: źle wam tutaj?

– Wino się kończy... – bąknął Enriquez.

– No dobrze, wino. A poza tym? Macie się na co użalać?

Zastanowili się.

Faktycznie, nie mieli powodów do narzekań. Kwatery, żywność, traktowanie ich przez miejscowych, pogoda... kobiety. Wszystko to było nieporównanie lepsze niż cokolwiek, czego zaznali przez całe życie.

Codziennie dostarczano im żywność, zaś posiłki gotowały i podawały na pięknej roboty ceramice lokalne kobiety

przydzielone do opieki i obsługi „gości wielkiego króla”, jak ich nazywano.

Punktualnie o dziesiątej rano, niczym wedle zegara na wieży kościelnej, podawano im śniadanie z kukurydzianych placków doprawionych miodem albo sproszkowanymi czerwonymi owocami krzewu chili.

Dostawali posłodzony miodem, gęsty, mlecznobrązowy wywar ze zmielonych ziaren *xocolatl*, które pełniły tu rolę gotówki.

Przynoszono im czarno-fioletową fasolę, czerwone soczyste owoce tomatl i gotowane kolby tutejszej wielkiej, złociście żółtej pszenicy *mahiz*. Dostawali pieczone mięso saren, indyków i dzikiego ptactwa... Ba, nauczyli się nawet jeść miejscowe psy!

Psy... I masę innych rzeczy. O ile z początku, te kilka miesięcy temu, żaden z nich nawet tego paskudztwa kijem nie tykał, o tyle teraz, gdy przywykli, nabrali lepszego wyczucia i obycia, okazało się, że te rzeczy są...

...no cóż, nawet smaczne.

Młode salamandry uwędzone w dymie niczym nie ustępowały smakiem tłustym węgorszom z rzek Kastylji.

Sparzona wrzątkiem, odciśnięta i doprawiona miejscowymi przyprawami rzęsa wodna z jeziora była wcale nie gorsza, a nawet – na co przysięgał sam pan de Saucedo! – lepsza niż sezonowany owczy ser z La Manchy.

Szczury w sosie ze słodkich nasion.

Młode traszki w zawieszynie ze zmielonych korzeni.

Gęste jaja wodnych muszek podawane jako pasta do placków z kukurydzy.

Smażone mrówki i świerszcze, które doskonale wręcz pogryzało się przy grze w kości albo jako przekąskę trzymaną w sakiewce na warcie.

Żaby, których mięso było białe i delikatne, niczym drobiowe.

No i pieczone w popiele robaki, które... No cóż, jeśli nie myślało się o tym, co się je, to szybko zabijały głód i były niezmiernie pożywne.

Tak, tutaj było po prostu dobrze.

Co mogłoby im tutaj przeszkadzać?

– Nuda – rzucił Valverde, wykładając w końcu jedną z kart.

– Nudą to wieją wasze zagrywki, panie – odparował mu od razu de Monroy, wyciągając kolejne dwie ze swoich. – Ot, jak mi się ładnie ułożyło... Jeszcze się na was odegram. A co do nudy, to lada dzień mają te statki skończyć.

– I co, wracać będziemy? – zapytał z pewną nadzieją Enriquez, który w skrytości ducha tęsknił za domem i bał się, że nie zdąży pogodzić się z ojcem przed jego śmiercią.

Ojca to jest, nie własną... Chociaż to też, jak o tym pomyśleć.

– E tam, wracać od razu. Ale jak łajby zwodują, to trzeba będzie je posprawdzać, czyli popływać po tym ichnim jeziorze! A nuż coś jeszcze się odkryje nowego? Znajdzie jakieś kolejne cuda na kiju?

Jego towarzysze ożywili się od razu, niczym psy słyszące pobrzękiwanie zdejmowanej z kołka obroży ze smyczą. No tak, bo w sumie to tego im brakło! Przygody, dreszczyku niepewności. Czegoś, co sprawiłoby, że krew żywiej zakrąży w żyłach.

– Na pewno się znajdzie! – przytaknął ochoczo Valverde, wykładając resztę kart na stół. – A tak żeby się na przyszłość szczęściło, to... Oj.

Zamrugnął, patrząc na to, jak de Monroy jedną po drugiej kładzie na blacie swoje pozostałe figury. Szlachcic nie miał na rękę nic poniżej waleta, a od kolorów aż mieniło się w oczach!



– Pływanie pływanem, a fortuna rzeczywiście kołem się toczy! – zarechotał de Monroy, zgarniając ku sobie większą część pieniędzy ze stołu.



– ...lewy szot wybieraj, prawy luzuj! I teraz delikatnie, do wiatru ją... O tak! Nie za ostro ją kładź... I tak trzymaj, trzymaj ster! Cała naprzód!

Płótno żagla wydeło się podmuchem wiatru, zaś drewno aż zatrzeszczało, kiedy brygantyna delikatnie położyła się na jedną burtę, prując dziobem lazururowe wody jeziora.

Zahred stał na dziobie, wystawiając twarz na wiatr, rozwiewający mu włosy i szarpiący poły tkanego z kolorowej bawełny płaszcz.

Znów wolność, znów ruch!

Po kilku tygodniach spędzonych w zamknięciu miasta wyrwanie się na otwartą przestrzeń wody było istnym błogosławieństwem.

Już trzy dni czekali na właściwą pogodę, żeby wreszcie przetestować kołyszące się na płytkiej wodzie u nabrzeża, świeżo zbudowane statki.

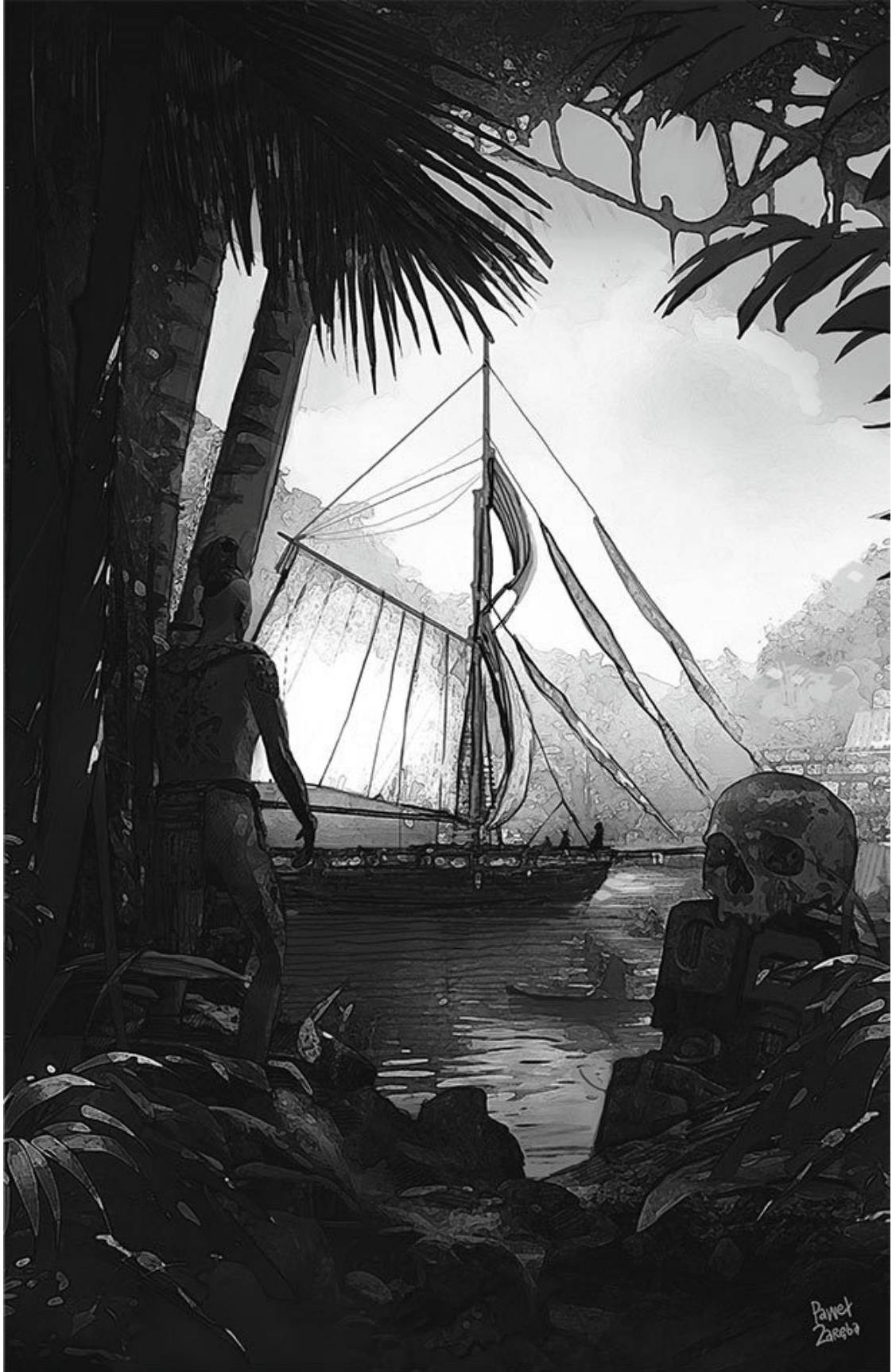
I teraz byli tutaj, na pokładzie, zaś świat przesuwał się wokół nich.

– Dotnij znów do wiatru i łapiemy go od drugiej strony! – krzyknął do sternika, po czym dodał, zwracając się do ich gościa honorowego: – Niech najwyższy król trzyma się mocno i uważa na głowę!

Montezuma, który i tak był już mocno przerażony samym początkiem przejażdżki, chwycił się drewnianego relingu

oburącz. Ludzie zaśmiali się, lecz nie było w ich śmiechach ani drwiny, ani szyderstwa: ot, ktoś był na łodzi pierwszy raz! Czyż ktokolwiek z nich nie reagował ongiś podobnie?

Przecięli linię wiatru, ludzie błyskawicznie przeciągnęli żagle na drugą stronę.



Bom przeleciał ponad tylnym pokładem, szarpnął napinającymi się linami, gdy płótno znów chwyciło wiatr.

Zahred widział, jak patrzą na nich i pokazują sobie palcami ludzie z mijanych łódek i czólenek, które tłumnie wyległy na wody jeziora Texcoco, gdy tylko po Tenochtitlán poniosła się wieść: biali będą pływać na swojej wielkiej łodzi...! Teraz słyszał, jak po wodzie niosą się zdumione okrzyki: pływająca góra! Biali przybysze mają łódź ze skrzydłami...!

Żagiel jednak nagle załopotał i w ciągu krótkiej chwili oklapł smętnie. Tak jak Zahred przypuszczał: niestabilne, niepewne wiatry na jeziorze nie zapewniały wystarczająco godnej zaufania siły napędowej.

– Żagle zrzucić! – krzyknął. – I do wiosła... Podać rytm, płyniemy tym samym kursem!

Cortés podszedł do niego, też stanął na dziobie. Zaraz za nim ustawił się sam Montezuma, zabrany w dziewiczy rejs pierwszej brygantyny, i nieodstępująca caudilla doña Marina.

W tej chwili mieli już kilkoro tłumaczy: poza nią język znał też ojciec Gerónimo de Aguilar, oczywiście Zahred, no i kilku jeszcze ludzi, którzy jako tako opanowali podstawowe zwroty w *nahuatl*.

Natomiast Cortés konsekwentnie mówił, że tylko doña Marinie ufa... Więc gdziekolwiek ruszał się on, szła z nim też ona.

Ludzie szybko zwinęli żagle, wstawili wiosła w dulki i zanim brygantyna wytraciła impet, zaczęli wiosłować równym rytmem.

Zahred z zadowoleniem obserwował, jak kilka czólen Mexików próbuje ścigać się z nimi, ale szybko zaczyna zostawać z tyłu. Tak, to były dobre statki. Jak na tutejsze standardy – wręcz doskonałe. Szybkie, zwrotne, ładowne.

Idealne, żeby w końcu zabrać ich z tego miasta.

– Nie chwaliłeś się swoimi talentami żeglarskimi, przyjacielu – zauważył Cortés niezobowiązująco. – Widzę, że niepotrzebnie braliśmy na wyprawę aż tylu kapitanów okrętów... Spokojnie mogłeś prowadzić jeden z nich.

– To bardziej osłuchanie niż faktyczna praktyka – wywinął mu się gładko Zahred.

– No cóż, pora jej nabrać zatem... Marina, zapytaj Montezumę: dokąd konkretnie płyniemy?

– Montezuma mówi: jego pałac łowiecki jest tam, po lewej stronie.

– Zabierz nas zatem tam, kapitanie Zahred. Poznaliśmy już ten kraj jako tako, pora więc zobaczyć, jak się tutaj poluje... Szczególnie że zaprasza nas mój brat i przyjaciel, sam Montezuma!

– Ćwierć do lewej! – zakrzyknął Zahred na sternika, wskazując na wyłaniającą się spośród zieleni białą bryłę pałacyku na skąpanej w zieleni wyspie pośrodku jeziora.

Zbliżyli się do porośniętego drzewami masywu, podeszli ku zatoczce.

Wytracając prędkość, ostrożnie przybili do wychodzącego w wodę pomostu, zdecydowanie nieprzystosowanego do przyjmowania tak dużych łodzi.

Kadłub przeszorował po deskach i stanął, ludzie wyskoczyli z cumami, rozglądając się, do czego je przywiązać... Przecież tutaj nie pływały aż tak duże jednostki!

Na miejscu czekała już na nich delegacja ubranych w pióra, złoto i kolorowe opończe dostojników, którzy z pełnym ceremoniałem przywitali wysiadającego z brygantyny, lekko chwiejącego się na nogach Montezumę.

– Najwyższy! – Zarządca pałacu padł przed nim na twarz.

Można było w tamtym momencie uwierzyć, że władca Tenochtitlán właśnie przybył ze swymi gośćmi z dalekich stron, aby pochwalić im się swoją domeną. Że to on jest tu tym, który dzieli i rządzi; że jego autorytet, władza i pozycja pozostają niekwestionowane.

Jednak tak nie było.

Gdy ruszyli dalej, ku lądowi, Montezuma szedł w najlepszym razie obok Cortésa.

Zazwyczaj trzymał się pół kroku za nim.

Przepuszczał caudilla przodem.

Pozwalał, aby biały brodaty wódz w swoim czerwonym kapeluszu wysuwał się przed niego, gdy urzędnicy i zarządcy pałacu kłaniali się w pas i padali na twarze, podejmując wizytujący orszak w kolejnych częściach posiadłości.

Ogrody, baseny, pawilony.

Wejście przez bramę.

Korytarze, pokoje.

W końcu sala bankietowa.

Zahred widział to wszystko. Rejestrował. Notował skrętnie w pamięci imiona, dziwacznie brzmiące tytuły i pozornie nic nieznaczące opisy funkcji. Wychwytywał strzępki informacji. Coraz bardziej bowiem czuł, że...

– Na Boga, śpisz na jawie, przyjacielu? Powinieneś wyspać się którejś nocy w końcu, zamiast korzystać z uroków tutejszych kobiet!

Gwar i szum zmieszanych głosów nadpłynęły nagle, uderzyły go ścianą dźwięków, których jeszcze przed chwilą nie było.

No tak, byli przecież na uczcie, wydanej rzekomo przez Montezumę na cześć jego gości w pałacu Nezahualpillego.

Całą podłogę największej sali zaścielały teraz kolorowe maty, pod ścianami czekała służba, trzymająca szczerozłote

półmiski i dzbany bez uch. Urzędnicy i dworacy siedzieli w wielkim kręgu, otaczając samego wielkiego króla, jego gości, najbliższych przybocznych...

...no i była tam też absolutnie przepiękna, dystyngowana Azcalxocitle, pełniąca rolę gospodyni siostrzenica samego Montezumy, zasiadająca teraz pomiędzy swoim wujem a Cortésem.

Odkąd przybyli, widać było, że kobieta poświęcała caudillovi szczególną uwagę.

Przywitała go kilkoma wyuczonymi na pamięć, ale powiedzianymi z niezaprzeczalną gracją słowami po hiszpańsku.

Szła tuż obok Hernána, delikatnie muskając go koniuszkami palców, gdy chciała zwrócić jego uwagę na jakiś detal architektury albo pokazać szczególnie ładny widok na jezioro.

I przede wszystkim doskonale widać było, jak w sposób zupełnie naturalny i całkowicie swobodny odsuwa na drugi plan wszystkie inne kobiety – w tym także doñę Marinę, zmuszoną pełnić rolę tłumaczki dla radosnego szczebiotu swego pana z obcą damą.

Tak, to wszystko wróciło do Zahreda w jednej chwili.

Odruchowo przywołał na twarz uśmiech, spojrział na siedzącego trzy miejsca od niego caudilla.

– Nadmiar świeżego powietrza potrafi oszołomić – powiedział, jak gdyby próbując się usprawiedliwić. – Odwykłem chyba od ruchu, ale dobrze się wyrwać z tej złoconej klatki miasta... Jednak nie tylko powietrze robi tutaj wrażenie.

Cortés zaśmiał się, znów nachylił się do Azcalxocitle, żeby podzielić się z nią jakąś myślą.

Pomiędzy jego ustami a jej uchem, przyozdobionym pięknej roboty złotym kolczykiem, doskonale widać było coraz

bardziej niezadowoloną twarz doñi Mariny.



Gliniana kulka wyrzucona z dmuchawki ze świstem pomknęła przez powietrze.

Jeszcze chwilę temu siedzący na gałęzi bajecznie kolorowy ptak ćwierknął po raz ostatni, a potem dosłownie zniknął ze swojego miejsca i poleciał w dół niczym rażony gromem, zostawiając po sobie tylko niewielką chmurkę równie bajecznie kolorowych piór.

– Ależ on ma cela! – zakrzyknął radośnie caudillo, uderzając w dłonie i patrząc z nieskrywanym podziwem na Montezumę, odsuwającego od ust długą rurkę używanej na polowaniu broni. – Panowie, musimy i my się tego nauczyć... Marina, no gdzie ty jesteś?! Powiedz mu, żeby wytłumaczył mi, jak się to robi. Też chcę spróbować!

Polowanie trwało już trzeci dzień.

Stojąc na lekkich, plecionych z trzciny łodziach, łowili zarzucanymi w wodę sieciami piękne, błyszczące ryby.

Ciskali dociążonymi zakrzywionymi maczugami w zrywające się z zarośli czaple.

Strzelali z łuków do brodzących po mokradłach tutejszych żurawi.

Chwyтали w zastawiane w lasach sidła lisy i króliki.

Uczyli się miotać oszczepami w sarny, zaganiane w ślepe jary przez rozstawionych tyralierą pomocników.

W dzień polowali na zwierzynę, zaś wieczorami i nocą... no cóż, również na zwierzynę, lecz zgoła inną. O wiele bardziej nieuchwytną, wielokroć szlachetniejszą.



Taką, której nie wystarczyło jedynie osaczyć i przebóść celnym pchnięciem, lecz o którą należało zabiegać, starać się.

Przyjmować polowanie na częściowo przez nią narzuconych warunkach.

Widać było, jak bardzo ta druga część łowów była nie w smak doñi Marinie, która teraz snuła się za caudillem krok w krok niczym gradowa chmura.

Co więcej, dawało się poznać, że i sam Cortés zaczynał irytować się z racji tego, że gdziekolwiek był, gdziekolwiek się udał, jego nieodłączna tłumaczka była tam wraz z nim... podczas gdy jego ludzie, zarówno kapitanowie, jak i szeregowi żołnierze, bez cienia skrępowania dzielili się przy porannym posiłku szczegółami nocnych podbojów.

Ku zaskoczeniu wszystkich nawet kapitan Zahred, przeważnie wycofany i oszczędny w słowach, wyraźnie zaczynał się rozkręcać. Hojnie obdzielał współbiesiadników resztkami wciąż pozostającego w zapasach wina, a i sam nie wylewał za kołnierz. Śmiał się, żartował, rzucał dykteryjkami jedną za drugą... Zupełnie jak nie on!

Znalazł sobie nawet jakąś dzierlatkę. I to od razu, jeszcze pierwszego wieczora! Drugiego dnia miał już inną, po południu trzecią... Zaś pod wieczór wyraźnie zaczął przysuwać się coraz bliżej ku samej Azcalxocitle.

Widzący to Kastylijczycy podśmiewali się: ot, patrzcie! Takiemu to dobrze, kiedy język, zamiast dzielić, jeszcze go z kobietami łączy! A nasz caudillo cokolwiek może chcieć, to nawet w łożnicy musiałby z pomocy korzystać...!

Czy do Cortésa docierały te niewybredne żarty? Trudno powiedzieć. Ale na pewno słyszał ich echa.

Zahred zaś był ciągle przy nim, zawsze roześmiany, wesoły i gotowy poprowadzić kolejną zabawę.

– Biały wódz Cortés mówi: niech Montezuma nauczy go tak celnie strzelać z dmuchawki – wycodziła przez zaciśnięte zęby Malintzin, jednocześnie zerkając z ukosa na stojącą nieco dalej Azcalxocitle.

Ta dostrzegła jej wzrok, uśmiechnęła się promiennie i skinęła głową, jednocześnie nie przestając słuchać klarującego jej coś półszepsem Zahreda.

– Niech Cortés raczy spojrzeć, jak jego brat Montezuma trzyma dmuchawkę *tlacalhuazcuahuitl*. Do mniejszej używa się strzałek z piórami w ogonie, większa wyrzuca gliniane kulki. Wystarczy, aby Cortés przyłożył ją do ust, a potem spojrzął wzdłuż niej na to, co pragnie trafić. Jeśli ręce Cortésa ustawione są prosto jak u jego brata, to trafi w to, na co tylko spojrzy... O tak!

Montezuma dmuchnął w ustnik. Kulka śmignęła przez powietrze, trafiła wprost w wiszący na drzewie trzydzieści kroków dalej owoc. Konkwistadorzy zakrzyknęli radośnie: tak, brawo!

Cortés też zaklaskał, wyrażając uznanie dla kunsztu strzeleckiego. Potem spojrzął na doinę Marinę grzecznie... następnie pytająco... wymownie... w końcu z niezadowoleniem.

– Halo, pani? Czy mój dwór zapada w sen zimowy?

– Nie, panie... Wybaczcie – zreflektowała się Malintzin. – Montezuma powiedział, że...

– Myślę, że zrozumiałem wystarczająco dobrze bez was, pani... *Nechmaka?* – Cortés wyciągnął rękę po dmuchawkę. Montezuma spojrzął na niego zaskoczony, ale zaraz rozciągnął usta w uśmiechu i pokiwał entuzjastycznie głową, więc caudillo zachęcony powtórzył: – *Nechmaka inin!*

– Panie, wybaczcie raz jeszcze. Ja...

Cortés wsunął kulkę w otwór dmuchawki, przyłożył wargi do ustnika i skierował wylot na ten sam owoc, w który celował

Montezuma. Nabrał powietrza, dmuchnął z całej siły – pocisk przeleciał nieco poniżej celu.

– Jeszcze jedną! – warknął caudillo, wysuwając rękę do niosącego pociski posługacza i nawet nie spuszczał wzroku z owocu.

– Panie...

Załadował, przycelował, dmuchnął – kulka rozbiła się o górną krawędź owocu!

– Brawo, wasza miłość! Pięknie – pochwalił majordomus de Cáceres, dołączając się do braw uznania. – Pozwolę sobie zauważyć, że...

– Zorganizujcie transport do pałacu Axayacatla dla doñi Mariny, panie de Cáceres. – Cortés uśmiechnął się do niego. – Zostaniemy tu jeszcze tę jedną noc, jutro wracamy. Doña Marina ruszy przodem, żeby przygotować wszystko na nasz powrót.

Malintzin strzeliła na niego zdumionym spojrzeniem.

– Miłościwy panie, ja...

– Wiem, że „wy”, pani. Słyszałem za pierwszym z trzech razów. Dziękuję wam za pomoc, ale widzę, że nadmiar wrażeń was zmęczył. Pora dać wam odpocząć. Polowanie to nie zajęcie dla kobiety... Nieprawdaż, panowie?

Konkwistadorzy zamruczeli i z wahaniem pokiwali głowami, spoglądając z ukosa na Azcalxocitle.

Twarz doñi Mariny zadrgała z trudem tłumionym skurczem, ale po chwili wygładziła się, uspokoiła. Malintzin uniosła brodę, spojrzała wprost na Cortésa:

– Zatem rozumiem, że odprawiasz mnie, panie. Dobrze, przygotuję kwatery na wasze przybycie. Czy życzyście sobie czegoś szczególnego na przyjazd?

– Nie, pani. Dziękuję wam raz jeszcze, ruszajcie z Bogiem – rzucił Cortés, ładując kolejną kulę do dmuchawki.

– Bawcie się zatem dobrze, panie.

Odwróciła się i po prostu ruszyła w drogę powrotną do pałacu.

Pan majordomus de Cáceres popatrzył cokolwiek zagubionym wzrokiem to na nią, to na caudilla, to znów na nią... Wymamrotał jakieś pożegnanie, oddał trzymany łuk najbliższemu Mexikowi i pospieszył za odchodzącą kobietą.

Kiedy oddalili się na odpowiednią odległość, Portocarrero rzucił teatralnym szeptem, ale tak, żeby wszyscy na pewno go usłyszeli:

– Baba z wozu, koniowi lżej...

Cortés po raz kolejny uniósł wydrażoną rurę, dmuchnął zawzięcie.

Tym razem pocisk trafił w sam środek celu.



Nareszcie nadeszła upragniona, długo wypatrywana noc.

Pałac Nezahualpillego powoli gasł i cichł, zapadając się z hałaśliwego gwaru wieczora w spokojną, kojącą ciszę i bezruch nocy.

Skończyły się już głośnie, wulgarne nawet w swoim wydźwięku, pozbawione subtelnej melodii szlachetnego języka *nahuatl* wrzaski, pełniące w języku przybyszów rolę pieśni.

Umilkły bydlęce śmiechy pijanych Kastylijczyków, ganiających po salach i korytarzach służki na równi ze szlachetnie urodzonymi córkami najlepszych rodów Tenochtitlán.

Przebrzmiały ostatnie echa na poły przestraszonych, na poły radosnych pisków kobiet, zaganianych niczym zwierzyna

łowna do alków i sypialni białych kapitanów.

W końcu, nareszcie, po nazbyt długim czasie, nie było już słychać pojękiwania, sapania i gardłowego warczenia, z którym goście najwyższego Montezumy obowiązkowo musieli kończyć każde swoje spółkowanie z kobietami.

Ścichła też ostatnia krzątanka służby, zbierającej potłuczone naczynia i poprzewracane miski.

Pałac wreszcie był taki, jakim lubił go władca – spokojny, nieruchomy i milczący.

Idealny w swej nocnej prostocie, a zarazem tak bardzo pełny głębi.

Montezuma odetchnął, po raz kolejny próbując oczyścić umysł.

Nad nim mrugały jego ukochane gwiazdy, świecił sierp wysyconego ciemną żółcią księżyc. Od strony jeziora niosło się miarowe rechotanie żab. W otaczającym rezydencję parku krzyczały nocne ptaki. Wszędzie wokół panował niczym niezmacony spokój.

I tylko siedzący na tarasie Montezuma nie potrafił odnaleźć go w sobie.

Robił wszystko tak, jak wymagał tego obyczaj, dobre wychowanie i jak podpowiadało mu serce.

Podejmował swoich gości najlepiej, jak tylko potrafił.

Ofiarował najcenniejsze, co sam miał.

Dawał szczerze, nie biorąc i nie oczekując niczego w zamian.

Jednak z jakiegoś powodu miał wrażenie, że żadne jego czyny nie mają znaczenia.

Były niczym kamyczki wrzucane w bezdenną toń jeziora.

Miałki, nieistotne.

Pozbawione głębszej wagi.

Nadal był sobą – najwyższym królem, słońcem swego ludu, błękitnym kolibrem ponad imperium Mexików. Był tymi wszystkimi rzeczami...

...jednak miał wrażenie, że przestaje być sobą.

Jak gdyby stawał się pusty niczym wypalona skorupa. Zachowywał tylko zewnętrzną formę, jak pęknięty dzban – a stopniowo wyciekała z niego treść.

Odkąd przybyli do miasta biali, jego życie zaczęło tracić sens.

Kawałek po kawałku stawało się zbędne.

On był zbędny.

Montezuma czuł to wyraźnie.

Czuli to też jego ludzie, od najwyższych dostojników aż do najniższych sług.

Padali na twarze, wygłaszali te same formułki, kłaniali się i nie patrzyli mu w oczy – lecz było więcej niż oczywiste, że był to już tylko rytuał.

Jak wtedy, gdy pomiędzy dwojgiem ludzi wydarzy się coś złego i już nigdy nic nie jest takie samo. Słowa, gesty, czyny mogą pozostawać takie same, lecz już nie mają i nigdy więcej mieć nie będą tej samej treści, bo to nieuchwytnie, ulotne coś przepadło.

– Przyszliśmy tylko, aby spać, przyszliśmy tylko, aby śnić – szepnął najwyższy król sam do siebie słowami starego wiersza.

– Nie jest prawdą, nie jest prawdą, że przyszliśmy na tej ziemi żyć...

– Snem, wyłącznie przerażającym snem jest życie – rozległo się od wejścia na taras.

Huēi Tlahtoāni uśmiechnął się – po raz pierwszy tego wieczoru szczerze. Nawet nie odwracając się, wskazał ręką na rozłożoną obok siebie matę.

– Xahuatl zaznał wielu trudów, jego nogi są zmęczone. Niech zasiądzie obok Montezumy i odpocznie.

Zahred podszedł, bez słowa uklęknął na słomianej macie. Położył dłonie na kolanach, przymknął oczy. Nabrał głęboko powietrza przez nos, powoli wypuścił przez usta.

Montezuma przez chwilę obserwował, jak jego gość wyrównuje oddech. Widział, jak rysy twarzy tamtego wygładzają się, jak stopniowo rozluźnia mięśnie, poczynając od karku, przez barki, ramiona, plecy... Zgiął się w końcu, dotknął czołem ziemi, potem równie powoli się wyprostował. Złożył dłonie palcami do siebie, zaczerpnął powietrza jeszcze raz... Przytrzymał, znów powoli wypuścił.

– Xahuatl wie, jak rozmawiać z własnymi myślami – zauważył z uznaniem najwyższy król. – Inni biali wodzowie też to czynią? Montezuma nie słyszał o tym.

– Nie. – Zahred pokręcił głową. – Nie czynią tego. Czy inni Mexikowie znają tę praktykę?

– Nie. – Tym razem to Montezuma potrząsnął głową. – Tylko kapłani i święci mężowie.

– Którym z nich jest Montezuma?

– Żadnym, jednak chce stawać się do nich podobny. Skąd Xahuatl zna dawne wiersze?

– Wiersze...? Ach, tamto. – Zahred uśmiechnął się. – To tylko słowa, które wydały się Xahuatlowi bardzo podobne do tego, co recytował Montezuma.

– Kto je wypowiedział?

– Człowiek podobny do Montezumy. Wielki król wielkiego imperium.

– Karol, z Bożej łaski król Kastylii? – zainteresował się władca.

– Nie, nie Karol – odrzekł z rozbawieniem Zahred. – Karol... Karol nie byłby godny podawać tamtemu sandałów do wzucia

ani nadstawiać karku, żeby ten mógł wsiadać na koń.

– Biały wódz Cortés oburzyłby się, słysząc takie słowa.

– Biały wódz Cortés śpi teraz smacznie w objęciach szlachetnej Azcalxocitle.

– Ach... Zatem starania Xahuatla przyniosły skutek. Montezuma dziękuje mu z całego serca, że pomógł jego bratu Cortésowi przyjąć tak cenny dar jak miłość siostrzenicy Montezumy.

– „Starania”...?

– Xahuatl bawił się. Xahuatl pił, jadł, śmiał się w głos. Xahuatl brał kobiety... I specjalnie okazywał względy Azcalxocitle, aby biały wódz Cortés zrozumiał, że skoro Xahuatl może to robić, to on wręcz powinien.

Zahred westchnął, pokręcił głową... Parsknął stłumionym śmiechem i zerknął na Montezumę spode łba.

– Aż tak oczywiste to było? Xahuatl najwyraźniej się starzeje...

– Gwiazdy są oczywiste. Każdy je widzi, każdy na nie patrzy. Mimo to mało kto zauważa sposób, w jaki poruszają się na niebie, i potrafi nazwać ukryte w nich postaci.

– Montezuma zaś spogląda w gwiazdy każdej nocy. Co w nich zatem widzi?

Najwyższy król westchnął ciężko, popatrzył na Zahreda.

– Montezuma mówił już Xahuatlowi, co widzi, a jednak Xahuatl uparcie nie chce zobaczyć tego, co Montezuma mu pokazał.

– Xahuatl nie jest wysłańcem bogów, o Najwyższy.

– Zaś Montezuma nie jest najwyższym królem, a Tenochtitlán nie istnieje.

– Jeśli Montezuma będzie nadal postępować tak, jak to czyni teraz, to wkrótce może się okazać, że tak właśnie jest...



– A wtedy Xahuatl stanie się wysłańcem bogów? – Najwyższy król uniósł brwi, wyraźnie rozbawiony. – Przez ofiarę Montezumy wzniesie się ku niebiosom, jak Jezus Chrystus, o którym opowiadał Montezumie biały wódz Cortés?

– Niech Montezuma nie miesza do tego religii – zachnął się Zahred.

– A jednak tak właśnie stało się w waszym świecie. Ten, który jest Synem Bożym, pozwolił, aby uczyniono mu wszystko, co złe. Dobrowolnie oddał się w niewolę, pozwolił się osądzić i skazać... Mimo że w każdej chwili mógł temu zapobiec, bo miał taką władzę. Sam siebie wydał na ofiarę, aby jego Gwiazda wzniosła się ku niebu, a tam zasiadł po prawicy Huitzilopochtli.

– Najwyższy Montezuma wszystko pomieszał...

– Nie, to Xahuatl wszystko miesza. Montezuma wiedział, co robi, jeszcze zanim jego brat Cortés opowiedział mu historię Jezusa Chrystusa. I podobnie jak ten, którego nazywają Iskariotą, biały brat Montezumy zdradził go pocałunkiem...

– Bredzisz znowu, królu – warknął Zahred.

– Nie, bo to Xahuatl nie widzi prawdy o skrzydłach z obsydianu, która siedzi mu na twarzy. Jest zbyt blisko, aby ją dostrzegł... Ale ujrzy ją, gdy nadejdzie właściwy czas.

– Oby więc Tenochtitlán doczekało tego czasu, Montezumo...

– Tenochtitlán nie przepadnie, dopóki z nami jest słońce.

Zahred drgnął, popatrzył na najwyższego króla.

Bez słowa wstał ze słomianej maty i wyszedł z tarasu, zostawiając Montezumę samego.

Ten zaś odetchnął tylko głęboko, uśmiechnął się do siebie smutno i przymknął oczy, zadzierając głowę ku gwiazdom.



## Rozdział 5

### *Boże Narodzenie 1519*

Niech Montezuma powie zatem swojemu bratu Cortésowi: skąd w jego królestwie bierze się złoto?

Montezuma spojrział na Cortésa cokolwiek szklistymi oczami, uśmiechnął się nie do końca szczerze.

– Czyżby Cortésa znowu bolało serce? – zapytał, sięgając do misy po kawałek placka.

Uczta wydana z okazji świąt Bożego Narodzenia trwała w najlepsze.

Sprowadzeni do pałacu Axayacatla kuglarze dawali popisy swojej sprawności, wyginając się w niesamowite figury i podrzucając obracany stopami pień drewna.

Kilku błaznów karłów podskakiwało zabawnie i uganiało się po sali za rzucanymi im ochłapami jedzenia, budząc powszechną wesołość biesiadujących.

Pieśniarze wykonywali swoje utwory do wtóru fletów, dzwonków i grzechotek.

Nieco wcześniej kilku konkwistadorów urządziło nawet pokazowe pojedynki, aby dodatkowo uświetnić zacy dzień.

Oczywiście, z samego rana odbyła się też odprawiona w kaplicy pałacowej msza. Ledwie się pomieścili, bo i miejsca tam nie było wystarczająco... No a potem caudillo zaprosił wszystkich bez wyjątku na ucztę.

Więc jedli teraz i pili, pili i jedli, zaś stół był wciąż pełny.

Ot, jak wspaniale i obfite potrafiły być święta w Nowym Świecie!

Cortés spojrział na Montezumę, zamrugał z niezrozumieniem... Ale już po chwili przypomniał sobie, do czego tamten się odnosił, uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Och, nie, nie. Natomiast Montezuma musi wiedzieć, że dziś narodził się nasz Pan i Zbawiciel, zaś gdy leżał w żłobie...

– Wybaczcie, panie: w czym? – przerwała mu siedząca obok doña Marina.

– Gdy leżał w kołysce...

– Nie znam tego słowa, panie.

– Gdy w łóżku leżał, no żeż do kurwy nędzy! – zirytował się caudillo. Widząc, jak spiorunował go wzrokiem ojciec de Olmedo, pospiesznie uczynił znak krzyża i uderzył się w piersi na znak skruchy. – Otóż gdy nasz Pan i Zbawiciel leżał w łóżeczku, przybyło do niego trzech królów mędrców, niosąc bogate dary. Jeden z nich niósł mirrę... Dobra, Marina, inaczej: jeden niósł wonności, drugi kadzidło, a właśnie trzeci ofiarował Panu naszemu złoto.

– Cortés zatem chce, aby jego brat Montezuma też stał się takim królem mędrcom! – rzekł domyślnie Huēi Tlahtoāni.

– Tak, tak! Dokładnie tego chcę, Montezumo. Dla dobra twojej duszy, dla twoich zasług przed obliczem Przedwiecznego, dla... – Caudillo machnął rękoma w powietrzu. – Tak, tego chcę właśnie. A więc? Skąd bierze się złoto w królestwie Mexików?

– Złoto wydobywają z ziemi niewolnicy. Wykopują je niewielkimi grudkami lub płuczą piasek z niektórych rzek na specjalnie tkanych płaszczach...

Montezuma czknął, zasłonił usta dłonią i uśmiechnął się przepraszająco. Cortés nalał do jego czarki *pulque* aż po brzegi, sam też plusnął do swego kubka.

– Zdrowie, wesołych świąt! – wzniosł toast, ledwie umoczył usta i odstawił naczynie na stół. – Tak, to Cortés rozumie. Ale gdzie są te rzeki? Gdzie wydobywa się złoto z ziemi?

Montezuma zmarszczył brwi, przewrócił oczami, jak gdyby przypominając coś sobie, wygrzebując informację skądś, z głębi pamięci.

– Złoto bierze się z ziem Mixteków – powiedział w końcu. – Najwięcej go pochodzi z Zacatuli. Jest w Malinaltepec, wydobywają je w Tututepec. Znajduje się je też w wielkiej Rzece, Gdzie Skrywa Się Wąż, oraz na południowym wschodzie... I jeszcze w wodach ziem, które miejscowi zważą Lariab.

– Malinaltepec, Tutu... Putu... Tuputupu... Niech to szlag – zawarczał Cortés pod nosem, a głośniej już dodał: – Czy zatem Montezuma może kazać sporządzić taką listę, aby Cortés mógł obejrzyć te miejsca?

– To daleko stąd. Cortés będzie szedł długo.

– Wyślemy zatem ekspedycje. Czy Montezuma pomoże ludziom Cortésa znaleźć te miejsca?

– Montezuma zrobi wszystko dla swojego brata! – rozrzewnił się wielki król.

Ludzie śmiali się, patrząc, jak ich caudillo obściskuje się z cokolwiek wstawionym już Montezumą.

Ot, jak dobrze się żyło w tym Tenochtitlán!



– Myślałem już, że nigdy go nie zapyta.

Itzli wzruszył ramionami, rozłożył ręce.

– Cierpliwość jest jedną z cnót wojownika. Czy Xahuatl słyszał dokładnie, co najwyższy król powiedział Cortésowi?

– Niewiele był już w stanie. Wspomniał tylko kilka nazw: Zacatula, Malinaltepec, Tututepec, Rzeka, Gdzie Skrywa Się Wąż, i niejaki Lariab. Obiecał mu dokładną listę.

– Ach. No cóż, zatem nie jest aż tak źle. Itzli uzna, że dokładna lista właśnie do tego może się ograniczyć.

Zahred pozwolił sobie na uśmiezek.

– To znaczy, że najwyższy Montezuma nie powiedział całej prawdy?

– Najwyższy może być więźniem we własnym domu, a biały wódz Cortés może być nawet czarownikiem, który złodziejskimi sztuczkami skradł mu rozum i odwagę, jak to mówi król Cacama! – warknął Itzli. – To wszystko jednak nie zmienia i nie zmieni tego, że najwyższy Montezuma jest Huēi Tlahtoāni. Bogowie mówią przez jego usta, prowadzą jego kroki i szepczą do ucha, gdy podejmuje decyzje. Montezuma nie jest słabowitą matką rozwydrzonego dziecka, żeby pozwolić Cortésowi na wszystko, czegokolwiek ten zapragnie. Niech

Xahuatl powie: czy biały wódz gotów jest rozesłać do tych miejsc swoich ludzi?

– Powoli, zaraz. Itzli wspomniał Cacame, króla Texcoco.

– Xahuatl ma ciało wojownika, ale uszy i węch kobiety, której mąż wraca zbyt późno do domu – mruknął Itzli. – Rozmowa z Xahuatlem to jak gryzienie orzechów, w które ktoś nasypał żwiru.

– Niech Itzli nie próbuje brać Xahuatla pod włos czczymi pochlebstwami. Co takiego mówi Cacama, a przede wszystkim: co może chcieć zrobić?

– Itzli nie wie, co Cacama...

– Dobrze, Xahuatl zapyta inaczej: o czym wie Itzli, co może zamierzać król Texcoco?

Władca Domu Szeptów sapnął ciężko, zerknął na Zahreda z niechętnym podziwem.

– Cacama, król Texcoco, zaczyna otwarcie dawać upust swojemu niezadowoleniu. Szczególnie zaś po tym, co wydarzyło się ostatnio...

– Itzli ma na myśli niedawne stracenie Nezahuelquentzina, młodszego brata Cacamy – rzekł Zahred.

– Xahuatl jest niepokojąco dobrze poinformowany.

– Xahuatl lubi wiedzieć, co się wokół niego dzieje. Tym bardziej że sam próbował tłumaczyć Cortésowi, że ten opacznie zrozumiał tamtą sytuację... Co wie o tym przypadku Itzli?

Władca Domu Szeptów westchnął ciężko.

– Ludzie Itzlego rozmawiali potem z Tetlahuehuetzquitzinem, najmłodszym z dwóch braci króla Texcoco. Sam Itzli przepytał też nieszczęsnego posłańca, który przybył do nich od najwyższego Montezumy, gdy biali przybysze zwiedzali pałac Nezahualcoyotla.

– Idioci... – warknął Zahred.

Sama sprawa stracenia Nezahuelquentzina była przecież równie prosta, co niefortunna.

Rzeczywiście, parę dni wcześniej kilku kastylijskich kapitanów udało się na zwiedzanie położonego nad jeziorem miasta-państwa Texcoco, którego władcę, króla Cacame, znali już przecież wcześniej z czasów, gdy jako oddelegowany specjalnie po to dostojnik wprowadzał armię konkwistadorów do miasta.

Kastylijczyków oprowadzało po mieście dwóch braci króla, wspomniani już Nezahuelquentzin i Tetlahuehuetzquitzin. Obydwaj nie szczędzili zachwytów, zachwalając gościom bogactwo Texcoco, sławiąc jego potęgę militarną i wielkość terytorium, z którego spływał doń trybut.

Gdy jednakże dotarli już do pałacu Nezahualcoyotla, jednego ze zmarłych władców Texcoco, do królewskich braci przybył posłaniec rzekomo niosący ważne posłanie od Montezumy. Wziął on dwóch książąt na stronę, gdzie przekazał im jakoby niecierpiące zwłoki słowa najwyższego króla.

I tu właśnie zaczęły się problemy.

Dokładnie wtedy jeden z ludzi towarzyszących kastylijskim kapitanom w wizycie wybrał ten właśnie, a nie inny moment, żeby sięgnąć do złoconej misy po leżący tam owoc.

Nie było to nic nietypowego, bo naczynia takie stały w każdym pałacu, a nawet domu, i każdy mógł brać z nich, ile tylko zapragnął...

...ta jednak misa stała zaraz obok tronu, na którym zasiadał niegdyś Nezahualcoyotl, wielki władca i poeta sprzed pół wieku, architekt trójprzymierza Texcoco z sąsiednimi Tlacopán i Tenochtitlán, postać na poły legendarna i otoczona nimbem niemalże półboskiej chwały.

Owoce zaś umieszczono w misie dlatego, że na ten akurat dzień przypadała kolejna rocznica śmierci króla, który wedle

przepowiedni kapłanów nawiedzał wtedy pałac i królestwo, aby doglądać życia potomków swych poddanych.

Jeden ze stojących przy tronie strażników podniósł wrzawę i rzucił się ku białemu, aby wyrwać mu z ręki poświęcony przez kapłanów owoc, nim ten doniesie go do ust.

Wywiązała się szamotanina, ktoś krzyknął, że Indianie napadli na konkwistadorów... Nim zażegnano i roboczo wyjaśniono konflikt, posypały się już razy, połała się krew.

Młodszy z dwóch braci, Tetlahuehuetzquitzin, rzucił się do ucieczki, przekonany, że to Kastylijczycy zaatakowali jego ludzi – pomny na wydarzenia w Choluli, o których wszyscy aż nadto dobrze wiedzieli.

Z kolei jego starszy brat Nezahuelquentzin próbował interweniować.

Skończyło się to tym, że oskarżono go o wydanie rozkazu napaści, pojmano i w pętach zabrano do Tenochtitlán, gdzie postawiony został przed obliczem samego Cortésa.

Zaś Cortés, wysłuchawszy swoich kapitanów i nie dając nawet podsądnemu dojść do słowa, rozeźlony ponoć po kolejnej kłótni z dożą Mariną, kazał go powiesić za spiskowanie.

Do wykonania wyroku przystąpiono niezwłocznie i zanim na miejsce przybył Montezuma, przerażony skazaniec stał już ze stryczkiem na szyi.

Najwyższy król błagał, zaklinał Cortésa i szlochał, ale ten pozostał niewzruszony.

Jedno machnięcie ręką caudilla.

Suchy odgłos przewróconego stołka, kopniakiem wytrąconego spod nóg skazańca.

Urwany krzyk przerażenia.

Szarpnięcie naprężającej się liny.

A potem już tylko trzepoczące się w agonii nogi, dyndające pół metra nad ziemią.



– Posłaniec powtórzył Itzlemu słowo w słowo to, co miał powiedzieć dwóm książętom.

– I co? – Zahred uniósł brew. – Itzli chce, żeby Xahuatl teraz to zgadł?

Itzli spojrział w okno.

– Najwyższy Montezuma wyrażał nadzieję, że Texcoco dobrze potraktuje Kastylijczyków i zachęcał jego władców, żeby szczerze obdarowali gości złotem, oddając im wszystko, czego ci tylko zażądataj. Tylko tyle, nic więcej.

– Xahuatl przyznaje szczerze, że nie zgadłby. Pięknie, po prostu pięknie. Cudownie – zawarczał Zahred, nerwowo bębniąc palcami o żeleźce siekiery. – Gdzie jest teraz król Cacama? I niech Itzli nawet nie próbuje kłamać!

– Itzli nie jest tego pewien – przyznał z pewnym zażenowaniem władca Domu Szeptów.

Zahred zgrzytnął zębami, pokręcił głową.

– Co zatem Itzli wie? Czy coś w ogóle? Czy Xahuatl doprawdy musi wyciągać z niego informacje kawałek po kawałku, niczym pojedyncze ziarna z kolby kukurydzy? A może Itzli wolałby pracować wraz z kobietami w kuchni, urabiając mąkę na placki?!

– Xahuatl mówi, jakby sam był już co najmniej królem, a Itzli jego sługą. Może Xahuatl powie zatem Itzlemu od razu to, co jego zdaniem Itzli powinien wiedzieć? – zapytał z przekąsem Itzli.

Zahred już, już miał rzucić jeszcze jedną ciętą uwagę, ale powściągnął się, przełknął gorzkie słowa. Odetchnął głęboko, przymykając oczy.

– Xahuatl zakłada, że Cacama, podobnie jak inni królowie miast pod władaniem Mexików, rezyduje na co dzień w Tenochtitlán – powiedział powoli, z namysłem. – Gdyby było inaczej, to sam podejmowałby gości w swoim mieście, a już tym

bardziej nie wprowadzałyby naszych oddziałów do miasta. Skoro Itzli nie wie, gdzie jest teraz, to znaczy, że niedawno okazało się, że zniknął ze swojej rezydencji w stolicy. Zapewne udał się potajemnie do Texcoco... I stamtąd będzie planował swoje kolejne ruchy.

Władca Domu Szeptów po raz kolejny spojrzął na człowieka o wymalowanych rękach z podziwem, skłonił się nisko.

– Jeśli Xahuatl potrafi czytać w myślach, to dlaczego w ogóle rozmawia z Itzlim?

– Bo Itzli jest jednym z nielicznych tutaj, jeśli nie jedynym w ogóle, który docenia wagę dobrze prowadzonej konwersacji... A teraz dość tego wzajemnego głaskania się po miękkim podbrzuszu. Kto jeszcze może należeć do stronnictwa niezadowolonych? Z kim może chcieć dogadać się król Cacama?

– Dogadać się...? Xahuatl myśli, że...

– Xahuatl nie musi myśleć, bo Xahuatl czuje to w szpiku kości! Nie tylko król Texcoco jest przecież niezadowolony z tego, co wyczynia Cortés. Kto jeszcze, pyta Xahuatl?

– Tlacopán. – Itzli skrzywił się. – Coyocan, Matalcingo. Szereg dostojników, książąt i dowódców wojskowych...

– I kiedy Itzli zamierzał powiedzieć o tym Xahuatlowi? Zrobić coś z tym? – Zahred rozłożył ręce.

– Itzli miał nadzieję, że nie będzie musiał robić nic.

– Pobożne życzenia! Piękna podstawa działań dla każdego wysoko postawionego urzędnika państwowego, nie ma co! – prychnął Zahred.

Itzli skrzywił się, zerknął na rozmówcę spode łba.

– Nie wszystko zależy od Itzlego. Co poradzi na to, że biali wodzowie siedzą w Tenochtitlán, ani myśląc z niego wychodzić? Im dłużej spożywają ze stołu przeznaczonego dla najwyższego Montezumy, tym więcej niezadowolonych

tragarzy musi donosić im żywność. Dopóki ojciec jest silny i młody, drżą jego synowie – czy Xahuatl zna to powiedzenie?

– Nie, ale wie aż nazbyt dobrze, co zaczyna się dziać, kiedy rozumieją, że czas tamtego przemija. Czy jest coś jeszcze, co Itzli powinien powiedzieć Xahuatlowi?

– Nie.

– Dobrze. Niech zatem Itzli pošle swoich ludzi, aby ci przeczesali pałace i ogrody Texcoco w poszukiwaniu jego króla. Niech noszone przez posłańców pisma przestaną być sekretem, a powierzone im słowa trafiają do jego uszu. To samo niech uczyni w domach innych królów, o których wspomniał.

– Itzli usłyszał i zapamiętał, o... – Władca Domu Szeptów już miał wygłosić zwyczajową formułkę, ale zreflektował się i ugryzł w język. – Co jeszcze doradzi Xahuatl? Co uczynić z białymi kapitanami?

– Nic. Nie ruszać ich, nie drażnić bardziej. Montezumy pilnują ludzie Xahuatla... Jednak gdyby Cortés chciał uczynić mu krzywdę, to i tak użyje do tego swoich zaufanych. Czego dowiedział się Itzli od służących, nałożnic i tragarzy?

– Xahuatl nie sądzi chyba, że Itzli kazał sługom podsłuchiwać rozmowy białych gości! – sapnął Itzli, całym sobą wyrażając oburzenie.

– Nie, ale tylko dlatego, że nikt z nich nie zna koniecznego do tego języka. Jednak każdy ma oczy, które widzą. Niech Itzli rozkaże, aby opowiadali o wszystkim, co zobaczą... A przede wszystkim niech dotrze przez właściwych ludzi do kobiet, które biali kapitanowie wzięli za żony. Każde łóżko to kopalnia cennej informacji. Póki co niech jak najszybciej ustali, gdzie podział się i co zamierza król Texcoco.

– Itzli usłyszał. – Władca Domu Szeptów znów się skłonił, po czym swoim zwyczajem bez słowa wycofał się, odwrócił i ruszył ku wyjściu.

Był już dużo dalej, kiedy uświadomił sobie, że zupełnie odruchowo odchodził od Xahuatla tyłem, wciąż zgięty w pokłonie.



– Ech, szczęściarze z was! – Gutiérrez pokręcił głową, patrząc na szykujących się do drogi towarzyszy broni. – Kolejna wyprawa... A my będziemy tutaj gnić!

Pakujący właśnie torby podróżne Antón Hortega, jeden z ludzi służących w regimencie Diega de Ordaza, popatrzył na niego powątpiewająco, ale i tak uśmiechnął się półgębkiem.

– Czy szczęściarze, to się dopiero okaże. Pewne jest tylko tyle, że znów gdzieś idziemy, znów w nieznanne.

– Ale po złoto przecież! Bogatsi wróćcie niż ktokolwiek z nas tutaj!

– Szewc bez butów chodzi – rzucił sentencjonalnie de Monroy, który też przyszedł popatrzeć, jak jedna z trzech ekspedycji wyrusza z garnizonu.

– I co to ma niby znaczyć? – nie zrozumiał Gutiérrez.

– Tyle, że mało który rolnik, albo hodowca świń nawet, najada się do syta każdego dnia. Powiem wam, że znałem swego czasu kilku ludzi, którzy w wyniku dość niefortunnego splotu okoliczności trafili do kopalni miedzi... I zapewniam was, że żaden fortuny się na tym nie dorobił.

– Ale gdzie miedź, a gdzie złoto przecież!

– Czy gnój przerzucać, czy drogocenne kamienie, łopata tak samo ciężka.

– Co wy dziś, panie, z tymi mądrościami uczonymi żeście się zawzięli? Oni tutaj ku kolejnej przygodzie ruszają, odkrywać

nowe lądy! Znajdować skarby! Nie wiem, jak wy, ale ja bym chętnie sam z nimi ruszył!

– A mnie tutaj nie jest źle – odpowiedział z udawanym spokojem de Monroy, któremu tak naprawdę też zazdrość wykręcała kiszki, że inni gdzieś idą, a oni zostawali w Tenochtitlán.

– To dokąd wy ruszacie? Jak się ta kraina ma nazywać, gdzie El Dorado leży? – zapytał Gutiérrez Hortege.

Ten dociągnął rzemienie sakwy, zarzucił pakunek na ramię i sięgnął po pikę.

– Po ichniemu to Kecalacos, Ketzaklalos, jakoś tak. Coś o ukrytym wężu albo innym gadzie leżącym w zasadzce. Na południowy wschód ruszamy w każdym razie, rzekomo w kierunku jakiejś zatoki, do której rzeka złotodajna wpada. Kapitan mówi, że może znajdziemy tam przesmyk ku Morzu Południowemu, a stamtąd można będzie już bez trudu pożeglować do samych Chin!

– No i mówię przecież: przygoda życia! – Gutiérrez wyrzucił ręce ku górze. – Och, jak ja wam zazdroszczę...!

– Sam bym sobie zazdrościł bardziej, jakby nas więcej było. A tutaj, ot, marny tuzin. – Hortege pokazał na resztę towarzyszy.

– Tuzin naszych wart setki Indian! – ożywił się de Monroy.

– Wybaczcie, dobry panie, ale niespieszno mi do sprawdzania tego w boju. Pójść, zrobić swoje, wrócić w jednym kawałku: ot, taki mam plan... No, panowie dobrzy, bywajcie! Obyśmy się jak najszybciej znów zobaczyli w tym nowym roku!

– A i wam lepszego i dostatniejszego nowego roku! – zawołał za nim Gutiérrez, kiedy kapitan de Ordaz dał sygnał, a jego ludzie pomaszerowali za nim, ciągnąc za sobą spory orszak indiańskich sojuszników i tragarzy z zaopatrzeniem.



Zahred stał na jednym z tarasów pałacu Axayacatla, przyglądając się, jak trzy ekspedycje rozdzielają się na placu, maszerując każda w swoją stronę ku groblom łączącym miasto ze stałym lądem.

Mimo że Montezuma mówił o pięciu lokacjach, a dokładnie to samo powtórzył dostarczony mu przez ludzi Itzlego raport o terenach złotonośnych, Cortés wysłał tylko trzy oddziały.

Trzy relatywnie niewielkie oddzialiki, pozornie nieuszczuplające stacjonujących w Tenochtitlán sił.

Jednak różnica była znacząca i wszyscy to czuli.

Nagle okazało się, że przy ustalaniu grafiku wart na najbliższy tydzień zaczęło robić się gęsto.

Zdarzało się, że ci, którzy już zdążyli zaplanować sobie wycieczki na miasto, umówić się z kolegami na karty i kości albo zwyczajnie zarezerwować najlepszą miejscówkę w lokalnym zamtuzie, nagle dowiadawali się, że w danym dniu akurat wypada im służba.

Na razie byli tylko niezadowoleni, bo nie zdążyli jeszcze tego odczuć.

Natomiast w ciągu kilku dni albo i tygodni dotrze do nich, że Tenochtitlán nie było jednym wielkim świętem lenistwa i gnuśności.

Jak gdyby czując nastrój swojego pana, leżący do tej pory spokojnie Kefren podniósł się i zawarczał głucho. Nie był to już ten sam szczeniak, odratowany parę miesięcy temu po bitwie i odciągnięty od trupa matki. Nabral teraz cielska, urósł i wyciągnął się. Mimo że nadal po grubych łapach znać było

wciąż młodego psa, to potężna grzywa płowej sierści coraz bardziej upodabniała go do wielkiej, włochatej bestii.

Stojący obok Xicotencatl spojrział na psa, potem przeniósł wzrok na Zahreda. Położył mu dłoń na ramieniu.

– Czy wojownicy Tlaxcali mają tej nocy spać z bronią w gotowości? – zapytał.

Zahred zerknął na niego, uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie. Skąd taka myśl u Xicotencatla?

– Xicotencatl widzi, w jaki sposób Xahuatl coraz częściej patrzy na tych, z którymi przybywał do tych krain. Nadal pamięta słowa, które usłyszał tamtej nocy, nad strumieniem w górach. Xicotencatl wie, że prędzej czy później nadejdzie taka chwila, kiedy Xahuatl powie, by Tlaxcala chwyciła za broń.

– I co robi wtedy Tlaxcala?

– Tlaxcala zrobi to, co powiedzą jej Xicotencatl i Xahuatl – odparł poważnie młody wódz.

– Xahuatl myślał, że wodzowie Tlaxcali uważają się za sojuszników Cortésa?

– Zaś wodzowie Tlaxcali myśleli, że Cortés jest wrogiem Montezumy. Tymczasem ci dwaj mieszkają w jednym domu, tytułują się nawzajem braćmi. Zamiast wyrwać się spod jarzma Tenochtitlán, Tlaxcala zaraz trafi nie pod trój-, ale pod czwórprzymierze swoich wrogów, gdy dołączy do niego jeszcze król Cortésa!

Zahred spojrział na kipiącego złością młodego wodza, położył mu dłoń na ramieniu, potrząsnął lekko.

– Niech Xicotencatl przekaze wodzom Tlaxcali, żeby byli cierpliwi. Już niedługo biały wódz Cortés i jego ludzie opuszczą te ziemie... Teraz najważniejsze jest, aby nic im w tym nie przeszkodziło.

Xicotencatl zawarczał coś pod nosem, ale spojrzał na niego spode łba i niechętnie pokiwał głową.



Cozachtzonal ujęła długą drewnianą tubę w dwa palce, przyłożyła kształtne wargi do ustnika i wciągnęła haust dymu głęboko w płuca. Przytrzymała oddech dłuższą chwilę, wydmuchnęła wąską strużką ku sklepieniu... Potoczyła wzrokiem po obserwujących ją z mieszaniną zgorzienia i fascynacji kobietach, po czym roześmiała się perliście.

– Spróbujcie, naprawdę! – Podała tubkę stojącej po jej lewej stronie najwyżej ukwieconej Ihuicaminie. – To zmienia wszystkie smaki!

– Czy to znaczy, że szlachetna Cozachtzonal skończyła już jeść i nie będzie ucztować z nami dalej? – zapytała ostrożnie Tepiltzin, druga żona Tlilpotonquiego, Mistrza Rzemieślników.

– No gdzieżby! Cozachtzonal po prostu pokazuje wam, że można robić rzeczy inaczej niż zawsze... Nie musimy ucztować tak, jak robiły to nasze matki i babki! Możemy jeść, pić i bawić się po swojemu!

Szlachetna Tepiltzin popatrzyła, jak najwyżej ukwiecona Ihuicamina, pierwsza konkubina króla Icnoyotzina z Iztapalapy, obejmuje tubkę swymi kształtnymi, wypielęgowanymi palcami, po czym bierze ją w usta i zaciąga się dymem w sposób, który ona sama uznałaby za zdecydowanie wulgarny, żeby nie rzec: lubieżny.

– Możemy, tak. Pytanie tylko: po co? – rzuciła w przestrzeń, rozglądając się po pozostałych zgromadzonych w pałacu



kobietach, jak gdyby w poszukiwaniu poparcia dla swojej niewypowiedzianej tezy.

Uczta wydana przez wysoce wyniesioną Quetzepokę, żonę jego świątłej dostojności Moyolechuaniego, odpowiedzialnego za skarbiec królewski, trwała w najlepsze.

Jak nakazywał zwyczaj, szlachetne damy zebrały się w domu gospodyni tuż po północy, przybywając w swych najpiękniejszych, najlepszych kreacjach, prowadząc miniaturowe świty grajków, zonglerów i akrobatów, przystrojonych kwiatami sług i specjalnie dobieranych pod kątem swej urody przybocznych, mających usługiwać im podczas całonocnego bankietu.

Wysoce wyniesiona Quetzepoka witała je wszystkie w wejściu na okolony kolumnadą dziedziniec, wokół którego leżały już porozkładane słomiane i bawełniane maty i kobierce.

Pomiędzy nimi stały na niewielkich podwyższeniach misy pełne placków kukurydzianych, pociętych w fantazyjne kawałki owoców, kolorowych sosów i maczanek oraz unoszących się w gęstej miodowej zawieszynie nasion.

Skwierczał i przyjemnie dymił wypalający się na węglach palenisk tłuszcz z nanizanych na drewniane szpile kawałków mięsa.

Wirowało w dzbanach świeżo zamieszane, lekkie *pozoli* i zdecydowanie mocniejsze od niego *pulque*.

Cały dziedziniec przystrajały poza tym girlandy kwiatów i zielonych gałązek, sprowadzonych specjalnie na tę okazję z otaczających Tenochtitlán lasów i gór, nierzadko niesionych przez tragarzy z trudno dostępnych przełęczy na północy i zachodzie albo wręcz spławianych łodziami z górskich prowincji.

Zbliżał się przecież długo upatrywany koniec miesiąca Tititl, a więc Tego, Gdy Nagabywane Są Kobiety! Wreszcie życie

wróci do normalności, można będzie znów oddawać się tak licznym przyjemnościom!

A póki co, jako że święty miesiąc nadal trwał, kobiety ucztowały we własnym gronie, korzystając z wymuszonego – ale też nie do końca niemile widzianego – oddzielenia od swych mężczyzn.

Wielce wysoka Huemapichtli, siostra Coanacochtzina i księżniczka wysokiego rodu Texcoco, odebrała tubkę od Ihuicaminy, zaciągnęła się łapczywie.

Oczy wyszły jej z orbit, rozkasłała się i roześmiała naraz, machając dłonią przed twarzą: ojej, ojej! Nie mogę oddychać!

Widząc, że nikt nie chce otwarcie przeciwstawić się matronie, Cozachtzonal wzruszyła ramionami.

– Świat się zmienia przecież. Naszym matkom i babkom nie śniło się nawet o rzeczach, które wiemy my dzisiaj!

– Na przykład o czym? – zapytała Tepiltzin z takim samym uprzejmie-pogardliwym uśmiechem.

– A czy moje dostojne siostry słyszały już najnowsze wiersze Yoliyamanitzna? – Wysoce wyniesiona Quetzepoka zdecydowała się interweniować, nim rozmowa przybrała niepożądany obrót. – Quetzepoka słuchała ich już i musi powiedzieć siostrom, że jego talentu nie przyćmił nawet upływ lat. Lekkość, z jaką składa słowa w piękne naszyjniki, porównać można tylko do...

– Chociażby o białych przybyszach zza Wielkiej Wody – odezwała się najwyżej ukwiecona Ihuicamina.

Widać było, jak elektryzująco podziały te słowa na wszystkie uczestniczki uczy. No tak, biali przybysze! Do tej pory przecież rozmawiały o tym, co zawsze: o zbiorach, o przepowiedniach kapłanów, o rzemieślnikach i artystach... O wszystkim tym, co bezpieczne!

Jednak każda z nich – no dobrze, przynajmniej WIĘKSZOŚĆ z nich – tak naprawdę zainteresowana była czymś zupełnie innym.

– No właśnie, przybysze! Cozachtzonal słyszała, że mają zamiar zostać w mieście już na dobre. Skoro pożenili się z naszymi kobietami...

– Biedne, nieszczęśliwe stworzenia... – westchnęła Tepiltzin. – Oddane tym włochatym, dyszącym smrodem karykaturom wojowników. A jaki to przecież ciężar dla całego rodu, jaka skaza na korzeniach jego szlachetnego drzewa! Tepiltzin nie wyobraża sobie, że miałyby oddać własne dziecko na taką udrękę.

– Nie? – zapytała z rozbawieniem księżniczka Huemapichtli, doskonale przecież pamiętająca, jak nie dalej niż trzy zimy temu płaczącą dziesięcioletnią córkę Tepiltzin zaślubiano staremu, grubemu i ledwie poruszającemu się o własnych siłach księciu regentowi Eloxochitlowi z odległego, zimnego i półdzikiego, ale mającego doskonałych tkaczy Tzintzuntzan.

– Oczywiście, że nie. – Tepiltzin, zupełnie nie wyłapawszy przytyku, potrząsnęła głową, przy którym to ruchu zwieszająca się z jej podbródka wiotka skóra zafalowała jak u starej indyczki.

– Tak, tak, drogie siostry. Miasto nie jest już takie samo, odkąd przybyli biali. Nie da się nawet wyjść spokojnie na ulicę, nie można nawet kazać niewolnikom, żeby zanieśli lektykę na targ w Texcoco! – odezwała się z emfazą najłaskawsza Maxmapichtli. – Wszędzie to białe robactwo się rozpleniło.

– No właśnie! – podłapała ochoczo młoda księżniczka, która już zdążyła odzyskać głos po nadmiernie ochoczym podejściu do palenia fajki i teraz bardzo, ale to bardzo chciała nadrobić straconą pozycję w rozmowie. – Niech siostry

wyobrażają sobie, co słyszała Huemapichtli! Otóż przyjaciółka jej kuzynki, która nigdy nie powiedziała słowa nieprawdy, pływała w sadzawce jej ogrodów w Texcoco. W tym samym czasie poselstwo białych zwiedzało rezydencję pałacową, a kilku przybyszów zabłąkało się do ogrodu...

– Ojej, jak frywolnie... – Najwyżej ukwiecona Ihuicamina przeciągnęła się kocim ruchem, sięgając jednocześnie wolną ręką do misy podawanej jej właśnie przez umięśnionego, wymalowanego farbą w piękne wzory niewolnika.

– I co? Zapewne jeden ujrzał ją nagą, nieszczęsną – ciągnęła Tepiltzin, wychodząca z założenia, że wszystko musi skończyć się źle, a ona zawsze może powiedzieć „a nie mówiłam?”.

– No więc wiersze Yoliyamanitzna...

– Gdzież tam! – zaśmiała się Huemapichtli. – Nawet jej nie widział! Wyobraźcie sobie, siostry, że ona pływała w sadzawce, zażywając kąpeli, a on podszedł do brzegu, rozejrzał się, odwrócił do niej tyłem, ukucnął... i zdefekował do wody!

– Do sadzawki? – zapytała z niedowierzaniem Cozachtzonal. – Do stojącej wody, w której pływają ryby? To przecież ohydne!

– Tak! Ale co gorsza, albo i lepsza, nie podmył się nawet... Tylko... tylko... – Huemapichtli ledwie mogła mówić, wstrząsana spazmami śmiechu. – Zamiast tego... Podtarł się... ręką...!

– Ręką?!

– Podtarł się... ręką?

– Jak w ogóle można podetrzeć się ręką?

– Co zrobił? – Szlachetna Tepiltzin aż podniosła się i wyprostowała na swej macie, zapominając, że już trzykrotnie skarżyła się na ból pleców.

– Huemapichtli przysięga wam, siostry: ręką! Potem wytarł ją w trawę, ubrał się i poszedł dalej...! Tak było, Huemapichtli

nie zmyśla!

– Ohydne! – Wielce wyniesiona Quetzepoka wzdrygnęła się. Najwyraźniej zdecydowała, że nie ma sensu sztucznie próbować ugrzeczniać toku rozmowy, a lepiej zyskać więcej punktów towarzyskich na wpisaniu się w jej główny nurt. – Ale to prawda, siostry, że miasto nie jest takie samo, odkąd biali przybyli do Tenochtitlán. Przybysze łążą po nim bez sensu, krzyczą i pokazują palcami jak dzieci...

– A jak popiją, bo przecież piją cały czas, to się awanturują! Sami ze sobą biorą się za łby i kłócą o co popadnie. Nawet o kobiety! – wtrąciła się najłaskawsza Maxmapichtli. – Kto to widział?! Przecież tego kwiatu to pół świata. I o te błyskotki, o które mogliby się pozabijać nawet, albo o zwykłe, pospolite złoto!

– Yaotli i Yautli nie uważają, żeby złoto było pospolite – odezwała się jedna z dwóch identycznych sióstr bliźniaczek, dostojnie łaskawych żon Huexocha, wielce szanownego i światłego dowódcy wojowników Orła. Obie one wyglądały dokładnie tak samo, ubierały się tak samo... Przeważnie w złoto, którego nawet teraz miały na sobie więcej niż bawełny.

– Yaotli i Yautli mają prawo do własnego zdania – rzuciła komentarzem niczym obsydianowym nożem szlachetna Tepiltzin, sięgając po czarbkę z napojem.

– Tak, tak, siostry. Przez to, ile potrzebują goście naszego najwyższego Montezumy, coraz ciężiej jest dostać dobrą bawełnę. Czy oni ją jedzą? Albo rwą na nitki?

– I ceramika z Choluli podróżowała... – odezwała się po raz pierwszy od dłuższego czasu pani Xipil.

– Muszle też nie tanieją... To wszystko przez tych spekulantów z wybrzeża.

– Tak, to prawda! – zgodziła się z nią błyskawicznie Maxmapichtli, mimo że odkąd wyszła za mąż, nie kupiła sobie

sama nawet jednej pary sandałów. – Te ceny zaczynają być doprawdy zawrotne! Czemu szlachetny Tlilpotonqui, Mistrz Rzemieślników, nic z tym nie robi? To przecież rozbój w biały dzień!

– Rozbój to podobno był w Choluli... Albo i nie, bo rozbój uprawa się na ludziach, którzy wciąż żyją. A tam przecież wszystkich wymordowali – mruknęła najwyżej ukwiecona Ihuicamina, zsuwając się coraz niżej na swojej macie i nie wypuszczając z rąk dymiącej fajki.

– Co też najwyżej ukwiecona opowiada! Przecież to, co rozprowadają o Choluli, to tylko plotki – zdenerwowała się szlachetna Cozachtzonal.

– Jak to plotki? – zdziwiła się Quetzepoka.

– No przecież to niemożliwe, żeby tyle ludzi tam zginęło! Nikt by czegoś takiego nie zrobił... To bez sensu.

– Maxmapichtli też tak słyszała! – zaszepotała najłaskawsza. – Cholultekowie to przecież krętacze i oszuści, wszyscy o tym wiedzą! Siedzą tylko w swoich ciemnych domach, liczą ziarna kakaowca... I tak samo ludzie mówią, że Cholultekowie sami tylko tak rozprowadają!

– Ale po co mieliby...?

– Żeby ich wszyscy żalowali, ot po co! A te pożary, co były, to oni przecież sami własne domy podpalali. I to, że tam ktoś niby zginął, to też wojska króla Choluli same swoich mordowały. Tak, tak – oznajmiła Maxmapichtli. – Wyłączcie plotkarzy, siostry, a włączcie myślenie. Prawda zawsze leży gdzieś pośrodku.

– Nie no, to faktycznie jest niedorzeczne, jak się o tym słyszy – mruknęła Cozachtzonal, biorąc od wymalowanego niewolnika parę kawałków owoców. – Myślicie, że biali byliby do tego zdolni...?

– Biali są do wielu rzeczy zdolni, drogie siostry – odezwała się bardzo wymownie Ihuicamina.

Zapadła chwila ciszy, kobiety zamarły i spojrzwały na nią pytająco.

Najwyżej ukwiecona chyba spostrzegła, że stała się centrum uwagi, bo rozkleiła jedną powiekę, potem drugą... Ziewnęła, przeciągnęła się i podniosła niczym powoli budzący się kot.

– Ihuicamina ma nam coś do opowiedzenia? – Cozachtzonal delikatnie musnęła ją po zaplecionych w długie warkocze włosach, jednocześnie wyłuskując jej z ręki tubę z tytoniem.

– Ihuicamina gościła ostatnio jednego z białych wodzów. – Zdania opuszczały kształtne usta najwyżej ukwieconej leniwie, jak gdyby z niechęcią ulatując ku swobodzie wieczornego chłodu. – Gościła go w jej domu, w jej ogrodach... I wielu innych miejscach.

Dostojnie łaskawe Yaotli i Yautli spojrzwały na siebie z radosnym zainteresowaniem, po czym przesunęły się zdecydowanie bliżej na słomianych matach. Twarze pozostałych kobiet wyrażały dokładnie całą gamę emocji – od zde gustowanego rozczarowania aż do niemalże maniakalnej ciekawości.

– I co, i co? – Księżniczka Huemapichtli dopadła do najwyżej ukwieconej, wpiła jej się w ramię, ozdobione spiralnym naramiennikiem z jadeitu.

– Quetzepoka wyraża nadzieję, że pierwsza nałożnica króla Icnoyotzina nie mówiła o tym wybryku swojemu małżonkowi. – Gospodyni ucztę poruszyła się niespokojnie, pokazując, że jest głęboko wstrząśnięta... Ale jednocześnie też przysunęła się bliżej źródła świeżej plotki.

Ihuicamina potoczyła po nich wszystkich sennym wzrokiem, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Mążnek Ihuicaminy jest teraz na tym swoim durnym polowaniu. – Ruchem ręki odesłała niewolnika, który usłużnie podał jej misę z owocami. – Zaś Ihuicamina nudzi się w miesiącu Tititl. A co do białego... Kazałam go umyć i wyszorować, ale i tak pachniał jak dziki zwierz. I był włochaty, naprawdę włochaty. Oni wszyscy mają włosy... Tam.

Pokazała palcem pomiędzy swoje nogi.

– Ojej. Fuj! – Cozachtzonal skrzywiła się. – To czasem się zdarza u niewolników, ale...

– Cozachtzonal najwyraźniej nie rozumie, o czym mówi Ihuicamina. Mają włosy... TAM. – Pierwsza konkubina Itzapalpy pokazała palcem, ale teraz jej ruch wskazywał znacznie, znacznie niżej i zakręcał ku tyłowi.

– TAM?! – Pani Xipil skrzywiła się z niedowierzaniem, dając rzadki wyraz temu, że wbrew obiegowej opinii jednak posiadała emocje.

– Tam. To wyglądało... Niczym zarośnięty ciernistymi krzewami, ciemny wąwóz w górach. Ihuicamina nie chce nawet wiedzieć, co mogłaby w tym wąwozie znaleźć, gdyby nie kazała białego porządnie wyszorować...

– Obrzydliwe. Po prostu odrażające. Oni w ogóle nie dbają o żadną higienę! Tylko patrzeć, jak przez tych przybyszów zza Wielkiej Wody zalęgnie się u nas jakieś robactwo!

– Do łaźni by ich zagonić... Maxmapichtli nie wie, czemu najwyższy Montezuma na to pozwala.

– A łaźiebna ostatnio zadrapnęła Huemapichtli, niech sobie to siostry wyobrażą! Taką jej zostawiła pręgę, o! Jeszcze widać, a to wczoraj było przecież!

– Och! No to głupia kwoka! Cozachtzonal ma nadzieję, że Huemapichtli kazała ją oćwiczyć kijem po plecach!



– Niech siostry popatrzą, co przygotowała dla ich radości Quetzepoka. – Gospodyni klasnęła w ręce, dając znak zawczasu przygotowanym służącym. – Niech siostry patrzają, niech się dziwiają... Oto... biały człowiek!

Rozległy się westchnienia i stłumione okrzyki.

Na dziedziniec wyszedł, rozstawiając szeroko nogi, mężczyzna ubrany w poźółkłą koszulę, porwany dublet, pludry i mocno już sfatygowane, rozchodzące się przy podszwach buty.

Na głowę nasadzono mu nieumiejętnie kapelusz, w którym tkwiły wetknięte trzy kolorowe pióra.

Niemalże od razu dało się dostrzec, że kolor jego skóry nie był naturalny, bo przez grubą warstwę białego gipsu prześwitywała w pęknięciach ciemniejsza karnacja jednego z niewolników z południa.

Ale bez dwóch zdań, pierwsze wrażenie zostało zrobione!

Damy zaczęły wstawać ze swoich miejsc, podchodzić i oglądać tego żywego manekina. Dotykały nieśmiało grubej, szorstkiej tkaniny, patrzyły na szwy wywróconej na lewą stronę koszuli... Chichotały, pokazując na odznaczające się pod zbyt małymi spodniami przyrodzenie sługi.

– Jakie niepraktyczne! – skomentowała jako pierwsza księżniczka Huemapichtli, oglądając krój koszuli. – To przecież... to jest zszyte po bokach! Jakie dziwne rozwiązanie! A tutaj są dodane jakieś dwa takie długie tunele na ręce... Jak oni w tym mogą chodzić?

– I ta gruba, gryząca tkanina. To musi być niemiłe, gdy szoruje po skórze.

– Och, a niech siostry tylko spojrzą na to! Jakie to niedorzeczne przecież. Zupełnie niewygodne!

Rzeczywiście, sam sługa, jakkolwiek nawykły do bycia niewiele więcej niż elementem wyposażenia, wyglądał jak sto

nieszczęść, ledwie dając radę przestawiać nogi w zbyt dużych, rozkładanych butach z cholewką.

Zapewne nie wiedział i wiedzieć nie mógł, że na drugim końcu miasta, w pałacu Axayacatla, pan Ramon Valverde oglądał właśnie świeżutko zamówione, uszyte na zdjętą z niego miarę trzewiki, które obstałował jeszcze poprzedniego dnia u jednego z kaletników. Och, jaki cudowny interes życia zrobił – sprzedał wszystkie swoje stare ciuchy temu durnemu mexickiemu jeleniowi za taką furę złota!

– Zarządca domu Quetzepoki dał radę to zdobyć z wielkim trudem – pochwaliła się nieskromnie gospodyni. – Biali nie są chętni do oddawania tego, co do nich należy... Ale niech sobie siostry wyobrażą, że przybysz żądał za to zapłaty w złocie!

– W złocie? – skrzywiła się pani Xipil. – Co za brak pomysłu, doprawdy.

– W złocie, siostry! Nie w piórach quetzala, nie w obsydianie ani ziarnach kakaowca...

– Biali są doprawdy przezabawni z tym ich umiłowaniem tanich błyskotek – powiedziała Tepiltzin, demonstracyjnie nie zauważając wściekłych spojrzeń Yaotli i Yautli.

– Tacy głupi są, że aż ciężko w to uwierzyć! Jak dzieci naiwni!

– Podobno, ale tylko podobno... – zawiesiła głos Maxmapichtli, czekając, aż urwane zdanie ściągnie jej odpowiednio dużo uwagi. – Za kilka naszyjników potrafią oddawać noże z jasnego żelaza!

– Nie! Naprawdę?

– Tak Maxmapichtli słyszała, owszem! Noże, igły, a nawet brosze! Za drobniaki!

– Przecież kiedy najwyższy Montezuma sprzymierzy się z królem białego wodza Cortésa, to siostry Huemapichtli wykupią całe królestwo białych za bezcen!

– Hi, hi, hi!

– A czy siostry widziały te łodzie białych stojące przy nabrzeżu? Przecież jak na tym pływać można, kiedy to płótno łopocze nad głową? Ciekawe, czy będą płynąć nimi z powrotem do swojej krainy.

– Mogliby... I po drodze jeszcze raz spalić Cholulę. Cholulę powinno się profilaktycznie palić raz na pół wieku.

– Przydałaby się w ogóle Kwietna Wojna. – Ihuicamina ziewnęła. – Wtedy zawsze się coś dzieje.

– Wojownicy Orła są gotowi. Tylko najwyższego Montezumy nie widać – odparła jedna z bliźniaczek.

– Wojownicy Orła są zawsze gotowi – uśmiechnęła się do niej druga.

– Cozachtzonal nie wie, jak jej siostry, ale ona chętnie przepłynęłaby się na takiej łodzi białych. Gdzieś daleko, w nieznane kraje... Nawet za Wielką Wodę!

– Nasi mężczyźni ciągle gdzieś jeżdżą. A to polowanie, a to delegacja... Męża Cozachtzonal ciągle nie ma w domu.

– Jakoś trzeba sobie radzić. Czemu sobie Cozachtzonal nie wynajmie na ten czas białego? Wyjdzie jej to tanio...

– Hi, hi!

– Kiedy mąż Tepiltzin wyjechał kiedyś do Tehuantepec, to go dwa miesiące nie było. Och, to były długie dwa miesiące...

– A może sobie Cozachtzonal białego właśnie wynajmie?! – zaperzyła się szlachetna córka Amoxcapana. – Albo i na własność sobie go kupi, a co! Cozachtzonal zapyta ojca, czy ten nie zdoła jej załatwić białego...

– Ihuicamina poprosi jej białego wodza, kiedy ten znów do niej przyjdzie... Och tak – dodała pierwsza nałożnica króla Icnoyotzina, widząc znów skupiające się na niej spojrzenia. – Biały przychodzi do Ihuicaminy co tydzień. Ihuicamina poprosi

go, żeby przywiózł jej zza Wielkiej Wody dwóch białych chłopczyków.

– Biali chłopcy! – zapiszczała radośnie księżniczka Huemapichtli. – Och, Huemapichtli też chce dwóch! Niech przywiezie czterech, ale dla Huemapichtli takich zupełnie malutkich, kilkuletnich. Huemapichtli każe uszyć im piękne szaty, takie, jak mają biali wodzowie, i postawi ich przy drzwiach, żeby witali jej gości!

– To niemądre – powiedziała pani Xipil, zwyczajnie zła, że sama nie wpadła na taki pomysł.

– Tak, nie wydaje mi się, żeby to było rozsądne – zawtórowała jej najłaskawsza Maxmapichtli, która pomyślała dokładnie o tym samym.

– Trudno. – Księżniczka Huemapichtli wyduła wargi. – Huemapichtli i tak to robi.

– A to polowanie, na które pojechał dostojny mąż Cozachtzonal... Czy on przypadkiem nie pojechał razem z mężem Huemapichtli? Bo coś tak wspominał...

– Tak, poproszę go, żeby mi dwóch przywiózł... – leniwie mruknęła Ihuicamina, która w ogóle nie zarejestrowała prośby wielce wysokiej księżniczki Huemapichtli.

– Och, Quetzepoka musi powiedzieć siostrze, że nie może się już doczekać święta Izcalli. Jej matka kończy teraz osiemdziesiąty rok, a zawsze tak kochała ten miesiąc...

– A te nowe ozdoby z piór? Ten układacz z Wielkiego Targu to przecież skarb! Nikt nie robi piękniejszych przybrań głowy!

– Yaotli i Yautli i tak wolą złoto.

– ...a no tak, bo oni przecież na to polowanie razem pojechali! Gdzie to on mówił... A czy przypadkiem nie było tak, że mieli popłynąć do Tepetzinco?

Najwyżej ukwiecona Ihuicamina, pierwsza nałożnica króla Icnoyotzina z Iztapalapy, sięgała właśnie ponownie do misy

podstawionej jej przez tego samego umięśnionego niewolnika.

Wydała z siebie zaskoczone sapnięcie, kiedy jej ręka zamiast tego trafiła w pustkę, bo sługa w ostatniej chwili zabrał naczynie!

– Jak śmiesz...! – syknęła z oburzeniem.

Jednak służący nawet nie zwrócił na nią uwagi.

Zamiast tego odwrócił się do niej plecami, zupełnie bezceremonialnie przestąpił ponad śmiejącą się z czyjogoś żartu szlachetną Cozachtzonal.

Odprowadzany wściekłym spojrzeniem pierwszej nałożnicy, odtrącił na bok posługacza z wachlarzem z piór, przepchnął się pomiędzy dwoma wchodzącymi właśnie akrobatami i wyszedł z dziedzińca przejściem do kuchni.

Kręcili się tam ludzie, huczały paleniska i brzękały naczynia. Dym snuł się pod powalą, sącząc się z szeregu pieców, przy których klęczały dwójkami kobiety wypiekające świeże placki dla ucztujących. Pomocnicy darli właśnie pierze z dostarczonych ptaków. Ktoś szurał rytmicznie kamiennym tłuczkiem, ucierając w misie przyprawy na jednolitą masę.

Służący skręcił w bok przejściem ku spiżarni, z rozmachem odstawił misę na pierwszą lepszą półkę, tak że owoce aż rozsypały się z niej i potoczyły na podłogę. Ściągnął z głowy ozdobę z piór, rzucił w kąt i nawet nie zwalniając kroku, odsunął kotarę zasłaniającą wyjście na zewnętrzny podwórzec.

Stało tam jeszcze kilku pomocników, kuchmistrz klócił się głośno z dostawcą: jak to, zapomnieliście o jednym tuzinie jajek?! Mamy wszystko wyliczone co do sztuki! Nie dostaniecie zapłaty ani za te, ani za tamte...!

Sługa rozejrzał się, ściągnął z okalającego ogród z ziołami płotka czyjś płaszcz, zapewne odwieszony tam tylko na chwilę. Wytarł sobie nim twarz i ręce, ścierając pokrywającą ciało

farbę, a potem zarzucił go na ramiona i przez uchyloną bramę wysliznął się na ulicę.

Szedł szybkim krokiem, nie rozglądając się na boki, ale też strzelając oczami w ciemne zaułki. Raz i drugi obejrzał się przez ramię, a potem niespodziewanie skręcił, żeby skrócić sobie drogę.

Było już późno, Tenochtitlán spało... Kapłani dawno obwołali ze świątyni koniec dnia, obwieszczając, że dla ludzi pracy nadeszła pora odpoczynku i snu.

Na uczcie, z której tak gwałtownie wyszedł, odpoczywano.

W kuchni, którą minął, praca miała się już ku końcowi.

Jednak jego noc miała się dopiero zacząć.

W końcu skręcił z głównej ulicy, wszedł na niewielkie podwórko, a z niego przecisnął się wąskim przejściem pomiędzy dwiema ścianami, prowadzącym do zawieszzonego kocem wejścia.

Kiedy szarpnął nim i wszedł do środka, w oczy uderzyło go jaskrawe, rażące światło. Zasłonił twarz dłonią, zamrugał...

...gdy odzyskał wzrok, patrzyło na niego trzech innych mężczyzn, którzy do tej pory siedzieli w kucki przy otwartym palenisku pośrodku chaty.

Teraz jednak wstali, ściskając w ręku długie noże i maczugi o kamiennych ostrzach.

Potoczył po nich spojrzeniem, przełknął ślinę, żeby zwilżyć zaschnięte gardło, i rzucił tylko jedno słowo:

– Tepetzinco.

Dosłownie kilka uderzeń serca później wewnątrz chaty było już ciemne i puste.

Ani po dziwnym gościu, ani po trzech mężczyznach nie było ani śladu... I tylko dymiące resztki zalanego wodą paleniska świadczyły o tym, że jeszcze niedawno mogło stać się tu coś naprawdę istotnego.



Noc była nieprzenikniona, pełna niepokojących szmerów, szelestów i tajemniczych odgłosów, które nieodmiennie towarzyszą lasom tak gęstym i nieprzebytym jak te porastające zbocza Tepetzinco.

Potężne, niebosiężne drzewa wyciągały swe konary ku atramentowej czerni firmamentu, na którym mrugały tysiące, setki tysięcy gwiazd i jarzył się chłodnym blaskiem nieco już nadgryziony przez upływ kolejnego miesiąca niewoli dysk księżyca.

Dziki, rozkrzewione ponad miarę zarośla nawet za dnia przysłaniały widok, skrywając niczym jednolita ściana każdego stojącego dalej niż o rzut kamieniem.

Zresztą kto miałby zapuszczać się w taką jałową, przeklętą głuszę? Chyba tylko ci na tyle bogaci i zblazowani, żeby przybywać tutaj, do nawiedzonej puszczy, na polowania.

Tak, bo przecież lasy Tepetzinco były nawiedzone.

Najstarsi ludzie powiadali, że w czasach ich młodości natknąć się można było w nich jeszcze na resztki ruin, stanowiących wszystko, co pozostało po niegdyś wspaniałym pałacu księżniczki Icauhcali z królewskiego domu Texcoco.

Icauhcali poślubiono Nezahualpillemu, jednemu z synów legendarnego Nezahualcoyotla, tego samego, który zbudował wielką tamę na jeziorze, wstrzymał wody rzek, zawrócił bieg strumieni i sprawił, że Tenochtitlán wzniosło się ku swej dzisiejszej chwale... I tak jak syn nie dorównuje ojcu, tak czasy dostatku oraz dobrobytu zawsze poprzedzają lata upadku i degeneracji.

Gdyż jakkolwiek młoda, to księżniczka Icauhcali była rozpieszczona ponad miarę, pozbawiona sumienia i zepsuta do szpiku kości.

Powiadają, że była tak przesiąknięta złem i przewrotna, że gdy tylko znajdowała się sama w pałacowych komnatach, otoczona przez tych, co służyli jej i z racji splendoru jej imienia okazywali jej szacunek, od razu dawała upust swym chuciom, nurzając się w najbardziej wynaturzonych rodzajach rozpusty.

Czego jednak spodziewać się po tej, która otwarcie oddawała cześć mrocznej bogini nocy Ītzpāpālōtl, przez swoje błyskotki zaćmiewającej umysły ludzi, żywiącej się ich śmiercią i nieszczęściem?

Doszło już do tego, że gdy tylko zła księżniczka ujrzała jakiegoś przystojnego młodziana o pięknym ciele, takiego, który przykuwał jej uwagę i był w stanie zadowolić jej wygórowane wymagania, od razu rozkazywała swoim sługom, by sprowadzili go potajemnie do jej komnat.

Tam, nasyciwszy żądze swego ciała, nakazywała tym samym sługom, by pozbawili młodzieńca życia, zaś zwłoki wrzucili do jeziora. Najpierw jednak Icauhcali przykazywała swemu nadwornemu rzeźbiarzowi niemowie, aby ten sporządził posąg na podobieństwo zabitego nieszczęśnika.

Potem posąg taki księżniczka własnoręcznie ubierała w piękne szaty, ozdabiała złotem i drogimi kamieniami, a w końcu stawiała w swojej ulubionej sali, gdzie spędzała większość dnia. Powiadają, że było ich już tyle, że stały pod każdą ścianą i nawet na korytarzu...

Zaś gdy jej mążnek, król Nezahualpilli, pytał o posągi, ona odpowiadała, że to jej dar dla bogów.

Jednak znalazł się jeden młody wojownik, którego księżniczka Icauhcali nie kazała zgładzić, taki był piękny



i powabny. Zamiast tego zapraszała go do swych komnat co noc i obsypywała podarkami.

Król w końcu nabrał podejrzeń, widząc, że jego małżonka każdej nocy sypia we własnym łóżu, nie chcąc go widzieć. Udał się więc do komnat księżniczki i zażądał widzenia z nią.

Służba próbowała powstrzymać go, mówiąc, że Icauhcali już śpi, ale nie uwierzył im.

Gdy wszedł do sypialni królowej, ujrzał jej kształt w łóżku; służba znów próbowała przekonać go, by wyszedł, lecz on nie uwierzył i kazał przynieść światło. Gdy przyniesiono kaganek, król zobaczył, że rzeczywiście w łóżku ktoś leży... Jednak po raz kolejny nie uwierzył sługom, że to ona, i szarpnięciem ściągnął koc.

I wtedy król przekonał się, że to nie królowa leży na pościeli, lecz uczyniona przez zręcznego niemowę gliniana rzeźba, pomalowana tak, by udawać śpiącą władczynię.

Król wpadł w gniew i ruszył dalej, do sąsiedniej komnaty, gdzie stały gliniane posągi.

Tam zaś, na samym środku sali, znalazł księżniczkę Icauhcali spółkującą nie tylko z pięknym wojownikiem, ale i dwoma innymi mężczyznami, których upodobała sobie na tę noc.

Mówią, że Nezahualpilli dobył miecza i jednym cięciem odrąbał razem głowy swojej niewiernej żony i jej kochanka, zaś potem zabił dwóch pozostałych zdrajców.

Następnie rzucił się na służbę, która też uczestniczyła w spisku.

Potem własnoręcznie podpalił dom, który nie dał mu szczęścia.

Na koniec zaś, ogarnięty smutkiem i zdruzgotany zdradą, sam rzucił się w płomienie.

Bogowie zaś zwałili ściany pałacu, aby ten na zawsze już stał się grobowcem dla złej księżniczki i jej małżonka o złamanym sercu.

Ile było w tym prawdy? Tego nie wiedział nikt. Jednak lasy Tepetzinco były ponure i mroczne nawet za dnia, zaś nocą nie zapuszczał się tutaj nikt, kto cenił sobie życie i zdrowie.

Natomiast dla niektórych były rzeczy cenniejsze.

– ...dlatego Cacama powiada braciom: nadeszła pora! Teraz jest ta chwila, aby zjednoczyć się przeciwko tyranii Mexików, którym biali przybysze skradli rozum, odwagę i złoto! To jest ta chwila!

Coanacochtzin zadrżał i zawinął się szczelniej w opończę, odwracając wzrok od ściany ciemnych, powykręcanych krzewów i drzew o gałęziach niczym wyciągające się ku niemu szpony. W sumie to cieszył się, że było tak zimno; zawsze mógł swoje dreszcze i szczękanie zębów zrzucić na ciągnący od jeziora chłód.

Nie był w stanie zrozumieć, dlaczego jego przyrodni brat, wielki król Cacama, wybrał właśnie takie miejsce i czas na to spotkanie. Czyż nie mogli zebrać się wszyscy w jakimś mniej złowieszczym, równie odludnym miejscu, ale za dnia?

No tak: przecież rzekomo udawali się na polowanie, przypomniał sobie.

Na całe szczęście rozpalili przynajmniej ognisko, w którego świetle widać było teraz poważne, pełne głębokiego zamyślenia twarze władców, którzy odpowiedzieli na wezwanie.

– Co dokładnie proponuje wielki król Cacama? – odezwał się po raz kolejny Nexozmotli, władca potężnego Coyohuacán. – Bo mówi i mówi, zamiast działać!

– Cacama proponuje: zjednoczyć się teraz i uderzyć na białych! Są ospali i nieruchawi, a teraz jeszcze podzielili swoje siły!

– Nadal mają magiczne rury, z których wyskakuje ogień – powątpiewająco wtrącił król Chalchiuhcotzin z Tlacopán.

– Ich broń leży osobno od ludzi! Poza tym nie ma ich wielu! Nie minie godzina, bracia, jak dzielni Mexikowie zabiją ich wszystkich, a potem będą spożywać ich ciała na chwałę bogów!

Tlazohcotl z Itzapalpy skrzywił się i odchrząknął znacząco.

– Mexikowie może i tak. Ale nie wszyscy są Mexikami. Co z mieszkańcami Itzapalpy?

– Co z Toluką? – zawtórował Nexozmotli.

– Wszyscy! – Król Cacama uniósł pojednawczo rękę. – Wszyscy będą spożywać ciała białych przybyszów! Cacama powiada tylko: uderzmy teraz!

– Przez Cacamę przemawia smutek i gniew. Gniew to zły doradca wojownika – warknął władca Matalcingo, niski i krępy Ezzahual. – Bracia Cacamy wiedzą, że Cacama stracił jednego z dwóch rodzonych braci, którego powiesili na sznurze biali przybysze. Serce Ezzahuala boleje razem z nim po stracie młodego Nezahuelquentzina... Ezzahual jednak chce pomóc Cacamie pomścić rodzzonego brata, a nie dołączyć do niego.

– Dlatego Cacama potrzebuje was wszystkich! – zawołał z pasją król Texcoco. – To nikt inny jak Cacama zwołał tu swoich braci! To on pierwszy powiedział: przyjdźcie, ja będę! Ze mną będą moi przyrodni bracia, Ixtlilxochitl i Coanacochtzin...!

Coanacochtzin wyprostował się i skinął poważnie głową, próbując na chwilę powstrzymać szczykanie zębów. Z kolei ich trzeci brat z innej matki, Ixtlilxochitl, zamruczał coś tylko niewyraźnie; widać było, że nie przejawia tyle entuzjazmu, ile można było się po nim spodziewać.

– Niech będzie: Nexozmotli wyruszy z Cacamą przeciwko białym złodziejom! – zgodził się w końcu władca Coyohuacán. – Jego armie staną wraz z armiami Texcoco, ich sztandary ruszą razem w bój...

– Śmierć białym! – krzyknął radośnie Tlazohcotl.

– ...i wygrają. Obalą Montezumę, wygnają z Tenochtitlán i przegonią za Wielką Wodę białych, aby ci już nie powrócili. Niech i tak się stanie – ciągnął Nexozmotli, niewzruszony wybuchem entuzjazmu. – Co dalej jednak?

– „Dalej”...? – Cacama zmrużył oczy.

– Dalej. Nexozmotli pyta: kto zostanie najwyższym królem na miejsce Montezumy?

Zapadła dość niezręczna cisza.

Cacama potoczył wzrokiem po sąsiadach, sojusznikach, przyjaciółach i krewniakach.

Widać było, jak wyraz tryumfu na jego twarzy stopniowo ustępuje miejsca najpierw zaskoczeniu, potem zdumieniu, niedowierzaniu, aż w końcu przechodzi w gorzkie zrozumienie.

Jednak powściągnął szybko te emocje, potrząsnął dumnie głową w założonym specjalnie na to spotkanie wojennym pióropuszu.

– To chyba oczywiste – rzekł.

– Nie, to nie jest dla nikogo oczywiste – zamruczał Ezxahual. – Jeśli jest to oczywiste dla Cacamy, niech powie on to swoim braciom. Ezxahual nie wie, kto zostanie najwyższym królem.

– Ten, kto wystawi najdzielniejszych wojowników! – wypalił bez namysłu w gorącej wodzie kąpany Nexozmotli.

– A może najliczniejszych? – zapytał przebiegle Tlazohcotl, znany z tego, że potrafił do swoich armii wcielać nawet ledwie odrośniętych od ziemi chłopaczków, każąc im stawać jeden drugiemu na ramionach, aby w ten sposób podbić liczebność tylnych szeregów oddziałów.

– Albo tych, co udowodnią, że zabiją najwięcej wrogów! – nagle zbudził się do tej pory milczący Ixtlilxochitl. – Niech ci, co

przyniosą najwięcej odciętych uszu, doznają zaszczytu, że to ich król obejmie tron Tenochtitlán!

– Ixtlilxochitl proponuje uszy liczyć pojedynczo czy podwójnie? – zainteresował się od razu Tlazohcotl.

– Bracia, bracia! – Cacama znów uniósł ręce, słusznie czując, że rozmowy po raz kolejny gotowe są wymknąć się spod kontroli. – Najważniejsza teraz sprawa to uderzenie na białych najeźdźców i obalenie uzurpatora Montezumy! Nie ma ich wielu, jak mówił braciom Cacama, i są rozdzieleni! Uderzmy na nich teraz!

– A potem się zobaczy? – Tlazohcotl uniósł brew.

– Najważniejsze to przegnać białych! Czy bracia zgadzają się z Cacamą?

Popatrzyli po sobie. W końcu to Ixtlilxochitl jako pierwszy skinął głową:

– Zgadzą.

– Zgadzą – przytaknął niechętnie Tlazohcotl.

– Zgadzą! – zawtórował Nexozmotli.

– Zgadzą... – powtórzył zupełnie odruchowo Coanacochtzin, któremu było zwyczajnie zimno i chciało się już spać.

Zresztą dochodzili do tych samych wniosków przecież już któryś kolejny raz.

Najpierw zawsze były płomienne deklaracje, buńczuczne słowa, zapewnienia, obietnice braterstwa... A kiedy dochodziło do kwestii podziału władzy po wygranej wojnie, nagle zaczynali łypać groźnie jeden na drugiego. Potem ktoś mówił coś uspokajającego, rozluźniali się – i od początku.

A on zasypiał tu na stojąco już od godziny i widział tylko, jak rozjeżdża mu się wzrok. Najpierw ognisko było jedno, a potem nagle robiły się dwa, zaczynały tańczyć wokół siebie, wirować i przenikać się, robiło mu się błogo, a potem...

– Nie śpij, bracie. Idziemy. – Ixtlilxochitl szturchnął go w bok.

Któryś z władców rozgarnął nogą dogasające ognisko, zaczął zdeptywać żarzące się popioły. Jeszcze inny zaśmiał się, stanął w rozkroku i podkasał tunikę, chcąc najskuteczniejszym sposobem zagasić żar.

Cacama i jego dwaj przyrodni bracia jako pierwsi ruszyli ledwie widoczną pomiędzy krzakami i drzewami ścieżynką, prowadzącą ku stojącym w zatoczce łodziom.

Kiedy wyszli na brzeg, Cacama obrócił się do nich, objął każdego po kolei i ucałował w oba policzki.

– Bracia po ojcu! Cacama dziękuje wam za zaufanie i za wsparcie, którym go obdarzyliście. Wracajcie teraz bezpiecznie do swych pałaców, a potem ślijcie posłańców. Nie miną dwa dni, a nasze armie będą gotowe!

– Cacama może liczyć na Ixtlilxochitla.

– Coanacochtzin też stoi ramię w ramię z Cacamą.

– Raz jeszcze, bracia moi po ojcu, Cacama dziękuje wam. Niech bogowie prowadzą wasze ścieżki!

Coanacochtzin wszedł do swego czółna, stojącego zaraz obok łodzi Cacamy. Kiedy odbili od brzegu, machnął jeszcze bratu na pożegnanie, a potem zawinął się w koc i oparł o podwyższenie na dziobie.

To dziwne, pomyślał sobie Coanacochtzin. Kiedy przyплыwali, wiosłarz na rufie łodzi Cacamy wydawał mu się mniejszy. Zdecydowanie mniejszy, węższy w barach. A teraz był masywny i miał takie dziwne włosy... Jakby splecione w strąki.

I nie był pewien, ale chyba w świetle księżyca zauważył jeszcze coś dziwnego. Jak gdyby linie malunków pokrywające przedramiona tamtego.

Podniósł się, obejrzał – ale łódź Cacamy była już zbyt daleko, aby miał coś dostrzec.

Coanacochtzin potrząsnął głową, a potem znów oparł się o dziób, otulił szczelniej opończę i mlasnął smakowicie, zamykając oczy.



## Rozdział 6

*Styczeń 1520*

**Z**drada! Zdrada, mości panowie, w którąkolwiek stronę się obrócić! Czyhają na nasze życie, spiskują na każdym kroku... Zdrada!

Caudillo zamarł w dramatycznej pozie oratora, z palcem wskazującym wyciągniętym ku górze tak, jak podpatrzył to ongiś na pradawnych rzymskich figurach i płaskorzeźbach.

Jego kapitanowie po prostu milczeli.

Nie bardzo wiedząc, jak mają skomentować te słowa, popis krasomówczy i całą sytuację, spoglądali spod oka jeden na drugiego i spozierali na klęczącego za Cortésem jeńca.

Cokolwiek sponiewierany, w podartych szatach, z rozbitym nosem i związanymi rękami, król Cacama mimo to patrzył



hardo po nich wszystkich. Nawet teraz, pojmany i uwięziony, nie sprawiał wrażenia człowieka przerażonego swoim położeniem.

Układ sił komplikowało jeszcze to, że sznur biegnący od założonej na szyję Cacamy pętli dzierżył nie sam Cortés, ale rzekomo trzymany przez niego w charakterze zakładnika Montezuma.

Zaś obok Montezumy stał kapitan Zahred, który rzekomo sam, bez jakiegokolwiek pomocy Kastylijczyków, tego całego Cacamę pojmał i doprowadził do pałacu.

I znów – doprowadził nie przed oblicze caudilla, ale właśnie Montezumy.

Słowem, sytuacja była cokolwiek dziwna.

Cortés, czując, że to do niego należy właściwe poprowadzenie dalszego ciągu tak dobrze i dramatycznie rozpoczętej, zwołanej ad hoc bladym świtem narady, zwrócił się teraz ku Montezumie.

– Marina, tłumacz...! Skoro widzę teraz, że Montezuma, mój brat i lojalny poddany króla Karola, udowadnia nie tylko słowem, ale i czynem, że możemy mu ufać, to niech tak będzie!

Malintzin zaczęła tłumaczyć. Montezuma zmrużył oczy, patrząc uważnie na Cortésa, który mówił dalej coraz mocniejszym, pewniejszym siebie głosem:

– Zbierzmy armię Montezumy! Wespół uderzmy na zdrajców z Texcoco, póki nie jest za późno! Niech zdrajcy poznają, czym jest prawowity gniew, który, jak to mówił Wergiliusz...

– Nie.

Caudillo urwał, zamrugał zdumiony.

Popatrzył najpierw na doñę Marinę, która rozłożyła bezradnie ręce.

Potem na Montezumę, który stał, jak stanął, nieporuszony.

– Co? – Potrząsnął głową.

– Nie – powtórzył Montezuma, z pewnym trudem wymawiając obce zgłoski.

Kapitanowie zaszumieli: ale jak to? Przecież on mówił to naszym językiem! Skąd, jak dał radę się nauczyć? Kiedy...?

Montezuma popatrzył wymownie na tłumaczkę, nabrał tchu i dalej mówił już w języku *nahuatl*:

– Wina Cacamy jest wielka, tak. Montezuma nie zgodzi się jednak na wojnę pomiędzy dwoma królestwami. Nie ogłasza się wojny tylko dlatego, że jeden król uważa drugiego za niegodnego, by ten rządził. Cacama mówi, że Montezuma nie jest teraz królem, i ma w tym rację. Cacama mówi, że Montezuma nie rządzi ze swego pałacu, i znów ma rację. Cacama mówi, że Montezuma jest nazbyt pobłażliwy wobec swoich gości... i w tym również ma rację.

Marina przetłumaczyła.

Ludzie milczeli, zupełnie już osłupiali.

Cortés wciągnął ze świstem powietrze, obiema rękami pokazał na klęczącego na posadzce jeńca:

– Ale... Ale przecież on chciał cię zrzucić z tronu! Proponował atak na nas, a potem rebelię przeciwko tobie!

– A jednak Cacama nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Jego serce jest zbolełe po stracie syna. Montezuma rozumie go i płacze wraz z nim. Montezuma próbował uratować nieszczęsnego Nezahuelquentzina przed niesłusznym wyrokiem Cortésa, ale biały wódz był nieprzejednany w swym ślepym, bezrozumnym gniewie... Wybaczcie, panie. Zapędziłam się – bąknęła i spuściła głowę tłumacząc słowa najwyższego króla doña Marina.

Cortés aż się zapowietrzył i sapnął, zerkając tylko na swoich kapitanów, którzy musieli przecież usłyszeć te

bezczelne, oczerniające go słowa...! Na szczęście żaden nie zareagował, a może po prostu umknęła im ta subtelność.

Odchrząknął, czując, że należy zmienić front.

– Nieszczęsny! – zwrócił się do Cacamy. – Jakież złe siły podkusiły cię, aby zwrócić się przeciwko swojemu królowi? Czemu chcesz wystawiać na próbę jego przysięgę wierności wobec naszego z Bożej łaski króla całej Hiszpanii, świątłego Karola?

Związany władca wysłuchał słów caudilla, na jego twarzy zagrał zły uśmiezek.

– Król Cortésa nie jest królem Cacamy – odparł. – Król Cortésa na pewno nie jest królem Montezumy. Cortés i jego ludzie są tu gośćmi. Nic im do spraw władztwa wśród Mexików.

– Byłeś przecież tam, w sali tronowej, gdy Montezuma przysięgał wierność królowi Karolowi...!

– Cacama był tam i słyszał każde słowo. Montezuma nigdy niczego takiego nie powiedział.

Cortés zerknął tylko wściekle na Marinę, ale ta przezornie nie podniosła nawet na niego wzroku.

– Czemu król Cacama źle życzy Kastyljczykom? – zmienił front, tym razem wyciągając błagalnie ręce. – Czyż uczynili mu kiedyś co złego? Jesteś, o możny i szlachetny panie, potężnym władcą, którego siła niewiele ustępuje nawet najwyższemu Montezumie! Dołącz lepiej do nas z własnej woli, abyśmy wspólnie, jako sojusznicy, mogli rządzić tymi krainami i podbić jeszcze więcej poza nimi! Słyszałem, że posiadacie tutaj coś jak trójprzymierze... Niech zatem odnowi się ono w przyjaźni potężnego Cacamy, najwyższego Montezumy... i mojej skromnej osoby.

Cacama spojrział wprost na caudilla, tym razem w jego oczach zapełgały niczym nieskrępowana nienawiść i pogarda.

– Cacama żałuje dnia, kiedy jego oczy pierwszy raz ujrzały Cortésa – wyrzucił z siebie. – Cacama żałuje, że kiedy z rozkazu Montezumy prowadził Cortésa do Tenochtitlán, nie zepchnął go z grobli, żeby ten, obciążony swoim pancerzem, utopił się w wodzie. Cacama już woli, żeby Cortés kazał wysłać go na śmierć. Tam, w zaświatach, Cacama zobaczy chociaż swojego brata. Lepsze już to, niż żeby musiał dalej słuchać próżnych pochlebstw Cortésa, łaszącego się do Cacamy niczym parchaty pies.

Caudillo wyprostował się gwałtownie, ze świstem nabrał powietrza.

W jednej chwili z jego twarzy spadła maska ugładzonej, sztucznej grzeczności, odsłaniając prawdziwe oblicze konkwistadora, na którym walczyły ze sobą o lepsze gniew, zapiekła uraza i boleśnie dotknięta duma.

– No cóż, panowie, na tym chyba zakończymy to przesłuchanie – powiedział sucho. – Panie de Alvarado! Z łaski swojej, weźcie tego ptaszka na spytki, zobaczcie, co może nam powiedzieć o tych skarbach, do których oddania rzekomo miał nakłaniać go Montezuma.

– Z przyjemnością... – zamruczał kapitan.

– De Sandoval, udajcie się do pałaców tych pozostałych pozał się Boże kacyków, którzy brali udział w spisku. Do jutra chcę ich tu wszystkich widzieć w łańcuchach!

– Tak jest, panie.

– Tobie zaś, przyjacielu i bracie... – zwrócił się do Montezumy, uśmiechnął się samymi ustami. – Dziękuję, że zwróciłeś się z tą sprawą do mnie. Cieszę się, że porozmawialiśmy sobie szczerze z królem Cacamą, bo zamierzam z tej pogaduszki wyciągnąć wnioski. Kapitanie Zahred, z łaski swojej, odprowadźcie jeńca...

– Którego? – zapytał Zahred głucho.

Cortés na chwilę zamarł, spojrzał na Zahreda i nie powiedział nic.



– Huēi Tlahtoāni postąpił nierozsądnie.

Montezuma zerknął na Zahreda z ukosa, pokręcił głową. Podmuchał na trzymaną w rękę czarę wywaru z nasion drzewa *xocolatl*, delikatnie siorbnął pierwszy łyk.

Siedzieli na tarasie pałacu Axayacatla, co powoli zaczynało stawać się dla nich obydwu porannym rytuałem, i patrzyli, jak nad Tenochtitlán budzi się kolejny dzień.

Obserwowali, jak na odległym rynku w Texcoco rzemieślnicy i kupcy rozstawiają swoje kramy, jak łodzie zaczynają przesuwać się swoimi mrówczymi szlakami po przestworze lazurowej toni otaczającego stolicę jeziora. Słuchali nawoływania kapłanów i dźwięku gongów, niosącego się ze szczytów piramid świątynnych.

Ostatnio widywali się dwa razy dziennie, zawsze z samego rana i wieczorem. Na rozpoczęcie i zamknięcie każdego cyklu słońca. Przy porannej filiżance *xocolatl* i wieczornej medytacji podczas obserwowania gwiazd.

Przeważnie kłócili się i rano, i wieczorem.

Montezuma zostawał na swoim tarasie, zaś wzburzony Xahuatl wstawał i wychodził... Lecz zawsze potem wracał jak gdyby nigdy nic.

Powoli, niezauważenie dla siebie samych, stawali się jeden dla drugiego częścią codziennego rytuału życia.

Niczym stare, dobre małżeństwo, myślał w duchu Montezuma.

– „Huēi Tlahtoāni postąpił nierozsądnie”. – Skrzywił się, przedrzeźniając Zahreda. – „Huēi Tlahtoāni powinien zrobić to, nie powinien robić tamtego”. Xahuatl uważa, że łatwo jest być najwyższym królem? Ile razy Xahuatl nim był?

– Najwyższym? Ani razu. – Zahred uśmiechnął się mimo woli, też dmuchając na swoją czarę.

Siedzący obok niego z wywieszonym jęzorem Kefren patrzył na pana, czekając, aż ten pozwoli mu zanurzyć pysk w podstawionej dla psa misce pełnej smakołyków.

– A jakimkolwiek innym?

– Zdarzało się, owszem – mruknął.

– Montezuma wyraża swoje zainteresowanie. I jak odnalazł się Xahuatl w tej roli? Czy od razu, gdy zasiadł na tronie, wiedział, co jest rozsądne, a co nie? Czy też nauka zajęła mu jakiś czas? Może... Może cały żywot nawet?

– Kilka. Kilkanaście na dobrą sprawę. No dobrze, kilkadziesiąt... W zasadzie to Xahuatl nie zliczy, ile ich było.

– Och, nie do wiary! – Montezuma udał rozbawione zdumienie. – I co? Czy Xahuatl posiadał już wszystkie tajniki bycia dobrym królem, że z taką łatwością doradza Montezumie? A może pragnie zamienić się z nim miejscami?

Zahred spojrział na niego ciężko, westchnął i pokręcił głową.

– Niech Montezuma nie idzie tą drogą – poprosił.

– Dlaczego? Skoro Cacama uważa, że dałby sobie z tym radę, a Xahuatl bez trudu pojmał i spętał Cacamę, to czyż nie jest lepiej od niego przygotowany? – prychnął Montezuma. – Skoro biały wódz Cortés już teraz mówi i zachowuje się tak, jakby był jednym z władców trójprzymierza, mimo że nie potrafi powiedzieć o nim więcej niż roczne dziecko, wciąż srające sobie po nogach? Może faktycznie niech to Xahuatl zostanie najwyższym królem?!

– Najwyższy Montezuma jest rozzłoszczony. Może Xahuatl powinien wezwać Ohtlego Kronikarza, aby zapisał ten wiekopomny fakt dla przyszłych pokoleń?

– Najwyższy Montezuma nie jest rozzłoszczony, tylko zawiedziony Cacamą. Najbardziej jednak zawiedziony jest tym, że Xahuatl uparcie odmawia pogodzenia się z tym, co jest.

– A co jest, o Najwyższy?

Montezuma wypił do końca swoją porcję wywaru, przeciągnął palcem po wewnętrznej stronie czarki i oblizał go, cmoknąwszy głośno. Służąca od razu podeszła, zabrała z rąk władcy naczynie.

– Jest to, że Xahuatl przybył tutaj, tak jak chciały tego przepowiednie. Przybył, aby ponownie objąć we władanie ziemie, które bogowie powierzyli Mexikom, a przed nimi innym władcom tylko pod tymczasową opiekę. Jest tak, że to Xahuatl, a nie Cacama, zasiądzie na tronie Montezumy, gdy ten w końcu odejdzie do przodków.

– Najwyższy król znów zaczyna swoje. Czy ten poranek nie jest zbyt piękny, aby psuć go jałową kłótnią?

– Niech więc Xahuatl zgodzi się z Montezumą.

– Xahuatl zacznie zgadzać się z Montezumą, kiedy ten zacznie sam podejmować decyzje, a nie przybiegać ze wszystkim do Cortésa. Po co wydał mu Cacamę i innych? Mógł zachować tę wiedzę dla siebie.

– I pozwolić, aby rana w sercu króla Texcoco dalej jątrzyła się ropą?

– To jego rana, nie Montezumy.

– Nie. – Najwyższy król pokręcił głową. – Każda rana na ciele poddanego Tenochtitlán boli właśnie Montezumę. To miasto Montezumy, to ludzie Montezumy. On jest im ojcem, oni są jego dziećmi. To właśnie Montezuma ponosi za nich

odpowiedzialność, tylko i wyłącznie on. Dlatego Montezuma nie pozwoli, aby cierpiał ktoś inny.

– Niech tylko znów nie zaczyna swojego wywodu o mesjanizmie... – Zahred sapnął i przewrócił oczami.

– Montezuma przyjmuje na siebie grzechy całego Tenochtitlán – oświadczył tamten z zadowoleniem, sięgając do miski po kawałek placka.

– Montezuma nawet nie wie przecież, czym jest grzech. Nawet Xahuatl na dobrą sprawę nie wie, czym miałyby on być. To tylko słowo, wymyślone dawno temu przez kapłanów, aby ludzie czuli się źle i słuchali ich bez zastanowienia.

– Montezuma nie musi rozumieć, czym jest wywar *xocolatl*, aby lubić jego smak i czuć się po nim dobrze.

– Z tą różnicą, że w odróżnieniu od grzechu, wywar *xocolatl* istnieje naprawdę.

– Hm... – Najwyższy król zastanawiał się chwilę. – To prawda. Niemniej jednak Montezuma poświęci się na ołtarzu bogów, aby jego miastu nie stała się krzywda. Zaś król Cacama jest teraz jak ten, który wyciągnął miecz w obronie Syna Bogów, gdy nocą pojmali go źli ludzie.

– Kefas zwany Piotrem i strażę arcykapłanów w ogrodzie Getsemani? Och, doprawdy! – Zahred bezsilnie podniósł ręce i klasnął nimi o kolana. – To w rzeczywistości nawet się nie zdarzyło! Xahuatl przecież rozmawiał z centurionem, który pilnował wtedy porządku w Jerozolimie, i nie było nawet śladu w raportach po takim zdarzeniu!

– Niemniej tak stanie się teraz. Biały wódz Cortés upokorzy Montezumę, obedrze go z szat i zmusi, by ten patrzył na cierpienia jego ludu. Potem Montezuma odejdzie, zabrany do bogów, zaś Xahuatl zajmie należne mu miejsce na tronie Tenochtitlán...



– A może Xahuatl jest w tym wszystkim szatanem? – syknął Zahred jadowicie. – Tym, co mówi Montezumie: spójrz na wieże i świątynie Tenochtitlán! To wszystko może ponownie być twoje, jeśli tylko zaczniesz czynić to, do czego jesteś stworzony! Może nie potrzebujesz tego wszystkiego, tego bólu i cierpienia, ułudy moralności? Może twoi bogowie oszukali cię, zostawili samego w tym wielkim, przerażająco pustym świecie bez przyczyny i celu? Może oszukujesz się sam, wmawiając sobie, że możesz być czymś innym, niż w rzeczy samej jesteś...?!

Montezuma skończył przeżuwać placek, przełknął. Nie spuszczać z Zahreda wzroku, uśmiechnął się ciepło.

– Xahuatl jest pewien, że po raz kolejny nie mówi o sobie?



Kolejny wrzask przerażenia przeszył powietrze, po chwili przechodząc w nieartykułowany skowyt.

Stojący na placu ludzie zaśmiali się głośno, widząc, jak przywiązany do drewnianego słupa nieszczęśnik wierzga i przebiera nogami, gdy pod jego pięty podtykano kolejne żarzące się głownie z ogniska.

Och, jak tańczy! Jak wije się i rzuca!

No popatrzcie tylko na niego!

Ależ artysta, co za pląsy wyczynia!

Niejeden kuglarz i akrobata mógłby się od niego uczyć...!

– Dość. – De Alvarado machnął ręką, wycierając z brody sok ciekący z nadgryzionego owocu. – Ojczy de Aguilar, zapytajcie go, z łaski swojej, czy chce nam powiedzieć coś jeszcze.

Zakonnik przeżegnał się i podreptał ku miejscu kaźni.

Ludzie z żagwiami odsunęli się, dopuszczając duchownego, który nachylił się do ubranego tylko w przepaskę biodrową, spoconego, pólżywego z bólu i przerażenia, dyszącego ciężko króla Cacamy. Zamienił z nim kilka słów, powtórzył pytanie... Upewnił się co do odpowiedzi, marszcząc czoło w skupieniu, aby właściwie zrozumieć słowa w niełatwym wciąż dla niego języku *nahuatl*.

– Twierdzi, miłościwy panie, że coś jeszcze jest zamurowane we wschodniej ścianie komnaty z... e... drzewami o kolorze zimnego słońca?

– „Drzewa o kolorze zimnego słońca”, tak? Chłopcy, żywo! Złapcie kilka młotów, poszukajcie, czy znajdziecie tam jakieś „drzewa o kolorze zimnego słońca”... Albo, tak dla pewności, jakiegokolwiek drzewa! – zaśmiał się de Alvarado, pokazując ludziom na wejście do pałacu.

Konkwistadorzy zerwali się, chwycili za przyprószony gipsowym pyłem narzędzia i z radosnym wyciem rzucili się ku schodom wiodącym do pałacu królewskiego w Texcoco.

Na dziedzińcu już teraz piętrzył się niemały stos złotych i srebrnych ozdób, mis, tarcz, naszyjników, pierścieni, figurek z jadeitu i wszelkiego innego dobra, wywleczonego z komnat i sal pałacu.

Biali wciąż jeszcze wysypywali się z wnętrza budowli, wynosząc całymi naręczami te bezcenne wręcz dzieła sztuki, które bezceremonialnie zrzucali na jedną hałdę.

Wszystko to, co ich nie interesowało – bele materiału, pięknie tkane maty, stroje i zasłony z kolorowych piór, wspaniałej roboty ceramikę, pisane na zwojach z włókien agawy kodeksy i kroniki – po prostu zrzucali w kąt obok schodów, odsiewając niczym plewy od ziaren.

Schodzący właśnie od wejścia Pedro Sánchez Farfán z dumą pokazał towarzyszom niesiony w dwóch rękach złoty

dzban, a potem, śmiejąc się, przechylił go nad hałdą śmieci.

– Patrzcie, mam róg obfitości! – zarechotał, gdy ziarna kakaowca posypały się ciemną, szumiącą kaskadą, rozpryskując się wszędzie dokoła.

Ci z mieszkańców i służących pałacu, którzy jeszcze zwyczajnie nie uciekli, patrzyli na to w niemym, niedowierzającym przerażeniu. Dlaczego, po co biali najeźdźcy brali rzeczy o tak małej wartości, jednocześnie nie zwracając uwagi na to, co było wręcz bezcenne?!

W otwartej na oścież bramie pojawiło się tymczasem dwóch białych kapitanów. Stanęli obaj jak wryci, patrząc na tę scenę rodem z sądu ostatecznego, przez chwilę nie mogąc zorientować się, co w ogóle się działo...

– Panie de Alvarado! – zawołał jeden z nich, Vázquez de Tapia. – Caudillo zapytuje, co tak długo wam schodzi... Ale widzę, że tutaj żniwa w pełni!

– Pochwalony, dobrzy panowie! – odkrzyknął de Alvarado, zdejmując z głowy kapelusz i machając nim na przywitanie. – Ano, to grzybobranie raczej niż zbiory winnych gron, bo pochowane wszystko mają skrzętnie... Ale kto wie, może jakby naszego królika Cacamę porządnie nogami poprzydeptywać, to i coś jeszcze się z niego wyciśnie!

– Na razie widzę, że na własnych dwóch już daleko nie ujdzie – mruknął drugi z gości, Rodrigo Rangel, patrząc, jak któryś z ludzi znów przystawia płonącą żagiew do pięt pojmanego króla. Cacama zawył dziko, rzucił się w więzach; ludzie zarechotali. – Nie za ostro z nim poczynacie, panie...? Nie to, żebym krytykował czy wstawiać się za nim chciał, Boże uchroni. Tak tylko pytam, czysto technicznie.

– Gdzie tam! Ledwie go ogniem musnęliśmy, a on już drze się tak, że ledwie głosu może dobyć... Bojaźliwy ten naród tutejszy!

– Prawda – przyznał de Tapia, rozglądając się po otaczających dziedziniec Mexikach, patrzących na nich pustym wzrokiem. – Stoją i gapią się jak te śnięte kury na grzędzie... Na całe szczęście, bo powiem wam, panowie, że coś dużo ich. I na nas patrzyli wilkiem, jak żeśmy przez miasto teraz szli.

– Było z rusznicy w powietrze wypalić, od razu by się rozbiegli. Z nimi krótko trzeba, siłą... Sam caudillo mi tak poradził, a jemu miał to Montezuma powiedzieć.

– Dziwny ten kraj i jego król, co rad przeciwko własnym ludziom udziela. Ale powiem wam, panowie, że jakby takich hardych i bitnych jak ten – de Tapia ruchem głowy pokazał na Cacame – znalazło się więcej, to marny byłby nasz los. Czapkami by nas w tym cholernym mieście nakryli.

– Ale póki co nie nakrywają! – zaśmiał się de Alvarado.

– Sporo żeście już tego zebrali, panie... Tyle samo, co w poprzednim transporcie? – zaciekawiał się zgromadzonym złotem Rangel.

– E, chyba nie... Panie de Cáceres, ile już mamy?!

Majordomus Cortésa, wysłany z nimi jako rachmistrz, podniósł tylko w górę palec, dając znać, że zajęty jest liczeniem stawianych na papierze kresek.

W końcu nabazgrał coś na pergaminie – a jego znaków nie pojmował nikt, jako że sam pan de Cáceres, jakkolwiek doskonale znał się na dodawaniu, odejmowaniu i przeliczaniu, to był kompletnie niepiśmienny – podniósł głowę i ściągnął z nosa okulary w drewnianej oprawce.

– Będzie już pod sześć tysięcy trzysta pesos, panie. Dodać odjąć sto pięćdziesiąt, mogłem się gdzieś w obrachunku zmylić.

– Mało – stwierdził de Tapia.

– Mało?! – De Alvarado rozłożył ręce. – W dodatku do tych piętnastu tysięcy, co je wczoraj odesłaliśmy?!

– Ścigacie się z nie byle kim, panie, bo tam nasz caudillo też do roboty przystąpił! – zaśmiał się Rangel. – Jak żeśmy wyruszali tutaj do was, to właśnie klarował Montezumie, że nasz król prowadzi wojnę w odległej Italii... Uwierzycie?!

– Italii? A co ona tu ma do rzeczy? – Szczerze zdumiony de Tapia potrząsnął głową.

– Ano tyle, dobry panie, że wojny przecież kosztują! No a skoro Montezuma jest wasalem naszego króla, to...

– ...to i zrzucić się na wysiłek zbrojny powinien! – dokończył radośnie de Tapia.

– I co?

– Jak to: i co? Wysłali kolejną grupę do jakiegoś ichniego pałacu, mają się tam rozejrzeć.

– Nie do pałacu, tylko do ptaszarni – poprawił go Rangel. – Tej, co stoi niedaleko od naszego garnizonu. Byliście tam chyba, panie?

– Ach, do Domu Ptaków. Tak, faktycznie – przyznał de Alvarado.

– No! Więc poszła tam z nimi sama doña Marina, a ona przecież nikomu ani niczemu nie przepuści... Wiecie, jakie są kobiety! Już ona wszystko stamtąd wyciągnie!

– Apetyt rośnie w miarę jedzenia... O, a to ładne macie. – De Tapia pokazał palcem na złoty wisior widoczny pod rozchełstaną koszulą de Alvarada. – Nie widziałem wcześniej. Tutaj taki znaleźliście?

De Alvarado stropił się wyraźnie, pospiesznie zapiął guzik.

– Nie, to wcześniej już... dostałem – wymamrotał.

– Dostaliście, panie? Fiu, fiu... A gdzie to takie rozdają, co? Może i my się przejdziemy? – Rangel szturchnął towarzysza łokciem, puścił porozumiewawczo oko.

Cacama zaskowyczał po raz kolejny, rzucił się w więzach pośrodku pełnego rozkradanego właśnie dobra dziedzińca

swego własnego pałacu.



– Chodźcie tutaj, Mexikowie! Przyjdźcie pospiesznie, bo Kastylijczycy zaznali wielkich trudów, umęczyli się ponad miarę! Nuże, przynieście im jedzenie w misach! Dajcie świeżą wodę w stągwiach! Chyżo, zbierzcie wszystko, co potrzebne dla waszych nowych panów!

Malintzin, stojąca w szerokim rozkroku na dachu Domu Ptaków, odsunęła dłonie od ust i popatrzyła na zgromadzonych na ulicy poniżej ludzi. Ona patrzyła na nich, a oni na nią.

Tylko że jej wzrok był wzrokiem tej, która szybuje wysoko ponad światem, ledwie widocznej na tle błękitu nieba. Tej, która spogląda w dół, widząc sprawki ludzi jako drobne i nieistotne, błahe w swej codziennej krzątaninie. Ona spoglądała na nich wzrokiem drapieżnego sokoła.

Zaś oni... Oni patrzyli na nią tępą galaretą oczu, które przesłaniała mgła doczesności, nieustającej krzątaniny pomiędzy rzeczami nieistotnymi. Gdyby tylko знаła to specyficzne słowo w swoim języku, to zapewne pomyślałaby o nich krótko: bydło.

Tym właśnie byli dla niej – zwierzętami.

Żałosnymi dwunożnymi zwierzętami, które kaprys któregoś z bogów rzucił na ten świat. Bezrozumnymi, pozbawionymi nie tylko pełni własnej woli i świadomości swego bytowania, ale i jakichkolwiek praw.

Bo prawo, jak zawsze, należało do tego, kto je sobie wzięł.

Malintzin wykrzywiła się w złym uśmiechu, znów złożyła dłonie przy ustach i zawołała:

– Cóż to, Mexikowie? Czemu nie chcecie przyjść, dlaczego nie czynicie tego, co każe wam dostojna Wysoka Trawa?! Skoro nie robicie tego, co mówi wam wasza nowa pani, to znaczy, że jesteście krnąbrni i gnuśni! Leniwi jak drzemiący niewolnicy... A niewolników karze się kańczugiem!

Jednakże oni nadal patrzyli na nią, milczący i bierni, osłabli ze strachu.

Na nią – i na ogromną żywą bestię, powoli pożerającą ich miasto i cały ich kraj.

Bo przecież tam, za bramą, na której stała ona, uwijali się Kastylijczycy, plądrujący komnaty Domu Ptaków, wynoszący na zewnątrz i układający w stosach wszystko to, co ich zdaniem przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Cokolwiek, co lśniło i błyszczało, mamiło wzrok, wydawało się jakkolwiek ciekawe.

Ogromne wachlarze z piór quetzala.

Potężne szczerozłote tarcze.

Prostokątne tablice sztandarów.

Złote obręcze, naszyjniki, bransolety i naręczaki, ozdoby nosa i warg, opaski na kostki i łydki, diademy i pierścienie.

Wszystko, na czym tylko widać było złoto.

Wszystko.

Śmiali się przy tym radośnie, żartowali i pokazywali sobie na latające wszędzie, powypuszczane teraz z również pozabieranych złotych klatek ptaki.

Świergot, ćwierkanie i piskliwe krzyki latających teraz wszędzie pierzastych towarzyszy napełniały powietrze, wibrowały w uszach... Nie wiedząc, co mają zrobić z tak nagle odzyskaną wolnością, dzikie ptaki przysiadły na gzymsach, na oknach albo wręcz i na hełmach konkwistadorów. Inne znów przechadzały się po posadzce, krocząc dostojnie pomiędzy ludźmi rabującymi skarbcę i obtłukującymi tynki ze ścian.

Na podwórcu przed menażerią siedziało już kilkunastu Kastylijczyków, krótkimi nożami obkrawających złote pokrycie z drewnianych i glinianych posążków. Obierających niczym dojrzałe jabłka złoczone kule. Zestrugujących długimi pociągnięciami ostrzy warstwę po warstwie z przedmiotów, które pieczołowicie pokrywały szlachetnym, miękkim kruszcem niezliczone pokolenia najlepszych rzemieślników w Tenochtitlán.

Tak przygotowany urobek wrzucano potem do wytoczonej przed Dom Ptaków wielkiej kamiennej misy, a w niej do dźwięków piszczalki, na której radośnie fałszował Alixandre Catarribera, tańczyło, w ciężkich buciorach i trzymając się za ręce, dwóch najtęższych spomiędzy konkwistadorów.

Złoto skrzypiało i chrupało przy każdym ich kroku, powoli zamieniając się pod obcasami podkutych buciorów w jednolitą, popękaną masę.

Kiedy zaś oni zziąjali się i zmęczyli, Catarribera przestawał grać, zaś ugniecioną złotą papkę wygarniano łopatą do wiader, którymi potem przenoszono ją na wagę, zaś wyniki ważenia skrętnie zapisywał sumienny jak zawsze pan Cristóbal de Guzmán.

Malintzin znów potoczyła wzrokiem po stojącym pod nią ludzkim bydle.

Już, już gotowa była zawołać po raz trzeci – jednak wtedy dostrzegła, że przez tłum przeciska się kilkunastu Mexików, niosących misy i stągwie.

– Szlachetni panowie! – krzyknęła zamiast tego do konkwistadorów. – Obiad podano!

Ci wrzasnęli radośnie, cisnęli robotę tak, jak stali, i rzucili się ku wyłaniającym się z tłumu ludziom. Zaczęli wyrywać im półmiski, wyszarpywać sobie nawzajem placki i pojemniki,



rozchlapując na ziemię wodę i *pulque*, depcząc rozsypaną żywność...

Zaś Malintzin stała ponad nimi wszystkimi, sycąc się tą chwilą.

W tym momencie była ponad. Ponad tym miastem, ponad tymi ludźmi.

I tylko piramidy górowały jeszcze nad nią.

Kobieta pochyliła głowę, patrząc spode łba ku znajdującym się na ich szczytach świątyniom.

– Mieście się na baczności, bo oto nadchodzę – powiedziała niskim, gardłowym głosem w języku, który na pewno nie był szlachetną mową *nahuatl*.



– No i co w końcu? Ile tego?

Szturchnięty w plecy pan de Cáceres syknął z niezadowoleniem, ale podniósł wzrok na stojącego nad nim caudilla i przywołał na twarz uśmiech.

– No więc, panie, po przeliczeniu kruszcu wedle obowiązującej wagi, a także uwzględniając to, co zostało już odjęte dla Korony... Przypominam, że piąta część łupów należy się naszemu królowi...

– Wiem, wiem przecież!

– Tylko przypominam, panie. No więc po odliczeniu królewskiej quinty w wysokości trzydziestu dwóch tysięcy pesos...

Słyszając to, Cristóbal de Olid zagwizdał znacząco: suma musiała być niebagatelna!

– ...i następującym odliczeniu kolejnej piątej części, przypadającej waszej dostojności jako admirałowi armii królewskiej...

Tym razem kilku kapitanów pokręciło głowami, cmoknęło: ajjj, no tak! Sami przecież się na to zgodzili, jeszcze na samym początku wyprawy!

– ...suma pozostająca do podziału wynosi wedle moich przybliżonych obrachunków sto dwa tysiące i czterysta pesos. Oczywiście, w tym zawarłem już wynagrodzenia dla obsady statków, żeglarzy, koszt koni, gażę dla naszych kapelanów, garnizonu w Vera Cruz i temu podobne – zastrzegł od razu pan de Cáceres.

– Sto tysięcy... Fortuna! – sapnął de Saucedo, przegarniając włosy do tyłu. – Mości panowie, jesteście wszyscy bogaci!

Panowie Velázquez de León i Gonzalo de Mexía, stojący po przeciwnych stronach otaczającego caudilla kręgu, spojrzeli jeden na drugiego niechętnie. Nie dalej jak tydzień temu posprzeczali się o nic innego jak o pieniądze właśnie... I to w dużej mierze dzięki nim – albo raczej z ich winy – zarządzono tę wielką inwentaryzację łupów.

Sprawa była trywialna: pan Gonzalo de Mexía pełnił rolę skarbnika armii, odpowiedzialnego między innymi za właściwe wyliczenie królewskiej quinty.

Z kolei pan Velázquez de León, urządzający swoją kwaterę w pałacu i ciągle piłowany przez niedawno poślubioną indiańską małżonkę, zamówił za niemałe pieniądze u lokalnego rzemieślnika komplet złotych talerzy.

Pan de Mexía, pomny swych obowiązków, upomniał się, aby de León wniósł do skarbu królewskiego piątą część od zapłaconej sumy.

Ten z kolei stwierdził, że pieniądze otrzymał jako premię z prywatnej kiesy caudilla, więc nie będzie płacił z niej podatku

dwa razy.

Od słowa do słowa wzięli się w końcu za łby, po czym sięgnęli po broń, pokłuszy się i pociąwszy znacznie, nim nadbiegły straże i obu rozdzielili.

Caudillo zezłościł się na to bardzo.

Kazał zakuć obu w dyby i umieścić w celi niedaleko więzienia Montezumy. Na domiar złego najwyższy król musiał usłyszeć, jak ranny pan de León jęczy nocami pod ciężarem oków – a może zwyczajnie przeszkadzało mu to w medytacjach na tarasie? Dość, że to właśnie Montezuma wyblągał po kilku dniach u Cortésa zwolnienie obydwu nadmiernie krewkich kapitanów.

Pan de Mexía utrzymywał jeszcze co prawda, że podczas bójki i zatrzymania miał przy sobie warte trzy tysiące pesos złoto, które odebrano mu wtedy i nigdy nie zwrócono – ale przezornie wolał trzymać język za zębami, nie drażniąc dalej i tak już mocno nerwowego admirała.

Niestety, powściągliwość nie była cechą powszechną.

– Mało coś, faktycznie... – skrzywił się de Saucedo, mający od zawsze nosa do pieniędzy. – Dałbym sobie głowę uciąć, że ze dwa albo i trzy razy tyle powinno wyjść. Nawet jeśli policzyć, to przecież...

– Panowie kapitanowie, towarzysze! – Caudillo wystąpił ku nim, rozkładając kordialnie ręce. – Za waszą wytrwałą służbę, za waszą wierność sam oddam z własnej kiesy po... po pięćset pesos dla każdego z was!

No dobrze, to już był konkret.

– A co ze zwykłymi żołnierzami? – zapytał jak zawsze pragmatyczny Juan Núñez Sedeño, dawny właściciel statku z zaopatrzeniem, który przyłączył się do wyprawy, jeszcze gdy płynęli tu z Hiszpanii. – Po ile na łebka dla nich?

– ...osiemdziesiąt pesos w złocie? – zaproponował caudillo.

– Będą sarkać, panie – przestrzegł od razu pan ogniomistrz de Orozco. – Więcej mogliby jednego dnia nakraść, upychając łupy po sakiewkach.

– No więc niech będzie i dziewięćdziesiąt, niech i sto będzie... Niech będzie i dwieście! – nie wiedzieć czemu zezłościł się nagle Cortés.

– Uhhh, wasza łaskawość... – Pan de Cáceres podniósł głowę znad swoich i tak ledwie spinających się wyliczeń.

– Kurwa, że ile? Chyba was... to jest chyba ich popierdoliło! – zachnął się Portocarrero.

– Dwieście to lekka przesada, panie – odezwał się pojednawczo przysłuchujący się rozmowie ojciec de Olmedo. – Jakkolwiek niebiosa widzą waszą hojność i złote serce...

– Z-z-złote, he, he! – zarechotał pan Juan Velázquez de León.

– ...to tutaj, wasza łaskawość raczy wybaczyć krotoczwilę, złoto uległo znaczącej denominacji.

– Demoniza... Deno-co? – dopytał wyraźnie wstrząśnięty niesłyszczanym dotąd słowem Portocarrero, chcący jak najszybciej odwrócić uwagę od swego niechcianego i potencjalnie destrukcyjnego przejęzyczenia.

– Umniejszeniu w wartości – wyjaśnił ojciec de Olmedo. – Więc zamiast złotego proponowałbym, aby nasz caudillo wyposażył się w serce z metalu o wiele bardziej w tych krainach przydatnego...

– Niech zgadnę: z żelaza? – mruknął Cortés, chyba już udobruchany.

– Otóż to, miłościwy panie. Sto pesos na głowę dla prostego żołdaka to i tak więcej, niż ci ludzie kiedykolwiek w życiu widzieli. A to, co mogli nakraść... – Wzniósł oczy ku niebu, uczynił znak krzyża. – To niech im już Bóg Wszechmogący

wybaczy. Ja jako ich spowiednik zapewniam was, panie: co jak co, ale stratni na pewno nie będą.

Ludzie zaśmiali się, słysząc tak zacny żart, i to w dodatku z ust duchownego.

– Zgoda – odparł Cortés. – Panie de Cáceres, wpiszcie: sto pesos na głowę. A co zbraknie, ja z własnych pieniędzy pokryję.

– Niech żyje nasz admirał! Niech żyje caudillo Cortés! – zakrzyknął de Sandoval.

– Niech żyje! – podłapali okrzyk pozostali kapitanowie.

– Niech żyje. Zaiste wielkodusznie, wasza łaskawość. Rozrzutnie wręcz... – mruknął pod nosem de Cáceres, jedyny poza caudillem doskonale przecież wiedzący, ile wynosiła faktyczna ilość złota zrabowanego po drodze, otrzymanego w podarkach, złupionego teraz z pałaców... I jak nadal śmieszną w jej obliczu sumą byłoby, gdyby każdemu z żołnierzy wypłacić nie dwu-, ale i pięciokrotnie wyższy żołd.

– Skoro już zatem to uradziliśmy, szlachetni panowie... – Cortés potoczył po ludziach wzrokiem, jego oczy błysnęły. – Kto z was ma ochotę na niewielki spacer i trochę gimnastyki?

– Macie ochotę na szermierkę, panie? – zapytał z nadzieją młody de Coria, zawsze chętny, aby uczyć się czegoś nowego.

– Nie... Chociaż kto wie? – Caudillo uśmiechnął się tajemniczo. – Ale nadeszła chyba w końcu pora, aby uczynić coś dla naszego Pana.



– O władco najwyższy, biały wódz Cortés niszczy przybytek bogów! – krzyknął od drzwi posłaniec, z pełnego biegu padając przed władcą na twarz.

Przyjmujący właśnie swoich urzędników, siedzący na uplecionym z trzciny tronie Montezuma nawet nie drgnął.

Spokojnym, doskonale wystudiowanym ruchem dłoni nakazał petentowi, aby ten odsunął się sprzed jego oblicza.

Wyprostował się.

– Niech mówi – rozkazał dyszącemu ciężko biegaczowi.

Ten podniósł się na czworaka, podczołgał kawałek bliżej i znów uderzył czołem o ziemię.

– O Najwyższy! Biały wódz Cortés wraz z kilkoma innymi przybyszami przybyli do Wielkiej Świątyni. Przechadzali się po dziedzińcu, oglądali miejsca odosobnienia, gdzie trzymane są ofiary. Biały wódz zapytał ustami swojej kobiety, dlaczego jeńcy są zamknięci. Gdy kapłan odpowiedział mu, że czekają na Kamienny Nóż, ten kazał niezwłocznie wyłamać drzwi i uwolnić wszystkich...

– Uwolnili ofiary?! – wyrwało się któremuś z dostojników. – Błuznierstwo! Biada nam, bez ofiar nie będzie deszczu...!

– Cisza! – huknął Montezuma. – Niech mówi dalej.

– Najwyższy! Biali obejrżeli dalej kuchnię, gdzie gotowane były członki tych, których Czerwona Gwiazda uleciała ku bogom. Jeden z nich wszedł na kamień, na którym walczą jeńcy, a drugi udawał, że toczy z nim pojedynek...

– Świętokradztwo! – Inny dworak zakrył twarz połą swej tuniki.

– Weszli też do kamiennego ogrodu i chodzili po nim długo, bezczeszcząc miejsce, gdzie przebywa duch wielkiego boga Mixcoatla! Potem jednak biały wódz Cortés nakazał jednemu z ludzi, by ten udał się schodami aż na szczyt piramidy. Widząc, że ten wchodzi bezpiecznie, a kapłani go nie atakują, weszli na górę również pozostali! A tam, tam...

Montezuma odetchnął głęboko, czując, jak mocno wali mu w piersi serce.

– Niech mówi! – powtórzył po raz trzeci.

– Tam, o Najwyższy, biali przybysze weszli za zasłonę z dzwonkami, aż ku posągom bogów! Za nimi podążyli kapłani, ale niegodny sługa najwyższego króla nie poszedł z nimi już dalej, aby nie ściągnąć na siebie gniewu bogów. Jednak w pewnej chwili ze środka doniósł się ogromny rumor i huk, a potem rozległ się śmiech białych. Jeden z kapłanów wybiegł, krzycząc, że biali wodzowie niszczą świątynię i obalają posągi bogów... I wtedy niegodny sługa od razu pobiegł, aby donieść tę wieść do uszu najwyższego króla!

Montezuma wstał ze swego tronu.

Wszyscy obecni uklęknęli, służba padła na twarze.

– Montezuma uda się tam – powiedział drżącym głosem najwyższy król. – Niech przygotują jego lektykę i szaty świątynne. Niech powiadomią też wodza Xahuatla, że Montezuma wyrusza z pałacu.

– Najwyższy... ale przecież strażę! – jęknął leciwy ambasador Itzquauhtzin.

– Mając u boku swego przyjaciela Xahuatla, Montezuma jest wolny – powiedział najwyższy król, powoli schodząc z podwyższenia i kierując się ku drzwiom.



Kiedy eskortowany przez kapitana Zahreda i jego ludzi Montezuma dotarł na szczyt piramidy Wielkiej Świątyni, ta przedstawiała sobą już widok w najlepszym razie opłakany.

Co prawda posłany przodem goniec dotarł do Kastylijczyków wcześniej i najwyraźniej apel o powstrzymanie

się od dalszego wandalizmu do momentu przybycia władcy odniósł skutek – niemniej zniszczenia były aż nadto widoczne.

Już na pierwszy rzut oka dało się dostrzec wywleczone z przybytku, porozrzucane po szczycie platformy misy z węglami, kadzielnice i leżące do tej pory na postumentach kosze z ofiarami, przekazywanymi bogom przez ich akolitów.

Tu i tam poniewierały się słomiane maty, do tej pory leżące przed posągami świętych, przemieszane z ceremonialnymi szatami kapłanów, które teraz upstrzyły smugi zakrzepłej krwi – tej samej, która od wieków pokrywała wizerunki bóstw, zbierając się kropla po kropli z każdego święta.

Aż trudno było uwierzyć, że w swym barbarzyństwie biali byli gotowi posunąć się tak daleko, aby próbować zdrapać ślady ofiar z twarzy bogów... Lecz widać dla nich nic nie było ani święte, ani nietykalne.

Cortés zsunął się z kamienia, na którym siedział w otoczeniu swoich kapitanów.

Jeden z nich podniósł właśnie obiema rękami ceremonialną, szczerozłotą maskę, do tej pory zdobiącą oblicze boga Tlaloca, i przyłożył ją sobie do twarzy:

– Uuuu! Jestem bogiem, uuuuu! Oooooa...! Oddajcie mi pokłon, dzikusy, bo jak nie, to wasze kuśki...

– Dość, panie de Lugo – osadził go caudillo. Skłonił się zdawkowo przed Montezumą i rzekł: – Witajcie, szlachetny panie. Cieszę się, że znaleźliście czas, aby dołączyć do nas w tym zbożnym dziele. Spójrzcie, jak pięknie zaczęliśmy sprzątać ten szatański przybytek!

Doña Marina wiernie przetłumaczyła skierowane do Montezумы słowa caudilla.

Zahred zmrużył oczy, widząc, że kobieta zamiast na najwyższego króla uporczywie patrzy właśnie na niego.

Od tamtej nocy w Choluli ona unikała jego, a on jej.



Nie potrafił nawet ująć tego w słowa, zebrać spójnej myśli.  
Po prostu mijali się.

Nie zauważali, jak gdyby oboje wychodząc z założenia, że tak będzie lepiej.

Spokojniej...

...bezpieczniej?

Był w stanie zrozumieć, dlaczego to ONA miałyby unikać JEGO.

Natomiast w tym momencie, na szczycie Wielkiej Piramidy, uświadomił sobie, że również ON unikał JEJ.

Montezuma potoczył przerażonym wzrokiem po ohydzie spustoszenia. Na chwilę zatrzymał się na kapłanach, stłoczonych w najdalszym rogu świątyni niczym stado przerażonych gawronów.

– Co najlepszego uczynił biały wódz Cortés?! – jęknął.

– Tak jak mówię: sprzątam tutaj – odpowiedział Cortés beztrąsko. – Prosiłszy Montezumę już wcześniej, aby pozwolił uczynić nam gdzieś kościół...

– Biały wódz Cortés ma przecież swoją świątynię w pałacu Axayacatla!

– KOŚCIÓŁ, Marina, a nie KAPLICĘ. – Cortés skrzywił się z niezadowoleniem. – Tak więc jako że niedługo mamy Wielkanoc, to wypada, żebyśmy mieli świątynię, w której pomieścimy się wszyscy jak należy. Poza tym ile to już razy wspominałem ci, królu, że brzydzą mnie wasze ofiary z ludzi? Pora i temu położyć wreszcie kres.

Montezuma popatrzył na swoich kapłanów, potem na Kastylijczyków.

Ci zaczęli już wstawać, któryś z nich położył dłoń na rękojeści szpady. Inny wspierał się na rohatynie, kolejny schylił się i z sapnięciem naciągnął cięciwę kuszy.

– Niech zatem tak będzie... – jęknął Montezuma, czując, jak ziemia usuwa mu się spod stóp. Jednak otrząsnął się i wyprostował jak człowiek, który dostrzeże promień światła w ciemności. – Montezuma ma jednak do swojego brata, białego wodza Cortésa, jedną prośbę.

– Cokolwiek tylko poprosisz! – Caudillo od razu się rozpromienił.

– Niech rzeczywiście będzie to świątynia, gdzie pomieszczą się wszyscy, Kastylijczycy i Mexikowie pospołu...

– Podoba mi się ta prośba! – rzucił Cortés przez ramię do swoich ludzi. – Słyszeliście, ojczyste de Olmedo? Będziecie mieli w parafii paręset tysięcy owieczek!

– Ależ się z tego uzbiera taca! – zarżał jeden z konkwistadorów.

– A zatem niech posągi bóstw Mexików staną po jednej stronie, zaś Boga Cortésa, Jego Matki i jej Syna po drugiej, aby widać było, że potrafią istnieć wspólnie, tak jak nasze dwa ludy!

Twarz Cortésa błyskawicznie ścięła się lodem niczym kałuża przy pierwszym przymrozku. Śmiechy zamarły na ustach jego ludzi.

– Na to nie mogę się zgodzić. – Potrząsnął głową.

– Cortés powiedział przecież...

– Powiedział, że nie – wtrącił się milczący dotąd Zahred. – I tak właśnie będzie: nie.

Montezuma drgnął jak smagnięty batem, obejrzał się na towarzyszącego mu wymalowanego człowieka niczym szczeniaka, który nagle dostał w łeb od swego właściciela.

– A zatem... – westchnął. – Czy wielki biały wódz Cortés pozwoli chociaż, aby kapłani zabrali posągi ze świątyni z należną czcią? Tak aby dalej nie rozgniewać naszych bogów?

– Przecież te posągi są tylko kamieniem! – prychnął Cortés.  
– Na Boga Jedynego w Trójcy, czego tu się bać? Lepiej uwierz

wreszcie, Montezumo, w naszego Boga Jedynego, który stworzył niebo i ziemię! Dopiero przez Jego dzieło poznasz...

Urwał jednak, kiedy Montezuma uklęknął najpierw na jedno kolano, potem na oba. Najwyższy król zwiesił przyozdobioną pióropuszem głowę na piersi i wyciągnął ku Cortésowi ręce dłońmi ku górze.

– Montezuma... Montezuma prosi... błaga białego wodza... – wyszeptał rwącym się głosem.

Caudillo odchrząknął, obejrzał się na swoich ludzi, unosząc znacząco brew i podkrecając węża.

Zahred jednak w tym momencie widział tylko twarz stojącej u boku Cortésa doñi Mariny, która patrzyła na klęczącego u jej stóp najwyższego króla z wyrazem absolutnego, upajającego tryumfu.



– Itzli dziękuje Xahuatlowi.

Zahred spojrział na idącego obok władcę Domu Szeptów, pokręcił głową.

– „Dziękuje”? Itzli jest pewien, że nie pomylił słowa?

– Niech Xahuatl nie będzie złośliwy bez potrzeby ani powodu. Tak, Itzli dziękuje Xahuatlowi. Dziękuje mu za to, że Xahuatl był tam z najwyższym Montezumą.

Przez chwilę szli w milczeniu, maszerując jedną z grobli łączących Tenochtitlán ze stałym lądem.

Zahred nalegał, żeby było to jedno z miejsc, gdzie odbywały się ich rozmowy: tutaj, na prostym jak sierpem rzucił, wąskim odcinku suchego lądu, pośród otwartych wód jeziora, nie było fizycznej możliwości, aby ktokolwiek ich podsłuchał.

Albo śledził.

Zaś jeśli wierzyć informacji wywiadowczej Itzlego, to za Zahredem właśnie ktoś już od dłuższego czasu chodził.

– Montezuma sam posłał po Xahuatla, więc Itzli nie ma za co mu dziękować – powiedział w końcu.

– Nie, właśnie na odwrót. I teraz Itzli dziękuje za to, że najwyższy król mu ufa.

– To nie jest zaufanie, Itzli jest w błędzie.

– Zaś Xahuatl jest zadufany w sobie niczym stara baba na targu. Czy zna najwyższego Montezumę od lat? Czy był przy nim dzień i noc, chciany i niechciany? Czy wraz z nim świętował zwycięstwa i przełykał gorzkie łyż porażki? Więc skoro teraz zajął miejsce Itzlego u boku najwyższego króla, to niech chociaż zawierzy jeszcze jego osądowi. Chociaż tyle może dla niego zrobić.

– Teraz Itzli myli się, bo Xahuatl nie zajmował jego miejsca...

– Nie zajmował, lecz je zajął. Itzli nie mówi tego w złej wierze, ale właśnie z ciepłą wdzięcznością. I cieszy się, że Montezuma znalazł w tych ciężkich dla niego chwilach przyjaciela.

– „Przyjaciela”... – Zahred pokręcił głową. – Słowo, które ostatnio pojawia się niepokojąco często... Nie pamiętam, kiedy tak ostatnio było.

– Co złego w tym, że ma się przyjaciół?

– Jest to niepokojące, jeśli nigdy się ich nie miało.

– Albo uspokajające. Czy Xahuatl sypia czasem plecami do wejścia?

– Nigdy.

– A czy sypiał tak we własnym domu?

Znów zapadła cisza. Tylko ich kroki chrzęściły na żwirze, chlupotała o groble falująca w jeziorze woda. Gdzieś daleko

krzyczały kaczki.

– Xahuatl nie pamięta – powiedział w końcu Zahred nieswoim głosem.

– Skoro zatem nie pamięta, kiedy miał przyjaciół, to może tutaj znalazł jedno i drugie? Itzli nie twierdzi, że jest jednym z nich, ani nie rości sobie prawa do tego, że tak się stanie. Człowiek zawsze najslabiej widzi to, co mu najbliższe... Ale dość dobrze dostrzega to, gdzie i jak stoją inni.

– Gdzie i jak stoi zatem Xahuatl?

– Wystarczająco blisko najwyższego króla, a przez to Montezuma jest szczęśliwszy i bezpieczniejszy... Mniej nieszczęśliwy i nie aż tak zagrożony w każdym razie – poprawił się władca Domu Szeptów. – Zaś co do tego, jaki jest stosunek Xahuatla do reszty białych...

Urwał, wymownie patrząc na szaty Zahreda.

– To tylko ubranie.

– Tak, to tylko ubranie. Podobnie jak język jest tylko językiem, a zachowanie tylko zachowaniem. Człowiek zaś tylko człowiekiem.

– Itzli mówi jak miłujący mądrość. Planuje zmienić zawód?

– Jak kto? – nie zrozumiał tamten.

– Miłujący mądrość, filozof... Nieważne. – Zahred machnął ręką. – Jakie wieści przynosi Itzli z prowincji? Co odpowiadają inni władcy?

– Jako pierwszy odezwał się waleczny Cuauhtémotzin z Tlatelolco. Przekazuje, że termin wojen wedle kalendarza już minął, ale on i tak gotów jest zebrać armię, aby wyzwolić najwyższego Montezumę z niewoli.

– Dobrze. To król, tak?

– Niestety nie. – Itzli złożył ręce na piersi. – Cuauhtémotzin rządził wcześniej Ixtatecpanem, a teraz pełni w Tlatelolco

funkcję namiestnika Kwietnych Tarcz. Mówi, że jego ludzie mogą być gotowi nawet za miesiąc.

– Nadal dobrze. Król czy nie, pomoc się przyda. Kto jeszcze?

– Namiestnik Tlacopán gotów jest wspomóc naszą sprawę, ale nadal się waha. Yoaltepec nie odpowiada...

– Czyli mówią nie.

– Cuauhtochco i Atotonilco odmawiają otwarcie i mówią, że wolą przymierze z Cortésem. Natomiast Oztuma, Tepecoacuilco, Tepeyacac, Hueypoxtla, Oaxtepec i Xilotepec czekają tylko na sygnał.

– Co z ekspedycjami wysłanymi przez białych po złoto?

– Posuwają się naprzód, po drodze dostają pełne zaopatrzenie. Kiedy dotrą na miejsce, Itzli...

– Itzli przestanie zmyślać i powie Xahuatlowi coś konkretnego? – Zahred spojrzał na władcę Domu Szeptów z ukosa.

– Itzli nie zmyśla.

– Itzli ma mówić wyłącznie o tym, co wie. Nie o tym, co mu się wydaje. Nie o tym, co Xahuatl chce usłyszeć, żeby poczuć się lepiej. A już na pewno nie o tym, co pozwoli mu myśleć, że Itzli dobrze wykonuje swoje obowiązki. Czy to jasne?

– Tak będzie, o Najwyższy – mruknął Itzli, którego nawet Montezuma już od kilku lat nie przyłapał na ślizganiu się po powierzchni prawdy.

– Dobrze. A teraz...

Zatrzymali się i obrócili w kierunku Tenochtitlán.

Nawet stąd widać było, jak na szczycie Wielkiej Piramidy i prowadzących nań schodach uwijają się punkciki malutkich, ledwie rozróżnialnych ludzi.

Kilkuset kapłanów asekurowało teraz dwa ogromne posągi Tlaloca i Huitzilopochtli, zawinięte w bawełniane materace

i obłożone matami z agawy.

Piędź po piędzi dwa kamienne bałwany pełzły na dół po wyłożonych drewnianymi balami schodach, spuszczone kawałek po kawałku na potężnych linach, podpierane ze wszystkich stron drągami i przytrzymywane niezliczonymi dłońmi.

Zahred był w stanie nie tylko wyobrazić sobie, ale również docenić gigantyczny wysiłek, jakiego musiało to wymagać.

Bez uprzedniego planowania, bez wcześniejszych prób, mając tylko jedno podejście, będące zarazem pierwszym i ostatnim, dokonać czegoś takiego! I to jeszcze z taką koordynacją, że nie słyhać było niosącego się ponad miastem pokrzykiwania, wołań, połajanek... Nic! Idealna, podniosła, spokojna cisza.

– Teraz...? – Itzli zajrzał mu pytająco w twarz.

– Teraz naprawdę pozostaje już tylko czekać, aż sobie pójda.



– ...szlag!

Caudillo Hernán Cortés zmiął list w rękę i cisnął go na ziemię. Bezsilnie uderzył otwartą dłońią o blat stołu i zapatrzył się w okno.

Na zewnątrz lał deszcz.

Szare strugi szumiały w listowiu, bębniły po dachach i pluskały o kałuże tworzące się na dziedzińcach pałacu Axayacatla.

Deszcz.

Wymarzony, wymodlony dar bogów dla ludu Mexików.

Deszcz, którego rzekomo miało już nie być, skoro usunęli ze świątyni pogańskie bałwany, pobielili i okadzili ściany, a na wyszorowanych z brudu ołtarzach ustawili wizerunki Najświętszej Pani i jej opiekuna, świętego Krzysztofa.

Tego się bali dzicy – że po tym wszystkim nie spadnie już deszcz.

Oni śpiewali przecież właśnie na szczycie piramidy *Te Deum*, mając przystąpić do odświętnej mszy konsekracyjnej, kiedy wspięła się tam niewielka procesja miejscowych. Stanęli, zbici z tropu, trzymając w rękach uschnięte łodygi kukurydzy, nie wiedząc, jak się zachować.

Ojciec de Olmedo oczywiście wytłumaczył to po swojemu: tak jak lud Jerozolimy witał naszego Pana, nie mając pojęcia, kim On jest, za pomocą gałązek palmowych, tak i dzicy Indianie witają nadejście Dobrej Nowiny.

Ładne wytłumaczenie, należało przyznać... Lecz zupełnie fałszywe: nawet Hernán, z założenia gardzący zabobonami dzikusów, od razu domyślił się, że chodziło o deszcz dla plonów.

No bo deszcz miał przecież już nie spaść.

Tak krzyczeli kapłani, tak szlochał ten pajac Montezuma.

A mimo to jeszcze tego samego dnia wieczorem zaczęło padać i lało już trzeci dzień.

Hernán nawet ucieszył się, kiedy tego ranka przyszły pisma z wybrzeża, z jego ukochanego Vera Cruz. Specjalnie odłożył sobie ich przeczytanie na później, na przedwieczorną chwilę wytchnienia.

A teraz czuł, jak w piersi wzbiera mu żółć.

Schylił się, podniósł pismo. Rozprostował. Odetchnął, próbując się uspokoić. Przebiegł po nim oczami jeszcze raz.

– Kurrrrwa... – zawarczał przez zaciśnięte zęby. Wyprostował się, obejrzał ku łóżku. – Marina, posłuchaj. Okazuje się, że ten idiota...



Urwał.

Przez dłuższą chwilę patrzył na widoczne spod koca kształtne, jędrne pośladki.

Piękne, tak, bez dwóch zdań.

Natomiast zdecydowanie nie te, które spodziewał się zobaczyć.

Leżąca na posłaniu kobieta obróciła się na plecy i uśmiechnęła do Cortésa, odsłaniając rząd idealnie równych zębów. Powoli, niespiesznie przekręciła się na bok, podniosła do pozycji siedzącej i spuściła nogi na ziemię.

Caudillo patrzył na nią równie zafascynowany, co przerażony.

Zafascynowany, bo była niezaprzeczalnie piękna. Chyba najpiękniejsza kobieta, z jaką do tej pory dane mu było dzielić łożo. Na pewno najwyższa pochodzeniem i rodem, najzaciejsza wykształceniem.

Przerażony, bo w głowie nadal tłukła mu się myśl, że to nie ta, która powinna była się tam znajdować.

Szlachetnie dostojna Azcalxocitle, siostrzenica najwyższego króla Montezumy, zsunęła się z posłania i kołysząc biodrami, podeszła ku niemu. Nachyliła się, delikatnie musnęła ustami jego policzek i położyła mu dłoń na ramieniu.

Cortés siedział niczym skamieniały, niezdolny nawet się poruszyć.

Żadna z tych rzeczy – ani widok, ani dotyk, ani pocałunek – nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia.

Równie dobrze mogłaby dotknąć go jego własna matka. Albo pies. Albo kamienny posąg.

Nie wzbudziło to w nim żadnych emocji.

Azcalxocitle zaszczebiotła coś w języku *nahuatl*, pokazała ruchem głowy na łożko. Cortés znał mowę Mexików już na tyle, żeby wiedzieć, że proponowała mu masaż łydek i stóp.

Jednak on nagle zapragnął być zupełnie gdzie indziej.

– Pani, ważne sprawy... Wybaczcie – wymamrotał.

Odsunął się od niej, wstał od stołu. Chwycił tylko list, złapał wiszącą na oparciu krzesła koszulę. Wciągnął pospiesznie pludry, wzuł buty.

Nawet nie patrząc na nią, wciąż stojącą przy jego biurku, odsunął kotarę i wyszedł z komnaty.

Mimo że nie było jeszcze późno, to pałac Axayacatla był już cichy i pusty.

Padający bez przerwy deszcz morzył i usypiał ludzi, którzy siedzieli po prostu, pozawijani w opończe i koce, nie mając ochoty nawet grać w kości ani karty. Część zajmowała się swoimi sprawami, strażę stały na wyznaczonych stanowiskach... Ale poza tym wrażenie było takie, że nagle dopadł ich wszystkich jakiś dziwaczny marazm.

Cortés znał ten marazm, który teraz udzielał się jego ludziom, rozpełzając się niczym zaraza.

Zmagał się z nim całe życie, odkąd tylko pamiętał.

Od tamtego pamiętnego dnia, gdy mając jedenaście lat, w końcu wygrał swoją pierwszą gonitwę konną.

Och, jak bardzo się wtedy cieszył, jak radował zwycięstwem! Jak bardzo fetowali go znajomi, obnosili na rękach! Był tam i nasadzony na głowę wieniec laurowy, i przyjemnie brzęczący u pasa mieczek z nagrodą...

...i zaczepiona o belkę pod stropem stajni, kołysząca się zapraszająco pętla, którą splótł z solidnych rzemieni wodzy swego rumaka.

Wtedy, tamtego wieczora po gonitwie, nie zrobił tego.

Natomiast zawsze, gdy tracił z oczu cel, ku któremu mógłby dążyć, gdy osiągał to, czego pragnął – tamta myśl, tamten widok wracał do niego. Kusił, mamił perspektywą łatwej ucieczki od tego, co niosło ze sobą jego życie.

Zaś niosło szary, smakujący popiołem brak satysfakcji z czegokolwiek, co udało mu się osiągnąć.

Wielekroć zaczytywał się za młodu i później w romansie o żywocie Aleksandra zwanego Wielkim. Na pamięć znał trasę jego wyprawy, z wypiekami na twarzy czytał o bitwach, potyczkach, zwycięstwach... O tym, jak Aleksander zawsze parł dalej, dalej i dalej na wschód, ku mitycznemu krańcowi świata.

Aż potem nagle zawrócił.

Młody Hernán nigdy nie rozumiał: dlaczego? Czemu, będąc tak blisko, ten największy wódz świata zdecydował się wydać rozkaz do odwrotu?!

Dopiero dorosły Cortés zrozumiał: Aleksander już wtedy, tysiące lat temu, WIEDZIAŁ.

On wiedział, że Ziemia nie ma krańca, bo nie jest płaska. Że jego ekspedycja mogłaby albo trwać bez końca, dążąc wciąż ku coraz to nowemu horyzontowi... Albo w końcu połknąć własny ogon, docierając do miejsca, z którego wyruszyła.

Dlatego właśnie Aleksander zdecydował się zawrócić do Babilonu.

A potem, otoczony przepychem, bogactwem i chwałą, umarł.

Umarł dlatego, że zamiast iść naprzód – zatrzymał się.

Hernán Cortés, podobnie jak i on, nigdy nie potrafił sobie z tym poradzić.

Nie był w stanie cieszyć się tym, co już osiągnął.

Nie potrafił.

Inni umieli zadowolić się tym, co dostali albo zdobyli, albo co samo wpadło im w ręce.

Natomiast Hernán Cortés zawsze miał wrażenie, że nawet najśłodszy owoc zerwany z drzewa i wzięty do ust natychmiast zamieniał się w popiół.

Tak samo było tutaj.

Wyruszyli. Wylądowali. Odkryli. Podbili pierwsze ziemie. Pozyskali sojuszników. Ruszyli głębiej w nieznany ład. Zmierzyli się z armiami dzikich, potem cywilizowanych Indian. Dotarli aż do stolicy ich królestwa, ba! całego imperium...!

...a teraz po prostu dostawali wszystko na złotej tacy.

Dosłownie.

Skarby? Ile tylko dacie radę unieść.

Kobiety? Tylko wybierajcie.

Zaszczyty, pałace, władza? Oczywiście.

Nawet te cholerne świątynie! – pomyślał Hernán. Tyle rozmów z Montezumą, tyle nagabywania o zaprzestanie składania ofiar, prób wytłumaczenia, przekonania, nakłonienia do przyjęcia prawdziwej wiary!

A wystarczyło po prostu tam wejść i to zrobić.

Nawet ten deszcz, który zaczął padać jak na życzenie. Niemalże złośliwie, na przekór wszystkiemu. Indianie znienawidzą cię za to, że zabrałeś im łaskę bogów? No nie, nie. Masz, dostaniesz jeszcze i to. I dokładkę, jak będzie trzeba.

Wszystko to powinno go cieszyć.

Nie cieszyło jednak.

Bo osiągnąwszy wszystko, nadal czuł, że tak naprawdę nie ma nic.

Zatrzymał się przy wyjściu na jeden z licznych wewnętrznych dziedzińców, oparł czoło o kamienną kolumnę i odetchnął ciężko, przymykając oczy.

– Dwadzieścia pięć tysięcy sześćset osiemdziesiąt dwa pesos... – zamruczał.

Tyle wyniosła jego dola z wyprawy. Ma się rozumieć, ta zapisana w oficjalnych księgach. Natomiast ta faktyczna... To była wręcz niepojęta fortuna. Gdyby chciał, mógłby wrócić teraz do Kastylii i żyć jak sam król. Ba! Mógłby wykupić sobie

od Korony udzielne hrabstwo albo i księstwko. Mianować się, kim by tylko chciał.

Zamiast tego caudillo Hernán Cortés czuł, jak zaczyna gnić od środka – bo tak naprawdę to chciałby po prostu iść dalej.

Dalej w kierunku zachodzącego słońca! Odkrywać kolejne lądy, docierać do następnych królestw! Nie to, że zajmować je, odbierać od nich hołdy...

...ale zdobywać je ogniem i mieczem.

Zadrzał, czując, jak w jego żyły chlusta płynne podniecenie, tłoczone przez momentalnie uderzające mocniej serce.

Organizm zareagował od razu na samą myśl o walce, szczęku oręża...

Zapachu krwi.

Krzykach rannych i zabijanych.

Świście bełtów z kusz i kłębach gryzącego prochowego dymu, zasnuwającego pole walki.

I caudillo wiedział, czuł, że prędzej czy później...

– Panie? – Poczul na ramieniu dotknięcie delikatnej kobiecej dłoni. – Czy wszystko w porządku?

– Marina? – wymamrotał, czując, jak od natłoku myśli aż kręci mu się w głowie. Może tak naprawdę brała go gorączka?

Znajomy zapach owionął go, kiedy Malintzin przytuliła się do jego pleców, opłotła rękami i położyła głowę na jego łopatkę.

– Jestem przy was, panie – zaszeptala.

Cortés wiedział, że on pachnie w tamtej chwili inną kobietą. Był w samej rozchełstanej koszuli, z włosami w nieładzie... I czuł, że Marina też o tym wie.

Mimo to była przy nim.

To właśnie ona była przy nim.

Była przy nim właśnie dlatego.

A on czuł, jak jego myśli wyhamowują i uspokajają się niczym rozhukane stado dzikich koni zwalniających nagle

kroku przy coraz bliższym wodopoju.

– Co się stało, Hernán? Jest już wieczór. Czemu nie jesteś w swoich komnatach?

Cortés westchnął i obrócił się do niej, ujmując ją za rękę.

Nie odsunęła się nawet mimo ich ostatniej kłótni.

– Przyszły pisma z Vera Cruz, Marina... Nie jest dobrze.

– Co się stało?

Och, jaka ona była cudowna, pomyślał sobie Hernán. Te jej oczy, linia ust... Spojrzenie. Kryjący się za nim umysł.

– Ten skończony idiota de Grado...

– Twój przyjaciel i zaufany człowiek. Rozsądny i opanowany. Ten, którego mianowałeś na gubernatora w miejsce zabitego Escalantego.

– ...tak. Ten, którego ja mianowałem, a ty mi odradzałaś – sapnęła, patrząc na nią ciężko.

– Ja nic nie powiedziałam, Hernán – zastrzegła od razu Marina.

– Bo nie musisz. Otóż teraz dobry pan Pedro de Ircio pisze mi, że de Grado szybko obrósł w piórka. Spędza swoje dni na grze w karty i polowaniach, je i pije ponad miarę... W dodatku regularnie wprasza się w gościnę do Totonaków, żądając od nich złota, klejnotów i kobiet.

– Można, światły pan. – Marina uśmiechnęła się nieszczerze.

– Pełną gębą, owszem. Jego już wcześniej coś tak dziwnie ciągnęło ku wybrzeżu... Pamiętasz tamtą rozmowę po bitwie w Tlaxcali?

– Tę, gdy przywoływał waszego wodza z przeszłości... Aleksandra Wielkiego, tak? I mówił, żeby jednak zawrócić?

Cortés aż zadrżał, słysząc te słowa. Przecież tak właśnie było!

– Tę samą. I już wtedy przebaknął coś, żeby zbudować statek. JEDEN statek, pamiętasz?

– Moja pamięć nie jest aż tak bystra jak wasza, panie...

– Nie czapkuj mi, Marina! – zirytował się. – Nie potrzebuję teraz uległej służalczości, tylko dobrej rady.

– Dobrze. A czego będziesz potrzebować... potem?

Uśmiechnął się mimo woli, przyciągnął ją ku sobie.

– Marina... Przepraszam cię. Wtedy, te dwa dni temu, nie powinienem był...

– Ćśśś... – Odsunęła się, położyła mu palec na ustach. – Władca nie przeprasza, Hernán. Władca przyjmuje rady od swoich zaufanych... I podarki od nich.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem, kiedy ona wyciągnęła zza pasa złoty wisior na rzemyku, ale i tak schylił kark, aby przełożyła mu go przez głowę i ułożyła na szyi.

– Marina, to przecież... – Dotknął złotej ozdoby dłonią. – Wiesz, że to nie jest konieczne?

– Och, ależ JEST konieczne, Hernán. Zaufaj mi.

Wspięła się na palce, pocałowała go.

Najpierw delikatnie, potem mocniej, bardziej drapieżnie, zaborczo.

Spletli się w dzikim uścisku błędzących po ciałach rąk, łapczywych ust i nienasyconych języków, jak gdyby próbując objąć się nawzajem w całości, połknąć, wciągnąć w siebie, już teraz stając się jednym...

Oderwała się od niego, dysząc ciężko.

Oblizwała wargi, na których został czerwony, rozmazany ślad jego krwi.

– Wyślij na wybrzeże de Sandovala, Hernán – szepnęła niemalże lubieżnie, znów przysuwając się bliżej. – Niech sprowadzi tutaj tego prostaka de Grada. Niech przywiodą go w łańcuchach, pod eskortą, aby tamten na pewno nie mógł

spiskować przeciwko tobie na rzecz tej tłustej świni gubernatora Velázquez... Ale to potem, Hernán. Później.

– ...a teraz? – wydyszał ciężko Cortés.

Ujęła go za rękę i pociągnęła za sobą, prowadząc jak na postronku z powrotem do jego komnat.

Hernán już, już miał powiedzieć jej, że to nie jest dobry pomysł.

Przecież nadal mogła tam być – na pewno nadal była – leżąca na skotłowanej pościeli Azcalxocitle.

Miał to powiedzieć – ale w końcu nie powiedział.

Przecież ona i tak to wiedziała.





## Rozdział 7

*Luty 1520*

**I** tak to właśnie, szlachetni panowie, naprawdę było – zakończył swoją opowieść pan del Castillo.

Zgromadzeni wokół niego żołnierze popatrzyli po sobie nawzajem, mocno skonfundowani.

– I tak... nic? – upewnił się Juanito z niedowierzaniem.

– Ani grosza. Ba, mało tego! – prychnął ze złością del Castillo. – Kiedyśmy w końcu wrócili na Kubę, bez grosza przy duszy i wszystko utopiwszy w tej wyprawie, straciwszy w dodatku i kapitana naszego, i jeszcze pół setki towarzyszy... Panie, świeć nad ich duszami... – przeżegnał się szybko – to okazało się, że ten zdradziecki wieprz Velázquez wszystkie zasługi przypisał sobie! Pisać zaczął do Kastylii, do królewskich

audytorów, do biskupa Burgos i arcybiskupa Rosany, z którymi się znał, że to on wszystko zorganizował! A o nas, którzyśmy tam zdrowie i życie własne roztrwonili, nawet nie wspomniał.

– Ot, jak to bywa, że sobie możni zawsze na garbie nas, maluczkich, dokąd chcą, tam i dojadą – skwitował Rodrigo, krzywiąc się niemiłosiernie.

– Ale jak to, panie?! – nie dowierzał Juanito. – A to złoto, te posążki, coście je przywieźli?

– Wszystko, co do grosza, na spłatę okrętów i zaopatrzenia poszło. Tak że cieszymy się, panowie bracia, i tymi marnymi sto pesos...

– Sto dziesięcioma – poprawił go machinalnie Gutiérrez.

– Co? Jak to? – zachnął się pan del Castillo. – To wyście więcej dostali? Jakim cudem?

– Oj, nie złościście się, panie. – Juanito machnął ręką. – Nasz kapitan powiedział, że on na równi z nami stawał i że nie godzi mu się więcej brać niżli każdemu z nas. Że niby i on, i my tak samo żeśmy życiem ryzykowali...

– Inaczej powiedział: że my bardziej od niego, cokolwiek to znaczyć miało – wtrącił Gutiérrez.

– No więc tym bardziej. I swoją wypłatę pomiędzy nas rozdzielił.

– To kapitanowie aż po tyle więcej dostali?! – oburzył się dopiero teraz nie na żarty pan del Castillo.

– Na to wychodzi – warknął Rodrigo, nadal krzywiąc się, po czym splunął na podłogę.

– A wy co, panie, tak plujecie i się krzywicie cały czas? Co ja powiem, to wy tfu, tfu! Co kogo wspomnę z moich towarzyszy poległych, to miny stroicie jak kuglarz jakiś! Nie podoba wam się opowieść?!

– Ząb mnie, do cholery, tak boli, że trzecią noc już nie śpię!  
– zakrzyknął żałośnie Rodrigo ze łzami w oczach. – Już

wcześniej źle było, ale teraz to... No zobaczcie sami!

Obrócił do nich policzek, pokazał palcem.

Faktycznie, póki siedział jak wcześniej, z przekrzywioną głową, to nie było tego widać, ale teraz aż nazbyt wyraźnie odznaczała się na jego żuchwie solidna, nabrzmiała gęła, wokół której coraz mocniej widać było zaczerwienienie.

– Uuu, źle to wygląda – zawyrokował de Monroy, który aż podniósł się ze swojego posłania, aby z bliska przyjrzeć się nieszczęściu towarzysza. – I tak z nim chodzisz?

– No bo on nie zawsze aż tak strasznie. Tu zboli, tu przestanie... Ale najgorzej, jak twarde coś trafię. Albo zimne, albo gorące, o!

– To w sumie każde! – prychnęła pani d'Estrada, często przesiadująca wraz z kompanią kapitana Zahreda, podobnie jak i ona nieprzystającego do reszty Kastylijczyków.

– No... A już w ogóle najgorzej, jak kawałek ziarna nieprzemielonego się w placku trafi albo ziarenko piachu! O matko najśłodsza... – zajęczał Rodrigo. – Wtedy to dwa dni tylko polewkę siorbać drugą stroną. A potem się uspokaja, mija jakoś, prawie się zapomina. A teraz jakieś ziarno musiałem zgryźć, cholera! I już drugi tydzień i boli, i puchnie, i się paprze...

– Rwać trzeba będzie, jak nic.

– Kiedy nie ma co rwać! – zajęczał Rodrigo. – Ja już rok temu u cyrulika byłem, on go wyrwać miał... Ale mu się pod obcęgami ukruszył! I tak się z nim bujam od tamtej pory.

– To dłutować w takim razie – orzekł z miną znawcy Enriquez, zawsze chętny, żeby dociąć koledze z oddziału. – Raz-dwa ci kował w pysk żelazo wsadzi, młotem trach! I po bólu...

Rodrigo aż się zerwał na samą myśl, odskoczył i wyciągnął przed siebie ręce.

– A w życiu! Nie dam żadnemu z tych naszych...  
Zapomnijcie!

– No to zakażenie, gorączka... I klops. – De Monroy rozłożył  
ręce. – Albo to, albo...

– Albo co? – zapytał z nadzieją nieszczęsny.

– Albo do kapitana z tym pójść, on może coś zaradzi.



Rodrigo pobladł, cofnął się o dwa kroki. Rozejrzał się, szukając  
wsparcia wśród towarzyszy, ale nie znalazłszy go, popatrzył  
z przerażeniem na Zahreda.

– Panie kapitanie...! – wykrztusił. – Ale jak to...?

Zahred wzruszył ramionami.

– Normalnie. Sam bym ci to zrobił, ale narzędzi nie mam,  
więc trzeba będzie korzystać z miejscowej technologii.

– Techno... co? – szepnął Juanito do stojącego obok  
Valverdego.

– Magii ichniej, jak nic – mruknął tamten. – Cicho, daj  
posłuchać.

Okazało się, że z Rodrigiem i de Monroyem przyszła do  
Zahreda bez mała cała kompania. Wszyscy ciekawi byli, co  
takiego poradzi ich kapitan, który już wcześniej dał im się  
poznać z niestandardowych pomysłów... Ale nikt nie  
spodziewał się czegoś takiego!

– Panie kapitanie! – Rodrigo błagalnie złożył ręce, bliski już  
płaczu. – Ale jak to? Czy to się tak godzi, żeby do czarownika  
pogańskiego się uciekać? To grzech przecież... Do piekła przez  
to trafić można!

– To możliwe – zgodził się Zahred, usiłujący zachować pozory powagi. – Ale zastanówcie się, żołnierzu: wolicie pójść do nieba w ciągu tygodnia? Czy zaryzykować piekło, ale przeżyć jeszcze kilkanaście lat na ziemi?

Stojący pod ścianą Xicotencatl nawet nie krył swojego rozbawienia całą sytuacją.

– Biali ludzie Xahuatla są jak dzieci bojące się wizyty u *tlantonaniztli*! – nie wytrzymał w końcu. – Xahuatl powinien co rano pytać ich: czy wyszorowaliście swoje zęby korzeniem *tlatlauhecapatli*? Czy wypłukaliście potem usta naparem ze sproszkowanej kory *quauhteputzli*? Jeśli nie, to będziecie bici po piętach różgami, a pod twarze podsuniemy wam opalony nad ogniem owoc chili, od którego wasze nosy zrobią się czerwone, a oczy pełne łez! Nieposłuszni, niegrzeczni żołnierze Xahuatla...!

– Xicotencatl nie pomaga. – Zahred pokręcił głową, ostatkiem sił powstrzymując śmiech. – Na całe szczęście ludzie Xahuatla nie rozumieją jego języka... Ale niech nie śmieje się z nich, bo to widzą i rozumieją.

– Dzieci powinny wiedzieć, kiedy są dziećmi, a dorośli dorosłymi!

– Dobrze już, dobrze. Czy Xicotencatl wie, gdzie znaleźć tego najbliższego *tlantonaniztli*?

– Xicotencatl nie ma pojęcia o najbliższym, ale zaraz każe Meksykom posłać po najlepszego. Niech wiedzą, że Tlaxcala i jej przyjaciele nie zadowolą się byle czym!

Zahred spojrział na Rodriga, jeszcze bardziej przerażonego tą wymianą zdań, i położył mu dłoń na ramieniu.

– Będzie dobrze.



– Neeee...! Panie, nie, nieee! Nie jest dobrze, aaa! – wrzasnął Rodrigo, widząc zbliżającego się ku niemu ubranego w pióropusz i czarną szatę czarownika z wymalowaną twarzą. – Wszyscy święci pańscy, Najświętsza Panienko, pomoocy...!

Sprowadzony specjalnie z Pałacu Kolibra, obudzony ze swej poobiedniej drzemki *tlantonaniztli* nachylił się nad pacjentem i spróbował zajrzeć mu do ust, ale odskoczył, kiedy Rodrigo kłapnął zębami, niemalże łapiąc go za palec.

– Niech biali ludzie mocniej trzymają swojego towarzysza, bo inaczej Xiuhtzi nie da rady obejrzeć jego zęba. – *Tlantonaniztli* spojrział na Zahreda w taki sposób, w jaki każdy, ale to każdy szanujący się i ceniący konował od zarania dziejów patrzył na zleceniodawcę. – Biały rzuca się i miota, jakby wstąpiło w niego wszystkie Centzon Totochtzin naraz.

– „Czterysta królików”? – zdziwił się Zahred. – Przytrzymajcie go mocniej!

– Staramy się, panie kapitanie... Pomóżcie no jeszcze który! – zawołał de Monroy, usiłujący nie wypuścić z chwytu nadgarstka Rodriga.

Wydawało się, że wystarczy pacjenta usadzić na krześle, ale Rodrigo zerwał się z niego i uciekł, jak tylko *tlantonaniztli* pojawił się w komnacie.

Potem położyli go na stole i trzymali we czterech, ale stopniowo okazywało się, że zrobiło się ich sześciu, ośmiu... A teraz było ich dziesięciu.

Docisnęli już nieszczęsnego pacjenta dwiema deskami, a on nadal rzucał się, wił jak piskorz i robił wszystko, byle tylko

nie dać „szatańskiemu czarownikowi” dostępu do swej spuchniętej gęby.

Jeszcze dwóch podskoczyło, żeby przytrzymać krewkiego arkebuzera. Ten jednak zdawał się mieć nieprzebrane zasoby sił, niczym człowiek niespełna rozumu, i ledwie dawali radę!

*Tlantonaniztli* spróbował podejść do niego jeszcze raz, nachylił się i tak, i owak... Odsunął się od stołu, zaczął rozwiązywać pióropusz.

– Co jest? – zaniepokoił się Zahred.

Tamten bez słowa wyciągnął tylko rękę gestem równie uniwersalnym tam i wtedy, co w dowolnych innych czasach i miejscu.

– Xiuhtzi domaga się swojej zapłaty w ziarnach kakaowca za zmarnowany czas.

– Nawet do niego nie podszedł!

– I nie podejdzie, bo nie da rady. Mimo to należy mu się zapłata.

Zahred zawarczał głucho. Wyminął czarownika, przepchnął się pomiędzy ludźmi i chwycił Rodriga za szyję. Ścisnął, przytrzymał.

– Aaarhhrrr... – Arkebuzer zacharczał, obmiękł i bezwładnie zwiśł towarzyszom w rękach.

Ludzie odsunęli się od niego, patrząc z przerażeniem na leżącego nagle bez ruchu kolegę.

– Jezus Maria, zabił go pan kapitan...! – wyrwało się Valdésowi.

– E, żyje, tylko go zamroczyło... Patrzcie, pierś mu się rusza!  
– odparł de Monroy przytomnie.

– Czy teraz Xiuhtzi może już pracować? – warknął Zahred, jedną ręką nadal uciskając tętnicę leżącego, a drugą pokazując na niego czarownikowi.

*Tlantonaniztli* spojrział na niego wyniośle. Podszedł do Rodriga, szturchnął go. Klepnął w twarz. Pociągnął w dół szczękę, która otwarła się, a potem zamknęła.

– Nie otworzy teraz ust. Bez tego się nie da – zawyrokował.

– Niech mu któryś rozewrze gębę, zanim ja to nożem zrobię...!

Od razu trzech złapało za żuchwę Rodriga, odciągnęło ją w dół. Któryś przytomnie podłożył nieprzytomnemu pod głowę zwinięty koc.

Wymalowany czarownik wsunął mu do ust trzy palce, sprawnie wyciągnął na zewnątrz język, który od razu bezceremonialnie przypiął do dolnej wargi za pomocą długiej złotej szpili. Ludzie zasyczeli, skrzywili się; któryś odwrócił wzrok.

Rodrigo nadal leżał jak kłoda. Żył, ale był nieprzytomny. Nie wierzgał, nie rzucał się... Pacjent idealny!

– Długo tak będzie? – zainteresował się *tlantonaniztli*, wyraźnie dostrzegający już perspektywę komercjalizacji dopiero co poznanego sposobu znieczulenia.

– Dopóki nie umrze, więc lepiej się pospieszyć – mruknął Zahred, na zmianę trzymający i puszczający uciśniętą tętnicę.

– Teraz Xiuhtzi może pracować – oświadczył z zadowoleniem znachor.

Ludzie patrzyli z zabobonnym wręcz strachem, czią i przerażeniem, jak *tlantonaniztli* wsuwa ich towarzyszowi w usta niewielki obsydianowy nożyk.

Trzy szybkie ruchy – od razu odsunął się, dopuszczając pomocnika, który włożył Rodrigowi do jamy ustnej długą rurkę, której drugi koniec wziął w usta, zassał, odciągając po trochu krew... Odwrócił się i splunął do przygotowanej już misy.

Tymczasem Xiuhtzi za pomocą całego zestawu narzędzi – złotych! jak zauważyli od razu żołnierze – otworzył ranę



w dziąśle szerzej.

Wyciągnął z niej szczypczykami najpierw jeden, potem drugi kawałek zepsutej, śmierdzącej zgnilizną i oblanej ropą kości... Podniósł wzrok na Zahreda, potrząsnął głową z dezaprobatą, wymownie powachlował dłonią przed twarzą i znów zanurkował w czeluść jamy ustnej Rodriga.

– Xicotencatl mówił przecież... – rzucił stojący pod ścianą młody wódz.

Usunąwszy ostatni odłamek zepsutego zęba, *tlantonaniztli* szybko ugniótł w kamiennym mózdzierzu dwa kawałki wyciągniętego z płóciennego zawiniątka korzenia, dodał do tego parę szczapek połamanego poroża jelenia, a potem wrzucił proszek do złoconej miski, rozgrzanej wcześniej nad węglami.

Dosypał dwie szczypty proszku z białego jadeitu, jedną roztartego czerwonego koralu, odrobinę mąki kukurydzianej, kilka ziaren soli.

Przemieszał, przesypał całość w świeżą szmatkę, sprawnie zawinął.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, wyjął z żaru wcześniej wsadzoną tam szpatułkę i niemalże nie patrząc, docisnął do rozharatanego dziąsła. Rodrigo zajęczał słabo, zasyczała gotująca się krew... Ludzie odsunęli się, czując swąd przypalonego ciała.

– Niech go podniosą. – *Tlantonaniztli* pokazał na pacjenta.

Kiedy posadzili Rodriga, co łatwe nie było, znachor złapał go dwoma palcami za nos, podniósł głowę nieprzytomnego do góry i wsunął zawiniątko tak, aby przylegało do zoperowanego miejsca.

Odwrócił się do Zahreda, znów wyciągając rękę po zapłatę:

– Xiuhtzi skończył.

Rodrigo zajęczał znów i zatrzepotał powiekami, budząc się powoli.

Ludzie popatrzyli na siebie w zdumieniu.

– Na wszystkich świętych...! – sapnął de Monroy. – Jak mi w Sewilli rzekomo najlepszy cyrulik zęba wyjmował, to godzinę się z nim pierdzielił...! A ten tutaj...!

– Nawet pacierza nie było! – parsknął Enriquez ze zdumieniem.

– Pacierza?! Pięć minut mu się nie zeszło, jak mi Bóg miły!

Zahred przesypał w nadstawioną dłoń umówioną liczbę ziaren kakaowca, zawahał się... W końcu wysypał na rękę *tlantonaniztli* wszystkie.

– Niech Xiuhtzi zapamięta to miejsce i twarz Xahuatla.

– Xahuatl chce, żeby Xiuhtzi zameczył się z nimi? To nawet nie dzieci, to zwierzęta przecież... – burknął znachor, ale dostrzegł wzrok Zahreda i umilkł.

– To ani zwierzęta, ani dzieci. To ludzie. To moi ludzie.



– No i co, panowie? Żle nam tutaj? – zarechotał pan de Barrameda.

Nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, zamachnął się i wlepił soczystego klapsa służącej, która właśnie zupełnym przypadkiem wystawiła mu się pod rękę, podając do stołu. Kobieta aż podskoczyła i pisnęła, wypuściła z rąk misę, która brzęknęła głośno o stół.

– Ot, j-j-jakie-kie to płoch-ch-ch-chli-liwe tu-tutaj! – zarżał de León, który od czasu swego niefortunnego uwięzienia przyklaskiwał każdemu i we wszystkim, byleby tylko zatrzeć złe wrażenie. – N-nie to, c-co w na-na-naszycch kas-s-s-sty-ty-tylijskich ka-arczmach! Ta-tam jak ch-ch-chlapnie czło-człł-

łowiek z o-o-otwartej, t-to aż fa-fala po ty-y-y-yłku p-pójdzie jak p-po morzu wzbu-bu-burzonym... A o-o-ona na-we-we-wet się nie zo-o-o-rientuje, że c-coś jej by-było!

– Prawda! Ale może to przez ichnie jedzenie, że sama u kobiet skóra i kości...

– Nic to! Sprowadzimy tutaj jeszcze i pszenicę porządną, i wieprzki tuczne... Nawet winnice zasadzimy!

– Wi-winnice! Win-ni-ni-nice p-przede wszy-szy-szystkim!

– Oj, porządnego winka toby się człowiek, kurwa, napił... – westchnął rozmarzonym głosem pan Portocarrero. – Zamiast tego sfermentowanego soku ze świętego, kurwa, kaktusa, który nam podają! Posrać się od tego można przecież.

– Tak jest! Zobaczycie, nazwiemy te ziemie... Castilla la Nueva! Jak w domu tu będzie!

– Już jest, a nawet lepiej! Gdzie byście w domu takie luksusy znaleźli, taki przepych?

Caudillo siedział u szczytu stołu, pogryzając kukurydziane placki i z zadowoleniem słuchając swoich ludzi.

To prawda – mieli tutaj wszystko, czego tylko dusza mogła zapragnąć, a nawet więcej.

Sytuacja unormowała się, uspokoiła.

Osiągnęli to, czego chcieli.

Nawet ten bałwan de Grado – ten sam! zawsze rozsądny i wyważony, któremu teraz władza uderzyła do głowy! – odsiedziawszy kilka dni w okowach po tym, jak sprowadzili go przed oblicze admirała, zrozumiał i przyznał się publicznie do swojego błędu, ukorzywszy się przed Cortésem.

I słusznie, bo władza nie tylko w Tenochtitlán, ale na dobrą sprawę w całym imperium należała do niego.

Oczywiście, Montezuma nadal kontrolował rządy w państwie – ale to właśnie on, Hernán Cortés, kontrolował Montezumę.

– Ale ja tak patrzę... a tutaj nam kogoś przy stole brakuje. – Pan de Barrameda potoczył wzrokiem po siedzących.

Popatrzyli po sobie zdziwieni.

Gdyby słowa takie padły – a padały niejednokrotnie! – z ust dobrego pana de Sandovala, to od razu by wiadomo było, kogo ten może mieć na myśli... Lecz pan de Sandoval sprawował teraz obowiązki gubernatora w Vera Cruz, zaś kapitan Zahred, o dziwo, siedział tutaj, jedząc, pijąc i gadając na równi z innymi.

W ogóle przyznać trzeba było, że o ile w drodze do Tenochtitlán kapitan Zahred zdziczał nieco, to teraz zdecydowanie mu się poprawiło. Nie ubierał się już w pasiaste szmaty jak Indianie. Przestał opowiadać te swoje głupoty, że to też ludzie. Że niby myślą, czują i należy ich traktować jak istoty rozumne.

No tak, ale skoro nie jego, to kogo miał na myśli de Barrameda?

– Oświećcie nas wszystkich, panie. – Caudillo zrobił łaskawy gest, biorąc kolejny kęs kukurydzianego placka. – Kogo takiego nam tu brak? Kogo byście chcieli widzieć?

– Dawno nie było błaznów, panie admirale... Wezwijcie no tego, jak mu tam, no... – De Barrameda strzelił palcami raz i drugi. – Zapomniałem już, jak go wołali, na Boga...

– Kogo?

– O, już pamiętam: Montezumę!

Któryś z konkwistadorów parsknął *pulque*, inny niemalże zakrztusił się kawałkiem mięsa. Paru już teraz prychnęło śmiechem: o, przedni pomysł! Niech pan de Barrameda znów swoje krotchwile urządza!

Jednak sam caudillo wykrzywił twarz w żalosno-sceptycznym grymasie.

– Panie de Barrameda, doprawdy... Godzi się szlachcicowi tak o innym wasalu naszego króla powiadać? Wstydu nie

macie.

– Ja? – udał zdziwienie de Barrameda. – A czy to ja z gołymi cymbalami po ulicach biegam? Czy to ja na widok konia z przestachu na cztery litery siadam? Czy to ja w końcu, kiedy zagrzmią rusznice, zamiast jak przystoi pludry spuścić, to zamiast tego...

– Dobrze, dobrze już! Niech wam będzie... Marina, powiedz służbie, niech poślą po Montezumę! – zaordynował Cortés. – Niech powiedzą mu, że mamy do niego ważną, niecierpiącą zwłoki sprawę wagi państwowej!

– Już ja mu wagę państwową wymyślę! – De Barrameda zatarł ręce, kiedy goniec pobiegł ku kwaterom, gdzie przetrzymywano najwyższego króla.

Caudillo jednak spojrział na niego surowo.

– Dość, dobry panie. Tak, na waszą prośbę przystanę, niech Montezuma zasiądzie z nami do śniadania... Ale nie życzę sobie, żebyście go obrażali czy poniżali w jakikolwiek sposób! Czy to jasne?

– Jasne, jasne, panie admirale... Jak każecie – mruknął zbity z pantafiku de Barrameda.

Siedzący obok niego de Medellín nachylił się i szepnął mu do ucha:

– Co wolno księciu, to nie prosięciu...

– Hę? – nie zrozumiał aluzji tamten.

– No, czego nie rozumiecie? – mruknął półgłosem de Medellín, odchylając się tak, żeby Cortés go nie widział. – Wam nie wolno się z Montezumy naigrawać i koniec. Porządek dziobania, że tak się wyrażę.

– Ach... – dopiero teraz wyłapał podtekst de Barrameda. – No tak. Że niby caudillowi można?

– A kto bogatemu zabroni? On go rugać może, naśmiewać się z niego, traktować gorzej niżli szmatę... Ale my to już nie.

– niesprawiedliwe to – warknął de Barrameda.

– Ale prawdziwe, panie. Zresztą co sprawiedliwego jest na tym świecie? Siedzimy tu w tych pałacach ichnich, gdzie ani stołu porządnego nie masz, ani łoża puchowego. Żremy niby-chleb z niby-mąki, nie mamy nawet skwarek na porządną omastę. Wino to już tylko mszalne co niedziela...

– A i tego co kot napłakał – zawtórował mu siedzący obok de Olid.

– Otóż to, otóż to. Bieda, panowie bracia, i mizeryja straszliwa nam w udziale przypadła. I powiem wam, że ja bym osobiście... Oopsa, a on gdzie go po drodze zgubił?

Zahred odłożył do miski kawałek owocu, którego nie zdążył nawet ugryźć, i wytarł ręce w szmatkę, kiedy do sali ponownie wbiegł ten sam posłaniec, który niedługą chwilę temu ruszył, aby sprowadzić Montezumę.

– No a gdzie Montezuma? – zdumiał się caudillo.

– Panie, posłaniec mówi... – zająknęła się Marina. – Że najwyższy król Montezuma nie może przybyć, bo...

– ...bo jest chory! – wypalił de Barrameda, niewiele myśląc.

Jak gdyby tylko czekający na to ludzie gruchnęli gromkim rechotem.

Sam Cortés też nie wytrzymał, parsknął śmiechem, oparł twarz na pięści... Nawet kapitan Zahred uśmiechnął się zjadliwie, pokiwał głową: no jak tu nie docenić takiego żartu!

Jednak caudillo szybko powściągnął wesołość.

– Ech, ach... No dobrze, panowie, spokój. Upraszam was... Panie de Barrameda, nie przesadzajcie, proszę was. Nie zmuszajcie się... Ehehe, hehe... Heh... Marina, zapytaj go: jak to nie może przyjść? Dlaczego?

– Miałam już powiedzieć, panie: nie może przyjść, bo gra w piłkę.

Śmiechy zamarły, w jadalni zapadła cisza.

– Że co? – Cortés potrząsnął głową.

– Nie może przyjść... bo gra w piłkę. Tak powiedział posłaniec – powtórzyła też wyraźnie zbita z tropu doña Marina.

– Montezuma robi... co? – De Barrameda zamrugał.

– Jak to nie może przyjść? Nogi mu urwało? – prychnął niemile zaskoczony de Lugo.

– Co niby, kurwa, robi? – Portocarrero wytrzeszczył oczy.

– Przecież po niego posłaliśmy. Co to w ogóle ma być? W głowie mu się pomieszało? – Pan de Lugo rozejrzył się po towarzyszach.

Cortés zacisnął usta, podniósł się gwałtownie i odszedł od stołu, bez słowa kierując się ku części pałacu przeznaczonej na kwatery uwięzionego władcy.



Piłka z miękkim trzaskiem odbiła się od ściany i poleciała z powrotem.

Błysnął złocistym blaskiem naramiennik, przywiązany rzemieniami do smagłego ramienia – trzasnęło znowu, kiedy odlana ze sprężynującej czarnej żywicy kula gwałtownie zmieniła trajektorię, lecąc łukiem z powrotem ku jednej ze stron podłużnego boiska.

Dwaj przystrojeni w pióra gracze skoczyli ku niej jednocześnie.

Jeden wystawił przed siebie kolano, chcąc złapać ją na bijącą w oczy wszystkimi kolorami tęczy nagolenicę.

Ten drugi zderzył się z nim w powietrzu, odepchnął na bok i uderzył piłkę biodrem z półobrotu, posyłając ją prosto w kierunku wpuszczonego w ścianę kamiennego pierścienia.

Kolejny nabiegł na ścianę, odbił się od niej i skoczył wysoko w powietrze, chcąc zakłócić trajektorię pocisku...

...jednak dwaj inni uderzyli go w tej samej chwili barkami, dosłownie zmiatając z drogi pędzącej niczym miniaturowa kula armatnia piłki.

Czarny, rozmazany kształt musnął obręcz i przeleciał przez sam środek pokrytego kamiennymi rzeźbieniami okręgu.

Gracze przybrani w zielone pióra zakrzyknęli tryumfalnie, wznosząc ręce ku górze: tak...!

Ci z czerwonymi pióropuszcami zacisnęli tylko pięści z bezsilnej złości.

Dwóch z nich podbiegło do towarzysza, którego przed chwilą strącili z wysokości zieloni, chcąc pomóc mu wstać. Ten jednak już gramolił się na nogi, pokazując gestem: nie trzeba! Nie trzeba mi pomocy...

Nawet z miejsca, gdzie stali Kastylijczycy, widać było, że pomoc by się przydała.

– *Madre de Dios...* – zamruczał pan Cristóbal de Guzmán. – Przecież jemu kość na kolanie widać.

– A tamten wcześniej jak o ziemię walnął! Mało mu płuca nie wyskoczyły!

– Z czego ta kula? Odbija się, jakby... Jakby sam nie wiem co!

– A widzieliście, jak się ruszają?

– Jebaniutcy...!

– Nie do wiary!

Jeden z graczy szedł właśnie przez boisko w stronę Kastylijczyków, stłoczonych na czymś w rodzaju trybuny. Poluzował zapięty na biodrach skórzany pas, ściągnął z głowy mocno pomięty pióropuszc: rozpoznali Montezumę.

Huēi Tlahtoāni podszedł i stanął przed nimi, przysłonił oczy od słońca, zadzierając głowę.



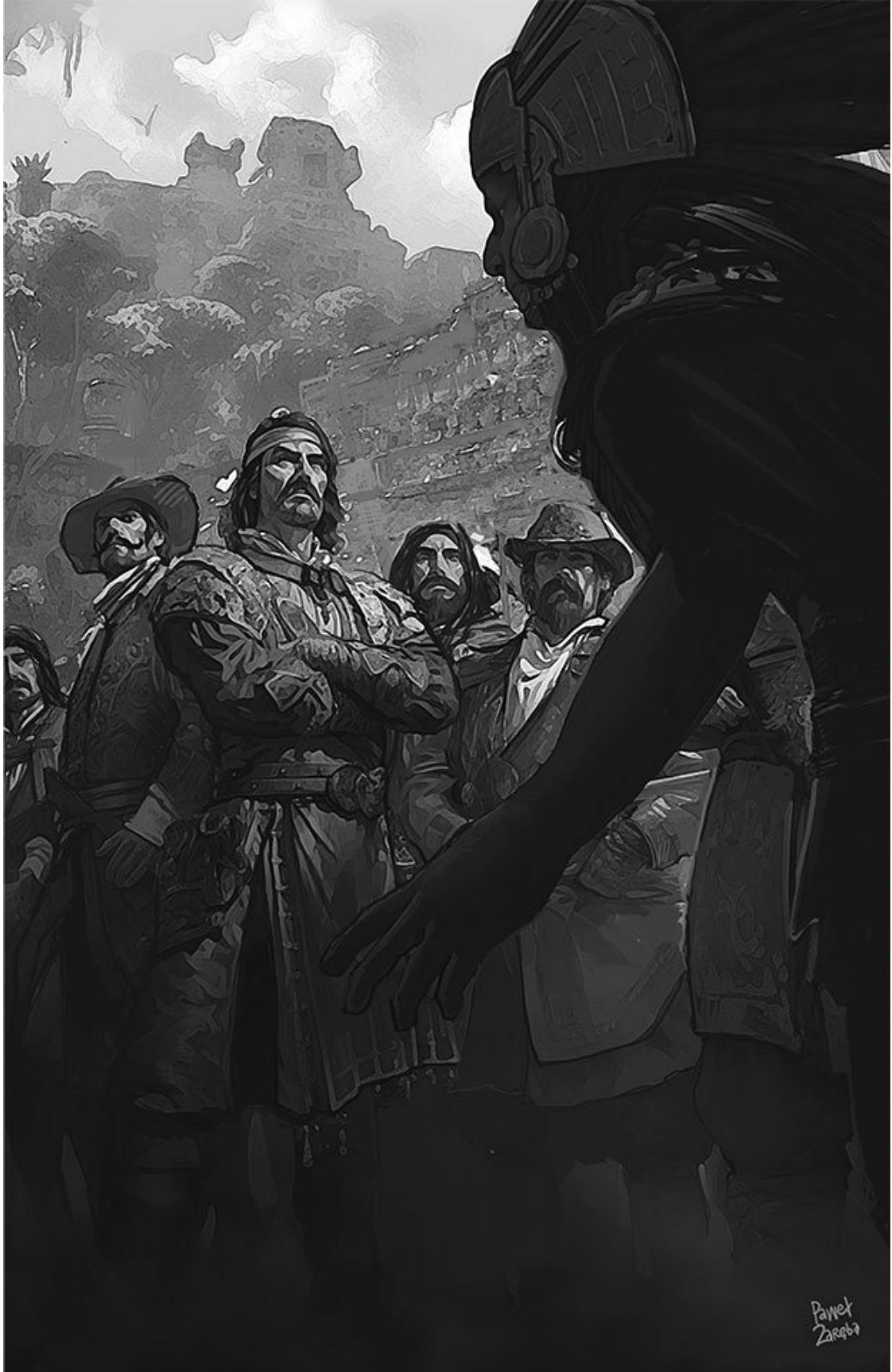
– Montezumo! – zawołał do niego Cortés. – Czemu nie przyszedłeś, gdy cię wezwaliśmy? Cóż może być tak ważne, że...

Nawet nie czekając, aż Cortés skończy, Montezuma coś powiedział.

Doña Marina drgnęła wyraźnie zaskoczona.

– On... panie, on powiedział: idźcie sobie – powiedziała.

– Co za brak wychowania! Kijami by go oćwiczyć, nauczyć manier...! – parsknął de Saucedo.



– Panie, proszę was... – warknął Cortés. – Marina, o co chodzi? To jakieś ich kolejne durne święto? Nie wolno nam na to patrzeć czy jak? Zapytaj go, o co chodzi i w czym problem.

Kobieta zapytała.

Montezuma odpowiedział.

Stojący z tyłu grupy Kastylijczyków Zahred poczuł, jak kąciki jego ust same unoszą się ku górze.

– Panie, on mówi... Mówi, że mamy stąd odejść.

– To już wiem chyba! Miałaś go zapytać, dlaczego niby mielibyśmy...

– On mówi o Tenochtitlán, panie.

Cortés wyprostował się, zamrugął.

– Co?

Huēi Tlahtoāni Mocetuhsuma Xocoyotzin, najwyższy król imperium Mexików, władca wszystkich krain od gór aż ku Wielkiej Wodzie, pan Imperium Słońca, Ten, Którego Gniew Jest Szlachetny, spojrzał wprost na białego przybysza i powtórzył raz jeszcze tym samym idealnie spokojnym tonem:

– Odejdźcie stąd. Tenochtitlán zaznało nazbyt wielu trudów, jego ludzie są zmęczeni. Byliście naszymi gośćmi, ale pora gościny zakończyła się. Wróćcie tam, skąd przybyliście, pozostając naszymi przyjaciółmi, aby zostając tu niepotrzebnie dłużej, nie uczynić szkody sobie samym. Odejdźcie.

– Co...? – Cortés wyglądał, jakby strzelił go piorun. – Ty bezczelny chamie! Jak śmiesz mówić tak do nas, kiedy my...

– Odejdźcie. Jest was niewiele, wasi sprzymierzeńcy są słabi. Jesteście niczym kropla wody w złotej misie pełnej świeżej krwi. Kastylijczycy skradli Mexikom ich złoto, ozdoby i wiele innych cennych rzeczy. Zbrukali świątynie bogów, umieszczając w nich wizerunki, które nic nie znaczą dla

Mexików. Uwięzili ich najwyższego króla, a wraz z nim wielu innych dostojników jego dworu...

Montezuma mówił, doña Marina tłumaczyła, zaś Kastylijczycy po prostu słuchali jak oniemiała.

Gdzieś tam, za plecami władcy, gracze szykowali się do kolejnej rundy. Ktoś odbijał piłkę z czarnego kauczuku o ścianę, inny dociągał rzemienie ochraniaczy. Kilku rozmawiało głośno, komentując przebieg poprzedniej rozgrywki.

Zaś Montezuma stał przed Kastylijczykami i mówił dalej.

– Tylko za te i wiele innych czynów Czerwone Gwiazdy białych przybyszów powinny wyfrunąć z ich otwartych piersi ku bogom. Jednak najwyższy Montezuma polubił białego wodza Cortésa i jego ludzi, mimo że ci nie traktowali go tak, jak na to zasługiwał. Jednak i Montezuma nie potraktuje ich tak, jak na to zasługują...

– Oburzające! – zdołał tylko wycedzić przez zaciśnięte zęby Cortés.

– ...i dlatego pozwoli im odejść, nim zostaną zaatakowani. Ponadto zezwoli na to, aby przygotowali się do podróży powrotnej i przez ten jeszcze czas uzna ich za swoich gości. Biały wódz Cortés dostanie od Montezumy dwa ładunki złota, zaś każdy z jego ludzi po jednym. Taki jest prezent pożegnalny Montezumy. Taka jest wola najwyższego króla, tako rzecze Huēi Tlahtoāni. Odejdźcie.

Montezuma skinął im głową.

Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem ku graczom, nakładając po drodze pióropusz z połyskujących w promieniach słońca piór quetzala.



– Ale przecież jak to tak? Odejdziemy, no i co dalej? – Juanito bezradnie rozłożył ręce, patrząc po towarzyszach. – Jak?

– Normalnie przecież. Jakoś to będzie, panowie. – De Monroy wzruszył ramionami. – Nie ma na co narzekać! Grosza się zarobiło, kawał świata widziało... I skóry w całości uniesiemy jeszcze, a to niebagatelna sztuka, powiem wam!

– Ale to on naprawdę tak powiedział? – Kolejny z żołnierzy po raz nie wiedzieć który zapytał de Monroya o to samo.

Farbowany szlachcic, który akurat dzięki swym – prawdziwym czy też rzekomym – koneksjom i znajomościom faktycznie siedział tamtego feralnego poranka przy stole z kapitanami caudilla, poważnie pokiwał głową.

– Na własne uszy słyszałem! Stoi przed nami Montezuma półnagi, pióra mu się nad głową kołyszą i mówi: idźcie stąd, a jak nie, to was pozabijamy. Nadużyliście, że tak powiem, gościny. Starczy tego dobrego.

– Bogu dzięki, że go caudillo nasz chociaż udobruchał trochę... – wtrącił Valverde.

– E tam, caudillo! Kapitana naszego przecież posłał do Montezumy. Dopiero Zahred go przekonał, żeby wcześniej nam pozwolił drewna naciąć z lasów tutejszych i na wybrzeżu okręty pobudować. Montezuma jeszcze drwali i cieśli swoich dał, przecież już kilka dni mija, jak z Tlaxcaltekami w lasy ruszyli.

– Aaa, to po to pan kapitan poszedł... Szkoda, że nas ze sobą nie wziął.

– I na co byś mu się tam przydał, hę? Zabrał Gutiérreza i kilku jeszcze, z nich więcej pożytku.

– No i co będzie, jak te statki zbudują? – Juanito nadal nie mógł pogodzić się z faktami.

– Odpłyniemy – rzucił de Monroy.

– A dalej?!

– No... Chyba do normalnego życia się wróci, co nie? – bąknął Valdés. – Tak jak to dobry pan Díaz del Castillo o swojej wyprawie mówił: rozbiegniemy się, każdy do swoich zajęć.

– I co?! – Juanito powoli wpadał w histerię; dla niego wyprawa już dawno stała się całym życiem. – I może tak jak i jemu, kapitan nam jeszcze umrze, co?!

– Nie umrze – mruknął siedzący w swoim kącie Rodrigo.

Spojrzeli na niego wszyscy.

On zerknął tylko na nich spode łba, dalej zawzięcie polerując szmatką zakamarki mechanizmu spustowego arkebuz.

– A ten znów swoje! – sapnął Enriquez. – Czy ty kiedyś w końcu odpuścisz?! Już miałeś swoje pięć minut, postraszyłeś nas wszystkich swoimi bajaniami w drodze! Odczep ty się od pana kapitana, bo on...

Rodrigo odłożył rusznicę na bok, podniósł wzrok i popatrzył wprost na Enriqueza.

– On nie umrze – powtórzył.

– Bo co? Bo ma już sto dwadzieścia lat i żywi się ludzką krwią?!

– Nie wiem. – Rodrigo potrząsnął głową. – Ale on nie umrze. A my razem z nim. Nie umrzemy w sensie. Więc wy po tym wszystkim róbcie, co tylko chcecie, a ja z nim idę.

– Rodrigo, coś ty sobie w tym pustym łbie znów...! – zapieklił się Valverde.

Jednak arkebuzer patrzył na nich zupełnie spokojnie, bez wcześniejszych emocji, dziwacznych zmian nastroju i niepokojącej skrytości. Jak gdyby wraz z zepsutym zębem wyszła z niego cała tłumiona latami gorycz i zółć.

– Mój łeb, moja sprawa i moje życie. Ale ja teraz z tym człowiekiem na koniec świata pójdę, i jeszcze dalej.

– Bo ci ząb wyrwał...?! – zaśmiał się Enriquez.

– Nie. Pójdę z nim, bo on wie lepiej od nas, co dobre, a co nie. Bo ma rację. Bo Mexików z szacunkiem traktuje, a nie tak jak caudillo Cortés – jak bydło. I słusznie Montezuma wam powiedział, panie de Monroy: nadużyliśmy gościnności. Wszyscy, jak tu siedzimy, nadużyliśmy jej wielce.

Popatrzyli po sobie, nagle speszeni.

– No, coś w tym jest... – bąknął Valdés.

– Nie, panowie: nie „coś”. Wszystko w tym jest. Bośmy jak te chamy ostatnie z butami ludziom wleźli w ich życie. Czy lepsze, czy gorsze, to już Bóg niech będzie sędzią, ale ich życie.

– Coście tak nagle, panie, zmienili front? – wtrącił się zjadliwie de Monroy, który poczuł się osobiście dotknięty uwagą o Montezumie.

– Nie zmieniłem frontu... Albo niech wam i będzie zresztą: zmieniłem. – Rodrigo z zadowoleniem zaplótł ręce na piersi. – Zmieniłem, a i owszem. Bo oni tutaj, w tym Tenochtitlán, więcej od nas wiedzą i umieją. Bo nie tylko na równi, ale wyżej od nas stoją. I to nasz król winien tutaj przyplłynąć i się Montezumie w pas pokłonić.

– Ooo, dobry panie Rodrigo, no to już jest zdrada... – zamruczał niechętnie Enriquez.

– I bardzo dobrze, bo ja głęboko w dupie mam Kastylię, powrót do domu i samego króla. Możecie mu to przekazać, swoją drogą. Ja nigdzie nie wracam.

Dopiero teraz zrobili wszyscy wielkie oczy.

– Jak to nie wracacie? – sapnął Juanito.

– A tak, jak to pan de Monroy powiedział: normalnie. Ja tutaj zostanę. Kobietę sobie znajdę, dom pobuduję nad rzeczką, tak żeby las blisko był jeszcze. Będę miał poletko kukurydzy, indyki w zagrodzie i gromadkę dzieci, żeby miał kto na starość czarnekę *pulque* podać.

– Ej, nie gadajcie głupot. Sami tak zostanieiecie...?

- Nie sam. – Rodrigo pokręcił głową. – Z nim zostanę.
- Że z kim niby?
- Z naszym kapitanem, panem Zahredem.
- Co...?
- Z kapitanem, mówię. Bo on też nie wróci. Zobaczycie sami.

Zapadła cisza, a potem Enriquez zaśmiał się głośno.

– No, to teraz żeś wymyślił! – Klasnął z uciechy w ręce. – Ależ mnie nabrał...! O panowie bracia kochani! To ja myślałem, że pan de Barrameda nam tutaj najlepsze krotchwile prawi, ale widzę, że godnego pretendenta do tronu mamy! Ale nam wszystkim kluski na uszy nawinął, a niech mnie!

Reszta też się rozluźniła.

Ktoś zachichotał, inny westchnął z ulgą: uf, to był żart! Na całe szczęście, bo... Bo gdyby ktoś miał ich o to na serio zapytać, to...

Rodrigo przesunął językiem po pustym, już zagojonym miejscu, gdzie przez ponad rok tkwił doskwierający mu ząb. Sięgnął znów po arkebuz, zaczął polerować szmatką mechanizm spustowy.

- Zobaczycie – mruknął sam do siebie.



– Głupcy! Czy nie umiecie zrobić nic, co wam każą? Czy macie za dużo ziaren kakaowca, że gardzicie tym, co chcą wam dać możniejsi od was?!

– Xochipetl również całuje ziemię u stóp. Xochipetl uprzedzał, że to może potrwać. Tamten pilnuje się, chodzi



wszędzie ze swoim kudłatym psem. Gdziekolwiek jest, jest w towarzystwie.

– A gdy śpi?! Gdy idzie do ustępu...?!

– Xochipetl chętnie podzieli się nagrodą od białego wodza. Będzie hojny, odda połowę ziaren. No już, Xochipetl czeka na wyniki... I co? Nic? Tak właśnie myślał. Niech więc lepiej biały wódz de Sandoval i jego kobieta też uzbroją się w cierpliwość... Albo zapłacą więcej.

– Czy jeśli biały wódz da Xochipetlowi podarek godny jego męstwa, to Xochipetl zrobi, co mu przykazano?

– To zależy od podarku. Jeśli okaże się, że... To ma być to? Xochipetl jest wzruszony, ale nieszczególnie przekonany. To zaledwie błyskotka, ale skoro białemu wodzowi tak zależy, to Xochipetl przyjmie ją i tak, bo...

– Bo?

– ...

– Niech Xochipetl odpowie. Przyjmie ją, bo co?

– Bo tak mu powiedziano. Xochipetl jest sługą białego wodza. Xochipetl zrobi to, co mu obiecał.

– Brawo. Xochipetl zasłuży na wdzięczność białego wodza. A teraz niech przygotuje siebie i swoich ludzi. Okazja nadarzy się wkrótce.

– Xochipetl usłyszał, Xochipetl tak właśnie uczyni.



Głuchy stukot siekier niósł się po lesie, odbijał echem od niemalże nieprzeniknionej, dziewiczej ściany zieleni.

Od czasu do czasu któreś z drzew waliło się z trzaskiem i łomotem, a wtedy całe stada kolorowych ptaków podrywały

się z koron, krążyły chwilę ponad wierzchołkami zielonego królestwa z zaniepokojonym świergotaniem, aż w końcu znów osiadały w innym miejscu.

Wycinka szła pełną parą.

Przydzieleni przez Montezumę ludzie uwijali się jak w ukropie. Najpierw opalali pnie drzew u samego dołu, potem odzierali je z kory, a w końcu zaczynali dziobać malusieńkimi kamiennymi siekierkami.

Nadzorujący prace drwali pan López z początku podśmiewał się z nich, patrzył z pogardą na te „prymitywne zabawki”, jak to sam je określił... Ale kiedy Meksykanie położyli pierwsze, drugie, dziesiąte i dwudzieste drzewo, widać było, że nabrał do ich pracy nawet pewnego szacunku.

Przechadzający się pomiędzy robotnikami Zahred natomiast od samego początku spoglądał na tych ludzi wyłącznie z czułą sympatią.

Rozebrani niemalże do naga, nienoszący nawet butów, podchodzili do drzew z uczuciem. Oglądali je, dotykali. Przykładali policzki do chropowatej kory. Patrzyli, jak układają się ruchy konarów w podmuchach wiatru... A potem przystępowali do swojego dzieła.

Nie spieszyli się.

Nie próbowali nadrabiać niczego siłą.

Nie szarpali się, nie bili na ślepo, nie pokrzykiwali na siebie nawzajem.

Pracowali w spokojnym, skupionym milczeniu, kawałek po kawałku łupiąc wióry z ogromnych pni.

On sam natomiast szukał tego, o czym oni jednak nie mieli pojęcia: masztów.

Odeszli z Lópezem i paroma innymi dalej w starodrzew, tak że odgłosy wycinki odzywały się już tylko głuchym echem.

Zahred przymknął oczy, odetchnął głęboko zapachem żywicy i igliwia. Tutaj, pośród wiekowych, wysmukłych kolumn pni, czuł, że jest we właściwym miejscu. Delikatna smużka dymu w powietrzu, kamienne siekiery wgryzające się w drewno... Trele ptaków, szum wiatru.

Nie, to nie był jego dom, tego był pewien. Natomiast...

– Co powiecie na to, panie? – López wskazał na jedno z drzew, wysokie i smukłe.

Zahred obrócił się ku niemu, przyjrzał krytycznie.

– Zbyt gruzłowate tam, w połowie wysokości. Widzisz, panie? – Wyciągnął palec.

López zmrużył oczy, próbując wypatrzeć wskazywane miejsce.

– Da się zestrugać... – mruknął niepewnie.

– Da, ale zawsze wtedy wyjdzie zagłębienie przed, bo przed sękiem będziecie mocniej dociskać ośnik. A to przy porządnym wietrze już może nie wytrzymać. Na mniejsze elementy się nada, oznaczcie je, ale to nie jest masztówka.

López pokręcił głową, ale i tak wyciągnął z wiadra pędzel, maznął po korze czerwoną farbą. On sam znał się na łodziach jak mało kto, ale czasami przy tym człowieku czuł się jak byle czeladnik!

Przeszli kawałek dalej, ku niewielkiej piaszczystej dolince. Tam Zahred przeszedł się pomiędzy drzewami, oglądając je, patrząc i z tej, i z owej strony.

– Tamto? – zaproponował López.

– Patrzyłem już, ale jest skrócone u dołu. To. – Zahred poklepał pień.

– To? – Cieśla spojrzał powątpiewająco. – Nie za małe?

– Nie jest największe, ale to nie konkurs, panie. Patrzcie: rosło w zagłębieniu, walczyło o światło ze wszystkimi innymi,

więc ciągnęło prosto ku górze. Wiatr go nie pokrzywił, nic się na nim nie położyło...

– Ano fakt. I gałęzie ma tylko na samym czubku, więc usłojenie będzie równomierne – zgodził się López, nie chcąc oddać kapitanowi całości inicjatywy w procesie decyzyjnym.

– Dokładnie tak: nie musiało wytwarzać wzmocnień, żeby równoważyć obciążenia. Korzenie też się równomiernie układają, jak gwiazda. Mamy to! – zawołał Zahred do idących z tyłu Kastylijczyków z piłami. – Tylko ostrożnie z nim!

Kiedy wracali ku prowizorycznemu obozowisku w lesie, Zahreda dogonił Xicotencatl.

– Xahuatl zachowuje się tutaj, jakby był w swoim żywiole. – Uśmiechnął się.

– Xahuatl wychował się w lasach. Tylko że tam było więcej śniegu i więcej zwierzyny... Wszystkiego było więcej, wszystko było większe.

– Xahuatl jest inny w mieście i poza nim.

Zasiedli przy ognisku. Pozostali Tlaxcaltekwie kiwnęli głowami i wymruczeli słowa powitania; w tej chwili traktowali już Zahreda jak jednego ze swoich.

Wyglądał jak jeden z nich. Zachowywał się jak jeden z nich. Mówił jak jeden z nich.

Był jednym z nich.

– Lepszy, gorszy? – zaciekawiał się Zahred, kijkiem wygrzebując upieczonego w popiele ptaka.

Xicotencatl zastanowił się chwilę, potem powiedział krótko:

– Prawdziwy.

– Hm, hm... Zwięzłość godna Otomi, przenikliwość na miarę Tlaxcali...

– Xicotencatl nie wie czasami, czy Xahuatl chwali go, czy gani! – zaśmiał się młody wódz.

– Zatem i on, i jego brat mają podobne wątpliwości. Wystarczy już wybierania materiału dla rzemieślników, jutro można będzie wrócić do Tenochtitlán.

– Wypać się pod dachem! – podsunął któryś z wodzów.

– Pójść do domu parowego – mruknął inny.

– O tak, łaźnia! To zawsze dobry pomysł – zgodził się Zahred. – Oby nie okazało się, że pod nieobecność Xahuatla i jego przyjaciół coś znów poszło nie tak.

– Xahuatl za dużo się martwi. Nasz los już dawno zapisali w gwiazdach bogowie – odezwał się Maxixcatzin.

Zahred spojrział na niego spode łba, westchnął.

– I tego właśnie Xahuatl obawia się najbardziej...



Montezuma siedział na tarasie, patrząc w gwiazdy i po raz pierwszy od długiego czasu oddychając pełną piersią.

Wreszcie był z powrotem u siebie.

Dziś jego dwór zakończył ponowne przenosiny do Pałacu Białych Trzcin, a on już zdążył przyjąć na wieczornej audiencji kilku dostojników, którzy wcześniej albo odmawiali przychodzenia do niego w niewoli, albo z takich czy innych względów nie mogli się tam pokazywać.

Dopiero co wyszedł od niego z wieczornej audiencji władca Domu Szeptów Itzli, którego oczy nie oglądały najwyższego króla, odkąd ten przyjął narzuconą mu gościnę Cortésa.

Część słów Itzlego ucieszyła Montezumę. Część zastanowiła. Nieliczne zasmuciły... Niemniej cieszył się, że mógł znów zobaczyć swego zaufanego doradcę.

Nawet pomimo tego, że Itzli też się zmienił.

Inaczej mówił. Inaczej układał zdania. Częściej odważał się przerywać Montezumie. Raz wręcz pozwolił sobie na otwartą krytykę tego, co jego król zakomunikował mu jako fakt już dokonany.

Montezuma jednak nie gniewał się na Itzlego.

Wiedział, skąd taka zmiana we władcy Domu Szeptów – bo i czuł podobną w samym sobie.

Dopiero teraz, po kilku długich miesiącach niewoli we własnym mieście, widział pewne rzeczy jasno i przejrzysto niczym na dłoni.

Dlatego też powiedział o nich Itzlemu, nie skrywając niczego.

Ten wysłuchał.

Przyjął usłyszane słowa.

Zastanowił się dłuższą chwilę.

W końcu łamiącym się ze wzruszenia głosem przysięgł z podniesioną dumnie głową, że do wszystkiego się zastosuje.

Tak, teraz wszystko było zupełnie inne.

Odkąd wreszcie skończył się parę tygodni temu znienawidzony, niekorzystny dla władców i królów, pełen niepewności i chaosu rok Jeden-Trzcina, myśli Montezumy były w końcu spokojne i ułożone jak dobrze przygotowany wzorzysty kobierzec.

Ponieważ teraz nastał nowy, o wiele lepszy rok Dwa-Krzemień, rok noża, rok władców i bogów. Ten, który pozwalał na realizację śmiałych pomysłów.

Dlatego też Montezuma mógł w końcu zacząć mówić i działać tak, jak czuł to w swoim sercu już od dawna.

Dopiero co wyszli od niego posłańcy, którzy przynieśli wieść, że jego przyjaciel Xahuatl powrócił już do Tenochtitlán z miejsca, gdzie drwale ścinały drzewa. Ich pnie, ogołoczone z gałęzi i okorowane, były już teraz transportowane ku

wybrzeżu, gdzie biali mieli zbudować swoje łodzie z białymi płachtami płótna.

Montezuma zamierzał im w tym dopomóc, bo naprawdę nie życzył im źle. Polubił ich, zaciekawili go. Dużo się od nich nauczył i dowiedział... A teraz cieszył się, że w końcu chcieli opuścić jego królestwo.

I właśnie ta świadomość nadchodzącego szczęścia i spokoju, to radosne wyczekiwanie tak bardzo go niepokoiły.

Gdyż Montezuma pamiętał, że bogowie byli przewrotni i złośliwi. Lubili pokazać człowiekowi ułudę nadziei tylko po to, aby zaraz ją odebrać. Pozwolić, aby pomiędzy chmurami błysnęło słońce, a zaraz potem spowić ziemię nieprzeniknionym, smutnym mrokiem.

Tak, Montezuma bał się tego. Tylko głupiec nie znał strachu... Lecz Montezuma był gotów stawić czoła swemu strachowi i zrobić wszystko to, czego będą wymagali od niego bogowie.

Jednak tego wieczora był spokojny i cieszył się, że Xahuatl wrócił do miasta, zaś z samego rana będą znów mogli napić się wywaru *xocolatl*, patrząc, jak Tenochtitlán budzi się do życia.

Niech jego przyjaciel Xahuatl odpocznie, a potem...

Najwyższy król drgnął i otworzył oczy, aż zaskoczony tą myślą: nawet nie zauważył, jak sam nazwał Xahuatla, gdy słowa duszy płynęły z samego serca, a on mówił sam do siebie bez słów.

Uśmiechnął się – a wtedy jego twarz stężała, ściągnęła się gwałtownym grymasem strachu.

Na samej krawędzi tarasu siedział naprzeciwko Montezumy poruszający powoli ogromnymi skrzydłami Obsydianowy Motyl.



Zahred zamknął oczy, oparł się o nagrzaną kamienną ścianę i powoli, ostrożnie odetchnął gorącym, parnym powietrzem *temazcal*.

Czuł, jak ręce, nogi, każdy fragment i mięsień jego ciała powoli pulsują tęnym bólem zmęczenia.

Dopiero teraz, kiedy dotarli do miasta, a on pozwolił sobie na luksus wieczornej wizyty w parowej łaźni, zaczynało powoli docierać do niego, jak bardzo forsowna była ta eskapada z cieślami. Forsowna, ale i dobra.

Znaleźli i oznaczyli bite cztery tuziny pięknych żywicznych sosen, które po rozszczepieniu klinami doskonale nadadzą się na deski poszycia.

Wybrali pięć smukłych pni na maszty.

Przygotowali logistykę transportu, ustalili wstępne szlaki zaopatrzenia mającej powstawać pod Vera Cruz stoczni.

– „Logistyka transportu” i „szlaki zaopatrzenia” – mruknął sam do siebie rozbawiony.

Och, jak trudno było mu przekładać na kolejny język tak doskonale przecież wybrzmiewające w czystej klasycznej łacinie pojęcia! Tłumaczyć okrężną drogą, wyjaśniać pojęcia podstawowe. Łatać na bieżąco dziury w aparacie poznawczym.

Powoli nabrał tchu przez nos, wypuścił przez usta.

Za ścianą huczał ogień w palenisku, strzelały i trzeszczały nagrzewające się kamienie.

Z sufitu powoli skapywała kondensująca się woda.

Było cicho, zupełnie ciemno i spokojnie.

Na zewnątrz krótko, urywanie rozszczekał się Kefren, przywiązany do słupka na podwórku. Ktoś odezwał się głosem



stłumionym przez grubą, ciężką, moką od wody zasłonę.

Łaźnia była jedną z najlepszych rzeczy, jakie wymyślił człowiek. Nie zmieniła się przez tyle setek, tysięcy lat... Podobnie jak nie zmieniło się to, do czego służyła.

Ani to, co mogło i potrafiło się w niej wydarzyć.

Poczuł powiew chłodniejszego powietrza, kiedy odsunęła się na bok zasłona w wejściu. Woda plusnęła raz i drugi, gdy bose stopy stanęły w sadzawce... Na dworze nadal ujadał Kefren.

– Niech Xicotencatl siada – zamruczał rozleniwionym głosem Zahred.

I już wtedy uświadomił sobie, że popełnił błąd.

Rzucił się w bok w tym samym momencie, kiedy stojący w ciemnym, ciasnym wnętrzu nagrzanej łaźni parowej człowiek zrobił wypad w przód, rozchlapując wodę wszędzie dokoła.

Poczuł, jak na żebrach przy sercu i wewnętrznej stronie lewego ramienia wykwita mu piekąca pręga.

Poderwał w górę lewą rękę, żeby się zasłonić – obsydianowe ostrze cięło raz jeszcze, tym razem od góry, zgrzytnęło o kość przedramienia.

Uderzył prawą dłońią czysto na oślep, na wyczucie, celując w miejsce, gdzie tamten powinien mieć dłoń z nożem. Chwycił, chciał przekręcić – kolano napastnika uderzyło go boleśnie w pocięty bok, pręga zapiekła bólem.

Miał kilka, dosłownie kilka uderzeń serca, nim jego ciało zorientuje się, że powinno zacząć krwawić.

Tamten znów ciął, celując na wysokości twarzy, natomiast Zahred wyrzucił w przód rękę, kontrując cios. Złapał jego przedramię na swoje, związał dłoń i wyłuskał z niej nóż.

Obrócił go w dłoni, wbił tamtemu prosto w splot słoneczny.

Człowiek sapnął, zapewne otwierając usta w bezgłośnym krzyku.

Zahred zaś podtrzymał go, obrócił tyłem do siebie i z całej siły pchnął w zasłaniającą wyjście matę.

Po czym sam skoczył za nim, czując, jak po lewym boku i ręce ścieka mu strugami krew.

Widział, jak tamten, lecący bezwładnie głową naprzód, uderza w zasłonę i zaplątuje się w nią, wypada na zewnątrz – a tam prosto na kark spada mu cięcie już zawczasu wzniesionego do uderzenia obsydianowego miecza, niemalże odrąbujące głowę od tułowia.

Zdażył dostrzec jeszcze, jak drugi cios, jednocześnie zadany nieco krótszą maczugą nabijaną krzemieniami, uderza i tak dostatecznie już martwego siepacza w brzuch.

A potem odrzucił zasłonę ręką i w kłębie pary wyleciał zupełnie nago na dwór.

Rzucił się na stojącego po jego prawej stronie człowieka z szerokim mieczem, sięgając dłonią ku jego twarzy. Złapał za włosy, szarpnął...

– Uwagaaa! – spóźniony okrzyk w niskim, prymitywnym dialekcie języka *nahuatl* przebrzmiał na dziedzińcu.

...maczuga spadła mu pomiędzy łopatki niczym grom, tnąc skórę i orząc ciało.

On jednak nie puścił chwyconego napastnika, tylko pociągnął w bok, obracając tamtego tak, by oddzielał go od trzeciego, który znów zamachiwał się maczugą.

Jakimś cudem, bardziej zrzędzeniem losu niż umiejętnościami, czystym łutem szczęścia dał radę kopnąć tak, że miecz, zamiast przerąbać mu łydkę na pół, zarył zębatym ostrzem w ziemię.

Teraz to on wyrzucił kolano ku górze, uderzając trzymanego za włosy prosto w zęby, a kiedy tamten odchylił się,

spróbował wyrwać mu miecz.

Jednak tylko jedną ręką, mimo że chciał zrobić to dwiema naraz.

Zatem lewa już przestawała go słuchać.

Niedobrze.

Chwycił za rękojeść, szarpnął – o dziwo, tamten, najwyraźniej zaskoczony, wypuścił broń.

Zahred zamachnął się byle jak, podrywając miecz. Poczul, jak ostrze tnie skórę i ciało, bryznęła świeża krew.

Ledwie zdążył podnieść broń na tyle wysoko, by desperackim wymachem sparować kolejny cios maczugi.

Ostatni przeciwnik nie czekał, nie zamierzał bawić się w pojedynki, tylko rzucił się na niego z dziką, wściekłą furią człowieka wiedzącego, że walczy o wszystko, o być albo nie być.

Zahred nie zdążył zasłonić się po raz kolejny, więc teraz wypuścił zupełnie już nieprzydatny, zbyt długi oręż i od razu postarał się złapać lewą rękę tamtego. Nie do końca na darmo, ale i nie z zamierzonym skutkiem, bo jakkolwiek chwycił ją i przytrzymał, to ostrze noża i tak otwarło mu skórę na udzie.

Zaś maczuga w rękach tamtego nadal kreśliła nieubłagany łuk, który...

I w tym momencie szyja napastnika bryznęła szkarłatem, głowa odskoczyła na bok. Opadająca już ręka zmieniła trajektorię, palce rozwarły się minimalnie – na tyle, aby drzewce maczugi wyśliznęło się z nich nieznacznie, uderzając Zahreda w skroń nie nabijaną kamieniami głowicą, ale samym drewnem.

I tak poczul, jak suche stuknięcie rezonuje mu aż w zębach, przed oczami na chwilę zrobiło się ciemno.

Poczul, jak leci na plecy, przewraca się, uderza o coś ramieniem.

Zapadł się w lepką, gęstą ciemność niebytu, pochłaniającą go niczym trzęsawisko.

Chciał poruszyć się, krzyknąć – ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Znał to uczucie i wiedział, czym się kończy, dokąd prowadzi.

Całe jego jestestwo aż skuliło się w sobie, zwinęło na myśl o tym, że to już teraz. Że po raz kolejny mu się nie udało. Że znów popełnił jakiś błąd.

Kolejny prosty, przewidywalny, dziecinny błąd.

Znów w łaźniach.

Znów tak głupio.

Znów będzie ciemność, po której błysnie światło, a on będzie musiał...

A potem usłyszał swoje imię.

– Xahuatl!

Nagle rzeczywistość wróciła do niego.

Po lewej stronie buzował ogień w palenisku łaźni.

Nad nim było rozgwieżdżone niebo, w które waliły kłęby unoszącej się z jego rozgrzanego ciała pary.

Zaś na tle tego nieba widział na poły przerażoną, na poły wściekłą twarz Xicotencatla.

– Xahuatl! – powtórzył młody wódz, tym razem już z ulgą. – Niech Xahuatl nie odchodzi! Niech zostanie tu, niech nie zamyka oczu...! Pomocy!

Nagle wokół niego zaroili się inni ludzie.

Ktoś krzyczał, inny wołał coś. Kolejny zaczął bandażować jego rany, następny z zaskakującą fachowością zawiązał mu na ramieniu rzemienną opaskę i docisnął supeł tak, że aż zatrzeszczała skóra.

– Żyję... – wycharczał Zahred z pewnym zdumieniem.

– Niech Xahuatl wybaczy Xicotencatlowi! Uwagę Xicotencatla zabrała dziewczka o pięknych, pełnych piersiach... A potem usłyszał krzyki!

– Nic się nie... Ała! – jęknął Zahred, spoglądając na swoje lewe ramię i bok.

Chciał wstać, ale wtedy odezwały się bólem plecy.

Jeden z Tlaxcalteków już doskoczył do niego, chciał opatrzyć ranę. Ktoś jeszcze polał ramię wodą, żeby spłukać krew i brud...

– Precz! – warknął Zahred, odganiając od siebie ludzi. – Precz, odejdźcie...! Odsuńcie się od Xahuatla! Niech Xicotencatl pomoże mu, a potem...

Urwał, kiedy Xicotencatl już przysunął się do niego i zaczął pomagać mu wstać.

Przez chwilę patrzył na pierś jednego z zabitych, na której lśnił złotym poblaskiem okazały, zupełnie niepasujący do reszty wyposażenia trupa złoty wisior na zupełnie świeżym, niepociemniałym jeszcze z czasem rzemieniu.

A potem z trudem podniósł się i opierając na ramieniu przyjaciela, pokuśtykał w kierunku wyjścia z podwórca, odprowadzany przerażonymi, zdumionymi spojrzeniami.



*Tlantonaniztli* odsunął kotarę na bok, wszedł do środka i omiótł wzrokiem stojących w pomieszczeniu zaaferowanych ludzi.

– Gdzie pacjent? – rzucił bezceremonialnie Xiuhtzi.

Wyrwano go z jego domu, oderwano od świętego ogniska jego rodziny, przy którym opowiadał właśnie swojej czwórce

wnucząt o tym, jak bardzo ważne jest właściwe złożenie ofiar podczas dwudziestodniowego okresu Ochpaniztli.

Nie to, że poproszono, ale wręcz zażądano – nie! KAZANO mu natychmiast, bez chwili zwłoki, kusząc sowsitą zapłatą i zupełnie niepotrzebnie strasząc przeróżnymi karami, udać się tutaj, gdzie rzekomo miał udzielić komuś niezwłocznej pomocy.

A teraz nie wyglądało nawet na to, żeby ktoś tu był chory! Przy chorych zawsze kręciły się kobiety, płonął ogień, palono kadzidło... A tu przebywali sami mężczyźni!

Mało tego: OBCY mężczyźni. Wcale nie Mexikowie, ale w większości pośledniego pochodzenia Tlaxcaltekowie.

Xiuhtzi już miał obrócić się na pięcie i wyjść, kiedy z sąsiedniego pokoju wyłonił się mężczyzna, którego widział już wcześniej. Nie tylko widział, ale o którym zdarzyło mu się słyszeć i nawet go zapamiętać.

– Tędy. – Xicotencatl ruchem ręki pokazał drogę.

– Co się stało? – zapytał lakonicznie *tlantonaniztli*. – Czas Xiuhtziego jest cenny. Jego praca jest cenna. Bogowie nie lubią, gdy marnować talent ich posłańców, więc... Och.

Urwał, gdy Xicotencatl wprowadził go do niewielkiego pomieszczenia, gdzie na prostym posłaniu z trzciny leżał półnagi, zakrwawiony mężczyzna o ciele pokrytym tatuażami.

Ten sam mężczyzna, na którego polecenie Xiuhtzi wyrwał zęb jednego z białych przybyszów.

Stary znachor już na pierwszy rzut oka widział, że ten człowiek nie powinien być żyć. Nie z tak rozległymi i głębokimi ranami. Nie po utracie takiej ilości krwi. Jego ciało należało już do ognia i ziemi, jego dusza do krainy zmarłych.

Mimo to pierś wymalowanego człowieka unosiła się, na poblaskłych policzkach widać było wciąż tłącą się w ciele iskrę życia.

Jednak nie to najbardziej uderzyło stojącego w progu *tlantonaniztli*.

W pokoiku pełno było much.

Owady bzyczały, unosząc się w powietrzu. Przysiadały na parapecie i łaziły po ścianach. Kłębiły się istnym rojem. Łaziły po ciele rannego, jak gdyby czekając tylko, aż ten pożegna się z życiem.

Xiuhdzi stąpał po świecie już wiele lat.

Doczekał się kilkorga własnych dzieci, a teraz piastował wnuki.

Pochował zmarłą w połogu córkę i poległego na wojnie syna.

Widował zarówno nieuniknione misterium śmierci, jak i piękno narodzin życia.

Przez cały ten czas zdarzyło mu się jednak widzieć raptem dwa zdarzenia, które określiłby mianem cudu.

Pierwszym było, gdy matka wydała na świat martwe dziecko, które zawinięto już w grobowy całun i okadzono na drogę do zaświatów, a wtedy ono zaczęło kwilić.

Drugiego doświadczył sam, kiedy po trwającej tydzień wyniszczającej chorobie, która odebrała mu nawet zdolność mowy, pewnego dnia po prostu obudził się zdrowy.

Jego praca nie była może bezpośrednio związana z bogami, ale Xiuhdzi potrafił rozpoznać ich działanie.

I teraz właśnie dotarło do niego, że ma przed sobą coś, co stanie się dla niego trzecim podobnym przypadkiem.

Powoli podszedł, uklęknął przy posłaniu i starając się nie zwracać uwagi na łażące mu po twarzy owady, wyciągnął rękę, aby odwinąć nieumiejętnie założone opatrunki.

Nie zdążył ich jednak nawet dotknąć: leżący złapał go za nadgarstek, szarpnął ku sobie i przystawił do gardła nóż o kamiennym ostrzu.

Dopiero potem powieki człowieka z tatuażami zatrzepotały i rozchyliły się. Dwoje popielatoszarych obojętnych oczu spojrzało na Xiuhtziego, który mimo woli zadrżał na całym ciele.

– Xahuatl – odezwał się miękko Xicotencatl, stojący za Xiuhtzim. – Niech Xahuatl nie niepokoi się. Xicotencatl posłał po *tlantonaniztli*, który uleczy Xahuatla.

Zahred zmierzył medyka mętnym spojrzeniem, przeniósł wzrok na Xicotencatla. Uśmiechnął się słabo.

– Dziękuję – szepnął, po czym znów przymknął oczy.

Xiuhtzi delikatnie, powoli rozwarł wciąż trzymające go za rękę palce, odsunął od gardła dłoń z nożem i ułożył u boku rannego.

– Niech wyjdzie – rzucił przez ramię.

– Xicotencatl zostanie, żeby...

– Niech wyjdzie! – warknął znachor, zsuwając z ramienia swoją torbę. – To sprawa pomiędzy *tlantonaniztli*, bogami i ich posłańcem.

Xicotencatl sapnął i zamruczał coś pod nosem, ale obrócił się na pięcie i wyszedł, zasłaniając za sobą kotarę, zza której niosło się bzyczenie setek much.

### *Kilka dni później*

Caudillo Hernán Cortés walnął pięścią w stół, aż zadzwoniły misy.

– Spokój! Spokój, powtarzam, panowie! – zakrzyknął. – Nic nam tu nie dadzą nerwy i przekrzykiwanie się! Tu się naradzić trzeba na spokojnie...!

– Jakie na spokojnie? Działać trzeba! Zbierać się już teraz, zaraz, dziś!



– Żadnego pośpiechu, bo to nas może zgubić! W takich chwilach pomyśleć trzeba...

– Jakie pomyśleć?! My tu deliberować będziemy, a tymczasem naszych tam wybiorą jak raki z saka!

– Pa-no-wie...! – wydarł się po raz kolejny Cortés, waląc już bez zahamowań otwartą dłonią w stół. – Cisza! Dajcie mi raz jeszcze, na spokojnie tym razem, pismo wam odczytać!

– Nie ma co czytać, trzeba wyruszać od razu! Zgnieść ich jak pluskwy, nie dać się na brzeg wysadzić! Całą siłą naszą, jaką tylko damy radę!

– Jaką całą? Garstka nas tu ledwie została! Pan de Ordaz nie wrócił jeszcze ze swoimi ludźmi! Ani słowa od panów de Tapii i Pizarra...!

– Ekspedycja pana de Umbrii też nie wiadomo gdzie się podziewa!

– Panowie...!

– Mało nas tu! Do tego jeszcze kapitan Zahred ile to już czasu chory leży, może już nie żyje nawet?! Dzikusy nie dopuszczają do niego nawet jego ludzi, kto wie czy...

– Jestem – rozległo się od drzwi.

Umilkli na chwilę, zaskoczeni.

Zahred – blady jak płótno, wychudły, z twarzą niczym maska pośmiertna – wszedł powoli do komnaty, powłócząc nogą. Wszyscy patrzyli na niego jak na ducha, niczym na powróceńca z zaświatów... Ale stopniowo oblicza ludzi wygładziły się, rozciągnęły w uśmiechach: żyje, jednak żyje!

I tylko stojąca obok Cortésa doña Marina zacisnęła drobną dłoń na oparciu krzesła caudilla tak, że aż jej zbiełały kostki palców.

– Panie, jużeśmy do was mieli ojca de Olmeda słać z ostatnim sakramentem! – sapnął Cortés, jednocześnie

odganiając ruchem ręki nie wiadomo skąd nagle przylazła muchę. – Co wam się stało?

– Febra jakaś mnie złapała. Jakby kto w łeb przyłożył kamieniem, ledwo na nogach mogłem ustać. – Zahred uśmiechnął się słabo. – Co się dzieje, panowie? Co to za wzburzenie, że aż chorego z łoża wasze krzyki ściągnęły?

Cortés podniósł trzymane w ręku pisma, uderzył w karty pergaminu otwartą dłonią:

– Statek gubernatora Velázquez pojął się pod Vera Cruz!



## Rozdział 8

*Wielkanoc 1520*

**W**cale nie do końca wiadomo, czy tłuścioch Velázquez przybył osobiście. Ja bym się tym za bardzo nie przejmował... No, panowie, to w górę serca! Za zdrowie naszego Pana Jezusa Chrystusa! Alleluja!

– Alleluja!

Brzęknęło szkło i złoto, gdy Kastylijczycy stuknęli się kielichami, wychylając kolejny tego popołudnia toast.

O ile wcześniej dzień zlewał się z dniem, to teraz wszyscy jak jeden mąż mieli pewność: była niedziela! I to nie była jaka niedziela, ale samo święto Zmartwychwstania Pańskiego.

Po mszy, odprawionej skoro świt w nowo poświęconym kościele, na który zamieniono świątynię na szczycie najwyższej

piramidy, konkwistadorzy zeszli do miasta, aby zgodnie z tradycją i obyczajem tam odpowiednio fetować tak podniosłą, jakże ważną okazję.

Jednak każdy, komu chciałoby się przyjrzeć ich zachowaniu tego dnia i te parę tygodni wcześniej, chociażby w Boże Narodzenie, od razu dostrzegłby znaczącą różnicę.

Nie było już hałasowania. Ścichły i zamilkły wołania do kolegów przez całą długość placów. Gdzieś przepadło pogwizdywanie za kobietami czy nachalne wyklócanie się z handlarzami.

Sami Mexikowicze też zachowywali się inaczej, bez strachu spoglądając przybyszom prosto w twarz.

Jak gdyby jakiś czar, tak długo wiążący ich wszystkich, z dnia na dzień prysnął i nagle okazało się, że rzeczy są, jakie są: ani lepsze, ani gorsze, tylko właśnie takie.

Dlatego też konkwistadorzy wyszli na miasto, pochodzili, pokomentowali, kupili to i owo, po czym wrócili na kwatery, żeby tam, w zacisznym bezpieczeństwie garnizonu, jak należy uczcić dzień święty.

– Zdrowie naszego caudilla, niezrównanego Hernána Cortésa! – wzniósł toast Pedro de Alvarado. – Niech tam tego pożałuj Boże dowódcę ichniego... Jak go wołają?

– Narváez, panie – odpowiedział Juan Díaz, któremu sam Cortés polecił, aby pod jego nieobecność wspierał mądrym słowem zostawionego przy dowodzeniu w mieście de Alvarada. – Pánfilo de Narváez.

– Niech więc tam Narváeza nasz caudillo ze skóry obłupi i solą morską natrze, o! Niech sobie gubernator nie myśli, że byle kogo może za nami posyłać!

– Nie wiemy jeszcze, panie, w jakim celu przyplłynęli – powtórzył doradca po raz nie wiedzieć który.

– A w jakim niby? Pozazdrościli nam na pewno, ot co! Sławy, odkryć, bogactwa...

– Władzy... – odezwała się doña Marina, siedząca po lewej stronie de Alvarada.

– A jużci, że i władzy! Ale nie dla psa kiełbasa! – zaśmiał się de Alvarado, dolewając sobie *pulque*. – Zdrowie nasze z wami, mości panowie bracia! Na pohybel wrogom!

– Na pohybel Narváezowi! – krzyknął ktoś zza stołu.

– Na pohybel tym, co źle nam życzą! – zawtórował mu inny.

– Na pohybel pogańskim dzikusom, Alleluja! Do dna...!



– Jak się trzymasz?

Zahred przywołał na twarz uśmiech i podniósł wzrok na Cortésa, spoglądającego nań z wysokości końskiej kulbaki.

– Daję radę, Hernán – mruknął przez zaciśnięte zęby, przestawiając nogę za nogą.

– Nadal nie wyglądasz dobrze. Odpuściły ci te skurcze mięśni w plecach? Może jednak dasz się obejrzyć medykowi?

– Nic mi nie jest, mówiłem przecież. Widzisz chyba, że idę już o własnych siłach.

– Widzę tylko, jak się męczysz! Niepotrzebnie, bo koń by się znalazł... W ogóle to nadal uważam, że powinienes być zostać w Tenochtitlán.

Zahred nie odpowiedział, potrząsnął tylko głową.

Cortés próbował przekonać go do tego wszelkimi sposobami. Nalegał, prosił, groził... Pomimo dzielących ich różnic i tego, jak mocno oddalili się od siebie przez ostatnie pół roku, widać było, że nie zapomniał do końca o przyjacielu.

Zahred zaś był rozdarty.

Z jednej strony coś podpowiadało mu, żeby został tam, w mieście. Zaleczył do końca rany. Spokojnie rozmówił się z Montezumą, który na dobre przeniósł się już do swojego pałacu.

Podjął trop niedoszłych zamachowców, na który udało się trafić Xicotencatlowi.

W końcu powiedział parę słów do słuchu Itzlemu, który tak skutecznie Zahreda pilnował, że niemal pozwolił go zaszlachtować w tej łaźni jak wieprzka.

Ale jednocześnie wiedział, że nie może sobie na to pozwolić.

Akurat teraz, kiedy wszystko zmierzało już we właściwym kierunku, nie wymagając ciągłego pilnowania, korygowania i popychania, kiedy widać było, że lada tydzień ekspedycja opuści Tenochtitlán, aby wrócić na wybrzeże – musiało zdarzyć się coś takiego!

Nagle pojawienie się statków pod banderą Kastylii nie zwiastowało nic dobrego.

Ba, mało tego! O ile początkowe doniesienia mówiły o górze dwóch jednostkach, to nawet posłaniec od Montezумы, który dzień później przybył do Cortésa, powiedział jasno: najwyższemu królowi wiadomo, że u wybrzeża stoi tyle wielkich czółen, co bez dwóch dwakroć palców u obydwu rąk.

Osiemnaście statków.

Niezależnie od ich wielkości, ładowności i przeznaczenia, nie była to byle grupka, ale najprawdziwsza flotylla, zapewne wioząca co najmniej dorównujące im siły!

No i w tym wszystkim pojawiało się nazwisko człowieka rzekomo wysłanego przez gubernatora Hispanioli, powszechnie znienawidzonego i pogardzanego Velázquezę, w pogoni za krnąbrnym Cortésem.

Narváez.

Dlatego też Zahred podjął jedyną decyzję, jaką w tej sytuacji mógł: wyruszył wraz z Cortésem na wybrzeże, aby zneutralizować potencjalne zagrożenie dla – tak w końcu bliskiego – wyprowadzenia Kastylijczyków z Tenochtitlán.

Jeszcze zanim wyruszyli, posłali przodem w asyście indiańskich biegaczy ojca de Olmeda, niosącego pierwsze pismo do nowo przybyłych i mającego wy badać ich faktyczne intencje oraz liczebność. Jednocześnie wyruszyli też gońcy do wcześniej wysłanych w głąb lądu ekspedycji, aby ludzie czym prędzej ściągnęli ku punktowi zbornemu w Choluli.

W mieście został de Alvarado, dowodzący niespełną setką Kastylijczyków, mocno uszczuplonym kontyngentem Cholulteków oraz paroma dziesiątkami wojowników Tlaxcali, przy których został Clamecahua.

Lwia część sił konkwistadorów i trzon Tlaxcalteków, nad którymi nieformalne dowództwo sprawował teraz Zahred, maszerowała zaś co tchu w kierunku Vera Cruz.

I modlili się wszyscy, aby nie okazało się, że przybywają za późno.



– Panie, panie... Idą, już ich widać z bramy!

De Sandoval odetchnął głęboko, popatrzył po zgromadzonych wokół niego mieszkańcach Villa Rica de la Vera Cruz, którego to miasta miał obecnie zaszczyt bycia gubernatorem.

Gubernator.

Och, jak dumnie to brzmiało!

Taka funkcja niosła ze sobą przecież niemały status społeczny. Wymagała odpowiedniej aparycji. Umiejętności godnego reprezentowania powagi urzędu. Wiązała się z podejmowaniem ważkich, nierzadko trudnych decyzji.

Słowem, sama już jej nazwa niosła niemały ciężar związanej z nią statecznej powagi.

– Niech nikt nie waży się wyjść im naprzeciw! – zawołał, czując z pewnym zażenowaniem, jak wydostający się przez ściśnięte nerwami gardło głos przemienia się w dyszkant. – Wszyscy wracać do swoich obowiązków i choćby nie wiem co, nie przestawać pracować! Jak zagadają, przywitać się i ani me, ani be, ani kukuryku więcej! Zrozumiano?

– Tak jest...! – odpowiedzieli ludzie.

– Pełna normalność! I jak o coś zapytają, od razu do mnie kierować! Raz jeszcze: do kogo mają iść?!

– Do was...!

– Nie, do diaska! Jak macie o mnie mówić, nicponie?! Do kogo mają się udawać tamci?!

– *Procurador general*, jego miłościwej łaskawości gubernatora Villa Rica de la Vera Cruz, miasta pod jedyną zwierzchnością Korony Hiszpańskiej! – odpowiedzieli ludzie nierównym chórem.

– Tak jest! A teraz każdy do swojej roboty i zachowywać się normalnie!

To powiedziawszy, de Sandoval skoczył za próg swojej chaty i zatrzasnął z hukiem drzwi.

Tłumek rozproszył się, gdy mieszkańcy pospiesznie, nie patrząc jeden na drugiego, zaczęli rozchodzić się po gospodarstwach i warsztatach. Wkrótce placyk opustoszał, miasteczko wróciło do normalności... W każdym razie pozornej.

Tymczasem na prowadzącej od wybrzeża drodze – tej samej, którą nie dalej jak późnym latem ubiegłego roku pędził



na spienionym koniu wartownik, niosąc wieść, że płoną stojące na kotwicy okręty – pojawiła się niewielka grupka podróżników.

Na ich czele kroczył, zatknąwszy dla animuszu prawą dłoń za pas, zaś lewą ułożywszy wygodnie na rękojeści szpady, Antonio de Amaya, równie niebezpiecznie, co niezasłużenie szczytający się tym, że jego matka była siostrą cioteczną od strony ojca nikogo innego jak jego łaskawości Diego Velázqueza, co czyniło go krewnym powszechnie szanowanego i poważanego gubernatora zacnej wyspy Hispanioli.

Dosłownie pół kroku za nim szli ramię w ramię dwaj przedstawiciele dwóch diametralnie przeciwstawnych, jakkolwiek doskonale dopełniających się i nierozzerwalnie splecionych gałęzi władzy. Tę duchowną, jej prawo i porządek, reprezentował w orszaku ozdobiony krucyfiksem dobry ojciec Antonio Ruiz de Guevara, dominikanin – zaś świecką i związane z nią sprawy uosabiał jego miłość Alonso de Vergara, dźwigający na piersi złoty łańcuch notariusza.

Za nimi, tworząc niemalże idealny, jakkolwiek bardzo skromny klin, szło trzech kastylijskich żołnierzy z długimi pikami i przytroczonymi do pasów hełmami. Ci z kolei stanowili zbrojną ochronę delegacji, przydając jej niezbędnego w takich sytuacjach respektu i powagi.

Orszak zaś zamykało kilku Indian zabranych jeszcze z Hispanioli, objuczonych teraz, jak to zresztą na zwierzęta pociągowe przystało, wszelkiego rodzaju tobołami, pakunkami i torbami, których noszenie nie licowało z powagą białego cywilizowanego człowieka i chrześcijanina.

– I to ma być to ichnie miasto? – prychnął pan de Amaya, oglądając się przez ramię na towarzyszy i jednocześnie pokazując ręką na palisadę otaczającą Vera Cruz. – Toż to jakiś pozał się Boże kurnik...!

– Więcej o tym całym Cortésuńciu mówią, niż na to zasługuje – przytaknął mu pan de Vergara.

– Brama na oścież otwarta, ale nikt na nas nawet nie czeka... Na pewno wysłaliście pisma, ojcze? – zwrócił się de Amaya do dominikanina.

– Uprzedziłem ich, że dziś przybędziemy, synu. Ale nic to, nie turbuj się. Widzę, że mają tu nawet kościół, więc zajdźmy najpierw tam, podziękować Panu za szczęśliwe przybycie.

Przeszli kawałek uliczką wejściową, mijając postawione z bali i desek prymitywne chaty. Nikt zdawał się nie interesować ich przybyciem, mało kto w ogóle zerknął w ich stronę... A przecież można by pomyśleć, że widok gości, w dodatku białych, wystrojonych w porządne szaty, powinien wzbudzić jakiegokolwiek zainteresowanie!

– „Kościół”... – warknął de Amaya, taksując wzrokiem mocno niewyględną budowlę z nieco krzywo postawioną wieżyczką, na której szczycie tkwił obsrany przez ptaki krucyfiks.

De Amaya jako pierwszy wspiął się po schodkach do świątyni, ale zreflektował się i przepuścił duchownego przodem.

Zagłębili się w ciemne, ciasne, pachnące kurzem i smołą wnętrze... Przez niewielkie, zaciągnięte rybimi pęcherzami okienka wpadały smugi słonecznego blasku, ale co najmniej drugie tyle światła dostawało się do środka przez niezliczone szpary pomiędzy deskami.

– Przecież tu więcej dziur jest niż ścian... – szepnął ze zdumieniem de Vergara, ale zaraz pospiesznie przeżegnał się, widząc, że ojciec de Guevara szykuje się już, aby rozpocząć modlitwę.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

Gdy kilka minut później wyszli z obskurnej świątyni na placyk równie obskurnego miasteczka, nie zmieniło się wiele. Po ulicach łąziły sobie grzebiące w ziemi kury. Gdzieś w oddali czekał pies, słycać było stukot młotków. Jacyś dwaj Indianie nieśli właśnie zawieszoną na drągach prostokątną skrzynię. Kiedy spostrzegli ich, wyraźnie przyspieszyli kroku, starając się jak najszybciej zejść im z oczu.

– Dziwnie tutaj... No nic, panowie, poszukajmy przedstawicieli lokalnej władzy. – De Amaya rozejrzał się po domach.

– Rzekomej lokalnej władzy, panie. Rzekomej, domniemanej jakoby. Upraszam o sowite okraszanie każdego zdania tymi słowami – przypomniał po raz kolejny notariusz.

– Tak, tak, jasne. To chyba tam będzie. – De Amaya pokazał na jeden z domów, niewyróżniający się dokładnie niczym poza minimalnie większymi rozmiarami.



Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Gonzalo de Sandoval aż podskoczył na swoim miejscu przy stole piśmienniczym. Jeszcze bardziej rozsunął po blacie już zawczasu ułożone papiery, umoczył pióro w kałamarzu i wzniósł je nad częściowo zapisaną kartą.

– Jeszcze nie! – syknął na służącego, który już gotów był otwierać. – A wy czekać mi tam i ani mru-mru! Czekaj... Chwila... Dobrze, wpuszczaj!

Zaś sam pochylił się nad dokumentem i zaczął zapamiętane skrobać po pergaminie, udając, że jest bez reszty pochłonięty Niezmiernie Ważnymi Obowiązkami Gubernatora.

Drzwi skrzypnęły, do pomieszczenia wdarła się struga światła, w której wyraźnie widać było trzy długie cienie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – rozległo się. – My do pana de Sandovala, jakoby sprawującego tutaj rzekomą władzę.

– Na wieki wieków! – odpowiedział de Sandoval, nie podnosząc nawet wzroku znad kleksa, który właśnie pojawił się na karcie. – Zapraszam, zapraszam do środka.

Weszli, szurając nogami.

Sługa zamknął drzwi, znów zrobiło się ciemniej.

De Sandoval kątem oka widział czubki ich butów, ale celowo przetrzymał ich jeszcze chwilę.

Dopisał nic nieznaczące zdanie, którego sens zgubił już sporo wcześniej.

Postawił kropkę.

Złożył zamaszysty podpis, wetknął pióro w uchwyt, zamknął kałamarz.

Sypnął na pergamin drobnym piaseczkiem, zdmuchnął.

Odłożył na bok kartę.

Dopiero teraz spojrzał na trzech gości.

Udał zdziwienie, odchylił się na swoim krześle.

– W czym mogę pomóc, dobrzy panowie? – zapytał, starając się zarówno mówić, jak i siedzieć tak, jak podpatrzył to u caudilla.

– Witajcie, dobry panie de Sandoval. Jestem Antonio de Amaya, a ze mną są dobry pan de Vergara i ojciec de Guevara z zakonu dominikanów...

– Witam i ja. Jako się rzekło: w czym mogę pomóc?

– Otóż przybywamy do was w imieniu i na rozkaz jego łaskawości Pánfila de Narváeza, ustanowionego dekretem jego światłości Diega Velázquezza, gubernatora Hispanioli i innych

terytoriów Nowego Świata, na stanowisku naczelnego dowódcy na tych ziemiach.

– Och. No cóż. Jesteście panowie na ziemiach Villa Rica de la Vera Cruz, miasta założonego na prawie Korony, które podlega wyłącznej jusr... judys... jurys... wyłącznej zwierzchności naszego króla – wybrnął zgrabnie de Sandoval, czując, jak zaczynają mu się pocić ręce. – A ja witam was jako *procurador general*, jego miłościwa łaskawość gubernator Villa Rica de la Vera Cruz, miasta pod jedyną zwierzchnością Korony Kastylii.

Tamci popatrzyli po sobie, zdumieni, że przyjmujący ich człowiek sam wymienia swoje własne tytuły z pełną formułą grzecznościową... Ale cała sytuacja i tak była na tyle kuriozalna, że było to doprawdy mało istotne.

– Przynosimy wam, panie domniemany gubernatorze rzekomego miasta, pisma od naszego dowódcy. Pisma z wezwaniem, byście natychmiast zaniechali waszej uzurpacji jakoby władzy i natychmiast podporządkowali się rozkazom dobrego pana de Narváeza.

– Władzę tutaj sprawuje tylko nasz caudillo, *capitán general* oraz *justicia mayor* Hernán Cortés – odparł nieco zbyt ostro i za szybko de Sandoval, zerkając nerwowo ku półprzymkniętym drzwiom do alkowy.

– Cortés i jego stronnicy to zdrajcy, a jego wyprawa i wasza rzekoma władza tutaj, panie de Sandoval, są nielegalne. Wyłączną władzę tu sprawuje gubernator Velázquez, a w jego imieniu wykonuje ją nasz dowódca, admirał de Narváez.

– A jednak wszyscy razem i każdy z osobna tutaj, w Vera Cruz, jesteście lepszymi sługami Jego Królewskiej Mości niż wasi Velázquez i Narváez razem wzięci. To wasza władza nie sięga tutaj, a wy jesteście tu nielegalnie, bezprawnie i bezpodstawnie, zaś wszelkie podejmowane przez was decyzje

pozbawione są mocy prawnej i traktowane winny być jako niebyłe – wyrzucił z siebie jednym tchem de Sanoval.

Widział, jakie te słowa zrobiły na nich wrażenie.

A co, niech sobie nie myślą! Nie na darmo przecież przysłuchiwał się, jak caudillo opowiadał o swoich dokonaniach we wcześniejszej karierze prawnika. Już wtedy miał nadzieję, że kiedyś, pewnego dnia, użyje tych pięknie brzmiących sformułowań, aby zagiąć kogoś w rozmowie.

I oto ten dzień nadszedł, że wreszcie, kiedy pojawiał się na horyzoncie kańczug litery prawa, pan Gonzalo de Sandoval stał na jego właściwym końcu.

Jednak tamci najwyraźniej nie zamierzali poddawać się tak łatwo.

– Panie de Vergara, odczytajcie mu dokumenty – wycedził de Amaya, lekko pokraśniewszy ze złości.

– Jakie dokumenty? – De Sandoval poruszył się odrobinę niespokojnie.

Tymczasem notariusz sięgnął do sakwy, wyciągnął aż ciężkie od dyndających przy nich lakowych pieczęci papiery. Zaczął rozprostowywać je, rozwijać.

– Dokumenty składające Cortésa z rzekomo zajmowanego przezeń urzędu, ustanawiające ponownie na tych ziemiach władzę gubernatora Velázquezza i żądające, aby wasz samozwańczy admirał podporządkował się Narváezowi. Czytajcie, panie de Vergara.

– My, Diego de Velázquez, z nadania królewskiego i Bożej łaski gubernator pięknej wyspy Kuby... – zaczął tamten.

– Hola, zaraz, chwileczkę! – De Sandoval zerwał się z krzesła, wyciągając przed siebie ostrzegawczo palec. – Jakie znowu dokumenty? Ja nie wiem, kim wy jesteście w ogóle! Przecież każdy może tu z ulicy wejść, powiedzieć, co tylko ślina mu na język przyniesie, i czytać jakieś bazgroły!

– Mówiliśmy wam już, panie, kim jesteśmy... – De Vergara spojrział na niego kwaśno.

– Tak? A czy wy zatem, panie, jesteście królewskim notariuszem, żeby na autorytet Jego Królewskiej Mości się powoływać?! Hę? I czy to, co tam trzymacie, to są oryginalne dokumenty, czy tylko odpisy?! Bo jak mi Bóg miły, jeśli nie jesteście notariuszem królewskim, to nie macie prawa czytać na głos tak sformułowanego pisma, nawet jeśli jest autentyczne!

De Vergara wyraźnie zawahał się, strzelił oczami na de Amayę. Ten pokraśniał jeszcze bardziej.

– Jak to może być, że liczycie się ze słowami tego zdrajcy, panie notariuszu? Nuże, czytajcie dalej!

– Ostrzegam, że jeśli chociażby spróbujecie odczytać te papiery na głos, to każę wam dać po sto batów! – zapiał de Sandoval.

– Czytajcie, do jasnej cholery...!

– ...niniejszym wzywamy wszystkich służących pod rozkazami fałszywego admirała Hernána Cortésa....

– Brać ich! – wrzasnął de Sandoval.

Na te słowa drzwi do sąsiedniej alkowy rozwarły się z hukiem, zaś do pomieszczenia wpadli, wyjąc dziko, zbrojni w pałki i liny ludzie.

Rzucili się na trzech zaskoczonych ponad miarę delegatów, obalili na ziemię, zaczęli tłuc, wykręcać ręce i kopać bez litości.

Jednocześnie z zewnątrz dały się słyszeć okrzyki:

– Rzuć broń! Ręce do góry, ani kroku! Jesteście aresztowani na rozkaz gubernatora de Sandovala...!

Zaś sam de Sandoval stał, patrząc się na to wielkimi oczami i czując, jak duma rozpiera mu piersi.

Trzech związanych, sponiewieranych posłów wyciągnięto na zewnątrz, gdzie stały już trzy świeżo zbite z desek, wielkie drewniane skrzynie z wywierconymi otworami.

Gdy przerażony, oszołomiony pan Antonio de Amaya, którego matka była siostrą cioteczną od strony ojca, zaś on sam był nie tylko krewnym powszechnie szanowanego i poważanego gubernatora zacnej wyspy Kuby, jego łaskawości Diega Velázquez, ale i posłem od admirała Pánfila de Narváeza, patrzył w niemym stuporze na te skrzynie i stojących już w gotowości indiańskich tragarzy, pojawił się przed nim nikt inny jak sam Gonzalo de Sandoval.

– „Domniemany gubernatorze”... – syknął zjadliwie de Sandoval, zamachnął się i z całej siły kopnął leżącego w twarz. – Ja ci dam uzurpację, ja ci dam pełnomocnictwa...! Do skrzyń z nimi! Zabrać ich jak najszybciej do Tenochtitlán, postawić przed obliczem caudilla!

Ludzie zakrzyknęli radośnie, wtłaczając pojmanych do wnętrza sosnowych pudeł.

– Protestuję...! – zdążył jeszcze zawyć de Amaya, nim drewniana pokrywa zakryła mu widok na świat, zaś skrzynia zarezonowała uderzeniami młotka wbijającego hufnale trzymające wieko.



Skrzypnęły rozdzierająco wyciągane z drewna gwoździe, wieko odpadło, zaś skrzynia przechyliła się na bok, wyrzucając z siebie mocno sponiewieranego, poobijanego i śmierdzącego po czterech dniach i nocach nieprzerwanej podróży pana de Amayę prosto na kamienistą ziemię.

Boże Wszchemogący, jeśli istniało piekło na ziemi, to de Amaya właśnie przez nie przeszedł.



Niosący ich w skrzyniach Indianie chyba ani nie spali, ani nie jedli, truchając niestrudzenie po wąskich górskich ścieżkach. De Amaya widział przez dziury w skrzyni lasy i kamieniste pustynie, góry i doliny, dróżki tak wąskie, że bok jego więzienia szorował o skalną ścianę, a on sam z przerażeniem patrzył w przepaść po drugiej stronie.

Nie dostawali nic ani do jedzenia, ani do picia – z wyjątkiem deszczu, który spadł drugiego dnia i przesączał się przez szczeliny wieka ciężkimi kroplami.

Z początku próbowali krzyczeć do siebie, porozumiewać się jakoś, ale potem ochrypli i zaprzestali nawet tych próżnych wysiłków.

Jednak widzieli też ogromne białe miasta.

Mijali place, jakich istnienia nie podejrzewali.

Przyklejeni do ścian skrzyń, patrzyli na mijane tłumy Indian handlujących tam ptactwem, zwierzętami, tkaninami i złotem.

Jednak przede wszystkim dokuczało im pragnienie, głód i upadający rozstrój kiszek.

Tak, gorzej chyba już być nie mogło.

Tak przynajmniej myślał de Amaya przez całą drogę.

A teraz leżał na ziemi i spoglądał wprost na czubki schodzonych butów z cholewami.

I bał się podnieść wzrok, bo przeczuwał, do kogo te buty należą.

A jednak zawsze może być gorzej, pomyślał.

– Witajcie w Choluli, dobrzy panowie. – Ubrany w półpancerz i hełm caudillo Hernán Cortés przykucnął przed de Amayą. – Kogóż to nam przyprowadziliście, panie de Solis?

Nadzorujący transport jeńców Pedro de Solis, też ledwie trzymający się na nogach z niewyspania oraz zmęczenia,

pokazał z dumą na leżących na ziemi, jęczących nieszczęśników.

– Wyobraźcie sobie, panie, że ptaszki do nas przyfrunęły od Narváeza! Pan gubernator de Sandoval chciał z nimi rozmawiać po dobroci, ale zaczęli chuliganić, więc trzeba ich było spacyfikować. Co każecie z nimi zrobić? Bo jakby to od nas zależało, to...

Jednak Cortés podniósł się i spojrzał tylko na stojącego obok Zahreda. Ten zrobił krok ku de Solisowi, zamachnął się i strzelił go prosto w pysk.

– Jakim prawem! – ryknął Zahred, kiedy tamten aż zatoczył się w tył. – Jakim prawem tak traktujecie posłańców od naszych przyjaciół i pobratymców, panie de Solis?! Co to za samowola?!

– Ja, ja, ja... – zająknął się de Solis, niepomiernie zdumiony.

– Wam się wydaje, że u siebie na wsi, w tym całym Burgos, jesteście?! Że można bezkarnie ludzi podglądać, obgadywać i bić?! W dyby was za takie zachowanie zakuć...!

Pan de Solis, który faktycznie pochodził z niewielkiego miasteczka i miał w nim przezwisko Solis z za Drzwi – a to z racji tego, że lubił zaglądać innym do domów i wcale nie krył się z wiedzą o tym, co tam zobaczył – aż się skulił, patrząc z przerażeniem to na kapitana Zahreda, to na stojącego obok niego caudilla.

Nie przeszło mu nawet przez myśl zdziwić się, że kapitan Zahred zna go z nazwiska. Ba, mało tego! Najwyraźniej wie, skąd się wywodził!

A przecież dopiero co zdawało mu się, że słyszał w głosie Cortésa złośliwą satysfakcję! Jak tylko przybyli, tamten jeszcze się śmiał: ot, jak mu zgrabnie de Sandoval prezenty zapakował!

Potem kazał otworzyć skrzynie i wytrząsnąć ich zawartość... Zaś teraz wyglądało na to, że pan de Solis otworzył jakąś puszkę Pandory.

– Spokojnie, przyjacielu. – Cortés położył Zahredowi dłoń na ramieniu. – Nie wolno karać posłańców za przewiny tego, kto wydał mu rozkazy... Wybaczcie, dobrzy panowie, to grubiańskie traktowanie.

Pokazał na ludzi Narváeza ruchem głowy. Kilku żołnierzy od razu podskoczyło do nich, pomogło się podnieść, rozcięło pęta.

Niedawni więźniowie, do reszty już skonfundowani, nie wiedzieli nawet, na co patrzeć: na Cortésa? Na żołnierzy pod bronią, przeczących otwarciem tym kordialnym słowom? Czy może na miasto widoczne wokół nich, z jego piramidami ciągniętymi się ząbkowanymi ścianami aż ku niebu?

Caudillo objął zbaraniałego de Amayę za ramiona, ucałował w obydwie policzki.

– Witajcie w Choluli, panowie!



– Zdrowie caudilla Cortésa, zdrowie admirała Narváeza!

– Zdrowie!

De Amaya wznosił puchar, umoczył usta w dziwnie pachnącym, a jeszcze dziwniej smakującym mętnawym napitku.

We łbie już mu się solidnie kręciło, bo osłabiony niewyspaniem i zmęczeniem organizm kierował wszystko prosto w nogi...

...a przecież ci tutaj tylko polewali!

– D-d-do dna! Do d-d-dna...! – zachęcił go siedzący obok wielki, kędzierzawy jakała, który zjadł i wypił więcej na tym jednym posiedzeniu niż de Amaya przez ubiegły tydzień.

Pozostali dwaj niedawni więźniowie, a teraz, jak się okazało, goście honorowi na wydanej podobno specjalnie na ich cześć uczcie, też mieli nietęgę miny. I to nie dlatego, że było im źle, bynajmniej!

Duchowny, chyba najmniej z nich trzech przywykły do trudów życia, zajadał, aż mu się uszy trzęsły. Służba dokładała tylko do misy przed nim kolejne kukurydziane placki, napchane wewnątrz ciemną fasolą, kawałkami mięsa jakiejś drobnej zwierzyny i czymś jeszcze, co przyjemnie trzeszczało i chrupało w zębach. Starał się przy tym nie patrzeć na uśmiechy siedzących obok ludzi, nad miarę gorliwie zapewniających, że mięso to królik, a to chrupiące to orzechy... Jadł, mimo że widać było, że już nie może... A potem jadł jeszcze trochę.

Zaś notariusz tylko siedział i patrzył na złoto. Na złote misy, złote kubki, złote tace, złote patery i złote dzbany. Na złote bransolety, kolczyki, wisiory, brosze... W życiu nie widział tyle kruszcu, ile mieli go na sobie siedzący z nimi za stołem ludzie!

Ktoś podał mu kolejny złoty kielich pełen mętnego napitku, przysunął jeszcze jedną złotą misę pełną jedzenia.

A przecież rzekomo byli to w większości zwykli żołnierze.  
Rzekomo.

To właśnie słowo, jeszcze niedawno tak cenne i przydatne, ulegało teraz w głowie pana de Vergary gwałtownemu przewartościowaniu.



Kiedy następnego dnia pod wieczór do kwatery pana de Amayi – swoją drogą, przestronniejszej i bogatszej niż jego własny dom! – zawitał gość, ten już niemalże doszedł do siebie.

– Zahred de Rundis – przedstawił się przybysz. – Przynoszę po raz kolejny pozdrowienia od admirała Cortésa, który wyraża nadzieję, że zdążyliście się, panie, wyspać i wypocząć.

– De Amaya, Antonio de Amaya, ale to już chyba wiecie... kapitanie? – zaryzykował de Amaya.

Przybysz tylko kiwnął głową zdawkowo, uśmiechnął się.

Był dziwny, to Amaya zauważył od razu; niepasujący do innych. Nieco smaglejsza skóra, tatuaże, no i te zaskakująco jasne oczy.

Może jakiś mieszaniec z tutejszymi, pomyślał de Amaya, w zakresie płodzenia kolejnych pokoleń nieszczególnie przejmujący się kwestiami wieku.

– Mam zaszczyt pełnić tę funkcję w armii caudilla Cortésa, owszem. Zaś wy, panie, jak rozumiem, jesteście głównodowodzącym ekspedycji ratunkowej wysłanej przez gubernatora Velázquezę?

– Schlebiacie mi, panie de Rundis.

– Doprawdy? Byłem przekonany, że słyszałem, jak mówiliście o waszym bliskim pokrewieństwie przy wczorajszej kolacji. Rodzina to rzecz święta, a tak często niedoceniana... – westchnął tamten. – Rozumiem więc, że jesteście jednym z kilku jej dowódców, tak?

– Można tak rzec – skłamał de Amaya, nie mogąc zdobyć się na odrzucenie kolejnego pochlebstwa.

– Chciałbym raz jeszcze przeprosić was za to, co spotkało was na wybrzeżu, szlachetny panie. Nie wiem, dlaczego caudillo Cortés w ogóle ufa temu krzywonosemu bęcwałowi de Sandovalowi. Widzieliście, jaki ma kinol garbaty?

– No, nie dało się nie zauważyć. – De Amaya uśmiechnął się krzywo.

– Więc tak między nami... – Zahred nachylił się do niego porozumiewawczo i szepnął: – To moja robota.

– Nie! Doprawdy?

– Słowo daję. Mieliśmy sprzeczkę, on po broń sięgnął... Ja nawet nie musiałem. Złożył się jak szmaciana kukła, powiadam wam. Zapytajcie kogokolwiek z ludzi, potwierdzą moje słowa. Uznajcie więc, szlachetny panie, że krzywdę waszą a priori częściowo chociaż pomściłem.

– Hm, hmm... – zamruczał ukontentowany de Amaya, któremu coraz bardziej przypadał do gustu ten dziwaczny człowiek.

– No więc, szlachetny panie... Powiedzcie mi, proszę, żebym caudilla mógł lepiej do rozmów przygotować: czego konkretnie szuka na tych ziemiach ten wasz cały Narváez? Albo inaczej: czego szukacie tutaj wszyscy, czego my nie moglibyśmy wam dać?



– I co? – rzucił Cortés, kiedy później tej samej nocy spotkali się z Zahredem na podwórku.

– Wszystko. Albo prawie wszystko, w każdym razie.

– Co ci powiedział? – ożywił się caudillo.

– Mówię przecież: bez mała wszystko. Nazwiska dowódców, liczebność poszczególnych oddziałów, ilość koni, kusz, armat...

– Ilość armat...?! Niepokoisz mnie.

– To tylko liczby, Hernán. Poruszyliśmy też temat samego ich umocowania prawnego, motywacji żołnierzy i szerokiej sytuacji geopolitycznej...

– Zahred, na Boga! Nie schodź mi tu na politykę, tylko mów, ilu ludzi ma Narváez i czego chce!

– Dobrze ponad tysiąc i prawdopodobnie twojej głowy.  
Zadowolony?

– Tysiąc...!

– To tylko liczba, powtarzam ci. Ilu było Tlaxcalteków i Otomi, gdy weszliśmy w tamten nieszczęsny wąwóz?

– Tamto to co innego! Tam były dzikusy, a tu...!

– A tu co? – zapytał Zahred spokojnie.

Cortés zawarczał coś pod nosem, odetchnął głęboko.

– Co radzisz? – zapytał w końcu.

– Nie spieszyć się. Zostańmy tu jeszcze kilka dni, nabierzmy sił. Przy okazji wymienimy część moich Tlaxcalteków...

– Twoich! – Cortés pokręcił głową.

– ...ponieważ przyda nam się zastrzyk świeżej krwi, a niektórzy marudzą, że tęsknią za domem. W międzyczasie ja porozmawiam sobie jeszcze z emisariuszami Narváeza. I tak wiem już, że jego armię trudno nazwać monolitem. Mam, zdaje się, pomysł, jak wykorzystać widoczne w niej pęknięcia.

– Rozumiem zatem, że masz już konkretny plan. Zdradzisz mi chociaż jego zarys?

Zahred uśmiechnął się smutno.

– *Dádivas quebrantan peñas*, Hernán. Podarki kruszą skały.



– Wrócili, panie! Wrócili ze złotem!

Pánfilo de Narváez drgnął, obrócił gwałtownie głowę ku bramie.

Stojący za nim cyrulik syknął, widząc, jak w miejscu, gdzie jeszcze chwilę temu trzymał brzytwę, teraz pojawia się

najpierw biała, potem różowa, aż w końcu czerwona kreska, na której wykwita pierwsza kropelka krwi.

– Posłowie?! – zadudnił Narváez.

Czerwony na twarzy żołnierz zdążył tylko kiwnąć, nabrał tchu – ale Narváez, nawet nie czekając na odpowiedź, wyciągnął spod szyi ręcznik, zerwał się z ławy i sadząc wielkie kroki, ruszył ku głównemu placykowi, z którego już niosła się wrzawa.

Szedł między stawianymi właśnie zrębami domów przyszłego miasteczka, które sam ochrzcił pięknym mianem San Salvador. Owszem, prace trwały raptem parę tygodni i daleko jeszcze było do ich ukończenia – na razie ludzie spali stłoczeni niczym śledzie w beczkach w kilkunastu gotowych chatach – ale oczyma wyobraźni on już to wszystko widział.

Będzie miał tu najpierw kościół, a potem murowaną katedrę.

Będzie brukowany plac z fontanną.

Będzie pręgierz i piętrowy dom dla rady miasta.

Kramnice, budynek sądu...

...i jego rezydencja.

Nie – nie rezydencja, poprawił się w myślach. On nie musiał się wywyższać, wynosić i stroić w cudze piórka jak ten pajac Cortés. On będzie miał mały, skromny domek na obrzeżach miasta, przy bramie portowej.

A na placu stanie nawet nie pomnik, ale tak samo prosta, skromna tabliczka, wmurowana w cembrowinę wodopoju: „Na chwałę Boga w Trójcy Jedynej, miasto to zacne ufundował dla odkupienia win swoich grzesznik”.

I tak wszyscy będą wiedzieli, o kogo chodzi.

Na razie jednak Narváez szedł przez uliczkę dopiero co powstającego miasta, uskrzydłony wręcz myślami o przyszłości.



Skoro wrócili, to znaczyło, że doręczyli pisma do Vera Cruz i rozeznali się w siłach Cortésa.

Zaraz mu powiedzą, co i jak, a wtedy...

– ...miasta, jakich dotąd nie widzieliście! – usłyszał znajomy głos pana de Amayi, rozbrzmiewający ze środka gromadzącej się na placyku ciżby. – Nie do wiary, powiadam wam! I to tutaj to ledwie cząstka tych bogactw, tego nieopisanego dobrobytu, który...

– Najbogatsze na świecie, istny ziemski raj! – wciął mu się w słowo notariusz de Vergara. – I tyle złota, ile kto tylko unieść zdoła! Zobaczcie, ile nam tego dał lekką ręką, a jest tam tego nieskończenie więcej!

– Bracia, bracia! Co za cuda, jakież piękne rzeczy stworzył nasz Pan! – tokował dominikanin de Guevara.

Coś błysnęło w promieniach słońca, ludzie wrzasnęli dziko i rzucili się naprzód.

Narváez przepchnął się pomiędzy nimi, robiąc i wciskając się pomiędzy zupełnie niezważających na niego żołnierzy.

– Co to ma znaczyć...?! – huknął.

I zdębiał.

Ponieważ na kamieniu, który wyznaczał środek jego przyszłego miasta i w miejscu którego miała stanąć fontanna z upamiętniającą go tabliczką, stali teraz we trzech jego posłowie. Otaczała ich grupka tych samych Kastylijczyków, którzy poszli z nimi jako obstawa, widać było też indiańskich tragarzy.

Zaś przed nimi stał z wychudzoną, zabiedzoną kłaczą jakiś nieznamy dziadyga, ubrany w proste, praktyczne szaty sługi.

I właśnie ten człowiek sięgnął teraz do juków przytroczonych do grzbietu chabety – i śmiejąc się do rozpuku, zrobił gest niczym siewca rzucający ziarno w pole.

Zaś prosto w twarze, w wyciągnięte ręce, ponad głowami ludzi poleciało złoto.

Złoto. Czyste, najczystsze, brzęczące, obłędnie żółte złoto.

Brosze, pierścienie, bransolety, wisiory, kawałki naszyjników, fragmenty koliai i zausznic, pocięte i porwane na małe, zgięte kawałki talerze, zbitki i zgmiotki złotego kruszcu, okruchy i bryłki – wszystko to, niczym złoty deszcz, leciało ku ludziom, którym jakby ktoś rozum odebrał.

– Bierzcie, bierzcie na zdrowie! – wołał sługa, śmiejąc się głośno. – Z pozdrowieniami od mojego pana, caudilla Hernána Cortésa, dla dobrych rycerzy Kastylji! Miłujmy się w radości, pokój Boży pomiędzy chrześcijan dobrej woli! Starczy w tym kraju miejsca dla nas wszystkich...!

– Baczość! – ryknął Narváez, lecz jego głos przepadł we wrzawie.

– Chodźcie do nas! Dołączcie do nas, chodźcie do Tenochtitlán, do naszego prawdziwego El Dorado...! Caudillo Cortés pozdrawia gorąco, zaprasza po więcej! Dogadajmy się, zaciągnijcie się do nas po żołąd, jaki wam się nie śnił...!

– Baczość! Do szyku, psubraty...! Baczość! – darł się Narváez.

Nikt jednak go nie słuchał.



– Co mu tam napisałeś, Hernán?

Jadący konno z Choluli ku wybrzeżu Cortés spojrział na Zahreda, maszerującego pomiędzy swoimi ludźmi na czele długiej, niknącej gdzieś w obłokach kurzu kolumny Tlaxcalteków.

– W tym piśmie? Och, nic takiego. – Caudillo wzruszył ramionami. – Wątpię, by w ogóle je przeczytał.

– Ale ciężko było sobie odmówić, co?

– Ciężko było przegapić taką okazję, przyjacielu. Ktoś kiedyś może nas zapytać: co wtedy zrobiliście? Jak postąpiliście? Co uczyniliście, aby zapobiec rozlewowi krwi? A ja wtedy powiem: wysoki sędzie, posłałem do Narváeza pismo, które zanieśli pan taki, sraki i owaki...

– Zaś w tym piśmie było...?

– W piśmie było, że cieszę się z przybycia starego przyjaciela z Hispanioli, którego tyle długich lat nie widziałem. Było też, że zdumiewa mnie, że zaniedbał napisania do mnie, choć wiadomo mi, że rozesłał pisma do członków mojej wyprawy, starając się przekonać ich, aby powstali przeciwko prawomocnie mianowanemu dowódcy...

– Rozumiem, że o takich pismach wiesz? Czy też domniemywasz, że istniały?

– Zakładam, że mogły. Poza tym skoro jego ludzie twierdzą, że przekabacił na swoją stronę Totonaków z wybrzeża, z tym grubasem Tlacohtlatlem na czele, to może próbować tego samego z naszymi ludźmi.

– Odważne założenie...

– A jak mi udowodni, że ich NIE wysłał? – parsknął caudillo. – Szczególnie w połączeniu z tym, że Narváez mianował sam siebie *capitán general*, a w dodatku wyznaczył rajców i sędziów swojego miasta, wiedząc już wcześniej nadto dobrze, że ziemia ta została skolonizowana i należy do króla!

– Ciężar dowodu spoczywa po stronie zgłaszającego, ale ma to sens. Nie mówiąc już o tym, że nasz pan de León jest nie tylko krewniakiem Velázqueza, ale i jego osobistym szwagrem – przytaknął Zahred.

Cortés zerknął na niego, pokręcił głową z niechętnym uznaniem.

– Nic się przed tobą nie ukryje, co...?

– Zawsze coś się znajdzie. No więc co było w tych pismach? Bo skoro o tym mówimy, to zakładam, że pan de León udowodnił swoją lojalność?

– Ponad wszelką wątpliwość, owszem. Nic aż tak istotnego, prawdę powiedziawszy: wezwanie do opamiętania się, obietnice nagród, złota i zaszczytów.

– Wszystko, co możesz dać ludziom lekką ręką. Narváez to jednak naiwny głupiec.

– Otóż to! Więc kiedy dojdzie co do czego, to...

– ...to uszyjesz mu takie buty, w jakich chcesz go widzieć. Zabezpieczony na wszystkie strony, co, Hernán?

– Bóg będzie naszym sędzią. – Cortés wyszczerzył zęby.



– Czego ten grubas chce?! Niech mi ktoś przełoży jego słowa, bo jak Bóg miły, zaraz pałasza dobędę i go trupem położę!

– Panie, on mówi, że... – Tłumacz potrząsnął głową, próbując wsłuchać się w potok słów wylewający się z ust Tlacohtcalcatla. – Że jest zły... Że to niesłuszne... Że gniewa się, że... że biały wódz Narváez zabiera mu to, co biały wódz Cortés dawał mu rok temu.

– Tak?! – Narváez wziął się pod boki, patrząc na kacyka Cempoali, który aż spocił się ze zdenerwowania, widząc, jak konkwistadorzy wynoszą z jego pałacu złoto i ozdoby. – To powiedz mu, że... że nie trzeba było się ze zdrajcami bratać, o!

Ludzie admirała Narváeza roztasowywali się teraz po komnatach i salach pałaców i rezydencji władcy Cempoalanu, nieszczęśliwie przejmując się protestami dotychczasowych mieszkańców miasta. Skoro te dzikusy tak chętnie ich przyjęły, to czemu mieliby sobie czegokolwiek odmawiać?

Zresztą kto by tam ich słuchał? Teraz nastały nowe czasy i pora była przygotować się, by służyć nowym władcom.

– Admirale, jeśli można na słowo? – zagadnął Narváeza jego zaufany doradca i zastępca, Gerónimo Martínez de Salvatierra.

Narváez zaśmiał się prosto w twarz aż trzęsącemu się ze złości kacykowi Cempoali, po czym wraz z Salvatierrą wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia, w którym docelowo miała powstać jego kwatera.

Nie podobało mu się, że zmuszeni byli korzystać z domostw tych dzikusów. No dobrze, musiał to przyznać: Cempoala nie była może dokładnie tym, czym były widywane ze statków wioski rybackie. Tutaj mieli i piramidy, i domy w miarę porządne, i w ogóle... Ale i tak mu się to nie uśmiechało.

Szczególnie że gdzie się tylko obrócił, ciągle słyszał to samo nazwisko.

Cortés.

Cortés to, Cortés tamto.

Cortés powiedział, Cortés obiecał, Cortés rozdał.

A przecież pamiętał tego człowieka, znał go! I nic, co o nim wiedział, nijak nie uzasadniało tej sławy, niemalże legendy, jaką otoczony zdawał się być tutaj, w Nowym Świecie.

Nawet tam, gdzie się poznali, na Hispanioli, ten człowiek był przysłowiowym byle kim. Ani bystry, ani przystojny, bez szczególnej smykałki do interesów, nie za bardzo charyzmatyczny... Zwyczajny dorobkiewicz jakich wielu.

I teraz on, Pánfilo de Narváez, musiał przez chęć zabezpieczenia się przed kimś tak miałym przemieścić się ze swojego dopiero co założonego chrześcijańskiego miasta do tej pogańskiej nory.

– No, co tam, Salvatierra? – zapytał poufale, gdy zostali sami.

– Admirale...

– „Kapitanie” wystarczy.

– Kapitanie zatem, ja w takiej delikatnej sprawie – zaczął ostrożnie tamten. – Tak sobie pomyślałem, że skoro obawiamy się ataku...

– Nie obawiamy się niczego, Gerónimo – przerwał mu de Narváez.

– No więc skoro bierzemy pod uwagę taką możliwość... Ja tak pomyślałem, że tego klechę, co pisma od Cortésu przyniósł, to może by tak...? – Salvatierra delikatnie przesunął kciukiem po szyi, robiąc przy tym wymowną minę.

– Duchownego?! – zdumiał się Narváez.

– Szpiega, panie kapitanie. Już i tak źle się stało, że pan kapitan ten list odczytał, i to na głos jeszcze. Mówiłem, żeby go spalić od razu...

– Przesądny jesteś za bardzo, Gerónimo. Nie było w nim ani paznokci obciętych, ani włosów, ani czerwonych nitek. Sprawdziłem! – zastrzegł Narváez.

Salvatierra, który faktycznie po równo nienawidził i bał się tak czarownic, jak i księży, skrzywił się niechętnie.

– A ja bym i tak tego klechę... – zagaił znowu.

– To goń go, jak chcesz. – Narváez skinął łaskawie.

– Mogę?! – ucieszył się Salvatierra.

– A jużci, tylko mówię: goń go. Wczoraj po południu dałem mu pisma do Cortésa i odesłałem z powrotem.

– Że niby CO pan kapitan zrobił?!

– Do diaska, Salvatierra! – zezłościł się Narváez. – Czy ty sobie aby nie pozwalasz na zbyt dużo?! Nie jesteś moją matką, żeby tak się do mnie zwracać! Co nie zrobię, co nie powiem, to ci coś nie pasuje... I z tą delegacją to samo było!

– No i co, panie kapitanie? Dobrze się spisali? Ładne wieści przynieśli? – odszczeknął z przekąsem Salvatierra.

– Ach, ty...!

Narváez już miał sięgnąć po swój obosieczny pałasz, ale Salvatierra, od lat doskonale znający humory swego kapitana, odskoczył od razu poza jego zasięg i zawołał, rozkładając ręce:

– Ale ja nie mówię, że źle pan kapitan zrobił! Tylko że trzeba było kogoś rozsądniejszego posłać... A klesze łeb ukreć. No ale trudno, stało się, to się nie odstanie... Się pan kapitan już nie złości!

Narváez parsknął, z wściekłością wydmuchał najpierw jedną, potem drugą dziurkę w nosie na pięknie zdobioną podłogę pałacu Tlacochoacatl.

Zerknął spode łba na Salvatierrę.

– Rozsądniejszego, mówisz? – Zmrużył oczy. – Niby że ciebie może?

– No co też pan kapitan! – zachnął się tamten, widząc, że złość przełożonego już mija.

– Ale może i dobrze mówisz, hmm... Bo jeśli Cortés tamtych pism nie dostał, tylko im je faktycznie de Sandoval odebrał, to trzeba będzie naszą woltę powtórzyć. Tak... Tak zrobimy właśnie.

– A tutaj i tak się okopujemy, tak? – Salvatierra uśmiechną się przymilnie.

– Tu się okopujemy, owszem... I niech sobie Cortésuńcio na nas zęby połamie!



– Xahuatl czymś się niepokoi.

Zahred zerknął z ukosa na siedzącego obok na kamieniach Xicotencatla, westchnął ciężko.

W dole przed nimi widać było zygzakującą ścieżkę, wspinającą się na kolejne zbocze.

Nagie kamienie wystawały spomiędzy zieleniącej się pysznie trawy.

Drzewa porastały dolinki, układając się w całą mozaikę jaśniejszych i ciemniejszych plam.

Nad tym wszystkim górowały majestatyczne, ośnieżone szczyty.

Wyżej od nich zaś był już tylko przestwór idealnie czystego lazurowego nieba.

– Pięknie tutaj – powiedział Zahred, widząc, że Tlaxcaltek nie odpuszcza i wciąż przygląda mu się badawczo.

– Xahuatla martwi piękno świata? Może powinien zatem zacząć układać wiersze? – zapytał zupełnie poważnie, bez cienia ironii młody wódz.

– Xahuatla martwi to, że nazbyt podoba mu się ta kraina. Że polubił... Że pokochał jej mieszkańców. Że czuje się tutaj dobrze.

Tym razem Xicotencatl uśmiechnął się.

– Problem Xahuatla jest zatem poważniejszy i powinien zostać nie poetą, a kapłanem – powiedział.

– Problemem Xahuatla jest to, że ktoś próbował go zabić.

– Nie. To byłby problem, gdyby temu komuś się udało. Ale się nie udało. I teraz to problem nie Xahuatla, ale tego kogoś, kto się boi.



– Xicotencatl wybaczy, ale Xahuatl nie zgodzi się z jego rozumowaniem. Ktoś próbował zrobić to rękami wynajętych zbirów, samemu pozostając w cieniu... Xahuatla niepokoi to, że ktoś może próbować znowu i ponownie, aż do skutku.

– Ktokolwiek boi się pokazać, musi być bardzo widoczny. To bez wątplenia nikt inny jak Malintzin, którą opętał zły duch.

– Xicotencatl znowu swoje... – Zahred pokręcił głową.

– Xicotencatl mówi to, bo wie, że ma rację: to zła Malintzin próbowała zabić Xahuatla.

– Może ją mieć, temu Xahuatl nie przeczy, natomiast wychodzi z zupełnie niewłaściwych założeń. I jeszcze to...

Zahred sięgnął do sakiewki, wyciągnął z samego dna złoty paciorek. Ten sam, który miał zawieszony na szyi jego niedoszły zabójca.

Xicotencatl zerknął na niego z zaciekawieniem, ale potem wzruszył ramionami.

– Xahuatl chodził po targu w Choluli?

– Nie, dlaczego miałyby to robić?

– Bo to robota cholulteckich rzemieślników, tego Xicotencatl jest pewien. O, a to tutaj – pokazał palcem na ledwie widoczne zdobienia – to przecież głowa trupa z kamiennymi pazurami do latania. Symbol Tej, Która Potrząsa Kośćmi.

– Tej, Która...? – powtórzył Zahred.

Nie dokończył jednak, bo stojący poniżej na ścieżce tlaxcalteccy biegacze, wraz z którymi prowadził wysunięty zwiad przed czołem głównego pochodu Cortésa, zakrzyknęli głośno: ktoś idzie!

Faktycznie, kawałek dalej na ścieżce, ledwie widoczna pośród skał, pojawiła się malutka figurka samotnego człowieka podpierającego się podróznym kosturem.

Zahred wstał, przysłonił oczy od słońca i wpatrzył się w dal.

– To ojciec de Olmedo wraca od Narváeza... Trzeba powiadomić naszych!



– Jedzcie, ojcze, pijcie. Po takiej drodze musicie być zmęczeni.

Zakonnik uśmiechnął się dobrotliwie, pokręcił głową, ale ułamał sobie jeszcze kawałek placka.

– Synu, a co to za droga niby? Parę dni na nogach raptem. Deszczu nie było, zbójców w tych krainach nie uświadczysz... Co prawda moim patronem nie jest święty Franciszek, który i wilka udobruchać potrafił, ale od czego ma się lagę pielgrzymią? Tak że tyle co zwierza dzikiego się musi człowiek obawiać.

– Albo ludzi z własnego kraju... – mruknął caudillo.

– O, to, to! A powiem wam, panowie, że obawiać się jest czego.

– Mówcie zatem, ojcze.

– No więc... – De Olmedo odsunął miskę, zaplótł ręce na piersi. – Narváez siłę ludzi ma ze sobą. Armaty kazał teraz z okrętów pościągać i ze wszystkim się do Cempoalanu przeniósł. Tamtejsi Indianie wygląda na to, że na jego stronę przeszli, ale to nie jest największy problem... Kto w naszej straży tylnej idzie?

– Pan de León z trzydziestoma ludźmi – rzucił Zahred. – A czemu o tyły mielibyśmy się martwić?

– Bo dowiedziałem się, że podobno Montezuma nasz z Tenochtitlán radośnie sobie z Narváezem pisze.

– Niemożliwe. – Zahred potrząsnął głową.

– Możliwe, bo tak jest. Sam mi te pisma pokazywał, żeby udowodnić, że przyjaciół tu nie mamy za grosz. – Ojciec de Olmedo ze smutkiem pokiwał głową. – Co gorsza, ponoć obiecał Montezumie, że schwyta naszego caudilla, a jego samego uwolni i odda mu całe zagrabione mienie...

Zahred spojrział na Cortésa wymownie, jak gdyby chcąc powiedzieć: a nie mówiłem, że to zły pomysł...?

Jednak caudillo zgrzytnął tylko zębami i zabębnił palcami o blat stołu.

– Zatem Montezuma zataił przede mną część swoich ruchów... No dobrze, skoro tak chce grać, to niech tak będzie. Policzymy się z nim potem.

– Hernán, przypominam ci, że...

– Nie teraz, Zahred. Co jeszcze mówił ten pies Narváez?

– Dużo, ale treści w tym było niewiele, panie. Zachowywał się, jakby faktycznie chciał zawłaszczyć całe terytorium tylko dla siebie, a mnie traktował... No cóż, nie gorzej i nie lepiej niż wielu innych. – De Olmedo uśmiechnął się smutno. – Przekazał mi jednak, mam je tutaj... O, proszę! – Wygarnął z sakwy paczkę listów i osobne zawiniątko. – Prezenty i pisma do tych, których pewnie uważa, że może na swoją stronę przekabacić.

– Tak otwarcie je wam dał? – zdziwił się caudillo.

– Gdzie tam! On przecież przebiegły jest jak ten lis przez drogę, więc wyobraźcie sobie, panie, że podczas spowiedzi mi je przekazał. Że niby tajemnica wielka...

– I co, wy mi je tak po prostu oddacie? Bez zważania na tajemnicę sakramentu?

– A co ja, poczta królewska jestem? – prychnął de Olmedo. – Nie rozpowiadam przecież na lewo i prawo, czy on chłopców, czy dziewczynki woli. Co mi powiedział, to sprawa między nami trzema: nim, mną i Panem Bogiem. A listy i podarki, jako że on

mi je z niecnym zamysłem dał, tak samo niecnie i ja wam oddaję.

Cortés wziął pierwszy z brzegu, złamał pieczęć, otworzył. Przebiegł wzrokiem treść, odrzucił na bok.

– Dureń, jak mi skóra miła...! – sapnął.

– Nie popełnij błędu niedoceniań przeciwnika, Hernán. Narváez jest być może nieostrożny i pewny swego, to fakt. Jednak nie obrastajmy w piórka... – ostrzegł Zahred.

– Pycha kroczy przed upadkiem – rzekł poważnie ojciec de Olmedo.



– Ani mi się waż pouczać mnie odnośnie do Montezumy! Kwestionujesz moje słowa przy świadkach, i to po raz kolejny! Nie życzę sobie tego!

Zahred zacisnął pięść, odetchnął głęboko.

– Nic nie powiedziałem, Hernán – wycedził.

– Ale to właśnie miałeś zamiar powiedzieć, prawda?!

– Nie, nie to...

– Nie próbuj nawet grać ze mną w te gierki słowne! Co miałeś zamiar powiedzieć zatem?!

– Chciałem zwrócić ci uwagę, że Montezuma nie jest twoim podkomendnym, poddanym ani sługą. Jest królem na własnej ziemi, władcą w swoim państwie...

– Jest poddanym i wasalem króla Hiszpanii!

– To bzdura, Hernán, a ty doskonale o tym wiesz. Możemy trzymać się tej fikcji przed wszystkimi innymi. Możesz nawet używać jej na potrzeby budowania określonej narracji.

Natomiast nie będziemy sami wierzyć we własną propagandę...  
Tak?

– Powinien był mi powiedzieć, że dostał pisma od Narváeza  
– burknął Cortés.

– Wcale nie, Hernán. Montezuma nic nie „powinien”, a na pewno już nic nie musi. To jego wybór. Powiedział ci o tym, że jest więcej statków, i to jest przydatną informacją. Kluczową wręcz.

– A co z tym, że teraz dalej koresponduje sobie z Narváezem? Może planuje uderzyć nas w plecy? To też przydatna informacja?!

Zahred zasepił się wyraźnie.

Sam Cortés też umilkł i przygryzł kostkę kciuka, zastanawiając się, co począć z tym wszystkim dalej.

Przez dłuższą chwilę obaj nie mówili nic. W końcu Zahred przełamał milczenie:

– Hernán, nie chcę, żeby cokolwiek teraz przesłaniało nam obraz. Rozwiążmy najpierw problem Narváeza, potem wrócimy do tej rozmowy. Czy możemy tak się umówić?

Wyciągnął rękę na zgodę.

Cortés chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale machnął ręką i uściśnął mu prawicę.

– Możemy, zgoda.



Maszerowali w kierunku wybrzeża kolejny dzień, mijając miasta jedno po drugim.

Wzmocnieni siłami dwóch ekspedycji, prowadzonych przez panów de Leóna i Rangela, czuli się już nieco pewniej,

jakkolwiek porównanie nadal wypadło mocno na ich niekorzyść: niespełna trzystu ludzi przeciwko tysiącowi!

Sami Indianie też zdawali się wyczuwać towarzyszący ekspedycji nastrój... A może dotarły już do nich wieści od Montezumy?

Tak czy inaczej, przewidywania były dalekie od optymistycznych. Poproszeni o udzielenie pomocy zbrojnej i przysłanie czterech tysięcy wojowników, Cholultekowie poprzestali na dostarczeniu dwudziestu transportów mięsa, najwyraźniej nie chcąc teraz ani angażować się w konflikt, ani szczególnie bratać się z owianymi złą sławą po masakrze Kastylijczykami.

Zmęczeni forsownym marszem konkwistadorzy zatrzymali się właśnie na postój w położonym na południowym szlaku mieście Quechula, kiedy do Cortésa zgłosił się jeden z wartowników: przybyli posłowie od Narváeza!

– Znowu? – zdumiał się caudillo. – No to dajcie ich tutaj, zobaczmy, co nowego mają do powiedzenia!

Naprawdę sklecili z desek stół, nakryli kawałkiem sukna. Jako że nie mieli nawet krzesła czy chociażby porządnego zydlu – przecież wyruszając z Tenochtitlán, armia po raz pierwszy nie wzięła ze sobą żadnych służących – to Cortés usiadł na zwykłym drewnianym stołeczku, zaś dla wysokości podłożono mu pod tyłek kilka złożonych na pół bawełnianych pancerzy.

– Wchodźcie, panowie, zapraszamy. – Pan de Ávila zaprosił czekających do środka. – Admirał was przyjmie.

Caudillo podniósł się zza stołu, rozkładając kordialnie ręce, i wyszedł na spotkanie gości: po części uczynił tak, żeby od razu godnie ich przywitać, a w pewnej mierze dla własnego komfortu, bo wyjątkowo niewygodnie siedziało mu się na chybotliwej stercie przepoconych szmat.

– Panowie, witajcie! – odezwał się, przywołując na twarz uśmiech. – Hernán Cortés, do waszych usług. Z czym przybywacie? Może jeść albo coś do picia chcecie?

Posłowie stanęli, skłonili się zdawkowo. Widać było po ich minach, że ani przywitanie, ani słowa nie zrobiły na nich szczególnego wrażenia.

– Jestem *escribano* Alonso de Mata, notariusz z zacnego miasta Quintana Rico, a to dobry pan Bernardino de Quesada z Baezy – odezwał się jeden z nich, pokazując na stojącego obok, także dostatniej ubranego. – Mój świadek i również kolega po fachu. Dla pewności: to wy, panie, jesteście Hernán Cortés?

– Jako rzekłem, panowie... Powtórzyć mam? – Cortés uśmiechnął się, ale jego oczy błysnęły chłodem.

– Nie ma potrzeby. Otóż, panie Hernán Cortés, niniejszym wysłuchajcie, co następuje. – De Mata sięgnął do sakwy, wyciągnął pisma, rozwinął i zaczął czytać: – Niniejszym ja, niżej podpisany Pánfilo de Narváez, na mocy nadanych mi przez koronę uprawnień wzywam Hernána Cortésa i wszystkich, którzy przebywają wraz z nim i pod jego rozkazami, do natychmiastowego...

Stojący nieco z boku od niego Zahred wychylił się, sięgnął ręką i wyrwał mu pismo z dłoni.

– Ejże...! – krzyknął tamten z oburzeniem.

Już chciał zrobić krok ku bezczelnemu wytatuowanemu nieznajomemu, ale drogę od razu zastąpił mu nieodłączny od swego przybranego brata Xicotencatl. Tlaxcaltek zajrzał białemu prosto w twarz szeroko rozwartymi oczami i wymownie zarzucił na ramię nabity kawałkami krzemienia miecz *macuahuitl*.

Zahred tymczasem przebiegł pismo wzrokiem, opuścił, spojrzął na Cortésa ciężko.

– To samo. Ciekawe, czy dla odmiany ci tutaj mają do tego prawo...?

– Protestuję! – De Mata potrząsnął pięścią. – Jestem notariuszem...!

– Królewskim w dodatku, jak miemam? – zapytał z przekąsem caudillo. – I zapewne posiadasz, dobry panie, stosowne upoważnienia uprawniające cię do występowania w roli takowego?

– A jestem! I wiecie, że mam! – odparł tamten hardo.

– Zatem proszę, abyś je nam, panie, okazał.

– Nie muszę nic...

– Tu i teraz. Nalegam. Stanowczo.

De Mata stropił się wyraźnie, patrząc na trzymany przez Xicotencatla miecz, ale i tak zadarł brodę.

– W obozie zostawiłem! Kto wie co mogłoby nam się przytrafić po drodze? Kto wie co przytrafi się nam tutaj, skoro...

Cortés spojrzał na Zahreda, ten skinął Xicotencatlowi.

Tamten machnął tylko ręką, po czym wrzasnął przerażająco, na który to sygnał kilkunastu czekających już w gotowości Tlaxcalteków rzuciło się na przybyszów z dzikim wyciem.

Kiedy posłów spacyfikowano, związano i wywleczono na zewnątrz do wtóru drwiących śmiechów konkwistadorów, zaś prowizoryczny stół i piekielnie niewygodny stołek zostały zabrane na bok, Cortés spojrzał na Zahreda ciężko.

– Nie wierzę, doprawdy. Drugi raz to samo...!

– Jeśli coś robisz, a nie działa, to znaczy, że robisz tego za mało. – Zahred wzruszył ramionami. – Do trzech razy sztuka. Może faktycznie ty znałeś Narváeza lepiej, a ja go przeceniam?

Cortés podszedł do jednego z okien lokalnego pałacu, popatrzył na gromadzące się ponad górami ciężkie deszczowe chmury. Jak na zawołanie w oddali błysnęło, potem ponad



dachami miasta przetoczył się głuchy, basowy pomruk odległego grzmotu.

– Dużo dalej nie ujdziemy, można równie dobrze zostać głównymi siłami tutaj.

Zahred stanął obok niego.

– Planujesz wysłanie jakiegoś podjazdu?

– Póki co prowadzimy podjazdową wojnę prawną. Ale tak, trzeba pokazać Narváezowi, że nie będzie nas bezkarnie zasypywał pismami. Zaraz każę spisać coś podobnego, tylko że z właściwym umocowaniem prawnym... Niech sobie poczyta do snu! – zaśmiał się caudillo.

– Mhm... Jak rozumiem, nasze zachowanie wobec obecnych posłów Narváeza też będzie podobne jak wobec tych pierwszych? Pobić, uwięzić, uwolnić, umyć, opatrzyć, nakarmić, obsypać złotem i nafaszerować obietnicami, a potem wypuścić?

– A znasz skuteczniejszy sposób radzenia sobie z ludźmi, przyjacielu? Co ty proponowałbyś zrobić z Narváezem?

Zahred popatrzył ku zbierającej się na widnokręgu burzy, westchnął ciężko i pogładził żeleźce tkwiącej za pasem siekiery.

– Zabić jego i każdego, kto będzie stawiał opór.



## Rozdział 9

*Maj 1520, okolice Cempoalanu*

**D**eszcz lał się z nieba równymi pionowymi strugami.

Krople pluskały o pokrywające drogi kałuże, rozбивały się o gzymsy bielonych domów, skapywały z wymalowanych w tęczowe kolory rzeźbień na szczycie piramid.

Ściekały po powgniatanych blachach, czepiały się rzemiennych troków, osadzały rdzawym nalotem przy nitach.

Bębniły o ronda hełmów.

Stojący na posterunku Agustín de Çulvaga zadrzał, czując, jak morzy go senność. Ziewnął i spróbował przeciągnąć się pod powoli przesiąkającym wodą wełnianym płaszczem tak, aby nie nalało mu się za kołnierz więcej wody, niż i tak już tam było.

– Siódma godzina i wszystko w porządku! – doniosło się z daleka, od strony piramidy, wołanie starszego warty.

Tak, ten zasraniec de Urueña siedział sobie pod daszkiem przy ognisku, pozwalającym chociaż trochę odegnąć nie tyle chłód, co wilgoć... A oni tutaj powoli porastali już pleśnią.

– Siódma i wszystko w porządku! – odezwał się stojący sto kroków od de Çulvagi na sąsiednim posterunku de Quiros.

– Siódma i w dupie to mam! – zawołał bez przekonania de Çulvaga.

– Siódma...! – dał radę tylko krzyknąć ustawiony po drugiej stronie Francisco, zanim parsknął stłumionym śmiechem.

Ot, tyle chociaż pożytku z tego było, że kogoś rozśmieszył. A poza tym...

...poza tym było szaro, mokro i ponuro.

Zupełnie inaczej, niż im opisywali ten Nowy Świat, gdy Narváez prowadził werbunek do swojej, jak to szumnie określał, „armady”.

A tutejszym dzikusom ten deszcz zdawał się w ogóle nie przeszkadzać. Nawet ci tutaj szli w ulewie na bosaka, bez spodni, nakryci tylko tymi swoimi kolorowymi prześcieradłami, z założonymi na czoło opaskami od dźwiganych pakunków.

Jak psy, pomyślał de Çulvaga. Taki też zmoknie, otrzepie się i szczęśliwy... A rozumny człowiek moknie i mu źle.

Przestąpił z nogi na nogę, zupełnie utraciwszy i tak przelotne zainteresowanie Indianami, kiedy tylko ci minęli jego posterunek.



Zahred obejrzał się przez ramię na niknącego w strugach deszczu strażnika, wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Xicotencatlem i pozwolił sobie na oszczędny uśmiech.

Dotarcie tutaj, aż do Cempoalanu, zajęło im półtora dnia marszu.

Nie spieszyli się, nie forsowali niepotrzebnie. Po drodze rozmawiali z napotkanymi. Trochę pohandlowali, trochę poplotkowali.

Nawet nie od razu weszli do miasta, przeczekując najgorszą ulewę w nieodległym załomie skalnym wraz z kilkoma podróżnikami z dalekiego Cuextlactlan, od których też dowiedział się kilku pozornie nieistotnych, ale potencjalnie przydatnych rzeczy.

I teraz powoli, tak samo niespiesznie, w lejących strugach deszczu zupełnie otwarcie wchodzili do Cempoalanu, ufortyfikowanego i pilnowanego przez obozujących nieopodal żołnierzy Narváeza.

– Głupi biali ludzie – odezwał się Xicotencatl. – Nie poznali nas w naszych przebraniach podróżników! Xahuatl miał rację, że nie zwróca na nas uwagi.

– To dlatego, że wojownicy Tlaxcali nie są przebrani – mruknął Zahred.

– Jak to? Przecież udają, że idą z Acatlan? – zdziwił się Xicotencatl, który bardzo wziął sobie do serca kwestię utrzymania stosownej legendy dla ich misji. – Po to przecież Xicotencatl przepłacił u tamtego kupca, żeby kupić im oponcze! Każdy widzi, że wyglądają jak Acatlańczycy!

– Tak, rzeczywiście. Każdy widzi – zgodził się dla świętego spokoju Zahred.

Bo przecież jak miał wytłumaczyć Xicotencatlowi, którego nie wiedzieć kiedy zaczął całkiem odruchowo nazywać bratem, że on nie był przebrany...?

Jeśli zdarzało mu się czuć przebranym, to wtedy, gdy musiał naciągnąć na grzbiet czystą lnianą koszulę, wbić się w dublet, a potem dopiąć do tego wszystkiego białą, sterczącą pod szyją kryzę. Gdy wciągał nogawice i pantalony, wzuwał do tego trzewiki... Albo zakładał żelazny pancerz i hełm.

To było dla niego przebranie.

To były te momenty, gdy musiał grać przybraną rolę.

Zaś tu i teraz, gdy szedł bosy po rozmięklej od wody ziemi, czuł się naprawdę, ale to naprawdę sobą.

Ponieważ Xahuatl mówił jak Tlaxcaltek, zachowywał się, chodził, spał i odpoczywał jak Tlaxcaltek.

Xahuatl nawet myślał jak Tlaxcaltek.

I było mu z tym dobrze.

– Pomiędzy domami w lewo – poleciał.

Skręcili, kierując się ku pogrążonemu w przedwieczornej szarówce obozowi.

Tam widać już było nieregularnie porozstawiane stożki namiotów i zbite na szybko z desek daszki, pod którymi kopciły ogniska. Żołnierze trzymali się wszystkiego, co mogło zapewnić im osłonę przed deszczem.

Żaden z nich nie powinien mieć ochoty zmoknąć tylko po to, żeby zatrzymać przypadkowych podróżnych i usiłować dogadać się z kilkoma dzikusami.

A nawet jeśli, to...

Zahred pomacał tkwiącą za paskiem siekierkę *tepoztlī*, niemalże pieśczośliwie przeciągnął opuszkami palców po charakterystycznie chropowatym spiżowym żeleźcu.

Ileż to wieków, może i tysiącleci minęło, odkąd ostatni raz władał tak piękną, szlachetną bronią!

Świat nazywany przez Europejczyków Nowym dla niego był w istocie Starym.

Mieli już wyjść z ostatniej uliczki i wkroczyć do obozowiska, ale Zahred zwolnił kroku, zatrzymał się. Obejrzał ku domostwom.

– Niech bracia Xahuatla poczekać na niego – rzucił przez ramię, ruszając w kierunku jednego z obejść.

Nie miał nawet pojęcia, co takiego go w nim zaintrygowało. Prosty, pobielony dom z cegieł, obok niego szopy i komórki, zagroda dla indyków. A jednak – jednak było tam coś. Jak gdyby unoszący się w powietrzu, wyczuwalny na poziomie podświadomości zapach.

Podszedł ku ścianie, stanął przy oknie. Przez poszum siąpiącego deszczu słyszał, jak ktoś w środku ciężko, chrapliwie oddycha, przewraca się na posłaniu... Krótki, spazmatyczny kaszel odezwał się kilkoma rwanymi charknięciami.

Pojedyncza mucha wypełzła przez szparę w niedokładnie zasłoniętym matą okienku, przedreptała ku Zahredowi. Zatrzymała się, patrząc na człowieka podzielonymi na mikroskopijne fragmenty wypukłymi, połyskująco czarnymi oczami.

Cokolwiek, ktokolwiek tam był – witał się już ze śmiercią, a może nawet teraz umierał.

Natomiast nie to interesowało Zahreda, bo tej nocy miał o wiele ważniejsze sprawy.

– Co znalazł Xahuatl? – zainteresował się jeden z Tlaxcalteków, kiedy wrócił do czekających nań towarzyszy.

– Nic takiego... Ruszamy dalej.

Wyłonili się spomiędzy zabudowań, minęli niewielką kępę drzew i wkroczyli na teren obozowiska, gdzie stała duża część armii Narváeza. Ogniska, namioty... Słaby gwar rozmów, ledwie przebijający się przez szum deszczu.

– Wielkie jelenie. – Tochtli wskazał ręką.

Rzeczywiście, w zaimprovizowanej zagrodzie stały, puszczawszy łby, konie. I to niemało, co najmniej kilka dziesiątków. Nigdzie co prawda nie było widać armat, ale...

– Idziemy tam. Niech Tochtli weźmie czterech wojowników i policzy, ile domów z płótna stoi na ziemi. Niech inny z jego grupy policzy płomienie ognisk.

– Co to Xahuatlowi da? – zdziwił się tamten.

– To już będzie magia Xahuatla, który dzięki temu powie białemu wodzowi, ilu żołnierzy przyprowadził ze sobą Narváez. A tymczasem...

– Ej, wy!

Tlaxcaltekwie nawet nie zareagowali, patrząc na Zahreda wyczekująco. On sam jednak wysiłkiem woli zmusił się, aby odruchowo nie spojrzeć ku wołającemu, nie zgarbić się, nie sięgnąć po broń... Nie zdradzić się w żaden głupi sposób.

Rozluźnił się, odetchnął.

– ...a tymczasem niech jego brat powie Xahuatlowi: czy boi się wysokości?

– Ej, wy! Do was mówię!

– Xicotencatl nie boi się niczego! Xicotencatl potrafi wspiąć się na najwyższe drzewo i stanąć na szczycie przepaści, tak że jego palce podtrzymuje już tylko powietrze! – chętnie zaśmiał się młody wódz.

– To dobrze się składa, bo Xahuatl chce dać mu i wysokość, i powietrze, i wiatr we włosach...

– Niech no który przyprowadzi tutaj tych brudasów z kozami!

– ...ale na razie niech wojownicy zostaną przy Xahuatlu, nie odzywają się i nie sięgają po broń – dokończył Zahred gładko.

W tym samym momencie poczuł, jak ktoś łapie go za ramię i szarpnięciem obraca ku sobie.

Spojrzał w schowaną pod rondem hełmu zarośniętą twarz kastylijskiego oficera.

– Pan kapitan was wzywa, dzikusy! – Żołnierz pokazał za siebie kciukiem.

Zahred aż skrzywił się mimo woli, czując wionący z ust tamtego odór mięsa, wina i cebuli. Och, tak bardzo już zdążył odwyknąć od ludzi zza Wielkiej Wody...

– Xahuatl nie rozumie bełkotu białego człowieka – powiedział w języku *nahuatl*, rozkładając ręce i patrząc tamtemu wprost w twarz.

– Kapitan was wzywa, mówię! Ka-pi-tan... Chodźże po dobroci – warknął tamten, pociągając Zahreda za sobą.

Reszta tlaxcalteckich dywersantów wymieniła się równie przestraszonymi, co zdumionymi spojrzeciami: biali przejrżeli ich, jakimś cudem rozgryźli ich przebrania!

Pomni jednak na to, co chwilę wcześniej powiedział im Xahuatl, potulnie podreptali za nim pod rozpiętą na drewnianych masztach płachtę, zbijając się w ciasną grupkę i zerkając niepewnie dokoła.

– Melduję posłusznie o wykonaniu zadania, panie kapitanie! – szczechnął służbiście oficer, stając przed siedzącym przy ognisku człowiekiem.

Salvatierra – bo był to właśnie on! – odwrócił się leniwie, otaksował wzrokiem ociekającego wodą Zahreda. Dopił zawartość kubka. Podniósł się i stanął przed Tlaxcaltekami, zakładając ręce za pas.

– Wie ktoś, skąd te dzikusy są? Nie wyglądają na tutejszych, a pałętają się po obozowisku jak te Żydy po pustym sklepie... He, he... – zaśmiał się z własnego niby-żarciku.

Żołnierze zawtórowali mu, któryś pokręcił głową, splunął w ogień z pogardą.



– Może to szpiedzy, panie kapitanie? – wyraził przypuszczenie oficer, wyraźnie chcący przypodobać się przełożonemu. – Przyszli wywąchać, co i jak u nas. Powiadają, że Cortésuńcio się z tymi brudasami brata. Ponoć kobietę sobie miejscową wziął...

– Nie on jeden i niejedną! – zaśmiał się któryś z żołdaków.

– Głupiście jak but, Ybañez, ale wybaczę wam to, bo i jak but żeście wytrzymali – rzucił łaskawie Salvatierra. – Widać przecie, że to zwierzęta, co połowy tego, co widzą, nawet nie rozumieją. No popatrzcie tylko na tego tutaj, jakie ma kudły splątane... Znać, że w życiu dalej niż we własnej wiosce nie był, nic nie widział, nic nie wie. Tak, ciemnoto?

Zahred patrzył to na dowódcę, to na oficera, to na resztę, udając, że faktycznie nie pojmuje ani słowa z tego, co do niego mówią.

Tlaxcaltekwie, autentycznie ni w ząb nierozumiejący, co się dzieje, wyłącznie potęgowali wrażenie.

– Dobry wieczór! – powiedział powoli, dobitnie Salvatierra. – Dobry wieczór... No co ty, po kastylijsku nie rozumiesz? Daj mi to, co tam masz w ręce. – Pokazał gestem na trzymany przez Zahreda pakunek. – No daj, mówię... Ot, widzicie panowie? To właśnie jest Indianin, he, he, jaki głupi. Widzicie panowie, jaki kosz? I to się, panowie, trzyma. Solidne, tanie w budowie, a przede wszystkim spełnia swoją funkcję...

W końcu znudził się chyba jednostronnością kontaktu, bo oddał Zahredowi kosz, pokazał na migi:

– Co tam masz, dzikusie? Otwórz, może znajdziemy tam trochę złota... O proszę, owoce mają! I co, to dla nas pewnie przynieśliście, co?

Już miał sięgnąć do otwartego pakunku, ale Zahred odsunął go zdecydowanym ruchem, przymknął wieko i wyciągnął rękę, wyraźnie domagając się zapłaty.

Tlaxcaltekwie struchleli.

Salvatierra skrzywił się złym grymasem.

– Takiś obrotny, brudasie? A może zamiast monety wolisz szpadę w bebecz dostać, co? Zaświecić ci stalą w oczy...?

Położył dłoń na rękojeści broni, jednak Zahred nie drgnął nawet, nie cofnął ręki.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem... Aż w końcu Salvatierra obrócił się ku swoim i wybuchnął śmiechem.

– A to fant! – Klepnął się radośnie po udzie. – Patrzcie, panowie, jakie to chciwe... Tyle złota mają ponoć, a o kilka śliwek się będzie ze mną targować ! Dobrze, niech już stracę... Ybañez, dajcie no swój nóż!

– Ależ, panie kapitanie... – chciał zaprotestować oficer.

– Dawaj nóż, mówię! Jak Cortésa pobijemy, to sobie ich sto, a choćby i tysiąc kupisz, a ja się już piąty dzień wysrać normalnie nie mogę! – zezłościł się Salvatierra. – A ty, dzikusie, dawaj tych śliwek tutaj z pół tuzina... Jeszcze dawaj, mówię! A teraz masz na zapłatę i won mi stąd, śmierdziele!

Zahred z absolutnie niewzruszonym spokojem wziął nożyk, zasznurował kosz, zarzucił sobie pakunek na ramię. Pokazał Tlaxcaltekom, żeby już ruszali dalej, a sam skłonił się nisko i powiedział w *nahuatl*:

– Gardło ci tym nożem poderżnę, psie nieczyste.

Po czym uśmiechnął się szeroko, odwrócił i wyszedł w deszcz.

Tlaxcaltekwie czekali kawałek dalej, świecąc w mroku rozwartymi ze zdumienia oczami.

– Xahuatl to czarownik! – sapnął Cuetzqui. – Zaćmił oczy białych tak, że ci go nie poznali...!

– Przy Xahuatlu wojownicy Tlaxcali mogą robić, co chcą! Mogą chwycić za broń i wymordować białych, a ci nawet się nie zorientują, że umierają! – zawtórował mu radośnie Tochtli.

Zahred uśmiechnął się, ale gestem pokazał im, żeby powściągnęli żądzę krwi.

– Niech dzielni wojownicy oszczędzają lepiej siły na dzień bitwy. Magia Xahuatla jest wielka, ale trzeba używać jej rozważnie... Teraz, aby Xahuatl mógł lepiej rzucić czary i pomóc Cortésowi pokonać Narváeza, niech Tochtl weźmie wojowników, którzy zliczą ogniska i płócienne domy, jak się umawialiśmy. Zaś Xicotencatl niech pójdzie z Xahuatlem... Spotkamy się w jaskini pod miastem, tam gdzie czekaliśmy podczas burzy.

Gdy reszta wojowników odłączyła się od nich i zniknęła w szybko zapadającym zmroku, Xicotencatl zainteresował się:

– Dokąd chce udać się Xahuatl?

– Xahuatl chce zobaczyć, czy jeszcze pamięta jeden ze swoich dawnych fachów... I nauczyć swojego brata czegoś nowego. – Zahred uśmiechnął się, idąc przez obóz w kierunku zagrody dla koni.

– Xahuatl nauczy Xicotencatla, jak wzywać muchy, aby leczyły jego rany?

– Chciałby to umieć, niech mu Xicotencatl uwierzy. Jednak... – urwał, podchodząc do ogrodzenia. Rozejrzał się w lewo i w prawo, po czym szybko zanurkował pod płotkiem, syknął: – Niech Xicotencatl idzie w moje ślady.

– Wielkie jelenie nas zjedzą! – pisnął bojaźliwie Tlaxcaltek, ale i tak posłusznie przecisnął się pomiędzy poziomymi drągami i ruszył za Zahredem.

Ten jednak nie odpowiedział już nic, delikatnie gładząc konie i uspokajająco do nich szepcząc.

Zwierzęta zorientowały się już, że ktoś wszedł na ich teren, zaciekały się, podnosząc łby i strzygąc uszami. Któryś zarżał, ostrzegając resztę: uwaga, obcy!

Zahred zaś szedł pomiędzy nimi niczym duch. Wiedział, że podąża za nim Xicotencatl, zapewne pachnący teraz niepewnością i wahaniem, więc zwierzęta reagowały nerwowo... Ale on je znał, wiedział, jak się zachowywać, jakie ruchy wykonywać rękoma, jak stawiać stopy.

W końcu dotarł do zamkniętej na zasuwkę bramy.

Kawałek dalej stał pod daszkiem wartownik, ale patrzył w drugą stronę, ku dróżce na pastwisko; kto by się spodziewał, że koniokrad może przyjść od strony obozu?

Zahred odwiązał linę, zrzucił pętlę trzymającą bramkę i odwrócił się do Xicotencatla, dosłownie dyszącego mu w kark.

– Teraz Xicotencatl musi przypomnieć sobie, jak pierwszy raz dosiadała go kobieta – zaszeptał.

– Co?

– Ale tym razem to Xicotencatl będzie kobietą.

– Co? – powtórzył spłoszony Tlaxcaltek. – Xicotencatl nie chce! Niech Xahuatl nie zamienia go w kobietę, żeby ten miał uwieść i zabić białego wodza Narváeza...!

– Hm, niegłupie w sumie... Ale to może wykorzystamy kiedy indziej. Teraz jednak zrobimy coś innego, więc niech Xicotencatl słucha uważnie...



– Ósma i wszystko w porządku! – zawołał de Çulvaga, przewyciężając senność.

– Ósma i pusto w żołądku...! – krzyknął stojący po drugiej stronie placu Francisco, krztusząc się ze śmiechu.

– Ósma, wszystko w porządku! – powtórzył de Aça, trzymający najnudniejszą z możliwych wartę przy zagrodzie

dla koni.

Ledwo zdążył przebrzmieć okrzyk, jak wydało się panu de Asie, że coś słyszał. Jakby skrzypnięcie otwieranej bramy, potem ledwie słyszalne cmoknięcie, a po nim kłapanie kopyt o rozmiękłą ziemię? Ale to przecież nie mogło być, bo...

I w tym momencie rozległo się rżenie, a po nim tętent i kwik, gdy konie rzuciły się przez otwartą bramę ku wąskiemu korytarzykowi wygonu, za którym rozciągała się otwarta przestrzeń mamiącej soczystą zielenią łąki.

– Pomocy...! – zdążył wrzasnąć wartownik.

Nie zrobił nic więcej, bo jeden z pierwszych koni zahaczył o któryś z odciągów przy maszcie jego plandeki, zrzucając mu ciężką od wody płachtę prosto na głowę.

I nawet mimo to, gdy potem pytano się pana de Acy, jak w ogóle do tego doszło, on sam zarzekał się, że widział dwa półnagie demony siedzące na oklep na rozszalałych, rozhukanych koniach.



– Aaaaa!

– Niech Xicotencatl trzyma się grzywy! Grzywy! – krzyczał Zahred, obracając się przez ramię.

– Aaa! Xicotencatl nie chce już jechać na wielkim jeleniuuu! Xicotencatl spadnieee, zabije się! Oooo! Biedne pośladki Xicotencatlaaaa...! – darł się przerażony Tlaxcaltek, kurczowo uczepiony końskiego karku.

Pędzili drogą od Cempoalanu w kierunku, z którego miała nadciągnąć idąca od strony lądu armia Cortésa.

Nawis skalny, pod którym spotkać się mieli z resztą wojowników, minęli już dawno, bo przeleciał obok nich rozmazaną smugą... Ale mimo to gnali dalej, lecąc niemalże na oślep przez półmrok wczesnej nocy w strugach deszczu.

Z początku Zahred wytłumaczył to sobie bardzo prosto: Xicotencatl i tak nie umie wstrzymać swego wierzchowca. Dopóki on jechał pierwszy, tamten podążał za nim, ale kiedy zacznie zwalniać, gotów go wyprzedzić i pobiec dalej, bogowie raczą wiedzieć dokąd.

Więc pędził, ile tylko konie miały sił, aby wybiegać je, zmęczyć i potem już uspokojone zawrócić.

Tak sobie to z początku tłumaczył.

Ale potem przestał i gnał dalej dla czystej przyjemności tej dzikiej, nieokiełznanej jazdy.



– No to mówię wam to, co mi w dobrej wierze powiedzieli: weszli do obozowiska, jak gdyby nigdy nic przedfilowali przed tamtymi! Zagrali na nosie strażnikom, sprzedali ichniemu dowódcy garść śliwek, a na odchodne jeszcze konie ukradli...!

Pan Bernal Díaz del Castillo pokręcił głową, patrząc na Gutiérreza z mieszaniną zdumienia i niedowierzania.

– I to wszystko w przebraniu Indianina wasz kapitan zrobił? – zapytał po raz bodajże trzeci.

– Tak jak wam mówię, dobry panie! Nie sam tam był, to fakt, bo miał ze sobą kilku ludzi jeszcze... Ale tak było właśnie, słowo honoru daję!

– To niezły frant ten kapitan Zahred w takim razie. A ja wam powiem coś jeszcze lepszego, panowie... – Del Castillo

nachylił się ku nim, ściszył konfidencyjnie głos. – Mają się spotykać, słyszeliście?

Siedzieli sobie w tymczasowym obozowisku, które Cortés kazał rozbić w odległości dnia drogi od Cempoalanu.

Praca wrzała.

Ludzie ścinałi drzewa i zaciosywali pale, potem wkopywane pod kątem wzdłuż całego obwodu dla osłony przed kawalerią.

Pólnadzy, pozornie niestrudzeni Tlaxcaltekowie kopali doły i sypali prowizoryczne szańce, za którymi w razie czego mieli stanąć na dogodnych pozycjach kusznicy.

Jako że ich kapitan udał się z kolejną misją do Chinantli, gdzie ponoć pracował nad jakąś cudowną bronią wespół z włoskim inżynierem, niejakim Tovillą, to oni mogli prześlizgiwać się pomiędzy trybami oficjalnej maszyny wart, służb i obowiązków.

Dlatego też plotkowali i podejmowali gości, przy okazji podbijając prestiż nie tylko Zahreda, ale i swój własny.

– Niby kto? – burknął Gutiérrez, którego nieco ubodło stwierdzenie o „czymś lepszym”.

– No jak to kto? Nasz caudillo przecież i ten bęcwał Narváez!

– Aaa, to po to znów przychodzili posłowie! – odparł de Monroy ze zrozumieniem. – Ci dwaj duchowni, co pana de Duera przyprowadzili, tak?

– A jak! Wycwanił się już Narváez, że nie tylko dawnych przyjaciół caudilla, ale i tonsuratów nam podsyła.

– Że co, niby jak duchowny w papę dostanie, to nie krwawi? – mruknął złośliwie Rodrigo, dotykając językiem pięknie wygojonego miejsca po zepsutym zębie.

– Krwawi, ale jakoś tak... Duchowną osobę aresztować? – rozłożył ręce del Castillo.

– Ja bym się nie wzdragał.

– No wy może nie, panie, skoro na was czarownik mexicki swoje gusła odprawiał – odparł z godnością ich gość, mający do kompanii zatajony w sercu żal, że go na operację nie zawołali, a dowiedział się o niej raptem po dwóch dniach. – A jednak sama powaga kapłana to już pewna gwarancja nietykalności.

– Trochę inaczej było, jak żeśmy w Choluli uczyli miejscowych latać! – zaśmiał się Valdés, ale zaraz umilkł, kiedy towarzysze spojrzeli na niego, zde gustowani wspomnieniem, które wszyscy woleliby pogrzebać w niepamięci. – Ahem... Ja tylko tak przecież...

– No to chcecie w końcu posłuchać czy nie? – zirytował się del Castillo.

– Chcemy, chcemy. Tylko mówić zaczynajcie, panie – uspokoił go Enriquez, który odkąd stracił swój pretekst do ciągłych swarów z Rodrigiem, nie mógł się jeszcze zdecydować, jakie zająć stanowisko, aby nie zjadła go nuda. – No więc spotkać się niby mają, tak? Cortés i Narváez?

– Otóż to! Narváez, wyobraźcie sobie, propozycję przysłał: spotkajmy się, przemówmy jak mężczyzna z mężczyzną...

– Co on, na pojedynek caudilla wyzwał?

– Może nie aż tak, panie de Monroy, ale tak to posłańcy przekazali. Niech każdy weźmie ze sobą, mówią, dziesięciu ludzi i spotkają się na tej polance o pół stajania stąd.

– No jest takie miejsce, prawda – potwierdził de Monroy. – To kiedy spotkanie będzie? Bo oni jakoś wczoraj przyszli?

– Ba, w tym problem właśnie! Caudillo się do pomysłu zapalił, ale potem, jak tamci odeszli, ojciec de Olmedo mu mówi: panie, nie czyńcie nic pochopnie, aby zaś nadmierna ufność was nie zgubiła, bo to może pułapka być.

– O, takie buty... – mruknął Valverde, z zadowoleniem przyglądając się swoim nadal nowiutkim i niezniszczonym



trzewikom z cholewkami.

– No więc posłali tam od razu pana de Sandovala, co dopiero ze swoimi ludźmi z Vera Cruz przybył, żeby miejsce obejrzał. I okazało się, że wzgórze tam jest zaraz obok, a przy nim krzaki gęste, za nimi zaś ślady podków znaleźli i końskie jabłka...

– Czyli tamci byli już wcześniej, miejsce wybrali pod zasadzkę i wtedy spotkanie zaproponowali – podsumował de Monroy.

– Dokładnie tak! Ot, jakie to plemię zmijowe, uwierzcie? Zaprosić na spotkanie, a potem chcieć podstępem uwięzić...!

Rodrigo mruknął tylko coś pod nosem, podniósł się i odszedł na bok, wyraźnie zdegustowany tą uwagą.

– A on co? – Del Castillo pokazał za nim ruchem głowy.

– Nie zwracajcie uwagi, panie. On otwarcie rozpowiada, że caudillo niegodnie wtedy postąpił, kiedy Montezumę pod straż wziął i trzymał. – Juanito machnął lekceważąco ręką.

– A wy?

Popatrzyli po sobie.

– A my tego otwarcie nie rozpowiadamy – uprzedził odpowiedź kolegi de Monroy.



– ...wrócili! Wrócił kapitan Zahred!

Cortés drgnął, otworzył oczy i usiadł na posłaniu. Przetarł oczy, ziewnął: na Boga, musiało być już po południu, a on obiecywał sobie, że tylko na chwilę przymknie oko po śniadaniu...!

– W końcu – mruknął.

Wzwał buty, zarzucił na ramię pendent ze szpadą, wziął pod pachę hełm i wyszedł z namiotu.

Faktycznie, już stąd widział, że przez otwartą bramę do obozowiska wchodzi orszak ludzi niosących parami na ramionach długie na osiem, dziesięć stóp, obwiązane rzemieniami pakunki.

Pospieszył ku nim, słysząc już, jak jego żołnierze wiwatują radośnie, witając przybyłych.

Tak, teraz było ich więcej, a przewaga liczebna wojsk Narváeza przestawała być aż tak bolesna, lecz nadal pozostawała widoczna. Dlatego właśnie każdy, kto tylko ściągał pod ich sztandary, był tak mile widziany.

Z tego też powodu nikt nie protestował, kiedy z niespełna tuzinem ludzi w środku głuchej nocy podszedł do posterunków straży niejaki Pedro de Villalobos. Jak się okazało, zarówno on, jak i jego towarzysze zwyczajnie zdezerterowali z armii Narváeza, niezadowoleni z panujących w niej porządków i skuszeni tym, co usłyszeli pomiędzy wierszami od kolejnych powracających posłów.

Czy wysiłek włożony w urobienie tamtych trzech był wart tuzina ludzi? Trudno powiedzieć.

Natomiast faktem pozostawało, że dominikanin de Guevara na odchodne otwarcie już życzył Cortésowi zwycięstwa, ojciec Juan nie pogardził pękatem mieszkiem złota, zaś de Duero... No cóż, de Duero się nie zmienił mimo upływu lat i w ostatnich słowach wyraził nadzieję, że caudillo będzie „w razie czego pamiętał o ich ustaleniach”.

Zaś teraz wrócił Zahred.

– Dobrze was widzieć, panowie! – zawołał caudillo, już z daleka podnosząc rękę na powitanie. – Jakie wieści z Chinantli? Dadzą nam wojowników?

– Gdzie tam, panie...! – odparł włoski inżynier Tovilla.

– Władca Chinantli przeprasza i śle ukłony, ale boi się zaangażowania w konflikt pomiędzy dwoma białymi wodzami, bo nie wie, który z nich jest przyjacielem Montezumy – odezwał się Zahred. – Witaj, Hernán, ciebie też dobrze widzieć.

– Ale rozumiem, że pozwolił skorzystać ze swoich warsztatów?

Zahred szarpnięciem odwiązał ramię na jednym z pakunków, odrzucił na bok płachtę.

Oczom już czekających wokół niego ludzi ukazały się aż białe od nowości, niemalże idealnie proste drzewca długich pik zakończonych krótkimi, szerokimi grotami z dwoma uchami, przez które przewleczone były dodatkowo mocujące je rzemienie.

Zahred wyjął jedną z włóczni, przerzucił w rękę, zakręcił nad głową. Chwycił oburącz, pchnął wyimaginowanego przeciwnika, zasłonił się, odskoczył... Przekręcił broń ostrzem do góry i postawił na ziemi, patrząc na błyszczący w słońcu grot.

– Złoto? – zapytał Cortés z niedowierzaniem, schylił się ku pakunkowi. Uśmiech na jego twarzy wyraźnie się skurczył. – Ach, miedź. Nie mieli nic lepszego?

– Żelazo jest przereklamowane, Hernán. Nie potrzebujesz ostrza z żelaza ani nawet brązu, żeby zabić człowieka.

– Chyba że tamten ma właśnie stalową broń...

– Chcesz demonstracji skuteczności? Proszę bardzo. Ja z tą włócznią przeciwko któremukolwiek z naszych żołnierzy uzbrojonemu w dowolną broń.

– Nawet w kuszę? – zaśmiał się Cortés, ale śmiech zamarł mu na ustach. – Na Boga, Zahred, ty mówisz poważnie...

– Tak.

– Nie zaryzykuję takiego starcia, bo niezależnie od jego wyniku będę miał jednego człowieka mniej. Natomiast

przyznaję, że twoja pewność siebie jest dobrym prognostykiem. No cóż, na pewno przyda się to przeciwko konnicy Narváeza...

– Co tutaj?

– Niewiele. Napisałem odpowiedź dla Narváeza, chcę posłać z nią ojca de Olmeda i pana de Usagrego.

– Ogniomistrza?

– Tak, bo okazało się, że w artylerii Narváeza służy jego rodzony brat. – Cortés puścił porozumiewawczo oko.

– Okazja jakich mało. Pójdę z nimi – zaoferował się Zahred.

– Ty? Nie żartuj...

– Hernán, pamiętasz, żebym ostatnio żartował?

– No dobrze, niech ci będzie. A co to takiego? – Cortés obrócił jedną z włóczni w rękę, pokazał na widniejący na tulejce żeleźca symbol.

– To? Znak rzemieślnika. Najlepszego, jakiego znałem.

– Miał jakieś imię?

Zahred zmrużył oczy. Przez chwilę milczał, potem pstryknął palcami, jak gdyby przypominając sobie:

– Zimri.

Caudillo Hernán Cortés pokiwał głową z uznaniem, patrząc na stylizowanego orła dawno pożartego przez piaski słonej pustyni Shadduralu.



– No i co my mamy z nimi począć, dobry panie Salvatierra? Obić kijami? Uwięzić? A może od razu kula w łeb? – zaśmiał się Narváez, patrząc na stojących przed nim emisariuszy od Cortésa.

Salvatierra, który dłuższą już chwilę wpatrywał się w jednego z tamtych, nie odpowiedział od razu.

Gotów byłby przysiąc, że gdzieś już tego człowieka widział.

Nieszczerólnie rosłego, ale krępego i umięśnionego, z tym przenikliwym, zimnym spojrzeniem... No i te wytatuowane ręce, które trudno było pomylić z czymkolwiek innym.

Zmrużył oczy, próbując ulokować nieznanego w którymś z miejsc, jakie widział.

– Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali? – zapytał w końcu.

– Też mam takie wrażenie, panie. – Zahred uśmiechnął się i skłonił głowę. – Ale Bóg mi świadkiem, że choćbym chciał, to nie mogę wam powiedzieć, gdzie to było.

– I ja podobnie czuję... Ale pamiętam, żeście mi w czymś pomogli chyba.

– Nie może być...?

– Co to mają być za pogaduszki, kapitanie?! – huknął na Salvatierrę rozzłoszczony Narváez. – Co to, z nimi będziecie szczebiotać, a mi nie łaska odpowiedzieć?! Zaraz i was też obok nich postawię pod mur...!

– Ale ja tylko... – spłoszył się Salvatierra.

– Aresztować ich zaraz każę! Nuże, ludzie, brać ich...!

– Niech się pan admirał wstrzyma jeszcze chwilę – wszedł Narváezowi w słowo Andrés de Duero. – Ja łaskawie proszę...

Narváez podniósł dłoń, w pół kroku wstrzymując już, już mających ruszyć ku posłańcom żołdaków.

– Co tam? – warknął. – Ale ostrzegam, że jeśli też macie ochotę na czece ploteczki, to i dla was się miejsce w szeregu znajdzie, żebyście w lufę rusznicy mogli zajrzeć!

– Nie śmiałbym, wasza łaskawość, rozkazów waszej łaskawości podważać...

– To nie czyńcie tego.

– ...jednak czy nie rozsądniej będzie inną kartą zagrać, niż czyni to ten nieokrzesany cham i prostak, jakim jest Cortés? Nie warto, aby pan admirał miał do niego się upodabniać w złym traktowaniu ambasadorów i więzieniu notariuszy.

– Hym... – hmyknął Narváez, który też kazał uwięzić posłańców Cortésa, gdy ci tydzień wcześniej przyszli do jego obozu z podobnym pismem, żądającym bezwarunkowego poddania się.

– Póki co, panie, przewaga moralna jest po naszej stronie i tak ją warto utrzymać.

– No więc co proponujecie, panie de Duero? Was też przecież tam niepięknie potraktowano.

– I dlatego uważam, że nam wypada inaczej uczynić. Ten tam, o, pan de Usagre... – Wskazał stojącego cokolwiek niepewnie artylerzystę. – Imaginujcie sobie, panie admirale, że podczas mojego pobytu w obozie Cortésa zupełnie przypadkiem dowiedziałem się, że jest on krewnym naszego pana de Usagrego, co przy armatach służy.

– Krewnym, powiadacie? – Narváez skubnął brodę.

– Rodzonym bratem, panie! Czemu więc nie wykorzystacie ich więzów krwi na naszą korzyść? – zaszeptał tamten.

– Myślicie, żeby...

– Tak, panie, dokładnie tak!

Narváez pokiwał głową.

– Sprytne. Zagrozimy mu, że jeśli nie przejdzie na naszą stronę w obozie Cortésa, to zabijemy jego brata. Genialne wręcz, panie de Duero.

– Nie, panie, zupełnie nie tak! – De Duero spojrział na swego admirała, wstrząśnięty i zniesmaczony zarazem. – Niech go nasz pan de Usagre na obiad zaprosi. A tam przy winie i stawie o wszystko wypyta, a potem nam opowie, co i jak.

– Ach. W tę stronę. No cóż, niech i tak będzie.

De Duero odsunął się i sapnął ciężko, w myślach przeklinając dzień, kiedy dowiedział się, że caudillo Cortés organizuje swoją ekspedycję, a potem w natłoku spraw zapomniał o tym i nie popłynął wraz z nimi.



– No i co powiecie, panie de Santa Clara? Jak wam się Nowy Świat podoba?

Bernardino de Santa Clara, jeden z oficerów u Narváeza, pokiwał głową na boki, patrząc na siedzącego w jego namiocie Zahreda.

– Różnie, panie kapitanie, tak to ujmę. Bywa lepiej, ale bywa i gorzej – odparł filozoficznie, nadal niepewny, na ile otwarcie może rozmawiać z tym człowiekiem.

– Pan de Villalobos wspominał o podobnych rozterkach, które dręczyły też jego.

De Santa Clara, spod którego komendy właśnie dał nogę wraz z towarzyszami wspomniany żołnierz, skrzywił się, jakby coś go zabolalo.

– Rozumiem, że rozterki duchowe pana de Villalobosa zostały załagodzone? – Uniósł brew.

– Ból duszy, panie de Santa Clara, leczy się podobnie jak jęczmień.

De Santa Clara, który już odzyskał co prawda zdolność widzenia na lewe oko, ale jego dolna powieka nadal była zaczerwieniona i spuchnięta, spojrział na gościa uważniej.

– To znaczy? Męczy mnie to cholerstwo, odkąd dziewięć lat skończyłem.

– Jest pewien bardzo prosty sposób... – Zahred uśmiechnął się. Sięgnął do sakiewki, wyciągnął z niej złoty pierścień i podał panu de Santa Clara. – Pocierajcie powiekę przez kilka minut.

– I to... tyle? – zdumiał się tamten.

– Więcej nie potrzeba. Chyba że macie za dużo czasu i nie musicie pracować, to wtedy pocierajcie powiekę złotem choćby cały dzień.

– Żeby mieć czas i nie pracować, trzeba mieć dużo złota. – Pan de Santa Clara chytrze zmrużył oczy.

Zahred nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko i ponownie sięgnął do sakiewki.



– I jak, panie kapitanie? – odezwał się ojciec de Olmedo, kiedy Zahred w końcu wrócił do ich tymczasowej kwatery. – Porozmawialiście sobie z ludźmi od serca? Wywiązaliście się ze swojej roli gońca, co dobrą nowinę niesie? Uradowaliście jeszcze kogoś?

– Widzę, że humor wam dopisuje, ojczy?

– A co ma nie dopisywać, synu? Przecież jesteśmy wszyscy wyłącznie zabawkami w rękach Najwyższego. – De Olmedo wzruszył ramionami, ale wznosił oczy ku niebu i złożył pobożnie ręce.

– Do zabawy, ojczy, potrzeba co najmniej dwojga. Albo dwóch. Zabawianie się z samym sobą to ponoć grzech.

– Faj, synu! Jak zawsze bezceństwa prawisz. – De Olmedo trzepnął go żartobliwie po ramieniu. – Ech, my tutaj sobie dowcipkujemy, a tam na mnie czekają...

– A co znów?



– Wyobraź sobie, synu, że zapomniałem listów wziąć z sakwy. Siedzimy przy obiedzie, a tu nagle Narváez do mnie: to dajcie te pisma, zobaczę, co w nich jest! Ja za pazuchę sięgam, a tam nic nie ma... Aż się spociłem z nerwów! – Otarł pot z czoła. – Ale znalazłem, mam przy sobie. Czekam teraz, żeby gorąc ze mnie zszedł, i do nich będę wracał.

– I dużo tam ludzi przy tym obiedzie? Zmieszczę się i ja może?

– Raptem kilku, jest Narváez, jest pan Salvatierra i paru innych. Śmiało, chodźcie ze mną, razem zawsze raźniej.

Wyszli z namiotu i ruszyli przez obóz, kierując się ku kwaterze Narváeza.

– Dzień dobry, dobry panie Porcalo! – zawołał nagle Zahred, pozdrawiając kogoś ruchem ręki. – Pisma mamy od caudilla Cortésa, skierowane do wszystkich was... Chodźcie z nami, czytać je będzie ojciec de Olmedo!

– Synu, co ty wyprawiasz... – syknął de Olmedo.

– Zaufajcie mi, ojczcie. O, kogo to ja widzę! Toż to musi być sam pan Juan Bono de Quejo, o którym tyle słyszałem dobrego! Nie ciekawiście, panie, co wam caudillo ma do przekazania?

– Pisma są do nas? A my o tym nie wiemy? – poirytował się od razu Bono, przezywany przez niechętnych mu „Bono-Malo”, czyli „Dobry-Zły”, odkąd przedsięwziął swą haniebną i okrutną wyprawę po niewolników na Trynidadzie.

– Już wiecie, panie... O, witam pokornie i was, dobry panie de Cervantes!

Pochodzący z dobrej szlacheckiej rodziny w Sewilli i spokrewniony z samym biskupem Fonsecą Leonel de Cervantes faktycznie oderwał się od rozmowy z kimś i skłonił dwornie, odpowiadając na powitanie.

– Skąd ty ich znasz wszystkich, synu? – pisnął ojciec de Olmedo, niejednokrotnie gotów już posądzić Zahreda

o konszachty z diabłem.

– Nie znam, ojczy, ale pracę domową nie na darmo odrabiałem... O, kogóż to ja widzę! Toż to przecież dobry pan Rodrigo, *alguacil mayor* wyspy Hispanioli!

– Kopę lat, panie Zahred! – De Ocaña odmachnął mu. – Ja o moim długi nie zapomniałem, mam nawet przy sobie gotówkę...!

– Nie ma o czym mówić, dawno w niepamięć puszczono! Chodźcie z nami, pogadamy chwilę...!

Zanim doszli do kwatery Narváeza, towarzyszyła im już niemała gromada kapitanów, oficerów i zwykłych szeregowych żołnierzy, niczym kolejne płatki śniegu dołączające do toczącej się już swoim własnym impetem kuli śnieżnej.

– Ojczy de Olmedo, już myśleliśmy, że... Co jest, do cholery jasnej?! – zdumiał się Narváez, gdy do niewielkiego pomieszczenia zaczął wsypywać się cały tłum.

– Czytajcie, ojczy! – Zahred szturchnął de Olmeda, który odchrząknął, oblizał usta i rozprostował przekazane mu pismo.

– Ahem... Z chrześcijańskim pozdrowieniem i życzeniami wszelkiej pomyślności od admirała caudilla Hernána Cortésa do jego druha i współrodaka Pánfila de Narváeza i wszystkich jego kapitanów! Oto kieruję do was te słowa, panowie bracia, zdobywszy niezliczoną liczbę miast i fortec, przyłączywszy do Korony nowe ziemie i terytoria, a przede wszystkim zgromadziwszy dla jej pomyślności wielkie skarby, wyceniane już teraz na kwotę bez mała stu pięćdziesięciu tysięcy złotych pesos...

– Sto pięćdziesiąt tysięcy! – sapnął ktoś. – Fortuna!

– Co wy tu robicie wszyscy! Wynocha stąd, to nie do was pisma! – zamachał rękoma Narváez, już czujący, co się święci.

– Nie słuchać! – zapiał Salvatierra.

Jednak ojciec de Olmedo czytał dalej, otaczany przez coraz to gęstszy tłum ciekawskich, skutecznie odcinający go od pieniających się dwóch dowódców wyprawy.

– ...dlatego też powiedzcie mi, dlaczego i po co przybyliście, abym nie musiał uznać was za intruzów na ziemiach Jego Królewskiej Mości i potraktować stosownie. Jeśli nie uczynicie tego, wystąpię przeciw wam zbrojnie, biorąc do niewoli i zabijając, jeśli taka będzie konieczność, jakbyście byli cudzoziemcami, co naruszają ziemię mojego pana i władcy...

– Straż! – wydarł się Narváez, nie mogąc przepchnąć się do duchownego, aby wyrwać mu pismo z rąk.

– ...ale ktokolwiek do mnie z własnej woli dołączy, obiecuję mu nie tylko łaskę, ale też hojną nagrodę żołdu wypłaconego za cały czas, kiedy był pod nielegalną komendą Narváeza, zwącęgo się bez prawa do tego admirałem, kapitanem i dowódcą, a w istocie będącego tylko zwykłym najemnym zbirem, łupieżcą i pieniaczem bez czci i wiary...

Ojciec de Olmedo nie wytrzymał i parsknął śmiechem; zawtórowało mu najpierw kilka, potem kilkanaście głosów.

– Straaaż!

Zahred delikatnie pociągnął de Olmeda do tyłu.

– Chyba pora na nas, ojcze. Mam wrażenie, że nadużyliśmy gościnności, zaś apetyt nikomu nie będzie już dopisywać.

– A pan de Usagre? – Zakonnik rozejrzał się.

– Jest w dobrych rękach, krzywda mu się nie stanie. Chodźmy, zanim trzeba będzie zrobić Narváezowi to, czego on teraz nam tylko życzy.



Nie minęły trzy dni, jak u bram obozowiska Cortésa, teraz wyglądającego jak istna forteca, stanęło kolejne kontrposelstwo.

Tym razem na jego czele stał nikt inny jak znany już pan Andrés de Duero, prowadzący żywego, zdrowego i zadowolonego z siebie ogniomistrza de Usagrego.

– Znowu się spotykamy! – De Duero rozłożył radośnie ręce, gdy na powitanie wyszedł mu ubrany w indiańską opończę Zahred. – Cóż to, panie? Zmieniliście wiarę?

– Wręcz przeciwnie, panie: nigdy jej nie odstąpiłem, tylko ubieram się tak, żeby nikogo nie drażnić wyglądem.

– To martwicie się tutaj, że dzikusom może nie spodobać się wasz wygląd? Zbytek wyrozumiałości! – nie zrozumiał zgodnie z intencją Zahreda de Duero.

– Tak, też do podobnego wniosku dochodzę, ale jeszcze jakiś czas muszę tę maskaradę utrzymywać. Jak tam po naszym odejściu? Nie obrazili się zbyt, że tak bez pożegnania się zmyśliśmy z dobrym ojczulkiem?

– Popieklił się admirał Narváez, powściekał, ale do wieczora mu przeszło. Inaczej gniew się pali, kiedy inni go szczapami zarzucają, a inaczej zgoła, kiedy samotnie ognisko trzeba utrzymywać.

– Sugerujecie, że niewielu było w obozie skłonnych podzielić niezadowolenie waszego dowódcy? – zapytał Zahred, jednak de Duero uśmiechnął się tylko przebiegle i ponaglił:

– Prowadźcie do caudilla, panie kapitanie. Moje sugestie dla jego uszu są przeznaczone.

Kiedy stanęli przed Cortésem, de Duero sięgnął do sakwy, wyjął z niej pisma i niedbale rzucił na bok, mówiąc:

– Przysłano mnie tu, bym wam przekazał, panie, te listy, ale tuszę, że szkoda waszego czasu na lekturę, bo i sam byłem przy ich spisaniu. Posiedzę u was jednak do jutra, żeby pozory zachować.

– Może wam dla lepszego wrażenia, panie, w mordę dać? – zaproponował uczynnie Zahred.

– Wielce żeście łaskawi, panie kapitanie, doprawdy. Hernán, mogę pomówić z tobą na osobności?

Cortés i Zahred wymienili się spojrzeniami.

– Cokolwiek mi powiesz, Andrés, kapitan Zahred też może usłyszeć, więc śmiało.

– Ach. No cóż, dobrze. Więc... – De Duero zrobił pauzę, jak gdyby zbierając się z myślami. – Dwa lata temu, kiedy na Kubie rozmawialiśmy o twojej wyprawie, Hernán, obiecałeś mi coś. Pamiętasz, co to było?

Cortés pokiwał głową.

– Pamiętam, a jakże.

– Na ile dokładnie? – De Duero uśmiechnął się samymi wargami.

– Dostyc dokładnie, Andrés... Do rzeczy!

– No więc pozwól, Hernán, że odświeżę ci pamięć: w zamian za określone zmiany wprowadzone do udzielonych ci pism... Zmiany dokonane nie do końca za zgodą i na pewno bez wiedzy gubernatora Velázquez w jego własnej kancelarii...! W zamian za to obiecałeś mi, że podzielisz się ze mną zyskami z tej ekspedycji.

– Pamiętam...! – warknął Cortés, czując, jak czerwienią mu uszy, i widząc, że stojący obok Zahred unosi brwi coraz wyżej i wyżej. – Nie patrz się tak na mnie, do cholery!

– Może trzeba było mi jednak kazać wyjść – parsknął Zahred z rozbawieniem.

– Teraz i tak już za późno. Ahem... Liczę na twoją dyskrecję, przyjacielu.

– Kiedy już i tak się dowiedziałem? No dobrze, lepiej późno niż wcale.

– Nie chcę wam, panowie, sielanki tutaj psuć – skrzywił się de Duero. – Ale rozumiecie chyba, że i moja pozycja jest, oględnie mówiąc, chwiejna. Dla precyzji: obiecałeś mi, Hernán, że wspólnie będziemy rządzić tymi ziemiami.

– Na pewno nie...! – chciał zaprotestować caudillo, ale de Duero podniósł tylko rękę.

– Twoje własne słowa, Hernán! Znaj jednak moją wyrozumiałość: po nic mi ból dolnej części pleców z byciem gubernatorem w Nowym Świecie, bujanie się z pismami, biurokracją i procesami...

– Wielkodusznie będzie, jak tuszę – burknął Cortés.

– ...więc wystarczy mi, że podzielisz się ze mną pieniędzmi. Ile to mówił ten klecha, sto pięćdziesiąt tysięcy?

– Sto trzydzieści! I nie myśl, że całość tego...!

– Nie myślę, Hernán. Zaokrąglimy to do tych stu pięćdziesięciu, a mój z tego udział do... – De Duero przewrócił oczami, udając, że się zastanawia. – Piętnastu tysięcy pesos?

– Dziesięć – błyskawicznie zripostował Cortés.

– Dwanaście i pół, ostatnie moje słowo.

– Zgoda!

Caudillo od razu wyciągnął do de Duera rękę, ten uścisnął ją – jednak Cortés przytrzymał go dłużej, przyciągnął ku sobie i syknął:

– Zważ jednak, Andrés, żebyś ty nie zapomniał teraz przypadkiem o naszych ustaleniach. Lepiej, żebyś uczynił to, co powinienesz, bo inaczej słowo daję, że nie miną trzy dni, jak pojawię się z moimi towarzyszami w obozie Narváeza, a pierwszym, który przywita się tam z ostrzem lancy, będziesz ty...

– Nie zaniedbam niczego, aby w obozie Narváeza godnie waszą miłość podjąć! – zaśmiał się de Duero, wykonał przesadnie dworny ukłon i wyszedł na dwór.

Kiedy płachta namiotu zasunęła się za nim, Zahred i Cortés odczekali jeszcze chwilę, aż ścichną jego kroki. Spojrzeli po sobie.

– Zahred, jestem ci winien... – zaczął caudillo.

Jednak jego towarzysz schylił się tylko, podrapał za uszami siedzącego przy nodze psa i rzucił:

– Wykręciłeś się sianem, Hernán. Jak zawsze.

Cortés urwał, westchnął ciężko i rozłożył bezradnie ręce.

– No w sumie to masz rację, po taniości wyszło – skwitował.



– J-j-ja?! – zdumiał się pan de León.

– Wy, panie. Pójdzie z wami kapitan Zahred, dogadacie się chyba.

– A-le-le p-po co j-j-ja? – Jąkała patrzył zdumiony to na Cortésa, to na kapitana Zahreda.

Faktycznie, z tym drugim dogadywali się całkiem nieźle.

Szczególnie że de León wiedział skądinąd, że Zahred nie tylko nie drwi za plecami z jego ułomności, ale wykazuje się dużym zrozumieniem.

Ba, mało tego! Przecież kilka razy usiadł nawet z nim i robił te dziwne ćwiczenia, każąc wymawiać losowe słowa, które niby miały mu pomóc... Jednak on wiedział lepiej od dziwnego cudzoziemca, że jąkania nie da się uleczyć.

Tak mu jeszcze za młodu wbił do głowy przez pas na tyłku ojciec i tak już było.

– Po to, że do was Narváez listy przysłał, które mi pokazaliście, panie. Wiemy więc, że wam ufa.

– A-a-ale j-ja n-nic n-n-n... – zająknął się de León, który i tak już zdenerwował się wystarczająco na wieść o tym, że ma wystąpić jako poseł. No bo pewnie i gadać mu tam każą, i to przed nieznanymi ludźmi! – N-n-nic n-nie zro-bi-bi-biłem, p-p-pa-panie, żeby w-w-waszą pow-w-agę podkopy-py-py-py-wać! K-klnę s-się n-n-na w-w-wła-wła-a-as...

– Nikt wam nic nie zarzuca, panie – pospieszył Zahred, chcąc uspokoić szlachcica, nim ten zatnie się w sobie na dobre, a potem wpadnie w złość, jak to mu się czasami zdarzało. – Dlatego właśnie do was z tym przychodzimy, żeście swoją lojalność udowodnili ponad wszelką wątpliwość. Zdrajcy byśmy przecież nie ślali, prawda?

– P-p-praw-w-wda... – zgodził się de León.

– Narváez wam nie wiedzieć czemu ufa. My wiemy, że myli się w tym, a wasza lojalność leży po właściwej stronie... Tak? – Cortés uśmiechnął się zachęcająco.

– T-tak, a jużci! – przytaknął ochoczo szlachcic, zadowolony, że w końcu dostaje proste pytania, na które może krótko odpowiedzieć.

– No więc pójdziecie tam tylko po to, żeby wywiedzieć się, czy Narváez jednak przemyślał sprawę i chce pokoju. Dacie radę? Możemy na was liczyć?

– J-jasna spra-ra-rawa, w-w-wasza mi-miłość!



– Dobry panie de León, witajcie! – Narváez rozłożył kordialnie ręce, objął szlachcica i ucałował w oba policzki. Spojrzał na Zahreda, nieszczerze zadowolony, że widzi go



ponownie. – I wam dobrego dnia, kapitanie. Jak się ma ojciec de Olmedo? Tak bez pożegnania ostatnio żeście uciekli...

– Tłoczno się zrobiło, duchownemu słabość przyszła. Wyprowadzić go na dwór musiałem. Witam i was, admirale. – Zahred skinął głową, spojrzął na Salvatierkę. – I was również.

– Mhmm... – mruknął ten ostatni.

– P-pochwa-wa-lony. – Jąkała skłonił się oszczędnie.

– Siadajcie, panie de León! – Narváez pokazał na miejsce przy stole, zastawionym dla trzech osób. – Kapitanie, wybaczcie, ale nie wiedzieliśmy, że też się zjawicie. Mam kazać donieść nakrycie dla was?

– Nie ma potrzeby, admirale. – Zahred uśmiechnął się samymi ustami. – Przejdę się, świeże powietrze dobrze mi robi. Panie de León, do zobaczenia w takim razie pod wieczór jakoś.

– Nie no, do jutra chyba zostaniecie? – zdumiał się Narváez. – Myśmy tu specjalnie dla pana de Leóna kazali antałek wina odszypuntować!

– W-w-wino! – ucieszył się tamten, gdy sługa podszedł z dzbanem.

– Wyborne, guadalcanalskie, dwuletnie! Zdrowie naszego miłościwie panującego!

– Zdrowie...!

Zahred wysunął się spod płachty namiotu, spojrzął po obozowisku.

Oddziały Narváeza stały niczym w szyku defiladowym, żołnierze ustawieni w szpaler po obu stronach dróżki, którą ich tu prowadzono, patrzyli w kierunku namiotu... Tak, wszystko było obliczone w taki sposób, żeby wyrzeć na panu de Leónie odpowiednie wrażenie oraz dać mu do zrozumienia, że jest gościem honorowym i wysoce cenionym sojusznikiem.

– Ognia! – zakomenderował tutejszy ogniomistrz.

Szpontony opuściły się, syknął zapalający się proch, a potem armaty fuknęły głucho basem, wyrzucając w powietrze kłęby siwego dymu.

Tak, była to demonstracja siły i przepychu na miarę udzielnego hrabiego albo księcia, a nie prostego pana de Leóna.

No cóż, pozostawało mieć nadzieję, że to właśnie dzięki tej prostocie charakteru de León nie ugnie się przed siłą perswazji i nie ulegnie polanym miodem obietnicom, jakie bez wątpienia padną przy obiedzie i podczas wieczerzy.

A nawet jeśli?

No cóż, mają potem wracać razem do obozu. Będzie pod dostatkiem czasu na rozmowy.

Szkoda by było, gdyby wyszło ich dwóch, a z powrotem miał dotrzeć tylko jeden.

Zahred przeszedł się po obozie, udając, że nie zauważa bacznie obserwujących go straży i ludzi, pozornie niedbale stojących w poprzek takich czy innych drózek. Tak, zdecydowanie teraz widać było co innego niż wtedy, nocą.

No i wyraźnie widział, że zarówno artylerię, jak i część ludzi przeniesiono na położony wyżej placzyk u stóp piramidy, do której przylegało warowne obozowisko Narváeza.

Niczym donżon z podgrodzem samozwańczy admirał szykował sobie tutaj małą fortecę, biorąc pod uwagę atak przeciwnika tak samo poważnie jak Cortés, posiadający trzykroć mniej od niego ludzi.

– Panie kapitanie, pozwólcie do nas! – zawołał go de Ocaña, wychodząc ku niemu od swoich ludzi.

– O, witam was ponownie, panie... Macie po raz kolejny ochotę na partyjkę kości?

– Uchowaj Boże! Ja wam dług właśnie chciałem oddać, a przy okazji pogadać o tym i owym... Nie odmówicie gościny? Chyba że coś ważnego was goni?

– Co może być ważniejszego niż rozmowa ze starym znajomym? – Zahred rozłożył ręce.



Zapadała już noc, obozowisko tonęło w mroku.

Znów kropił deszcz, więc ludzie siedzieli w namiotach albo pod dachami, rozmawiając półgłosem albo drzemiąc już, skoro i tak większość prac polowych musiała poczekać.

Tylko od strony namiotu Narváeza nadal niosły się radosne śmiechy, okrzyki i pijackie śpiewy pana de Leóna, który to, uczując od pory obiadowej, miał już zdrowo w czubie.

Teraz zdążył już wytrzeźwieć nieco, uspokoił się i był raczej rzewnie-wesoły. Wcześniej jednak był taki moment, że we dwóch z Narváezem osuszyli antałek prawie do dna, rozochocili się, nabrali obydwaj kolorów... I mało brakowało, a z bratankiem gubernatora, Diegiem Velázquezem z tego samego rodu de León, wzięliby się za łby!

Podobno było tak, jak to zawsze z panem de Leónem: podjadł, popił i zaczął rozwodzić się nad tym, jaki to sławny i dawny jest jego rodowód, że jak nic wywodzi się w prostej linii od antycznych hidalgów, a nawet od samego El Cida po mieczu potrafi wywieść swoje parantele.

Na to z kolei młody Velázquez zarzucił mu, że skoro tak, to czemu po słynnym rycerzu Ruyu Velázquezie pan de León dostał tylko imię, a nie herb i rodowe nazwisko?

Kiedy zaś de León, zdenerwowawszy się nie na żarty, próbował, coraz mocniej się jękając, wytłumaczyć, co i jak, tamten roześmiał mu się w twarz, że on, jak będzie chciał, to

swego konia albo i psa może nazwać Velázquez, a tamtemu błękitnej krwi od tego w żyłach nie przybędzie.

Co było dalej, nietrudno się domyślić.

Dość, że młody Velázquez musiał już, teraz, natychmiast opuścić obóz z bardzo ważną misją, a panu de Leónowi, dosłownie aż gotującemu się ze złości, zaproponowano, żeby pouczył kapitanów fechtunku.

Poszczerbiwszy ich czterech, de León uspokoił się nieco, zaś wykąpawszy się w rzece i zabarłóżywszy z przyprowadzoną mu indiańską dziewczyną, zamiast, jak przewidywano, usnąć – wyszedł z łoża świeżutki jak rogalik z pieca i oświadczył, że w sumie to trochę zgłodniał i chętnie by coś przegryzł.

Tak więc uczta trwała, służba donosiła tylko kolejne półmiski, a przy stole zmieniali się biesiadnicy, bo nawet sam Narváez nie wytrzymał konkurencji i wymigał się obowiązkami dowódcy.

Tak więc tamci jedli i pili, obozowisko powoli układało się na odpoczynek – Zahred zaś niestrudzenie rozmawiał z ludźmi.

Był już u pana de Ocañi.

Potem poszli we dwóch do jego sąsiadów.

Zamienił kilka słów z kawalerzystami.

Następnie ze starszym straży przeszli się po terenie obozu, wdrapali we dwóch na piramidę, żeby zobaczyć panoramę, ponarzekali na pogodę.

Zamienił kilka słów ze starymi znajomymi i nowymi kolegami.

Przegrał kilka partyjek w karty i kości.

Wygrał w rzucaniu nożem do celu.

A teraz siedział sobie z panem Rodrigiem Martínezem, znajomym brata pana de Usagrego, i rozprawiali o przewagach broni palnej nad innymi rodzajami uzbrojenia.

– Dwieście sześćdziesiąt funtów?! – Artylerzysta złapał się za głowę. – Matko Święta...!

– Plus minus, panie Martínez, ale tak. Na jeden tylko strzał. Och, powiem wam, że była piękna. – Zahred uśmiechnął się do wspomnień. – Kiedy przykładało się żagiew do otworu zapału, wrażenie było takie, jakby świat stawał w miejscu. Jakby każdy wokół wstrzymywał oddech, gdy ona nabierała powietrza... A potem nie było nic. Wszystko ginęło w oddali, kiedy dawała ognia.

– Przecież sam podmuch takiego potwora potrafi zabić! Aż ciężko w to uwierzyć...!

– I tak się zdarzało. Bo to mało ludzi przy niej zginęło? Raz źle spasowali przodek z tyłcem, akurat obok stał kapitan artylerii... Nie chcielibyście tego widzieć, a i ja wolałbym zapomnieć, powiem wam.

– To widzieliście to w końcu? Mówiliście, że wam ktoś opowiadał.

– Tak, prawda. Ale mówił tak, jakbym ja tam był.

– Oblężenie Konstantynopola... – westchnął Kastylijczyk. – A mnie wtedy nawet na świecie nie było... Ech, panie Zahred, za późno się urodziłyśmy, powiem wam.

– Nie narzekajcie, panie. Nie może wam być tu źle chyba?

– Oj, mówiłem wam już, nie będę się powtarzać, żeby nie wyszło, że narzekam. No ale przyznacie sami, za ten marny żołd...

– A pod Konstantynopolem wiecie, ile żołdu dostawali artylerzyści?

– Skąd mam wiedzieć, panie? W przeliczeniu na nasze pewnie niemało, bo...

– Tysiąc złotych pesos.

– ...

– Tysiąc pesos, panie Martínez – powtórzył Zahred, patrząc mu prosto w oczy.

Tamten przełknął ślinę.

– Tysiąc pesos... – szepnął. – Za takie pieniądze to ja bym... Chyba nie ma rzeczy, której bym nie zrobił.

Zahred sięgnął za pazuchę, po czym podał coś artylerzyście.

Martínez spojrział na trzymane w dłoniach zawiniątko, w którym już teraz widział sakiewkę i spory kawał pachnącego miodem pszczelego wosku.

### *Następnego wieczora w obozie Cortésa*

– Panowie, oto nadeszła pora, kiedy zamiast do słów uciekamy się do czynów! Niech nie słabnie w was duch, bo po naszej stronie stoi słuszna racja, Bóg i interes Korony!

Ludzie słuchali swego caudilla w pełnym skupieniu milczeniu, zaciskając ręce na drzewcach pik, przebierając palcami po rękojeściach mieczy i ściskając kusze. Gdy tylko kazał założyć pancerze i hełmy, nikt nie miał już wątpliwości: pora rozmów faktycznie minęła.

Cortés przechadzał się przed szeregiem żołnierzy, nie wsiadając nawet na konia; teraz, w tej chwili, pod każdym względem dowolnemu z nich równy.

– Wiecie wszyscy, a ja nie będę wam powtarzać, że to mnie, a nie Narváeza, wyznaczył gubernator Velázquez na dowódcę naszej wyprawy! – zakrzyknął Cortés. – I wiecie, że gotów byłem złożyć urząd! Jednak na waszą, bracia i towarzysze, wyłączną prośbę podjąłem się dowodzenia w zbożnym dziele kolonizacji tych ziem! I nikt, powtarzam: nikt! nikt nie odbierze tego nam, do których prawowicie należy!

Ludzie zakrzyknęli radośnie, potrząsnęli bronią: tak! Tak właśnie było! To oni doszli, znaleźli, zdobyli! Nikt inny...!

– Ja wiem, bracia, że żaden z was nie porzuci teraz naszego wspólnego dzieła, o ile sam król nasz panujący nie każe nam uczynić inaczej! Pamiętajcie na wszystkie trudy, wszystkie te niebezpieczeństwa, które razem przeszliśmy! Chłody i słoty, niewygody, zasadzki i otwarte bitwy! I teraz, kiedy to wszystko jest nasze... pojawia się ten chłystek, ten ladaco, ten nicpoń Narváez... I myśli, że może nam to odebrać?!

– Nigdy! – zakrzyknął któryś z żołnierzy.

– Nie oddamy tego, co nasze! Cóż po tym, że tamtych jest trzykroć więcej, skoro każdy z was wart jest pięciu jego ludzi?! Na Boga, nie takie ciżby pozornie nieprzebrane zdarzało nam się odpierać! – zaśmiał się caudillo. – I cóż potem się okazywało?! Że poległo z naszych dwóch, trzech, pięciu... Albo zgoła nikt, mimo że tamtych były tysiące! Tak też będzie tym razem, bracia, jeśli tylko wytrwamy!

– Wytrwamy! – zawołało naraz kilku. – Prowadźcie nas, panie!

– Na Narváeza! – krzyknęła wysokim głosem Maria d'Estrada, wznosząc w powietrze miecz.

– Na Narváeza, bić w nich! – poniósł się po obozie okrzyk.

– Tak jest, panowie bracia! Mężnie i dzielnie, bo lepiej jest za dobrą sprawę umrzeć, niż żyć w pohańbieniu! W naszych rękach i w ręku Boga Jedynego jest nasze życie!

– Niech żyje nasz caudillo! Prowadź nas! Do boju, na Narváeza!

– Tysiąc pesos dla tego, kto pierwszy pochwyci Narváeza! – wrzasnął jeszcze Cortés, czując, że zaczyna brakować mu głosu.

– Do boju! *Santiago y cierra, España!*

Zahred spojrzał na swoich ludzi, na stojących po jego drugiej ręce Tlaxcalteków.

– *El sol está con nosotros.* – Skinął Kastylijczyk, a potem odezwał się w *nahuatl*: – *In tonatiu ka totlok.*

– Z nami słońce! – odpowiedzieli i jedni, i drudzy w swoich językach.

### *W tym samym czasie w obozie Narváeza*

– Mówię wam, że nie dalej jak jutro przyleżą tutaj ku nam! Myślałem, że zaatakują dziś, ale w tym pierdolonym deszczu... – Narváez zadarł głowę, popatrzył w ciemne od chmur niebo. – Zastrana pogoda, powiadam. Bądźcie jednak gotowi i czuwajcie, bo jutro skoro świt mogą już tu być!

– Ten gruby dureń z Cempoali, którego imienia nawet nie potrafię powtórzyć, mówi, że Cortésuńcio to przebiegły wąż i zaatakuje, kiedy się go nie spodziewamy – rzekł Salvatierra.

– No więc powiadam: najpewniej o świcie przyjdą do nas! Przyjdą i uciekną z podkulonymi ogonami... Poza tym wydaje wam się, że Cortésuńcio i te jego wyliniałe koty zaatakują nas tylko dlatego, że jakiś grubas z piórami na głowie tak powiedział?

Słuchający Narváeza ludzie roześmiali się w głos. Prawda, kto by słuchał Indian? A oni przecież rozmieścili się tak, że trudno byłoby do nich podejść.

Głównodowodzący ulokował się bezpiecznie na szczycie piramidy. Na patio u jej stóp stało w pogotowiu dwudziestu konnych. Połączone siły Salvatierry, de Queja i Gamarry wspierane oddziałami kuszników i artylerii powinny odeprzeć z podwyższenia każdy, nawet najbardziej zawzięty atak... Zaś na dole czekały jeszcze łaknące prochu gardziele armat.

– Damy im radę! Niech tylko przyjdą! – wyrwał się ktoś.



– Odciąć Cortésowi uszy! Jedno na wisiorek, a drugie ugotować i zjeść! – zawołał inny.

– Tysiąc... A co mi tam: dwa tysiące pesos! – krzyknął Narváez. – Dwa tysiące za głowę Cortésa albo jego pieska pokojowego de Sandovala, a pięć za obydwie!

Ludzie krzyknęli radośnie: tak, tak! Godna nagroda za godne dzieło...!

Zaś deszcz wciąż padał z zasnutego chmurami, obcego nieba.



## Rozdział 10

Spodziewają się nas o świcie, dlatego uderzymy wcześniej.

Na krótką chwilę w pełnej szumu wody ciszy zapadło milczenie, a potem przebrzmiał radosny, dźwięczny śmiech Cortésa.

– Na mój honor, kapitanie Zahred! Na was zawsze można liczyć... Wyborny pomysł, tak właśnie zrobimy!

– Ale... jak to? – mruknął de Sandoval, widoczny tylko jako ciemniejsza sylwetka na tle atramentowoczarnej nieba. – Tak po ciemku?

– Ja po ciemku to bez włosów nie trafię... – zamruczał Portocarrero.

– Panie, nie pora na wasze chłopskie mądrości! – osadził go caudillo. – Kapitanie Zahred, z łaski swojej, wyjaśnijcie pomysł tym, co wolniej od reszty myślą.

– Ludzie i tak albo nie mogą spać, albo czuwają. Niepotrzebnie się tylko męczą czekaniem. Im wcześniej zaatakujemy, tym więcej będą mieli sił – objaśnił krótko Zahred.

Kapitanowie popatrzyli po sobie, któryś kiwnął głową: miało to sens.

Cortés zatarł rękę z zadowoleniem.

– Tak robimy, bez dyskusji! Plan ten, co wcześniej... Naprzód, panowie, w imię Boże!

Rozdzielili się, ruszyli każdy do swoich ludzi.

Gdy tylko Zahred wrócił do Tlaxcalteków, dał znak czekającemu w gotowości Xicotencatlowi:

– Ruszamy.

– Xahuatl uważa, że jego biali wojownicy dadzą radę? – Tlaxcaltek popatrzył z powątpiewaniem na tamtych.

– De Monroy, gotowi? – rzucił Zahred.

– Tak jest, panie kapitanie! Pan kapitan myśli, że Indianie sobie poradzą?

– Prędzej oni niż my – mruknął niewidoczny w ciemnościach Rodrigo.

– Za mną! – rzucił półgłosem Zahred, robiąc ruch ręką, żeby i jedni, i drudzy na pewno zrozumieli.

Od kilku dni uczył obydwie grupy podstawowych komend i zwrotów.

Kazał im siadać przy ogniskach w mieszanych składach, razem jeść i spać.

Jego biali uczyli jego Tlaxcalteków szermierki, demonstrowali, jak walczy się piką i wąskim mieczem.

Z kolei Xicotencatl pokazywał im – bo na razie strach był dać białym do ręki broń z krzemiennym ostrzem tnącym aż do

kości! – jak używać miecza, maczugi i krótkiej włóczni.

Daleko im było do utworzenia spójnego oddziału, ale udało mu się osiągnąć tyle, że obydwie części przestały zgrzytać na każdym kroku, a powoli uczyły się bezkonfliktowo funkcjonować obok siebie.

I jedni, i drudzy szli teraz do walki przybrani czarnymi piórami, aby odróżniać się od przeciwników.

– Biali wojownicy to durnie – mruknął Xicotencatl, maszerując ramię w ramię z Zahredem.

– Bo?

– Bo wystraszyli się wody, która leci z nieba. Może dlatego, że tak rzadko się myją?

Rzeczywiście, wcześniej tego wieczora pochyła równina, przez którą szli teraz, zajęta była przez czekających na nich ludzi Narváeza.

Tamci rozstawili się niemalże podręcznikowo: arkebuzerzy w pierwszym rzędzie, zaraz za nimi kusznicy, konnica w odwodzie i artyleria na wzniesieniu. Ktokolwiek miałyby na nich uderzyć, zostałyby zdziesiątkowane jeszcze na podejściu.

Zahred i Xicotencatl widzieli to, bo byli tu obydwaj z półtuzinem tlaxcalteckich biegaczy na wysuniętym zwiadzie.

Już, już zaczęli roboczo planować, jak tu obejść posterunki i uderzyć na formację tamtych od boku, od strony zasłoniętego wysokim brzegiem koryta rzeki...

...kiedy zaczęło padać.

Padało i padało, tamci mokli i mokli, aż w końcu kawalerzyści zaczęli zsiadać z koni i oddawać je stajennym, sami zaś ruszyli piechotą ku obozowisku.

Następni zebrali się arkebuzerzy z działami.

W końcu zawinęli się i kusznicy.

Nie minęły dwa kwadranse, jak równina była pusta, zaś droga ku Cempoalanowi stała otworem!

Co lepsze, okazało się, że leniwi ludzie Narváeza nie zabrali wszystkiego do miasta – znaczącą część koni i wyposażenia zostawili pod niedużą strażą w pół drogi, aby przy następnej zbiórce nie targać tego wszystkiego aż tak daleko.

– Bogowie sprzyjają wojownikom Tlaxcali – mruknął Zahred.

– Xahuatl odpłaci im za to Czerwoną Gwiazdą z piersi Narváeza? – ożywił się Xicotencatl.

– To nie taki znów głupi pomysł...

W oddali widać już było zębatą sylwetkę piramidy, na której szczycie pełgał jakiś samotny ognek. Deszcz ustał tak samo nagle, jak przyszedł, błyskawicznie zrobiło się parno.

– Panie kapitanie, lonty! Artyleria przed nami...! – rozległ się zduszony, przerażony głos Rodriga.

Zahred wpatrzył się w ciemność, w której rzeczywiście tańczyły przed nimi podrygujące, lśniące punkciki iskierek.

– Świetliki... – odetchnął z ulgą. – Idziemy, już niedaleko. I pamiętajcie, że ruszamy prosto ku piramidzie.

– Pamiętamy, panie kapitanie – zamruczał gdzieś za nim de Monroy, idący teraz z długim, zakrzywionym tasakiem niczym rozbójnik na nocną wyprawę.

Noc wokół nich była ciemna, pełna szmerów i plusków kapiącej z drzew wody.

Po lewej widać już było miejsce, gdzie obozowali w namiotach ludzie i nadal tliły się żarem ogniska – tam miał uderzyć ze swymi pięcioma tuzinami ludzi pan de León.

Nieco po prawej był taras, gdzie wciągnięto działa, na które polecono wyprawić się kuzynowi samego Cortésa, panu Pizarrowi, z kolejną tak samo liczną grupą.

Diego de Ordaz, de Sandoval i prowadzony przez nich największy, stuosobowy oddział mieli zająć się schwyтaniem

siedzącego z żołnierzami w koszarach Salvatierry.

Cortés zaś z resztą wojska czekał w odwodzie, aby uderzyć tam, gdzie będzie potrzebny.

Byli już o strzał z łuku od piramidy.

Już było dobrze.

I wtedy rozległ się głos:

– Hurtado, to ty?



Stojący na warcie Gonzalo Carrasco już od dłuższego czasu czuł, że pęcherz uciska mu na mózg.

Z początku uczucie nie było aż tak męczące, sprowadzało się raczej do tego, co pół tysiąclecia później ochrzczone zostanie mianem dyskomfortu. Ot, taka sobie lekko niepokojąca świadomość, że dobrze by było coś zrobić.

Zaś ten cholerny gaduła Hurtado plótł i plótł, a że sam nie mógł pić, bo gadał, to wciąż mu polewał.

A Gonzalo, trzymający kubek w ręku, zupełnie machinalnie pił z niego po łyżku. Takim małym, nieistotnym łyżku, którego w ogóle się nie czuje – ale potem ani się człowiek obejrzy, a widzi, że wypił wszystko, co miał.

Zaś wtedy Hurtado polewał mu znowu, nie przestając gadać.

W dodatku padał ten cholerny, przeklęty deszcz.

Padał i padał, ciurkał, szumiał, pluskał i w ogóle wydawał te wszystkie odgłosy, jakie wydaje woda.

A woda dostająca się do organizmu pana Gonzala Carrasca przez usta też sobie chciała pociurkać i popluskać.

Najlepiej teraz, natychmiast.

W tej chwili.

Już.

Dlatego też jak tylko przestało padać, to Carrasco zebrał się w sobie, przeprosił grzecznie kompana i pokłusował się odlać.

Oczywiście, Hurtado polazł za nim, nie przestając gadać... Ale potem w końcu się zamknął i zamiast tego zaczął stękać, obwieszczając całemu światu, że jego kolacja zamierza dołączyć do napitków Gonzala.

I właśnie teraz, od dłuższego już czasu stojąc w rozkroku i opierając się czołem o pień drzewa, Gonzalo Carrasco poczuł nagle, że w ciemności przed nim ktoś jest.

– Hurtado, to ty? – zapytał zupełnie odruchowo.

A wtedy ciemność nagle ożyła i rzuciła się na niego.

– Jezus Maria...! – zdążył tylko wrzasnąć.



– Nie dajcie mu uciec! – krzyknął Zahred.

Kilku Tlaxcalteków od razu rzuciło się śladem drugiego wartownika, sunąc niczym duchy za nieszczęśnikiem w panice na oślep przedzierającym się przez krzaki i łamiącym z trzaskiem gałęzie.

– Mmmff...! – spróbował krzyknąć ten, którego pojмали, ale wsadzona w usta szmata skutecznie uniemożliwiła mu wydanie z siebie jakiegokolwiek odgłosu głośniejszego niż sapnięcie.

Zahred złapał go za poły dubletu, nachylił się nad nim.

– Skłamiesz, to łeb ci ukręcę – zawarczał głucho. – Kiwnij, jeśli rozumiesz!

Przerażony Carrasco pokiwał, czując jednocześnie, że jego pęcherz jest już zupełnie, ale to zupełnie pusty.

– Narváez i reszta kapitanów w świątyni?

Gorączkowe kiwnięcie.

– Artyleria załadowana?

Zawahanie, potem niepewne kiwnięcie.

– Ilu ludzi na górze? Stu?

Potrząśnięcie głową.

– Pięćdziesięciu?

Słabe kiwnięcie.

– A może dwudziestu?

Potrząśnięcie głową.

– Zabrać go na tyły, dostarczyć caudillowi. Teraz już wiemy, że idziemy, więc ruszamy bez zatrzymania, na samą górę, a tam... – Zahred nabrał tchu, nie do końca pewien, po jakimu i do kogo mówił. – Słońce z nami.



Tymczasem Hurtado pędził ku piramidzie, ze wszystkich sił starając się wołać: pomocy, atakują nas! Do broni! Napaść, pomocy...! Idą na nas, wstawajcie! Alaaarm...!

Tyle tylko, że nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

Biegł więc z szeroko otwartymi ustami, z których nie wydobywał się żaden dźwięk, usiłując tylko nie zadławić się własnym językiem.

Ściśnięte, już wcześniej zmęczone paplaniną gardło zupełnie odmówiło mu posłuszeństwa, a on próbował, starał się, chciał, robił, co tylko mógł...



– Hhhh... – dał radę wycharczeć, dobiegając do prowadzących na szczyt piramidy schodów. Obrócił się i zamachał rękami, patrząc na siedzących beczynnie przy armatach ludzi. – Hhhh...!

Jeden z nich już, już miał się obrócić, byłby go zauważył, więc Hurtado aż podskoczył, jak człowiek wzywający pomocy na bezludnej wyspie.

I w tym samym momencie z nieba spadła ściana wody.

Tak po prostu, bez ostrzeżenia szumiąca kurtyna opadła na świat, skrywając przed oczami Hurtada artylerzystów, armaty i wszystko, co tylko tam było.

Został tylko on i niesamowicie daleka, ciężka droga na szczyt.

– Hhh... – zajęczał nad marnością własnego losu Hurtado, po czym łykając podchodzące do gardła łzy przemieszane z deszczem, zaczął wspinać się na górę.



Dobry pan de León skradał się przez noc, czując, jak coraz mocniej wali mu serce.

Podobno gdzieś tam, w ciemnościach, były też pozostałe oddziały. Caudillo miał przecież swój plan – znowu. Zebrał wszystkich na naradzie, wszystko wytłumaczył, wyłuszczył. Jasno jak na dłoni.

Pan de León nauczył się przez wiele lat swego życia, że takie narady należało przeczekać, a potem, kiedy wszyscy będą już wiedzieć wszystko, podnieść rękę i zapytać: a ja?

A to dlatego, że słowa caudilla spływały po nim jak woda.

Pan de León szanował Cortésa, lubił go i po trosze się go nawet bał, jak to wypadało wobec przełożonego, ale... ale za cholere nie potrafił go słuchać. Jak tylko caudillo zaczynał mówić, pan de León wyłączał się i odpływał gdzieś na falach swojego umysłu.

Nie to, że przysypiał, ale czuł się, jakby był obok. Jak gdyby słuchał nie słów człowieka, ale szumu rzeki, szeptu wiatru w wierzchołkach drzew albo nuconej pod nosem piosenki.

I nic, ale to nic z tych narad nie zostawało mu w głowie, ile by ich nie było.

Dlatego też dobry pan de León uczęszczał na nie, słuchał, kiwał głową razem z innymi, a potem pytał: a ja?

Bo pana de Leóna nie interesowała bitwa, nie interesował plan, nie interesowało wszystko inne. Ba! Nieszczerólnie interesował go nawet oddział, który mu powierzono do prowadzenia.

Pan de León nie był dowódcą.

Po nim nie należało się spodziewać, że w ferworze walki rozejrzy się, oceni sytuację taktyczną i wykrzyknie właściwy rozkaz.

Pan de León był – jak to określił niegdyś jego stryj, posiadacz dwóch kopalni, któremu zdarzyło się lata temu widzieć młodego, wówczas jeszcze nie „pana” de Leóna w bitce z kolegami – „głowicą fedrującą przodka”.

Pan de León nie był do końca pewien, co to oznaczało.

Nie miał też pewności, którego konkretnie przodka ani z jakiego powodu on, szanujący się, bogobojny chrześcijanin, miałby swojego własnego przodka, za stryja przeproszeniem, fedrować.

Niemniej bardzo mu się to spodobało i sam siebie tak zaczął określać.

„Głowica fedrująca przodka”.

Dlatego też, dostrzegłszy przed sobą pierwszego ze stojących na straży żołnierzy przeciwnika, pan de León obrócił się do swoich ludzi i zasyczał, kładąc palec na ustach:

– Ćśśś...!

Po czym dobył pałasza, wyprostował się na cały wzrost i ryknął ile sił w płucach:

– *Santiago y cierra, España!*

I rzucił się do boju.



Tymczasem zasapany, zziębnięty Hurtado wgramolił się na kilka ostatnich stopni piramidy, dosłownie wytoczył na platformę na jej szczycie.

Przebiegł jeszcze kilka chwiejnych kroków dzielących go od krytej strzechą świątyni, po czym wpadł w ciemne wejście i zacharczał:

– Panie admirale...! Atakują nas...!

– Co?! – Dowódca warty wstał gwałtownie od stołu, przewracając kubek z winem, które chlupnęło na podłogę.

– Atakują... – Hurtado aż urwał, zaskoczony, że sam słyszy własny głos i najwyraźniej słyszą go też wszyscy inni. Przełknął ślinę, odchrząknął, zachrypiał: – Atakują nas...

W przejściu do dalszej części piramidy pojawił się Narváez. Zwalisty, z kędzierzawą brodą i włosami w nieładzie, wydał się teraz Hurtadowi jeszcze większy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Że co?! – zadudnił tym swoim niskim, chropawym głosem niczym z podziemi.

– Cortés idzie, są już przy obozie... – zapiszczał Hurtado.

– Na Boga, mamy gości nieproszonych! – roześmiał się Narváez. – Pobudka, panowie! Dawać mój pancerz, ubierać się, zbroić... Ruszamy w bój! Do broni!

– Do broni! – zakrzyknął stojący zaraz przy nim pan Juan de Salcedo.

Chwycił ze stojaka hełm, dopiął sprzączki pancerza i wyskoczył na dwór, we wciąż padający deszcz. Podbiegł do krawędzi piramidy, złożył dłonie przy ustach i krzyknął:

– Do broni! Do broni, bo...!

I urwał, patrząc wprost w oczy Zahreda, podchodzącego na czele swoich ludzi już niemal na sam szczyt schodów.



– *Santiago y cierra, España!* – krzyknął pan de Pizarro, rzucając się wraz ze swoimi ludźmi ku stojącym na tarasie pod świątynią armatom.

Wiedział, że to głupota, bo ruszają wprost na skierowane ku nim gardziele luf.

Owszem, miał nadzieję, że arkebuzerzy nie zdążą rozpaść lontów i podsypać prochu.

Ale stojące pod daszkami armaty na pewno były cały czas nabite i przygotowane do strzału.

Zaś on już teraz widział, jak kołysze się i sypie iskrami co najmniej jeden lont na szpontonie.

I to dokładnie na wprost niego.

Rozżarzony punkcik zakołysał się, a potem gwałtownie bujnął w dół i opadł na zapalony armaty, spoglądającej prościusieńko w twarz panu de Pizarrowi.

Ten zacisnął tylko powieki i zdążył jeszcze pomyśleć, że w sumie to jedynym, czego w życiu żałuje, jest to, że nie skorzystał z okazji z tamtą dzierlatką w Estremadurze cztery lata temu.

Nie stało się nic.

Fala wrzeszczących, wymachujących bronią ludzi obmyła stojącego jak słup soli pana de Pizarra, wdarła się na podwyższenie tarasu i odepchnęła artylerzystów od dział.

Któraś armata, najdalsza po prawej, fuknęła głucho i plunęła iskrami źle dopalającego się, zamokniętego prochu, ale kula poniosła nazbyt wysoko, ze świstem mknąc ponad głowami atakujących.

De Pizarro stał tak jeszcze dłuższą chwilę.

Dopiero potem odważył się otworzyć oczy.

Spojrzał niedowierzająco w milczącą czarną gardziel armaty, która nie wystrzeliła.

Odsunął się krok, potem drugi na bok, żeby zejść z linii strzału.

Wspiął się na szaniec i jak gdyby nie zauważając całej wrzawy i chaosu szalejącego wokół starcia, podszedł do dział.

Nachylił się nad zapalem, przy którym nadal leżał sypiący iskrami szponton.

Ostrożnie dotknął gęstej, lekko oleistej mazi, która rozlana była wokół i gromadziła się wewnątrz otworu prowadzącego ku trzewiom wypchanej prochem komory.

Cokolwiek to było, temu właśnie zawdzięczał de Pizarro fakt, że miał jeszcze głowę, korpus i przytwierdzone do niego ręce i nogi.

Tylko dlatego iskra nie przeskoczyła z lontu i nie odpaliła ładunku.

Roztarł substancję pomiędzy palcami, powąchał.

– Wosk...? – mruknął, cokolwiek zdumiony.



– Z nami słońce! – ryknął Zahred, rzucając się na pana de Salceda.

Wpadł na niego, odtrącił na bok, nim ten zdążył zamachnąć się mieczem. Zdzielił płazem siekiery w łeb, aż pod tamtym ugięły się nogi, i pobiegł dalej, ku świątyni, z której już wysypywali się ludzie Narváeza.

Starł się z pierwszym lepszym, po prostu najbliższym.

Związał próbujące sięgnąć go ostrze przeciwnika, zaczepił brodą siekiery i byłby wyłuskał mu szpadę z rąk – ale w tym momencie ogarnęła go, popchnęła, pociągnęła ze sobą fala wrzeszczących, nacierających od strony schodów ludzi.

– Do broni! Alarm, atakują nas! – krzyčili żołnierze Narváeza.

Ich dowódca rzucał się niczym ranny tur, wywijając swoim wielkim obosiecznym pałaszem i nie pozwalając nikomu nawet zbliżyć się do siebie. Ktokolwiek zaryzykował, odskakiwał zaraz w tył albo padał pod gradem jego ciosów, nie mogąc nawet utrzymać zastawy.

– Na niego, pchaj! Bij zabij! – darli się pospołu Indianie i Kastylijczycy.

Bitwa rozsypała się na kilkanaście chaotycznych, wzajemnie niepowiązanych starć.

Część ludzi dała radę wydostać się ze świątyni i teraz atakujący bili się z obrońcami na górującej ponad miastem platformie, usiłując wzajem spychać się poza krawędź.

Zaalarmowani wrzawą, obozujący na dole uderzyli od tyłu na wciąż pokonujących schody.

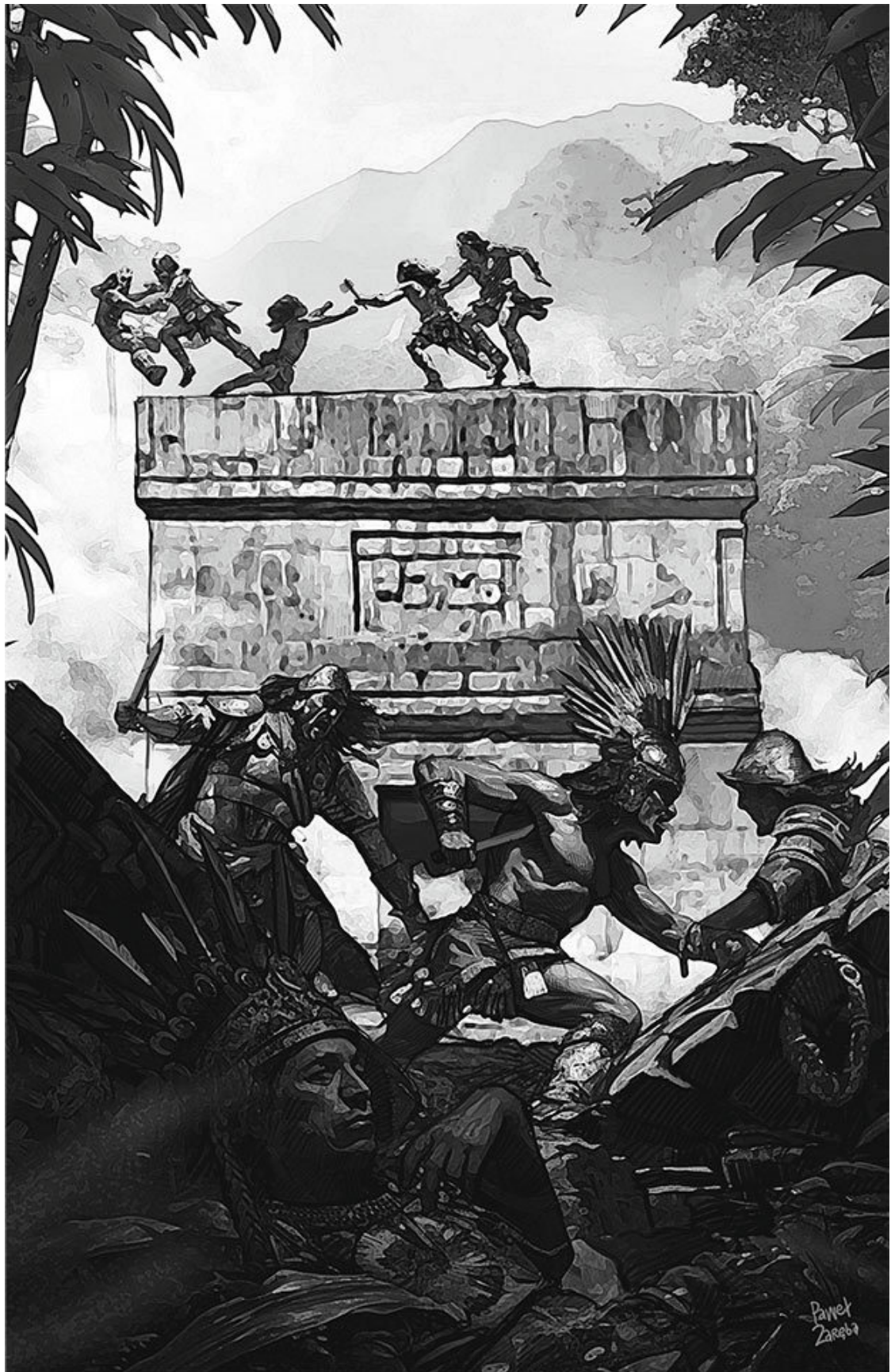
Równie zażarty, co kompletnie chaotyczny bój wrzał na całej wysokości i rozciągłości obozowiska.

Zahred zanurkował pomiędzy walczących. Zaczepił żelźcem o kostkę żołnierza i pociągnął do siebie z całej siły, a gdy ten upadł, z szerokiego zamachu trzasnął w głowę stojącego za nim. Brzęknął hełm, tamten osunął się ogłuszony, otwierając przejście do wewnętrznych pomieszczeń świątyni.

– Za mną, z nami słońce! – krzyknął Zahred, rzucając się w poczyniony wyłom.

Kolejny oddział napastników dotarł już do miejsca, gdzie obozowali kawalerzyści, i teraz wdał się z nimi w zacięty bój. Tamci pospiesznie próbowali dosiadać koni, ale ludzie de Ordaza już wcześniej popracowali przy nich, tnąc popręgi, więc teraz ludzie jeden po drugim lecieli z grzbietów rumaków prosto na błotnistą ziemię. Spłoszone konie rżały i wierzgały, tylko potęgując zamieszanie.

Broniący się na szczycie piramidy jednak byli krok po kroku, sukcesywnie spychani w tył.





Zaskoczenie niespodziewanym atakiem i brak natychmiastowego odporu dawały o sobie znać – część żołnierzy, śpiąca w pozornie bezpiecznej kwaterze, dołączyła do starcia zbyt późno.

Walka przeniosła się do wewnętrznych pomieszczeń świątyni. Ludzie bili się po ciemku, na oślep, rąbiąc i kłując gdzie i jak popadnie.

U stóp piramidy huknęła głucho i plunęła iskrami armata, na ułamek sekundy rozświetlając noc pomarańczowym blaskiem, w którym dało się dostrzec kotłujących się, przewalających i przemieszanych uczestników starcia.

I właśnie ten moment wykorzystał Juanito.

Już dłuższą chwilę czał się ze swoją halabardą za plecami Gutiérreza i Valverdego, a teraz, widząc dogodną okazję, pchnął drzewcem z całej siły, oburącz uderzając ponad głowami towarzyszy.

– Aaa, moje oko...! – zadudnił w ciasnym wnętrzu przerażony ryk Narváeza. – Najświętsza Panienko, ratuj! Zabili mnie na śmierć, wyłupili mi oko...!

– Narváez nie żyje! – krzyknął Zahred.

– Admirał padł! Admirał Narváez zabity! – od razu poniosły się po świątyni trwożliwe okrzyki.

– Poddajcie się, psy, bo jak nie, to spalimy was tu żywcem! – wrzasnął Rodrigo, który od razu, jak tylko zobaczył słomianą strzechę na przybytku, zaczął krzesać ogień i teraz dmuchał na rozpalającą się żagiew. Nie czekając nawet na odpowiedź i nie przejmując się, czy ktokolwiek go usłyszał, wetknął pochodnię pomiędzy wiązki trzcin.

Ogień od razu strzelił radośnie, przeskoczył dalej i zatrzeszczał wesoło, pnąc się po drewnianej konstrukcji

stropu. Wnętrze błyskawicznie zapełniło się dymem, ścielącym się nisko w wilgotnym powietrzu.

– Uwaga, trzymać ich tam w środku! Wykurzimy psubratów...!

– Pali się, dowódca nie żyje! Pali się...! – krzyczeli ludzie, którym iskry zaczęły lecieć na głowy.

– Poddajcie się! – zawołał Zahred do stłoczonych w ciemnym wnętrzu.

– Medyka! – rozległ się głos Narváeza. – Medyka, na Boga Jedynego...! Umieram tutaj...!

– Idź do diabła, kurwi synu! – odkrzyknął mu de Monroy.

– Pieczyste z was zrobimy, zdrajcy bez honoru i rozumu!

– Napierdalać ich! Napierdalać z pieśnią na ustach...!

– *Xiutla monan, palnakayo!* – zawołał Xicotencatl, zaś widząc pytający wzrok Zahreda, wyjaśnił: – Xicotencatl powiedział, żeby biały wódz o gnijącym ciele poszedł spółkować z własną matką.

– Ach... No cóż, pewne rzeczy są uniwersalne... To jak, poddajecie się?!

– Poddajemy, na Boga! Jesteśmy na waszej łasce!

Brzęknęła rzucona na ziemię broń, pomiędzy kłębow dymu wytoczył się, kaszląc i charcząc, pierwszy z ludzi Narváeza, za nim drugi, kolejny... W końcu i sam dowódca, z ręką przyciśniętą do krwawiącego oczodołu, wyłonił się z płonącej świątyni.

– Litości... – zajęczał, łypiąc przerażonym spojrzeniem jednego oka.

– Zwycięstwo! – krzyknął Zahred. – Narváez ujęty... Zwycięstwo, z nami słońce!

– Z nami słońce!

Po raz kolejny fuknęła armata, chwilę potem kula gruchnęła w kamienny mur: to własne działa Narváeza, teraz

przejęte przez pana de Pizarra i odszpunktowane, ostrzeliwały resztkę obrońców pod wodzą Diega Velázquez, stawiających desperacki opór w jednej z pomniejszych świątyń.

Nad Cempoalanem powoli, nieśmiało zaczynał wstawać blady świt.

Bitwa była wygrana.



– ...i dlatego też nalegam, dobrzy panowie, żebyśmy puścili w niepamięć przeszłe spory i niepotrzebne swary. Oto jesteśmy tutaj wszyscy razem, pod jednym niebem, jako poddani tego samego króla i ludzie jednej wiary! Czyż nie jest słusznym, abyśmy zamiast stawać przeciwko sobie, raczej walczyli ramię w ramię?!

Kapitanowie Narváeza pokiwali głowami, stojący za nimi żołnierze zamruczeli twierdząco: a jakże, no pewnie, że lepiej!

Szczególnie że teraz, odarci z pancerzy i pozbawieni broni, myśleli mocno inaczej niż jeszcze poprzedniego wieczora.

A tym bardziej że teraz siedzący przed nimi w narzuconej na pancerz pomarańczowo-złocistej szacie jego miłościwy pan admirał caudillo Cortés jawił im się zgoła odmiennie niż ten, którego sami pogardliwie dopiero co przezywali „Cortésuńciem”.

Teraz rozmawiał z nimi nie karykaturalny, małosłowny awanturnik, ale wódz z krwi i kości.

Ten, co podobno osobiście wdrapał się na szczyt piramidy i rębajłę Narváeza w walce wręcz położył!

– Musisz waść uważać za rzecz wielką, kapitanie Cortés, że mnie pokonałeś i uwięziłeś – burknął z przekąsem Narváez,

stojący nieco z boku od siedziska caudilla, jak gdyby czytając myśli swoich ludzi.

Zakuty w założone na ręce i nogi kajdany, w porwanym, rozchełstany dublecie, z zakrwawioną przepaską zasłaniającą wylupione oko, poparzony i pokryty sadzą, wyglądał teraz jak ucieleśnienie wszystkiego złego, co przytrafiło się jego ekspedycji.

Cortés spojrzał na niego, skrzywił się w kwaśnym uśmiechu i potrząsnął głową.

– Bynajmniej – rzucił od niechcienia. – Zwycięstwo nasze, kapitanie, było dziełem Boga i rąk wielu dzielnych ludzi, którzy walczą pod moimi rozkazami z własnej woli. Zaś co do ujęcia was... Uwierzcie mi, że ani sama bitwa, ani jej przebieg nie były dla nas niczym szczególnym. Rzekłbym wręcz, że to jeden z mniej znaczących czynów, jakich dokonaliśmy tutaj, w Nowym Świecie.

Narváez łypnął na Cortésa, mocno chyba zdumiony taką repliką, ale nie powiedział już nic więcej.

– Dalibóg, nawet Rzymianie nigdy nie dokazali podobnej sztuki! – bąknął pod nosem czarnoskóry karzeł Guidela, trzymany przez Narváeza jako błazen.

– Dołączcie do mnie! – zawołał Cortés, udając, że nie słyszał tego ostatniego docinka. – Pod moim sztandarem znajdziecie chwałę, zaszczyty i bogactwa! Mało kto z was po powrocie do domu nie zostanie hrabią, diukiem czy baronem... A ja wypłacę wam żołd za ubiegły miesiąc, tak jakbyście już byli moimi ludźmi! Pójdziecie za mną...?!

Ludzie wrzasnęli radośnie, podnosząc w górę ręce.

Cortés skinął głową siedzącym już w gotowości przy stołach pisarzom z listami proskrypcyjnymi: do roboty, zapisujcie każdego, kto tylko podejdzie!

Sam zaś spojrział na swoich kapitanów i ruszył w kierunku odebranego Narváezowi namiotu, aby tam szybko naradzić się co do dalszych działań.

Gdy zgromadzili się już wszyscy, a młody de Coria pomógł caudillovi wyzwolić się z pancerza, ten potoczył po nich wzrokiem:

– No, panowie? Moje gratulacje, sprawnie nam poszło! Mówcie jednak: jakie mamy straty?

– Dwóch ludzi – zameldował Pizarro.

– Dwóch?! Raczycie żartować...

– Nie śmiałym, panie.

– Nie no, panowie, nie do wiary! To jest niczym fragment z powieści o Aleksandrze! – zaśmiał się caudillo.

– Wasza miłość aż nazbyt skrzętnie naśladuje Macedończyka... – De Ávila uśmiechnął się kwaśno.

– Co konkretnie macie na myśli?

– Żołd dla ludzi Narváeza? Hojność bez granic, panie. Aleksander też największymi łaskami otaczał tych, których właśnie pokonał. Szkoda tylko, że zdarzało mu się zapominać o tych, co maszerują u jego boku od samego początku...

– Nikt nikogo do niczego nie zmusza, panie – odparł szorstko Cortés. – Ci, co nie chcą iść ze mną, mogą wrócić do domu. Kastylijskie kobiety wychowają nowych żołnierzy na zmianę starym.

Kapitanowie spojrzeli po sobie zdumieni.

– Rzeczywiście, szybko zapominać o starych przyjaciółach, gdy tylko nowi się w kolejkę ustawiają... – mruknął de Ordaz.

– Ja nie to na myśli miałem przecież! Nie łapcie mnie za słówka... Panowie, panowie...! – Cortés podniósł ręce, jak to zawsze czynił, chcąc zmienić temat. – Pokonaliśmy Narváeza. Teraz trzeba jak najszybciej wcielić jego ludzi do naszej armii.

Sytuacja, jak widzicie, jest dynamiczna... Zresztą, muszę wam się przyznać, że popełniłem błąd. – Spojrzał na nich spode łba.

Unieśli brwi, zaskoczeni jeszcze bardziej. Cortés chcący ich przeprosić? Nie do wiary...

– Chodziło mi o to, panie, że nie żołnierzy nam teraz więcej potrzeba, tylko dowódców i rządzących – odezwał się pojednawczo de Ávila.

Cortés spojrział na niego, zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Co? Ach, wy nadal o tym... Błąd taki, panowie, że nazwałem naszego króla, no właśnie: „królem”. Tymczasem powiedzieli mi panowie notariusze od Narváeza, że w międzyczasie Karol wybrany został na cesarza Świętego Imperium... Tak więc, panowie, nie mamy już nad sobą Jego Wysokości, tylko Jego Cesarską Mość!

– Rzeczywiście, zmienia to naszą sytuację diametralnie – odparł de Ávila z ironią. – Przekażę tę wyborną wieść naszym ludziom. Na pewno uznają to za stosowną rekompensatę dla różnicy w żołdzie...

– Do diabła, czego wy jeszcze chcecie ode mnie?! – wściekł się caudillo. – Co waszym zdaniem powinienem z ludźmi Narváeza zrobić?! Mam kazać ich wszystkich powiesić?!

– Niech jego oficerowie idą do Tenochtitlán piechotą – odezwał się Zahred.

Cortés spojrział na niego zaskoczony.

– Piechotą?

– Dokładnie tak. Oddzielić ich od żołnierzy, posłać osobno pod strażą, żeby nie siali niepotrzebnego fermentu. A ich konie dać naszym. Niech poczują i zobaczą, że jednak tamtych pokonali i coś z tego mają.

– Żołnierze od Narváeza niech za naszych tragarzy robią! – zaśmiał się de Ordaz. – Słyszałem, że ich Totonakowie słabują

coś od tej pogody... Biada pokonanym! Niech teraz nie tylko swoje, ale i nasze rzeczy niosą!

Kapitanowie zamruczeli, pokiwali głowami: a jużci! Niech chociaż poczują ich niedawni wrogowie, że przegrali.

Zahred przemilczał tę ostatnią uwagę, podjął przerwana wtrąceniem de Ordaza myśl:

– Tak więc konie sugeruję naszym dać. Zapasy żywności rozparcelować po równo między poszczególne kompanie.

Caudillo skinął krótko głową.

– Przednia myśl, kapitanie. Narváez zostanie tu, w Vera Cruz, jako jeniec. Niech mu do głowy nie przyjdzie próbować kogokolwiek przeciwko nam podburzać!

– Dokładnie tak. I tak myślę sobie, że jest jeszcze nieopodal to miasto Narváeza, które zaczęli budować... Warto będzie je przerobić na budulec.

– Zbu-bu-burzyć? – zdumiał się de León.

– Rozebrać raczej i wykorzystać u nas. Tak samo osadników przenieść do Vera Cruz. Zresztą, panowie: mamy teraz ponad tuzin okrętów! Można będzie w końcu wrócić do domu!

Dom.

Uśmiechnęli się wszyscy jak na zawołanie: no tak, do domu! Do rodzin, do krewnych, znajomych miejsc... W końcu! Po tylu miesiącach tułaczki, tylu trudach, wyrzeczeniach. Skoro już pokonali chyba wszystkich, kto tylko mógł przeciwko nim wystąpić, w końcu im się to należało!

Jednak Cortés pozostał skupiony, wręcz mroczny, jak gdyby perspektywa wracania gdziekolwiek nie była mu wcale miła.

– Okręty wyciągniemy na brzeg, zdejmujemy z nich takielunek i wszystko, co może się przydać – zarządził, po czym wskazał na de Leóna i de Ordaza. – Wy, panowie, weźmiecie każdy po setce z nowych ludzi od Narváeza i wyruszyście

z powrotem na wasze tereny, z których was tutaj ściągnąłem. Zasiedlajcie, kolonizujcie, czyńcie tę ziemię nam poddaną.

– Ale... mieliśmy przecież wracać? – De Ávila rozłożył ręce, zupełnie skonfundowany.

Cortés nachylił się ku niemu.

– Na razie wracamy do Tenochtitlán – syknął. – Ktoś jeszcze ma coś do powiedzenia? Nie? Zatem naradę skończyliśmy.

Wszyscy się rozeszli.

Caudillo oddalił się na tyły namiotu, żeby tam zażyć kąpieli.

W pustym teraz pomieszczeniu został tylko Zahred, który sięgnął do sakwy, pogmerał w niej chwilę i wyciągnął niewielką sakiewkę. Rozwinął, wytrząsnął na dłoń koralik.

Ten, który zabrał z naszyjnika swojego niedoszłego zabójcy w łaźni parowej.

Dokładnie taki sam, jaki właśnie zobaczył przez rozchełstaną koszulę na szyi Cortésa.



Był już wieczór, wokół Cempoalanu płonęły ogniska.

Dwie jeszcze niedawno wraże armie siedziały teraz ramie w ramie, wymieniając się opowieściami. Jedni dzielili się winem, inni polewali *pulque*. Zwieziona z Hispanioli suszona wołowina, smalec ze skwarkami i biały pszenny chleb osiągały astronomiczne wręcz ceny w złocie, gdy pokonani zaczęli kapitalizować swoją porażkę.

Nieco z boku od nich wszystkich siedzieli w swoim obozowisku Tlaxcaltekwie, usiłujący zrozumieć, co w ogóle się wydarzyło.



– Niech Xicotencatl jeszcze raz powie: jaka to była wojna, skoro nie Kwietna? – Mecatli nadal nie rozumiał. – Czemu biali walczyli, ale się nie zabijali?

– ...bo Cortés i Narváez są teraz przyjaciółmi – bąknął młody wódz, sam nie do końca przekonany.

– Ale nie byli nimi wcześniej! Dlaczego więc Cortés nie wyjął z piersi Narváeza jego Gwiazdy dla bogów?!

– Biały wódz Cortés nie lubi ofiar – upomniał go Maxixcatzin.

– Dlaczego więc nie zabił go po prostu, jak to się czyni z wrogami?

Xicotencatl zasępił się, czując, że jego pozycja jako eksperta od sprawek białych ludzi zaczyna być zagrożona.

Sam przecież nie do końca rozumiał, co się w ogóle wydarzyło!

Mało tego: nie rozumiał nawet stosunków jego brata Xahuatla z samym Cortésem.

A teraz miał tłumaczyć innym to, co myślał Cortés?

W końcu pstryknął palcami, wyprostował się.

– Narváez był wrogiem Cortésa, zanim Cortés go pokonał. Kiedy Cortés już pokonał Narváeza, ten stał się jego przyjacielem! – wypalił.

– To bez sensu! – Maxixcatzin rozłożył ręce.

– Tak – odezwał się po raz pierwszy tego wieczora Maxcatl z Otomi.

– Ale tak samo było z Tlaxcaltekami! – zakończył swój krótki wywód Xicotencatl, tocząc po wodzach tryumfującym wzrokiem.

Ci stropili się wyraźnie.

No tak, faktycznie... To znaczyło, że ich zachowanie było pozbawione sensu? Czy że jednak w tym, co czynił Cortés, tkwił jakiś ukryty zamysł...?

– Ale... – Mecatli miał już zapytać o coś, ale urwał, widząc podchodzącego ku ognisku człowieka.

Spojrzeli wszyscy na białego, który stanął niepewnie w kręgu światła.

On też popatrzył po nich, cokolwiek speszony. Poruszał palcami u bosych stóp. Odchrząknął.

– Pochwalony... – odezwał się Rodrigo, po czym przykucnął pomiędzy dwiema kłodami, na których grzali się przy ogniu wodzowie.

Przez długą, naprawdę długą chwilę panowała bardzo niezręczna cisza.

Tlaxcaltekwie zerkali jeden na drugiego, robiąc zdumione miny.

Rodrigo milczał, wystawiając ręce do ognia i też popatrując na nich z ukosa.

– Ten biały ma we włosach pióro – odezwał się w końcu półgębkiem Maxixcatzin.

– Aha... I założoną tył na przód opończę – dodał Xicotencatl.

– Może upił się *pulque*? – wyraził przypuszczenie Mecatli, po czym zwrócił się do Rodriga: – Czy biały upił się *pulque*? Czy będzie się teraz zachowywał jak niemądre dziecko, a potem przewróci się twarzą w ognisko?

Wodzowie parsknęli nerwowym śmiechem.

Z lekkim opóźnieniem zaraz po nich zaśmiał się też nieszczercze Rodrigo, pokiwał głową i przyłożył dłoń do serca.

– Upił się – zawyrokował Mectli.

– Nie jest pijany. Xicotencatl widział pijanych białych. To ten, którego leczył w Tenochtitlán *tlantonaniztli*.

– Może choroba z zęba przeszła na mózg? – zapytał Maxixcatzin fachowo. – Ząb był u góry czy u dołu?

Xicotencatl zastanowił się chwilę.

– U dołu.

– A nie, to na brzuch by przeszło.

– Psi... Psidaciel – odezwał się nagle Rodrigo, niezgrabnie wymawiając zgłoski nosowego języka *nahuatl*, znów kładąc dłoń na sercu. – Rodrigo psidaciel.

Rozmowy znów ucichły, wodzowie spojrzeli na niego.

– Dlaczego biały człowiek chce dawać wodzom psy? – zdumiał się Mecatli.

– Nie, to nie to... – Xicotencatl pokręcił głową. – On mówi co innego... Przyjaciel?

Spojrzał na Rodriga, ten ożywił się:

– Psidaciel! – powtórzył.

– Przyjaciel.

– ...psijaciel – powiedział z naciskiem.

– Przy. Przy. Przyjaciel.

– ...pszyjaciel.

– Przyjaciel.

– Przyjaciel.

– Xicotencatl przyjaciel Rodrigo?

– Rodrigo... psijadziel... Chitotentlatl – wydukał arkebuzer i uśmiechnął się szeroko.

Xicotencatl z pełną powagą położył dłoń na sercu i posunął się, robiąc mu miejsce obok siebie.

Rodrigo przełknął ślinę, usiadł półdupkiem na kłodzie.

Przy ognisku znów zapadło milczenie. Światło płomieni rzucało chybotliwe odbłaski na kilka bardzo zdziwionych, jedną pobłażliwie wyrozumiałą i jedną dziecinnie zadowoloną twarz.

Siedzieli tak długą, długą chwilę bez ani jednego słowa.

Aż dało się słyszeć kroki i w kręgu światła pojawił się Zahred.

– Xahuatl wita wodzów... I wita też Rodriga. Co tu robicie, żołnierzu?

– Ja, panie kapitanie... – spieszył się arkebuzer.  
– Nieważne zresztą, nie przejmujcie się. Niech Xicotencatl odejdzie od ognia, Xahuatl chce porozmawiać ze swoim bratem.  
Tlaxcaltek bez słowa wstał, we dwóch odeszli w noc.



– O czym chce rozmawiać Xahuatl? Bo ma minę, jakby znów chciał wbić sobie krzemienisty nóż w serce... Jak może mu pomóc jego brat?

Zahred przeszedł się kawałek w jedną, w drugą stronę. Przegarnął włosy w tył, zakrył twarz dłońmi. Spojrzał na Xicotencatla przez palce.

– Ta, Która Potrzęsa Kośćmi! – rzucił.

Xicotencatl rozejrzał się trwożliwie, dotknął trzymanego w sakiewce amuletu ochronnego.

– Dlaczego Xahuatl wzywa jej imienia nocą? – szepnął, zbliżając się do towarzysza. – Ona wszystko słyszy, wszystko widzi. Sączy jad w umysły śpiących. Zmusza ich do robienia złych rzeczy.

– Kim ona jest? Skąd się wzięła? Czego chce?

– Dlaczego Xahuatl pyta o takie rzeczy Xicotencatla? Dlaczego nocą? – zajęczał młody wódz. – Xicotencatl nie jest czarownikiem, nie zna się na sprawkach bogów!

– Bo tylko jemu Xahuatl ufa! Xahuatl musi to wiedzieć, musi to wiedzieć teraz!

– Nocny Motyl o Kształcie Noża. Ta, Która Potrzęsa Kośćmi... To ona rządzi mroczną, szarą krainą Tamoanchan, gdzie mieszkają dzieci, które zmarły przy porodzie. To z ich kości bogowie ulepili pierwszych ludzi. Nie mówi się o niej

nocą, bo przylatuje na skrzydłach bezgłośnie niczym śmierć...! – Xicotencatl był bliski płaczu.

Zahred sięgnął do sakwy, wyciągnął złoty paciorek.

– Kształt Noża... – powtórzył. – Noże robione są z obsydianu. Czy zwą ją też Obsydianowym Motylem? Jak ona ma na imię?!

Xicotencatl potrząsnął głową, zasłaniając usta dłońmi.

Zahred zawarczał, doskoczył do niego, siłą oderwał jego rękę od twarzy.

– Jak...?!

– Ītzpāpālōtl... – jęknął Tlaxcaltek, osuwając się na kolana i uderzając czołem o ziemię.

Kiedy odważył się podnieść wzrok, Zahreda już nie było.



– Hernán, zagraj ze mną w kości.

Cortés spojrział na stojącego w wejściu do jego namiotu Zahreda, parsknął śmiechem.

– Teraz? Na Boga, jest prawie północ...!

– Nie mogę spać – rzucił wesoło Zahred, zasuważąc za sobą płachtę. – A że ludzie się bawią, to pograłem trochę z nimi i jakoś tak mnie naszło. Poza tym i tak sam nie śpisz. Co tam znów skrobiesz?

– Listy! – Cortés pokazał na leżące na blacie stołu papiery. – Przecież skoro statki mamy, to trzeba i do króla napisać... to jest do cesarza – poprawił się. – I na Kubę, temu durniowi Velázquezowi za ludzi podziękować.

– Przyda ci się zatem trochę odpoczynku. No...? Nie daj się prosić.

Caudillo westchnął, przewrócił oczami, ale zwinął papiery, zatkał kałamarz i odsunął wszystko na bok.

– Siadaj! – zaprosił ruchem ręki. – O co?

– O złoto najpierw, a potem... Potem zobaczymy. Ja stawiam to.

Zahred położył na stole kilka monet. Cortés też sięgnął do skrzyni, ułożył obok siebie stosik gotówki.

– Zaczynaj. – Przesunął kości ku towarzyszowi.



– Ależ ty masz dziś passę! – sapnął caudillo, zakładając ręce za głowę. – I z czego ja teraz zapłacę ludziom żołąd?

– Odegrasz się, Hernán.

– Przyjmujesz kredyt kupiecki? – Cortés uśmiechnął się chytrze. – Oddam, jak tylko dojdziemy do Tenochtitlán.

– Montezuma stawia, co? Nie, nic z tego. – Zahred pokręcił głową. – Tylko to, co w zasięgu ręki, albo ruchomości i nieruchomości. Ale ja widzę, że złota ci nie brak.

– Większość po twojej stronie!

– Masz jeszcze to...

Pokazał ręką na wisior na szyi Cortésa. Caudillo odruchowo dotknął go, spoważniał.

– Nie.

– Jak to „nie”? No dawaj, Hernán... Ja za pierwszym razem z tobą przegrałem pierścień od samego sułtana!

– Klituś-bajduś, Zahred. Nie, o to nie zagram. To prezent.

– Od niej? – Zahred uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Wiesz, jakie są kobiety, przyjacielu. Od razu będzie gadane: a gdzie masz, a dlaczego, a czemu mnie już nie

kochasz... – Cortés sapnął, przewrócił oczami. – Niewarta skórka wyprawki!

– No tak, taki problem sobie na głowę wzięłeś... A może chcesz się go pozbyć?

– Co?

Zahred nachylił się ku niemu przez stół, oparł łokciami o blat.

– Zagraj ze mną o nią, Hernán. Zagrajmy o Malintzin.

– Co...? To przecież niedorzeczne, Zahred! – zaśmiał się Cortés. – Ona nie jest rzeczą!

– Nie? No patrz, a przecież tak się właśnie zaczynało, żeśmy o nią w kości grali... Ale dobrze, zgadzam się: Malintzin nie jest rzeczą.

– Doña Marina. Tak brzmi jej imię.

– Tak, oczywiście. Zapominam ciągle. Ale zagrajmy o nią i tak, Hernán. Jeśli będzie chciała do mnie pójść, to pójdzie. A jeśli nie... – Zahred rozłożył ręce. – Twój zysk.

– To nieuczciwe. Nic na tym nie zyskujesz.

– Mylisz się, Hernán. Chcę się czegoś dowiedzieć, a wiedza to skarb... To jak? – Zahred uśmiechnął się, przegarnął leżące na stole monety i lekką ręką zsunął sporą ich część na środek stołu. – Zagramy?

Cortés oblizwał usta, wrzucił kości do kubka.

Zakrył dłonią, potrząsnął energicznie, przekreślił i postawił na stole.

Odsłonił wynik.

Szóstka i jedynka.

Zahred, patrząc mu prosto w oczy, zgarnął kości, potrząsnął nimi w dłoni i rzucił.

Potoczyły się, grzechocząc, po blacie stołu.

Odbiły od leżącej księgi.

Na jednej wypadła piątka.

Druga zatańczyła na krawędzi, przechyliła się, już mając pokazać trójkę – ale przeturlała się kawałek dalej.

Wylądowała ku górze ścianką z jednym, samotnym oczkiem.

– Ha! – Cortés wyciągnął ręce, zgarnął monety ku sobie. – Ależ czysty fart! Mówiłem ci, że...

Urwał, kiedy Zahred przesunął na stół trzecią część złota.

Cortés bez słowa zgarnął kości, zamieszał w kubku i rzucił: dwie czwórki.

Zahred podniósł je, obejrzał uważnie. Zważył w ręku. Ułożył na dłoni, potoczył po stole.

Trójka.

A na drugiej, która zatańczyła na krawędzi, dwójka.

– Do trzech razy sztuka. Wchodzę wszystkim – powiedział Zahred głuchym głosem, jednocześnie ramieniem przesuwał całe złoto na środek.

– Zahred, nie. To głupota, przyjacielu, a ty jesteś jakiś nieswój. Skończmy na dziś, bo...

– Graj! – warknął Zahred.

Cortés westchnął, nie patrząc nawet, zgarnął i rzucił kości.

Wypadła dwójka i jedynka.

Zahred zawahał się.

Powoli wziął ze stołu jedną, potem drugą kość.

Ułożył na dłoni, zakręcił.

– Ujrzyjcie mnie... – szepnął, a potem rzucił.

Kości potoczyły się, poturlały po blacie, podskoczyły na łączeniu desek, uderzyły o siebie i w końcu zamarły nieruchomo.

– Zahred, to bez sensu. Nie chcę cię... – zaczął Cortés.

Ale tamten już wstał, odwrócił się bez słowa i wyszedł z namiotu.



Na stole zostały kości, na których niczym czarne oczodoły w białej czaszce widniały dwie jedyńki.



Księżyc dawno już wstał nad Cempoalanem, patrząc na spokojny, pogrążony w zasłużonym śnie obóz.

Gwiazdy przesunęły się na niebie, zbladły, po czym zaczęły gasnąć.

Niebo na wschodzie powoli barwiło się bladą szarością, na tle której widać było ledwie dostrzegalny pasek różu – pierwszy zwiastun jutrzeńki.

Zawinięty w opończę Zahred siedział na szczycie schodów piramidy, na samym skraju platformy świątynnej, i patrzył na to wszystko zmęczonymi, przekrwionymi oczami.

Kefren spał obok niego, posapując z cicha i przebierając łapami, zapewne wciąż przeżywając zrozumiałe tylko dla psa emocje i myśli pozostałe z niedawnej bitwy.

Zahred zaś nie był już nawet pewien ani tego, co myślał, ani o czym.

Wszystko w jego głowie splatało się, kłębiło, przelewało i przepływało jedno w drugie, hucząc i dudniąc jakimś pierwotnym chaosem... I tylko jego ciało, mimo że coraz mocniej odczuwające dotkliwy, kłujący chłód przedświtu, pozostawało zupełnie nieruchome.

To wszystko nie miało sensu.

Cała ta sytuacja, ta wyprawa, te rzezie, okrucieństwa, bezprzykładna brutalność... Nie składały się w spójną całość.

Przynajmniej tak długo, jak nie było w tym tego jednego elementu.

I to właśnie ten ostatni brakujący fragment układanki nie chciał mu się nijak w tym ułożyć.

Wiedział, że to jest właśnie to. To coś, czego brakowało, co go niepokoiło, nie dawało mu spokoju od samego początku.

Natomiast z drugiej strony jego umysł, wiekami ćwiczony w sztuce logicznego myślenia, odrzucał w ogóle taką możliwość.

Ścisnął głowę dłońmi, czując, jak pulsują mu skronie.

To nie mogło być prawdą.

A jednak było.

Wiedział, że powinien coś z tym zrobić. Zerwać się, wstać, biec... Ostrzec tamtych, którzy zostali w mieście.

Powinien BYŁ coś z tym zrobić.

Posłuchać Xicotencatla, który od początku właśnie to doradzał. Którego dusza, nie przyćmiona jeszcze przez nadmiernie rozbudowany intelekt, zupełnie podświadomie wyczuła ukrytą prawdę.

Zadziałać w taki sposób, jak podpowiadał mu instynkt.

Doprowadzić do końca to, na co niemalże odważył się tam, w cuchnącej śmiercią i pożarem Choluli.

Pozwolić samemu sobie – być znów sobą.

Tak, wiedział to wszystko.

Jednak jego ciało, niczym sparaliżowane tym dysonansem poznawczym, odmawiało współpracy.

Poruszał tylko oczami, rozbieganymi niczym dwa uwięzione w klatce jego umysłu ptaki myśli.

I teraz jego oczy powoli przesuwwały się, śledząc pędzącego o świcie ku śpiącemu obozowisku gońca na spienionym koniu. Człowiek dopadł do straży, zahamował ostro... Wartownik pokazał mu kierunek ręką, tamten spiął konia i pogalopował dalej.

Zatrzymał się, zeskoczył przed namiotem Cortésa i niemalże upadł, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Przepchnął się pomiędzy strażnikami i od razu, jeszcze nie wszedłszy do środka, zawołał tak, że echo słów doniosło się aż ku szczytowi świątyni:

– Panie, nieszczęście w Tenochtitlán! Mexikowie wszczęli powstanie, uderzyli na naszych... Miasto ogarnięte walkami, garnizon płonie!

Zahred nawet nie drgnął, kiedy z ciemnego, wypalonego wnętrza zdobytej świątyni za jego plecami wynurzył się i trzepocząc wielkimi skrzydłami, niemalże muskając jego skroń, przeleciał obok niego wielki brązowo-czarny motyl.



## Rozdział 11

*Miesiąc wcześniej w Tenochtitlán – 7 maja 1520*

**D**okąd to wybiera się Cuetzpatli w ten piękny poranek? Może potrzebuje, żeby ktoś jej pomógł?

Idąca z trzciniowym koszem na głowie dziewczyna obróciła się, nawet się nie zatrzymując, pomachała sprzedawcy.

– Niech Teuihuani nawet nie zadaje sobie trudu! Cuetzpatli doskonale radzi sobie sama, nie potrzebuje pomocy z niczym! – odkrzyknęła radośnie, idąc tyłem przez targ.

– A może Cuetzpatli potrzebuje towarzystwa? – Tamten nie dawał za wygraną.

– Cuetzpatli ma swój kosz, ma swoje obowiązki za najlepszych przyjaciół!

– Nie wypada, żeby kobieta sama szła po ulicy!

– Cuetzpatli może i nawet musi chodzić sama, bo nie ma jeszcze męża, a za to masę obowiązków i sprawunków do załatwienia! Niech Teuihuaniego strzegą bogowie w ten piękny dzień, niech wielu klientów przyjdzie do jego kramu! – Raz jeszcze machnęła mu ręką.

– Jeśli nie ma męża, to może Teuihuani coś na to zaradzi...?!

Jednak Cuetzpatli zaśmiała się tylko perłście, okręciła na pięcie i nie zważając na nawoływania sprzedawcy, skręciła w boczną alejkę targowiska.

Jeden po drugim mijała stragany, rozłożone na ziemi płachty, kramy pełne klatek z trzepoczącym ptactwem, wiszących na kijach skór, pięknych mat splecionych z liści agawy, piętrzących się całymi hałdami owoców... Ale nie po to przyszła dzisiaj Cuetzpatli na targowisko, nie to było jej potrzebne.

Wreszcie zobaczyła z daleka to, czego szukała: unoszący się ku górze rozproszoną strugą dym, niosący ze sobą wyraźną woń wędzonki.

Oczywiście, wokoło stanowiska, gdzie czynił swą magię z żarem i liśćmi Tecolotl, zawsze był niemały tłum. Część klientów kupowała świeżo wyciągnięte spomiędzy warstw gałęzi i ziemi, gorące i cudownie pachnące ryby; inni patrzyli i jeszcze wahali się, czy zapłacić cokolwiek jednak wygórowaną cenę.

Natomiast Cuetzpatli tylko precisnęła się pomiędzy nimi, ściągnęła trzymany na głowie kosz i postawiła na ziemi, biorąc się pod boki.

– Cuetzpatli całuje ziemię u stóp dobrego Tecolotla! Cuetzpatli potrzebuje jego wędzonych ryb.

– Niech bogowie zachowają Cuetzpatli w zdrowiu. – Sprzedawca uśmiechnął się na jej widok. – Czyżby to znów

minęło siedem dni? Tecolotl ma wrażenie, jakby widział Cuetzpatli nie dalej jak dwa poranki temu!

– „Dni biegną szybko niczym zając pędzący przez łąkę pełną kwiatów” – odpowiedziała Cuetzpatli słowami jednego z poetów.

– Tak, to prawda... Ile zatem ryb potrzebuje Cuetzpatli?

– Wszystkie! Dziś jest ten dzień, kiedy biali jedzą tylko ryby i kukurydziane placki, więc Cuetzpatli biega po targu i znosi im wszystko, co tylko może! – zaśmiała się.

– I chce, aby biali najedli się tylko tym, co uwędził Tecolotl?  
– zdumiał się wędzarcz, przystępując już do rozgrzebywania misternej, piętrowo układanej konstrukcji wędzarni.

– A gdzie tam! Cuetzpatli była już u Tapayaxiego, kupiła wszystko, co tylko miał Chicomehuitl... – zaczęła wyliczać dziewczyna, podczas gdy dwaj pomocnicy już ładowali do jej kosza, warstwa po warstwie, ryby zawinięte w zielone liście. – Wzięła też sporo od Maquixiego.

– Maquixi to oszust, który łowi ryby wieczorem, a sprzedaje je dopiero rano – skrzywił się Tecolotl.

– Dokładnie! I dlatego teraz, kiedy biali najedli się prawie do syta, a ich ostatnie jedzenie nie było najlepsze, Cuetzpatli przychodzi do Tecolotla po najlepsze, najświeższe ryby!

– Ale... czemu teraz dopiero? – nie zrozumiał tamten.

Zarzuciła sobie kosz na głowę, przytrzymała jedną ręką.

– Bo teraz już wie, że biali nie zjedzą wszystkiego, a służba w pałacu Axayacatla też lubi wędzone ryby! Niech bogowie zachowają Tecolotla w zdrowiu! – zaśmiała się dziewczyna, podając mu wyciągnięty z pazuchy woreczek z nasionami kakaowca.

– I niech strzegą też Cuetzpatli! Niech nadchodzące święto Toxcatl przyniesie deszcz obfitości! – Handlarz pomachał jej na pożegnanie.

Dźwigając wyładowany rybami kosz, za którym ciągnęła się jakże apetyczna woń świeżego dymu, Cuetzpatli ruszyła w drogę powrotną ku pałacowi Axayacatla.

Minęła plac przed wielką świątynią, na którym cieśle kończyli ciosanie wielkich słupów, zaś rzemieślnicy pletli niekończące się zwoje girland, do których zaczepione zostaną świeżo zerwane, pachnące kwiaty.

Przeszła obok pomieszczeń u stóp piramidy, z których niosły się żalosne jęki i zawodzenie szykowanych na zaszczyt wielkiego dnia ofiar.

– To dla nas?! – zaczepił ją jeden z ludzi pracujących przy noszeniu drewna do kuchni, w których niedługo miał zapłonąć ogień. – Niech dziewczyna podzieli się z nami tym, co ma, a my podzielimy się z nią...!

– Cuetzpatli nie może, Cuetzpatli musi wykarmić białych gości! – zawołała radośnie, znikając w bramie do kompleksu pałacowego.

Gwar miasta i harmider przygotowań na ulicach został za nią, gdy zagłębiła się w istny labirynt dziedzińców, ogrodów, przestronnych komnat, przejść i zaułków tego istnego miasta w mieście.

Znała pałac, bo tu się wychowała; tu pracowała matka Cuetzpatli, jej matka przed nią i jeszcze jej matka, wcześniej, gdy sam Axayacatl dopiero objął władzę i zaczął rozbudowywać swoją rezydencję.

To był pałac Cuetzpatli, dom Cuetzpatli. I goście też byli gośćmi Cuetzpatli... W każdym razie tak lubiła o nich myśleć.

Bo teraz, odkąd wielki biały wódz Cortés wyjechał nagle z Tenochtitlán, to ona i tylko ona chadzała na targ po jedzenie. To ona też prała koszule i inne dziwne elementy ubrania, które nosili na sobie biali... A miała z tym pracy aż po same łokcie, bo

mimo że ich skóra była jasna, to strasznie brudziła tkaniny, które potem to właśnie Cuetzpatli szorowała na brzegu kanału.

Cuetzpatli nie do końca rozumiała, dlaczego inni nie chcieli jej pomagać. Przecież jeszcze nie tak dawno robili to samo w pięcioro: ona, młoda Maxquichi, zezowata Titemoc, a do tego jeszcze Tlätztli i Quimoxin. Pracowali jak należy, robili wszystko sprawnie.

Potem jednak Tlätztli i Quimoxin nagle powiedzieli, że oni nie będą usługiwać białym. Więc trzy dziewczyny same chadzały na targ, prały i suszyły ubrania gości i naprawiały ich posłania.

Ale matka zezowatej Titemoc powiedziała, że Titemoc nie będzie już pracować w pałacu Axayacatla.

Zaś przedwczoraj młoda Maxquichi po prostu nie przyszła rano, żeby pomóc z praniem.

Więc od dwóch dni Cuetzpatli sama zajmowała się gośćmi zza Wielkiej Wody.

– Wędzone ryby! – zawołała radośnie, stawiając kosz w rogu kuchni.



– Wiecie może, panowie, czemu nasz kapitan nie je z nami?  
– zagadnął pozostałych pan de Tapia.

Konkwistadorzy siedzący w sali ochrzczonej nieszczególnie kreatywnie jadalnią podnieśli głowy znad talerzy.

– Pewnie znów męczy się nad raportami dla caudilla – wyraził przypuszczenie Juan Díaz. – Siedział nad tym wczoraj do północy, sam mu więcej światła przynosiłem.



– Ach, te ciężkie obowiązki! – De Escobar zaśmiał się, kręcąc głową.

– Wy chyba nie macie na co narzekać, panie? – Díaz uniósł brew. – W końcu cały skarbiec macie dla siebie. Sam bym tak chciał...

– Oj, nie chcielibyście, uwierzcie mi. Każdemu się zdaje, że uszczknie tylko jedną, dwie sztabki, że nikt się potem nie doliczy... A ja wczoraj musiałem wśród ludzi przeszukanie zarządzić!

– I co, znalazło się wszystko? – zaciekawiał się de Tapia.

– A jak! Z naddatkiem nawet.

– Jak to?

– Ano normalnie. Zebrałem ich i mówię: zginęło złoto ze skarbcza. Ktokolwiek cokolwiek wziął, ma czas do wieczora, żeby odnieść z powrotem. Ja nie będę pytał, nie będę wnikał, nic. No i przynieśli więcej, niż brakowało...

– Czysty zysk! – prychnął Díaz.

– No, tylko że znaczy to ni mniej, ni więcej, a tyle, że kradną nawet lepiej, niż my próbujemy rachować. A przecież okazja czyni złodzieja...

– Mówicie, że wy o swoje skarby nie dbacie? – wtrącił się del Tienplo, ogryzający resztkę białego mięsa z rybich ości.

– Ja o swoje dbam, panie. Ale też nie mam zwyczaju łapać tam, gdzie nie ich miejsce... Czego o niektórych nie da się powiedzieć.

– Do czego pijecie, panie? – zirytował się nie wiedzieć czemu de Tapia.

– Ja? Do niczego, panie. – De Escobar podniósł rękę. – Ale pytaliście, czemu nasz kapitan, dobry pan de Alvarado, nasze słońce, nasz Tonatio, nie je z nami. Może ma gdzie indziej miłsze towarzystwo?



– Nie jesteście głodni, panie?

Siedzący ponuro przy stole de Alvarado łypnął ku doña Marinie, pokręcił głową.

– Nie. Śmierdzą mi te ryby, chyba zepsute nam dali... Ludzie w dużej sali też to jedzą?

– Tak jak i wszyscy, panie. Boicie się, że mogą chcieć nas otruć?

– ...otruć?

Doña Marina wzruszyła ramionami i zsunęła się z okna, na którym siedziała, patrząc na szykujące się do obchodów miasto. Delikatnie kołyszając biodrami, podeszła ku panu de Alvaradowi, stanęła za nim i kładąc mu dłonie na ramionach, nachyliła się i szepnęła wprost do ucha:

– Indianie to dzikusy... Nie wiadomo, czego się po nich spodziewać, ale niczego dobrego.

De Alvarado wzdrygnął się, obejrzał na nią.

Ona uśmiechnęła się tylko, po czym delikatnie musnęła jego usta wargami.

Sięgnął ręką, chcąc objąć Malintzin za kark i przyciągnąć ku sobie. Ona jednak wywinęła mu się, pokręciła głową.

– Nie teraz, panie. Jest środek dnia... Poczekaście do nocy.

– Nie chcę czekać – warknął de Alvarado, odsuwając od siebie talerz niczym krnąbrne dziecko.

– Wiem, panie. Jednak wszyscy musimy na coś czekać, być cierpliwi i odpowiednio mierzyć nasz czas. Całe Tenochtitlán czeka teraz na święto Toxcatl, na ceremonię poświęconą wielkiemu Panu Dymu i Luster, największemu spośród wielkich bogu Tezcatlipoce...

De Alvarado z hurgotem odsunął swoje krzesło od stołu, zostawiając niedojedzony piątkowy obiad. Podszedł do tego samego okna, w którym siedziała wcześniej doña Marina, i oparł się rękoma o parapet.

– Pogańskie zabobony. Nie rozumiem, po co caudillo na to w ogóle zezwolił?

– Hernán jest w głębi ducha przekonany, że Mexikowie to ludzie. Uważa wbrew samemu sobie, że należy im się pewna wyrozumiałość, a nawet szacunek. Że nie należy traktować ich zbyt surowo...

– Brednie! To nierozumne zwierzęta. Cokolwiek im się powie, zrobią bez szemrania. Dopóki mieliśmy przy sobie ich króla, nie było problemu... Niepotrzebnie go caudillo wypuścił!

– A wy, panie, postąpilibyście inaczej? Przecież sami przystaliście na jego prośbę, żeby zezwolić na te obchody.

– Miałem otwarcie sprzeciwić się temu, na co im wcześniej pozwoił Cortés? – warknął de Alvarado.

– Cortésa tu nie ma, panie. Teraz wy sprawujecie władzę, miasto należy do was... I wszystko, co w nim jest, też jest wasze.

– Ba! Gdyby to ode mnie zależało, to...

De Alvarado urwał, widząc, jak doña Marina pociąga za jeden ze sznurków, którymi związana była na ramionach jej powłóczyta szata.

Materiał spłynął na ziemię, zaś ona wyszła z niego i stanęła boso na kamiennej posadzce.

– To co wtedy, panie? – Przekrzywiła głowę na bok. – Co byście z tym miastem uczynili, wiedząc, że możecie bezkarnie zrobić... wszystko?

*8 maja 1520*

Najwyższy Montezuma padł na twarz i uderzył czołem o kamienną posadzkę.

Nie podnosząc nawet głowy, podczołgał się kawałek bliżej, tak aby kątem oka widzieć już palce stojącego przed nim młodego mężczyzny.

– O piękny, o wspaniały, o Utkany z Ciemności! Oto niegodny sługa bogów Montezuma przybywa ku tobie w prochu i nicości, całując ziemię u twoich stóp! – wyrzucił z siebie przepisową formułkę.

– Niech... niech jego oczy... – zająknął się młody człowiek drżącym z emocji głosem. – Niech jego oczy...

– Niech jego oczy ujrzą wspaniałość oblicza Tezcatlipoki... – podpowiedział szeptem stojący nieopodal kapłan.

– Niech jego oczy ujrzą wspaniałość oblicza Tezcatlipoki, niech jego wargi sławią wspaniałość Pana Dymu i Luster, niech jego uszy napelni dziękczynne wołanie mojego fletu! – dokończył tamten już bez problemów.

Montezuma powoli wstał z ziemi, pilnując, aby nadmiernie szybko nie podnieść oczu ku twarzy młodzieńca. Jego wzrok powoli prześliznął się po mocnych łydkach, równych kolanach, po silnie zarysowanych udach tamtego... Na chwilę zbłądził ku okolicom pępka i doskonale wyrzeźbionych linii brzucha, ale zaraz sunął wyżej, pomiędzy kształtne mięśnie klatki piersiowej.

Władca pomyślał jeszcze tylko, że w takiej piersi musi mieszkać zaiste potężna, piękna Gwiazda – a potem, ledwie rejestrując rysy twarzy skryte pod warstwami kolorowych malunków, spojrział w oczy Wybrańca Dymu i Luster.

Tak, był piękny. Silny, zwinny, doskonały w każdym fragmencie. I te oczy: jedno jasnoszare, drugie ciemnozielone.

Perfekcyjny.

– Najwyższy Montezuma patrzy na Prawdziwe Odbicie Pana w Lustrze, dym Jego Wiernego Wizerunku otula Montezumę. – Najwyższy król wznosił ręce, zadarł głowę ku górze. – Montezuma widzi, Montezuma mówi, Montezuma słyszy...!

Zaszeleściła podnoszona przez stojących po bokach kapłanów mata.

Montezuma stał nieporuszony, ze wzrokiem utkwionym w sklepieniu świątyni tak długo, aż usłyszał, jak dzieląca go od Wybrańca zasłona opada na ziemię.

Opuścił głowę: Wybraniec zniknął, wyprowadzony bocznym wyjściem ukrytym za posągami.

– Oto Huēi Tlahtoāni ujrzał, co było przeznaczone dla jego oczu! – obwieścił władca podniośle.

Na zewnątrz głucho zabrzmiał gong: raz, drugi, trzeci... Aż do szóstego uderzenia, po którym następowało siódme, urwane i wyciszone w połowie.

Montezuma ze świstem wypuścił powietrze i spojrzał w bok, ku patrzącemu nań wyczekująco Acamapichtlemu, zarządzającemu od roku przygotowaniem do święta Toxcatl.

– Jest doskonały – przyznał.

– Radość wypełnia serce Acamapichtlego! Czy najwyższy Montezuma naprawdę tak uważa?! – uradował się urzędnik.

– Montezuma powiedział to, co czuje jego serce – powtórzył król z nieskrywaną satysfakcją. – Montezuma teraz wie, że bogowie spoglądają na Tenochtitlán i wszystko, co się dzieje, dzieje się za ich sprawą.

– O Najwyższy! – Mistrz ceremonii aż upadł na twarz, oddał królowi pokłon. – Tenochtitlán nie widziało i nie zobaczy nigdy tak wielkiego święta!

Montezuma uśmiechnął się jeszcze, po czym rozłożył ręce, dając znak czekającym już w pogotowiu akolitom.

Ci doskoczyli do króla, wprawnymi ruchami ściągnęli z jego głowy ogromny, potwornie ciężki i niewygodny pióropusz, rozwiązali troki naramienników, zdjęli z jego pleców tkaną złotem szatę.

Odetchnął z ulgą, skinął jeszcze głową stojącym pod ścianą kapłanom i wyszedł na zewnątrz, na zalaną słońcem platformę przed świątynią.

– Najwyższy... – Czekający już tam Itzli oderwał się od ściany i skłonił nisko, zrównując się z idącym przez platformę królem.

– Czy najwyższy król doprawdy nie może spędzić nawet chwili sam na sam z bogami, aby władca Domu Szeptów nie prześladował go swoją natarczywą obecnością? – sapnął Montezuma, nawet nie zaszczycając Itzlego spojrzeniem.

– Itzli marzy o dniu, kiedy jego obecność stanie się dla najwyższego Montezumy tylko niepotrzebnym utrapieniem, a nie koniecznością. Póki co jednakże to nie bogowie, a ludzie zdają się być problemem Tenochtitlán i całego imperium Meksyków.

– Itzli bluźni.

– Niech zatem spotka go zasłużona kara od bogów, zaś Montezuma dzięki jego ofierze dożyje długich lat w bezpieczeństwie.

Montezuma zatrzymał się gwałtownie, pokazując ruchem ręki reszcie swego orszaku: idźcie już na dół!

Sam odszedł nieco w bok od schodów i stanął na krawędzi platformy, czekając, aż Itzli do niego dołączy.

U jego stóp leżało Tenochtitlán, lśniące bielą idealnie geometrycznych ulic i domów pośród rozlanego szeroko lazuru jeziora Texcoco, wokół którego wyrastały sięgającym ku samemu niebu chaosem postrzępione szczyty gór.

Miał to wszystko jak na dłoni: siatkę ulic, dzielące miasto na poszczególne dystrykty nitki kanałów, przerzucone ponad nimi mosty... W końcu groble spinające stolicę z suchym łądem.

„Niczym kropla rosy drżąca w pajęczynie”, zwykł mawiać o stolicy ojciec Montezumy.

A on sam, nieważne, jak wiele i intensywnie o tym myślał, nie potrafił znaleźć bardziej pasujących słów, aby je opisać.

– Najwyższy... – odezwał się Itzli, wyrывая władcę z zamyślenia.

– Tak, już! Czego znów chce od Montezumy nieubłagane namolny władca Domu Szeptów?

– Itzli chce przede wszystkim przekazać najwyższemu królowi, że armia białego wodza Cortésa dotarła bez przeszkód do Cempoalanu. Itzlemu stało się wiadomym, że obie strony wymieniają pomiędzy sobą posłańców.

– Może zatem nie dojdzie do bitwy... Oby bogowie wysłuchali modlitw Montezumy.

– Itzli wolałyby raczej, aby bogowie pokarali winnych, i to najlepiej przykładnie.

– Co z Xahuatlem? Czy wydobrzył po nieszczęściu?

– Ten, którego zowią Xahuatl... – Itzli odchrząknął. – Na jego ciele nie ma już nawet żadnych blizn, o Najwyższy. Jeszcze w Tlaxcali chromał, lecz ponoć teraz jest zdrow, jakby nic mu się nie stało... A przecież sam Itzli widział jego rany!

– Montezuma mówił już Itzlemu, że ten niepotrzebnie bluźni przeciwko bogom, którzy dali nam swojego posłańca w osobie Xahuatla.

– ...Itzli jest zdumiony tak śmiałym wnioskiem w ustach Montezumy.

– Zaś Montezuma zdumiony jest brakiem wiary Itzlego. Czy Itzli potrafi inaczej wytłumaczyć to, o czym sam mówi? Nie? Więc niech nie próbuje wnioskować o rzeczach, o których nie

ma pojęcia. Niech lepiej mówi o ludziach, którzy próbowali pozbawić życia przyjaciela Montezumy.

– Najwyższy Montezuma jest nazbyt surowy – zachnął się Itzli, który z jakiegoś powodu poczuł się osobiście dotknięty tym, że Montezuma mianował Xahuatla właśnie SWOIM przyjacielem, tak jakby miał na niego jakąś wyłączność.

– Czasy są surowe. Czy Itzli próbuje pouczać swojego króla?

Montezuma obrócił głowę, aby spojrzeć na władcę Domu Szeptów, ale ten wykonał błyskawiczny unik, przyklękając na jedno kolano, i odezwał się z tej bezpiecznej pozycji:

– Itzli nie śmiałyby pouczać najwyższego Montezumy. Co do zamachowców, to Itzli ustalił już, z którego *calpultin* miasta pochodzili. Ludzie Itzlego...

– Ludzie Itzlego guzdrzą się jak muchy w smole! Co jest ważniejszego niż ustalenie tego, kto czyha na przyjaciół Montezumy?

– Ludzie Itzlego nie są aż tak liczni jak dary, którymi bogowie obsypali Montezumę. Ludzie Itzlego muszą też pić, jeść i czasem nawet spać, szczególnie gdy próbują utrzymać władcę Tenochtitlán przy życiu.

Montezuma potrząsnął głową, spojrział na klęczącego władcę Domu Szeptów.

– O czym znów Itzli mówi?

– Itzli jest zaniepokojony tym, jak zachowują się biali... GOŚCIE... którym najwyższy Montezuma pozwala nadal rezydować w pałacu Axayacatla. Jest zaniepokojony tym, że chodzą, jedzą i śpią, nie rozstając się z bronią. Jest zaniepokojony tym, że odkąd biały wódz Cortés opuścił miasto, oni znów zaczęli napastować handlarzy na rynku i brać, co tylko chcą.



– Ludzie mają im dawać wszystko tak, jakby dawali to Montezumie.

– Najwyższy Montezuma nie rozumie. – Itzli potrząsnął głową. – Ludzie są zmęczeni. Ludzie mają dość. Ludzie kochają najwyższego króla Montezumę, ale zaczynają nienawidzić białego wodza Cortésa i jego ludzi.

Montezuma westchnął, patrząc na plac przed wielką świątynią, gdzie rzemieślnicy powoli stawiali wielkie pale w oczekiwaniu na zbliżające się święto Toxcatl.

– Wszystko jest w rękach bogów – powiedział.

## *9 maja 1520*

– ...niech będą z wami wszystkimi, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

– Amen – odpowiedzieli nierównym chórem konkwistadorzy, czyniąc znak krzyża.

– Idźcie w pokoju.

Powoli, nie spiesząc się, gwarząc o tym i owym, niecała setka ludzi zaczęła wysypywać się z przekształconej w kościół świątyni na szczycie najwyższej z piramid miasta.

Pobielone, wyczyszczone wewnątrz z pięknym drewnianym krzyżem i kilkoma obrazami było już o wiele przestronniejsze niż wcześniej, ale i tak dobrze było wyjść na dwór, zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Mnie się cały czas wydaje, że tam w środku to krwią cuchnie – mruknął de Texeira. – Ile by się kadzidła nie paliło, to zapach nadal się trzyma.

– Może to od tych kapłanów ichnich śmierdzi? – wyraził przypuszczenie idący obok Álvarez Chico.

– Nie wiem, po co caudillo im pozwolił tutaj jeszcze bywać...

– Nie to, że pozwolił, tylko kazał! – zaśmiał się Chico. – Mają pilnować porządku, sprzątać... Kościelnymi ich mianował, ot co!

– A ja słyszałem od jednego z posługujących do mszy chłopców, że oni próbowali obraz Najświętszej Panienki ze ściany zdjąć – odezwał się pan Alonso López.

– No co wy opowiadacie?! Nie może być!

– A jak! Może, bo było. Mówił mi, że dziś rano przychodzi ze świeżymi kwiatami na ołtarz, patrzy, a tam na obrazie ślady paluchów czarnych takich, jak od sadzy...

– Diabeł! Diabeł chciał obraz zerwać!

– E tam diabeł: ci kapłani ichni! Oni przecież twarze i ręce sobie czernidłem mażą cały czas. Znać, że się z nim siłowali, ale nie dali rady zdjąć.

– Cud. – Pan de Tapia pokiwał głową.

– Gwoździe raczej solidne, a nie cud. Ot, zeźli się nasz kapitan, jak się dowie! – zarechotał de Texeira. – On i tak cięty na nich przecież...!

Tymczasem pan Pedro de Alvarado, idący na przedzie grupy, był już niemal na samym dole schodów.

Kręcący się poniżej, na placu przed świątynią, Meksykanie przystawali, pokazywali sobie palcami na ich orszak, rozmawiali o czymś... Inni nadal pracowali swoimi siekierkami i linami, w ogóle nie zważając na to, że pracując w dzień pański, występują przeciwko trzeciemu przykazaniu.

De Alvarado czuł na sobie ich spojrzenia.

Nie wiedział, o czym mówią, ale też wcale nie chciał się tego dowiadywać.

Wyczuwał jednak, że na pewno komentują ich teraz, obgadują... A może zjawiają się na coś niedobrego?

Kiedy zeszli na dół i ruszyli ku pałacowi Axayacatla, był już niemal pewien: miejscowi patrzyli na nich nie tylko niechętnie, ale wrogo.

Tak, to było to! Ta pozorna, fasadowa, uprzejma obojętność, za którą skrywała się niewypowiedziana groźba.

Kto zresztą mógł wiedzieć, co im się roilo w tych czerwonych łbach?

I jeszcze te dziwaczne pale stojące teraz po obwodzie placu.

– Zapytajcie ich, pani – polecił idącej pół kroku za nim doñi Marinie. – Do czego mają służyć te słupy?

– Hej, ty! – Malintzin zwróciła się do pierwszego z brzegu człowieka. – Co tutaj robisz, niegodny? Czemu mają służyć te drewniane słupy wkopane w ziemię przed świętem? Odpowiadaj, byle szybko, bo biały wódz de Alvarado każe obić ci plecy batami!

Jednak robotnik, zamiast spłoszyć się, spojrział na nią hardo i zaplótł ręce na piersi.

– A gdzie twój biały wódz, kobieto? – zapytał, wysuwając do przodu żuchwę.

– Co...? Jak śmiesz! – syknęła, czując, jak robi jej się gorąco.

– No gdzie twój wódz, pytam? Znudził się tobą, oddał cię innemu jak byle ladacznicy? A może uciekł za swoją Wielką Wodę i zostawił cię tutaj?

– Jak śmiesz mówić do mnie w taki sposób...?!

– A jak ma Toxichuitl mówić do tej, która nosiła drwa do kuchni w domu, gdzie jego brat układał belki stropowe na komórce?! Tak, tak! Toxichuitl też cię tam widział, Wysoka Piękna Trawo!

– C-co...? – Malintzin skuliła się, jak gdyby znów widząc nad sobą postać z kijem w ręku.

– A to! Toxichuitl widział, jak na kolanach klęczysz przed paleniskiem, z głową w dymiącym piecu, brudna i umorusana, a właściciel domu, przechodząc, klepie cię w wypięty zadek! Więc nie mów teraz do Toxichuitla, jakbyś była lepsza od niego...!

Robotnicy zaśmiali się grubiańsko, któryś zrobił niewybredny gest.

– Co oni mówią, pani? – zdziwił się takim zachowaniem pan de Alvarado.

– Mówią, panie... – Malintzin zaczerpnęła głęboko powietrza. – Mówią, że szykują te pale dla was, dla białych przybyszów. Mówią, że przy tych palach zostaniecie złożeni w ofierze... Zaś wy, panie, zginiecie przy najokazalszym z nich.

De Alvarado otworzył szeroko oczy ze zdumienia i przerażenia. Strzelił oczami w jedną, w drugą stronę i przyspieszył tylko kroku, macając po drodze rękojeść szpady.

## *11 maja 1520*

– Niech bogowie zachowają Tecolotla w zdrowiu! Cuetzpatli przychodzi do niego po wędzone ryby, żeby...

– Nie ma dziś wędzonych ryb.

Dziewczyna zamrugała, wyraźnie zdumiona.

Odstawiła na ziemię pleciony z trzciny koszyk, popatrzyła na siedzącego w kucki przy swojej wędzarni handlarza.

– Cuetzpatli może poczekać, jeśli Tecolotl dopiero je wstawił. – Uśmiechnęła się zachęcająco.

– Cuetzpatli nie ma na co czekać. Nie ma dziś wędzonych ryb – rzucił Tecolotl, patrząc gdzieś obok niej.

Rynek szumiał przelewającym się gwarem ludzi, tętnił swoim codziennym życiem. Przekupnie zachwalali towary.

Kupujący przechadzali się od kramu do kramu, przystając, aby chociaż zamienić dobre słowo.

Zaś Cuetzpatli stała obok swego kosza, ni w ząb nie rozumiejąc tego, co właśnie usłyszała.

– Przecież Tecolotl ma ryby w swojej wędzarni. – Pokazała na ułożoną z warstw drewna, ziemi i chrustu konstrukcję, pod którą wesoło pełgał ogienek.

– Owszem, Tecolotl ma ryby w swojej wędzarni... Tak, czego potrzeba? Niech mówi śmiało!

– Niech da mi tyle, ile palców u ręki! – rzucił wyglądający na mocno zaaferowanego klient.

– Już się robi, już...

Brwi Cuetzpatli zjechały ku sobie, a gładkie czoło przecięła głęboka zmarszczka, kiedy dwaj pomocnicy handlarza wprawnie podnieśli górną warstwę wędzarni, wyciągnęli spod niej pięć parujących, pokrytych odchodzącymi od mięsa łuskami ryb, zawinęli je w zielone liście i podali klientowi. Ten uregulował należność, podziękował i pospieszył dalej, ku swoim sprawom.

– Dlaczego Tecolotl nie chce sprzedać ryb Cuetzpatli?! – zaatakowała dziewczyna, gdy tylko klient zniknął w tłumie.

Sprzedawca westchnął, podniósł się i spojrzał wprost na nią.

– Tecolotl chce sprzedać Cuetzpatli ryby – powiedział. – Tecolotl lubi Cuetzpatli, a brat Tecolotla kiedyś zalecał się do matki Cuetzpatli, gdy ta ostatnia nie była jeszcze nawet błyskiem w oku jej ojca. Ale nie będzie u Tecolotla ryb dla białych najeźdźców... Nawet jeśli przyjdzie po nie Cuetzpatli.

– To co ma zrobić Cuetzpatli? – zapytała nieszczęsna dziewczyna niemalże ze łzami w oczach.

Tecolotl podniósł swoją wędzarnię, pochwycił przez soczysty, zielony liść jedną z lepiej uwędzonych ryb. Zawinał,

podał dziewczynie.

– Niech Cuetzpatli weźmie to i zje sobie po drodze. Ale niech nie przychodzi do Tecolotla tak długo, jak w pałacu Axayacatla mieszkają biali najeźdźcy – poradził.

*12 maja 1520*

– Mówię wam, panowie! Potworny, koszmary wręcz! Obrzydliwy! A jak zaczęliśmy z nimi na migi gadać, bo ja piąte przez dziesiąte rozumiem, to...

– Co to za zbiegowisko?! Co tu się dzieje?! – huknął de Alvarado, podchodząc do grupki.

Ludzie odskoczyli od razu na boki, wyraźnie spłoszeni. Co najmniej kilku miało miny, jakby tylko zastanawiali się, w którą stronę pierzchnąć, niczym dzieciaki przyłapano na czymś bezecnym.

– Panie kapitanie! Bo my tylko...

– Bez kręctw mi tutaj, de Texeira! Co jest? Mówić, jak jest, bo pasy z was drzeć każę...!

– Panie kapitanie, bo Indianie chcą nasz kościół znów zająć i swojego bożka tam wstawić! – wypalił de Texeira.

De Alvarado aż się zachwiał, oparł o ścianę.

– Co wy najlepszego powiadacie, de Texeira? Kiedy, jak?!

– No bo... to święto ichnie ma być, to... No, to ichnie święto, co się szykują! I myśmy tutaj z panami Quintanillą i de la Ruą na miasto poszli, no i...

– Ja potem do nich dołączyłem, nie widziałem na własne oczy! – zastrzegł od razu Quintanilla.

– ...no i idziemy, panie, a tam kobiety ichnie coś lepią! Myśmy z początku pomyśleli, że z błota albo z gliny może, ale

podchodzimy bliżej... – De Texeira zawiesił głos, popatrzył po towarzyszach. – A to z krwi!

– Lepią z krwi?!

– No nie, nie z krwi samej, panie, ale z tych ichnich nasion czarnych z krwią przemieszanych. A z tuzin ich tam było!

– Albo i więcej! – przytaknął ochoczo de la Rua, od którego wionął wyraźny zapach przetrawionego alkoholu.

– I mówię panu kapitanowi, straszny ten posąg taki! A wielki jak na dwóch chłopa! – De Texeira pokazał ręką. – Jak człowiek, ale potworny taki, jak ze starej katedry figury! Kolczyki miał z mozaiki zielonej i nos cały ze złota, w szaty cały przystrojony...

– I te szaty z tej krwi? Zmyślacie coś, de Texeira! – De Alvarado, którego wyobraźnia i tak już zaczynała kreślić nad wyraz sugestywny obraz, potrząsnął bagatelizująco głową.

Może gdyby sypiał normalnie nocami...

...może wtedy byłoby mu łatwiej odgonić od siebie obrazy...

...ale przecież ta diablona wcielona, ten sukkub, ta kobieta...

...ani razu od tygodnia nie dał rady położyć się spać wcześniej, niż gdy niebo zaczynało już jaśnieć na wschodzie!

A przecież potem trzeba było cały dzień coś robić, rządzić i w ogóle przewodzić żołnierzom. A wieczorami zawsze tak się składało, że ktoś przynosił antałek, potem drugi... I tak jakoś szło.

Kiedy zaś de Alvarado dawał radę zasnąć, śniły mu się koszmary: wielkie, pierzaste węże z rozwartymi paszczkami, usiłujące połknąć utkaną z dymu chmurę, która tak naprawdę była wielkim motylem o skrzydłach niczym brzytwy.

Więc budził się zlany zimnym potem i przywierał do gładkich, zapraszająco ciepłych pleców leżącej obok doñi Mariny. Wtedy ona poruszała się przez sen, mruzczała przeciągle niczym kotka... i odechciewało mu się spać.

Potrząsnął głową, usiłując skupić się na tym, co działo się tu i teraz.

– ...jedna z czaszek, druga z ostów kłujących, mówię panu kapitanowi! – De Texeira tymczasem rozkręcał się ze swoją opowieścią. – Pióra na łbie miał zatknięte, twarz w pasy pomalowaną, jakby na wojnę go szykowali!

– Ale skąd o tym kościele mówicie? Gdzieście go widzieli w ogóle?!

– Aaa, no bo myśmy, panie kapitanie, teges, no... – De Texeira nagle zmienił ton.

– Bo myśmy trochę zbłądzili... – bąknął de la Rua.

– Poblądzili znaczy! – poprawił towarzysza de Texeira. – Bo poczęstowali nas miejscowi swoją potrawą i oni dali do niej te grzyby... I tak nie do końca wiemy, gdzie to było.

– Ale widzieliśmy!

– Na własne oczy widzieliśmy, na to przysięgać mogę. I obok tego posągu, panie kapitanie, oni już mieli przygotowane sanie. I na tych saniach i na tych linach oni będą go z powrotem do świątyni wciągać, skąd już obrazy święte na pewno usunęli!

– Nie usunęli, bo byłem tam ledwo co, na miejscu są – odezwał się uspokajająco pan Chico. – Ale fakt, kręcą się pod świątynią, włączą na schody... Żeby im do łbów nie przyszło próbować ją zająć!

– A przecież jedzenie też nam przestali donosić! – rozległo się z tłumu.

– Fakt! – potwierdził de Alvarado, który w ferworze amorów nie zwrócił na to od razu uwagi, ale teraz zrozumiał, czemu od dwóch dni jest cały czas głodny. – Dawno już nie dają?

– Dają, panie kapitanie, ale może połowę! Zupełnie jak wtedy w Choluli, zanim...

Żołnierz urwał nagle, umilkł.



Na długą chwilę zapadła niezręczna, wstydliva cisza.

– Zanim na nas napadli na wielkim placu – dokończył twardo de Alvarado.

– No właśnie – sapnął z ulgą tamten. – To miałem powiedzieć: zanim nas napadli. A kto wie czy znów tego samego nie planują?

De Alvarado obliznął nerwowo usta i przejechał językiem po strupie na wardze, który został mu po niedawnym ugryzieniu.

– Nie damy się – warknął.

### *13 maja 1520*

– Najwyższy raczy żartować?!

Montezuma obejrzał się na Itzlego, podniósł wyniośle głowę.

– Huēi Tlahtoāni nie żartuje – odrzekł z godnością.

– Teraz?! Kiedy nastroje w mieście są właśnie takie, kiedy ludzie są niespokojni... Najwyższy Montezuma chce znów zamieszkać wraz z białymi w pałacu Axayacatla?! Wrócić do niewoli jak ptak wypuszczony z klatki?!

– Tak, bo tego wymaga od Montezumy gościnność! Montezuma nie pozwoli na to, żeby jego gościom miało się coś stać...!

– Zatem Itzli nie pozwoli Montezumie tego zrobić!

Mocetuhsuma Xocoyotzin, władca wszystkich krain od gór aż ku Wielkiej Wodzie, pan Imperium Słońca, zamrugał ze zdumieniem: władca Domu Szeptów patrzył wprost na niego.

Nie stał ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie kulił się. Nie uciekał oczami w bok.

Już miał unieść się, jak to głosiło jego imię, szlachetnym gniewem – lecz zamiast tego uśmiechnął się smutno, podszedł

do Itzlego i położył mu rękę na ramieniu.

– Oto za Montezumą przychodzi ten, któremu on nie jest godny zawiązać sznurka u sandałów – powiedział.

– Co? O czym też najwyższy król mówi?! Jakiego jeszcze sznurka?! – zachnął się Itzli.

– Niech Itzli zaufa Montezumie, tak jak Montezuma zaufał woli bogów. Tak musi się stać. Montezuma nie zmieni swojej decyzji.

– Najwyższy...! – zawołał Itzli, załamując ręce.

Jednak Montezuma odwrócił się i odszedł ku wyjściu z pałacu.

## *14 maja 1520*

Kiedy Mezquetzal, ziewając i trąc zaspane oczy, wszedł do kuchni pałacu Axayacatla, palenisko było czarne i zimne.

Zdziwiło to Mezquetzala, który przecież potrzebował ognia po to, aby zacząć szykować strawę dla wszystkich, którzy zamieszkiwali pałac, a wkrótce mieli zacząć się budzić i schodzić do jego komnat.

A było to szczególnie ważne teraz, kiedy z takim trudem przychodziło im robienie zakupów u przekupniów, coraz mniej chętnych do dostarczania czegokolwiek dla białych.

Mezquetzalowi było, szczerze mówiąc, zupełnie obojętne to, jakiego koloru mają skórę ludzie, którzy gdzieś tam, w pełnych złota, jadeitu i kolorowych piór komnatach wysoko ponad jego głową, będą potem jedli to, co wyda z siebie pałacowa kuchnia.

Mezquetzal potrzebował ognia, za który odpowiadała przecież Cuetzpatli.

Zaś tego poranka nie było w kuchni ani Cuetzpatli, ani ognia.

Dlatego też warcząc i narzekając pod nosem, Mezquetzal sam ruszył w kierunku składziku, w którym zawsze urzędowała Cuetzpatli i z którego najwyraźniej – tak przynajmniej wskazywało na to jego doświadczenie – brało się drewno na opał.

Mezquetzal zszedł na dół, w półmroku macając po ścianie, odsunął kotarę do składziku, zrobił krok – i uderzył twarzą prosto w czyjeś kolana.

Podniósł wzrok i ujrzał w półmroku Cuetzpatli, dyndającą na okręconym wokół jednej z belek u sklepienia sznurze, z wystającym z sinych ust fioletowym językiem.



Pan de Lugo zamrugał, jak gdyby nie będąc w stanie przyswoić usłyszanego właśnie komunikatu.

– Jak to nie będzie jedzenia? – zapytał, szczerze zdumiony.

Jego służący, przywieziony jeszcze ze Starego Świata Estremadurczyk Esteban, wzruszył ramionami gestem pełnym bezradności, tymi samymi flegmatycznymi ruchami rozsmarowując kukurydzianą papkę po wczorajszych, lekko już czerstwych plackach.

– Tak mi powiedzieli, panie. Że podobno ta dziewczyna, co chodziła do miasta, nie żyje. W kuchni ją znaleźli powieszoną... Musi być, że te dzikusy ją zamordowały.

– Ale jak to? I my teraz przez to jeść nie będziemy?

– Będziemy, panie. Tylko nie tak dobrze jak wcześniej. – Esteban postawił przed swoim panem szczerozłoty, pięknej

roboty talerz, na którym leżały zwinięte w popękane, nierówne ruloniki trzy placki. – Ale to zawsze jedzenie przecież, mimo że zimne.

De Lugo zupełnie machinalnie wziął placek, nawet nie patrząc, ugryzł pokaźny kęs i zaczął przeżuwać.

Esteban czasami miał wrażenie, że gdyby upiekł w miodzie i korzeniach, porządnie doprawił i podał na półmisku sękaty dębowy konar, to o ile znalazłby się do niego dzban wina, jego pan zjadłby go tak samo jak cokolwiek innego, co dostawał pod nazwą „jedzenie”.

Ale tutaj, faktycznie, sprawa była inna, bo placki były czerstwe, a kukurydziana papka mocno wczorajsza... Na szczęście jednak dodana do niej ostra czerwona pasta z papryki robiła robotę, bo pan de Lugo pochłonął już pierwszy i właśnie sięgał po drugi.

– Dlaczego zimne? – zabelkotał de Lugo, plując okruszkami. – Powiesiła się dziewczka, wielkie mi mecyje. Co to, żałoba jakaś?

– Nie, panie. Tylko teraz nikt nie chce nawet ognia napalić. Ona jedna po zakupy na targ chadzała jeszcze, a teraz trzeba jeść to, co zostało z wczoraj – wytłumaczył cierpliwie Esteban.

– Aha. No a jutro?

– Jutro będziemy jeść to, co zostanie z dzisiaj – odparł flegmatycznie Esteban, zbierając z oparcia krzesła tradycyjnie zostawiane tam przez jego pana brudne gacie i onuce.

De Lugo pokiwał głową, zadowolony z odpowiedzi, po czym wepchnął do ust w całości trzeci placek.



Rzucone z ręki ziarna fasoli potoczyły się z szelestem. Siedzący wokół skórzanej maty do gry w *patolli* mężczyźni nachylili się nad nimi drapieżnie – a potem odskoczyli w tył do wtóru śmiechu i okrzyków niedowierzania.

– Bogowie! Nie może tak być...!

– Toxichuitl ma szczęście!

– Co za rzut! Co za ręka! Ha...!

– Toxichuitl oszukuje! Nie mógł znów tego wyrzucić! – zakrzyknął Tlalepac z pretensją.

Siedzący naprzeciwko ostatniego w tej partii oponenta Toxichuitl spojrzał mu w twarz ze złośliwą satysfakcją, po czym wyciągnął rękę i celowo powoli, z namaszczeniem przesunął swój pionek o jedno pole dalej niż kamyk, którym grał Tlalepac – kończąc w ten sposób partię.

– Toxichuitl oszukuje...! – zawołał znów Tlalepac, ale tym razem w jego głosie słychać było bolesną gorycz pogodzenia się z porażką.

– Bogowie lubią Toxichuitla – odgryzł się krótko zwycięzca, przesypując pulę wygranych ziaren kakaowca z miski do swojej sakiewki. – Toxichuitl zaś lubi bogów, którzy pomagają mu wygrywać! Toxichuitl gra w *patolli* od lat, więc niech Tlalepac też ćwiczy... A może kiedyś mu dorówna.

– Jeszcze jedną! – zażądał przegrany, z desperacką nadzieją stawiając pionki na polu startowym.

– I o co chce niby grać Tlalepac teraz? Przegrał już wszystko, z czym przyszedł! – zaśmiał się obserwujący grę Nopaltzin.

– Tlalepac odda po kolejnych zbiorach...!

– Dość. – Toxichuitl pokręcił głową, zaczął zbierać swoje szczęśliwe ziarna fasoli z oznaczeniami cyfr do woreczka. – Jutro też jest dzień, praca sama się nie zrobi... Robotnicy będą musieli dokończyć rusztowania na wielkie święto.

– Jeszcze jedną partię tylko...

– Dość, powiedziałem! Niech towarzysze Toxichuitla zostaną w zdrowiu, a on sam rusza do siebie.

Widać było, że Tlalepac chciałby dostać jeszcze jedną szansę na rewanż, że patrzył z nadzieją... Ale nie, nic z tego: Toxichuitl wiedział, kiedy należy się wycofać.

Dopili resztki *pulque* z kubków, pożegnali się, po czym on jako pierwszy odchylił kotarę i wyszedł w chłodną, ciemną noc.

Tenochtitlán spało już, szczelnie otulone utkanym z ciemności i ciszy pledem.

Tylko pojedyncze światełka pełgały na szczytach świątyń, ledwie widocznych na tle czarnego, usianego gwiazdami nieba.

Przystrojone girlandami z kwiatów, świeżymi zielonymi gałęziami i pomalowane wciąż wilgotną farbą domy czekały na nadchodzące uroczystości.

Tak, gdzieś tam, w pałacu Axayacatla, byli też przecież biali, zaburzający coroczny rytm obchodów. Snujący się po ulicach, zaczepiający ludzi, włączający do świątyń... Ale było ich już nieporównanie mniej niż jeszcze nie tak dawno. Mało kto pamiętał, jakie wrażenie robili przybysze zza Wielkiej Wody zaledwie parę miesięcy temu.

Toxichuitl aż prychnął z pogardą, potrząsnął głową: jakże bardzo niedorzeczne zdawało się teraz tamto wspomnienie! Jak bardzo mylili się wszyscy, obawiając się ich przybycia do Tenochtitlán.

Biali przecież byli takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni Mexikowie.

Owszem, mieli swoje pancerze i broń z zimnego metalu, nosili długie rury, w których mieszkaly dym i ogień – ale to tylko tyle!

Jedli, pili i spali, jedzenie wchodziło w nich jedną stroną, a wychodziło drugą.

Pocili się, chorowali, krwawili i słabli jak wszyscy ludzie.  
Nie było w nich nic aż tak wyjątkowego.

Nikt nie patrzył już na nich jak na coś nadnaturalnego,  
a już z pewnością nie byli to...

– ...bogowie! – mimowolnie sapnął Toxichuitl, gdy z bocznej uliczki przed nim niespodziewanie wyłoniły się trzy postaci.

Zatrzymał się jak wryty. Cofnął się o krok i szybko rozejrzał, szukając ewentualnej drogi ucieczki. Dość późna to była pora na rabunek, a i miejsce nietypowe... Jednak licho przecież nie śpi!

– Czego? – warknął, wsuwając dłoń pod opończę, pod którą miał ukryty nóż o krótkim ostrzu z krzemienia.

Tamci nie atakowali, nie mieli też broni. No i wyłonili się z cienia przed nim, a nie za nim... Może to zwykły przypadek albo jacyś zagubieni przyjezdni z innego miasta-państwa?

Poczuł jednak, jak cała świeżo odzyskana pewność siebie ulatuje z niego, gdy niższa z postaci odezwała się delikatnym, śpiewnym głosem:

– Niech Toxichuitl się nie boi. Nikt nie chce go skrzywdzić, a tylko porozmawiać.

– Wysoka Trawa?!

Malintzin wystąpiła jeszcze o krok z cienia, tak żeby światło księżyca padło na jej twarz.

– Malintzin całuje ziemię u stóp Toxichuitla. – Kobieta uśmiechnęła się, wyraźnie napawając się wrażeniem, jakie zrobiło na robotniku nieoczekiwane spotkanie. – I powtarza mu: niech Toxichuitl się nie boi.

– Toxichuitl nie boi się! – odwarknął tamten, jeszcze raz strzelając oczami na boki w poszukiwaniu dróg ucieczki.

Co prawda dwaj rośli Mexikowie za Wysoką Trawą nie ruszyli się nawet o krok, stojąc z założonymi na piersiach

rękami, ale wcale nie znaczyło to, że gdzieś tu nie było ich więcej.

– Malintzin cieszy się zatem. Gdy widziała się z Toxichuitlem wcześniej tego dnia, nie miała czasu z nim pomówić jak należy... I teraz chciała dokończyć rozmowę.

– Toxichuitl nie ma teraz czasu. Toxichuitl wraca do domu, bo...

– Malintzin pragnie przeprosić Toxichuitla.

– Co? – Robotnik zamrugał z zaskoczenia.

Malintzin postąpiła o krok w przód, zdjęła z szyi wiszący na sznurku pojedynczy złoty koralik i wyciągnęła ku niemu na otwartej dłoni.

– Przeprosić – powtórzyła. – Za to, że źle pomyślała o nim. Toxichuitl miał rację w tym, co mówił o Malintzin.

– Toxichuitl tylko... – zająknął się mężczyzna, czując, jak gubi się w tej sytuacji.

– Niech Toxichuitl przyjmie ten skromny podarek. Niech weźmie go, aby jego twarz nigdy już nie skrzywiła się niechętnie, kiedy spojrzy na Malintzin.

Toxichuitl zerknął na nią, na trzymających się z tyłu mężczyzn.

Nikt go nie napadł, nie pobił, więc nie chodziło o zemstę... Może faktycznie ona była niespełna rozumu, jak to ludzie mówili?

Tak się ponoć działo, kiedy kobieta sypiała z nazbyt wieloma mężczyznami.

A dyndający na sznurku paciorek miał poblaskiem złota.

W końcu wyciągnął rękę, szybkim ruchem złapał i wyrwał jej świecidełko, przycisnął do piersi, gotów w każdej chwili odskoczyć w tył i rzucić się do ucieczki.

Kiedy jednak ani kobieta, ani jej towarzysze nie wykonali żadnego gwałtownego ruchu, Toxichuitl znów poczuł, jak wraca



mu odwaga.

– A więc... – Przełknął gęstą ślinę, odchrząknął. – Wysoka Trawa przeprasza?

– Tak. Przeprasza i prosi, żeby Toxichuitl przyjął od niej ten skromny podarek.

Toxichuitl uśmiechnął się pogardliwie, pokręcił głową: bogowie jednak mu sprzyjali tego wieczora! Niewiele myśląc, przełożył sznurek przez głowę, zawiesił błyskotkę na szyi.

– Niech będzie. – Podniósł dumnie głowę. – Toxichuitl przyjmuje przeprosiny.

Kobieta spuściła wzrok, strzeliła na niego powłóczytym spojrzeniem spod długich rzęs. Przysunęła się o krok i nim zdążył zareagować, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Niech zatem przyjmie jeszcze ten dar. – Jej gorący oddech owionął mu twarz, a potem Malintzin pocałowała go.

Mocno. Dziko i namiętnie.

O wiele bardziej niż jakakolwiek kobieta kiedykolwiek w całym dość ciekawym i momentami nawet burzliwym życiu Toxichuitla.

Głęboko...

...tak głęboko, że aż poczuł, jak coś przeskakuje mu w głowie.

Jak gdyby jej język sięgał nie tylko do jego ust, ale o wiele dalej, przez podniebienie ku tylnej stronie czaszki, gdzie gnieździły się jego myśli, dusza i całe jestestwo.

Malintzin puściła go, odsunęła się o krok.

Otarła z ust krew z nadgryzionej wargi, popatrzyła na znaczący opuszkę palca szkarłatny ślad i oblizwała go różowym językiem.

Spojrzała na Toxichuitla, stojącego w zupełnym osłupieniu.

– Zatem... skoro Toxichuitl nie żywi już wobec Malintzin złych uczuć... – Uśmiechnęła się nieśmiało, zalotnie.

– Tak, o Wysoka Trawo?

– To życzeniem Malintzin jest zachowanie twarzy Toxichuitla właśnie takiej jak teraz. Malintzin chce zabrać tę twarz ze sobą.

Toxichuitl chciał potrząsnąć głową ze zdumieniem, rozłożyć ręce, zapytać o coś – ale nie zrobił żadnej z tych rzeczy.

Zamiast tego uświadomił sobie, że czuje, jak jego własna ręka wsuwa się pod opończę, a palce zamykają się na owiniętej rzemieniem rękojeści noża o kamiennym ostrzu.

Nie wydał z siebie nawet jednego dźwięku.

Podniósł tylko nóż w wyciągniętej dłoni, trzymając go przed samą twarzą, wciąż patrząc wprost na Malintzin.

A ona oblizwała usta i skinęła krótko głową.

– Zrób to.

Toxichuitl wrzasnął, kiedy ostrze nacięło skórę na jego czole i zaczęło sunąć wzdłuż linii włosów, ze zgrzytem szorując o kość.

Krzyczał, gdy przesunęło się po skroni.

Skowyczał, kiedy łukiem ominęło małżowinę uszną i szybkim, nieznanym litości ruchem cięło pod brodą – a potem zaczęło krótkimi, rwanymi ruchami ciąć tkankę, naciąganą przez jego własną drugą rękę.

Krew ściekała mu po twarzy, sączyła się po brodzie i zalewała oczy, ale on nadal nie mógł oderwać wzroku od stojącej naprzeciwko niego Malintzin.

Zaś ona patrzyła wprost na niego, uśmiechając się tylko zachęcająco.



Odległy, przenikliwy krzyk rozległ się gdzieś pomiędzy zabudowaniami.

Odbił się echem, budząc psy, które rozszczękały się, rozjazgotały nagłą kakofonią ujadania – a potem nagle umilkły, zostawiając nocne Tenochtitlán spowite w pustą, wibrującą w uszach ciszę.

Ferran Balboa wbił wzrok w otaczającą ich czerń, próbując wypatrzeć w niej cokolwiek.

Wiedział przecież, że gdzieś tam jest całe miasto, że otacza ich siatka ulic i mozaika domów, wszędzie wznoszą się niebosiężne piramidy... Ale teraz wokoło była tylko ciemność, którą pełgające światło stojącego w wartowni kaganka zdawało się wyłącznie podkreślać.

– Nie podoba mi się to – mruknął, potrząsając głową.

– Że niby co takiego? – zainteresował się Cristian, jego kompan i towarzysz na nocnej warcie, dłubiący sobie pod paznokciem żelazną szpilą.

– To wszystko. To miasto, ci ludzie, ta noc... A jeśli oni po nas nie wrócą?

Cristian syknął, posażał palec i spojrzał krytycznie na paznokciec, spod którego od dwóch dni próbował wyciągnąć drzazgę.

– Wrócą – mruknął. – Mówiłem ci, że wrócą.

– A jeśli nie?

Kiedy Cristian nie odpowiedział, Ferran westchnął, siadł ciężko na zydlu i zapatrzył się w pustkę.

Tak, to była myśl, która dręczyła ich wszystkich – tych, którzy zostali w Tenochtitlán z de Alvaradem. Cortés zabrał większość żołnierzy i pomaszerował gdzieś, podobno z powrotem ku wybrzeżu... Pocieszało ich to, że tutaj, w mieście, zostały nagromadzone przez ekspedycję skarby, bez których nikt raczej nie opuściłby tych ziem.

Raczej. No bo co mogło być cenniejsze niż złoto?

No właśnie – tylko własne życie.

A co, jeśli Cortés po prostu uciekł, zostawiając ich na pastwę losu?

A co, jeśli...

...postać nadpłynęła znikąd, wyłoniła się wprost z kamiennej ściany. Kobieta o twarzy utkanej z dymu, z postrzępionymi skrzydłami niczym z popalonej bibuły doczepionymi do ramion, z których wysuwały się włochate odnóża wielkiego pająka.

Nachyliła się nad siedzącym na zydlu, rozwierając ogromną paszczkę pełną ostrych zębów, w której krwawo błyszczało pochłapane świeżą posoką złoto...

Ferran drgnął i wzdrygnął się gwałtownie, kopnął prawą stopą w nogę stołu. Mlasnął, rozejrzał się na poły niewidzącym wzrokiem.

– Połóżże się spać. – Cristian pokręcił głową. – Ledwo siedzisz przecież, oczy masz czerwone jak królik.

– Kiedy właśnie zasnąć nie mogę – burknął Ferran, sięgając po kubek.

Nie tylko jego dręczyły dziwaczne, niepokojące zwidy i koszmary, niepozwalające zaznać odpoczynku nawet w pozornym azylu ciepłego posłania.

Duża część ludzi z orszaku pana de Alvarada snuła się jak struta, nie śpiąc już po dwa, trzy albo i pięć dni... Kłótnie i swary wybuchały dosłownie o cokolwiek, ludzie robili się drażliwi, skorzy do gniewu.

A najbardziej irytowało wszystkich to, że Mexikowie szykowali się do tego swojego cholernego święta. Ludzie szeptali między sobą, mówili, że to indiańscy czarownicy rzucają na nich czary, odbierając spokojny sen.

Trwali tak zatem wszyscy, zawieszeni w pół drogi pomiędzy niejasną jawą dnia a sennym koszmarem nocy, czekając na coś, co miało się wydarzyć.

Na cokolwiek, co pozwoli im wyrwać się z tego zaklętego kręgu snów.

*15 maja 1520*

– Panie kapitanie, panie kapitanie...!

De Alvarado drgnął, budząc się z płytkiej, nerwowej drzemki pełnej niespokojnych majaków. Zamrugał. Przetarł twarz dłonią, czując, że na czole odcisnęły mu się deski blatu.

– Panie kapitanie...! – rozległo się bliżej.

– No, co tam? – rzucił, dla niepoznaki ujmując w rękę pióro.

Do gabinetu, zajmowanego wcześniej przez samego caudilla, wpadł z impetem Juan Díaz.

– ...złapaliśmy szpiega! – wypalił.

De Alvarado zerwał się, niemalże przewracając stołek.

– Szpiega?!

– Tak, panie kapitanie! Byliśmy właśnie w ogrodach, a on...

– Jednego z tych, co kują dziury w zewnętrznym murze?!

Díaz zawahał się, zrobił wielkie oczy.

– Kują dziury, panie kapitanie? Matko Święta, nie wiedziałem...!

– No jak to?! Przecież tak właśnie chcą zrobić! Zwałą cały kawał muru, a przez niego...

De Alvarado urwał nagle, nie do końca pewien, czy to, o czym właśnie mówił, było częścią świata rzeczywistego, czy może raczej gwałtownie ulatniającego mu się z głowy snu.

Bo przecież było to kucie muru, a potem szturm...

...tylko że to chyba w Choluli się zdarzyło...

A jemu przyśniło się teraz, że to on kuje mur, po drugiej stronie którego czeka...

...potrzęsnał głową, usiłując przegonić wspomnienie utkanej z dymu i odłamków luster istoty o skrzydłach z noży, która w jego śnie wdzierała się przez wyłom w murze do pałacu.

– Gdzie ten szpieg?! – warknął, biorąc ze stołu pendent ze szpadą. – Prowadźcie!

– Na spytki go już wzięliśmy, panie! Mają zaraz sprowadzić tłumacza... A gdzie doña Marina? Bo może ona by lepiej...

– Śpi, nie budzić jej! Damy radę sami. Prowadźcie, byle żywo!

Wrzaski było słycać już z daleka.

Kiedy dotarli na miejsce, de Alvarado zastał tam nagiego, wychudzonego człowieka, wijącego się teraz na blacie solidnego stołu.

Ręce i nogi nieszczęśnika przywiązano rzemieniami do czterech nóg mebla, na jego twarzy malowało się dzikie, zwierzęce przerażenie – zaś nad nim, tuż nad jego brzuchem, dymiła właśnie smolista szczapa.

– Dawaj, de Texeira, przysmaż go jeszcze! – zachęcił trzymającego łuczywo kamrata któryś z obecnych. – A ty, Francisco, zapytaj go, czego tutaj chciał?! Po co przyłaził, dlaczego przed nami uciekał?!

– Dobry pan, dobry pan... Szlachetny! – Może jedenastoletni indiański chłopak, którego od samego początku ekspedycji bezskutecznie usiłowali nauczyć hiszpańskiego, załamał ręce.

Ochrzcili go, a jakże. Obmyli z grzechów od razu po tym, jak doszorowali z krwi jego własnych rodziców, których wcześniej zabili podczas jakiejś potyczki. Nad chłopakiem nie wiedzieć czemu się ulitowali, postanowili wychować na

człowieka. Nauczyć, jak się powinien ubierać, jak wypada zachowywać się przy stole.

„Ucywilizować”, jak to sami z lubością określali.

Owszem, po ponad roku nauki Francisco rozumiał już kilka podstawowych zwrotów, potrafił przynieść wino i podać do stołu...

...ale widać było, że teraz, stojąc pomiędzy nakręconymi niczym sprężyny, ponad miarę pobudzonymi żołnierzami, chłopak był ledwie żywy z przerażenia.

Nie czekając dłużej, pan de Texeira przytknął smolną szczapę do już pokrytego krwawymi bąblami brzucha przywiązanego do stołu Mexika.

Ten wrzasnął dziko, wierzgnął i rzucił się, usiłując rozpląszczyć się na blacie, byle tylko odsunąć się dalej od źródła żaru i bólu. Zaskwierczała przypalana skóra, wokół rozszedł się swąd.

– Ha! – De Alvarado klasnął w ręce, podchodząc bliżej. – To ten szpieg?!

– Szpieg, szpieg! – potwierdzili skwapliwie żołnierze.

– I jak, powiedział coś?!

– Drze się tylko, że niby on nic... Ale każdy by tak mówił! – zarechotał de Texeira. – Tylko jeszcze nie mówi, czego szukał w ogrodach!

– Może źle pytania zadajecie, co? O co żeście się pytali?

– Mów! – huknął na nieszczęśnika konkwistador. – Kto cię przysłał?! Co miałeś zrobić?! Kto ci kazał zamordować tę dziewczynę w kuchni? Dla kogo pracujesz?!

Jeniec znów wrzasnął i rzucił się, kiedy de Texeira przejechał mu po brzuchu płonąca głównią aż do obnażonego krocza.

Wyglądało na to, że oczy torturowanego lada chwila wyskoczą z czaszki, język wysuwał się aż na brodę, po

policzkach leciała krwawa piana, sącząca się ze zdartego od wrzasków gardła.

– Pytaj go! – Któryś z konkwistadorów popchnął Francisca bliżej.

Chłopak aż się zachłysnął, ale przełknął łzy przerażenia i zatrajkotał do jeńca w ichnim języku, machając rękami i pokazując na de Alvarada.

Nieszczęśnik zabełkotał coś, zajęczał, osmarkał się, zaszlochał, powiedział jeszcze coś...

– Pan, szlachetny pan, dobry pan! – zajęczał Francisco, jak gdyby cierpienia przesłuchiwanego udzieliły się też jemu. – Icnoyotl nic nie, dobry pan! Icnoyotl ogród, Icnoyotl dużo pędy zieleń nóż! Icnoyotl dużo dobry pan krzyki, Icnoyotl nic nie...!

– Co to za bełkot?! Czy jemu się rozum już pomieszał?! – wrzasnął na Bogu ducha winnego chłopaka de Texeira. – Czekajcie no, już ja go ocucę...

Jeniec znów wrzasnął dziko, zasyczała przypalana skóra, kiedy głównia przesunęła się po jego brzuchu od mostka ku wzgórkowi łonowemu.

– Zaraz, hola! – De Alvarado zamachał rękami. – Co wy tutaj... Nie tak się prowadzi przesłuchanie!

Zamarli wszyscy z wyjątkiem nadal wijącego się i kwilącego mężczyzny rozpiętego na stole tortur, leżącego teraz w ściekającej na ziemię kałuży własnego moczu.

– ...nie? – zapytał zdumiony de Texeira.

– No pewnie, że nie! Pytania muszą być jasne, precyzyjnie sformułowane i nie pozostawiać wątpliwości co do odpowiedzi! – błysnął zasłyszana niegdyś frazą de Alvarado. – Na przykład, zaraz, poczekajcie... Czy jesteś szpiegiem? Francisco, chłopcze, pytaj go: czy jest szpiegiem?! Tak?

– Tak, dobry pan, tak...! – zaszlochał chłopak, obracając się do nieszczęśnika i już otwierając usta, żeby na miarę swoich



możliwości przetłumaczyć pytanie.

Nie zdążył jednak, bo de Alvarado klasnął radośnie w ręce:

– Ha! Widzicie, dobrzy panowie?! Już mamy pierwszy konkret. No to teraz... Francisco, zapytaj go: czy Meksykanie chcą rozpocząć z nami wojnę?

Chłopak zapytał o coś, tamten zabelkotał w odpowiedzi, potrząsając głową na boki tak, że kropelki śliny aż poleciały na podłogę.

– Dobry, szlachetny pan...

– Zaczynają tę wojnę czy nie?! Zaczynają wojnę?!

– ...zaczynają wojnę – powtórzył chłopak niczym echo, zupełnie bez zrozumienia, patrząc w przekrwione, dzikie oczy nachylającego się nad nim de Alvarada.

– Kiedy zaczynają?! Czy to znaczy, że chcą nas zaatakować w święto?!

– ...w święto... – wyszeptał znowu chłopak, cofając się o krok.

De Alvarado wyprostował się, obrócił do reszty i rozłożył ręce.

– Panowie, mamy to! Mamy to, na Boga! – obwieścił tryumfalnie grobowym głosem.

– Na litość boską... – jęknął de Texeira.

– Jezus Maryja! Spisek żeśmy wykryli, panowie! – Inny z konkwistadorów złapał się za głowę.

– Pozabijają nas znowu chcą jak w tej przeklętej Choluli!

– Wymordują nas! Tylko patrzeć, jak na nas uderzą!

– Panowie, do broni! Do broni, bo...!

– Spokóóój! – wydarł się de Alvarado. – Spokój, panowie! Tak do niczego nie dojdziemy, to nie pora na wpadanie w panikę...!

Umilkli, patrząc na niego wyczekująco i już trzymając szpady do połowy wyciągnięte z pochew.

To był moment, kiedy de Alvarado miał im powiedzieć, co zrobić, jak zachować się dalej. On zaś nagle odkrył, że ma w głowie kompletną pustkę. W takich chwilach zawsze, ale to zawsze był gdzieś w pobliżu caudillo, który wiedział, co zrobić. A teraz go nie było. Jednak gdyby był, to jak by się zachował?

– Każdą trudną sytuację, panowie, można rozwiązać poprzez rozmowę – postarał się powiedzieć jak najspokojniej tylko potrafił, choć głos drżał mu tak, że ledwie wymawiał niektóre słowa. – Ja więc, dobrzy panowie, pójdę najpierw... Pójdę do tego psa, do tego zdradzieckiego nasienia Montezумы, który nie traktuje nas tak jak dawniej. Niech się przed nami wytłumaczy, o!



Gdy Pedro de Alvarado opuścił apartamenty Montezумы wcale nie mniej wzburzony, niż gdy do nich przychodził, w sali tronowej wielkiego króla wybuchł rejdach.

Dostojnicy, urzędnicy i dworacy, zupełnie niepomi na powagę władcy, przekrzykiwali się jeden przez drugiego. Wymachiwali rękoma, rwali włos z głów. Część stała niczym skamieniała, patrząc tępo przed siebie; jeszcze inni zakrywali twarze dłońmi.

– O Najwyższy! – zawołał w końcu, padając na kolana przed tronem, Cacama, nieszczęsny król Texcoco, którego Kastylijczycy nadal nie wypuścili z niewoli. – Czemuż, o czemuż najwyższy król zdecydował się znów oddać swoją osobę w ręce tych dzikusów, tych zwierząt zza Wielkiej Wody?! I oni teraz przychodzą tutaj, ŻĄDAJĄC, aby najwyższy król uśmierzył

nastroje w Tenochtitlán? DOMAGAJĄC SIĘ, aby przekonał ludzi, żeby ci nie patrzyli niechętnie na białych najeźdźców?!

– Montezuma wysłuchał białego wodza de Alvarada, który dowodzi wojownikami z Kastylii w imieniu brata Montezumy, białego wodza Cortésa...

– Który nie uczynił ani najwyższemu Montezumie, ani Tenochtitlán, ani imperium Mexików nic poza krzywdami, ranami i łzami!

– ...który jest gościem Montezumy! – surowo dokończył władca. – Którego krokami pokierowali sami bogowie, aby przybył tutaj ze swoimi towarzyszami!

– Biali najeźdźcy nie są bogami! – warknął ktoś.

– Tak, Montezuma wie o tym: żaden z tych o białej, czystej skórze nie pochodzi od bogów. To tylko ludzie.

– Czemu więc Montezuma nie chce wydać rozkazu do ataku?! Jeśli biali najeźdźcy i tak się lękają, to może należy uderzyć na nich teraz, póki są słabi!

– Nie godzi się! – huknął Montezuma, wstając ze swego tronu. Wszyscy jak jeden mąż popadali na twarze, uderzając czołem w posadzkę. – Zaiste nie godzi się tak myśleć, a co dopiero postąpić! W przeddzień wielkiego święta Toxcatl, gdy złożony zostanie w ofierze ten, który jest Prawdziwym Odbiciem, miałby Montezuma splamić ziemię swoich przodków, ziemię oddaną mu w opiekę, krwią własnych gości?! Nie godzi się...!

– O Najwyższy, Ecatzin pragnie przemówić...! – rozległ się od podłogi głos zarządcy Domu Oręża, zawiadującego królewską zbrojownią.

Montezuma usiadł ponownie, odetchnął.

– Niech Ecatzin mówi! – zarządził.

Sędziwy, poważany Ecatzin wstał, przekrzywiając głowę tak, by swoim jedynym okiem widzieć tron Montezumy, zaczął

mówić:

– O Najwyższy, o źrenico oka bogów! Ecatzin widział niemało, niemało przeżył i życie nauczyło Ecatzina, aby zawsze być gotowym na wszystko. Tutaj jednak to, przed czym przestrzega Ecatzin, zdarzyło się już raz: Cholula!

– Cholula... – Po sali rozniósł się trwożny poszept przerażonych głosów.

– Dlatego też Ecatzin prosi, błaga najwyższego króla na kolanach, uniżenie, z całych sił: niech Montezuma nie będzie podczas jutrzejszego święta bezbronny! Niech słudzy przyniosą tutaj, do pałacu Axayacatla, oręż! Niech tancerze czynią swoje tańce, ale ukryjmy w świątyniach tarcze, na wypadek gdyby biali najeźdźcy chcieli napaść na nas, gdy będziemy bezbronni...!

– Słusznie prawi Ecatzin! – rozległy się głosy. – Niech wojownicy Orła i Jaguara będą gotowi! Nie wolno ufać białym...!

Montezuma jednakże poczekał tylko, aż wzburzone głosy ucichną, i spojrzał na Ecatzina dobrotliwie.

– Ecatzin mówi, a przez jego usta płynie mądrość wieków. Czyż jednak mamy z kimś wojnę, aby otwierać Dom Oręża? Niech Meksykowie pozostaną ufni w wolę bogów, których rządzeniem wszystko stanie się tak, jak stać się miało!

– Najwyższy...! – Ecatzin załamał ręce.

– Montezuma przemówił: cokolwiek się stanie, stanie się z woli bogów.



– Wszystko na nic, panowie! – rzucił już ode drzwi de Alvarado. – Montezuma mówi, że nie pomoże nam, nie uspokoi tych dzikusów!

– Wymordują nas! – Któryś z kapitanów chwycił się za głowę.

– Jak nic! Skrzykną się jutro, zbiorą hurmem i na nas uderzą!

– Znów będzie jak w Choluli!

– Co robić, kapitanie? Co robić?!

De Alvarado patrzył po nich bezradny, zupełnie nie wiedząc, ani co począć, ani co powiedzieć.

I wtedy w tłumie dostrzegł ją.

Stała tam, mimo że nie powinno jej tam nawet być, bo przecież zostawił ją w komnatach, w rozbabranej łożnicy.

A jednak była tutaj i bezgłośnie poruszała wargami.

Niczym odbicie w lustrze, pomyślał nie wiedzieć czemu.

– Jeśli... Jeśli oni chcą na nas napaść, a tego z pewnością pragną... – de Alvarado słyszał, jak słowa wydostają się z jego własnych ust – to słusznym jest, abyśmy uderzyli pierwsi.

*16 maja 1520*

– Niech oto nadejdzie! Niech przyjdzie! Niech stanie się Ten, Który Prawdziwie Jest Nim! Niech spojrzy na nas Prawdziwe Odbicie...!

Gdy przybrany w pióra quetzala, kwiaty i złoto młodzian wyłonił się z ciemnego wnętrza łodzi, która dowiozła go na wyspę Tepepulco, oczekujący już nań kapłani i przystrojony w odświętne szaty orszak zawołali wielkim głosem, po czym padli na twarze, oddając mu pokłon.

Oto był on!

Oto objawił się Pan Dymu i Luster!

Oto przybył wielki Tezcatlipoca!

Wystrojony w piękne szaty, rosy i umięśniony, z lekko podłużną czaszką, prostym nosem i brwiami nisko nad oczami, był doprawdy uosobieniem tego, co najlepsze w każdym mężczyźnie.

Świeżo ogolona głowa błyszczała teraz w promieniach słońca, zaś każdy z tuzina idących za nim sług trzymał kosmyk włosów Wybrańca jako znak tego, że próbowali go pojmać, lecz on każdemu z nich się wyrwał.

– Skóra Jaguara i pióra Orła! – zakrzyknął najwyższy kapłan, wyciągając ręce ku niebu.

Akolici podbiegli do młodzieńca, ściągnęli z niego szatę króla-kapłana i przyodziali go w bojowy pióropusz, dali do ręki tarczę i bogato zdobiony miecz. Narzucili mu na ramiona ściągniętą z dzikiego kota, wciąż ociekającą krwią skórę. Na szyi zawiesili wplecione w naszyjnik z muszli orle pazury.

Cztery młode kobiety, wybrane spośród wielu jako te, które dostąpią zaszczytu towarzyszenia Wybrańcowi w jego podróży, podeszły i stanęły po jego bokach.

Ubrana na białą Xochiquetzal, Kwietny Pióropusz, bogini miłości i radości.

Nosząca czerwoną szatę Coatlicue, Matka Bogów, patronka życia i płodności.

Odziana w złoto i skóry Chalchiuhtlicue, Jadeitowa Spódnica, pani deszczu i strumieni.

I wreszcie ostatnia z nich, okryta czarną niczym noc, zwiewną jak dym szatą Itzpāpālōtl.

Trzy z kobiet przylgnęły do Wybrańca; ta ostatnia, czwarta, ruszyła tanecznym krokiem przed nim, prowadząc ku wznoszącej się pośrodku wyspy ogromnej piramidzie, na której szczycie już oczekiwał łaknący świeżej krwi kamień ołtarza ofiarnego.

Obserwujący to z niezliczonych łodzi i brzegów samego Tenochtitlán ludzie zawołali radośnie: oto zaczęło się! Oto wreszcie, po czterech dniach przygotowań, postu i modlitw, rozpoczyna się święto Toxcatl!

Teraz pozostało tylko czekać, aż orszak dotrze na szczyt świątyni.



Patrzący na miasto z tarasu w pałacu Axayacatla, otoczony świętą dostojników i dworaków Montezuma też widział to wszystko.

Jego udział w obchodach święta zakończył się wcześniej.

Teraz miastem rządzą kapłani i prowadzony przez nich Wybraniec. Montezuma mógł co najwyżej obserwować to, co się dzieje, i wraz ze swymi najbliższymi ucztować, ciesząc się tym, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Jednak nie potrafił zachować spokoju.

Wiedział, co powinno nastąpić, przeczuwał bieg wydarzeń... I miał świadomość tego, że jest tak, jak miało być. Tak jak zapisano to przed stworzeniem Piątego Świata w gwiazdach.

A mimo to się bał.

Bał się tak samo jak człowiek-bóg z opowieści białego wodza Cortésa, który modlił się w zagajniku pod miastem, podczas gdy jego towarzysze spali.

Inni uczestnicy uczyty zdawali się tego nie widzieć.

Nie dostrzegali tego, jakim wzrokiem spoglądali na nich stojący w oddaleniu, pod ścianami pałacu biali, nerwowo dotykający rękojeści tkwiących za pasami mieczy.

Nie słyszeli nerwowych rozmów na znajdującym się poniżej dziedzińcu, nie zwracali uwagi na szczęk szykowanego oręża.

I tak samo nie zwrócili uwagi na okrzyk, który przebrzmiał ponad podwórcem, i następujący po nim przeciągły jęk otwieranej bramy.



– Naprzód, idziemy! – krzyknął de Alvarado do swoich pięciu tuzinów ludzi. – A wy zostańcie tutaj... Wiecie, co robić!

Stojący obok, obleczony już w półpancerz de Texeira kiwnął ponuro głową.

Zbrojni we włócznie, miecze oraz kusze konkwistadorzy wysypali się nieskładną grupą przez bramę, po czym ruszyli ulicą w kierunku głównego placu przed Wielką Świątynią.

Mijani ludzie patrzyli na nich bez cienia zdumienia, uśmiechali się i machali z dachów domów, na których siedziały nierzadko całe rodziny, gotowe do rozpoczęcia świętowania.

Jakaś dziewczynka wybiegła z drzwi jednego z domów, nim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, podskoczyła do pana de Tapii, podała mu pięknie rozwinięty kwiat i skoczyła z powrotem ku domostwu, z którego już wzywała ją gestem matka.

Kastylijczyk popatrzył na kompanów, cokolwiek zaskoczony, ale wetknął pysznie fioletowy kwiat za pasek przy rondzie hełmu.

Przed nimi był główny plac miasta wraz z przylegającym do niego czworobocznym murem okalającym dziedziniec przed Wielką Świątynią, na którym czekali już w gotowości tancerze.





Wybraniec powoli, krok za krokiem wspinał się na schody piramidy, dzierżąc w jednym ręku pięknie rzeźbiony flet, zaś w drugim wielką, ciężką konchę.

Czuł, jak krążąca w jego żyłach obsydianowa woda, cudowny napój *pulque*, powoli przyćmiewa jego zmysły i odrywa go od świata ludzi, zbliżając ku krainie bogów.

Przez ubiegły rok żył niczym król, niczym bóg. Nie brakło mu niczego. Otaczano go najwyższą czcią.

Teraz zaś nadeszła pora, aby spełnił swoją powinność.

W końcu wyłonił się przed nim szczyt piramidy i rozciągająca się nad nim platforma.

Zrobił jeszcze krok, drugi, trzeci... Ostatni.

Stanął na samym szczycie.

Obrócił się i spojrzał na miasto.

U jego stóp leżało wszystko, co człowiek kiedykolwiek stworzył – całe Tenochtitlán.

Zaczerpnął głęboko tchu.

– Ten, co się raduje, co posiada, co pragnie i pożąda słodyczy, delikatności, bogactw i szczęścia, kończy w wielkiej nędzy i zapomnieniu! – zawołał donośnie, pozwalając, aby jego głos poniósł się echem, dotarł aż do czekającego na dole orszaku. – Nikt bowiem tutaj, na tej ziemi, nie dochodzi do kresu dni swoich w szczęściu, bogactwie ani dostatku!

Zamachnął się i rzucił przed siebie konchę, która poleciała błyszczącym w słońcu łukiem, a potem z trzaskiem rozbiła się o schody piramidy.

Wyciągnął przed siebie flet, ujął go w obie ręce i złamał z trzaskiem.

Gdy odwrócił się tyłem do miasta, a przodem do czekającego już kamienia ofiarnego i zgromadzonych naokoło niego kapłanów, wokół świątyni rozbrzmiały przeciągłym, głuchym jękiem rogi.



Kiedy echo rogów z wyspy doniosło się do brzegów Tenochtitlán, w mieście zagrały bębny i rozległy się gongi ze świątyni.

Czekający do tej pory w napięciu przed Wielką Świątynią ludzie zakrzyknęli: tak! Oto dokonało się! Oto teraz Wierne Odbicie sam oddaje się w ofierze, aby dokonało się to, co dokonać się musi...!

Siedzący na ziemi tancerze zerwali się i ruszyli korowodem, rozpoczynając swój płas wokół stojącego u stóp piramidy świątynnej posągu Huitzilopochtlego.

Jeden po drugim dołączali do nich dowódcy armii, przełożeni oddziałów, ojcowie rodzin szlacheckich wraz z synami, dostojnicy, wysocy urzędnicy i wszyscy ci, którym zezwalano co roku na uczestniczenie w obchodach.

Pięknie haftowane bawełniane przepaski tancerzy powiewały i wiły się wspaniałymi splotami, kiedy ci przypadali do ziemi i podskakiwali ku górze, prowadzeni rytmem wybijanym dłońmi na wielkich, uczynionych z wydrążonych pni drzew bębnach *huehuetl* i szlachetnych, wykonanych z czerwoczarneho drewna *teponaztli*, w które dobosze uderzali pałeczkami o zakończeniach z elastycznego kauczuku.

Sandały błyskały podszwami ze świeżo wyprawionej jeleniej skóry.

Nagolennice ze skóry jaguara mieniły się zdobieniami ze złota i pobrzękiwały drobnymi dzwoneczkami.

Kołysały się w takt tańca kolorowe pióra, doczepione do zostawionych na czubkach głów pasm włosów.

Podskakiwały i grzechotały naszyjniki ze złota, muszli i jadeitu, brzęczały bransolety i kolczyki.

Mieniły się twarze, pomalowane w barwy rodów, dzielnic i plemion.

Bębny warczały i dudniły, to wznosząc rytm ku dzikim wyżynom, to znów pozwalając mu opaść i zsunąć się niczym w ciemną dolinę, niemalże zamrzeć w ciszy – tylko po to, aby znów poderwać go z miejsca i puścić w dziki płas.

Kilkuset tancerzy kręciło się i wiło w dzikich pozach, zaś zgromadzony wokół nich kilkutysięczny tłum klaskał w ręce i kołysał się do rytmu.

Powoli zaczynał formować się uświęcony Taniec Węża.

Bębniarze gromadzili się w centrum placu, zaś wokół nich powstało już pierwsze i zaczęło tworzyć się drugie koło ledwie widocznych spod kłębów zasłaniającego ich kurzu tancerzy. Już trzeci, po nim czwarty okrąg formowały się dokoła nich, ruszając każdy kolejny w przeciwną stronę.

Hipnotyczny, nadpływający niczym szum fal morza płas ogarniał już cały plac.

Z tłumy wysunęli się kapłani z sosnowymi pałkami: znak, że nikomu od tej pory nie wolno było opuścić kręgu, a ktokolwiek odważyłby się przerwać obrządek, ryzykował ściągnięcie na siebie gniewu bogów i kary z rąk ludzi.

Nikt ze zgromadzonych na otoczonym murami placu przed Wielką Świątynią nie zareagował, gdy przez bramy zaczęli wciskać się do środka biali przybysze.

Nikt nic nie uczynił, bo i uczynić nie mógł: tańca raz zaczętego nie wolno było przerwać.

Tym bardziej że... dlaczego ktokolwiek miałyby to robić?

Skoro goście samego Montezumy chcieli oglądać uroczystości, w ten sposób oddając cześć bogom Mexików, to czemu im tego zabraniać?

– Zamknąć bramy! – polecił swoim ludziom de Alvarado.

Trzy pomniejsze grupki oddzieliły się od głównych sił, zaczęły przeciskać się przez roztańczony, rozmodlony, przystrojony kwiatami tłum. Po dziesięciu ludzi stanęło w Bramie Orła, Bramie Trzciny i Bramie Węża, blokując jedyne dojścia do dziedzińca.

De Alvarado czuł, jak wali mu serce.

Żołdacy rozchodzili się powoli po placu, mieszały z tłumem, nonszalancko przechadzając się wśród Mexików.

Żelazne hełmy lśniły chłodnym blaskiem wśród tęczowo kolorowych piór, świeżo naostrzone groty włóczni kołysały się pod girlandami z kwiatów.

Ludzie szaleli, dudnienie bębnow wznosiło się coraz wyżej i wyżej, wwiercając się w uszy, wypełniając cały świat, rezonując pod czaszką i tłumiąc wszystkie myśli.

De Alvarado poczuł na ramieniu dotyk smukłych, delikatnych palców kobiety, w nozdrza uderzył go jej zapach, gdy usta Malintzin niemalże musnęły płatek jego ucha, zaś on usłyszał szept:

– Teraz.

– *Mueran!* – krzyknął, wyszarpując szpadę z pochwy. – Śmierć im...!



## Rozdział 12

**N**ie wierzę, że coś takiego mogło się stać.

Zahred spojrział na jadącego obok caudilla, pokręcił głową.

– Nie wierzysz, Hernán? Czy raczej nie chcesz wierzyć?

– To przecież niemożliwe, żeby ludzie de Alvarada zaatakowali tamtych! Jak to, po co? Dlaczego? Ten drugi posłaniec musiał kłamać!

– Ach... – mruknął Zahred.

– Co? – Cortés od razu się zjeżył.

– Nie, nic. Zupełnie nic.

– Zahred...

– Dobrze, chcesz wiedzieć? Tylko ostrzegam: to nie będzie przyjemne, nie spodoba ci się. Czy zatem na pewno chcesz

wiedzieć, co mam do powiedzenia?

– Nie pytałbym w przeciwnym razie – prychnął caudillo.

Jechali na zdobycznych koniach, prowadząc powracającą do Tenochtitlán armię. Liczniejsi o siły Narváeza, zaopatrzeni w świeży prowiant, teraz wzmocnieni byli dodatkowo przez oddziały panów de Leóna i Rangela, których jednak zawrócono z drogi i polecono im spotkać się z główną kolumną w opuszczonej dzień temu Tlaxcali.

Jakkolwiek liczne mogło wydawać się wojsko, to nastrój panował w nim cokolwiek napięty, żeby nie rzec: grobowy.

Gdziekolwiek się pojawiali, kraj zdawał się wymarły.

Nikt nie wychodził im na spotkanie, pracujący na polach ludzie pospiesznie chowali się, schodząc Kastylijczykom z widoku.

Miasta przyjmowały ich poprawnie, chociaż oschle.

I nawet ich wierni sprzymierzeńcy z Tlaxcali, tak bardzo przecież bezlitośni dla Mexików, popatrywali po sobie spode łba, gdy Cortés opowiadał im swoją wersję wydarzeń!

Ponieważ raptem dzień po tym, jak wyruszyli z wybrzeża, przybyli też inni posłańcy: mexiccy biegacze od Montezумы, który informował Cortésa o tym, co się zdarzyło, podając zgoła odmienną wersję wydarzeń.

– Dobrze, ale nie mów potem, że cię nie ostrzegąłem. Masz więc dwie wersje wypadków, podane przez dwie strony tego samego zdarzenia... Ale sam już zdążyłeś zdecydować, która z nich jest prawdziwa, a która nie.

– Co... Wcale nie! – zachnął się Cortés.

– Dokładnie tak, sam to powiedziałaś: „drugi posłaniec musiał kłamać” ...

– Bo to niemożliwe, żeby de Alvarado napadł na kapłanów podczas procesji! Nie po tym, jak sam zezwoliłem na jej przeprowadzenie!

– ...a teraz mieszasz jeszcze to, co mógł zrobić de Alvarado, z własnym autorytetem i własnym na swój temat wyobrażeniem. W efekcie każdy, kto będzie twierdził, że było inaczej, będzie automatycznie uderzać w ciebie personalnie.

– To nieprawda! Mój autorytet nie ma tu nic do rzeczy, a ja po prostu nie dopuszczam możliwości tego, żeby moi ludzie...

– *Quod erat demonstrandum*, teza udowodniona – mruknął Zahred.

– Skąd w ogóle takie pomysły? Przypominam ci, Zahred, że jesteś kapitanem pod moją komendą i nie pozwolę na to, żeby twoje dziwaczne teorie miały podkopywać...

– Ostrzegałem, że nie spodoba ci się to, co miałem do powiedzenia.

– Tak, ale...

– Temat wyczerpany, Hernán. Więcej się o tym nie zająknę.

Caudillo zgrzytnął z niezadowoleniem zębami, spiął tylko konia i pogalopował naprzód, zostawiając Zahreda z jego ludźmi.

– Panie kapitanie... – odezwał się nieśmiało trzymający się do tej pory w bezpiecznej odległości de Monroy, podjeżdżając bliżej.

– Czego? – warknął Zahred, nawet na niego nie patrząc.

– Panie kapitanie, bo my tak... To znaczy ja i chłopcy z naszej chorągwi. Nie to, że ja słyszałem albo chciałem słyszeć, o czym panowie kapitanowie, ehmm, rozmawiali...

– Do rzeczy, żołnierzu.

– Do rzeczy. Tak. No więc, jakby coś, to... – De Monroy nabrał tchu, wyrzucił z siebie: – Może pan kapitan na nas liczyć.

Zahred zgarbił się, spojrział na niego z ukosa i westchnął ciężko. Pokręcił głową.

– Nie mówcie głupot, de Monroy.

– Pan kapitan myśli, że my oczu i uszu nie mamy? Że nie słyszymy czasami tego i owego, co ludzie przy ogniskach gadają, jak żadnego z panów kapitanów nie ma?

– I co takiego gadają niby?

Farbowany szlachcic dłuższą chwilę zbierał się z myślami. Zacerpnął w końcu tchu, ale coś w jego twarzy drgnęło; uśmiechnął się i lekceważąco machnął ręką.

– Oj, nieważne, panie kapitanie, nie godzi się powtarzać nawet. Wie pan, jak to jest, kiedy ludzie popiją i plotą, co ślina na język przyniesie. Dość, że ja w imieniu naszych chciałem panu powiedzieć, że może pan kapitan na nas liczyć.

Zahred kiwnął głową, nie powiedział nic.

Czując, że rozmowa jest skończona, szlachcic zawrócił konia, żeby zająć swoje miejsce na końcu ich kompanii.

– De Monroy! – doleciał go głos kapitana.

Osadził konia w miejscu, zawrócił.

– Tak, panie kapitanie?

Zahred patrzył wprost przed siebie, ku wijącej się aż ku widnokręgowi wstędze drogi.

– Mówicie w imieniu naszych to, co wydaje wam się, że myślą? Czy to, co wam otwarcie powiedzieli?

Tamten już miał odpowiedzieć, ale zastanowił się dłuższą chwilę.

– ...to ja może ustalę dokładnie – mruknął.

– Dobrze, tak właśnie zróbcie. De Monroy, i jeszcze jedno!

– Tak? – Szlachcic po raz kolejny zawrócił konia.

Tym razem Zahred spojrzał wprost na niego.

– Dziękuję wam.





– Tlaxcala dotrzyma danego słowa!  
– Którego z nich? Danego komu?!  
– Wojownicy zawsze dotrzymują słowa! Honor nie pozwala inaczej!

– A czy honor pozwala atakować bezbronnych podczas święta?!

– Święta Mexików nic nie znaczą, podobnie jak ich honor!

– Wojownik z dostatkiem honoru nie musi o nim gadać, a tym bardziej u innych go szukać!

– ...cooo? Czy Mecatli chce przedwcześnie rozstać się z życiem, że mówi takie słowa?!

– Tochtlotl nie będzie straszył Mecatlego swoim potrząsaniem wyliniałym grzebieniem z piór!

Dwaj wodzowie zerwali się ze swoich miejsc przy ognisku, byliby rzucili się na siebie, ale inni wskoczyli pomiędzy nich, zaczęli rozdzielać nadmiernie krewkich.

– Spokój! Spokój...! – wołał Maxixcatzin, ale jego głos ledwie wybijał się ponad wrzawę.

Byli może dzień drogi od Tenochtitlán, nad którym łuna już teraz sprawiała, że gwiazdy ponad horyzontem na zachodzie bladły i traciły swój blask. Najdalej jutro wieczorem powinni stanąć na brzegu okalającego stolicę jeziora.

Tlaxcala zaś nadal nie mogła zdecydować się, co powinna uczynić.

Wrzawa stopniowo ucichła, gorące głowy ostygły. Wodzowie popatrzyli po sobie, czekając, kto podejmie się kolejnego otwarcia niełatwej rozmowy.

– Niech przemówi młody Xicotencatl. – Maxixcatzin wskazał palcem.

Tamten drgnął, poruszył się niespokojnie.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że nie lubił takich narad, nie lubił roztrząsania, obracania spraw to tak, to owak... Mimo to

wstał, odchrząknął. Popatrzył po swoich braciach, towarzyszach i wojownikach.

– Biali zaatakowali ludzi podczas święta Toxcatl – powiedział, powoli ważąc słowa i tak naprawdę próbując ugrać trochę czasu, aby zastanowić się, w którą stronę poprowadzić swą wypowiedź. – Uderzyli na tamtych, gdy ci byli bezbronni na placu. Tak mówią już wszyscy, tak powtarzają ci, co uciekają z Tenochtitlán...

– Słowa Mexików! – prychnął Temilotecatl.

– Słowa takich jak my! – odparł ostro Xicotencatl. – Słowa takich jak Xicotencatl, jak Maxixcatzin, jak Mecatli... Nawet jak Maxcatl!

Siedzący bez słowa wódz Otomi poważnie skinął głową, na szczęście nie wyłapując niezamierzonego przytyku.

– To nadal tylko słowa – rozległo się z kręgu.

– Ale nic poza słowami nie ma! A teraz wojownicy Tlaxcali mają do wyboru: słowa białego przybysza albo słowa podobnych do nas! Tych, których Tlaxcala może nienawidzić albo kochać, z którymi może żyć dobrze albo źle, ale żyje z nimi! A kto żyje z białymi przybyszami?! Co dzieje się z tymi, na których się natkną?!

– Tlaxcala przyobiegała białemu wodzowi Cortésowi wierność – nie ustępował Temilotecatl.

– A wcześniej przyobiegała poddaństwo Montezumie! – Xicotencatl rozłożył ręce. – A jeszcze wcześniej, jak to mówił Xicotencatlowi jego ojciec, przysięgała, że nigdy nikomu nic nie przysięgnie! Potem Tlaxcala chciała zabić białych, a jeszcze później przyłączyła się do nich!

– Czy Xicotencatl chce powiedzieć, że Tlaxcala co rusz zmienia zdanie, niczym swarliwa baba na rynku? – Maxixcatzin uniósł brew.

Xicotencatl zaczerpnął ze świstem powietrza, zamrugął.

To był jeden z tych momentów, w których młody wódz czuł, że dochodzi do ściany otaczającej jego własny umysł. Jak gdyby myśl już, już mająca wylecieć na wolność odbijała się od twardej kości jego czoła.

– Xicotencatl... – zaczął.

– Xicotencatl chce powiedzieć, że Tlaxcala postępuje tak, jak w danej chwili uważa za słuszne.

Młody wódz spojrział z wdzięcznością na siedzącego do tej pory bez słowa, wpatzonego w ogień Xahuatla.

– To właśnie chciał powiedzieć Xicotencatl – sapnął z ulgą, pokazał ręką. – Niech przemówi teraz Xahuatl.

A potem czym prędzej usiadł.

– Xahuatl – rzekł Maxixcatzin.

– Xahuatl – powtórzył Tochtlotl.

– Xahuatl! – Nexayatl uderzył w ziemię tyłcem włóczni.

– Xahuatl... – rozszedł się pomruk po kręgu wokół ogniska.

– Xahuatl – mruknął trzymający się w pewnym oddaleniu Rodrigo.

Zahred nie drgnął nawet, nadal wpatrując się w ogień.

Tańczące płomienie rzucały na jego twarz odbłaski układające się w mozaikę ciemnych i jasnych plam, wyciągając każdą zmarszczkę i bruzdę.

Gdyby ktoś popatrzył na niego teraz po raz pierwszy, to zapewne doszedłby do wniosku, że jest o wiele, wiele starszy...

...zmęczony życiem i tym, co nieodmiennie i nieuchronnie ze sobą przynosi.

Wodzowie czekali, a on nadal milczał.

Słysząc tylko trzask ognia, niegłośny szum układającego się już do snu obozowiska i modulowany, odbijający się echem od wzgórz pomruk nocy.

W końcu odezwał się głuchym, nieswoim głosem:

– Tlaxcala zawsze pragnęła niezależności. Tlaxcala będzie niezależna. Biali przyszli, biali odejdą. Tlaxcala zostanie.

– Ale u czyjego boku?! O tym mówią wodzowie! – nie wytrzymał Maxixcatzin.

Zahred przeniósł na niego ciężkie spojrzenie i patrzył tak długo, aż tamten opuścił wzrok.

– Tlaxcala. Zostanie – powtórzył twardo.

– Jako zabawka Montezumy czy jako sojusznik białego wodza Cortésa? – Nexayatl przekrzywił głowę.

– Huēi Tlahtoāni Montezuma rządzi imperium. Do tej pory Mexikowie zbierali z Tlaxcali daninę. Teraz przestaną ją zbierać, zaś Tlaxcala będzie cieszyć się dobrobytem i wolnością.

– Kto niby mówi takie słowa?! – prychnął Temilotecatl, kręcąc głową. – Kto poprowadzi Tlaxcalę ku takim marzeniom...?

– Ja.

Znów zapadła cisza.

Temilotecatl wciągnął powietrze ze świstem, odchylił się i już miał się roześmiać... Ale wtedy zauważył, że Xicotencatl wstaje i patrzy na Xahuatla bez słowa.

Zaraz po nim podniósł się Maxcatl z ludu Otomi.

Jako trzeci wstał Tochtolotl.

A potem Nexayatl.

Mecatli popatrzył po innych, z sapnięciem podniósł się i stanął z założonymi rękami.

Podniósł się też Tonahuac, wyciągnął z za pasa i przerzucił w rękę toporek.

Jeden po drugim siedzący w kręgu wodzowie Tlaxcali wstawali, nie odzywając się ani słowem.

W końcu, nie mając już wyboru, wstał też i sam Temilotecatl.

A zaraz po nich zaczęli podnosić się od otaczających ich ognisk pozostali wojownicy. Ci, co czuwali, potrząsali za ramię śpiących już na rozścielonych matach, pokazywali reszcie gestami: niech wstaną!

Niczym rozchodząca się fala, idąca coraz dalej i dalej, ludzie budzili się, podnosili ze swoich miejsc i stawali na nogi, patrząc ku centrum obozowiska, w którym obradowali wodzowie.

Zaś centrum tego wszystkiego byli patrzący w ogień Zahred i śpiący u jego nóg pies.



Gdy następnego dnia po południu ich oczom ukazało się jezioro i stojące na nim miasto, ponad Tenochtitlán wisiała ponura, grobowa wręcz cisza.

Idealnie biała geometryczna siatka ulic i domów poznaczona była nieregularnymi, ciemnymi plamami po szalejących pożarach.

W kilku miejscach ponad szczyty świątyń nadal wznosiły się jeszcze dymy z pogorzeliśk i stosów pogrzebowych.

Jedna ze świątyń wyglądała, jakby ktoś przypalił ją od góry i upačkał jej platformę oraz schody podłużnymi rdzawymi zaciekami.

– *Madre de Dios...* – mruknął Gutiérrez, kiedy ich kompania zaczęła schodzić traktem ku wodzie. – Co tam się stało?

– A co mogło się stać? Wiadomo, co się stało! – warknął Rodrigo.

– To znaczy?

– Tamci napadli na naszych...

– Co, ty już swoje?! – wybuchnął od razu Enriquez, nie mniej wycieńczony forsowną drogą od wybrzeża. – Od razu wszystko wiesz, co się stało, co?! Na wszystko masz gotową odpowiedź, o cokolwiek się zapytać, to ty od razu...!

Urwał, kiedy idący przodem Rodrigo obrócił do niego twarz, przeciętą dwoma wymalowanymi sadzą ukośnymi pasami.

– Mówię przecież: tamci napadli na naszych – powtórzył.

– Nie no, ale to... To naprawdę źle wygląda, panowie. – Juanito przysłonił oczy od słońca. – Ani ducha żywego nie widać, nawet tymi łódkami ichnimi nie pływają... O, a tam grobla zerwana, patrzcie!

– Pewnie dlatego jeszcze brzegiem ku północy maszerujemy – wyraził przypuszczenie de Monroy, który zsiadł ze zdobycznego rumaka i prowadził go teraz za uzdę, idąc razem z towarzyszami.

– A tam... to nie tam nasze brygantyny stały?

Gutiérrez popatrzył tam, gdzie wskazywał palcem Juanito.

– O Jezu... – jęknął.

Rzeczywiście – tam, gdzie do tej pory kołysały się przy nabrzeżu cztery pękate statki, teraz czerniły się tylko resztki popalonych wręg, niczym szkielet wyrzuconego na skały wieloryba. Nadpalony, złamany maszt z resztką żagla kołysał się na falach, na wodzie widać było pływające kawałki desek, wiosła i beczki.

Ten sam los spotkał też prowizoryczną stocznię i warsztaty.

Dopiero co zbudowane hale były teraz ledwie zgliszczami, wśród których sterczał samotny, osmalony komin kuźni.

Tenochtitlán milczało, leżąc nieruchomo – ciche i wrogie, niczym ranny i teraz przyczajony zwierz, patrzący na powoli okrążających go przeciwników.



– Panie, panie! Bogu Wszechmogącemu dzięki, że jesteście!  
– zawołał po hiszpańsku jeden z ludzi idących naprzeciw kolumnie wojsk.

Kastylijczycy widzieli tych dwóch już z daleka: wspierającego się na sękatym kosturze, okrytego bezkształtnym łachmanem mężczyznę i wyraźnie przestraszonego podrostka, objuczonego objijając mu się o kolana sakwą.

Jednak dopiero teraz, kiedy tamten ściągnął z głowy kaptur, poznali, że to...

– T-toż to p-p-p-pan Pedro Hernán-nán-nández! – zawołał zdumiony de León, jadący na czele prowadzącego kolumnę podjazdu. – C-co wy t-t-tu...?!

Hernández chyba chciał coś odpowiedzieć, ale otworzył tylko usta, po czym wybuchnął płaczem, osuwając się na kolana.

Ktoś z oddziału podskoczył do niego i do chłopaczka, w którym rozpoznali młodego Santiaga, podrostka sierotę zabranego jeszcze z Hispanioli. Podniósł roztrzęsionego, prawie omdlałego nieszczęśnika.

– Prowadźcie ich do caudilla! – zakrzyknął któryś z oficerów.



Pedro Hernández, będący w normalnym życiu królewskim urzędnikiem, pociągnął jeszcze wina z bukłaka, przetaił

podaną mu zmoczoną szmatką twarz, na której osadziły się grubą warstwą kurzu, popiołu i krwi.

– Mówcie! – ponaglił go Cortés, stojący nad nim niczym kat nad dobrą duszą.

Ten pokiwał tylko głową, odetchnął głęboko, próbując się uspokoić.

– Ledwo żeśmy dostrzegli wasze sztandary, panie, od razu żeśmy ruszyli wam na spotkanie. Było nas jeszcze dwóch, bo ruszyli z nami panowie del Fernando i de Costaña... Boże, Boże dobry! – Notariusz skrył twarz w dłoniach.

– Uspokójcie się, panie, teraz nic wam już nie grozi. Napadli was?

– Od razu, ledwo żeśmy tylko wyszli z koszar! – jęknął Hernández. – Zaczęli iść za nami, po dachach się przemykali... Pan Fernando mówił, żeby zawrócić, ale de Costaña mówił, że nie odważą się nas zaatakować, bo on swoją rusznicę wziął. A potem... o Boże, Boże...!

– Jak się na nas rzucili, to pan Fernando nas bronił – odezwał się siedzący obok młodzik, któremu ręce trzęsły się tak, że nie był w stanie utrzymać w nich kubka z winem. – I walczył przeciwko tamtym, krzyczał, żebyśmy my biegli dalej... A pan de Costaña z rusznicy wystrzelił, rzucił ją i zaczął uciekać, ale oni...

– Ja nie o tym! – przerwał mu Cortés. – Co się w mieście stało?!

– Koszmar, panie! – jęknął urzędnik. – Dwa tygodnie już, jak oblężeni siedzimy w pałacu! Jedzenie prawie już się skończyło. Wodę czerpiemy ze studni, co ją pan de Alvarado kazał na dziedzińcu wykopać, ale brudna się tam zbiera, słona, że aż kiszki wykręca...

– De Alvarado żyje? Bogu niech będą dzięki...!



– Tak, panie, ale kilku naszych poległo i wielu jest rannych. Nie ma dnia, żeby Indianie nie próbowali się po drabinach wspinać na ściany pałacu albo nie szturmowali bramy. My już nadzieję straciliśmy, że wrócicie, więc jak tylko was zobaczyliśmy, ja od razu...

– Żyją zatem... Panowie, musimy ruszać im na pomoc, i to czym prędzej!

– To miasto jak pułapka... Na pewno już na nas czekają – warknął któryś z kapitanów.

– Najgorzej na groblach – zawtórował mu inny.

– Zatem obejdziemy jezioro, żeby do zachodniej strony, od Tlacopán dotrzeć. Tam droga najkrótsza będzie. Kawaleria przodem ruszy, za nią od razu arkebuzy i lekkie działa mają podciągnąć... Koniec postoju, na koń i ruszamy! Kastylijczycy nie zostawiają swoich!

– *Santiago y cierra, España!* – zakrzyknęli ludzie, rozbiegając się do swoich oddziałów.

Zahred został jednak chwilę dłużej.

Podszedł do siedzącego na ziemi, drżącego niczym liść osiki chłopaczka. Przykucnął przed nim, zajrzał w twarz.

– Kto zaczął? – zapytał krótko.

Chłopak zatrząsnął się, jego oczy rozszerzyły się strachem, dolna warga zadrżała.

– Panie, ja nic nie wiem... – jęknął, strzelając jednocześnie oczami w kierunku stojącego nieopodal urzędnika.

Zahred przysunął się bliżej, przyklęknął tak, żeby mieć twarz poniżej głowy tamtego. Kefren, jak gdyby czując intencję właściciela, zaczął lizać chłopaka po podrapanej ręce.

– Więc nic nie mów. Czy zaczęli Indianie? Kiwnij, jeśli tak – szepnął Zahred.

Chłopak potrząsnął głową.

– Czy Kastylijczycy pierwsi sięgnęli po broń?

Chłopak pokiwał nerwowo.

Zahred odsunął się gwałtownie, wstał i rzucił przez ramię:

– Rodrigo!

– Tak, panie kapitanie?

– Zaopiekuj się tym małym, nakarm go. Traktuj, jakby był jednym z naszych.

– Z nami słońce – mruknął arkebuzer, biorąc podrostrka pod ramię. – Chodź, ogarniemy cię trochę.

Zahred spojrział ku milczącemu miastu i zacisnął pięść tak, że aż strzeliły mu kostki.



Kiedy wreszcie dotarli do grobli od strony Tlacopán, słońce chowało się już za górami, zalewając Tenochtitlán strumieniami krwistoczerwonego światła.

Kiedy szli przez położone nad brzegami jeziora miasta i miasteczka, wszędzie witała ich taka sama cisza.

Kilku przerażonych dostojników odważyło się wyjść im na spotkanie. Jeden z nich nawet zaproponował, aby póki co pozostali w jego rezydencji, gdzie w razie czego obronią się łatwiej, a jeśli wkroczą do miasta... Jednak caudillo był nieugięty: mieli bez zwłoki iść dalej.

I stali teraz naprzeciwko długiej, zupełnie pustej grobli, prowadzącej ku nieruchomemu miastu spowitemu w złowrogie milczenie.

Przy samym wjeździe na wybiegający w jezioro nasyp rosło powykręcane ze starości, na poły uschnięte drzewo, niemalże dotykające gałęziami lustra wody.

Na jednym z jego konarów wisiał na uplecionym z liści agawy sznurze trup obdartego do naga, pokrytego licznymi ranami Mexika, u którego stóp poniewierały się wysypane z kosza kukurydziane placki.

Gdy Cortés podjechał bliżej, rozdziobujące chleb dzikie indyki zagulgotały groźnie, strosząc pióra i wyciągając ozdobione wielkimi czerwonymi naroślami szyje.

Caudillo wyciągnął szpadę, obejrzał się na ludzi i pokazał przed siebie.

– W imię Boże, naprzód! – zawołał, spinając konia ostrogami.

Kopyta zachręściły po żwirze i kamieniach, zadudniły głucho, gdy wjechali na pierwszy ze spinających poszczególne odcinki drewnianych mostów.

Zaraz za kawalerią ruszyli truchtem arkebuzerzy i kusznicy, którym niemalże deptali po piętach zaprawieni w bojach, znający miasto weterani oryginalnej ekspedycji.

Wcieleni do armii ludzie Narváeza patrzyli na to wszystko cokolwiek zagubieni, rozglądając się trwożnie na lewo i prawo. Sam rozmiar miasta, widzianego przez nich jak na dłoni z wysokich brzegów jeziora, wymykał się ich zdolności zrozumienia.

Teraz byli na grobli, niepodobnej do niczego, co widzieli kiedykolwiek w życiu.

Dopiero zaczęli uświadamiać sobie prawdziwy rozmiar Tenochtitlán, którego piramidy, zamiast rosnąć z każdym krokiem, trwały nieruchome, pozwalając tylko domyślać się ich realnego ogromu.

A teraz okazywało się, że coś poszło nie tak?

Że w tym obiecany, znajdującym się już w zasięgu ręki El Dorado, stało się coś straszego?

Kiedy pierwsze konie przebyły groblę i wpadły pomiędzy zabudowania, miasto nadal było ciche i nieruchome, niczym wymarłe. Konnica zwolniła nieco, ludzie zakręcili się w miejscu, trzymając broń w pogotowiu i próbując wypatrzeć, skąd może nadejść atak.

– Pusto! – zawołał jeden ze zwiadowców, za radą kapitana Zahreda wysłanych kawałek naprzód.

– Ostrożnie zatem, panowie! Arkebuzy, przygotować się... Trzymać broń nabitą, co dwadzieścia kroków jeden daje ognia w powietrze i potem ładuje!

Ogniomistrz kiwnął głową, poprawił hełm i zawołał na swoich:

– Lonty zapalaj! Po kolei, jeden za drugim... Ognia!

Pierwszy z ludzi podniósł rusznicę w górę, ściągnął spust. Syk, fuknięcie i głuchy huk rozeszły się ponad milczącym miastem, przebrzmiały echem i zamarły gdzieś pomiędzy domami.

Ludzie szli, dosłownie licząc każdy krok.

– Ognia...!

Niczym w odpowiedzi na huk arkebuza gdzieś daleko rozległ się rozdzierający, mrozący krew w żyłach skowyt.

Ludzie aż zadrżeli, słysząc ten krzyk, tak bardzo przepełniony bólem, wściekłością i potworną, niewyobrażalną wręcz stratą.

Skądś nadpłynął drugi, o wiele bliższy, niczym modulowany szloch.

Po nim odezwał się trzeci, czwarty i piąty.

Długie, wysokie zawrosczenie niosło się ponad miastem, rezonowało w pustych ulicach, wznosiło się i opadało niczym jęki niosące się z samych otchłani najgłębszych piekieł.

– Ognia...!

Znów fuknęła rusznica, na chwilę zagłuszając ten potępieńczy koncert, ale po chwili kakofonia wrzasków nadpłynęła ponownie. Konkwistadorzy rozglądali się, autentycznie przerażeni, nie mając pojęcia, co się dzieje.

– Nawołują się do ataku! – nie wytrzymał Cortés, kręcący się w siodle. – Kapitanie! Jak tylko kogoś zobaczycie, to...

– To kobiety oplakują zabitych – odezwał się Zahred głosem bez wyrazu.

– Bzdura! Jak tylko weszliśmy do miasta, od razu...

– Zaszło słońce, Hernán. Zaraz znów zapłoną stosy... Patrz.

W niebo podniósł się spomiędzy domów słup dymu. Zaraz po nim pokazał się kolejny, jeszcze jeden i drugi.

– Chcą nas podpalić!

– To stosy pogrzebowe, Hernán, do kurwy nędzy! – warknął Zahred. – To kobiety oplakują swoich zabitych mężów, synów i braci! Tak jak to było w Choluli! Tak samo jak wszędzie indziej, gdzie tylko stanęła nasza stopa...! Patrz!

Wyjechali właśnie na plac, pośrodku którego rozpałał się ułożony z drewnianych bierwion stos. Na nim, ułożone całymi rzędami, warstwami, leżały przykryte tkaninami, ozdobione kwiatami ciała.

Zgromadzone wokół ubrane w czarne, postrzępione szaty kobiety zawodziły głośno, bijąc się pięściami po twarzach, orząc szyje połamanymi, brudnymi paznokciami i sypiąc sobie w rozpuszczone włosy całe garście nabieranego z ziemi piachu.

Gdy w uliczce pokazała się konnica, a zaraz za nią piechota, kobiety nie zaprzestały swego płaczu, zdając się nie widzieć uzbrojonych żołnierzy.

Jednak stojący wokół nich chłopcy, niektórzy zaledwie kilkuletni, odwrócili się ku białym, stając pomiędzy zakutym w stal wojskiem a wciąż żywymi matkami i siostrami, oplakującymi już martwych ojców i braci.

– Uwaga, dzikusy! Kusze, na prawą flankę...! – pokazał szpadą Cortés.

– Stać! – ryknął Zahred, wyrywając się z szyku.

Zeskoczył z konia, stanął pomiędzy już rozstawiającymi się kusznikami a zgromadzonym na placu tłumem.

Sięgnął do pasa, wyciągnął obydwie siekiery.

– Kapitanie, do szyku! Na miejsce wróć...! – zawołał na niego Cortés.

– Nie.

– Zahred, do szyku!

– Nie. Ktokolwiek ściągnie spust... – Zahred pokazał siekierą na kuszników, patrzących na niego w osłupieniu. – Zginie jako pierwszy. On i wszyscy jego potomkowie, których kiedykolwiek znajdę. I klnę się na wszystkich bogów, tych żywych i tych martwych, że...

– Do szyku, jasna cholera! Kusze, wycofać się, nadgonić do kawalerii... Zahred, do szyku!

Ale on stał tam, patrząc na idących ludzi, przyglądających mu się w pełnym zdumieniu.

Od jego kompanii oddzielił się młody Xicotencatl, podszedł i pokazał głową:

– Niech Xahuatl wróci do nas.

Zahred zawarczał tylko, patrząc na tamtych spode łba.

– Niech wróci. Tlaxcala będzie go potrzebować. Niech wróci, Xicotencatl prosi swojego brata. – Młody wódz położył mu dłoń na przedramieniu.

Zahred niechętnie skinął głową, pozwolił zaprowadzić się pomiędzy mijających go właśnie wojowników.

Im bardziej zagłębiali się w miasto, zapadające się w przedwieczorną szarówkę, tym bardziej upiorne napotykali widoki.

Przechodzili koło uliczek zablokowanych barykadami.

Ciągnęli kawalkadą przez zryte nogami ludzi place, na których ciemniejszymi plamami znaczyły się ślady rozlanej na piachu krwi.

Zagłądali w czarne, tchnące zarem drzwi wypalonych domów o ścianach poznaczonych rozmazanymi śladami rąk bryzgami posoki.

Na każdym placu, na każdym skrzyżowaniu płonęły stosy pogrzebowe, wokół których zawodziły kobiety.

W kanałach unosiły się blade, napuchnięte od wody trupy.

– *Estamos en el valle de los muertos...* – mruknął któryś z kapitanów. – Oto kroczymy ciemną doliną, panowie.

Rzeczywiście, wrażenie było takie, jakby zstępowali coraz głębiej w otchłanie piekieł.

Chybotliwy blask rozświetlał niewielkie fragmenty kwartałów mieszkalnych, ponad domami niosły się nieustające zawodzenia i płacz.

– Taki to nasz pan de Alvarado. Tak to jest, kurwa, jak się zostawi rozwydrzonego bachora bez nadzoru! – rzucił Portocarrero, rozglądając się po tym, co nie tak dawno jeszcze było pyszną stolicą wielkiego imperium. Dało się wyczuć, że mówi przede wszystkim do siebie, żeby pozorną złośliwością pokryć nerwowość. – Rozpierzdzieli wszystko, popsuje, ogień pod kobierce podłoży... A na końcu jeszcze nasra do skrzyni i będzie potem udawał, że to nie on. Nieprawdaż, panowie?

Nikt jednak mu nie odpowiedział.

W pewnej chwili ze szczytu jednej ze świątyń, tonącej teraz w ciemności, rozległ się głuchy, jękliwy gong.

Raz.

Drugi.

Trzeci...

– Może lepiej się pospieszyć, panie? – zaproponował nieśmiało de Coria, jadący obok Cortésa.

– Już niedaleko, dzięki Bogu... Dajcie ognia, niech nas usłyszą!

Huknęły, sypnęły iskrami arkebuzy, snopy dymu poniosły się ku zapalającym się ponad miastem gwiazdom, zasnuwając granatowe niebo szarawym obłokiem.

– Nasi...! – rozległo się z daleka wołanie. – Nasi idą...! Heeej, hej! *Santiago y cierra, España!*

– *Santiago y cierra, España!* Otwórzcie bramy! – zawołał Cortés, zbliżając się do pałacu Axayacatla.



De Alvarado, poszarzały na twarzy i wychudły, na widok Cortésa rozłożył szeroko ręce i zawołał:

– Panie admirale, dzięki Bogu, jesteście! Już myśleliśmy, że przyjdzie nam tutaj wszystkim głowy położyć...! Pochwalony!

– I na wieki wieków! Co się tutaj dzieje, co się w ogóle stało?!

– Zaatakować nas chcieli, panie! Szykowali się, żeby nas wyrznąć wszystkich podczas tego ichniego święta!

Caudillo rozejrzał się po głównej sali pałacu, teraz bardziej przypominającej zbrojownię albo wręcz bastion.

Okna były w większości pozasłaniane deskami i grubymi matami.

Wszędzie stała broń.

W pomieszczeniu obok płonęło ognisko, na którym ludzie gotowali strawę.

Wszyscy byli lżej albo ciężiej ranni.

Część musiała od kilku dni nie zdejmować pancerzy i przeszywanic, na których szwach wychodził już białawy osad



soli z potu.

Nieogoleni, z włosami w nieładzie, w brudnych koszulach, z opatrunkami na rękach i nogach, żołnierze de Alvarada patrzyli podkrążonymi, szeroko rozwartymi i przekrwionymi oczami o źrenicach niczym ziarnka piasku.

– I zaatakowali was?! Gdzie ten pies Montezuma?! Jak ja go dorwę w swoje ręce, to...

– Chcieli zaatakować! Ubiegliśmy ich, ale...

– Panie! – Malintzin podbiegła do Cortésa, dosłownie rzuciła mu się na szyję ze szlochem. – Och, panie...! Jesteście, żyjecie! Więc udało wam się pokonać Narváeza, a teraz przybywacie na ratunek nam!

– Marina! Boże, Marina, nic ci nie jest...! – Cortés objął ją, przytulił i zatopił twarz w jej włosach.

De Alvarado stał, patrząc na to z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Ci z jego ludzi, którzy pod nieobecność Cortésa zostali w mieście, też popatrywali po sobie z dziwnymi minami... Jednak nikt nie zauważył tego w ogólnym zamieszaniu.

– No więc, tak jak mówiłem... – zaczął de Alvarado.

Cortés delikatnie, ale stanowczo odsunął od siebie dońę Marinę, spojrział znów na kapitana.

– Co się stało?

– To wszystko przez świątynię, panie admirale! Dzicy chcieli znów przejąć nasz kościół, próbowali obrazy święte usunąć i swoje bożki pogańskie tam wstawić. Ale nie udało im się! – wypalił de Alvarado. – I wtedy mi doniesiono, że chcą nas podczas uroczystości zaatakować, więc... Więc uprzedziliśmy ich atak!

– Uprzedziliście... atak? – Cortés zmrużył oczy.

– A mówiłem, kurwa – mruknął pod nosem Portocarrero. – I jeszcze zdziwiony, że ojciec po powrocie do domu nie bije

brawo i nie głaszczcie po główce, jeno pyta, co tak śmierdzi...

De Alvarado pokiwał gorączkowo:

– Tak! Uderzyliśmy wyprzedzająco, żeby się nie zdążyli uzbroić i nas zaatakować. I podczas tego święta...

– Posłańcy od Montezumy powiedzieli mi, że poprosili cię jeszcze raz o zgodę na urządzenie uroczystości. Tę samą zgodę, której wcześniej udzieliłem im ja – przerwał mu Cortés.

Widział, że powoli gromadzą się wokół nich ludzie, podciągają inni kapitanowie. Zarówno ci, którzy byli z nim na wybrzeżu, jak i zupełnie nowi, dopiero przejęci od Narváeza... Tą sytuacją należało umiejętnie zarządzić.

– Tak, i takowej im udzieliłem! Cokolwiek powiedzieliście, panie, tego dotrzymałem – potwierdził skwapliwie de Alvarado.

– Ale musiałem uderzyć na nich, aby nie napadli potem na nas.

– Szaleństwo... – warknął Cortés, przygryzając palec.

– Panie, nie mieliśmy wyjścia! – zaszeptał de Alvarado nerwowo. – Zbroili się, chcieli złożyć nas w ofierze! Nawet gdy Montezuma znów się do nas sprowadził, nie zaniechali tego planu! I byliby zaatakowali nas tutaj, w pałacu...!

– Wdarli się na taras? – zapytał de Lugo, wyglądając na zewnątrz. – Bo plamy krwi są...

– N-nie, to z wcześniej jeszcze... – mruknął de Alvarado.

– „Wcześniej”?

– Panie, zrozumcie! Przybyli tutaj do Montezumy, też licznie, na czele z tym zdrajcą Cacamą! I kiedy dowiedziałem się, że zawiązał się spisek... Musiałem, nie miałem wyjścia! – De Alvarado złapał się za głowę, przed chwilą jeszcze butny i gniewny, a teraz bliski płaczu.

Cortés otwierał już usta, ale wtedy na jego ramieniu uwiesiła się doña Marina.

– Musieliśmy, Hernán. Nie mieliśmy wyjścia – powtórzyła, patrząc mu w oczy.

– Musieliście... Hm, hmm... Skoro nie było innego wyjścia...  
– Cortés poskubał brodę.

– Nie było, panie! – zawołał de Alvarado. – A jeśli coś...  
Niech będzie, że moja wina! Zrzućcie winę na mnie, udajcie, że  
się gniewacie! Niech Montezuma dowie się, że źli na mnie  
jesteście, a raz-dwa uspokoi swoich...

– No właśnie, gdzie on jest? – Cortés rozejrzał się.

– Pod strażą, panie! Teraz poszli tam ludzie kapitana  
Zahreda!

– Dajcie go tutaj! – zarządził caudillo. – I mówicie, że...? Że  
poszedł do niego Zahred?

Spojrzał na de Alvarada, jego oczy błysnęły.



Montezuma podniósł się z posłania, słysząc zgrzyt klucza  
w zamku – po czym uśmiechnął się, widząc, że w drzwiach do  
jego samotnej celi staje Zahred.

– A więc Xahuatłowi udało się pokonać Narváeza.  
Montezuma całuje ziemię u jego stóp... – odezwał się w języku  
*nahuatl*.

Zahred jednak spojrzał gdzieś w bok, skinął komuś, kogo  
znajdujący się w celi Montezuma nie widział.

– Rodrigo, de Monroy! Zająć stanowiska... A wy... wy macie  
wolne.

– Ale, panie kapitanie, kapitan de Alvarado... – odezwał się  
stojący na warcie przy celi żołnierz.

– Ile żeście spali ostatnio, Garčia? – rzucił Zahred.

– Trudno powiedzieć, panie kapitanie...

– No więc nie po to żeśmy bez wytchnienia z wybrzeża szli i przez całe miasto się przebijali, żebyście wy mieli dalej tu z oczami na szczapki drewna stać. Zluzować mi posterunki, ale to już! Moja kompania przejmuje jeńca jak i wcześniej.

– Dziękujemy pokornie, panie kapitanie – zamruczeli zwolnieni z obowiązków żołnierze i powlekli się ku swoim kwaterom.

Zahred odczekał, aż ich kroki ucichną, po czym rzucił przez ramię:

– De Monroy, bądźcie w gotowości. Rodrigo, wy na korytarzu stańcie i jak ktoś będzie szedł, dajcie znać.

– Tak jest, panie kapitanie! – rozległ się odbity echem głos.

Dopiero wtedy Zahred przeniósł wzrok na Montezumę, zdawkowo skinął głową.

– Xahuatl całuje ziemię u stóp najwyższego króla. Niech Montezuma zaufa teraz Xahuatlowi, bo...

– Montezuma nigdzie nie idzie.

Zahred zamrugał, przekrzywił głowę na bok.

– Skąd Montezuma przypuszcza, że miałby gdzieś iść?

– Ponieważ Xahuatl przybył, aby go uratować. – Władca uśmiechnął się smutno.

Zahred sięgnął za siebie ręką, przymknął drzwi. Popatrzył ciężko na stojącego naprzeciwko niego najwyższego króla.

Huēi Tlahtoāni Mocetuhsoma Xocoyotzin, władca wszystkich krain od gór aż ku Wielkiej Wodzie, pan Imperium Słońca, Ten, Którego Gniew Jest Szlachetny, wyglądał w tej chwili opłakanie.

W brudnej, rozerwanej pod szyją i zbryzganej krwią koszuli, w założonych na ręce i nogi kajdanach, pokryty sińcami, z podpuchniętym okiem i rozbitą wargą, daleki był od tego splendoru i chwały, które roztaczał wokół siebie wcześniej.

Połamany i pomięty ceremonialny pióropusz leżał w rogu pomieszczenia, zaraz obok wiadra, które dano Montezumie dla załatwiania potrzeb jego ciała.

Pięknie haftowaną opończę zarzucił sobie władca na ramiona, otulając się nią niczym stary człowiek płaszczem.

Widać było, że z jednego ucha siłą wyrwano mu złote kolczyki, zostawiając poszarpane, nierówne rany.

A mimo to nadal był to ten sam najwyższy król Montezuma.

– Niech Montezuma posłucha: wierni Xahuatlowi ludzie są tutaj, w pałacu. Pomogą im wojownicy z Tlaxcali...

– Tlaxcaltekwie ratujący króla Mexików...! – Montezuma z niedowierzaniem pokręcił głową. – Gdyby mógł to słyszeć sam Nezahualcoyotl, zdumiałby się wielce!

– Tlaxcala pomoże Montezumie przedostać się przez miasto, do Pałacu Białych Trzcin.

– Montezuma nie będzie przemykał się przez miasto jak złodziej.

– To konieczność.

– Nie. Montezuma jest w swoim mieście, w swoim Tenochtitlán. Montezuma nigdzie nie idzie.

– Niech Montezuma zrozumie, że tu grozi mu niebezpieczeństwo! Zarówno biały wódz Cortés, jak i część jego kapitanów nie jest sobą! Coś im się stało, coś... – Zahred rozłożył ręce, chwycił się za głowę. – Coś, czego nie rozumie nawet Xahuatl!

– Nikt nie rozumie Tej, Która Potrząsa Kośćmi.

Zahred zachwiał się, spojrział na Montezumę dziko. Potrząsnął głową.

– Skąd...? – wykrztusił.

– Montezuma mówił to Xahuatlowi od samego początku, ale Xahuatl nie chciał słuchać. Montezuma widział nadejście

Xahuatla w snach, tak samo jak widział w nich Obsydianowego Motyla. To, co się dzieje, musi się stać, bo taka jest wola bogów...

– Sram na wolę bogów! – ryknął Zahred. – Słyszysz?! Pluję im w twarz! I nie pozwolę, aby tym razem, kiedy w końcu znalazłem coś, co jest warte nie tylko, żeby za to umrzeć, ale też żeby za to żyć, mieli mi w tym przeszkodzić...!

– Co się dzieje, panie kapitanie?! – Do pomieszczenia wpadł de Monroy, zaraz za nim zajrzał Rodrigo.

– Nic...

– Niech Xahuatl mówi w języku, który Montezuma zrozumie – poprosił Montezuma.

Zahred zawarczał, sapnął, odetchnął głęboko.

– Xahuatla nie obchodzi wola bogów. Xahuatl nie poddawał jej się nigdy i nie podda się jej teraz...

– Może właśnie dlatego Xahuatl nie ma spokoju w sercu? Nikt, kto nie jest sobą, nie może mieć spokojnego serca.

– Co?

– Montezumę wybrali bogowie, aby to on został Huēi Tlahtoāni. Xahuatla też wybrali bogowie... i tylko on wie, po co to uczynili.

– Nie. Nie, to nie tak. – Zahred pokręcił głową. – Bogowie przeklęli Xahuatla. Albo nagrodzili go, Xahuatl już sam nie wie. Zabrali mu wszystko i wszystkich, których kochał...

– Xahuatl myli się: bogowie nie uczynili żadnej z tych rzeczy. To czas zabiera nam rzeczy i innych ludzi, nie bogowie.

– Nie. Nie będę igraszką w ich rękach. Nie po to umierałem setki razy...

– Nie ma „setek razy”, jest tylko tu i teraz. Xahuatl stoi tutaj i rozmawia o tym z Montezumą teraz. I również teraz, kiedy dokona się czas Montezumy, Xahuatl w końcu zrozumie, po co go tu przyprowadzili...

– Nic się nie dokona – warknął Zahred, robiąc krok ku Montezumie. – Moi ludzie są w pałacu, więc...

– Panie kapitanie, ktoś idzie! – syknął stojący pod drzwiami de Monroy.

– Halo, kto tutaj?! – rozległ się głos. – To wy, Rodrigo... Po Montezumę przyszliśmy, caudillo go wzywa! A gdzie wasz kapitan?

– Pan kapitan, eee...

– Tu jestem! – zakrzyknął przez ramię Zahred, a potem syknął do Montezumy: – Głupcze...!

Montezuma jednak tylko uśmiechnął się smutno:

– Już się dokonało.



– *Ecce homo*, oto człowiek! – zawołał prześmiewczo de Alvarado.

Straże wprowadziły skutego łańcuchami Montezumę i postawiły go przed stołem, przy którym wieczerzał właśnie Cortés.

Przez okna słyhać było niosące się ponad miastem zawodzenia, płacz i jęklive uderzenia gongów, do których dołączyły teraz warczące nierówno bębny.

W blasku płonących coraz wyżej stosów widać było, jak na placach wokół pogrążonych w żałobie kobiet zbiera się coraz gęstszy tłum.

Caudillo odkroił kawałek mięsa, nabił na widelec. Podniósł wzrok znad talerza.

– Cóżeś uczynił, Montezumo? – odezwał się, po czym pokazał widelcem na stojących pod ścianą żołnierzy de

Alvarada. – Patrz, co twoi ludzie zrobili nam. Zobacz, co wasza nierozsądność uczyniła z Tenochtitlán.

Kiedy doña Marina zaczęła tłumaczyć jego słowa, stojący nieco z tyłu Zahred drgnął.

Nie zauważył jej, kiedy wchodził do tego pomieszczenia.

Była tam, a mimo to jego wzrok prześliznął się po niej.

– ...niech ujrzy, co jego bezrozumność sprawiła, jaki los zgotowała jego miastu! – zakończyła w języku *nahuatl* Malintzin, po czym spojrzała wprost na Zahreda.

– Gdyby ludzie białego wodza de Alvarada nie zaatakowali kapłanów, Meksykanie przenigdy nie pogwałciliby prawa gościnności – odparł Montezuma.

– Brednie! Spiskowaliście przeciwko nam, knuliście kolejną zdradę! Spójrz sam, jak podburzony jest teraz twój lud! – pokazał ku tarasowi Cortés.

– Montezuma jest zaledwie Huēi Tlahtoāni. Montezuma nie ma władzy nad sercami ani umysłami Meksyków.

– Jakże to? Przecież jesteś chyba najwyższym królem?

– Cortés rzekł te słowa, nie Montezuma.

– Doprawdy, panowie! Cóż za niewinny ptaszek nam się trafił! – zaśmiał się Cortés, sięgając do miski z wodą, żeby opłukać ręce.

– A zatem już wiesz – rozległ się szept przy samym uchu Zahreda.

Ten stęzał, czując, jak spina się każdy mięsień w jego ciele.

Widział tę kobietę.

Widział Malintzin na wprost siebie, jak stoi za siedzącym przy stole Cortésem, tłumacząc rozmowę w obydwie strony, przechodząc bez najmniejszego trudu z jednego języka na drugi.

Ale jednocześnie widział ją samiusieńkim kątem oka za sobą, widział profil jej twarzy ponad swoim ramieniem.



– Kim... czym jesteś? – warknął w języku, którego nikt nie miał prawa znać, jednocześnie sięgając dłonią ku siekierze.

– Jeśli zrobisz cokolwiek, on zginie. Spójrz na de Alvarada...  
Widzisz? Widzisz.

Stojąca za Cortésem doña Marina uśmiechnęła się.

Jednocześnie uśmiechnęła się też Malintzin stojąca za plecami Zahreda.

– Widzę – mruknął, patrząc, jak stojący po lewej stronie od Montezumy Kastylijczyk niespokojnie błądzi ręką przy rękojeści miecza.

– Albo... Albo zrób coś może? Tak będzie ciekawiej. On zginie i tak, a to miasto, ten świat wraz z nim.

– Czym jesteś?

Dwie kobiety – ta przed nim i ta za nim – zrobiły zdumioną minę.

– Och, ty nie pamiętasz. Wiesz, ale nie pamiętasz... Czyżbyś po tylu latach zapomniał nasze ostatnie spotkanie?

– Zostaw go. Zostaw go, zostaw tych ludzi. Nie rób tego. Dam ci, czego tylko chcesz... – zaszeptał Zahred, czując, jak po plecach ścieka mu strużka zimnego potu.

– Ależ ja już mam to, czego chcę, a ty nie możesz mi dać nic. Nic, czego już nie wzięłam sobie sama. Mogliśmy zrobić to razem, ramię w ramię... Jednak tak jest weselej.

– Zostaw go, bo cię zabiję – zawarczał głucho, tak że aż zawtórował mu siedzący przy nodze Kefren.

– Ty? – Dwa odbicia uśmiechnęły się drwiąco. – Ty nie jesteś w stanie mnie zranić. Nie jesteś w stanie zrobić nic. Zapomniałeś, kim jesteś, nie pamiętasz warunków naszej gry... I dlatego mi nie przeszkodzisz.

– Zginiesz.

– Nie. Nawet mnie nie dotkniesz, nawet mnie nie muśniesz. Cokolwiek zrobisz, skończy się Piąty Świat. Dokładnie tak, jak

chciał tego mój pan Dymiące Zwierciadło...

– Idą!!! – rozległ się nagle okrzyk.

Zahred drgnął i zamrugał, niczym budząc się z głębokiego snu. Obejrzał się – ale za nim nie było nikogo.

– Idą znów, słycać bębny! – Do pomieszczenia wpadł jeden z wartowników stojących wcześniej na wychodzącym ku głównemu placowi tarasie. – Gromadzą się, drabiny niosą... Do broni!

– Do broni! – krzyknął de Alvarado, dobywając miecza.

Zahred miał wrażenie, że nic wokół nie jest realne.

Podniósł rękę i poruszał palcami, popatrzył na zawiązany wokół nadgarstka rzemień z trzema węzełkami.

To wszystko, co się działo...

– Co stało się kiedyś, dzieje się znów – powiedział stojący do niego tyłem Montezuma.

– Do broni! Damy odpór, wytniemy ich... Podpalać lonty, kusze na taras! Utopimy dzikusów w ich własnej krwi!

– Stać! – zawołał Cortés, podnosząc się od stołu. – Nie trzeba nam więcej rzezi! Ty! – zwrócił się do Montezumy, dźgnął najwyższego króla palcem w pierś. – Wyjdź do nich, uspokój! Pokaż, jaki z ciebie władca!

– Montezuma nie włada sercami i umysłami Mexików... – powtórzył Huēi Tlahtoāni.

De Alvarado doskoczył do niego, przystawił mu ostrze miecza pomiędzy łopatki i złapał od tyłu za szyję.

– Przemów do nich, psie! – ryknął prosto w ucho.

Chciał popchnąć Montezumę ku tarasowi.

I dokładnie w tym momencie rzucił się na niego Zahred.

Już wcześniej trzymał rękę w pobliżu siekiery, a teraz tylko wyszarpnął ją zza pasa. Świsnęło puszczone w ruch nad głową ostrze, opadając wprost ku barkowi pana de Alvarada.

Nie miał pojęcia, co wydarzyło się później.



Pan de Texeira już wcześniej czekał w pogotowiu, zaciskając ręce na drzewcu odebranej jednemu z wartowników skróconej piki.

Widział, jak caudillo naradza się z panem de Alvaradem na chwilę przed tym, jak kazał wezwać kapitana Zahreda.

Nie miał pojęcia, o co chodzi, ale znał swego przełożonego na tyle dobrze, żeby potrafić rozpoznać charakterystyczny grymas na jego twarzy.

Więc kiedy de Alvarado przysunął się do niego i półgłosem kazał mieć baczenie, być gotowym i nie spuszczać tamtego z oka – de Texeira przez skórę wyczuł, co się święci.

Ustawił się tak, żeby kapitan Zahred go nie widział, idealnie poza polem jego widzenia, po lewej stronie.

Zresztą tamten był mocno zaaferowany, jakiś nieswój.

Panu de Texeirze zdawało się, że wręcz szeptał coś do siebie.

Było tak, jak przestrzegwał go kapitan de Alvarado – obłąkany zdrajca.

Stał tak i stał, zaciskając ręce na drzewcu.

I byłby przegapił moment, kiedy Zahred w końcu sięgnął po broń.

Ale nie przegapił i z całej siły zdzielił go piką przez łeb.



– Podnieść go, trzymać mocno...!

Zahred potrząsnął głową, próbując pozbyć się wszechogarniającego, tłumiącego wszystko szumu w uszach.

Wzrok rozjeżdżał mu się, oczy tańczyły.

Nie czuł nóg.

Po policzku ściekała mu strużką i kapała na kamienną posadzkę krew.

Złapali go pod ramiona, wykręcili ręce za plecami i podnieśli. Ktoś chwycił go za włosy, podniósł głowę do góry.

Spojrzał w twarz Cortésa.

– Rozczarowałeś mnie, przyjacielu – powiedział caudillo.

Zahred chciał się wyrwać krępującym go ludziom, ale zamiast tego tylko jego głowa odezwała się tępym bólem, a świat znów zatańczył.

Ktoś kopnął go pod kolano, posyłając na klęczki.

Inny docisnął do ziemi.

– Tak głupio... – zacharczał Zahred, czując, jak w jego piersi wzbiera pusty śmiech.

– Co? Zresztą nieważne. Z tobą policzymy się później... Cholerne muchy! – Cortés machnął ręką przed twarzą. – Marina! Każ tej żalosnej imitacji władcy, żeby wyszła na taras i uspokoiła to bydło, które znów podchodzi pod nasz pałac! A wy broń w pogotowiu, lonty zapalone!

Przemieścili się wszyscy bliżej ku tarasowi, de Alvarado szarpnięciem przekręcił i posłał Montezumę kopniakiem na otwartą przestrzeń za drzwiami. Władca poleciał w przód, potknął się, byłby zgubił pióropusz... Przytrzymał go jednak ręką, wyprostował się i poprawił nakrycie głowy.

– No już, naprzód! Pokaż nam, jak przemawia król...! – zaśmiał się któryś z Kastylijczyków.

Od strony tarasu niósł się już głuchy, dudniący pomruk zbierającego się pod pałacem Axayacatla tłumu.

Niczym fale bijące o brzeg rozbrzmiewały w nim, nabierały mocy powtarzane z ust do ust, skandowane okrzyki, które potem zapadały się z powrotem w ogólny rozgwar.

Od czasu do czasu o kamienie tarasu lub dachu stuknęła i potoczył się ciśnięty z dołu pojedynczy kamień.

Ponad wszystkim tym niosło się niepokojące warczenie bębnow i dźwięczne dudnienie gongów ze szczytów świątyń, mieszające się z wciąż słyszalnym zawodzeniem wdów i sierot.

Montezuma stanął pośrodku tarasu, odwrócił się i spojrzał wprost na Zahreda, dociskanego do podłogi przez konkwistadorów.

Jego usta poruszyły się, układając się w kształt słów.

– Z nami słońce – powiedział bezgłośnie najwyższy król.

A potem ruszył ku krawędzi tarasu, wyciągając przed siebie wzniesione ręce.

Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki tłum zaczął nagle cichnąć.

Rwetes opadł.

Uspokoily się okrzyki.

Wzniesione gniewnie pięści opadły.

Wykrzywione wściekłością twarze rozluźniły się na widok znajomej sylwetki pojawiającej się wysoko ponad nimi.

– To Montezuma...! – poniosły się po placu szepty. – To najwyższy władca, nasz Huēi Tlahtoāni! Żyje jednak, nie zabili go...! Żyje i rządzi! Montezuma będzie mówić!

Zaś Mocetuhsuma Xocoyotzin, władca wszystkich krain od gór aż ku Wielkiej Wodzie, pan Imperium Słońca, Ten, Którego Gniew Jest Szlachetny, najwyższy król i władca imperium Mexików, popatrzył z nieudawaną miłością na zgromadzony u jego stóp tłum i przemówił:

– Dzieci Montezumy, córki i synowie Wiecznego Słońca! Oto Montezuma staje przed wami, pokorny sługa w rękach

bogów, i wzywa was: zaprzestańcie walki! Nie napadajcie na tych, których Montezuma przyjął pod swój dach! Pozwólcie odejść w pokoju tym, którzy przybyli tutaj, nie życząc nam żadnego zła, prowadzeni ręką bogów...!

Ludzie słuchali tych słów, lecz w miarę jak docierał do nich sens tego, co mówił władca, ponad tłumem znów poniósł się niezadowolony pomruk: co? Jak to? Czy to naprawdę są słowa najwyższego króla? Czy godzi się, by tak mówił władca, a nie bezwolny sługa...?

Tymczasem Montezuma mówił dalej, zaś po jego policzkach płynęły łzy:

– Oto Montezuma staje przed wami, wzywając was: bądźcie posłuszni! Uczyńcie to dla Montezumy, przez wzgląd na jego honor i dobroć, którą okazał gościom zza Wielkiej Wody! Nie odpłacajcie nienawiścią za nienawiść, lecz czyńcie dobro tam, gdzie wam uczyniono krzywdę! Bo nawet mimo wszystkiego, co spotkało Montezumę, ten nie żywi do białego wodza Cortésa urazy ani nie życzy mu niczego, co jest złe...!

Ponad tłum wzbiło się gniewne westchnienie: jakże to...?! Jak to mogło być, aby najwyższy król, Syn Słońca, nie widział tego, co zrobili Mexikom biali najeźdźcy?! Czy aż tak złamał go bat białego człowieka, że nie wstyd mu było wyjść w kajdanach przed własnych ludzi i kłamać w żywe oczy?!

Ktoś schylił się, podniósł grudę gliny i cisnął w kierunku tarasu.

Zaraz za nią poleciała druga i trzecia, stukając w okalające pałac Axayacatla ogrodzenie, uderzając o mury i balustradę tarasu.



Potem przez powietrze śmignęły kamienie.

Zagrzechotały, odbijając się i tocząc po posadzce, uderzając w zasłaniające okna deski.

Któryś z ciśniętych kamieni nadleciał i wirując, uderzył króla w udo. Montezuma zgiął się z bólu, jednak zaraz się wyprostował.

– Oto następcy swojemu, temu, co stoi za nim, Montezuma przekazuje swoją władzę! – krzyknął desperacko najwyższy król, obracając się przez ramię i pokazując wyciągniętą ręką tam, gdzie stali ledwie widoczni dla ludzi z dołu biali. Zakołysał się, gdy kolejny kamień trafił go w ramię. – Oto on stanie się najwyższym królem po Montezumie! Oto pod jego opiekę Montezuma oddaje...

Urwał i zatoczył się, kiedy ciśnięty z dołu kamień z suchym trzaskiem ugodził go w głowę.

Dotknął ręką rozciętego czoła.

Popatrzył na plamiącą palce krew.

Po jego twarzy pociekła szybko nabierająca siły szkarłatna struga.

Osunął się na kolana.

Podparł ręką i uśmiechnął, patrząc na wzbierający falą nienawiści tłum.

– Oto pod jego opiekę Montezuma oddaje was, najcenniejszy swój skarb... – szepnął. – Moje ukochane dzieci.

A potem przewrócił się na wznak.



Zahred widział to wszystko.



Słyszał każde słowo.

I wiedział, czuł, miał pewność, że gdy Montezuma obrócił się, pokazał ręką i spojrział – to spojrział wprost na niego.

– Nie...! – ryknął dziko, wyrywając się trzymającym go ludziom.

Któryś z nich chciał poprawić chwyt, na ułamek sekundy rozwarł palce.

Zahred wykorzystał to bezlitośnie, wyszarpnął ramię i sięgnął ręką w tył, złapał za kostkę tego, który wbijał mu kolano pomiędzy łopatki.

Człowiek z krzykiem poleciał w tył, na plecy, puszczając jego kark.

Ten trzeci nawet nie zauważył, co się stało.

Spojrział tylko z niedowierzaniem na rękojeść własnego noża wystającą mu z brzucha, a potem osiadł na posadzce i opadł na twarz.

– Uwaga...! – krzyknął ktoś, widząc, że Zahred nurkuje po siekierę leżącą na podłodze.

Ktoś chciał sięgnąć go włócznią, ale dokładnie wtedy wpadła mu do oka gruba, tłusta mucha ścierrwica, lecąca niezgrabnie przez całe pomieszczenie.

Żołnierz krzyknął głośno, wypuścił stylisko i chwycił się za twarz.

Inny zamachnął się mieczem, ale Kefren wpadł na niego ujadającą, dziką kulą furii pełnej kłów i pazurów.

Cortés zerwał się od stołu, widząc, że Zahred przetacza się po podłodze, zaś jego palce zaciskają się na stylisku topora.

Niewiele myśląc, wyrwał stojącemu obok arkebuzerowi rusznicę z dymiącym lontem, poderwał do ramienia.

Zahred zerwał się, już gotów do skoku ze wzniesionym nad głową toporem, jednym uderzeniem mającym rozłupać głowę Malintzin – i niemalże oparł się piersią o lufę arkebuza.

Widział lufę broni, nad nią tłący się punkcik zapalonego lontu i pełną zaciętej desperacji twarz Cortésa.

Za ramieniem caudilla zaś była ona, patrząca wprost na Zahreda.

– Hernán... – szepnął Zahred.

Twarz Cortésa ściągnęła się spazmem, kiedy Malintzin rozciągnęła wargi w złym, maniakałnym uśmiechu, zaś palec caudilla zadrgał na spuście.

Zahred ryknął dziko, desperacko i rzucił się ze wzniesioną siekierą naprzód.

Zgrzytnął mechanizm.

Sprężyna jęknęła cicho i docisnęła tłący się lont do zasypanego prochem zapалу.

Czarne grudki sypnęły iskrami.

Ogień fuknął i skoczył w głąb lufy, roznosząc się na cały ładunek.

Arkebuz huknął i bluznął ogniem.

Wprost w pierś Zahreda.

Ołowiana kula zgruchotała żebra, przeszła przez ciało niczym gorący nóż przez masło i wyskoczyła w krwawej fontannie krwi i kawałków mięsa prawą stroną pleców, zabierając ze sobą spory fragment łopatki.

Cięnięte niczym uderzeniem ogromnego młota ciało poleciało bezwładnie w tył, przekoziółkowało po ziemi, zostawiając za sobą krwawy ślad, i zamarło pod ścianą z rozrzuconymi szeroko rękami.

– O-o-o ku-ku-kurwa... – zająknął się pan de León, ostrożnie podnosząc głowę.

Cortés stał z dymiącym arkebuzem w ręku w powoli rozwiewającej się siwej chmurze, nadal patrząc wielkimi oczami wprost przed siebie.

Skuleni na podłodze ludzie powoli podnosili się, zerkali niepewnie: już?

Ktoś odsunął się od trupa, leżącego w szybko rosnącej kałuży krwi.

Zaskowyczał pies, którego służba w końcu dała radę wyrzucić i zatrzaskać za nim drzwi.

Konkwistadorzy patrzyli po sobie wielkimi oczami: co tu się właśnie stało? W uszach mieli wysoki, tłumiący inne dźwięki pisk. Gryzący w oczy dym powoli wysączał się przez okna na dwór.

O ścianę od strony tarasu znów zastukały rzucane kamienie.

Nad balustradą przeleciała płonąca żagiew, upadła zaraz obok leżącego z roztrzaskaną głową Montezumy, patrzącego szklistymi oczami w niebo pełne jego ukochanych gwiazd.

Cortés spojrzał na wciąż ściskany w rękach arkebuz.

Przeniósł wzrok na ciało.

Odłożył broń na stół.

Poprawił uwierającą pod szyją kryzę.

– De Alvarado. – Spojrzał na swojego kapitana. – Co do uderzenia na Indian: trudno, stało się. Weźcie teraz swoich ludzi, pilnujcie dojścia do pałacu od strony głównej bramy.

– Cokolwiek powiecie, panie...

– De Guzmán, kusznicy na taras! Poślijcie ze dwie salwy w tłum, niech dzikusom się nie wydaje, że mogą nam bezkarnie tutaj chuliganić.

– Tak jest!

– Artyleria na piętro, arkebuzy na drugą linię! Pikinierów dać pod furty, niech blokują wąskie przejścia! Miecze w dłoń, panowie, bo wygląda na to, że jeśli mamy wynieść z tej awantury i własną skórę, i trochę złota, to musimy... Cholerne muchy, skąd one się biorą o tej porze?! – Caudillo machnął ręką

przed twarzą, odganiając tłustą, bzyczącą robacznicę, najwyraźniej próbującą wejść mu do nosa.

– Śmierć dzikusom! – krzyknął ktoś.

– Śmierć zdrajcom! – zaśmiał się de Texeira, spluwając na zwłoki kapitana Zahreda.

– Cholerny pan, cholerny pies...! – zawtórował mu de Alvarado, patrząc na zahaczone siekierą Zahreda ramię i rozszarpany przez psa rękaw. – Zabierzcie to truchło, wyrzucicie przez balkon pomiędzy jemu podobnych!

De Texeira i Dueñas złapali ciało pod rękę, pociągnęli ku tarasowi, od strony którego donosił się coraz wyraźniejszy, narastający szum i kłębiły się czarne chmury dymu.

– Nie damy się, panowie! – zawołał Cortés, oglądając się na stojącą za nim doñę Marinę. – Tenochtitlán jest nasze, imperium jest nasze! Rzucimy je królowi naszemu i cesarzowi do nóg niczym najcenniejszą perłę... *Santiago y cierra, España!*

– *Santiago y cierra, España!* – powtórzyli ludzie.

I w tym momencie de Texeira krzyknął głośno i odskoczył w tył, machając rękoma przed twarzą i chowając głowę w ramiona.

Nieco wolniejszy w myśleniu Dueñas tylko wzdrygnął się całym ciałem, również jednak wypuszczając ciągniętego trupa.

Ponieważ obłok tego, co uważali za pełznący z podwórca dym, właśnie dotarł z tarasu do pomieszczenia i wlał się przez drzwi i okna do pałacu czarną, błyszczącą, bzyczącą i rozedrganą chmurą, osiadającą ludziom na twarzach, wciskającą się do uszu i nosów, wążąc w oczy...

– Muchy! – krzyknął de Alvarado, chwycił ze ściany pochodnię i machnął przed sobą, próbując rozgonić rój. – Co, do diabła...?!

Dueñas otworzył usta, żeby krzyknąć, ale zakrztusił się tylko, kiedy muchy od razu zanurkowały ku jego zębom

i językowi. Zaczął pluć i charkać, schylił się ku ziemi – i wrzasnął z przerażenia.

Ponieważ ciało, które jeszcze chwilę temu ciągnęli, bezwładne i broczące krwią, ku tarasowi, teraz przekręciło się na plecy i podniosło do pozycji siedzącej.

– Jezus Maria! – krzyknął de Alvarado, odskakując.

Pośród bzyczącej, przelewającej się chmury robacznic Zahred podparł się ręką, podniósł z trudem i wstał, brocząc krwią z rany.

Stojący przed nim Cortés pobladł i zachwiał się, przez wyrwaną w piersi swego eks-kapitana dziurę widząc taras i leżącego na nim trupa Montezumy.

– Hernán! – krzyknęła rozdzierająco doña Marina, chwytając Cortésa za ramię.

– Zabić... zabić diabła! – krzyknął Cortés, pokazując ręką na stojącego pośrodku komnaty powróceńca z piekła rodem.

I tak doprowadzeni już do skrajności wytrzymałości nerwowej, napięci do granic ludzie rzucili się na niego z wrzaskiem, w którym aż nadto słyszalna była agresja wynikła w prostej drodze ze strachu.

De Torreblanca zamachnął się swoim szerokim pałaszem, chcąc jednym ciosem rozrąbać na pół głowę Zahreda – ten jednak okręcił się wokół własnej osi, przepuścił ostrze przed twarzą i chwycił tamtego za nadgarstek, pociągnął w przód, wyłuskał mu z dłoni broń, dokończył obrót i ciął go w plecy, posyłając na ziemię.

Włócznia pana de la Hoza zagłębiła mu się w boku, ale on tylko chlasnął tamtego po rękach, odrąbując prawą dłoń w nadgarstku. De la Hoz zawył dziko i rzucił się w tył, chlustając krwią.

Szpada Mateo de Ossy brzęknęła o ostrze pałasza i wyskoczyła mu z dłoni, zaś on sam nie zdążył nawet się

zdziwić, gdy klinga Zahreda rozplątała mu gardło.

I w tym momencie do pomieszczenia wpadli dziko wyjący Tlaxcaltekowie.

– Śmierć białym najeźdźcom! Z nami słońce! – wrzasnął biegnący na ich czele Xicotencatl, tnąc najbliższego konkwistadora trzymanym oburącz krzemiennym mieczem.

– *El sol está con nosotros!* – ryknął nieswoim głosem Rodrigo, dając ognia prosto w największą ciżbę tych, których jeszcze niedawno uważał za swoich towarzyszy i współrodaków.

– Z nami słońce...!

– Kastylija, do mnie! – zawołał Cortés. – Zewrzeć szyk, piki naprzód!

Huknęły arkebuzy, jęknęły cięciwy kusz.

Ktoś potrącił stojący na stole kaganek, który z brzękiem spadł na podłogę i zgasł, pogrążając pomieszczenie w półmroku pełnym chaosu kotłujących się ciał, błysków stali i kłębiących się w tym wszystkim, bzyczących, włączących na twarze i pod ubrania much.

Xicotencatl chlasnął przez pierś kolejnego z białych, zaśmiał się dziko.

– Z nami słońce...!

Ktoś jeszcze strzelił z arkebuza, pomieszczenie po raz kolejny zasnuł dym.

Z tej siwej chmury, spomiędzy splecionych w śmiertelnych zapasach walczących, z wnętrza pogrążającego się w krwawym chaosie pałacu Axayacatla wyłonił się człowiek.

Brocząc krwią z ran, z których co najmniej kilka powinno go zabić, wyszedł na przylegający do gmachu dziedziniec.

Schylił się i podniósł z kamieni ciało Huēi Tlahtoāni, najwyższego króla Montezумы.

Podszedł do krawędzi tarasu, popatrzył na kłębiący się w dole, szturmujący ściany pałacu tłum.

Po czym skoczył.

Ludzie krzyknęli i prysnęli na boki, gdy wciąż trzymający ciało Montezumy Zahred podniósł się z ziemi, zaś z góry spłynęła dryfująca za nim chmura much, które od razu otuliły go szczelnym kokonem, wciskając się w rany i wślaząc w poprzecinaną ostrzami białych skórę.

Rozstępowali się przed nim, gdy ruszył przez tłum.

Ktoś zakrył twarz dłońmi, zaszlochał.

Inny wyciągnął drżącą rękę, musnął ociekający krwią pióropusz na głowie najwyższego króla.

Zahred szedł, zaś tłum otwierał się przed nim.

Ludzie skłaniali głowy.

Korzyli się w pokłonach.

Niektórzy klękali.

Inni kładli się na ziemi, uderzając czołem w proch.

– Huēi Tlahtoāni... – szepnęła jakaś stara kobieta o pokrytej popiołem twarzy, ubrana w czarne żałobne szaty po zabitym kilka dni wcześniej mężu. – Huēi Tlahtoāni.

– Huēi Tlahtoāni! – powtórzył stojący obok niej wnuk.

– Huēi Tlahtoāni! – krzyknął mężczyzna.

– Huēi Tlahtoāni! Huēi Tlahtoāni...! – Wołanie poniosło się ponad ludźmi, wyprzedzając idącego szpalerem człowieka o wymalowanych rękach. – Huēi Tlahtoāni...!

Zahred zaś po prostu szedł, ledwie słysząc i czując to wszystko, powierzchownie tylko świadom tego, co się wokół niego dzieje.

Kątem oka widział, że u jego nogi biegnie pies, który jakimś cudem zdołał wyrwać się z ogarniętego walkami pałacu.

Niedługo po nim zaczęli dołączać do niego pojedynczo i grupkami Tlaxcaltekwie.

Potem stopniowo dogonili go zmęczeni, zziajani, zalani krwią żołnierze z jego chorągwi.

– Z nami słońce! – wrzasnął Valdés, którego wybite przed chwilą oko broczyło krwią przemieszana z limfą.

– Z nami słońce! – krzyknęli pospołu de Monroy i Gutiérrez.

– Z nami słońce! Xahuatl Huēi Tlahtoāni! – wrzasnął dziko Xicotencatl, potrząsając nad głową zakrwawionym mieczem.

– Z nami słońce – mruknął pod nosem Maxcatl z ludu Otomi.

Orszak rósł i nabierał liczebności, gdy kolejni ludzie dołączali do procesji.

W oddali za nimi zostawał coraz mniejszy, ogarnięty teraz pożogą pałac Axayacatla, na którego mury pięło się coraz więcej i więcej ogarniętych dziką desperacją Mexików.

Zahred szedł, mijając płonące stosy pogrzebowe, spalone domy i pokryte bryzgami krwi zaułki.

Wreszcie skręcił w bok, wszedł na dziedziniec przed Wielką Świątynią i zaczął krok za krokiem wspinać się po wiodących na jej szczyt schodach.

Szedł, nie myśląc o niczym.

Widział tylko kolejne stopnie, pojawiające się przed nim i zostające za nim w niekończącym się cyklu.

Po dłoniach i nogach ciekła mu krew.

Jego?

Montezumy?

Wszystkich innych?

Nie wiedział.

Nie miało to znaczenia.

Istotne było teraz tylko jedno: nim minie czas, musiał uczynić to, o czym zawsze marzył najwyższy król.



Hałas ogarniętego szaleństwem miasta oddalał się coraz bardziej, kontrapunktowany tylko obłąkanym, dzikim dudnieniem bębnow i panicznym biciem gongów, niosącym się echem ponad całym Tenochtitlán.

Owionęło go chłodne, rześkie powietrze nocy, kiedy wreszcie wyłonił się przed nim szczyt Wielkiej Świątyni z czekającym już kamieniem ofiarnym.

Ostrożnie, delikatnie ułożył ciało Montezumy na bazaltowej płycie, po czym sięgnął do pasa po krzemienny nóż.

Pracował powoli, w nabożnym, spokojnym skupieniu.

Wiedział, że każdy jego ruch ma znaczenie.

Że nic nie jest pozbawione sensu, zaś wszystko prowadzi ku czemuś innemu.

Gwiazdy patrzyły na niego z wysokości nieboskłonu, mrugając tak samo, odkąd bogowie zapalili je dla ludzi.

I kiedy w końcu odwrócił się od ołtarza i stanął na krawędzi platformy, ponad miastem zapadła cisza.

Wyrzucił ku górze ręce, ściskając w jednej obsydianowy nóż, a w drugiej wciąż ciepłą Czerwoną Gwiazdę najwyższego króla Montezumy, gotową teraz, aby ulecieć ku ciemnemu niebu i zamieszkać pośród bogów.

Zaś rozciągnięte u jego stóp Tenochtitlán i zgromadzony na jego ulicach tłum eksplodowały okrzykiem:

– Xahuatl Huēi Tlahtoāni...!

**KONIEC**  
**TOMU DRUGIEGO**



## **Michał Gołkowski**

Człowiek orkiestra.

Z wykształcenia lingwista, z zamiłowania historyk wojskowości i antropolog kultury. Z zawodu tłumacz języka angielskiego i rosyjskiego, bez skrępowania poruszający się po

ministerialnych, sejmowych oraz telewizyjnych korytarzach i strefach VIP.

Jako pisarz zadebiutował w 2013 roku książką *Ołowiany świt* i od tego czasu wydał rekordową ilość 27 książek osadzonych w 7 różnych uniwersach!

Wszystko zaczęło się od lektury książki *Ślepa plama* Wiktora Noczki, którą Michał przetłumaczył zresztą później na język polski. Pomysł na własną historię kiełkował, a gdy dojrzał, Michał napisał swoją pierwszą powieść w zaledwie półtora miesiąca! A potem przekonał Fabrykę Słów, by tę książkę wydała, i tym samym stał się dumnym ojcem polskiego S.T.A.L.K.E.R.a. W tamtym momencie nastąpiło zwolnienie blokady maszyny losującej i od tego czasu Michał składa w wydawnictwie dwie, trzy książki rocznie. I nie są to same historie z Fabrycznej Zony! Jego książki krążą pomiędzy tematyką stalkerską, alternatywną historią czy fantasy. Jednak bez względu na gatunek styl „Gołkosia” pozostaje niezmiennie smakowity. Jego książki są przepełnione czarnym humorem i absurdem, a pojęcia świętości Michał zdaje się nie uznawać.

Szczególnie widać to w serii Komornik, nawiązującej do biblijnej Apokalipsy. Natychmiast po wydaniu uznana ona została za obrazoburczą i wzbudziła wiele głosów protestu, równocześnie zyskując jednak rzesze zachwyconych czytelników. Zresztą kontakt z fanami jest kolejną rzeczą, która wyróżnia Michała na rynku wydawniczym. Mało jest autorów równie jak on aktywnych i otwartych. Można go spotkać na większości konwentów fanowskich, na licznych spotkaniach autorskich i nigdy nie jest zbyt zajęty na chwilę rozmowy czy podpisanie książki. Bez względu na to, czy prezentuje się akurat w garniturze, czy w stalkerskim szpeju, zawsze możecie śmiało

podejść i zagaic. Nie wiemy nic o tym, by kiedykolwiek kogoś ugryzł.



**SROGIE  
DODATKI  
DO ULUBIONYCH  
LEKTUR**



**ZAMAWIAJ NA  
[WWW.STEELHOG.PL](http://WWW.STEELHOG.PL)**

COPYRIGHT © BY Michał Gołkowski  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Cała książka i każda jej część może być przedrukowywana i w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie. Może być odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy ;-)

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA  
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE ORAZ PROJEKT  
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE  
Paweł Zaręba

REDAKCJA  
Ewa Białołęcka

KOREKTA  
Anna Koral, Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

 [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

 **DRESSLER**

Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)

# ŚWIAT WE KRWI

TOM 2



Oto stało się to, przed  
czym ostrzegali wielkiego  
króla kapłani i wróżbici:  
biali przybysze dotarli  
do Tenochtitlán!

**P**rzybyli jako najeźdźcy;  
wkroczyli do miasta jako  
zdobywcy teraz zaś, ku  
zdumieniu wszystkich,  
mają być – przyjaciółmi?

**T**o nie może być, szepczą  
pomiędzy sobą ludzie.  
Montezuma na pewno oszalał.  
Biały wódz Cortés rzucił  
na niego urok, skradł mu  
odwagę wraz z rozumem!

**P**ośród ciemności nocy  
rozlega się delikatny trzepot  
skrzydeł, gdy utkane z cieni  
przeznaczenie wyłania się  
z dymu kamiennego zwierciadła:  
wkrótce jasne stanie się, jaką  
rolę przypisano temu, który  
nosi na swoich rękach  
malunki zwierząt.

**N**iech śmiertelni drżą, nie  
śmiejąc podnieść nawet wzroku,  
gdyż sami Bogowie ingerują  
w sprawy ludzi.  
Nadchodzi koniec, który  
będzie nowym początkiem.